

**DEAN  
KOONTZ**

**PRZY BLASKU  
KSIÊ-YCA**

(Mozolnie skanowane i poprawiane przez Kali)

*Księżkę tę dedykuję  
Lindzie Borland i Elaine Peterson  
za ich ciężką pracę,  
ich dobroć  
i ich niezawodność.  
I oczywiście za to,  
że jak zwykle raz do roku przy³apa³y mnie na b³ędzie,  
który,  
gdyby nie zwróci³y na niego mojej uwagi,  
zepsu³by moj¹ nieposzlakowan¹ opiniê.  
A tak¿e za to, że dyskretnie ukrywa³y przede mn¹  
prawdziwy powód swoich wizyt:  
chcia³y sprawiaæ przyjemnoœæ mojej Trixie,  
drapi¹c j¹ po brzuchu.*

*Pilot na przodzie piastowa<sup>3</sup> w swym rêku cenne brzemiê  
żywotów ludzkich, wpatruj<sup>1</sup>c siê pilnie przed siebie, jak  
pasterz stada, oczami pe<sup>3</sup>nymi ksiêżycowego blasku.*

„Nocny lot”, Antoine de Saint-Exupery  
(prze<sup>3</sup>ożyli z francuskiego Maria Czapska i Stanis<sup>3</sup>aw Stempowski)

*Życie nie ma sensu, poza sensem odpowiedzialnoœci.*  
„Wiara i historia”, Reinhold Niebuhr

*WeÏ moj<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ i porzuæ trwogê.  
Dziæ twej nadziei nie zawiodê,  
Bo zawiód<sup>3</sup>bym sw<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> duszê,  
na wieczne skaza<sup>3</sup> j<sup>1</sup> katusze  
i w piekle zmorzy<sup>3</sup> æwiat<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>odem.  
Dziæ twej nadziei nie zawiodê.  
„Ksiêga policzonych smutków”*

# 1 Zanim Dylana O'Connera pozbawiono przytomności, przywiłano do krzesła i

wstrzyknięto nieznan<sup>1</sup> sub-stancję, zanim odkry<sup>3</sup>, że ówiat bywa o wiele bardziej niepojęty, niż mu się dotąd wydawało - wyszed<sup>3</sup> z pokoju motelowego i przeci<sup>13</sup> autostradę, zmierzaj<sup>1c</sup> do jasno oświetlonego baru fast food, żeby kupić cheeseburgery, frytki, ciastka z nadzie-aniem jab<sup>3</sup>kowym i koktajl waniliowy.

Zgas<sup>3y</sup> dzień leża<sup>3</sup> zagrzebany w asfalcie. Jego duch wci<sup>1</sup> jednak trwa<sup>3</sup> w powietrzu arizońskiego wieczoru, leniwie uno-sz<sup>1c</sup> się gor<sup>1cym</sup> oparem z ka<sup>1</sup>dego skrawka ziemi, jaki prze-mierza<sup>3</sup> Dylan.

Na końcu miasta, które s<sup>3u</sup> przed wszystkim podró<sup>1</sup>-nym z pobliskiej drogi międzystanowej, baterie kolorowych neonów walczy<sup>3y</sup> o klienta. Mimo tocz<sup>1cej</sup> się ówielnej bitwy, w czystym i suchym powietrzu a<sup>1</sup> po horyzont rozci<sup>1ga</sup> się łeni<sup>1ce</sup> i spokojne morze gwiazd. Po gwia<sup>1</sup>dzistym oceanie sun<sup>13</sup> okr<sup>1g</sup> jak ko<sup>3o</sup> sterowe księ<sup>1</sup>yc, zmierzaj<sup>1c</sup> wolno na zachód.

Bezkresna przestrzeń wydawa<sup>3a</sup> się czysta i pe<sup>3na</sup> obietnic, lecz ówiat w dole by<sup>3</sup> zmęczony i przykurzony. Cho<sup>1</sup> w<sup>3</sup>aciecie nie wia<sup>3o</sup>, z g<sup>3</sup>bi wieczoru dolatywa<sup>3y</sup> pojedyncze podmuchy, z których ka<sup>1</sup>dy szept<sup>3</sup> w swoim języku i przynosi<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> nie-powtarzaln<sup>1</sup> woń. W miarę jak Dylan zbli<sup>1</sup> się do restauracji, zapachy pustynnego piasku, py<sup>3</sup>ku kaktusów, spalin z diesli i rozgrzanego asfaltu zaczyna<sup>3y</sup> się mieszać z gęstym aromatem d<sup>3</sup>ugo u<sup>1</sup>wanego oleju, hamburgerów dymi<sup>1</sup>cych na blasze i sma<sup>1</sup>onej cebuli - ci<sup>1</sup>kim i zawiesistym jak chmura dusz<sup>1</sup>cego powietrza w kopalni.

Gdyby Dylan nie by<sup>3</sup> w nieznanym mieście zmęczony po ca-<sup>3ym</sup> dniu drogi i gdyby jego m<sup>3</sup>odszy brat, Shepherd, nie popad<sup>3</sup> w zagadkowy nastrój, poszuka<sup>3by</sup> restauracji ze zdrowym je-dzeniem. W tym momencie jednak Shep nie potrafi<sup>3</sup> stawiać czo-<sup>3a</sup> ludziom, a gdy by<sup>3</sup> w takim stanie, tolerowa<sup>3</sup> tylko jedzenie, które lubi<sup>3</sup>, z du<sup>1</sup> zawartości<sup>1</sup> t<sup>3</sup>uszczu.

W ośrodku restauracji by<sup>3o</sup> jaćniej niż na zewn<sup>1</sup>tr. Domino-wa<sup>3y</sup> tu bia<sup>3e</sup> powierzchnie i mimo przesyconego zapachem t<sup>3</sup>uszczu powietrza lokal sprawia<sup>3</sup> wrażenie antyseptycznego.

Dylan O'Conner czu<sup>3</sup> się we współczesnej kulturze jak w nie-wygodnym ubraniu; tu tak<sup>1</sup>e okaza<sup>3a</sup> się przyciasna. Uwa<sup>1</sup>, że knajpa, gdzie podaje się hamburgery, powinna wygl<sup>1</sup>dać jak knajpa, nie jak sala operacyjna ani przedszkole z obrazkami klaunów i ómiesznych zwierzaków, ani jak bambusowa chata na tropikalnej wyspie, ani jak plastikowa imitacja nieistniejącego baru z lat pięćdziesiątych. Jeżeli ktos<sup>1</sup> zamierza jeść zwęglone kawa<sup>3</sup>ki krowy oblane warstw<sup>1</sup> sera oraz paski ziemniaków, które zanurzone we wrz<sup>1</sup>ym oleju, a<sup>1</sup> sta<sup>3y</sup> się kruche jak sta-ro<sup>1</sup>ty papiirus, a potem popije wszystko stosown<sup>1</sup> ilośc<sup>1</sup> lo-dowatego piwa albo koktajlem mlecznym o kaloryczności pie-czonego prosiaka, to uczta powinna odbywać się w scenerii wzbudzającej w biesiadniku poczucie winy czy wręcz grzechu. Powinno jej towarzyszyć przyjemne i ciepłe ówiat<sup>3o</sup>. W wystro-ju powinny dominować ciemne kolory - najlepiej stary mahoni, matowy mosi<sup>1</sup>dz, ciemnoczerwona tapicerka. Mięso<sup>1</sup>erca po-winien s<sup>3</sup>uchać uspokajającej muzyki, a nie powodujących md<sup>3</sup>ości produkcji muzyków nafaszerowanych Prozakiem, ale melodii równie smakowitych jak jedzenie - może wczesnego rock and rolla albo swingu, albo dobrych piosenek country o pokusie i wyrzutach sumienia czy ukochanych pieskach.

Tak czy inaczej przeszed<sup>3</sup> po wykafelkowanej pod<sup>3</sup>odze do stalowej lady i zamówi<sup>3</sup> posi<sup>3</sup>ek na wynos u pulchnej, siwow<sup>3</sup>osej kobiety, która w nieskazitelnym pr<sup>1</sup>kowym stroju wy-gl<sup>1</sup>da jak ona Œwiętego Miko<sup>3</sup>aja. Dylan spodziewa<sup>3</sup> się uj-rzeć elfa zerkającego z kieszeni jej bluzy.

W dawnych czasach w punktach sprzedają fast foodów za lad<sup>1</sup> krz<sup>1</sup>ta<sup>3y</sup> się g<sup>3</sup>ównie nastolatki. Ostatnio jednak spora licz-ba m<sup>3</sup>odych ludzi uzna<sup>3a</sup>, że nie przystoi im zajęcie tego rodzaju, tak więc szansę dorobienia zyskali emeryci.

ona Œwiętego Miko<sup>3</sup>aja zwraca<sup>3a</sup> się do Dylana „kochany”, a podaj<sup>1c</sup> mu dwie bia<sup>3e</sup> torebki z zamówionym jedzeniem, sięgn<sup>3a</sup> ponad lad<sup>1</sup>, aby przypięć mu do koszuli promocyjn<sup>1</sup> plakietkę. Na znaczku widnia<sup>3</sup> napis „Od dziś tylko frytki ja-dam, zapominam o owadach” oraz ucemiechnięty zielony pysz-czek narysowanej aby występującej w najnowszej kampanii re-klamowej firmy, w której

pryszczaty p<sup>3</sup>az zupe<sup>3</sup>nie zmienia gust, przerzucaj<sup>1</sup>c siê z typowej dla swego gatunku diety na tak wy-szukane dania jak p<sup>3</sup>ofuntowy cheeseburger.

Dylan kolejny raz poczu<sup>3</sup> ciasne ubranko: nie rozumia<sup>3</sup>, dla-czego decyduj<sup>1</sup>c, co ma jeœæ na kolacjê, mia<sup>3</sup>by siê kierowaæ przychyln<sup>1</sup> opini<sup>1</sup> narysowanej ¿aby, gwiazdy sportu czy choæ-by laureata Nagrody Nobla. Co wiêcej, nie rozumia<sup>3</sup>, dlaczego mia<sup>3</sup>aby go zachwyciaæ reklama przekonuj<sup>1</sup>ca, ¿e frytki podawa-ne w tej restauracji s<sup>1</sup> smaczniejsze ni¿ owady. I dobrze by by-<sup>3</sup>o, gdyby frytki rzeczywiœcie smakowa<sup>3</sup>y lepiej ni¿ torebka sma-¿onych muszek.

Powstrzyma<sup>3</sup> siê przed wyra¿eniem swojej opinii na temat ¿aby tak¿e dlatego, ¿e zacz<sup>13</sup> sobie zdawaæ sprawê, i¿ ostatnio irytowa<sup>3</sup>o go coraz wiêcej zupe<sup>3</sup>nie nieistotnych drobiazgów. Je-¿eli siê nie wyluzuje, stanie siê koszmarnym zgorzknia<sup>3</sup>ym zrzê-d<sup>1</sup>, zanim skoñczy trzydzieœci piêæ lat. Uœmiechn<sup>13</sup> siê do ¿ony Ewiêtego Miko<sup>3</sup>aja i podziêkowa<sup>3</sup> jej, ¿eby nie popsuaæ sobie Bo-¿ego Narodzenia.

Maszeruj<sup>1</sup>c w œwietle pyzatego ksiê¿yca w poprzek dziel<sup>1</sup>cej go od motelu trzypasmowej autostrady i nios<sup>1</sup>c papierowe to-rebki pe<sup>3</sup>ne wonnego cholesterolu w przeró¿nych postaciach, Dylan wylicza<sup>3</sup> w myœlach wiele rzeczy, za które powinien byæ losowi wdziêczny. Dobre zdrowie. Ładne zêby, Wspaniale w<sup>3</sup>osy. M<sup>3</sup>odoœæ. Mia<sup>3</sup> dwadzieœcia dziewiêæ lat, trochê talentu arty-stycznego i pracê, w której odnalaz<sup>3</sup> sens i radoœæ. Mimo ¿e bo-gactwo mu nie grozi<sup>3</sup>o, sprzedawa<sup>3</sup> swoje obrazy na tyle czêsto, by co miesi<sup>1</sup>c zap<sup>3</sup>aciaæ rachunki i z<sup>3</sup>o¿yæ nieco pieniêdzy w ban-ku. Nie mia<sup>3</sup> szpec<sup>1</sup>cych blizn na twarzy ani k<sup>3</sup>opotów z powra-caj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> grzybic<sup>1</sup>, ani nieznoœnego brata bliŹniaka; nie mia<sup>3</sup> ata-ków amnezji, po których budzi<sup>3</sup> siê z zakrwawionymi rêkami, ani stanów zapalnych zadartych przy paznokciach skórek.

I mia<sup>3</sup> Shepherda. Swoje b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieñstwo i przekleñstwo. Bywa<sup>3</sup>y takie chwile, gdy Dylan cieszy<sup>3</sup> siê, ¿e ¿yje i Shep jest je-go bratem.

Pod czerwonym neonem „Motel”, gdzie przesuwaj<sup>1</sup>cy siê cieñ Dylana malowa<sup>3</sup> zupe<sup>3</sup>nie czarn<sup>1</sup> plamê na ró¿owawym od blasku neonu asfalcie, ktoœ go œledzi<sup>3</sup> a tak¿e potem, gdy mija<sup>3</sup> niskie sagowce, kolczaste kaktusy i inn<sup>1</sup> roœlinnoœæ pustynn<sup>1</sup> i dalej, kiedy szed<sup>3</sup> betonowymi chodnikami miêdzy budynkami motelu, i z ca<sup>31</sup> pewnoœci<sup>1</sup>, kiedy mija<sup>3</sup> szumi<sup>1</sup>ce i pobrzêkuj<sup>1</sup>ce automaty z napojami, rozmyœlaj<sup>1</sup>c o delikatnych wiêzach ro-dzinnych - wci<sup>1</sup>¿ ktoœ go œledzi<sup>3</sup> Obserwator zbli¿y<sup>3</sup> siê niepo-strze¿enie, jak gdyby zrówna<sup>3</sup> swój krok z jego krokiem, swój oddech z jego oddechem. Dylan stal ju¿ przed drzwiami poko-ju i szuka<sup>3</sup> w kieszeniach klucza, œciskaj<sup>1</sup>c przy tym kurczowo torebki z jedzeniem, kiedy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> zdradzieckie skrzygniêcie buta, niestety za póŹno. Odwróci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê, dojrza<sup>3</sup> nad sob<sup>1</sup> blad<sup>1</sup> w blasku ksiê¿yca twarz i wyczu<sup>3</sup> ruch jakiegoœ ciemnego kszta<sup>3</sup>tu, który opad<sup>3</sup> mu prosto na czaszkê.

Dziwne, ale nie poczu<sup>3</sup> ciosu i nie zorientowa<sup>3</sup> siê, ¿e osuwa siê na ziemiê. Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> trzask pêkaj<sup>1</sup>cych torebek, owion<sup>13</sup> go zapach cebuli, ciep<sup>3</sup>ego sera i marynowanych warzyw, a potem uœwiadomi<sup>3</sup> sobie, ¿e le¿y twarz<sup>1</sup> na betoniu. Mia<sup>3</sup> nadziejà, ¿e nie rozla<sup>3</sup> koktajlu mlecznego dla Shepa. PóŹniej przyœni<sup>3</sup>y mu siê tañcz<sup>1</sup>ce frytki.

## 2 Jillian Jackson mia<sup>3</sup>a ukochany kwiat - grubosza jajowatego - którym zawsze

zajmowa<sup>3</sup>a siê niezwykle troskliwie. Podawa<sup>3</sup>a mu starannie wyliczone i odmierzone porcje mieszanki od¿ywek, rozs<sup>1</sup>dnie podlewa<sup>3</sup>a i regularnie spryskiwa<sup>3</sup>a jego miêsiste, owalne liœcie wielkoœci kciuka, aby zmyæ kurz i zachowaæ ich loeni<sup>1</sup>c<sup>1</sup> zieleñ.

Tego pi<sup>1</sup>tkowego wieczoru, kiedy jechali z Fredem z Albuquerque w Nowym Meksyku do Phoenix w Arizonie, gdzie w przysz<sup>3</sup>ym tygodniu Jilly mia<sup>3</sup>a trzy wystêpy, to ona ca<sup>31</sup> drogê siedzia<sup>3</sup>a za kó<sup>3</sup>kiem, poniewa¿ Fred nie mia<sup>3</sup> ani prawa jazdy, ani niezbêdnych do prowadzenia pojazdu koñczyn. Fred by<sup>3</sup> gruboszem jajowatym.

Granatowy cadillac coupe deville rocznik 1956 by<sup>3</sup> mi<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> ¿ycia Jilly. Fred rozumia<sup>3</sup> to i <sup>3</sup>askawie akceptowa<sup>3</sup>, lecz ma<sup>3</sup>y Crassula argentea (nazwisko Freda) na liœcie obiektów jej uczuaæ lokowa<sup>3</sup> siê tu¿ za samochodem. Jilly kupi<sup>3</sup>a grubosza, gdy by<sup>3</sup> zaledwie pêdem o czterech krótkich ga<sup>31</sup>zkach i szesnastu grubych, gumowatych liœciach. Choæ trzymano go w tandetnej donicy œrednicy trzech cali z czarnego plastiku i móg<sup>3</sup> sprawiaæ wra¿enie drobnej, ¿a<sup>3</sup>osnej roœlinki, jej od pierwszej chwili wyda<sup>3</sup>

się odważny i z charakterem. Pod czu<sup>3</sup> opiek<sup>1</sup> wyrós<sup>3</sup> na piękny okaz wysokoceci jednej stopy i orednicy osiemnastu cali. Teraz mieszka<sup>3</sup> sobie wygodnie w dwunastocalowej donicy z terakoty; razem z ziemi<sup>1</sup> i pojemnikiem waży<sup>3</sup> dwanaście funtów.

Jilly zrobi<sup>3</sup>a mu tward<sup>1</sup> poduszkę z pianki z wystaj<sup>1</sup>cym brzegiem - coce w rodzaju okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ego siedziska dla pacjentów po operacji hemoroidów - dzięki której dno doniczki nie mog<sup>3</sup>o uszkodzić tapicerki siedzenia, a Fred móg<sup>3</sup> podróż<sup>1</sup>owaæ, zachowuj<sup>1</sup>c równowagę. W 1956 roku nie wyposaży<sup>1</sup>ono cadillaców coupe deville w pasy bezpieczeństwa; Jilly takż<sup>1</sup>e nie zosta<sup>3</sup>a w nie wyposaży<sup>1</sup>ona w chwili narodzin, czyli w roku 1977; zamontowa<sup>3</sup>a za to w samochodzie zwykle pasy biodrowe dla siebie i Freda. Na swojej specjalnie zrobionej poduszce, z donicz<sup>1</sup>ki przypięt<sup>1</sup> do siedzenia, mia<sup>3</sup> najlepsze zabezpieczenia, o jakich móg<sup>3</sup>by ma-rzyæ grubosz jajowaty, mkn<sup>1</sup>c po wertepach Nowego Meksyku z prędkoeci<sup>1</sup> przekraczaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> osiemdziesi<sup>1</sup>t mil na godzinę.

Siedz<sup>1</sup>c przy oknie, Fred nie móg<sup>3</sup> widzieæ ani doceniaæ pu-stynnego krajobrazu, lecz Jilly od czasu do czasu barwnie s<sup>3</sup>owami odmalowywa<sup>3</sup>a mu szczególnie piękny widok.

Lubi<sup>3</sup>a æwiczyæ swoje zdolnoeci opisywania. Gdyby nie uda<sup>3</sup>o się jej zostaæ gwiazd<sup>1</sup> wciród komików po tych kilku kontrak-tach na występy w kiepskich barach i drugorzędnych klubach, przewidzia<sup>3</sup>a plan awaryjny - chcia<sup>3</sup>aby zostaæ powieœciopisar-k<sup>1</sup>, autork<sup>1</sup> bestsellerów.

Ludzie nie porzucaj<sup>1</sup> nadziei nawet w niebezpiecznych cza-sach, ale Jillian trzyma<sup>3</sup>a się jej kurczowo, żywi<sup>1</sup>c się ni<sup>1</sup> tak jak jedzeniem. Trzy lata temu, gdy by<sup>3</sup>a kelnerk<sup>1</sup> i mieszka<sup>3</sup>a z trze-ma dziewczynami, żeby taniej wysz<sup>3</sup>o, jad<sup>3</sup>a tylko dwa posi<sup>3</sup>ki dziennie, które dostawa<sup>3</sup>a gratis w restauracji, gdzie pracowa<sup>3</sup>a, jeszcze przed swoim pierwszym występem mia<sup>3</sup>a we krwi tyle nadziei, ile czerwonych i bia<sup>3</sup>ych krwinek oraz trombocytów. Niektórzy lękaliby się równie œmia<sup>3</sup>ych marzeń, ale Jilly wierzy<sup>3</sup>a, że dzięki nadziei i ciężkiej pracy zdobędzie wszystko, czego zechce.

Wszystko, prócz w<sup>3</sup>aciewego męczyzny.

Jad<sup>1</sup>c przez dogasaj<sup>1</sup>ce popo<sup>3</sup>udnie, z Los Lunas do Socor-ro, potem do Las Cruces, czekaj<sup>1</sup>c w amerykańskim punkcie odpraw celnych na wschód od Akela, gdzie od niedawna kon-trole przeprowadzano znacznie sumienniejsz<sup>1</sup>e niż w spokojniejsz-ych czasach - Jilly ca<sup>3</sup> drogę rozmyœla<sup>3</sup>a o męczyznach w swoim życiu. By<sup>3</sup>o ich tylko trzech, ale o trzech za duży. Zmierzaj<sup>1</sup>c do Lordsburga na północ od gór Pyramid, do mia-sta Road Forks w Nowym Meksyku i wreszcie przekraczaj<sup>1</sup>c granicę stanu, rozpamiętywa<sup>3</sup>a przesz<sup>3</sup>oœæ, staraj<sup>1</sup>c się zrozumieæ, gdzie pope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>a b<sup>3</sup>id w każdym z nieudanych zwi<sup>1</sup>zków.

Mimo że by<sup>3</sup>a gotowa wzi<sup>1</sup>æ na siebie winę za burzliwy ko-niec wszystkich romansów, poniewczasie analizuj<sup>1</sup>c wszystko z uwag<sup>1</sup> pirotechnika stoj<sup>1</sup>cego przed decyzj<sup>1</sup>, który z druci-ków ma przeci<sup>1</sup>æ, żeby zapobiec katastrofie, dosz<sup>3</sup>a w końcu do wniosku (nie po raz pierwszy zreszt<sup>1</sup>); że bardziej niż ona zawi-nili nieodpowiedzialni męczyŹni, którym zaufa<sup>3</sup>a. Zdradzili j<sup>1</sup>. Oszukali. Gdyby nawet spojrzeæ na nich bez uprzedzeñ, przez najbardziej róŹowe z róŹowych okularów, okazywali się <sup>3</sup>ajda-kami, trzema œwinkami, które przejawia<sup>3</sup>y wy<sup>3</sup>cznie œwiñskie cechy charakteru i ani jednej dobrej. Gdyby u ich drzwi stan<sup>13</sup> wilk i zdmuchn<sup>13</sup> s<sup>3</sup>omian<sup>1</sup> chatkê, s<sup>1</sup>iedzi zgotowaliby mu owacjê i poczęstowaliby winem, żeby mia<sup>3</sup> czym popi<sup>1</sup>æ kolacjê z<sup>3</sup>ożon<sup>1</sup> z kotletów wieprzowych.

- Jestem zgorzknia<sup>3</sup>1, mœciw<sup>1</sup> suk<sup>1</sup> - œwiadczy<sup>3</sup>a Jilly. Kochany Fred milcz<sup>1</sup>co zaprotestowa<sup>3</sup>.

- Czy kiedykolwiek spotkam porz<sup>1</sup>dnego faceta? -zastana-wia<sup>3</sup>a się g<sup>3</sup>oœno.

Chociaż Fred wykazywa<sup>3</sup> liczne zalety - by<sup>3</sup> cierpliwy i spo-kojny, nigdy się na nic nie skarży<sup>3</sup>, wyj<sup>1</sup>tkowo umia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>uchaæ i milcz<sup>1</sup>co wespółczuaæ oraz mia<sup>3</sup> zdrowy korzeñ - nigdy nie twierdzi<sup>3</sup>, że zosta<sup>3</sup> obdarzony zdolnoeci jasnowidzenia. Nie móg<sup>3</sup> wiedzieæ, czy pewnego dnia Jilly spotka porz<sup>1</sup>dnego faceta. Na ogó<sup>3</sup> ufa<sup>3</sup> przeznaczeniu. Podobnie jak inne bezwolne gatunki pozbawione umiejêtnoeci poruszania się, móg<sup>3</sup> tylko polegaæ na losie i mieæ nadzieję na pomyœlny obrót spraw.

- Oczywiście, że spotkam porz<sup>1</sup>dnego faceta - oznajmi<sup>3</sup>a zdecydowanie Jilly, gdy jak zwykle wst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a w ni<sup>1</sup> otucha. - Spotkam kilkunastu porz<sup>1</sup>dnych facetów, kilkudziesięciu, setki. - Z melancholijnym westchnieniem wcisn<sup>3</sup>a hamulec, widz<sup>1</sup>c tuż przed sob<sup>1</sup> sznur samochodów t<sup>3</sup>ocz<sup>1</sup>cych się na wschodniej nitce autostrady międzystanowej numer 10. - Nie chodzi o to, czy spotkam porz<sup>1</sup>dnego faceta, ale czy go poznam, jeżeli nie będzie mia<sup>3</sup> wokó<sup>3</sup> siebie chóru anio<sup>3</sup>ów, a nad g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> migaj<sup>1</sup>cej aureoli z napisem „œwietny facet, œwietny facet, œwietny facet”.

Jillian nie widzia³a uœmiechu Freda, ale wyraŹnie go wyczu³a. - Och, spójrmy prawdzie w oczy - wyjêcza³a. - W spra-wach facetów jestem naiwna i ³atwo dajê siê wprowadziæ w b³¹d. Fred potrafi³ odró¿niæ prawdê od k³amstwa. M¹dry Fred. Cisza, jak¹ skwitowa³ deklaracjê Jilly, mia³a zupe³nie inn¹ wy-mowê ni¿ cichy protest, gdy nazwa³a siê zgorzknia³¹, mœciw¹ suk¹.

Sznur samochodów utkn¹³ na amen.

Karmazynowy zachód s³oñca i zmierzch spêdzili na kolej-nym oczekiwaniu, tym razem przed posterunkiem Inspekcji Rolnej Arizony na wschód od San Simon, który s³u¿y³ obecnie i stanowym, i federalnym agencjom stró¿ów prawa. Poza urzêd-nikami Departamentu Rolnictwa w kontroli uczestniczyli tak¿e ubrani po cywilnemu agenci o kamiennych spojrzeniach, s³u¿¹-cy zapewne w jakiejœ organizacji, która mia³a niewiele wspólnego z warzywami; najwyraŹniej szukali szkodników znacznie nie-bezpieczniejszych od muszek owocowych hodowanych w prze-mycanych pomarañczach. Maglowali Jilly z takim uporem, jakby s¹dzili, ¿e ukrywa pod siedzeniem karabin pó³automa-tyczny i czador, a Fredowi przygl¹dali siê z uwag¹ i nieufno-œci¹, jak gdyby w przekonaniu, ¿e pochodzi z Bliskiego Wscho-du, jest fanatykiem religijnym i ma z³e intencje.

Jednak nawet ci groŹnie wygl¹daj¹cy mê¿czyŹni, którzy mie-li swoje powody, by patrzeæ podejrzliwie na ka¿dego podró¿ne-go, nie mogli zbyt d³ugo uwa¿aæ Freda za z³oczyñcê. Cofnêli siê i przepuœcili cadillaca przez punkt kontroli.

Zamykaj¹c elektrycznie opuszczan¹ szybê i wciskaj¹c peda³ gazu, Jilly powiedzia³a:

- Dobrze, ¿e nie wsadzili ciê do pud³a, Freddy. Przy naszym bud¿ecie nie moglibyœmy sobie pozwoliæ na kaucjê.

Przez milê jechali w milczeniu.

Jeszcze przed zachodem s³oñca pokaza³ siê widmowy ksiê-¿yc jak blade oko ektoplazmy; wraz z zapadniêciem zmroku je-go cyklopowe spojrzenie sta³o siê jaœniejsze.

- Byæ mo¿e rozmowa z roselin¹ to nie tylko dziwactwo - roz-myœla³a na g³os Jilly. - Byæ mo¿e mam trochê nierówno pod sufitem.

Na pó³noc i pó³udnie od autostrady panowa³a nieprzenik-niona ciemnoœæ. Ch³odny blask ksiê¿ycowy nie mó¿³ rozjaœnienia mroku, jaki po zmierzchu zapad³ na pustyni.

- Przepraszam, Fred. Nie powinnam tego mówiaæ. Grubosz by³ dumny, ale umia³ te¿ przebaczaæ.

Spoceród trzech mê¿czyzn, z którymi Jilly zg³êbia³a tajniki dysfunkcji zwi¹zku, ¿aden nie zawaha³by siê wykorzystae przeciwko niej najbardziej niewinnej oznaki niezadowolienia z jej strony; ka¿dy postara³by siê wzbudziæ w niej poczucie winy i wszed³ w rolê zgnêbionej ofiary jej wygórowanych oczekiwañ.

Fred, dziêki Bogu, nigdy nie bawi³ siê w podobne gierki.

Przez jakieœ czas jechali w przyjaznej ciszy, oszczêdzaj¹c mnóstwo paliwa, gdy znaleŹli siê w silnym strumieniu powie-trza za pêdz¹cym peterbilem, który, jak wynika³o z napisu na tylnych drzwiach, wióz³ przysmaki lodowe wyg³odnia³ym mi³o-œenikom przek¹sek na zachód od Nowego Meksyku.

Kiedy zbli¿yli siê do miasta rozjarzonego neonami moteli i stacji obs³ugi, Jilly zjecha³a z drogi miêdzystanowej. Zatanko-wa³a na samoobs³ugowej stacji przy Union 76.

Przy tej samej ulicy by³ bar z hamburgerami, gdzie kupi³a kolacjê. Za lad¹ sta³a starsza pani, czerstwa i tryskaj¹ca rado-œci¹ jak idea³ babci z filmów Disneya z lat szeœædziesi¹tych, któ-ra upiera³a siê, by przypi¹æ do bluzki Jilly znaczek z uœmiechniê-t¹ ¿ab¹.

Restauracja sprawia³a wra¿enie tak czystej, ¿e mo¿na by tu przeprowadziæ operacjê wszczepienia poczwórnych bypassów, w razie gdyby któryœ z klientów dozna³ blokady têtnic, konsu-muj¹c kolejnego podwójnego cheeseburgera. Sama czystoœæ jed-nak nie wystarczy³a, by sk³oniæ Jilly do spo¿ycia posi³ku przy jednym z pokrytych laminatem stolików, w intensywnym œwie-tle, które mog³oby spowodowaæ mutacje genetyczne.

Siedz¹c w zaparkowanym cadillacu coupe deville i jedz¹c ka-napkê z kurczakiem i frytki, Jilly s³ucha³a wraz z Fredem swoje-go ulubionego radiowego talk-show, który porusza³ takie tematy jak kontakty z UFO, wizyty niebezpiecznych istot pozaziemskich dysz¹cych pragnieniem p³odzenia dzieci z Ziemiankami, pojawie-nie siê leœnego stwora znanego jako Wielka Stopa (a tak¿e jego niedawno widzianego potomka, Ma³ej Wielkiej Stopy) oraz przy-byszy z odleg³ej przysz³oœci, którzy zbudowali piramidy w bli¿ej nieznanym wrogich celach. Tego wieczoru prowadz¹cy program Parish Lantern,

obdarzony charakterystycznym zachrypniętym głosem, dyskutowa³ z gośćmi o poważnym zagrożeniu, jakie stanowią pijawki mózgowe, które rzekomo przybyły do naszego świata z rzeczywistości alternatywnej.

Na szczęście żaden z dzwoniących do programu słuchaczy ani słowem nie wspomina³ o radykalnych faszystowskich fundamentalistach muzycznych zdecydowanych zniszczyć cywilizację, by przejąć władzę nad światem. Podobno po zagnieżdżeniu się w paście potylicznym pijawka mózgowa przejmowała kontrolę nad człowiekiem, biorąc w niewolę jego umysł i ciało; stworzenia te były zapewne ocelizowane i obrzydliwe, lecz Jilly słuchała programu Parisha z ulgą. Gdyby nawet pijawki mózgowe naprawdę istniały, w co ani przez chwilę nie wierzyła, potrafiła je zrozumieć: rozumiała ich pasywność naturę i genetyczny imperatyw, który kazał im opanowywać inne gatunki. Natomiast z³o ludzkie rzadko, jeżeli w ogóle, miało podstawy racjonalne.

Fred nie miał mózgu, który mógłby służyć pijawce za terytorium ekspansji, więc mógł słuchać programu, nie obawiając się o własne bezpieczeństwo.

Jilly spodziewała się, że kolacja ją pokrzepi, ale gdy skończyła jeść, czuła się tak samo zmęczona jak po zjeździe z drogi międzystanowej. Miała nadzieję, że zaatwoźnie następne cztery godziny jazdy przez pustynię do Phoenix, słuchając przez czołowe drogi kolejnych fantazji Parisha Lanterna. Jednak w takim stanie mogła stanowić zagrożenie na autostradzie.

Przez szybę ujrzała motel po przeciwnej stronie drogi.

- Jeżeli nie pozwalaj tam brać ze sobą zwierząt domowych - powiedziała do Freda - jakoś cię przemycę.

### 3 Dla osoby dotkniętej nieznacznym uszkodzeniem mózgu, w wyniku którego cierpi

na krótkotrwałe i niekontrolowane napady obsesji, najlepszym rozrywką jest szybkie układanie amigdalów.

Fatalny stan umysłu Sheparda zwykle dawał mu zdumiewający atut, ilekroć skupiał całą uwagę na układance obrazkowej. W tej chwili rekonstruował skomplikowany obrazek bogatej w ornamenty oświetlonej otoczonej drzewami wienionymi.

Mimo że zaraz po przyjeździe do motelu zaczął układać zestaw składający się z dwóch i pół tysiąca elementów, zdziwił się, że ułożył mniej więcej jedną trzecią. Po wyznaczeniu czterech brzołów obrazka Shep metodycznie kierował się ku ośrodkowi.

Chłopiec - Dylan wciąż uważał swojego brata za chłopca, chociaż Shep miał już dwadzieścia lat siedząc przy biurku oświetlonym cylindrycznym mosiężnym lampą. Lewą rękę trzymał na wpół uniesioną i bez przerwy machał nią, jak gdyby pozdrawiał swoje odbicie w lustrze wiszącym nad biurkiem; w istocie jednak patrzył tylko na układany obrazek i pozostałe kawałki w otwartym pudełku.

Najprawdopodobniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że machał ręką, i na pewno nie mógł nad tym panować.

Tiki, napadowe kościszenie i inne dziwaczne, monotonne ruchy stanowiły objawy choroby Shepa.

Czasami potrafił trwać bez ruchu jak statua z brązu albo marmuru, zapominając nawet mrugać oczami, ale najczęściej całymi godzinami przebierał palcami albo kręcił nimi w młynka, albo podrygiwał nogami czy przytupywał.

Natomiast Dylan był przywiązany do krzesła i nie mógł niczym machać ani kościszać, ani kręcić młynka. Kostki nóg krępowane mu grube zwoje taśmy izolacyjnej, którą okręcono wokół nóg krzesła; nadgarstki i przedramiona przywiązano mu taśmami do oparcia. Prawą rękę miał zwrócić wewnętrzną stroną do dołu, a lewą odwrotnie - ku górze.

W usta wepchnięto mu jakby szmatę, kiedy był nieprzytomny. Wargi też miał zaklejone taśmami.

Dylan był przytomny od dwóch czy trzech minut, ale nie udało mu się położyć żadnego z elementów strasznej układanki, przed którą go postawiono. Nie miał pojęcia, kto go napadł ani dlaczego.

Dwukrotnie próbował odwrócić się na krześle, by spojrzeć w stronę żółtek i żażienki, które miał za





nie zag<sup>3</sup>usza<sup>3</sup>y wszelkie odg<sup>3</sup>osy, jakie móg<sup>3</sup> wydawaæ intruz. Byæ mo<sup>3</sup>e jad<sup>3</sup> ich kolacjê kupion<sup>1</sup> w barze - albo przygotowywa<sup>3</sup> do odpalenia pi<sup>3</sup>ê<sup>3</sup> a<sup>3</sup>ñcuchow<sup>1</sup>.

Dylan siedzia<sup>3</sup> pod pewnym k<sup>1</sup>tem w stosunku do lustra wi-sz<sup>1</sup>cego nad biurkiem, widzia<sup>3</sup> wiêc tylko odbicie niewielkiego fragmentu pokoju za sob<sup>1</sup>. Obserwuj<sup>1</sup>c brata oddanego bez reszty uk<sup>3</sup>adance, dostrzeg<sup>3</sup> z brzegu lustra jakicæ ruch, lecz zanim zd<sup>1</sup>ÿ<sup>3</sup> skupiaæ na nim wzrok, widmo zniknê<sup>3</sup>o z pola widzenia.

Kiedy napastnik w koñcu ukaza<sup>3</sup> siê Dylanowi, wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> nie gro<sup>3</sup>Źniej ni<sup>3</sup>, piêædziesiêciokilkuletni dyrektor chóru, któremu najwiêksz<sup>1</sup> radoœæ sprawia s<sup>3</sup>uchanie œwietnie zestrojonych g<sup>3</sup>o-sów wycepiwuj<sup>1</sup>cych radosne hymny. Opadaj<sup>1</sup>ce ramiona. Wy-datny brzuch. Przerzedzone siwe w<sup>3</sup>osy. Ma<sup>3</sup>e, delikatnie wy-rze<sup>3</sup>Źbione uszy. Dobroduszna, ró<sup>3</sup>owa twarz o nieco obwis<sup>3</sup>ych policzkach przypomina<sup>3</sup>a bochen chleba. Jasnoniebieskie oczy by<sup>3</sup>y za<sup>3</sup>awione, jak gdyby ze wspó<sup>3</sup>czucia, i zdawa<sup>3</sup>a siê w nich odbijaæ dusza zbyt poczciwa, by mog<sup>3</sup>a zrodzia<sup>3</sup> jak<sup>1</sup>kolwiek wrog<sup>1</sup> myœl.

Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> jak antyteza <sup>3</sup>otrostwa, ale mimo <sup>3</sup>e <sup>3</sup>agodnie siê ucemiecha<sup>3</sup>, trzyma<sup>3</sup> w rêkach doœæ d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> gumow<sup>1</sup> rurkê. Przypo-minaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> wê<sup>3</sup>a. D<sup>3</sup>ugoœci dwóch, mo<sup>3</sup>e trzech stóp. <sup>1</sup>adnego nieo<sup>3</sup>ywionego przedmiotu - <sup>3</sup>y<sup>3</sup>ki czy naostrzonego jak brzy-twa sprê<sup>3</sup>ynowca - nie mo<sup>3</sup>na nazwaæ z<sup>3</sup>ym; lecz o ile no<sup>3</sup>em sprê<sup>3</sup>ynowym mo<sup>3</sup>na po prostu obraæ jab<sup>3</sup>ko, o tyle trudno by-<sup>3</sup>o w tej chwili grozy wyobrazia<sup>3</sup> sobie równie niewinne przerna-czenie gumowej rurki o przekroju pó<sup>3</sup>cala.

Bujna wyobra<sup>3</sup>nia artysty podsuwa<sup>3</sup>a Dylanowi absurdalne, ale bardzo plastyczne obrazy przymusowego karmienia przez nos oraz badania okrê<sup>3</sup>ownicy przez zupe<sup>3</sup>nie inny otwór cia<sup>3</sup>a.

Lêk nie opuœci<sup>3</sup> Dylana, który zorientowa<sup>3</sup> siê, <sup>3</sup>e rurka jest opask<sup>1</sup> uciskow<sup>1</sup>. Zrozumia<sup>3</sup> za to, dlaczego ma lew<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ zwrócon<sup>1</sup> wewnêtrzn<sup>1</sup> stron<sup>1</sup> ku górze.

Gdy zaprotestowa<sup>3</sup> przez przesi<sup>1</sup>kniêty œelin<sup>1</sup> knebel i taœmê izolacyjn<sup>1</sup>, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wydobyæ z siebie g<sup>3</sup>os, jaki móg<sup>3</sup>by wydaæ cz<sup>3</sup>owiek pogrzebany <sup>3</sup>ywcem, wzywaj<sup>1</sup>cy pomocy przez wieko trumny i szeœæ stóp ubitej ziemi.

- Spokojnie, synu, spokojnie. - Intruz nie mówi<sup>3</sup> twardym g<sup>3</sup>osem opryszka, ale cichym i wspó<sup>3</sup>czuj<sup>1</sup>cym, jak wiejski le-karz, który ze wszystkich si<sup>3</sup> pragnie ul<sup>3</sup>yæ pacjentowi w cierpie-niu. - Nic ci nie bêd<sup>1</sup>zie. Ubrany te<sup>3</sup> by<sup>3</sup> jak wiejski lekarz, prawdziwy relikw<sup>3</sup> ubieg<sup>3</sup>e-go wieku wziêty prosto z ilustracji Normana Rockwella na

pierwszej stronie „Saturday Evening Post”. Wypolerowane do po<sup>3</sup>ysku skórzane buty lœni<sup>3</sup>y jak lustro, be<sup>3</sup>owe spodnie w kant podtrzymywa<sup>3</sup>y szelki. By<sup>3</sup> bez p<sup>3</sup>aszcza, mia<sup>3</sup> podwiniête rêka-wy koszuli, rozpiêty ko<sup>3</sup>nierzyc oraz poluzowany krawat i bra-kowa<sup>3</sup>o mu tylko stetoskopu, by wygl<sup>1</sup>daæ zupe<sup>3</sup>nie jak lekarz z wioski, odrobinê wymiêty po wielu domowych wizytach, o którym wszyscy mieszkañcy mówi<sup>1</sup> <sup>3</sup>yczliwie „pan doktor”.

Dylan mia<sup>3</sup> na sobie koszulê z krótkim rêkawem, mê<sup>3</sup>czy-zna wiêc bez problemu za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> mu opaskê uciskow<sup>1</sup>. Szybko zawi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> gumow<sup>1</sup> rurkê na bicepsie i na przedramieniu Dylana ukaza<sup>3</sup>a siê mocno nabrzmia<sup>3</sup>a <sup>3</sup>y<sup>3</sup>a.

Lekko opukuj<sup>1</sup>c uwydatnione naczynie, „Pan Doktor” mrukn<sup>13</sup>:

- Œlicznie, œlicznie.

Maj<sup>1</sup>c w ustach knebel i bêd<sup>1</sup>c zmuszonym do oddychania przez nos, Dylan wyra<sup>3</sup>Źnie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> dowód swego narastaj<sup>1</sup>cego strachu - coraz szybszy rytm rzê<sup>3</sup>l<sup>1</sup>cych wdechów i wydechów. Lekarz przemy<sup>3</sup> skóre wacikiem nas<sup>1</sup>czonym alkoholem.

Wszystkie elementy sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>ce siê na tê chwilê - Shep ma-chaj<sup>1</sup>cy do nikogo i b<sup>3</sup>yskawicznie rozprawiaj<sup>1</sup>cy siê z uk<sup>3</sup>adan-k<sup>1</sup>, ucemiechniêty intruz przygotowuj<sup>1</sup>cy pacjenta do zastrzyku, paskudny smak knebla, ostra woñ alkoholu i bolesny ucisk ta-œmy izolacyjnej - ca<sup>3</sup>kowicie absorbowa<sup>3</sup>y piêæ zmys<sup>3</sup>ów, nie sposób wiêc by<sup>3</sup>o braæ pod uwagê mo<sup>3</sup>liwoœci, <sup>3</sup>e to tylko sen. Mimo to kilka razy Dylan zamyka<sup>3</sup> oczy i szczypa<sup>3</sup> siê w du-chu... po czym spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na pokój i dysz<sup>1</sup>c z jeszcze wiêkszym przera<sup>3</sup>eniem, stwierdza<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e ten koszmar dzieje siê naprawdê.

Strzykawka do iniekcji podskórných na pewno nie mog<sup>3</sup>a byæ tak ogromna jak ta. Instrument, jaki trzyma<sup>3</sup> Doktor, nada-wa<sup>3</sup> siê bardziej dla s<sup>3</sup>oni czy nosoro<sup>3</sup>ców ni<sup>3</sup> dla ludzi. Dylan przypuszcza<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e rozmiary strzykawki wyolbrzymi<sup>3</sup> jeszcze strach.

Trzymaj<sup>1</sup>c kciuk prawej d<sup>3</sup>oni na t<sup>3</sup>oku, zaciskaj<sup>1</sup>c zgiête palce na ko<sup>3</sup>nierzcu, Doktor wyciska<sup>3</sup> ze

strzykawki powietrze, dopóki z igły nie trysną a żukiem odrobina zżółtego płynu i mieni się w blasku lampy, opada na dywan.

Wydaj się zduszony krzyk protestu, Dylan szarpniesz więzy, aż krzesło zakłóci się na boki.

- Tak czy inaczej - rzekł przyjaźnie lekarz - jestem zdecydowany ci to zaaplikować.

Dylan niezłomnie potrząsnął głową.

- Synu, od tej sprzycy nie umrzesz, ale jak się będziesz szamotał, co ci się może stać.

Sprzycy. Buntowa się przeciw perspektywie wstrzyknięcia leku, narkotyku-albo toksycznej substancji chemicznej, trucizny czy osocza krwi zakłóconego paskudną chorobą - a teraz jeszcze energiczniej protestował przeciw temu, by do jego żył trafiła jakaś nieokreślona sprzycyca. Tak nonszalancko słowo sugerowało niestanność, sądactwo naznaczone niedbalstwem, jak gdyby ten okaz banalności zła o obwisłych policzkach, okrzepłych ramionach i wystającym brzuchu, mimo że zadał sobie tyle trudu, nie miał nawet ochoty zapamiętać nazwy substancji, którą zamierzał podać ofierze. Sprzycyca! Słowo mogło też oznaczać, że żółta ciecz w strzykawce to coś bardziej egzotycznego niż zwykły lek, trucizna czy zainfekowane osocze, coś tajemniczego i jedyne w swoim rodzaju, co trudno nazwać. Jeżeli wiesz tylko tyle, że uśmiechnięty, stuknięty lekarz o różowej twarzy uraczył cię sporą sprzycą, to żaden z troskliwych i zupełnie normalnych lekarzy w szpitalnej izbie przyjęć nie będzie miał pojęcia, jakie podać antidotum ani jaki przepisać antybiotyk, ponieważ ich apteka nie będzie dysponowała żadnym specyfikiem na cięki przypadek „sprzycy”.

Obserwuj Dylana szarpniętego się bezskutecznie w pętach, stuknięty dealer sprzycy pokręcił z dezaprobatą głową.

- Jak się będziesz szamotał, może uszkodzić cię... albo przypadkowo wstrzykniesz ci bańkę powietrza i zrobi się zator. A zator cię zabije albo w najlepszym razie zrobi z ciebie roselinę. - Wskazał siedzącego przy biurku Shepa. - Gorszy od niego.

Bywały tak złe dni, że pod ich koniec Dylan czuł takie znużenie i rozczarowanie, iż niekiedy zazdrościł bratu niewiedzy na temat trosk tego cwiata; Shep nie miał jednak żadnych obowiązków, a Dylan mnóstwo - sam Shep był jednym z ważniejszych - więc stan nieświadomości, z wyboru czy w wyniku zatoru, absolutnie nie wchodził w grę.

Dylan przestał się opierać, skupiając spojrzenie na byszczcej igle. Na twarz wystąpił mu kwaśny pot. Ciężko wypuszcza ją i gwałtownie wciąga powietrze, parska jak zdyszany koń. Znow zaczął pulsować ból w czaszce, zwłaszcza w miejscu uderzenia, a także przez całą szerokość czoła. Opór był męczący, bezcelowy i po prostu głupi. Skoro nie mógł uniknąć zastrzyku, lepiej będzie zaufać złemu szamanowi, który twierdzi, że substancja w strzykawce nie jest omercionocą, znając to, co musiałoby nastąpić, zachować czujność, by w odpowiedniej chwili wykorzystać nadarzący się okazję (o ile rzeczywiście zachowa przytomność), i dopiero później szukać pomocy.

- Tak lepiej, synu. Najrozdniej mieć to jak najszybciej za sobą. Zaboli mniej niż przy szczepieniu przeciw grypie. Możesz mi zaufać.

Możesz mi zaufać.

Zabrnęli tak daleko w surrealizm, że Dylan niemal spodziewał się zobaczyć, jak meble w pokoju miękły, przybierając kształty niczym z obrazów Salvadora Dalego.

Nieznamy, z tym samym sennym uśmiechem, fachowym ruchem wbił igłę w żyłę, rozluźniając równocześnie węż na gumowej rurce i dotrzymując obietnicy, że zastrzyk będzie bezbolesny.

Naciskający łokc czubek kciuka poczerwieniał. Formując najbardziej nieprawdopodobne zdanie, jakie Dylan słyszał, Doktor powiedział:

- Wstrzyknij cię do mojego życia.

Ciemna końcówka łoka w przezroczystym cylindrze strzykawki drgnęła i wolno zaczęła się przesuwać, wtaczając żółty płyn do igły.

- Pewnie się zastanawiasz, co ta sprzycyca z tobą robi. Przestań nazywać to SZPRYCYCĄ! - zakłócił się Dylan, gdyby jego usta nie zapychała kawa szmaty niewiadomego pochodzenia. - Właściwie nie sposób dokładnie określić skutków. Chociaż igła była może byłą normalnej wielkości, to spoglądając na rozmiary strzykawki, Dylan zorientował się, że wyobrażenia wcale nie splatała mu figla. Strzykawka była ogromna. Przeróżajco olbrzymia. Czarne cyferki skali na plastikowej rurce wskazywały

pojemności osiemnastu centymetrów sześciennych, co było dawki przepisywanej zapewne przez weterynarza pacjentom z zoo, którzy wagi co najmniej sześćset funtów. - Ma działanie psychotropowe.

Słowo zabrzmiało groźnie i egzotycznie, lecz Dylan podejrzewa, że jeżeli zdoła zebrać myśli, zrozumie, co to znaczy. Bo lały go jednak rozciągnięte szczęki, spod mokrej szmaty w ustach wyciekł kwaśny strumień śliny, groźno mu zakrzusze niem, piekły go zaklejone taśmą wargi, a gdy obserwował tajemniczą ciecz ściekać do jego ręki, ogarnęło go jeszcze większy strach.

Denerwował go uporczywe machanie Shepa, mimo że dostrzega brata tylko kątem oka. W takich warunkach trudno było zebrać myśli. Słowo „psychotropowy” tłumaczyło mu się w głowie jak gładka i lśniąca stalowa kula, odbijająca się od zderzaków i metalowych szyn w białym cieniu białar-dzie elektrycznym.

- Na każdego działa inaczej. - W głowie Doktora dały się słyszeć nutki niesfornej ciekawości naukowca, nieprzyjemne jak okruchy szkła w szklance miodu. Chociaż nieznajomy wyglądem przypominał trochę troskliwego lekarza wiejskiego, wobec pacjenta zachowywał się jak Victor von Frankenstein. - Efekt jest zawsze interesujący, często zaskakujący, czasem nawet pozytywny. Interesujący, zaskakujący, czasem nawet pozytywny: chyba nie było to dzieło życia porównywalne z dokonaniem Jonasa Salka. Doktorowi bliżej było raczej do tradycji obłąkanych, megalomańskich nazistowskich naukowców.

Ostatni centymetr sześcienny piny zniknął ze zbiornika strzykawki i przez igłę trafił do ciała Dylana. Spodziewał się, że poczuje pieczenie w żyłach, okropne chemiczne ciepło rozprzestrzeniające się błyskawicznie po układzie krążenia, ale nic takiego się nie stało. Nie wstrząsnął też nim lodowaty dreszcz. Spodziewał się, że dozna sugestywnych halucynacji, że oszaleje, czując, jak na miękkiej powierzchni mózgu roją się pajki, że usłyszy w głowie głosy duchów, doświadczy napadu drgawek albo gwałtownych skurczów mięśni, albo nie wytrzyma mu zwieracz, opanuje go mdłości czy zawroty głowy, zaczną mu rosnąć włosy na dłońach, pokój zawiruje mu przed oczami - ale zastrzyk nie dał żadnych widocznych efektów, poza tym skokiem temperatury jego rozgorączkowanej wyobraźni.

Doktor wyjął igłę.

W miejscu ukłucia wykwitła jedna mała kropelka krwi. - Jeden z dwóch powinien wystarczyć, żeby spłukać drogę - mruknął Doktor, nie do Dylana, ale do siebie, wygłaszając uwagę, która zdawała się nie mieć sensu. Potem cofnął się, znikając Dylanowi z oczu.

Karmazynowa kropelka drążyła w zgięciu łokcia Dylana, jak gdyby pulsując współczująco wraz z rytmem zmoczonego serca, które kiedyś trafiło do najdalszego naczynia włosowatego i od którego została na zawsze oddzielona. Dylan nie mógł wstrzymać jej z powrotem, wciągnął przez nakłucie w skórze, ponieważ obawiał się, że w najbliższej przyszłości ciężkiej walce o życie będzie potrzebował każdej kropli zdrowej krwi, jeżeli w ogóle ma szansę pokonać zagrożenie, które zostało mu wstrzyknięte.

- Ale spłukać drogę to nie perfumy - rzekł Doktor, pojawiając się znowu i trzymając plaster, z którego zdiera opakowanie. - Nie zlikwiduje smrodu zdrady, prawda? Zresztą czy może go zlikwidować?

Choć znów zwracał się do Dylana, wydawało się, że mówi zagadkami. Poważne słowo wymagało powagi, a w jego głowie wciąż pobrzmiwała lekka ton i na twarzy igrało żartobliwe, luna-tyczny uśmiech, to pojawiał się, to błędnie, jak blask skaczącego pomyka owiecy w kapryśnym wietrzyku.

- Wyrzuty sumienia gryzą mnie od tak dawna, że wyłazły mi serce. Czuję się pusty.

Funkcjonując nadzwyczaj dobrze jak na osobnika bez serca, pusty człowiek oderwał paski ochronne plastra i nakleił opatrunek na miejsce ukłucia.

- Chcesz czuć skruchę za to, co zrobiłem. Bez skruchy nie ma mowy o prawdziwym spokoju.

Rozumiesz?

Choć Dylan nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił szaleńiec, skinął głową, obawiając się, że brak zgody może wywołać napad szału, w którym zamiast igły może zostać zaatakowany toporem.

Doktor wciąż mówił cicho, ale wszystkie żartobliwe nutki zniknęły, ustępując miejsca cierpieniu, mimo

że osobiwy ucemiech pozosta<sup>3</sup>.

- Chcê czuæ skruchê, odrzuciæ tê straszn¹ rzecz, któr¹ zrobi-<sup>3</sup>em, i chcê móc szczerze powiedzieæ, że nie zrobi<sup>3</sup>bym tego dru-gi raz, gdybym mia<sup>3</sup> przeżyæ od nowa ca<sup>3</sup>e życie. Ale wyrzuty sumienia to wszystko, na co mnie staæ. Gdybym dosta<sup>3</sup> drug¹ szansê, zrobi<sup>3</sup>bym to jeszcze raz i przeży<sup>3</sup> nastêpne piêtnoæcie lat przygnieciony brzemieniem winy.

Kropelka krwi przesi<sup>1</sup>k³a przez gazê, robi<sup>1</sup>c ciemn¹ plamê widoczn¹ przez perforowan¹ warstwê plastra. By<sup>3</sup> to opatrunek dla dzieci ozdobiony rysunkiem psa, który bryka<sup>3</sup> i szczerzy<sup>3</sup> zê-by w ucemiechu, ale widok obrazka nie pocieszy<sup>3</sup> Dylana ani nie odwróci<sup>3</sup> jego uwagi od kuku.

- Duma nie pozwala mi na skruchê. W tym ca<sup>3</sup>y k³opot. Och, dobrze znam swoje wady, ale to nie znaczy, że mogê siê ich pozbyæ. Na to już za póŹno. Za póŹno.

Wrzuci<sup>3</sup> opakowanie po plastrze do ma<sup>3</sup>ego kosza stoj¹cego obok biurka, po czym siêgn<sup>13</sup> do kieszeni i wydoby<sup>3</sup> nóŹ. Choæ w innej sytuacji Dylan nie ucy<sup>3</sup>by s³owa „broñ” w sto-sunku do zwyk³ego scyzoryka, w tym momencie żadne mniej groŹne s³owo nie by<sup>3</sup>oby na miejscu. Ćeby poderz<sup>1</sup>n¹æ gard³o i przeci¹æ têtnicê szyjn¹, nie trzeba mieæ wcale sztyletu ani ma-czety. Wystarczy scyzoryk.

Doktór zmieni<sup>3</sup> temat, porzucaj¹c wynurzenia o dawnych grzechach i skupiaj¹c siê na pilniejszych sprawach.

- Chc¹ mnie zabiæ i zniszczyæ moje dzie³o.

Paznokciem kciuka wyci¹gn<sup>13</sup> krótkie ostrze scyzoryka.

W koñcu ucemiech uton<sup>13</sup> w jego przepastnej ziemistej twa-rzy, a na powierzchniê wychyn<sup>13</sup> wyraz troski.

- Już teraz otaczaj¹ mnie coraz ciacniejszym pierœcieniem. Dylan mia<sup>3</sup> nadzieję, że ciasnemu pierœcieniowi bêdzie towa-rzyszyæ porz¹dna dawka torazyny, kaftan bezpieczeñstwa i do-œwiadczeni ludzie w bia<sup>3</sup>ych fartuchach.

Œwiat³o lampy odbija³o siê od stalowego ostrza scyzoryka. - Dla mnie już nie ma ratunku, ale za nic nie pozwolê, żeby zniszczyli dzie³o mojego życia. KradzieŹ to inna sprawa. Z tym móg<sup>3</sup>bym siê pogodziæ. Przeciê sam to zrobi<sup>3</sup>em. Ale oni chc¹ wymazaæ wszystko, co osi¹gn<sup>13</sup>em. Jak gdybym nigdy nie istnia<sup>3</sup>. Krzywi¹c siê, Doktor zacisn<sup>13</sup> palce na rêkojeœci scyzoryka i wbi<sup>3</sup> ostrze w oparcie krzes³a, kilka milimetrów od lewej rêki swojego jeñca.

Ten ruch nie wywar<sup>3</sup> korzystnego wp³ywu na Dylana, który podskoczy<sup>3</sup> ze strachu tak gwa³townie, że poderwa<sup>3</sup>y siê trzy no-gi krzes³a, a przez u³amek sekundy byæ moŹe nawet lewitowa<sup>3</sup>.

- Zjawi¹ siê tu za pó³ godziny, moŹe wczêœniej - ostrzeg<sup>3</sup> Doktor. - Bêdê próbowa<sup>3</sup> ucieczki, ale nie ma sensu siê oszuki-waæ. Dranie pewnie mnie dopadn¹. I kiedy znajd¹ choæ jedn¹ pust¹ strzykawkê, zablokuj¹ ca<sup>3</sup>e miasto i zbadaj¹ wszystkich, jednego po drugim, dopóki siê nie dowiedz¹, kto dosta<sup>3</sup> szprycê. Czyli dopóki nie znajd¹ ciebie. Bo szprycê masz ty.

Pochyli<sup>3</sup> siê, zbliŹaj¹c twarz do twarzy Dylana. Jego oddech pachnia<sup>3</sup> piwem i fistaszkami.

- Lepiej weŹ sobie do serca to, co mówiê, synu. Jeœli zosta-niesz w strefie kwarantanny, znajd¹ ciê na pewno, a kiedy już ciê znajd¹- zabij¹. Taki sprytny goœæ jak ty powinien wykom-binowaæ, jak ucyæ tego scyzoryka i uwolniaæ siê w dziesiêæ mi-nut, dzięki czemu bêdziesz mia<sup>3</sup> szansê siê uratowaæ, a ja zdo³am uciec, zanim mnie dogonisz.

Doktór mia<sup>3</sup> miêdzy zêbami czerwone skórki i resztki bia³e-go mi¹szu orzeszków, ale o wiele trudniej niŹ œlady po ostatniej przek¹sce moŹna by³o znaleŹæ oznaki jego szaleñstwa. Jego oczy barwy spranego dŹinsu wyraŹa³y wy³iczn¹ bezbrzeŹny smutek.

Wyprostowa<sup>3</sup> siê, spojrze<sup>3</sup> na scyzoryk wbity w oparcie krze-s³a i westchn<sup>13</sup>.

- To naprawdê nie s¹ Ÿli ludzie. Na ich miejscu teŹ bym ciê zabi<sup>3</sup>. W ca³ej tej sprawie jest tylko jeden z³y cz³owiek, i to ja nim jestem. Nie mam z³udzeñ co do siebie.

Odsun<sup>13</sup> siê od krzes³a, znikaj¹c z pola widzenia Dylana. S¹-dz¹c po odg³osach, Doktor pakowa<sup>3</sup> swój sprzêt szalonego na-ukowca, wk³ada<sup>3</sup> marynarkê i szykowa<sup>3</sup> siê, by daæ nogê.

A wiêc jedziesz do Santa Fe w Nowym Meksyku na festi-wal sztuki, gdzie w minionych latach sprzeda³oœe tyle obrazów, by pokryæ koszty podróŹy i wp³aciaæ pewn¹ sumkê do banku, i zatrzyma³oœe siê na nocleg w czystym motelu o dobrej opinii, a potem kupi³oœe kolacjê na wynos z zawartoœci¹ kalorii, po któ-rej moŹna zasn¹æ równie mocno jak po zbyt duŹej dawce nem-butalu, poniewaŹ

chciałoby tylko spędzić spokojny wieczór, oglądając z narażeniem wrażliwych komórek nerwowych idiotyczne programy telewizyjne w towarzystwie pracującego nad układowaniem brata, a w nocy jak najmniej cierpieć z powodu wzdęcia wywołanego cheeseburgerem, ale współczesny świat rozpadł się do tego stopnia, że siedzisz teraz przywiązany do krzesła, zakneblowany, z wstrzykniętą Bóg wie jak paskudną chorobą i cecigany przez nieznaną zabójców... A przyjaciele zastanawiają się, dlaczego robi się z ciebie taki zrzęda.

Zza pleców Dylana odezwa się głos Doktora, który widocznie był nie tylko szaleńcem, ale także telepatą:

- Nie jesteś niczym zarażony. Nie w takim sensie, jak to rozumiesz. To nie są bakterie ani żaden wirus. To, co ci dałem... nie przenosi się na innych. Synu, zapewniam cię, gdybym nie był takim tchórzem, sam bym to sobie wstrzyknął.

Zapewnienie z ust eksperta nie poprawiło Dylanowi nastroju. - Wstyd przyznać, że tchórzostwo to jeszcze jedna z moich wad. Naturalnie, jestem geniuszem, ale nie mógł być wzorem do naśladowania. Jego usprawiedliwienie metodą autokrytyki straciło już jakąkolwiek siłę, której celad wcześniej mogło nosić.

- Jak wyjaśnię, szprycę na każdego dnia inaczej. Jeżeli nie wymażesz ci osobowości ani nie pozbawi cię zdolności linearnego myślenia, ani nie zredukuje ilorazu inteligencji o sześćdziesiąt punktów, to istnieje możliwość, że znacznie poprawi ci życie.

Po namyśle Dylan doszedł do wniosku, że gość nie traktuje pacjenta jak doktor Frankenstein. Traktuje pacjenta jak doktor Szatan.

- Jeżeli poprawi ci życie, spróbuj w ten sposób czuć grzechów, jakie popełniłem. Jasne, w piekle czeka na mnie madejowe żółce, ale sukces w tej sprawie mógłby przynajmniej zrekompensować moje najgorsze zbrodnie.

Zagrzechotała na drzwiach i metalicznie szcękającą zasuwa, gdy Doktor otworzył zamek.

- Dzień mojego życia zależy od ciebie. Teraz jest twój. Po-staraj się więc przetrwać.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Wyjściu szaleńca towarzyszyło mniej przemocy niż jego przybyciu.

Siedzący przy biurku Shep nie machał już ręką, oburczony nad układowaniem. Jak ołówek czytający księgę napisaną alfabetem Braille'a zdawał się rozpoznawać elementy czuymi opuszkami, spoglądając na każdy nie dłuższy niż dwie sekundy, od czasu do czasu nawet nie trzaskając, by popatrzeć, z niasa-mowit szybkości albo dokładał do błyskawicznie powiększającego się obrazka kolejny fragment, albo odrzucał na bok, że by poczekał na swój kolej.

Łudząc się nadzieją, że dzięki jakiejś cudownej więzi psychicznej z bratem Shepherdem rozpoznał niebezpieczeństwo, Dylan próbował krzyknąć jego imię. Przemokły knebel zadziałał jak filtr, w dużym stopniu pochłaniając jego głos, który wydobył się jako zduszony bełkot w niczym nieprzyjaciela imienia brata. Mimo to krzyknął jeszcze raz, po trzecim, czwartym, piątym, licząc na to, że powtarzanie przyciągnie uwagę chłopa.

Kiedy Shep był w nastroju do komunikowania się z otoczeniem - co zdarzało się rzadziej niż wschód słońca, ale nie tak rzadko jak odwiedziny komety Halleya - potrafił tyle mówić, że zalewał brata potokiem słów i samo słuchanie go było męczące. Znacznie prawdopodobniejsza była sytuacja, że Shep całymi dniami zdawał się nie zauważać obecności Dylana. Tak jak dziecko. Tak jak tu i teraz.

Pracował z pasją nad układowaniem, prawie nieświadomy tego, co się dzieje w pokoju motelowym, mieszkał w cieniu świetliny słońca na wprost widocznej na blacie biurka, oddechów cewki, woni kwitnących drzewek wiciowych pod chmurnym niebem Japonii, a siedział tylko dziesięć stóp od krzesła Dylana, mimo to odległy o pół świata, za daleko, by słyszeć brata, widzieć jego poczerwienia z bezsilności twarzy, napięte mięśnie karku, pulsujące skronie i błądliwe spojrzenie.

Byli razem, lecz jednak osobno.

Scyzoryk czekał z ostrzem wbitym w drewno oparcia, stawało się równie trudne wyzwanie jak magiczny Excalibur zaklinowany w kamiennej pochwie. Niestety, nie można było spodziewać, że król Artur zmartwychwstanie i przybędzie do Arizony, by pomóc Dylanowi wyciągnąć broń.

W ciele Dylana krążyła nieznana szprycę, jego iloraz inteligencji w każdej chwili mógł stracić

szeceædziesi¹t punktów, zbli-¿ali siê mordercy bez twarzy.

Zegar, który zabiera³ ze sob¹ w podró¿, by³ elektroniczny, a wiêc cichy, mimo to Dylan s³ysza³ tykanie. Zdradziecki milcz¹-cy zegar: jak gdyby odlicza³ cenne sekundy dwa razy szybciej.

Przyspieszaj¹c w miarê zbli¿ania siê do fina³u, Shep koñczy³ uk³adankê obur¹cz, ca³y czas trzymaj¹c po dwa kawa³ki. Lewa i prawa rêka przemyka³y jedna nad drug¹, trzepota³y nad ele-mentami w pude³ku, mknê³y jak wróble do b³êkitnego nieba, drzew wiœniowych albo niedokoñczonych rogów dachu œwi¹ty-ni, a potem z powrotem do pude³ka jak gdyby w szale budowa-nia gniazda.

- Ciach dylu-dylu - powiedzia³ Shep. Dylan jêkn¹³.

- Ciach dylu-dylu.

Jak podpowiada³o mu doœwiadczenie, Shep bêdzie zapewne powtarza³ tê bzdurê setki czy nawet tysi¹ce razy co najmniej przez pó³ godziny i d³u¿ej, dopóki nie zaœnienie - bli¿ej œwitu ni¿ pó³nocy.

- Ciach dylu-dylu.

W mniej niebezpiecznych sytuacjach - czyli w ci¹gu ich do-tychczasowego ¿ycia, przed spotkaniem z szaleñcem uzbrojo-nym w strzykawkê - Dylan czasami znosi³ te napady, bawi¹c siê w wierszyki i wynajduj¹c rymy do wszystkich mniej lub bardziej nonsensownych sylab, jakie obsesyjnie powtarza³ brat.

- Ciach dylu-dylu.

Siedzi motyl na badylu - pomyœla³ Dylan. - Ciach dylu-dylu.

Pije drinka z chlorofilu... - Ciach dylu-dylu. Nagle trach i po motylu.

Przywi¹zany do krzes³a, wype³niony szpryc¹, œcigany przez zabójców: to nie by³a pora na rymowanki, tylko na logiczne my-œlenie. Pora na sprytny plan i skuteczne dzia³anie. Nadesz³a chwila, by jakimœ cudem dosiêgn¹æ scyzoryka i dokonaæ nim zdumiewaj¹cych, fenomenalnie pomys³owych rzeczy, takich, ¿e szczêka opada.

- Ciach dylu-dylu.

Zróbmy bal w motylim stylu.

#### 4 W swój niepowtarzalny zielony i milcz¹cy spo-sób Fred podziêkowa³ Jillian za rocelinne

po¿ywienie, jakie mu poda³a, i starannie odmierzon¹ miarkê napoju, którym sch³o-dzi³a mu liœcie, gasz¹c jego pragnienie.

Roz³o¿y³ ga³êzie w przyt³umionym œwietle lampki na biurku, wygodnie usadowiony w swojej piêknej donicy. Jego obecnoœæ wprowadza³a element elegancji do pokoju motelowego urz¹-dzonego w jaskrawych, kontrastowych kolorach, które mo¿na zinterpretowaæ jako g³oœny protest wœciek³ego projektanta wñêtr przeciw harmonii barw natury. Rano Jilly zamierza³a wstawiæ Freda do³azienki, gdy bêdzie bra³a prysznic; ubóstwia³ parê.

- Zamierzam bardziej ciê wykorzystaa w programie-poin-formowa³a go. - Wykombinowa³am parê nowych kawa³ków, które mo¿emy zagraæ razem.

Podczas wystêpu zwykle wnosi³a Freda na scenê na ostat-nie osiem minut, stawia³a na wysokim sto³ku i przedstawia³a publicznoœci jako swoj¹ ostatni¹ sympatiê, jedyne go ch³opaka, który ani nie przynosi³ jej wstydu wœród ludzi, ani nie próbo-wa³ dawaæ jej do zrozumienia, ¿e jakieœ szczegó³ jej anatomii po-zostawia wiele do ¿yczenia. Siedz¹c na sto³ku obok niego, mó-wi³a o wspó³czesnej mi³oœci, a Fred odgrywa³ idea³ uczciwego mê¿czyzny. Nada³ terminowi „pokerowa twarz” nowe znacze-nie i publicznoœæ go uwielbia³a.

- Nie przejmuj siê -powiedzia³a Jilly. - Nie wstawiê ciê do ¿adnych kretyñskich doniczek i w ¿aden sposób nie naruszê twojej godnoœci.

¿aden sukulent, kaktus czy rozchodnik nie potrafi³ równie przekonuj¹co jak Fred promieniowaæ zaufaniem.

Poniewa¿ nakarmi³a i napoi³a swego partnera scenicznego i zrobi³a wszystko, ¿eby czu³ siê zadbany, zarzuci³a na ramiê torebkê, chwyci³a puste plastikowe wiaderko i wysz³a z pokoju, by przynieœæ lód i wrzuciæ parê œwierædolarówek do najbli¿-szego automatu z napojami. Ostatnio by³a uzale¿niona od

piwa korzennego. Chociaż wolała napoje dietetyczne, to kiedy nie mogła ich nigdzie znaleźć, piła zwykłe: dwie, czasem trzy butelki co wieczór. Jeżeli nie miała innego wyboru i była skazana na gatunek z pewną zawartością cukru, następnego dnia jadła na ceniadanie tylko suchy grzankę, by zrekompensować wieczorną rozpustę.

Utrapieniem kobiet w rodziny Jilly był gruby tyłek, co nie dotyczyło mężczyźni, za których wychodziły. Jej matka, siostry matki i wszystkie kuzynki w wieku kilkunastu, a nawet dwudziestu kilku lat, miały szczupłe i pociągłe tyłeczki, lecz nie upłyło wiele czasu, a każda z nich wyglądała, jakby wpełznąła sobie do spodni dwie dynie. Rzadko nabierały ciała w udach albo na brzuchu, ale zawsze w okolicach trzech mięśni pośladkowych: gluteus maximus, medius i minimus, które przekształcały się w części anatomii zwanej artobliwie przez jej matkę gluteus muchomega. Klątwa rodzinna przechodziła z pokolenia na pokolenie, ale nie w linii Jacksonów, tylko Armstrongów - rodzi nie matki - w której mężczyźni dziedziczyli żółty i podobne poczucie humoru.

Wielkiego Armstrongów po trzydziestce nie miała tylko czterdziestoletnia dziewczynka Gloria, która czasem przypisywała swój wieczny szczupły sylwetkę temu, że trzy razy w roku odprawiała nowennę do Najświętszej Pani. Modliła się, odkąd w wieku dziewięciu lat zdała sobie sprawę, że w przyszłości może jej grozić nagły rozrost tyłka; kiedy indziej natomiast sidiła, że to było dzięki okresowym flirtom z bulimią może siedzieć na rowerze i zsiadać z siodełka bez pomocy proktologa.

Jilly też była wierząca, ale nigdy nie odprawiała nowenny w nadziei, że wymodli litoczną zwolnienie z gluteus muchomega. Nie poruszała tej kwestii nie dlatego, że wątpiła, czy taka modlitwa odniesie skutek, po prostu nie potrafiła mówić o swoim tyłku w duchowej rozmowie z Matką Boską.

Gdy miała trzynacie lat, przez dwa dni praktykowała bulimie, uznała jednak, że codzienne dobrowolne wymioty są znacznie gorsze od perspektywy obaw o zbyt niskie drzwi i noszenia przez dwie trzecie życia elastycznych spodni narciarskich. Teraz cała nadzieję pokładała w suchej grzance na ceniadanie i magicznych postępkach chirurgii plastycznej.

Automaty z lodem i napojami stały we wnętrzu osłoniętego przejścia, przy którym znajdowała się jej pokój, nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od jej drzwi. Od strony pustyni wiał lekki wietrzyk, nie przynosił ani odrobiny chłodu w ten gorący wieczór - tak suchy, że Jilly miała wrażenie, jakby za moment jej spieczona warga miała pęknąć z gołym trzaskiem; podmuch zdawał się

wirować w korytarzyku, sycząc cicho, jak gdyby też szukał czegoś, czym mógłby zwilżyć spragnione usta.

Po drodze Jilly natknęła się na odrobinę wymiętego mężczyźni o sympatycznym wyglądzie, który najprawdopodobniej wracał z oazy automatów, zaopatrzywszy się tam w puszkę coli i trzy torebki fistaszków. Oczy miała błoniebiskie jak niebo nad Sonorą albo pustynią Mojave w sierpniu, gdy w intensywnie białym blasku nawet niebiosy nie zachowują swej barwy, ale nie pochodził z tych stron, ponieważ jego okrągła twarz nie była chorobliwie opalona, lecz różowa, a widocznych w niej bruzd nie wyrzuciła Południowego Zachodu, tylko nadwaga i brzemień lat.

Mimo że nie spojrzął wprost na Jilly i ucieszył się z roztarżeniem kogoś zagubionego w dżungli zawiłych, choć przyjemnych myśli, zbliżając się do niej, powiedział:

- Gdybym umarł za godzinę, na pewno żałowałbym, że na koniec nie najadłem się fistaszków.

Uwielbiam fistaszki.

Była to deklaracja co najmniej osobliwa, ale Jilly mimo młodego wieku miała dość doświadczenia, by wiedzieć, że we współczesnej Ameryce nie należy odpowiadać obcym, którzy nieproszeni informują o swoich lekach przed umieraniem i ulubionych przekleśkach na ołtarzu ciemierci. Możesz mieć do czynienia ze zniekształconą duszą, która zbłądziła na manowce pod wpływem stresów nowoczesności.

Prawdopodobniejsze było jednak spotkanie z psychopata, który miał ochotę zrobić sobie rurkę do koki z twojej kości udowej, a z twojej skóry ozdobny pokrowiec na swój ulubiony siekierę do odcinania głów. Pewnie dlatego, że facet wyglądał nieszkodliwie, albo dlatego, że sama Jilly czuła się odrobinę stuknięta po długich rozmowach tylko z grubo-szarym jadowatym, odparł:



- Ja wolę piwo korzenne. Kiedy przyjdzie moja pora, chcę przepłynąć Styks czystego piwa korzennego.

Nie reaguj na jej słowa, minij spokojnie, zdumiewaj co lekkim krokiem, zważywszy na jego gabaryty, celizga się niemal jak żył wiarz ruchem, który harmonizował z jego na wpół obłąkanym ucemiechem.

Patrzyła, jak się oddala, dopóki nie zyskała pewności, że to po prostu kolejna znudzona istota zbyt długo przemierzająca wyłudnione przestrzenie pustyni Południowego Zachodu - była może zmęczony komiwojażer, któremu przydzielono ogromny obszar, wystawiając na próbę jego wytrzymałość - oszołomiony i zniechęcony odległościami między kolejnymi miastami i tonącymi w słońcu autostradami, które zdawały się nie mieć końca.

Wiedziała, jak mógł się czuć. Jeden z jej popisowych numerów, znak rozpoznawczy jako komika, polegał na graniu prawdziwej dziewczyny z Południowego Zachodu, z krainy piasku i kaktusów, która codziennie je na ceniadanie miskę papryczek jalapeno, wóczy się z facetami o imionach Tex i Dusty po barach, gdzie grają country, jest dojrzała w słońcu kobiet, ale nie da sobie w kaszłę dmuchać i potrafi zapamiętać grzechotnika, który by cemiał na nią syknąć, i strzelał z niego jak z bicia, a mózg wyjdzie mu oczami. Rezerwowała sobie terminy w klubach w całym kraju, ale sporo czasu spędziła w Teksasie, Nowym Meksyku, Arizonie i Nevadzie, nie tracąc kontaktu z kulturą, która ją ukształtowała, doskonalić swój numer przed tępą publicznością, która okrzykami aprobaty reagowała na każdą trafną obserwację, ale umiała też wyciem wygonić ją ze sceny, jeżeli próbowała oszukiwać, że ketchup to salsa, albo uciekała się do estradowej sztuczności. Człowiek życia autentycznej dziewczyny z krainy piasku stanowił podróże z występem na występ i choć Jilly uwielbiała te skaliste pustkowia i widoki rozległych postaci srebrnych bylic, rozumiała, jak bezkres pustyni może wpływać na człowieka, który potem z ucemiechem szmacianej lalki opowiada wyimaginowanemu przyjacielowi o cieniach i fistaszkach.

W automatach we wnęce korytarza można było kupić trzy gatunki dietetycznej coli, dwa dietetycznego napoju cytrynowego i pomarańczowego, lecz jeżeli chodzi o piwo korzenne, miała następujący wybór: abstynencja lub nafaszerowany cukrem nowoczesny preparat do powiększania tyłka. Wrzuciła awieradolarówki do maszyny z rezygnacją starej hazardzistki wpychającej ostatnie monety do jednorękiego bandyty, a gdy trzy puszki jedna po drugiej lądowały z brzękiem na tacy, zmówiła półgłosem „Zdrowie Mario”, nie dostrzegając do modlitwy prośby związanej z wrażliwością fizjologiczną, ale składając w Niebie małe dowód dobrej woli.

Taszczył trzy puszki napoju i plastikowe wiaderko pełne po brzegi kostek lodu, pokonała niewielki odległość dzielącą ją od pokoju. Wychodziła, zostawiła uchylone drzwi, aby gdy będzie wracała z zajęciami, miała je jak otworzyć.

Przy pierwszym piwie będzie musiała zadzwonić do mamy w Los Angeles i pogadać z nią od serca o rodzinnym przekleństwie grubego tyłka, o nowym materiale na program, o tym, kto ostatnio został zastrzelony w dzielnicy, czy sadzonka Freda do brzo się rozwija pod troskliwą opieką mamy i czy Fred Klonek będzie równie ciekawy jak Fred Pierwszy...

Kiedy pchała ramieniem drzwi, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był oczywiście Fred, niczym oaza spokoju zen w chaosie kolorów przypominającym wystrój garderoby kłowna. Ale zaraz potem spostrzegła stojącą na biurku w cieniu Freda puszkę coli pokrytą kroplami wilgoci oraz trzy torebki fistaszków.

Ułamek sekundy później ujrzała otwarty czarny neseser, który leżał na stole. Wcześniej widziała go u ucemiechniętego komiwojażera. Pewnie torba z próbkami.

Nieustraszone Amazonki z Południowego Zachodu poskramiące węża muszli z psychiczną i fizyczną czujnością reagowały na amory knajpianych kowbojów, i tych nabuzowanych łone starem, i tych niewytłumaczalnie trzejących. Jilly potrafiła obronić się przed najbardziej natrętnym casanowem z taką samą energią, z jaką tańczyła swinga, a jej kolekcja nagród z konkursów swinga zajmowała całą gablotę.

Mimo to, chociaż zrozumiała niebezpieczeństwo w ciągu niecałych dwóch sekund po przekroczeniu progu pokoju, nie udało jej się zapobiec atakowi komiwojażera. Zaszedł ją od tyłu, zacisnął ramię na

szy i przy<sup>3</sup>o<sub>ç</sub>y<sup>3</sup> do twarzy jak<sup>1</sup>œe szmatê. Miêkka tkanina œemierdzia<sup>3</sup>a chloroformem albo eterem, albo mo<sub>ç</sub>e podtlenkiem azotu. Jilly nie by<sup>3</sup>a koneserem œerodków znieczulaj<sup>1</sup>cych, nie rozpozna<sup>3</sup>a wiêc gatunku ani rocznika.

Nie oddychaj - rozkaza<sup>3</sup>a sobie w myœli i wiedzia<sup>3</sup>a, çe po-winna nadepn<sup>1</sup>æ mu na stopê, wbia<sup>3</sup> œokieæ w brzuch, ale zgubi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> moment zaskoczenia, kiedy nabra<sup>3</sup>a powietrza w chwili, gdy szmata zakry<sup>3</sup>a jej usta i nos. Próbowa<sup>3</sup>a poruszyæ praw<sup>1</sup> sto-p<sup>1</sup>, lecz ta zadygota<sup>3</sup>a, jak gdyby obluzowa<sup>3</sup>a siê w kostce. Jilly nie potrafi<sup>3</sup>a sobie przypomnieæ, gdzie ma <sup>3</sup>okcie i jak dzia<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>. Zamiast wstrzymaæ oddech, jeszcze raz wci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a powietrze, by odzyskaæ jasnoœæ umys<sup>3</sup>u i tym razem jej p<sup>3</sup>uca wype<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>y siê naj-czarniejsz<sup>1</sup> ciemnoœci<sup>1</sup>, jakby by<sup>3</sup>a ton<sup>1</sup>cym p<sup>3</sup>ywakiem pogr<sup>1</sup>-çaj<sup>1</sup>cym siê coraz g<sup>3</sup>êbiej i g<sup>3</sup>êbiej...

## 5 -Ciach dylu-dylu.

P<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> dziad na krokodylu.

- Ciach dylu-dylu.

Spad<sup>3</sup> i wnet uton<sup>13</sup> w Nilu.

Zabawa w rymowanie zawsze pomaga<sup>3</sup>a Dylanowi O'Con-nerowi nie wpaœæ w sza<sup>3</sup> podczas napadów monotonnych mantr brata. Tym razem jednak doszed<sup>3</sup> do wniosku, çe jeœli nie prze-stanie s<sup>3</sup>uchaæ g<sup>3</sup>osu Shepa, nie skupi siê na pilnym zadaniu, czy-li wyswobodzeniu z wiêzów. Wci<sub>ç</sub> bêdzie siedzia<sup>3</sup> przyklejony taœem<sup>1</sup> do krzes<sup>3</sup>a, przeçuwaj<sup>1</sup>c bawe<sup>3</sup>niany knebel i czekaj<sup>1</sup>c na bezimiennych zabójców, którzy zbadaj<sup>1</sup> mu krew na obecnoœæ szprycy, a potem pokroj<sup>1</sup> na cienkie plasterki i rzuc<sup>1</sup> padlinê pustynnym sêpom.

Rêce Shepa trzepota<sup>3</sup>y, uk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c w b<sup>3</sup>yskawicznym tempie dwuwymiarow<sup>1</sup> œwi<sup>1</sup>tyniê.

- Ciach dylu-dylu.

Dylan skoncentrowa<sup>3</sup> siê na swoim po<sup>3</sup>oçeniu.

Rozmiary szmaty w ustach - wype<sup>3</sup>nij<sup>1</sup>cego mu usta mo-krego ga<sup>3</sup>gana, od którego trzymania bola<sup>3</sup>a go ca<sup>3</sup>a twarz - uniemoçliwia<sup>3</sup>y mu poruszanie szczêkami tak energicznie, jakby chcia<sup>3</sup>. Jednak napinaj<sup>1</sup>c uparcie miêœenie twarzy, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> polu-zowaæ paski taœemy, która powoli zaczê<sup>3</sup>a siê odrywaæ na koñ-cach i odchodziaæ jak bandaçe z mumii.

Wysun<sup>13</sup> jêzyk spod knebla, zwin<sup>13</sup> za szmacian<sup>1</sup> kul<sup>1</sup> i usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> wypchn<sup>1</sup>æ z ust obcy materia<sup>3</sup>. Szmata naciska<sup>3</sup>a od we-wn<sup>1</sup>trz na odklejon<sup>1</sup> w po<sup>3</sup>owie taœemê i Dylan czu<sup>3</sup> lekkie uk<sup>3</sup>u-cia bólu, gdy lepkie paski odrywa<sup>3</sup>y siê od jego warg wraz z fragmentami skóry.

Niczym gigantyczna hybryda æmy i cz<sup>3</sup>owieka - z niskobu-dçetowego horroru - zwracaj<sup>1</sup>ca niesmaczn<sup>1</sup> kolacjê, powolut-ku wysunê<sup>3</sup>a mu siê na brodê obrzydliwa szmata i spoczê<sup>3</sup>a na piersi. Patrz<sup>1</sup>c na przesi<sup>1</sup>kniêty œelin<sup>1</sup> knebel, pozna<sup>3</sup> go: by<sup>3</sup>a to jego d<sup>3</sup>uga skarpeta, któr<sup>1</sup> Doktor najprawdopodobniej znalaz<sup>3</sup> w walizce. Przynajmniej by<sup>3</sup>a czysta.

Po<sup>3</sup>owa taœemy odklei<sup>3</sup>a siê, ale zosta<sup>3</sup>y dwa pasy dyndaj<sup>1</sup>ce w k<sup>1</sup>cikach ust jak w<sup>1</sup>sy suma. Wykrzywia<sup>3</sup> usta w r<sup>1</sup>çnych gry-masach, potrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, ale kawa<sup>3</sup>ki taœemy mocno siê trzyma<sup>3</sup>y.

Wreszcie móg<sup>3</sup> wo<sup>3</sup>aaæ pomocy, lecz milcza<sup>3</sup>. Ktokolwiek po-spieszy mu na ratunek, bêdzie chcia<sup>3</sup> wiedzieæ, co siê sta<sup>3</sup>o, a ja-kieœ zatroskany obywatel zadzwoni<sup>3</sup>by na policjê, która zjawi<sup>3</sup>a-by siê, zanim Dylan zd<sup>1</sup>çy<sup>3</sup>by wrzuciæ swoje rzeczy - i Shepa - do samochodu i uciec. Jeçeli mordercy byli na jego tropie, kaç-da chwila zw<sup>3</sup>oki mog<sup>3</sup>a kosztowaæ go çyçie.

Musia<sup>3</sup> uçyæ scyzoryka, który lœeni<sup>3</sup>, wbity w sosnowe drewno. Dylan przechyli<sup>3</sup> siê w przód, pochylaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê, i zacisn<sup>13</sup> zêby na pokrytej gum<sup>1</sup> rêkojœci noç'a. Chwyci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> mocno. Ostroçnie porusza<sup>3</sup> scyzorykiem w przód i w ty<sup>3</sup>, poszerzaj<sup>1</sup>c dziurê w drewnie, dopóki nie wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> ostrza.

- Ciach dylu-dylu.

Wyprostowa<sup>3</sup> siê na krzœele, trzymaj<sup>1</sup>c w zêbach scyzoryk i zezuj<sup>1</sup>c, spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na czubek ostrza po<sup>3</sup>yskuj<sup>1</sup>cy w œwietle. By<sup>3</sup> juç uzbrojony, ale nie czu<sup>3</sup> siê szczególnie niebezpieczny.

Za nic nie móg<sup>3</sup> upuœciæ noç'a. Gdyby broñ upad<sup>3</sup>a na pod<sup>3</sup>o-gê, Shepherd na pewno by jej nie podniós<sup>3</sup>. Dylan, aby odzy-skaæ scyzoryk, musia<sup>3</sup>by rozko<sup>3</sup>ysaa krzes<sup>3</sup>o i przewróciæ na bok, ryzykuj<sup>1</sup>c obraçenia. Ryzykowanie obraçeñ cia<sup>3</sup>a zawsze zaj-mowa<sup>3</sup>o wysokie miejsce na jego liœcie

Rzeczy, których Nie Ro-bi<sup>1</sup> Ludzie Inteligentni. Nawet gdyby przewróci<sup>3</sup> krzes<sup>3</sup>o i wy-szed<sup>3</sup> z tego bez szwanku, w nowej i zapewne niewygodnej pozycji trudno by<sup>3</sup>oby mu siêgn<sup>1</sup>æ ustami do rêkojeœci, zw<sup>3</sup>asz-cza gdyby nóg wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup> pod <sup>3</sup>ógkiem.

Zamkn<sup>13</sup> oczy i przed nastêpnym ruchem przez moment rozwa<sup>3</sup>aj<sup>3</sup> rójne mo<sup>3</sup>liwoœci.

- Ciach dylu-dylu.

Dylan by<sup>3</sup> artyst<sup>1</sup>, zatem rozwa<sup>3</sup>ania powinny przychodziæ mu z <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup>; nie by<sup>3</sup> jednak artyst<sup>1</sup> tego rodzaju - nie drêczy<sup>3</sup> siê ponurymi myœlami i sytuacj<sup>1</sup> ludzkoœci ani nie rozpacza<sup>3</sup> nad nieludzkim postêpowaniem cz<sup>3</sup>owieka wobec drugiego cz<sup>3</sup>owieka. W wymiarze jednostkowym sytuacja ludzkoœci zmienia<sup>3</sup>a siê co dzieñ, nawet co godzinê, a gdy ktoœ rozczula siê nad nieszczê-œciem, mo<sup>3</sup>e przegapiaæ okazjê odniesienia triumfu. Ka<sup>3</sup>dy swój nieludzki czyn gatunek rekompensowa<sup>3</sup> setk<sup>1</sup> dobrych uczynk-ów; jeœli wiêc ktoœ lubi spêdzaæ czas na rozwa<sup>3</sup>aniach, rozs<sup>1</sup>d-niej jest rozmyœlaæ o dobrej woli, z jak<sup>1</sup> wiêkszoœæ ludzi traktu-je innych, nawet w spo<sup>3</sup>eczeñstwie, gdzie elity kulturalne szydz<sup>1</sup> z cnoty, stawiaj<sup>1</sup>c na piedestale brutalnoœæ.

W tym wypadku mia<sup>3</sup> bardzo ograniczone mo<sup>3</sup>liwoœci i choæ nie by<sup>3</sup> zbyt dobry w ich rozwa<sup>3</sup>aniu, potrafi<sup>3</sup> szybko opracowaæ plan dzia<sup>3</sup>ania. Znów pochyli<sup>3</sup> siê w przód i zbli<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ostrze scyzoryka do jednego z b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ych zwojów taemy przywi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>cych jego lewy nadgarstek do oparcia krzes<sup>3</sup>a. Jak rzucaj<sup>1</sup>ca g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> gêœ, jak Shep godzinami udaj<sup>1</sup>cy rzucaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> gêœ, Dylan zacz<sup>13</sup> pi<sup>3</sup>owaæ scyzorykiem pêta, które za-czê<sup>3</sup>y puszczaæ. Kiedy uwolni<sup>3</sup> lew<sup>1</sup> rêkê, prze<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> do niej nóg.

Kiedy pospiesznie rozcina<sup>3</sup> resztê taemy, na<sup>3</sup>ogowiec uk<sup>3</sup>a-danek - dodaj<sup>1</sup>cy elementy obrazka w gor<sup>1</sup>czkowym tempie, jakiego nie potrafi<sup>3</sup>aby wywo<sup>3</sup>aaæ nawet metamfetamina - odro-binê zmieni<sup>3</sup> swój tekst:

- Dylu ciach-ciach.

- Siku chce mi siê a<sup>3</sup> strach. - Dylu ciach-ciach.

- Rozp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup>em siê we <sup>3</sup>zach.

**6** Jilly otworzy<sup>3</sup>a oczy i jak przez mg<sup>3</sup>ê ujrza<sup>3</sup>a ko-miwoja<sup>3</sup>era i jego identycznego brata bli<sup>3</sup>niaka pochylonych nad <sup>3</sup>ógkiem, na którym le<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a.

Chocia<sup>3</sup> wiedzia<sup>3</sup>a, æe powinna siê baæ, nie czu<sup>3</sup>a æadnego lê-ku. By<sup>3</sup>a zupe<sup>3</sup>nie rozlu<sup>3</sup>niœnia. Ziewnê<sup>3</sup>a. Jeœli pierwszy brat by<sup>3</sup> z<sup>3</sup>y - a bez w<sup>1</sup>tpienia by<sup>3</sup> - to ten drugi musia<sup>3</sup> byæ dobry, mia<sup>3</sup>a wiêc obroñcê. W filmach i czêsto w ksi<sup>1</sup>¿kach moralnoœæ by<sup>3</sup>a rozdzielona miêdzy identyczne ro-dzeñstwo dok<sup>3</sup>adnie w takiej proporcji: jeden z<sup>3</sup>y, drugi dobry.

Nie zna<sup>3</sup>a æadnych bli<sup>3</sup>niaków. Gdyby kiedykolwiek pozna-<sup>3</sup>a tak<sup>1</sup> parê, nie potrafi<sup>3</sup>aby zaufaæ æadnemu z nich. Zaufasz i mo<sup>3</sup>esz byæ pewien, æe zostaniesz zat<sup>3</sup>uczony na œmieræ - albo stanie ci siê coœ jeszcze gorszego - w drugim akcie czy rozdziale dwunastym, a ju<sup>3</sup> na pewno pod koniec opowieœci.

Ci dwaj wygl<sup>1</sup>dali równie dobrodusznie, ale jeden rozlu<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> opaskê uciskow<sup>1</sup> z gumowej rurki, która by<sup>3</sup>a zaciœniêta na ra-mieniu Jilly, a drugi chyba robi<sup>3</sup> zastrzyk. <sup>1</sup>adnego z tych inte-resuj<sup>1</sup>cych dzia<sup>3</sup>añ nie mo<sup>3</sup>na raczej nazwaæ z<sup>3</sup>ym, ale na pewno by<sup>3</sup>o w nich coœ niepokoju<sup>1</sup>cego.

- Który z was zdzieli mnie pa<sup>3</sup>k<sup>1</sup>? - zapyta<sup>3</sup>a zdziwiona swo-im be<sup>3</sup>kotliwym g<sup>3</sup>osem, jakby by<sup>3</sup>a pijana. Z podobnym zdumieniem komiwoja<sup>3</sup>erowie bli<sup>3</sup>niacy spoj-rzeli na ni<sup>1</sup> równoczeœnie.

- Powinam was ostrzec - powiedzia<sup>3</sup>a. - Znam karaoke. Ka<sup>3</sup>dy z bli<sup>3</sup>niaków trzyma<sup>3</sup> praw<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ na t<sup>3</sup>oku strzykaw-ki, ale obaj jednoczeœnie z<sup>3</sup>apali lew<sup>1</sup> rêk<sup>1</sup> bia<sup>3</sup> bawe<sup>3</sup>nian<sup>1</sup> chustkê. Mieli znakomit<sup>1</sup> choreografiê.

- Nie karaoke - poprawi<sup>3</sup>a siê. - Karate. - K<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>a, ale s<sup>1</sup>-dzi<sup>3</sup>a, æe zabrzmi to przekonuj<sup>1</sup>co, mimo dziwnie niewyra<sup>3</sup>nego g<sup>3</sup>osu. - Znam karate.

Bracia, których twarze widzia<sup>3</sup>a nieco zamazane, przemówi-li w doskona<sup>3</sup>ej harmonii, sylaba w sylabê.

- Chcê, æebyœ jeszcze trochê pospa<sup>3</sup>a, m<sup>3</sup>oda damo. Œepij, œepij.

Cudownie zsynchronizowani bli<sup>3</sup>niacy równoczeœnie mach-nêli w powietrzu chusteczkami, które rzucili

jej na twarz z tak<sup>1</sup> gracj<sup>1</sup>, i e Jilly spodziewa<sup>3</sup>a siê czarodziejskiej przemiany dwóch kawa<sup>3</sup>ków bia<sup>3</sup>ej tkaniny w go<sup>3</sup>êbie, zanim jeszcze do-tnê<sup>3</sup>y jej skóry. Jednak wilgotna bawe<sup>3</sup>na zalatuj<sup>1</sup>ca ostr<sup>1</sup> che-miczn<sup>1</sup> woni<sup>1</sup> zapomnienia spad<sup>3</sup>a na ni<sup>1</sup> jak stado czarnych wron czy kruków, które ponios<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> na skrzyd<sup>3</sup>ach wprost w ot-ch<sup>3</sup>añ nocy.

Jilly zdawa<sup>3</sup>o siê, i e otworzy<sup>3</sup>a oczy natychmiast, jednak od chwili, gdy je zamknê<sup>3</sup>a, up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o kilka minut. Wyci<sup>1</sup>gniêto ig<sup>3</sup>ê z jej ramienia. Bli<sup>3</sup>niacy ju<sup>1</sup> nad ni<sup>1</sup> nie stali.

W istocie by<sup>3</sup> tu tylko jeden z nich i Jilly zorientowa<sup>3</sup>a siê, i e ten drugi w ogóle nie istnia<sup>3</sup>, by<sup>3</sup> skutkiem z<sup>3</sup>udzenia optyczne-go. Mê<sup>1</sup>czyzna sta<sup>3</sup> w nogach <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka, pakuj<sup>1</sup>c strzykawkê do skórzanego neseseru, który wczecniej wziê<sup>3</sup>a za torbê z próbka-mi towarów. Dosz<sup>3</sup>a do wniosku, i e to torba lekarska.

Mówi<sup>3</sup> coe o dziele swojego i<sup>1</sup>ycia, ale w jego gadaniu Jilly nie mog<sup>3</sup>a dostrzec i adnego sensu, mo<sup>1</sup>e dlatego, i e by<sup>3</sup> maja-cz<sup>1</sup>ym psychopat<sup>1</sup>, a mo<sup>1</sup>e dlatego, i e przesta<sup>3</sup>a go rozumieæ od oparów eliksiru zapomnienia, które wci<sup>1</sup>i parzy<sup>3</sup>y jej nos i zatoki.

Gdy próbowa<sup>3</sup>a podnieœæ siê z <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka, dosta<sup>3</sup>a takich zawro-tów g<sup>3</sup>owy, i e z powrotem opad<sup>3</sup>a na poduszki. Chwyci<sup>3</sup>a obu-r<sup>1</sup>cz materac jak rozbitek kurczowo trzymaj<sup>1</sup>cy siê szcz<sup>1</sup>tków statku unoszonych na powierzchni wzburzonego morza.

Uczucie wirowania i ko<sup>3</sup>ysania w koñcu wzbudzi<sup>3</sup>o w niej strach. Wiedzia<sup>3</sup>a, i e powinna siê baæ, lecz a<sup>1</sup> do tej chwili lêk drzema<sup>3</sup> gdzieœ w zakamarkach jej umys<sup>3</sup>u. Oddech Jilly sta<sup>3</sup> siê p<sup>3</sup>ytki i przyspieszony, a serce <sup>3</sup>omota<sup>3</sup>o w coraz bardziej szalo-nym rytmie, pompuj<sup>1</sup>c z krwi<sup>1</sup> fale przera<sup>1</sup>enia, które lada chwila mog<sup>3</sup>o przerodziæ siê w panikê.

Nigdy nie interesowa<sup>3</sup>a jej w<sup>3</sup>adza nad innymi, ale za nic nie pozwoli<sup>3</sup>aby, aby ktoœ zabroni<sup>3</sup> jej byæ pani<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asnego losu. Mo-<sup>1</sup>e pope<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>a b<sup>3</sup>êdy, fakt, pope<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>a - mnóstwo b<sup>3</sup>êdów - ale je<sup>1</sup>eli mia<sup>3</sup>a mieæ spieprzone i<sup>1</sup>ycie, to wola<sup>3</sup>a spieprzæ je sama. Si<sup>3</sup> odebrano jej w<sup>3</sup>adzê nad w<sup>3</sup>asnym losem, pos<sup>3</sup>u<sup>1</sup>ono siê che-mi<sup>1</sup>, narkotykami - z przyczyn, których nie rozumia<sup>3</sup>a, choæ bardzo stara<sup>3</sup>a siê skupiaæ na s<sup>3</sup>owach swojego przeœladowcy, mamroc<sup>1</sup>cego coe na swoje usprawiedliwienie.

Wraz ze strachem zala<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> fala gniewu. Pomimo gró<sup>3</sup>o ka-raoke i karate, mimo pozowania na Amazonkê z Po<sup>3</sup>udniowego Zachodu, Jilly nie mia<sup>3</sup>a natury wojowniczk<sup>1</sup> rozdzielaj<sup>1</sup>cej razy na prawo i lewo. Jej bron<sup>1</sup> z wyboru by<sup>3</sup> humor i wdziêk. Teraz jednak, widz<sup>1</sup>c przed sob<sup>1</sup> obfity ty<sup>3</sup>ek napastnika, mia<sup>3</sup>a ochotê wymierzæ mu potê<sup>1</sup>nego kopniaka. Gdy komiwoja<sup>1</sup>er--lekarz, czy kim on tam by<sup>3</sup>, podszed<sup>3</sup> do biurka po colê i trzy torebki fistaszków, Jilly jeszcze raz usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a wstaæ z <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka, przeje<sup>1</sup>ta œwiêtym oburzeniem.

I znów jej tratwa zachybot<sup>3</sup>a siê na jaskrawym morzu fatal-nego wystroju motelu. Drugi atak zawrotów g<sup>3</sup>owy, jeszcze gor-szy od poprzedniego, wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wir md<sup>3</sup>oœci, który œcisn<sup>13</sup> jej i o-<sup>31</sup>dek, wiêc zamiast kopn<sup>1</sup>æ gruby ty<sup>3</sup>ek, jak sobie wyobrazi<sup>3</sup>a, jêknê<sup>3</sup>a tylko:

- Bêdê rzygaæ.

Zgarniaj<sup>1</sup>c puszkê coli i fistaszki i zabieraj<sup>1</sup>c swoj<sup>1</sup> torbê le-karsk<sup>1</sup>, nieznajomy rzek<sup>3</sup>:

- Lepiej siê opanuj. Skutki znieczulenia mog<sup>1</sup> utrzymywaæ siê doœæ d<sup>3</sup>ugo. Mog<sup>3</sup>abyœe znów straciæ przytomnoœæ, a je<sup>1</sup>eli ze-mdlejesz podczas torsji, skończysz jak Janis Joplin i Jimi Hen-drix, dusz<sup>1</sup>c siê w<sup>3</sup>asnymi wymiocinami.

Och, cudownie. Po prostu wysz<sup>3</sup>a kupiaæ piwo korzenne. Zu-pe<sup>3</sup>nie niewinnie. Nie wi<sup>1</sup>za<sup>3</sup>o siê z tym i adne szczególne ryzyko. Rozumia<sup>3</sup>a, i e bêdzie musia<sup>3</sup>a okupiaæ przyjemnoœæ picia such<sup>1</sup> grzank<sup>1</sup> na œniadanie, lecz przez myœl jej nie przesz<sup>3</sup>o, i e narazi siê na niebezpieczeñstwo uduszenia w<sup>3</sup>asnymi wymiocinami. Gdyby wiedzia<sup>3</sup>a, w ogóle nie rusza<sup>3</sup>aby siê z pokoju i pi<sup>3</sup>a wo-dê z kranu; w koñcu to, co by<sup>3</sup>o dobre dla Freda, by<sup>3</sup>o te<sup>1</sup> dobre dla niej.

- Le<sup>1</sup> spokojnie - poleci<sup>3</sup> jej dziwak bez cienia rozkazuj<sup>1</sup>ce-go tonu, ale z czymœ w rodzaju troski. - Le<sup>1</sup> spokojnie, to md<sup>3</sup>o-œci i zawroty g<sup>3</sup>owy min<sup>1</sup> po dwóch, trzech minutach. Nie chcê, i ebyœe siê udusi<sup>3</sup>a, to by<sup>3</sup>oby g<sup>3</sup>upie, ale nie mogê ryzykowaæ i zo-staæ, i eby ciê niañczyæ. Pamiêtaj, jeceli mnie dopadn<sup>1</sup> i dowie-dz<sup>1</sup> siê, co zrobi<sup>3</sup>em, zaczn<sup>1</sup> szukaæ ka<sup>1</sup>dego, komu zrobi<sup>3</sup>em za-strzyk i zabij<sup>1</sup> ciê.

Pamiêtaj? Zabij<sup>1</sup>? Oni?

W ogóle nie przypomina<sup>3</sup>a sobie, i eby j<sup>1</sup> przed czymœ po-dobnym ostrzega<sup>3</sup>, dosz<sup>3</sup>a wiêc do wniosku, i e musia<sup>3</sup> o tym mó-wiaæ, gdy jej umys<sup>3</sup>, nad którym zaczê<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> odzyskiwaæ pano-wanie, tkwi<sup>3</sup> pogr<sup>1</sup>i<sup>1</sup>ony w oparach mg<sup>3</sup>y gêtej jak londyñska. Stoj<sup>1</sup>c przy drzwiach, obejrza<sup>3</sup> siê.

- Policja nie ochroni cię przed tymi ludźmi. Nikt ci nie pomoże.

Leżąc na kołyszonym się łożku w rozchobotanym pokoju, nie mogła powstrzymać myśli o kanapce z kurczakiem grubo posmarowanej majonezem i tustych frytkach, które jadła wieczorem. Starała się skupić na napastniku, pragnąc zaatakować go słowami, skoro nie mogła dać mu kopniaka w tyłek, ale kołacja wciła podchodziła jej do gardła.

- Jedyna twoja szansa - powiedziała mężczyzna - to wydość się z obszaru poszukiwań, zanim cię zatrzymają i zmuszą do badania krwi.

Kanapka z kurczakiem szamotała się w niej, jak gdyby zachowała resztki kurzej świadomości, jak gdyby ptak próbował podjąć pierwszą niezdarną próbę powrotu do życia.

Jednak Jilly zdostała się odezwać, wstydząc się w tej samej chwili, że poczęstowała go obelgą, która i tak byłaby kiepska, nawet gdyby wypowiedziała ją najbardziej:

- Dostał mnie w pupę.

W klubach często musiało sobie radzić z wesółkami, którzy zachowywali się jak bydło na widowni, waliła ich po tyłkach, wykręcała grube karki i kłosa złośliwe serca, dopóki nie zaczęli wołać mamy - w przenośni, oczywiście - bombardując ich słowami, które odnosiły skutek jak ciosy Mohammeda Alego z jego najlepszego okresu. Jednak w oszołomieniu po zaaplikowanym specyfiku wydawała się równie zabawna jak majonez, który w tym momencie był najmniej ciekawą substancją we wszechświecie.

- Jesteś tak atrakcyjna - powiedziała mężczyzna - że na pewno ktoś się tobą zajmie.

- Kupi gutas - odrzekła, jeszcze bardziej zaangażowana w upadek swej, kiedyś potężnej, słownej maszyny wojennej.

- W przyszłości, dobrze ci radzę, lepiej nie puszczaj pary z ust o tym, co się tu wydarzyło...

- Kupi gukas - poprawiła się, zdając sobie tylko sprawę, że odkryła nowy sposób przekręcania tej samej obelgi.

- ...nie wychylaj się...

- Kupi kutas - powiedziała, tym razem wyraźnie, choć epi-tet zabrzmiało mniej dobitnie niż wymówiony z bédem.

- ...i nigdy nie mów nikomu, co ci się przydarzyło, bo gdy tylko wyjdzie to na jaw, wezmą cię na cel.

- Skruwiel! - niemal wyrzuciła z siebie, choć takimi wulgarnymi, wypowiedzianymi poprawnie czy nie, raczej się nie posługiwała.

- Powodzenia - rzekł i wyszedł, zabierając ze sobą colę, fi-staszki i diaboliczny, roztargniony ucemiech.

## 7 Dylan odcił się od krzesła i odwiedził azienkę - siku chciał mu się aż strach, dylu ciach-ciach -

a po powrocie stwierdził, że Shep wstał od biurka i odwrócił się plecami do niedokończonyj cewityni sinto. Zwykle gdy był pochłonięty układanką, nie mógł na go być od niej odciągnięty obietnicami ani nagrodami, ani siłą, dopóki nie wstawił we właściwe miejsce ostatniego kawałka. Teraz jednak stał w nogach łożka, wpatrując się z uwagą w przestrzeń, jak gdyby dostrzegł tam jakiegoś fi-zyczny kształt, i szepnął, nie do Dylana i prawdopodobnie nie do siebie, ale do zjawy, którą widział tylko on:

- Przy blasku księżyca.

W okresach przytomności Sheperd zazwyczaj emanował osobliwością jak świeca blaskiem. Dylan przyzwyczał się do życia w aurze dziwactw brata. Był prawnym opiekunem Shepa od ponad dekady, od przedwczesnej śmierci matki, która nastąpiła, gdy Shep miał dziesięć lat, dwa dni przed dziewiętnastymi urodzinami Dylana. Po tak długim czasie żadne słowo ani działanie Shepa raczej nie mogły go już zaskoczyć. Dawniej czasem uważała, że osobliwe zachowanie Shepa bywa straszne, lecz przez wiele lat młodszy brat nie zrobił niczego, co mogłoby wzbudzić w Dylanie dreszcz przerażenia - aż do tej chwili.

- Przy blasku księżyca.

Shep wyglądał tak samo sztywno i pokracznie jak zawsze, ale jego postawa zdradzała niezwykłe

wzburzenie. Czo<sup>3</sup>o, zwy-kle g<sup>3</sup>adkie i spokojne jak u Buddy, zmarszczy<sup>3</sup>o siê. Na twarzy malowa<sup>3</sup> siê wyraz surowoœci, jakiej Dylan nigdy u niego nie wi-dzia<sup>3</sup>. Shep przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê widmu, którego nikt poza nim nie móg<sup>3</sup> zobaczyæ, zagryzaj<sup>1</sup>c wargê z gniewem i zaniepokojeniem. D<sup>3</sup>onie zacisn<sup>13</sup> w piêœci, jak gdyby mia<sup>3</sup> ochotê wymierzyæ ko-muœ cios, choæ nigdy przedtem Shepherd O'Conner w z<sup>3</sup>oœci nie podniós<sup>3</sup> na nikogo rêki.

- Shep, co siê dzieje?

Jeœli wierzyæ szalonemu lekarzowi ze strzykaw<sup>1</sup>, musieli st<sup>1</sup>d szybko wiaæ. Uciezka wymaga<sup>3</sup>a jednak wspó<sup>3</sup>dzia<sup>3</sup>ania Shepa, który sprawia<sup>3</sup> wraŹenie, jakby znalaz<sup>3</sup> siê na krawêdzi wybuchu i jeœli siê nie uspokoi, trudno sobie bêdzie z nim pora-dziaæ. Brat by<sup>3</sup> niŹszy od Dylana, ale mia<sup>3</sup> piêæ stóp dziesiêæ cali wzrostu i waŹy<sup>3</sup> sto szeœædziesi<sup>1</sup>t funtów, nie moŹna wiêc by<sup>3</sup>o go prostu z<sup>3</sup>apaæ za pasek i wynieœæ z pokoju motelowego jak walizki. Gdyby postanowi<sup>3</sup>, Źe nie ma ochoty iœæ, z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup>by siê mocno s<sup>3</sup>upka s<sup>3</sup>Źka albo zaklinowa<sup>3</sup> w drzwiach, zapieraj<sup>1</sup>c siê rêkami i nogami w futrynie.

- Shep? Hej, Shep, s<sup>3</sup>yszysz mnie?

Ch<sup>3</sup>opak zupe<sup>3</sup>nie nie zwraca<sup>3</sup> uwagi na Dylana, tak samo jak podczas pracy nad uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup>. Interakcja z innymi istotami ludzkimi nie przychodzi<sup>3</sup>a mu tak <sup>3</sup>atwo jak przeciêtnej osobie, a nawet nie tak <sup>3</sup>atwo jak mieszkaj<sup>1</sup>cemu w jaskini pustelniko-wi. Czasem nawi<sup>1</sup>zywa<sup>3</sup> kontakt, najczêœciej tak intensywny, Źe cz<sup>3</sup>owiek czu<sup>3</sup> siê nieswojo; wiêks<sup>1</sup> czêœæ Źycia spêdza<sup>3</sup> jednak we w<sup>3</sup>asnym, zupe<sup>3</sup>nie nieznanym Dylanowi œwiecie, który rów-nie dobrze móg<sup>3</sup>by siê obracaæ wokó<sup>3</sup> jakiejœ nienazwanej gwiaz-dy w innej czêœci Drogi Mlecznej, daleko od swojskiej Ziemi.

Shep opuœci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê, oderwa<sup>3</sup> wzrok od niewidzialnej twarzy niewidzialnej postaci i choæ móg<sup>3</sup> widzieæ tylko skrawek puste-go dywanu, otworzy<sup>3</sup> oczy szerzej, a usta zaczê<sup>3</sup>y mu drgaæ, jak-by mia<sup>3</sup> siê zaraz rozp<sup>3</sup>akaæ. Przez twarz przemknê<sup>3</sup>a mu ca<sup>3</sup>a seria emocji, jak gwa<sup>3</sup>townie zrywane kolejne zas<sup>3</sup>ony, od gry-masu gniewu, przez Źa<sup>3</sup>osn<sup>1</sup> bezradnoœæ po czarn<sup>1</sup> rozpacz. Rozlu<sup>3</sup>Źni<sup>3</sup> palce, wœciekle zacieniête w piêœci, i stan<sup>13</sup> z opusz-czonymi bezw<sup>3</sup>adnie rêkami.

Gdy Dylan ujrza<sup>3</sup> <sup>3</sup>zy brata, podszed<sup>3</sup> do niego, delikatnie k<sup>3</sup>ad<sup>1</sup>c mu d<sup>3</sup>oñ na ramieniu.

- Popatrz na mnie, braciszku. Powiedz mi, co siê dzieje. Po-patrz na mnie, zobacz mnie, skup siê, Shep. Skup siê. Czasami, nawet bez ponagleñ, Shep umia<sup>3</sup> prawie normal-nie, choæ niezdar-nie, komunikowaæ siê z Dylanem i innymi. Najczêœciej jednak trzeba go by<sup>3</sup>o naprowadzaæ, wytrwale i cier-plitwie zachêcaj<sup>1</sup>c, by nawi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> i utrzyma<sup>3</sup> kontakt.

Rozmowa z Shepem czêsto zaleŹa<sup>3</sup>a od kontaktu wzroko-wego, ale ch<sup>3</sup>opak rzadko pozwala<sup>3</sup> na taki stopieñ bliskoœci. Unika<sup>3</sup> otwartoœci byæ moŹe nie tylko z powodu powaŹnego za-burzenia psychicznego i nie dlatego, Źe by<sup>3</sup> patologicznie nie-œmia<sup>3</sup>y. Popuszczaj<sup>1</sup>c wodze fantazji, Dylan by<sup>3</sup> kiedyœ sk<sup>3</sup>onny uwierzyæ, Źe Shep zacz<sup>13</sup> uciekaæ od œwiata juŹ we wczesnym dzieciñstwie, bo odkry<sup>3</sup>, Źe potrafi wyczytaæ sekrety duszy z oczu cz<sup>3</sup>owieka... i nie umie znieœæ tego, co widzi.

- Przy blasku ksiê<sup>1</sup>yca - powtórzy<sup>3</sup> Shep, tym razem wbija-j<sup>1</sup>c wzrok w pod<sup>3</sup>ogê. Szept przeszed<sup>3</sup> w ciche mruczenie, a jego g<sup>3</sup>os rwa<sup>3</sup> siê jakby zduszony smutkiem.

Shep rzadko mówi<sup>3</sup>, a kiedy juŹ to siê zdarza<sup>3</sup>o, nigdy nie wyrzuca<sup>3</sup> z siebie steku bzdur, nawet jeœli czasem zdawa<sup>3</sup>o siê, Źe to kompletne bzdury. W kaŹdej wypowiedzi kry<sup>3</sup> siê motyw i znaczenie, które naleŹa<sup>3</sup>o odkryæ, lecz ch<sup>3</sup>opak bywa<sup>3</sup> bardzo enigmatyczny i komunikat nie zawsze moŹna by<sup>3</sup>o zrozumieæ, miêdzy innymi dlatego, Źe Dylanowi brakowa<sup>3</sup>o cierpliwœci i m<sup>1</sup>droœci, by rozwi<sup>1</sup>zaæ zagadkê jego s<sup>3</sup>ów. Teraz jednak jego rozgor<sup>1</sup>czkowanie zdradza<sup>3</sup>o, Źe chce przekazaæ coœ wyj<sup>1</sup>tkowo waŹnego, przynajmniej dla siebie.

- Popatrz na mnie, Shep. Musimy porozmawiaæ. Shepherd, moŹemy porozmawiaæ?

Shep pokrêci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, wyraŹaj<sup>1</sup>c byæ moŹe niedowierzanie na widok tego, co zobaczy<sup>3</sup> na pod<sup>3</sup>odze pokoju i co doprowadzi<sup>3</sup>o go do <sup>3</sup>ez, a byæ moŹe w odpowiedzi na pytanie brata.

Dylan uj<sup>13</sup> Shepa za podbródek i delikatnie uniós<sup>3</sup> mu g<sup>3</sup>owê. - Co siê dzieje?

Byæ moŹe Shep zrozumia<sup>3</sup>, o co chodzi bratu, ale nawet pa-trz<sup>1</sup>c mu prosto w oczy, Dylan ujrza<sup>3</sup> tylko nieprzeniknion<sup>1</sup> ta-jemnicê trudniejsz<sup>1</sup> do rozszyfrowania niŹ hieroglify egipskie.

Gdy jego ciemne oczy trochê obesch<sup>3</sup>y, ch<sup>3</sup>opak powiedzia<sup>3</sup>: - Ksiê<sup>1</sup>yca, oko nocy, lampa lunarna, zielony kr<sup>1</sup>g, niebiañ-ska latarnia, galeon widmo, œwietlisty wêdrowiec...

To znajome zachowanie, wynikaj<sup>1</sup>ce zapewne z prawdziwej obsesji na punkcie synonimów, a moŹe

bêd<sup>1</sup>ce kolejn<sup>1</sup> technik<sup>1</sup> unikania normalnej rozmowy, mimo up<sup>3</sup>ywu lat wci<sup>1</sup> jeszcze czasami drażni<sup>3</sup>o Dylana. Teraz, gdy w jego źy<sup>3</sup>ach kr<sup>1</sup>ży<sup>3</sup>o nie-zidentyfikowane z<sup>3</sup>ociste serum, a z wiatrem pustyni gnali do nich okrutni mordercy, rozdrażnienie szybko przerodzi<sup>3</sup>o się w irytację i z<sup>3</sup>oœæ.

- ...srebrzysty glob, lampa jesiennej pe<sup>3</sup>ni, najwy<sup>3</sup>szy w<sup>3</sup>ad-ca prawdziwej melancholii.

Trzymaj<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>oñ pod brod<sup>1</sup> brata i <sup>3</sup>agodnie staraj<sup>1</sup>c się sku-piaæ na sobie jego uwagê, Dylan rzek<sup>3</sup>:

- A to ostatnie - to Szekspir? Nie cytuj mi Szekspira, Shep. Lepiej zareaguj. Co się dzieje? Pospiesz się i pomôż mi. O co chodzi z tym ksiê<sup>1</sup>ycem? Dlaczego się denerwujesz? Co mogê zrobiaæ, żebyœ się lepiej poczu<sup>3</sup>?

Wyczerpawszy zasób synonimów i metafor ksiê<sup>1</sup>yca, Shep skupi<sup>3</sup> się na s<sup>3</sup>owie „œwiat<sup>3</sup>o”, klepi<sup>1</sup>c z uporem, który œwiadczy<sup>3</sup>, że w jego s<sup>3</sup>owach kryje się wiêcej znaczenia, ni<sup>3</sup> się wydaje:

- Œwiat<sup>3</sup>o, iluminacja, blask, promieñ, jasnoœæ, œwietlistoœæ, b<sup>3</sup>ysek, loenienie, najstarsza cœra Boga...

- Shep, przestañ - powiedzia<sup>3</sup>: stanowczo Dylan, unikaj<sup>1</sup>c jednak surowego tonu. - Nie przemawiaj do mnie, ale ze mn<sup>1</sup> rozmawiaj.

Shep wcale nie próbowa<sup>3</sup> odwróciæ się od brata. Zamkn<sup>13</sup> tylko oczy, grzebi<sup>1</sup>c resztki nadziei, że kontakt wzrokowy do-prowadzi w koñcu do sensownej rozmowy.

- ...promiennoœæ, ogieñ, po<sup>3</sup>ar, <sup>3</sup>una, p<sup>3</sup>omieñ... - Pomôż mi - b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup> Dylan. - Spakuj uk<sup>3</sup>adankê. - ...po<sup>3</sup>ysek, odb<sup>3</sup>ysek, poblask...

Dylan spojrze<sup>3</sup> na stopy Shepa w samych skarpetkach. - W<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> buty, dziecko.

- ...jarzenie się, żarzenie się, poœwiata...

- Spakuj uk<sup>3</sup>adankê, w<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> buty. - Cierpliwe powtarzanie czasem sk<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>o Shepa do dzia<sup>3</sup>ania. - Uk<sup>3</sup>adanka, buty. Uk<sup>3</sup>a-danka, buty.

- ...przeb<sup>3</sup>ysek, odb<sup>3</sup>lask, migot, migotanie - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Shep, poruszaj<sup>1</sup>c ga<sup>3</sup>kami ocznymi pod powiekami, jakby g<sup>3</sup>êboko spa<sup>3</sup> i ceni<sup>3</sup>.

Jedna walizka sta<sup>3</sup>a obok <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ka, druga le<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a otwarta na ko-modzie. Dylan zamkn<sup>13</sup> otwart<sup>1</sup> torbê, podniós<sup>3</sup> obie i podszed<sup>3</sup> do drzwi.

- Shep. Uk<sup>3</sup>adanka, buty. Uk<sup>3</sup>adanka, buty. Stoj<sup>1</sup>c tam, gdzie zostawi<sup>3</sup> go brat, Shep recytowa<sup>3</sup>: - Iskra, iskrzenie, p<sup>3</sup>omyk...

Aby rozdrażnienie nie przerodzi<sup>3</sup>o się w wybuch wœciek<sup>3</sup>o-œci, Dylan otworzy<sup>3</sup> drzwi i wystawi<sup>3</sup> na zewn<sup>1</sup>trz walizki. Po-wietrze wieczoru wci<sup>1</sup> przypomina<sup>3</sup>o buchaj<sup>1</sup>cy z pieca żar, wy-suszony jak spalona skôrka grzanki.

Na niemal pustym parking pada<sup>3</sup> żó<sup>3</sup>ty blask latarni, jak suchy deszcz, wsi<sup>1</sup>kaj<sup>1</sup>c natychmiast w czarny asfalt niczym promienie œwiat<sup>3</sup>a wsysane przez czarn<sup>1</sup> dziurê. Szerokie cienie o ostro zary-sowanych krawêdziach przywodzi<sup>3</sup>y na myœl gilotynê, wzmagaj<sup>1</sup>c nastrój oczekiwania na egzekucjê, ale Dylan nie zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>, by te-ren motelu roi<sup>3</sup> się od oddzia<sup>3</sup>ów zabójców zbrojnych w pistolety.

Jego bia<sup>3</sup>y ford expedition sta<sup>3</sup> zaparkowany niedaleko. W przymocowanym do dachu wodoszczelnym bagażniku Dy-lan trzyma<sup>3</sup> swoje malarskie akcesoria, a tak<sup>3</sup>e gotowe obrazy, które wystawi<sup>3</sup> na sprzeda<sup>3</sup> na niedawnym festiwalu sztuki w Tucson (gdzie sprzeda<sup>3</sup> piêæ) i zamierza<sup>3</sup> wystawiaæ tak<sup>3</sup>e w Santa Fe na podobnych imprezach.

Otwieraj<sup>1</sup>c tyln<sup>1</sup> klapê i szybko <sup>3</sup>aduj<sup>1</sup>c walizki do samo-chodu, rozejrze<sup>3</sup> się w prawo i w lewo, obejrza<sup>3</sup> się te<sup>3</sup> za siebie w obawie przed ponownym atakiem, jak gdyby się spodziewa<sup>3</sup>, że stukniêci lekarze z ogromnymi strzykawkami wype<sup>3</sup>nionymi szpryc<sup>1</sup> poruszaj<sup>1</sup> się w stadach jak kojoty w pustynnych ka-nionach, wilki w dziewiczych lasach i adwokaci wietrz<sup>1</sup>cy oka-zjê, by wyst<sup>1</sup>piæ o odszkodowanie dla ofiary.

Kiedy wróci<sup>3</sup> do pokoju, zasta<sup>3</sup> Shepa dok<sup>3</sup>adnie w tym sa-mym miejscu, gdzie go zostawi<sup>3</sup>: ch<sup>3</sup>opak wci<sup>1</sup>; by<sup>3</sup> w skarpet-kach, mia<sup>3</sup> zamkniête oczy i demonstrowa<sup>3</sup> imponuj<sup>1</sup>ce s<sup>3</sup>ow-nictwo:

- ...fluorescencja, fosforescencja, bioluminescencja... Dylan przypad<sup>3</sup> do biurka, rozsypa<sup>3</sup> u<sup>3</sup>o<sup>3</sup>on<sup>1</sup>

czêœæ obrazka i powrzuca<sup>3</sup> kawa<sup>3</sup>ki œwi<sup>1</sup>tyni sinto i drzew wiœniowych do pu-de<sup>3</sup>ka. Wola<sup>3</sup>by zostawiaæ uk<sup>3</sup>adankê, żeby by<sup>3</sup>o szybciej, ale przypuszcza<sup>3</sup>, że Shep nie zgodzi<sup>3</sup>by się bez niej wyjechaæ.

Shepherd na pewno us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> i rozpozna<sup>3</sup> charakterystyczny odg<sup>3</sup>os wsypywania do kartonu elementów obrazka. Zazwyczaj ruszy<sup>3</sup>by od razu, by broniaæ swej niedokoñczonej pracy, lecz nie tym razem. Z zamkniêtymi oczami kontynuowa<sup>3</sup> monotonne wyliczanie wielu nazw i form œwiat<sup>3</sup>a:

- ...b<sup>3</sup>ysskawica, wy<sup>3</sup>adowanie, skacz<sup>1</sup>ca iskra, grom, piorun roz<sup>3</sup>upuj<sup>1</sup>cy drzewa...

Nak<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c wieczko na pude<sup>3</sup>ko, Dylan odwróci<sup>3</sup> siê od biurka i obrzuci<sup>3</sup> przelotnym spojrzeniem buty brata. Rockpor-ty, takie same jak Dylana, ale mniejsze o kilka numerów. Za du<sup>3</sup>o zachodu, i<sup>3</sup>eby posadziæ ch<sup>3</sup>opca na skraju <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ka, wsun<sup>1</sup>æ mu stopy w buty i zawi<sup>1</sup>zaæ sznurowad<sup>3</sup>a. Dylan porwa<sup>3</sup> je z pod<sup>3</sup>ogi i postawi<sup>3</sup> na pude<sup>3</sup>ku z uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup>.

- ...p<sup>3</sup>omieñ œwiecy, blask lampy, ogieñ pochodni... Dylana zaczê<sup>3</sup>o piec i swêdzieæ miejsce po zastrzyku. Po-wstrzyma<sup>3</sup> siê, by zedrzeæ plaster z rysunkiem psa i podrapaæ rankê po uk<sup>3</sup>uciu, poniewa<sup>3</sup> obawia<sup>3</sup> siê, i<sup>3</sup>e kolorowy opatru-nek kryje okropny dowód, i<sup>3</sup> substancja w strzykawce by<sup>3</sup>a gor-sza ni<sup>3</sup> narkotyk, gorsza ni<sup>3</sup> zwyk<sup>3</sup>y œrodek toksyczny, gorsza ni<sup>3</sup> wszystkie znane choroby. Pod maleñkim trójk<sup>1</sup>tem gazy mó<sup>3</sup> siê czaiæ coraz wiêkszy drgaj<sup>1</sup>cy pomarañczowy grzyb al-bo czarna wysypka, albo pierwszy znak, i<sup>3</sup>e jego skóra zaczyna siê przekszta<sup>3</sup>caæ w zielone <sup>3</sup>uski, a on z cz<sup>3</sup>owieka zmienia siê w gada. Udrêczony obrazami prosto z „Archiwum X” nie mia<sup>3</sup> odwagi sprawdzaæ przyczyny swêdzenia.

- ...blask ognia, œwiat<sup>3</sup>o gazowe, fosforyzowanie, fatamor-gana...

Dÿwigaj<sup>1</sup>c uk<sup>3</sup>adankê i obuwie brata, Dylan wbieg<sup>3</sup> do <sup>3</sup>a-zienki, mijaj<sup>1</sup>c Shepa. Nie zd<sup>1</sup>i<sup>3</sup>y<sup>3</sup> rozpakowaæ szczoteczek do zêbów ani przyborów do golenia, ale na p<sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ce obok umywalki postawi<sup>3</sup> plastikow<sup>1</sup> fiolkê z przepisaniem lekiem przeciwhistaminowym. W tym momencie najmniej przejmowa<sup>3</sup> siê alergi<sup>1</sup>; mimo to, nawet gdyby mia<sup>3</sup> zostaæ po<sup>3</sup>arty i<sup>3</sup>ywcem przez z<sup>3</sup>oeli-wy pomarañczowy grzyb, zmieniaj<sup>1</sup>c siê równoczenie w gada œciganego przez okrutnych morderców, wola<sup>3</sup> unikn<sup>1</sup>æ kompli-kacji w postaci kataru i bólu zatok.

- ...chemoluminescencja, krystaloluminescencja, przeciw-blask...

Wracaj<sup>1</sup>c z <sup>3</sup>azienki, Dylan powiedzia<sup>3</sup> z nadziej<sup>1</sup> w g<sup>3</sup>osie: - Shep, chodÿmy. Ruszaj siê, idziemy.

- ...promieniowanie fioletowe, promieniowanie ultrafiole-towe...

- Mówiê powa<sup>3</sup>nie, Shep.

- ...promieniowanie podczerwone... - Shep, wpakujemy siê w k<sup>3</sup>opoty. - ...promieniowanie aktywnicne...

- Nie zmuszaj mnie, i<sup>3</sup>ebym by<sup>3</sup> niemi<sup>3</sup>y - b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup> Dylan. - ...dzieñ, œwit...

- Proszê ciê, nie zmuszaj mnie, i<sup>3</sup>ebym by<sup>3</sup> niemi<sup>3</sup>y. - ...œwiat<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>oneczne, promieñ s<sup>3</sup>oñca...

**8**-Skruwiel - powtórzy<sup>3</sup>a Jilly, zwracaj<sup>1</sup>c siê do zamkniêtych drzwi, a potem chyba mia<sup>3</sup>a chwilê przerwy, bo stwierdzi<sup>3</sup>a, i<sup>3</sup>e nie le<sup>3</sup>y ju<sup>3</sup> w ko<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>cym siê <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ku, ale twarz<sup>1</sup> na pod<sup>3</sup>odze. Przez moment nie potrafi<sup>3</sup>a sobie przypomnieæ, gdzie jest, lecz smród brudnego dywanu nie pozostawia<sup>3</sup> i<sup>3</sup>ad-nych z<sup>3</sup>udzeñ, i<sup>3</sup>e nie zamieszka<sup>3</sup>a w apartamencie prezydenckim w Ritzu-Carltonie.

Bohatersko wygramoli<sup>3</sup>a siê na kolana i na czworakach od-sunê<sup>3</sup>a siê od zdradzieckiego ló<sup>3</sup>ka. Kiedy siê zorientowa<sup>3</sup>a, i<sup>3</sup>e telefon stoi na nocnym stoliku, wykona<sup>3</sup>a zwrot o sto osiem-dziesiêt stopni i wróci<sup>3</sup>a tam, sk<sup>1</sup>d przysza<sup>3</sup>a.

Siêgnê<sup>3</sup>a w górê, potr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a zegar, wreszcie zdjê<sup>3</sup>a ze stolika te-lefon. Łatwo posz<sup>3</sup>o, bo na końcu aparatu dynda<sup>3</sup> zerwany ka-bel. Widocznie mi<sup>3</sup>oecnik fistaszków odci<sup>13</sup> go, i<sup>3</sup>eby uniemo<sup>3</sup>li-wiaæ jej wezwanie glin.

Jilly zastanawia<sup>3</sup>a siê przez chwilê, czy nie zacz<sup>1</sup>æ wo<sup>3</sup>æ o pomoc, niepokoi<sup>3</sup>a siê jednak, i<sup>3</sup>e napastnik, jeœli nadal by<sup>3</sup> bli-sko, mo<sup>3</sup>e zareagowaæ pierwszy. Nie mia<sup>3</sup>a ochoty na nastêpny zastrzyk, nie chcia<sup>3</sup>a zostaæ og<sup>3</sup>uszona kopniakiem w g<sup>3</sup>owê i nie zamierza<sup>3</sup>a znów wys<sup>3</sup>uchiwaæ brzêcz<sup>1</sup>cego monologu.

Koncentruj<sup>1</sup>c siê i wytê<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c wszystkie swoje si<sup>3</sup>y Amazonki, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a dÿwign<sup>1</sup>æ siê z pod<sup>3</sup>ogi i si<sup>1</sup>œæ na skraju <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ka. Œwietnie. Uœmiechnê<sup>3</sup>a siê w nag<sup>3</sup>ym przyp<sup>3</sup>ywie dumy. Nasza mafia potra-fi sama usi<sup>1</sup>œæ.

Podbudowana sukcesem, Jilly spróbowa<sup>3</sup>a wstaæ. Zachwia<sup>3</sup>a siê, przytrzymuj<sup>1</sup>c siê rêk<sup>1</sup> nocnego stolika, by utrzymaæ rów-nowagê, jednak mimo i<sup>3</sup>e kolana siê pod ni<sup>1</sup> ugiê<sup>3</sup>y, nie upad<sup>3</sup>a. Znowu posz<sup>3</sup>o, œwietnie. Nasza ma<sup>3</sup>a umie sama prosto staa, jak gatunek z rzêdu naczelnych i na pewno proœciej ni<sup>3</sup> niektórzy jego przedstawiciele.

Jednak najbardziej zadowolona by<sup>3</sup>a z tego, i<sup>3</sup>e nie zwymio-towa<sup>3</sup>a, choæ wczêciej by<sup>3</sup>a pewna, i<sup>3</sup>e to nieuniknione. Ju<sup>3</sup> nie czu<sup>3</sup>a md<sup>3</sup>oeci, ale czu<sup>3</sup>a siê... dziwnie.



Przekonana, że umie stać, nie opierając się o meble, i że przypomni sobie, jak się chodzi, kiedy tylko spróbuje, Jilly ruszyła w stronę drzwi lukiem, aby zrównoważyć lekkie huśtanie podłogi przypominające kołysanie pokładu statku na spokojnym morzu.

Musiła się zmierzyć z technicznym wyzwaniem, jakie stanowiła klamka, lecz gdy po krótkich manipulacjach otworzyła drzwi i pokonała próg, ciepły wieczór ożywił ją o wiele lepiej niż chłod pokoju motelowego. Suche, wywołujące pragnienie powietrze pustyni wyssało z niej wilgoć, a razem z wilgocią resztki zamroczenia.

Skręciła w prawo, w kierunku biura motelu znajdującego się na końcu przygnębionego i skomplikowanego ciągu zadaszonych korytarzyków, który wzorowano zapewne na labiryncie przeznaczonym dla szczurów laboratoryjnych.

Po kilku krokach zorientowała się, że jej cadillac coupe de-ville znikł<sup>13</sup>. Zaparkowała samochód dwadzieścia stóp od drzwi pokoju; jednak wcale nie stał tam, gdzie go zostawiła, o ile dobrze pamiętała. Pozostał pusty asfalt.

Ruszyła zygakiem w stronę opuszczonego miejsca parkingowego, wpatrując się w nawierzchnię, jak gdyby spodziewała się tam znaleźć wyjaśnienie zniknięcia auta: być może zwiędła, lecz miał notkę:

„Wyrazy wdzięczności, ukochana, twój grana-towy zaadowany po brzegi cadillac coupe deville”.

Znalazła tylko pięć paczek fistaszków, upuszczoną zapewne przez ucemiechniętego komiwojażera-który-nie-był-komiwojażerem, i martwego, lecz mimo to imponującego żuka kształtu i wielkości podobnego awokado. Owad leżał na leńcym pancerzu, z wycięgniętymi sztywno szczękami odnożami, ale jego widok wzbudził w Jilly o wiele mniej uczucia, niż gdyby to było koćtko lub szczenię.

Nie przejawiając zainteresowania entomologią, zostawiła żuka z wyprężonymi nogami, ale pochyliła się, żeby wziąć z jezdni torebkę orzeszków. Po lekturze Agaty Christie, gdy tylko zobaczyła fistaszki, była przekonana, że znalazła cenny celad, za który policja będzie jej wdzięczna.

Prostując się, stwierdziła, że ciepłe i suche powietrze wcale nie usunęło skutków działania narkozy tak skutecznie, jak sldziła. Kiedy zawroty głowy minęły, zastanawiała się, czy dobrze zapamiętała miejsce zaparkowania cadillaca. Być może stał dwadzieścia stóp w lewo od pokoju, a nie w prawo.

Patrząc w tamtą stronę, ujrzała białego forda expedition w odległości kilkunastu stóp. Jej samochód mógł stać po drugiej stronie terenowego auta.

Przestąpiwszy żuka, wróciła do zadashzonego korytarzyka. Zbliżyła się do forda, zdając sobie sprawę, że zmierza w kierunku wnęki z automatami, gdzie może sobie kupić następne piwo korzenne, przez które wpackowała się w tę kabałę.

Gdy minęła furgonetkę i nie znalazła cadillaca, zauważyła dwóch ludzi biegnących w jej stronę. Zanim zdążyła się przyrzec uważniej dziwacznej parze, powiedziały:

- Ten ucemiechnięty gnojek ukradł mi samochód.

Pierwszy z mężczyzn - wysoki i zbudowany jak zawodnik ligi futbolowej - niósł podobny wielkoceci opakowania pizzy, na którym chwiała się para butów. Mimo zwałistej postury nie wyglądał ani trochę groźnie, być może dlatego, że przypominał niedźwiedzia. Nie krwiożerczego grizzly gotowego wypruć każdą demu flaki, ale dobrotliwego misia fajtapa z filmu Disneya. Był ubrany w wymięte spodnie khaki i różno-niebieskie koszulki ha-wajskie, a na jego twarzy malowała się wyraz gębokiego zatroskania, jak gdyby wacenie ogocił ul z miodu i spodziewał się ataku roju rozgniewanych pszczoł.

Towarzyszył mu niższy i młodszy mężczyzna - miał może pięć stóp i dziewięć, dziesięć cali wzrostu i ważył jakiegoś sto sześćdziesiąt funtów - ubrany w niebieskie dżinsy i białą koszulkę z rysunkiem kojota, nieszczęsnego przeceładowcy Strusia Pędzi-wiatra. Był bez butów i siedział za wyższym mężczyzną z ociąganiem; na prawej nodze miał porządnie nałożoną skarpetkę, ale lewa była luźna i powóczył nią przy każdym kroku.

Mimo że fan kojota trzymał bezwładnie opuszczone ręce i nie stawiał oporu, Jilly doszła do wniosku, że wcale nie ma ochoty iść z niedźwiedziowatym, ponieważ był cięgnięty za ucho. Z początku zdawało się jej, że niższy protestuje przeciw takiemu upokorzeniu. Gdy zbliżyli się do niej, usłyszała wyraźniej słowa młodszego i raczej nie mógł ich zinterpretować jako sprzeciwu.

- ...elektroluminescencja, luminescencja katodowa... Niedźwiedziowaty przystanł przed Jilly,

zatrzymuj<sup>1</sup>c też ni<sup>2</sup>szego. G<sup>3</sup>osem znacznie ni<sup>2</sup>szym - lecz nie mniej <sup>3</sup>agodnym - od g<sup>3</sup>osu Kubusia Puchatka, powiedzia<sup>3</sup>:

- Przepraszam, ale nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, co pani mówi<sup>3</sup>a. Przechyla<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê z powodu d<sup>3</sup>oni trzymaj<sup>1</sup>cej go za lewe ucho, m<sup>3</sup>odszy ca<sup>3</sup>y czas gada<sup>3</sup>, ale chyba nie zwracaj<sup>1</sup>c siê ani do zwałistego, ani do Jilly:

- ...nimb, aureola, halo, korona, halo przys<sup>3</sup>oneczne...

Nie by<sup>3</sup>a pewna, czy to spotkanie rzeczywiście jest tak oso-bliwe, jak siê wydawa<sup>3</sup>o, czy mo<sup>2</sup>e jej percepcjê zaburza<sup>1</sup> d<sup>3</sup>ugo-trwa<sup>3</sup>e skutki narkozy. G<sup>3</sup>os rozs<sup>1</sup>dku nakazywa<sup>3</sup> jej milcze<sup>3</sup>a i czym prêdziej bieć do biura motelu, byle dalej od pary niezna-jomych, ale g<sup>3</sup>os rozs<sup>1</sup>dku by<sup>3</sup> ledwie szeptem, powtórzy<sup>3</sup>a wiêc: - Ten uemiechniêty gnojek ukrad<sup>3</sup> mi samochód.

- ...zorza polarna po<sup>3</sup>udniowa, zorza polarna pó<sup>3</sup>nocna, œwiat<sup>3</sup>o gwiazd...

Zauwa<sup>2</sup>aj<sup>1</sup>c wzrok Jilly, wielkolud rzek<sup>3</sup>: - To mój brat, Shep.

- ...œwiat<sup>3</sup>oœæ, stopoœwieca, strumieñ œwietlny...

- Mi<sup>3</sup>o mi ciê pozna<sup>3</sup>e, Shep - powiedzia<sup>3</sup>a, nie dlatego, <sup>2</sup>e rzeczywiście by<sup>3</sup>o jej mi<sup>3</sup>o, ale nie wiedzia<sup>3</sup>a, co innego mo<sup>2</sup>na powiedzie<sup>3</sup>a, bo nigdy wczecniej nie znalaz<sup>3</sup>a siê w takiej sy-tuacji.

- ...kwant œwiat<sup>3</sup>a, foton, bougie decimale - rzek<sup>3</sup> Shep, nie patrz<sup>1</sup>c jej w oczy i dalej wyrzuca<sup>1</sup>c z siebie potok bezsensow-nych s<sup>3</sup>ów, gdy Jilly rozmawia<sup>3</sup>a z jego starszym bratem.

- Jestem Dylan.

Wcale nie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na Dylana. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> jak Bruno albo Samson, albo łagodny Ben.

- Shep jest trochê chory - wyjaeni<sup>3</sup> Dylan. - Ale nieszkodli-wy. Nie bój siê. Jest tylko... niezupe<sup>3</sup>nie normalny.

- A kto dzie<sup>3</sup> jest? - odpar<sup>3</sup>a Jilly. - Normalnoœæ skoñczy<sup>3</sup>a siê mo<sup>2</sup>e w 1953 roku. - Czuj<sup>1</sup>c nawróć zamroczenia, opar<sup>3</sup>a siê o jeden ze s<sup>3</sup>upków podtrzymuj<sup>1</sup>cych zadaszenie korytarzyka. - Muszê wezwaa<sup>3</sup> gliny.

- Powiedzia<sup>3</sup>a pani „uemiechniêty gnojek”.

- Dwa razy.

- Jaki uemiechniêty gnojek? - spyta<sup>3</sup> z takim zaniepokojeni-em, jak gdyby chodzi<sup>3</sup>o o jego samochód, nie jej.

- Uemiechniêty gnojek, który je orzeszki, wbija ig<sup>3</sup>y i krad-nie samochody, taki gnojek.

- Ma pani coœ na rêce.

Zerknê<sup>3</sup>a ciekawie, spodziewaj<sup>1</sup>c siê ujrze<sup>3</sup>a zmartwychwsta-<sup>3</sup>ego <sup>2</sup>uka.

- Ach, to plaster.

- Króliczek - powiedzia<sup>3</sup>, marszcz<sup>1</sup>c z niepokojem szerok<sup>1</sup> twarz.

- Nie, plaster.

- Króliczek - upiera<sup>3</sup> siê. - Sukinsyn da<sup>3</sup> pani królika. Ja mam tañcz<sup>1</sup>cego psa.

W zadaszonym przejoœciu by<sup>3</sup>o doœæ œwiat<sup>3</sup>a, by Jilly zauwa-<sup>2</sup>y<sup>3</sup>a, <sup>2</sup>e oboje paraduj<sup>1</sup> z opatrunkami dla dzieci: ona ma kolo-rowego figlarnego królika, on rozradowanego szczeniaka.

Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a glos Shepa, który mówi<sup>3</sup> nieprzerwanie: - ...lumen, kandelogodzina, lumenogodzina...

Przesta<sup>3</sup>a go s<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>, przypominaj<sup>1</sup>c sobie:

- Muszê wezwaa<sup>3</sup> gliny.

Dylan, który do tej pory mówi<sup>3</sup> bardzo serio, przemówi<sup>3</sup> jeszcze powa<sup>2</sup>niej:

- Nie, nie. Lepiej nie mieszajmy w to glin. Nie mówi<sup>3</sup> pani, co siê ma sta<sup>3</sup>e?

- On, czyli kto?

- Stukniêty lekarz.

- Jaki lekarz?

- Ten gnojek wbijaj<sup>1</sup>cy ig<sup>3</sup>y

- To by<sup>3</sup> lekarz? Mnie siê wydawa<sup>3</sup>o, <sup>2</sup>e to komiwoja<sup>2</sup>er. - Dlaczego s<sup>1</sup>dzi pani, <sup>2</sup>e to komiwoja<sup>2</sup>er?

Jilly zmarszczy<sup>3</sup>a brwi. - Nie jestem pewna.

- Oczywiście, <sup>2</sup>e to by<sup>3</sup> jakioœ stukniêty lekarz.

- To dlaczego rozbija siê po motelu, atakuje ludzi i kradnie cadillaki? Czemu nie zabija pacjentów w swoim prywatnym ga-binecie, tak jak powinien?

- Nic pani nie jest? - zapyta<sup>3</sup> Dylan, przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê jej uwa<sup>2</sup>niej. - Nie wygl<sup>1</sup>da pani za dobrze.

- Prawie się porzyga<sup>3</sup>am, potem uda<sup>3</sup>o mi się powstrzyma<sup>æ</sup>, potem znowu chcia<sup>3</sup>am wymiotowa<sup>æ</sup> i znowu nic. To przez nar-kozê.

- Jak<sup>1</sup> nar-kozê?

- Chyba chloroform. Stuknięty komiwoja<sup>ç</sup>er. - Pokręci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. - Nie, ma pan rację, to musia<sup>3</sup> być lekarz. Komiwoja<sup>ç</sup>e-rowie nie podaj<sup>1</sup> narkozy.

- Mnie po prostu wałn<sup>13</sup> w g<sup>3</sup>owê.

- To bardziej podobne do komiwoja<sup>ç</sup>era. Muszê zadzwoni<sup>æ</sup> po gliny.

- Nie ma mowy. Nie mówi<sup>3</sup> pani, że zaraz zjawi<sup>1</sup> się tu za-wodowi mordercy?

- Ciesz<sup>æ</sup> się, że nie amatorzy. Jeżeli już trzeba zgin<sup>1</sup>æ, lepiej z ręki profesjonalisty. A w ogóle wierzy mu pan? To bandyta i z<sup>3</sup>odziej samochodów.

- Wydaje mi się, że mówi<sup>3</sup> prawdę.

- To zak<sup>3</sup>amany worek <sup>3</sup>ajna - upiera<sup>3</sup>a się.

- Przewrocysto<sup>æ</sup>, promienisto<sup>æ</sup>, pochodnia s<sup>3</sup>oneczna - powiedzia<sup>3</sup>, Shep, tak to w ka<sup>ç</sup>dym razie brzmi<sup>3</sup>o, cho<sup>æ</sup> Jilly nie by<sup>3</sup>a pewna, czy które<sup>æ</sup> z tych sylab faktycznie s<sup>1</sup> s<sup>3</sup>owami.

Dylan spojrz<sup>3</sup> na co<sup>æ</sup> ponad ramieniem Jilly i kiedy dał się s<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup> ryk silników, obejrza<sup>3</sup>a się, szukaj<sup>1</sup>c Ÿród<sup>3</sup>a tego d<sup>3</sup>więku. Obok parkingu bieg<sup>3</sup>a ulica. Jej przeciwleg<sup>3</sup>1 stronê os<sup>3</sup>ania<sup>3</sup> nasyp, nad którym ze wschodu na zachód, równoległe do szla-ku ksiê<sup>ç</sup>yca, przebiega<sup>3</sup>a autostrada międzystanowa. Po luku zjazdu mknê<sup>3</sup>y z zawrotn<sup>1</sup> szybkości<sup>1</sup> trzy wozy terenowe.

- ...œwiat<sup>3</sup>o, iluminacja, blask, promień...

- Shep, chyba się powtarzasz - powiedzia<sup>3</sup>, Dylan, nie odry-waj<sup>1</sup>c wzroku od trzech wozów.

By<sup>3</sup>y to trzy identyczne chevrolety suburbany. Szyby ciemne jak przy<sup>3</sup>bica Dartha Vadera skutecznie ukrywa<sup>3</sup>y pasa<sup>ç</sup>erów. - ...jasno<sup>æ</sup>, œwietlisto<sup>æ</sup>, b<sup>3</sup>ysk, loeniecie...

Nawet nie próbuj<sup>1</sup>c hamowa<sup>æ</sup>, pierwszy chevrolet przejecha<sup>3</sup> znak stopu na dole zjazdu i przeci<sup>13</sup> cich<sup>1</sup> dot<sup>1</sup>d ulicê. By<sup>3</sup>a to p<sup>3</sup>nocna strona motelu, a wjazd na parking znajdowa<sup>3</sup> się od frontu kompleksu budynków, od strony zachodniej. Nie zatrzy-muj<sup>1</sup>c się pod znakiem stopu, kierowca okaza<sup>3</sup> brak respektu wobec kodeksu drogowego; teraz z fantazj<sup>1</sup> zademonstrowa<sup>3</sup> brak poszanowania dla tradycyjnej konstrukcji drogi. Chevro-let przeskoczy<sup>3</sup> krawê<sup>ç</sup>nik, przery<sup>3</sup> szeroki na dziesię<sup>æ</sup> stóp pas zieleni, wyrzucaj<sup>1</sup>c spod kó<sup>3</sup> grudki ziemi i zmia<sup>ç</sup>d<sup>ç</sup>one kawa<sup>3</sup>ki kwitn<sup>1</sup>cej lantany, unkn<sup>13</sup> zderzenia z drugim krawê<sup>ç</sup>nikiem, wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup> czterema ko<sup>3</sup>ami na parkingu mniej wiêcej sze<sup>æ</sup>ædzie-si<sup>1</sup>t stóp od Jilly, ostro skrêci<sup>3</sup>, nie za<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c gum, i pomkn<sup>13</sup> na zachód, na ty<sup>3</sup>y motelu.

- ...promienno<sup>æ</sup>, ogień, po<sup>ç</sup>ar...

Drugi chevrolet suburban pod<sup>1</sup>çy<sup>3</sup> za pierwszym, a trzeci za nim, siekaj<sup>1</sup>c nastêpne porcje sa<sup>3</sup>atki z lantany. Jednak kiedy dwa pozosta<sup>æ</sup>e samochody znalaz<sup>3</sup>y się na parkingu, drugi, za-miast jecha<sup>æ</sup> za pierwszym, skrêci<sup>3</sup> na wschód w kierunku fron-tu motelu. Trzeci ruszy<sup>3</sup> prosto na Jilly, Dylana i Shepa.

- ...<sup>3</sup>una, p<sup>3</sup>omieñ...

Gdy Jilly pomyœla<sup>3</sup>a, że furgonetka zaraz ich rozjedzie i roz-wa<sup>ç</sup>a<sup>3</sup>a, czy uskoczy<sup>æ</sup> w lewo, czy w prawo, zastanawiaj<sup>1</sup>c się równoczenie, czy jednak nie zwymiotowa<sup>æ</sup>, trzeci kierowca okaza<sup>3</sup> się nie gorszym showmanem ni<sup>ç</sup> jego dwaj koledzy. Chevrolet zahamowa<sup>3</sup> tak ostro, że niemal zary<sup>3</sup> przednim zde-rzakiem w ziemiê. Na dachu nagle rozb<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>y cztery ruchome re-flektory, wziê<sup>3</sup>y ich na cel i zala<sup>3</sup>y ostrym œwiat<sup>3</sup>em o mocy zdol-nej upiec szpik w koeciach.

- ...po<sup>3</sup>ysk, odb<sup>3</sup>ysk, poblask...

Jilly mia<sup>3</sup>a wrzê<sup>ç</sup>enie, jak gdyby zamiast przed zwyk<sup>3</sup>ym ziemskim pojazdem stanê<sup>3</sup>a przed wehiku<sup>3</sup>em kosmitów, któ-rzy przeciewiel<sup>1</sup> jej cia<sup>3</sup>o, wyss<sup>1</sup> umys<sup>3</sup> i przeszukaj<sup>1</sup> duszê promieniami rejestruj<sup>1</sup>cymi dane, w ci<sup>1</sup>gu sze<sup>æ</sup>ciu sekund po-licz<sup>1</sup> atomy w jej ciele, przejrz<sup>1</sup> wspomnienia z ca<sup>3</sup>ego çy<sup>ç</sup>ia, poczynaj<sup>1</sup>c od chwili, gdy niechêtnie opuœci<sup>3</sup>a <sup>3</sup>ono matki, i wydrukuj<sup>1</sup> surow<sup>1</sup> naganê za ç<sup>3</sup>osny stan postrzêpionej bie-lizny.

Po chwili reflektory zgas<sup>3</sup>y, a przed jej oczami mignê<sup>3</sup>y cienie œwiata<sup>3</sup> jak fosforyzuj<sup>1</sup>ce meduzy. Gdyby nawet nie zosta<sup>3</sup>a œcie-piona, nie potrafi<sup>3</sup>aby dojrze<sup>æ</sup> twarzy kierowcy ani nikogo inne-go siedz<sup>1</sup>cego w furgonetce. Szyby nie by<sup>3</sup>y po prostu przyciem-niane, ale zrobione chyba z jakiegoœ egzotycznego materia<sup>3</sup>u, przezroczytego od wewn<sup>1</sup>trz, a z zewn<sup>1</sup>trz nieprzeniknionego jak p<sup>3</sup>yta czarnego granitu.

Poniewa<sup>ç</sup> Jilly, Dylan i Shep nie stanowili - na razie - celu poszukiwañ, chevrolet skrêci<sup>3</sup>, wymijaj<sup>1</sup>c ich.

Kierowca wdusi<sup>3</sup> peda<sup>3</sup> gazu i wóz pomkn<sup>13</sup> na wschód, w kierunku frontu mote-lu, do<sup>31</sup>czaj<sup>1</sup>c do drugiego samochodu, który z piskiem opon skręci<sup>3</sup> już za róg budynku i znikn<sup>13</sup> im z oczu. Shep zamilk<sup>3</sup>.

Maj<sup>1</sup>c na myœli stukniêtego lekarza, który ostrzega<sup>3</sup>, Ÿe bêd<sup>1</sup> go œcigae bezwzglêdni ludzie, Dylan rzek<sup>3</sup>:  
- MoŸe jednak wcale nie by<sup>3</sup> z niego taki zak<sup>3</sup>amany worek <sup>3</sup>ajna.

**9** Nasta<sup>3</sup>y wyj<sup>1</sup>tkowe czasy, pe<sup>3</sup>ne szaleñców wy-g<sup>3</sup>aszaj<sup>1</sup>cych p<sup>3</sup>omienne mowy na czeœæ przemocy, zakochanych w bogu przemocy, czasy inwazji apologetów z<sup>3</sup>a, którzy obwi-niali ofiary za w<sup>3</sup>asne cierpienia i wybacza<sup>1</sup>li mordercom w imiê sprawiedliwoœci. Nasta<sup>3</sup>y czasy wci<sup>1</sup>Ÿ wstrz<sup>1</sup>sane intrygami uto-pistów, które w ubieg<sup>3</sup>ym wieku omal nie doprowadzi<sup>3</sup>y do ka-tastrofy cywilizacji, bombardowane niszczycielskimi kulami ide-ologii, które w pierwszych latach nowego milenium atakowa<sup>3</sup> z coraz mniejsz<sup>1</sup> si<sup>31</sup>, ale pozosta<sup>3</sup>o im jeszcze tyle mocy, by po-grzebaæ nadzieje rzesz, jeœli zdrowi na umyœle ludzie nie zacho-waj<sup>1</sup> czujnoœci. Dylan O'Conner rozumia<sup>3</sup> ten burzliwy wiek, mimo to zachowa<sup>3</sup> g<sup>3</sup>êboki optymizm, bo w kaŸdej chwili kaŸde-go dnia, w najlepszych dzie<sup>3</sup>ach ludzkoœci oraz we wszystkich barokowych detalach natury widzia<sup>3</sup> piêkno, które pokrzepia<sup>3</sup>o go na duchu, i wszêdzie odnajdywa<sup>3</sup> potê<sup>1</sup>ni<sup>1</sup> architekturê i sub-telnoœæ szczegó<sup>3</sup>ów, które przekonywa<sup>3</sup>y go, Ÿe œwiat ma rów-nie przemyœlan<sup>1</sup> konstrukcjê jak jego obrazy. Po<sup>31</sup>czenie reali-stycznej oceny, wiary, zdrowego rozs<sup>1</sup>dku i niezachwianej nadziei sprawia<sup>3</sup>o, Ÿe wydarzenia tych czasów rzadko wprawia<sup>3</sup>y go w zdumienie i przejmowa<sup>3</sup>y groz<sup>1</sup>, i nigdy nie pogr<sup>1</sup>Ÿa<sup>3</sup>y w rozpacz.

Dlatego teŸ, kiedy Dylan dowiedzia<sup>3</sup> siê, Ÿe przyjaciel i towa-rzysz podróŸy Jillian Jackson, Fred, jest sukulentem i pochodzi z po<sup>3</sup>udniowej Afryki, zdziwi<sup>3</sup> siê tylko trochê, w ogóle siê nie przerazi<sup>3</sup> i zamiast przygnêbienia poczu<sup>3</sup> ulgê. Gdyby chodzi<sup>3</sup>o o innego Freda, nie roelinê, mieliby znacznie wiêcej k<sup>3</sup>opotów i komplikacji niŸ z niewielk<sup>1</sup> zielon<sup>1</sup> istot<sup>1</sup> w glazurowanej do-nicy z terakoty.

Maj<sup>1</sup>c na uwadze trzy czarne chevrolety kr<sup>1</sup>Ÿce wokó<sup>3</sup> mo-telu jak trójka g<sup>3</sup>odnych rekinów grasuj<sup>1</sup>cych po asfaltowym morzu, Jilly pospiesznie spakowa<sup>3</sup>a swoje przybory toaletowe. Dylan za<sup>3</sup>adowa<sup>3</sup> jej neser i walizkê do forda przez tyln<sup>1</sup> klapê.

Zamieszanie zawsze wytr<sup>1</sup>ca<sup>3</sup>o biednego Shepa z równowa-gi, a gdy odczuwa<sup>3</sup> niepokój, bywa<sup>3</sup> najbardziej nieprzewidywal-ny. Teraz jednak, gdy najmniej moŸna siê by<sup>3</sup>o spodziewaa po nim pos<sup>3</sup>uszeñstwa, potulnie wdrapa<sup>3</sup> siê do forda. Usiad<sup>3</sup> obok p<sup>3</sup>óciennej torby z rozmaitymi przedmiotami, które Dylan wo-zi<sup>3</sup>, by zaj<sup>1</sup>æ nimi brata podczas d<sup>3</sup>ugich godzin podróŸy, gdy Shepa nudzi<sup>3</sup>o obserwowanie pustki czy ogl<sup>1</sup>danie w<sup>3</sup>asnych palców. Jilly upiera<sup>3</sup>a siê, Ÿe bêdzie trzymaæ Freda na kolanach,

Shep mia<sup>3</sup> wiêc tylne siedzenie tylko dla siebie, co powinno z<sup>3</sup>a-godziaæ jego niepokój.

Podchodz<sup>1</sup>c do forda z doniczk<sup>1</sup> w rêkach i czuj<sup>1</sup>c, Ÿe skut-ki narkozy wreszcie ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>y na dobre, Jilly zaczê<sup>3</sup>a mieæ nagle w<sup>1</sup>tpliwoœci, czy powinna wsiadaæ do samochodu z dwoma mê<sup>1</sup>czyznami, których zna dopiero od kilku minut.

- Równie dobrze móg<sup>3</sup>byœe byæ seryjnym morderc<sup>1</sup> - powie-dzia<sup>3</sup>a do Dylana, który otworzy<sup>3</sup> drzwi jej i Fredowi.

- Nie jestem seryjnym morderc<sup>1</sup>-zapewni<sup>3</sup> j<sup>1</sup>. - Tak w<sup>3</sup>acenie powiedzia<sup>3</sup>by seryjny morderca. - Tak samo powiedzia<sup>3</sup>by cz<sup>3</sup>owiek niewinny.

- Zgadza siê, ale tak w<sup>3</sup>acenie powiedzia<sup>3</sup>by seryjny morderca. - No juŸ, wsiadaj - rzek<sup>3</sup> niecierpliwie.

Ostro reaguj<sup>1</sup>c na jego ton, odpar<sup>3</sup>a: - Nie bêdziesz mi rozkazywa<sup>3</sup>.

- PrzecieŸ nie rozkazujê.

- Nikt w ostatnich stuleciach nie rozkazywa<sup>3</sup> nikomu z mo-jej rodziny.

- Wobec tego naprawdê musisz siê nazywaæ Rockefeller. Czy by<sup>3</sup>abyœe uprzejma wsi<sup>1</sup>œæ do samochodu?

- Nie jestem pewna, czy powinnam.

- Pamiêtasz te trzy chevrolety, które wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y jak pojazdy Terminatora?

- W końcu jednak nie zainteresowa<sup>3</sup>y się nami.

- Ale nied<sup>3</sup>ugo się zainteresuj<sup>1</sup> - ostrzeg<sup>3</sup>. - Wsiadaj do samochodu. "

- „Wsiadaj do samochodu, wsiadaj do samochodu”. Mówisz to zupełnie jak seryjny morderca.

Sfrustrowany Dylan wykrzykn<sup>13</sup>:

- Czy seryjni mordercy podróżuj<sup>1</sup> zwykle z upośledzonymi braćmi? Nie s<sup>1</sup>dzisz, że przeszkadza<sup>3</sup>oby im to w dokonywaniu róż<sup>1</sup>nych makabrycznych rzeczy przy u<sup>1</sup>życiu pil<sup>3</sup>ańcuchowych i innych narzędzi?

- Może on też jest seryjnym morderc<sup>1</sup>.

Shep przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się im zdezorientowany z tylnego siedzenia: z przekrzywion<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, mrugaj<sup>1</sup>c szeroko otwartymi oczami, nie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> jak psychopata, ale raczej jak du<sup>1</sup>y szczeniak, który czeka, żeby go zawie<sup>1</sup>ć do parku na zabawę w <sup>3</sup>a-panie frisbee.

- Seryjni mordercy nie zawsze wygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup> na krwiożerczych szaleńców - odrzek<sup>3</sup>a Jilly. - S<sup>1</sup> przebiegli. W każdym razie, jeżeli nawet nie jesteś morderc<sup>1</sup>, możesz być gwa<sup>3</sup>cicielem.

- Nadzwyczaj uprzejma z Ciebie kobieta - zauwa<sup>1</sup>y<sup>3</sup> cierpko Dylan.

- Móg<sup>3</sup>być być gwa<sup>3</sup>cicielem. Sk<sup>1</sup>d mógł<sup>1</sup> wiedzieć? - Nie jestem gwa<sup>3</sup>cicielem.

- Tak w<sup>3</sup>acenie powiedział<sup>3</sup>by gwa<sup>3</sup>ciciel.

- Na litość bosk<sup>1</sup>, nie jestem gwa<sup>3</sup>cicielem. Jestem ma-larzem.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- S<sup>3</sup>uchaj no, moja pani, to ty zwróci<sup>3</sup>acie się do mnie o pomoc, a nie odwrotnie. A sk<sup>1</sup>d ja mam wiedzieć, kim ty jesteś? - Na pewno nie jestem gwa<sup>3</sup>cicielem. Mę<sup>1</sup>czy<sup>1</sup>ni nie musz<sup>1</sup> się tego obawiać, prawda?

Rozgl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c się nerwowo w obawie, że lada moment pojawi<sup>1</sup> się z rykiem silników trzy czarne chevrolety, Dylan powiedział<sup>3</sup>:

- Nie jestem seryjnym morderc<sup>1</sup>, gwa<sup>3</sup>cicielem. kidnapierem, bandyt<sup>1</sup> ulicznym, kieszonkowcem, w<sup>3</sup>amywaczem, malwersan-tem, fa<sup>3</sup>szerzem, z<sup>3</sup>odziejem sklepowym, nie napadam na banki i nie przechodzę przez jezdnie w niedozwolonych miejscach! Do-sta<sup>3</sup>em dwa mandaty za przekroczenie prędkości, w zesz<sup>3</sup>ym ro-ku zap<sup>3</sup>aci<sup>3</sup>em karę za przetrzymanie ksi<sup>1</sup>żki z biblioteki, zatrzy-ma<sup>3</sup>em sobie awieradolarówkę i dwie dziesięciocentówki, które znalaz<sup>3</sup>em w automacie, zamiast oddać je firmie telefonicznej, przez pewien czas nosi<sup>3</sup>em szerokie krawaty, kiedy w modzie by<sup>3</sup>y w<sup>1</sup>skie, a raz w parku oskar<sup>1</sup>żono mnie, że nie sprz<sup>1</sup>tn<sup>13</sup>em kupy swojego psa, chociaż to wcale nie by<sup>3</sup> mój pies, bo ja w ogóle nie mam psa! Wsiadaj do samochodu i wiejemy st<sup>1</sup>d al-bo stój i dalej się zastanawiaj, czy wygl<sup>1</sup>dam, czy nie wygl<sup>1</sup>dam jak Charles Manson z trochę gors<sup>1</sup> fryzur<sup>1</sup>, ale z tob<sup>1</sup> czy bez Ciebie spadam z Dodge City, zanim wróci<sup>1</sup> ci kaskaderzy za kó<sup>3</sup>kiem i zaczn<sup>1</sup> do mnie strzelać.

- Strasznie du<sup>1</sup>o mówisz jak na malarza. Wyba<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup> oczy.

- Co to niby ma znaczyć?

- Zawsze s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, że domen<sup>1</sup> malarzy jest raczej ekspresja plastyczna, a nie werbalna.

- Rzeczywiście, jestem bardzo ekspresywny werbalnie. - To podejrzane jak na malarza.

- Co, wci<sup>1</sup>ż myślisz, że jestem Kub<sup>1</sup> Rozpruwaczem? - A jak udowodnisz, że nie jesteś?

- I gwa<sup>3</sup>cicielem.

- To cał<sup>3</sup>kiem może liwe - zauwa<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a.

- A więc jestem gwa<sup>3</sup>c<sup>1</sup>cym i morduj<sup>1</sup>cym wędrownym ma-larzem.

- To znaczy, że się przyznajesz?

- Co ty w<sup>3</sup>aciewie robisz - za<sup>3</sup>atwiasz robotę psychiatrom? Robisz z ludzi idiotów, żeby lekarze od czubków nie narzekali na brak pacjentów?

- Jestem komikiem - oświadczy<sup>3</sup>a.

- Jesteś bardzo ma<sup>3</sup>o zabawna jak na komika. Zje<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a się.

- Nie widzia<sup>3</sup>ę mnie na scenie.

- Wola<sup>3</sup>bym raczej zje<sup>1</sup>ć gar<sup>1</sup>ę gwo<sup>1</sup>ździ.

- S<sup>1</sup>dzi<sup>1</sup>c po twoich zębach, zjad<sup>3</sup>ę ju<sup>1</sup>ż tyle, żeby zbudować dom.

Wzdrygn<sup>13</sup> się, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c tę zniechęć. - To nie fair. Mam <sup>3</sup>adne zęby.

- Nie zachowuj się jak bydlę. Z takimi, co tak się zachowuj<sup>1</sup>, wszystko jest fair. Na widowni tacy s<sup>1</sup> gorsi od robactwa. - Wsiadaj z mojego samochodu - za<sup>1</sup>da<sup>3</sup>.

- Wcale nie siedzę w twoim samochodzie. - No to wsiądź, żeby cię mógł wyrzucić.

W jej głosie zabrzmiała zupełnie nowa nuta - głębokiej i zimnej jak lód pogardy.

- Masz coś do ludzi takich jak ja?

- Takich jak ty? Czyli stukniętych? Niezabawnych komi-ków? Kobiet, które wchodzi w nienormalne związki z roślinami? Jej pogarda przybrała barwę i temperaturę burzy ośnieżnej. - Oddaj moje torby.

- Z rozkosz - zapewni ją, natychmiast ruszaj do tyłu forda. - Œwietnie się skada - torby za gupię torbę.

Idź za nim z Fredem w rękach, powiedziaa:

- Za dugo przebywaam w towarzystwie dorosłych męczyzn. Zapomniaam, jak uroczy bywa dowcip dwunastolatków. Trafia. Unoszę tylko klapę, zmierz ją wciekłym spoj-rzeniem.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo boleję o to, że nie jestem seryjnym mordercą.

- Nad tym - powiedziaa.

- Co?

- Bolejesz nad tym, że nie jesteś seryjnym mordercą. We-dług zasad gramatyki czasownik „boleć” czy się w zdaniu z narzędnikiem, nie z biernikiem. Boleć można nad kimś lub czymś, nie o kogoś lub coś.

Mniesz w ustach sarkastyczną uwagę, Dylan wyrzucił z siebie: - Gówno prawda.

- Ależ tak - zapewniła go.

- Dobra, więc jestem półekspresywnym werbalnie, ukierunkowanym na ekspresję plastyczną malarzem

- przypomni jej, wyciągnij walizkę z forda i stawiaj ją zamasywocie na jezdni. - W rozwoju półszcebla nad barbarzyńcą, jeden szczebel nad małym.

- Jeszcze jedno.

- Wiedziaam, że to nie koniec.

- Jeżeli się trochę wysilisz, na pewno wymyślisz mnóstwo synonimów słowa „ekskrement”. Byabym wdzięczna, gdybyś nie używał przy mnie wulgaryzmów.

Wyciągnij z bagażnika jej neseser, Dylan rzekł:

- Nie zamierzam już przy tobie używać żadnych słów, mo-ja pani. Za pół minuty będziesz tylko drobnym ziarenkiem w moim lusterku wstecznym i gdy tylko stracę cię z oczu, zapomnę, że w ogóle istniaa.

- Mało prawdopodobne. Mężczyznom trudno o mnie zapomnieć.

Rzucił neseser, nie celując w jej stopę, ale w nadziei, że trafi.

- Wiesz co, faktycznie, pomyliłem się. Masz absolutnie rację. Nie można cię zapomnieć, jak kuli w brzuchu.

Wieczornie cisza wstrząsnęła eksplozją. Zadzwoniły okna motelu, a aluminiowy daszek osłaniający korytarzyk zadźwięczał od fali uderzeniowej jak tręcone struny gitary.

Dylan poczuł drżenie asfaltu pod stopami, jak gdyby porużył się cepiocy w głębokich warstwach skały tyranozaur, i zoba-czył ognisty oddech smoka na południowym wschodzie, od frontu motelu.

- Kurtyna w górę - powiedziaa Jillian Jackson.

**10** Kiedy jeszcze smok przewraca się na drugi bok głęboko w ziemi, a echo jego ryku

budzi gołoci motelu, Dylan wrzucił bagaż Jillian Jackson z powrotem do forda. Za-nim zda sobie sprawę z tego, co robi, zamknął klapę.

Kiedy usiadł za kierownicę, jego kótliwa pasażerka zdłżyła już zająć miejsce obok niego, trzymając Freda na kolanach. Oboje równocześnie zatrzasnęli drzwi.

Uruchomił silnik, ogładając się przez ramię, by sprawdzić, czy brat zapiął pas. Shep siedział, trzymając ręce na gówie, jak gdyby kask z dziesięciu palców mógł go chronić przed następ-ną eksplozją i opadającym gruzem. Przez chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się, ale dla chłopca kontakt wzrokowy okazał się zbyt intensywny. Shep zamknął oczy, znajdując w dobrowolnej ołepocie upragnioną samotność, i odwrócił się w stronę okna, twarzą do ciemności, wciąż mając zacięnięte powieki.

- Jedź, jedź - popędza go Jilly, nabierajcie nagle ochoty na przejażdżkę z mężczyzną, który mógł być socjopat-kanibalem. Dylan był zbyt praworządny, żeby przeszkadzać krawężnikom i niszczyć zieleń, pojechał więc w stronę frontu rozległego motelu, zmierzając do wyjazdu. Niedaleko portyku nad wejściem do recepcji odkrył źródło ognia. Wybuch samochodu.

Nie był to typowy, estetyczny wybuch, jaki zwykle widuje się na filmach: nie ustawił go scenograf, nie rozplanował wrażliwy artystycznie reżyser, kształtu, rozmiaru i koloru płomieni nie obliczył specjalista pirotechnik w porozumieniu z koordynatorem scen kaskaderskich, aby uzyskać maksymalnie piękny widok. Daleki od kinowego ognia miał paskudny ciemnopomarańczowo-biały kolor, a z płomieni jak zakrwawione języki bluzgały wymiociny gęstego, czarnego dymu. Klapa bagażnika odpadła i skręciła się w bezkształtną obrzydliwą masę przypominającą współczesny rzeźbę, leżącą na dachu jednego z trzech czarnych chevroletów, które stały w odległości dwudziestu stóp od płonącego wraku. Martwy kierowca siłą wybuchu został człowiekiem wyrzucony przez przednią szybę i położył ciało na masce. Jego ubranie musiało spaść na popiół w ciągu kilku sekund od chwili eksplozji. Teraz ogień trawi jego samego, a płomień łączy się jego ciałem, tuszczem i szpikiem miały zupełnie inny kolor od tych, które porażały samochód: żółty z żółtymi purpurowymi jak kwaśny cabernet i zielonkawymi przypominającymi gnijące resztki.

Nie potrafił oderwać wzroku od tej potworności, Dylan wstydził się swojej okrutnej ciekawości. Prawda mieszkała nie tylko w pięknie, ale i w okropności, złożyła więc makabryczną fascynację na karb przekleństwa spojrzenia artysty, choć zdał sobie sprawę, że to subiektywne i wygodne usprawiedliwienie. Gdyby przestał oszukiwać samego siebie, mógłby spojrzeć w oczy strasznej prawdzie - ośmiere jest w perwersyjny sposób atrakcyjna przez trwałą skazę, jaką pozostawia w ludzkiej duszy.

- To mój cadillac coupe deville - powiedziała Jilly, bardziej wstrząśnięta niż zła, jak gdyby nie mogła wyjść ze zdumienia, że jej życie tak nieoczekiwanie zmieniło się na gorsze w sennym miasteczku Arizony, które nie było niczym więcej niż tylko przystankiem dla podróżujących autostradą międzystanową.

Z czarnych chevroletów, które stały z otwartymi drzwiami, wysiadło kilkunastu mężczyzn. Zamiast w czarne garnitury albo stroje paramilitarne, byli ubrani jak zwykli turyści: w białe i beżowe buty, białe i kremowe spodnie, zwykłe koszule i kołnierzyki polo w różnych pastelowych kolorach. Wyglądali, jakby spędzili dzień na polu golfowym, a wieczór w klubowym barku, w dzień prali się w słońcu, pod wieczór raczyli się ginem, ale na twarzy żadnego z nich nie malowała się groza ani nawet zaśmieszona, jakiego można oczekiwać od przechodniów, którzy w rzeczywistości byli świadkami katastrofy.

Mimo że Dylan nie musiał mijać płonącego cadillaca, kierując się w stronę wyjazdu z motelu, kilku ze sportowców amatorsko oderwało wzrok od ognia i spojrzało na fordę. Nie wyglądali na księgowych ani biznesmenów, lekarzy ani inwestorów budowlanych: wyglądali na ludzi bardziej bezwzględnych i niebezpiecznych niż adwokaci. Mieli twarze zupełnie bez wyrazu, nieruchome maski pozbawione życia, jakby wyciosane z kamienia, ożywiane tylko refleksami płomieni. Ich oczy błyskały złośliwie, lecz chociaż odprowadzali wzrokiem fordę, żaden nie próbował go zatrzymać; żaden nie rzucił się w pościg.

Dopadli już ofiarę. Wszystko wskazywało na to, że stuknięty lekarz zginął w cadillacu, zanim zdążył go pojąć i przesłuchać. Wraz z nim ogień musiał też strawić to, co nazywał dziełem swojego życia, a także wszelkie dowody na to, że brakuje filozofii z tajemniczą szprycą. Grupa pościgowa, oddział - czy kimkolwiek ci ludzie byli - sładziła, że pogoń zakończyła się sukcesem. Jeceli szczęście będzie sprzyjało Dylano-wi, nigdy nie dowiedzieli się, że było inaczej, a on nie dostanie kuli w łeb.

Zwolnił, a potem zatrzymał samochód, gapiąc się z niezdrową ciekawością na płonące auto. Gdyby przejechał, nie przystając, mógłoby to wyglądać podejrzanie.

Siedział obok Jilly zrozumiał powód jego ociągania się z odjazdem.

- Trudno grać hienę, jeżeli zna się ofiarę.

- Wcale go nie znaleźliśmy, a jeszcze kilka minut temu nazwał go zakamanym workiem ajna.

- Nie o nim mówię. Ciesz się, że ucienieżony gnojek nie żyje. Mówię o miłości mojego życia, moim

pięknym granato-wym cadillacu.

Przez moment kilku rzekomych golfistów przyglądało się Dylanowi i Jilly gapiącym się na płonący wrak. Bóg jeden wie, co pomyśleli sobie o Shepherdzie, który siedział z tyłu, wciśnięty oszaniec rękami, i zupełnie nie interesował się polem, jak i wszystkim innym, poza własną skórą. Gdy mężczyźni odwrócili się od forda, uznając jego kierowcę i pasażerów za nieszkodliwych gapiów, Dylan zwinął hamulec i ruszył dalej.

Na końcu wyjazdu znajdowała się ulica, przy której niecałogodzinnie temu odważył się kupić cheeseburgery i frytki - kolejny ratunek przybliżył go o krok do choroby serca. Jednak nie miał okazji zjeść kolacji.

Skręcił w prawo, kierując się w stronę autostrady i słysząc dobiegające z oddali wycie syren. Nie przyspiesza.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała Jillian Jackson. - Odjechać daleko stąd.

- A potem?

- Odjechać jeszcze dalej stąd.

- Nie możemy wiecznie uciekać. Zwłaszcza że nie wiemy, przed kim albo czym uciekamy - ani dlaczego.

W jej uwadze brzmiało tyle prawdy i rozsądku, że trudno z nią było polemizować i gdy Dylan szukał w myślach odpowiadzi, zorientował się, że osiągnął poziom ekspresji werbalnej, jaki w jej przekonaniu cechował wszystkich malarzy.

Gdy zbliżyli się do wjazdu na autostradę, siedzący za Dylanem brat wyszeptał:

- Przy blasku księżyca.

Shepherd wymówił to tylko raz, na szczęście - zważywszy na jego skłonność do powtarzania - ale potem rozpłynął się. Shep nie był beks. Rzadko pisał w ciągu minionych siedem-nastu lat, odkąd skończył trzy lata i uciekł od cierpień i rozczarowań tego świata, odkąd zaczął spędzać większość życia w bezpieczniejszym świecie, jaki sam sobie stworzył. A teraz: dwa razy w ciągu jednego wieczoru.

Nie szlochał i nie zawodził, pisał cicho: prawie bezgłośnie w powietrze i cichutko kwilił, pokajając wszystkie odgłosy skargi, zanim zdążył wydostać się na zewnątrz. Mimo że Shep bardzo starał się zduśnić emocje, nie potrafił ukryć ich gwałtowności. Dręczył go jakiś tajemniczy smutek. We wstecznym lusterku widać było, że jego spokojne zazwyczaj oblicze - ciasno obramowane ramionami - krzywił się w niewyobrażalnym cierpieniu, zupełnie jak twarz z „Krzyku” Edwarda Muncha.

- Co mu się stało? - spytała Jilly, gdy dojechali do końca wjazdu.

- Nie wiem. - Dylan z niepokojem spoglądał to na drogę, to we wsteczne lusterko. - Nie wiem.

Shep wolno zsunął głowę z czołowej wzdęcia skroni, jak gdyby stracił nad nimi władzę, ale zaraz zacisnął je w pięści. Wcisnął kostki palców w policzki, jakby próbował powstrzymać straszne ciśnienie wewnętrzne, które groziło pęknięciem kości czaszki, rozciągnięciem ciała i rozdaniem twarzy w maskę z pokazu dziwów natury.

- Boże drogi, nie wiem - powtórzył Dylan, zdając sobie sprawę z drżenia własnego głosu. Opuścił wjazd i wsiadł do ruchu na wschodnim pasie autostrady międzystanowej.

Samochody mknęły przez noc Arizony w kierunku Nowego Meksyku o wiele szybciej niż ford expedition. Dylan, wytrącony z równowagi kwileniem i jękami brata, nie potrafił dostosować się do tempa narzuconego przez innych kierowców.

Potem pocziwy Shep - posłuszny i spokojny Shep - zrobił coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie robił: zaczął się białymi rękami po twarzy.

Niechętnie balansując donicę trzymany na kolanach, Jilly odwrócił się do tyłu i krzyknął z przerażeniem:

- Nie, Shep, skarbie, nie rób tego!

Chociaż Dylan wiedział, że bezwarunkowo musiał teraz uciekać od mężczyzn w czarnych chevroletach, wsiadł do prawy kierunkowskaz i zatrzymał się na szerokim poboczu.

Robił krótkie przerwy w wymierzaniu sobie kary, Shep wyszeptał:

- Robisz swoje.



I znów zacz<sup>13</sup> się ok<sup>3</sup>adaæ.

**11** Jilly wysiad<sup>3</sup>a z forda, żeby zostawiæ Dyla-na O'Connera sam na sam z bratem, i usadowi<sup>3</sup>a swój jeszcze niezbyt rozroeniety ty<sup>3</sup>ek na barierze przy drodze. Siedzia<sup>3</sup>a zwrócona plecami do bezmiaru pustyni, gdzie w gor<sup>1</sup>cym po-wietrzu nocy pe<sup>3</sup>za<sup>3</sup>y jadowne wê<sup>1</sup>e, polowa<sup>3</sup>y tarantule kosma-te jak ob<sup>31</sup>kani mu<sup>33</sup>owie talibów i grasowa<sup>3</sup>y najstraszniejsze gatunki tego okrutnego œwiata piasku, kamieni i spl<sup>1</sup>tanych krzewów, jeszcze bardziej przera<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>ce od wê<sup>1</sup>y i paj<sup>1</sup>ków. Stworzenia, które mog<sup>3</sup>y czaiaæ się za plecami Jilly, intereso-wa<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> o wiele mniej ni<sup>1</sup> te, które mog<sup>3</sup>y nadjechaæ wschodnim pasem w trzech identycznych chevroletach suburbanach. Jeœli mogli wysadziaæ w powietrze cadillaca coupe deville rocznik 1956 w idealnym stanie, s<sup>1</sup> zdolni do ka<sup>1</sup>dej niegodziwoœci.

Nie mia<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> md<sup>3</sup>oœci ani zawrotów g<sup>3</sup>owy, jednak nie czu-<sup>3</sup>a się ca<sup>3</sup>kiem normalnie. Serce przesta<sup>3</sup>o jej skakaæ jak oszala-<sup>3</sup>a çaba - tak jak podczas uciezki z motelu - ale nie bilo te<sup>1</sup> spokojnie jak u dziewczynki z chóru.

Spokojna jak dziewczynka z chóru. To powiedzonko Jilly przeje<sup>3</sup>a od matki. Mówi<sup>1</sup>c „spokojna”, mama mia<sup>3</sup>a na myœli nie jedynie „cicha i opanowana”, ale tak<sup>1</sup>e „cnotliwa i pobo<sup>1</sup>-na”, i nie tylko. Kiedy ma<sup>3</sup>a Jilly stroi<sup>3</sup>a fochy albo się obra<sup>1</sup>a-<sup>3</sup>a, matka zawsze stawia<sup>3</sup>a jej za przyk<sup>3</sup>ad dziewczynkê z chóru, a gdy jako nastolatka ulega<sup>3</sup>a czarowi jakiegoœ obsypanego tr<sup>1</sup>-dzikiem casanowy, matka proponowa<sup>3</sup>a jej z powag<sup>1</sup>, by doro-s<sup>3</sup>a do idea<sup>3</sup>u czêsto cytowanej i w gruncie rzeczy mitycznej dziewczynki z chóru.

Ostatecznie Jilly wst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a do koœcielnego chóru, czêœciowo po to, by przekonaæ matkê, çe jej serce pozosta<sup>3</sup>o czyste, a czê-œciowo dlatego, çe marzy<sup>3</sup>a się jej œwiatowa kariera piosenkarki pop.

Zdumiewaj<sup>1</sup>co wiele bogiñ muzyki pop w m<sup>3</sup>odoœci œpie-wa<sup>3</sup>o w chórach koœcielnych. Oddany swej pracy dyrygent chó-ru - który by<sup>3</sup> równie<sup>1</sup> nauczycielem œpiewu - przekona<sup>3</sup> j<sup>1</sup> wkrótce, çe wrodzone zdolnoœci predysponuj<sup>1</sup> j<sup>1</sup> raczej do œpie-wania w tle ni<sup>1</sup> solo, ale zupe<sup>3</sup>nie odmieni<sup>3</sup> jej, çyçie, gdy pewne-go razu zapyta<sup>3</sup>:

- Dlaczego w ogóle chcesz œpiewaæ, Jillian, skoro masz wspania<sup>3</sup>y talent rozœmieszania innych? Ludzie szukaj<sup>1</sup> pocie-chy w muzyce, kiedy nie potrafi<sup>1</sup> się œmiaæ, ale lepszym lekar-stwem jest zawsze œmiech. Teraz, na autostradzie miêdzystanowej, daleko od koœcio<sup>3</sup>a i matki, ale têsni<sup>1</sup>c za jednym i drugim, siedz<sup>1</sup>c na stalowej ba-rierze wyprostowana jak w <sup>3</sup>awce chóru, Jilly przy<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a sobie d<sup>3</sup>oñ do gard<sup>3</sup>a i wyczula pulsowanie skurczowe w prawej têtni-cy szyjnej. Puls by<sup>3</sup> szybszy ni<sup>1</sup> u bogobojnej dziewczynki z chó-ru ukojonej psalmami na czeœæ bo<sup>1</sup>ej mi<sup>3</sup>oœci i piêknie zainto-nowanym „Kyrie elejson”, ale nie wali<sup>3</sup> jak oszala<sup>3</sup>y. Ten rytm Jilly zna<sup>3</sup>a z kilku pierwszych wystêpów na scenach klubów, kie-dy materia<sup>3</sup> nie trafi<sup>3</sup> do publiki. Przyspieszone bicie serca przy-jêtego ch<sup>3</sup>odno artysty, prze<sup>1</sup>ywaj<sup>1</sup>cego d<sup>3</sup>ugie upokarzaj<sup>1</sup>ce mi-nuty w blasku reflektorów. Rzeczywiœcie, czu<sup>3</sup>a charakterystycz-n<sup>1</sup> lepki<sup>1</sup> wilgoæ na czole, mokry ch<sup>3</sup>ód na karku, na krzy<sup>1</sup>u i d<sup>3</sup>oniach - lodowat<sup>1</sup> wilgoæ, która od wysokich prosceniów na Broadwayu do pod<sup>3</sup>ych scenek na g<sup>3</sup>êbokiej prowincji nosi<sup>3</sup>a tyl-ko jedn<sup>1</sup> nazwê: dygot po kompletnej klapie.

Róznica tym razem polega<sup>3</sup>a na tym, çe powodem nerwów i zimnego potu nie by<sup>3</sup>a katastrofa jej numeru komediowego, ale straszne podejrzenie, çe byæ mo<sup>1</sup>e rozlatuje się jej ca<sup>1</sup>e çyçie. Dlatego by<sup>3</sup> to dygot maksymalny.

Oczywiœcie, mo<sup>1</sup>liwe, çe wpada<sup>3</sup>a w melodramatyczny ton. Nieraz oskar<sup>1</sup>ano j<sup>1</sup> o takie sk<sup>3</sup>onnoœci.

Nie mo<sup>1</sup>na jednak by-<sup>3</sup>o zaprzeczyæ, çe siedzia<sup>3</sup>a poœrodku bezludnej pustyni z dala od wszystkich, którzy j<sup>1</sup> kochali, w towarzystwie zdecydowa-nie dziwnej pary nieznanomych, niemal przekonana, çe jeœli zwróci się o pomoc do w<sup>3</sup>adz, oka<sup>1</sup>e się, çe s<sup>1</sup> w zмовie z lud<sup>1</sup>-mi, którzy wysadzili w powietrze jej ukochanego cadillaca. Na domiar z<sup>3</sup>ego z ka<sup>1</sup>dym uderzeniem serca krew nios<sup>3</sup>a w g<sup>31</sup>b jej tkanek jak<sup>1</sup>œe nieznan<sup>1</sup> s<sup>3</sup>aboœæ.

Po namyœle uzna<sup>3</sup>a, çe w tym wypadku rzeczywistoœæ przera-sta wszystkie inscenizowane melodramaty - pod wzglêdem szybkoœci akcji, wywo<sup>3</sup>ywania nadmiernych emocji i mniejszego szacunku dla zwi<sup>1</sup>zków przyczynowo-skutkowych.

- Melodramat, niech to szlag - mruknęła.

Przez otwarte tylne drzwi forda Jilly dobrze widział Dylana O'Connera, który siedział obok brata i mówił - z przejęciem i bez ustanku. Ryk i gwizd przejeżdżających samochodów skutecznie zagłuszał jego słowa, ale udało mu się po nieobecnych spojrzeć na Shepa, równie dobrze Dylan mógł siedzieć w aucie samotnie i mówić sam do siebie.

Z początku trzymał brata za rękę, powstrzymując go przed wymierzaniem sobie ciosów, od których z jednego nozdrza pociekła mu struga krwi. Po jakimś czasie puścił Shepa i po prostu siedział blisko, pochylając się do niego, oparty plecami o kolana, ze złączonymi dłońmi, ale cięgle mówił

Nie słyszał Dylana przez jazgot aut, Jilly odniósł wrażenie, że mówi do brata przyciszonym głosem. Miał wrażenie, że wewnątrz samochodu i sylwetki obu mężczyzn - siedzących blisko siebie, a jednak osobno - przywodzą na myśl konfesjonariusz. Im dłużej przyglądał się braciom, tym silniejszemu zbudzeniu ulegał, dopóki nie poczuł zapachu pasty do drewna, którą w jej dzieciństwie czyszczono konfesjonariusz, oraz dymu

kadzidła palonego od dziesiątków lat, którym przesiąknięte były kołki.

Ogarnęło ją poczucie niesamowitości, jak gdyby scena przed jej oczyma miała sens nieuchwytny dla pięciu zmysłów, jakby kryła mnóstwo tajemnic, u których źródła tkwiło coś... transcendentnego. Jilly zbyt mocno stłapała po ziemi, żeby była jakimś medium czy mistyczką; nigdy przedtem nie popadała w takie nastroje.

Choć wieczorne powietrze nie mogło pachnieć niczym bar-dziej egzotycznym niż alkaliczny powiew pustyni Sonora i spaliny przejeżdżających samochodów, przestrzeń między Jilly a O'Connerami zdawała się gęstnieć od dymu kadzidła. Otacza ją ostry aromat - goździków, mirry i żywicy olibanowej - nie był już po prostu wspomnieniem zapachu; stał się prawdziwy jak rozgwiezione niebo nad jej głową i jej pobocza auto-strady pod jej stopami. Drobinę wonnego dymu w zamkniętym wnętrzu forda zaamywały i odbijały blask oświetlenia pod sufitem, malując wokół O'Connerów białe i złote aureole, a Jilly mogłaby przysiąc, że to nie ma lampki, ale bracia promieniują światłem.

Spodziewała się, że w tej scenie rolę księdza będzie grał Dylan, ponieważ z nich dwóch to Shep był chyba zagubioną duszą. Ale minął i postawił Dylan bardziej przypominał pokutnika, a nieobecne spojrzenie Shepa zamiast pustki zdawało się wyrażać kontemplację. I kiedy młodszy z braci zaczął wolno i rytmicznie kiwać głową, przybrał wygląd czcigodnego kapłana w sutannie, którego władza duchowa uprawnia do udzielania rozgrzeszenia. Jilly wyczuwała, że w tej nieoczekiwanej zamianie ról kryje się prawda o głębokim znaczeniu, lecz nie potrafiła jej pojąć, nie potrafiła też zrozumieć, dlaczego subtelne relacje między tymi dwoma mężczyznami tak ją interesują ani dlaczego miałyby stanowić klucz do wybawienia z sytuacji, w jakiej się znalazła.

Niesamowitość goniła niesamowitość: Jilly usłyszała srebrzysty cemiach dzieci, choć nie było tu żadnych dzieci, a zaraz po perlistym wybuchu radości rozległ się szepot skrzydeł. Rozglądając się uważnie po gwiaździstym sklepieniu, na tle konstelacji nie zauważyła sylwetek żadnych ptaków, a jednak trzepot skrzydeł i cemiach narastał. Jilly wstała i powoli zaczęła się odwracać, skonsternowana i zdumiona.

Nie przychodziła jej do głowy żadne słowo na określenie nadzwyczajnego zjawiska, jakiego wyczuwała, ale nie mogła tego nazwać halucynacją. Dźwięki i zapachy nie były ani sennie ulotne, ani hiperrealistycznie intensywne, jak mogłaby się spodziewać po halucynacjach, lecz precyzyjnie pasowały do rzeczywistych odgłosów i woni wieczoru: nie były cichsze ani głębsze od pomruku i ciewistu przejeżdżających aut, ani bar-dziej czy mniej wyraziste niż odór spalin.

Cięgle odwracając się w stronę otaczającego ją poszum skrzydeł, ujrzała rzędy cemiach na pustyni, na południe od miejsca, w którym stała, może dwadzieścia stóp za barierą. W ciemności pojawiło się co najmniej czterdzieści cemiach wotywnych osadzonych w małych miseczkach z rubinowego szkła.

Jedni to było przywidzenie, szanowało rzadkie rzeczywiście prawa fizyki. Metalowy cemiachnik stał u stóp niewielkiej wydmy między kępami splątanych bylin, rzucając dookoła siebie, jak powstałby od blasku cemiach, którym służyła za podstawę. Chimery refleksów ognia potrzasały lwimi grzywami i wiły się jak węż na piasku, a srebrno-zielone liście roselin lizały ciemnoczerwony blask, błyszcząc jak

języki kosztujące kar-mazynowe wino Zinfindel. Cewiat<sup>3</sup>o nie pada<sup>3</sup>o na pustynię w sposób irracjonalny, jak w przypadku nadprzyrodzonego bla-sku, ostentacyjnie gardz<sup>1</sup>cego prawami natury, ale wchodzi<sup>3</sup>o w logiczn<sup>1</sup> zależnoœæ z kaŹdym elementem scenerii.

Na po<sup>3</sup>udniu, ale kilka jardów na wschód od œwieca i jeszcze bliŹej bariery, sta<sup>3</sup>a pojedyncza <sup>3</sup>awka koœcielna, byæ moŹe zwrócona w stronê prezbiterium i g<sup>3</sup>ównego o<sup>3</sup>tarza, których jednak nie by<sup>3</sup>o widaæ. Jeden koniec drewnianej <sup>3</sup>awki tkwi<sup>3</sup> wbity w zbocze wydmy; na drugim siedzia<sup>3</sup>a kobieta w czarnej sukni.

Po tej po<sup>3</sup>aci ziemi, na której nie by<sup>3</sup>o <sup>3</sup>awki i œwieca, pędzi<sup>3</sup>y w dawnych czasach dzikie konie; serce Jilly galopowa<sup>3</sup>o teraz z hukiem, który przypomina<sup>3</sup> tętent ciêŹkich kopyt na ubitym piasku. Sp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup> po niej lodowaty pot, jakiego jeszcze nie zazna<sup>3</sup>a podczas niepowodzenia na scenie, a zamiast zwyk<sup>3</sup>ego lęku upokorzenia ogarn<sup>13</sup> j<sup>1</sup> strach, Źe odchodzi od zmys<sup>3</sup>ów.

Kobieta na <sup>3</sup>awce, ubrana w granatow<sup>1</sup> lub czarn<sup>1</sup> sukniê, mia<sup>3</sup>a kruczoczarne w<sup>3</sup>osy sp<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>ce na plecach. Na znak sza-cunku dla Boga nakry<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ówê bia<sup>3</sup>1 koronkow<sup>1</sup> mantyl<sup>1</sup>, któ-<sup>1</sup>ra przypadkiem odrobinê siê zsunê<sup>3</sup>a, ukrywaj<sup>1</sup>c jej twarz. Po-gr<sup>1</sup>Źona w modlitwie, zdawa<sup>3</sup>a siê nieœwiadoma obecnoœci Jilly i tego, Źe wokó<sup>3</sup> niej zniknê<sup>3</sup>y œciany œwi<sup>1</sup>tyni.

Powietrze wci<sup>1</sup>Ź drga<sup>3</sup>o od <sup>3</sup>opotu skrzyde<sup>3</sup>, coraz g<sup>3</sup>oœniej-szego i bliŹszego, tak Źe Jilly potrafi<sup>3</sup>a rozróŹniæ trzepot poszcze-gólnych lotek, mia<sup>3</sup>a wiêc pewnoœæ, Źe s<sup>3</sup>yszy ptaki, a nie nieto-perze o skórzastych skrzyd<sup>3</sup>ach. Mknê<sup>3</sup>y w jej stronê, tn<sup>1</sup>c ze œwistem powietrze, z upiornym odg<sup>3</sup>osem rozk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c i sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c, rozk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c i sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c chor<sup>1</sup>giewki piór jak pęciki japoñ-skiego wachlarza, pozostaj<sup>1</sup>c jednak niewidzialne dla Jilly.

Obraca<sup>3</sup>a siê i obraca<sup>3</sup>a w poszukiwaniu ptaków, dopóki nie ujrza<sup>3</sup>a przed sob<sup>1</sup> otwartych drzwi forda expedition, za którymi nadal siedzieli Dylan i Shep, udaj<sup>1</sup>c grzesznika i spowiednika w konfesjonale, œwietliœci jak zjawy. Dylan nie zdawa<sup>3</sup> sobie sprawy, Źe Jilly zetknê<sup>3</sup>a siê z czymœ nadprzyrodzonym, zupe<sup>3</sup>nie poch<sup>3</sup>oniêty bratem, który by<sup>3</sup> równie nieobecny i z którym byæ moŹe na zawsze straci<sup>3</sup> kontakt; nie mog<sup>3</sup>a zwróciæ jego uwagi na œwieca ani rozmodlon<sup>1</sup> kobietê, poniewaŹ strach odebra<sup>3</sup> jej glos, omal nie pozbawiaj<sup>1</sup>c oddechu. Szkwa<sup>3</sup> skrzyde<sup>3</sup> przerodzi<sup>3</sup> siê w huragan potêŹniej<sup>1</sup>cy z kaŹd<sup>1</sup> sekund<sup>1</sup>, jak narastaj<sup>1</sup>cy glos werbla, który przenikn<sup>13</sup> j<sup>1</sup> na wskroœ, do szpiku koœci. G<sup>3</sup>oœny niczym zgrzyt przek<sup>3</sup>adni odg<sup>3</sup>os i tr<sup>1</sup>ba powietrzna wywo<sup>3</sup>ana <sup>3</sup>opotem niewidzialnych skrzyde<sup>3</sup> obróci<sup>3</sup>y ni<sup>1</sup>, wzburzaj<sup>1</sup>c jej w<sup>3</sup>osy i uderzaj<sup>1</sup>c silnym podmuchem w twarz, aŹ znów ujrza<sup>3</sup>a przed sob<sup>1</sup> œwieca wotywny i siedz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> w <sup>3</sup>awce pokutnicê.

Zobaczy<sup>3</sup>a jasnoœæ, gdy nagle coœ rozb<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>o jej przed oczyma, a potem nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> jeszcze jaœniejszy b<sup>3</sup>ysk i migotanie œwietlistych piór, jak drgaj<sup>1</sup>cy p<sup>3</sup>omieñ. W mgnieniu oka opad<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> roz-iskrzona chmara go<sup>3</sup>ebi. Widz<sup>1</sup>c wœciek<sup>3</sup>y trzepot skrzyde<sup>3</sup> Jilly spodziewa<sup>3</sup>a siê ataku dziobów i zaczê<sup>3</sup>a siê baæ o oczy. Zanim zd<sup>1</sup>Źy<sup>3</sup>a zas<sup>3</sup>oniæ siê rêkami, rozleg<sup>3</sup> siê trzask donoœny niczym bicz boŹy, budz<sup>1</sup>c pop<sup>3</sup>och stada, które zaczê<sup>3</sup>o kot<sup>3</sup>owaæ siê jeszcze gwa<sup>3</sup>towniej. Gdy na jej twarzy rozbi<sup>3</sup>a siê fala skrzyde<sup>3</sup> Jilly krzyknê<sup>3</sup>a, ale bezg<sup>3</sup>oœnie, bo przerazenie wci<sup>1</sup>Ź zatyka<sup>3</sup>o jej gard<sup>3</sup>o jak szczelny korek butelkê. Pod kanonad<sup>1</sup> skrzyde<sup>3</sup> zmruc<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a oczy przekonana, Źe oœlepnie, lecz w tym momencie wszystkie ptaki zniknê<sup>3</sup>y, tak samo raptownie, jak siê zjawi<sup>3</sup>y. Nie tylko przesta<sup>3</sup>a je widzieæ, ale nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a teŹ wœciek<sup>3</sup>ego trzepotu.

Zniknê<sup>3</sup>y œwieca na wydmach. I kobieta w mantyli, odcho-dz<sup>1</sup>c do nieznanego koœcio<sup>3</sup>a razem z kaw<sup>1</sup>, na której przyby<sup>3</sup>a. Z odblokowanego gard<sup>3</sup>a Jilly wyrwa<sup>3</sup> siê krótki zd<sup>3</sup>awiony dŹwiêk przypominaj<sup>1</sup>cy szczekniêcie. JuŹ po pierwszym rozdy-gotanym wdêchu poczu<sup>3</sup>a zapach, który móg<sup>3</sup> byæ ostatnim na liœcie tyŹca poŹ<sup>1</sup>danych woni. Krew. Subtelny, lecz wyraŹny, którego nie sposób pomyliæ z Źadnym innym - zapach rzezi i ofiary, tragedii i chwa<sup>3</sup>y: lekko metaliczny z nut<sup>1</sup> miedzi i œladem Źelaza. Na jej twarzy rozbryznê<sup>3</sup>a siê wiêc nie tylko bia<sup>3</sup>a fa-la skrzyde<sup>3</sup> Dr<sup>1</sup>Źcymi d<sup>3</sup>oñmi ostroŹnie dotknê<sup>3</sup>a gard<sup>3</sup>a pod-bródka i policzków i spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c z odraz<sup>1</sup> na gêst<sup>1</sup> ciecz oble-piaj<sup>1</sup>cej jej palce, rozpozna<sup>3</sup>a tê sam<sup>1</sup> wilgoæ na wargach i wy-czula smak tej samej substancji, któr<sup>1</sup> mia<sup>3</sup>a na czubkach palców. Wrzasnê<sup>3</sup>a, tym razem juŹ nie bezg<sup>3</sup>oœnie,

**1 2** Autostrada, czarniejsza niż oświetlony młym blaskiem księżyca mrok pustyni, momentami zdawała się rozwijać przed formami Jilly i braci O'Connerów w głąb chaosu i zapomnienia. Czasem jednak wyglądała, jak gdyby wysnuwała się z chaosu i formowała w regularny kształt, nieubagani wiedzą ich w stronę precyzyjnie ustalonego i nieuniknionego przeznaczenia.

Jilly nie wiedziała, która z tych możliwości napawa ją większym strachem: pakowanie się w jeszcze większy głuch kłopotów, w ciemną gęstwinę, gdzie każdy ruch oznacza kolejne bolesne zetknięcie z nieznanym, które mogło ją doprowadzić na skraj obłąkania - czy odkrycie prawdy o uciechniętym człowieku z igła i zgaszenie tajemnicy zocistego pędu w strzykawce.

W ciągu swego dwudziestoletniego życia nauczyła się, że zrozumienie nie zawsze - a nawet rzadko - przynosi spokój. Teraz, od chwili powrotu do pokoju motelowego z piwem ko-rzennym, tkwiła w ciemności niewiedzy i dezorientacji, gdzie życie przypominało koszmar na jawie albo zły i bardzo wyrazisty sen. Gdyby jednak znalazła odpowiedzi na wszystko, mogłaby dojść do wniosku, że została za życia uwięziona w piekle i zatęskniła-by jeszcze za względnie ciszą i spokojem czyjeś, choć nerwy miała tu napięte do ostateczności.

Dylan, tak jak przedtem, nie skupiał się na drodze, lecz co chwila zerkał we wsteczne lustro i oglądał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Shep nie robi sobie krzywdy; teraz miał dwa zmartwienia, które przeszkadzały mu w prowadzeniu samochodu. Od dramatycznego występu Jilly na drodze - bełkotu co do ptaków i krwi - Dylan zaczął się do niej odnosić z takim samym braterskim troską, z jaką traktował Shepherda.

- Naprawdę czuła smak... smak krwi? - zapytała. - I zapach? -- Tak. Wiem, że to nie była prawdziwa krew. Ty jej nie widziałeś. Ale mnie wydawała się bardzo realna.

- Słyszała ptaki i czuła dotyk skrzydeł

- Tak.

- Czy halucynacje zwykle angażują wszystkie zmysły - albo angażują tak całkowicie?

- To nie była żadna halucynacja - oświadczyła z uporem. - No, ale rzeczywiście też nie.

Posłuchała mu uważnie spojrzenie, a on zrozumiał, jakim niebezpieczeństwem grozi mu wygaszanie sugestii, że Jilly - Ama-zonka Południowego Zachodu, dzielna mieszkanka krainy kaktusów - może ulegać halucynacjom. Jej zdaniem halucynacje stanowiły dolegliwość bardzo zbliżoną do staromodnych damskich przypadłości, takich jak wapory, omdlenia i uporczywa melancholia.

- Nie jestem histeryczką - powiedziała. - Ani alkoholiczką na odwyku, nie biorę grzybków halucynogennych, więc słowo „halucynacja” w ogóle nie wchodzi w grę.

- Powiedzmy, że to była wizja.

- Nie jestem też Joanną d'Arc. Bóg nie wysłał mi żadnych wiadomości. Wystarczy. Nie mam już ochoty o tym mówić, w każdym razie nie teraz i jeszcze nie przez jakieś czas.

- Musimy...

- Powiedziłam, nie teraz. - Ale...

- Boję się, rozumiesz? Boję się i jak będziemy o tym bez przerwy gadać, nie zaczęła się mniej bać.

Przerwała, prosząc o przerwę, w porządku?

Rozumiała, dlaczego przyglądała się jej ze zmartwioną miną, a nawet z pewną dozą nieufności, ale nie odpowiadała jej rola obiektu jego troski. Trudno jej było nawet znieść słowa otuchy ze strony przyjaciół; a współczucie obcej osoby mogło łatwo przerodzić się w litość. Nie tolerowała niczyjej litości. Jej była na samą myśl, że ktoś może ją uważać za słabą i nieszczerą istotę i niecierpiła protekcyjnego traktowania.

Istotnie, ukradkowe spojrzenia Dylana, aż ociekające współczuciem, rozdrażniły Jilly, która postanowiła od nich uciec. Odpięła pas, podwinęła nogi, zostawiając donicę Freda na podłodze pod siedzeniem, i odwróciła się bokiem, sprawdzając, czy u Shepa wszystko w porządku, i umiarkująco jego bratu skupienie się na prowadzeniu samochodu.

Dylan zostawił Shepowi apteczkę. Ku zdziwieniu Jilly młodość człowieka otworzyła ją, położyła na siedzeniu obok siebie i we właściwy sposób skorzystała z jej zawartości, choć w tak intensywnym skupieniu i z takim nieobecny wyrazem twarzy, że wyglądała jak automat. Tamponami naszczonymi wodą

utlenion<sup>1</sup> cierpliwie zmywa<sup>3</sup> zakrzep<sup>31</sup> krew z nosa, którym wydawa<sup>3</sup> œwist przy ka¿dym wdechu. Postêpowa<sup>3</sup> z tak niezwyk<sup>31</sup> delikatno-œci<sup>1</sup>, ¿e ciemnoczerwony strumyczek przesta<sup>3</sup> p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ. Brat po-wiedzia<sup>3</sup> mu, ¿e to tylko zwyk<sup>3e</sup> krwawienie i nie z<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> nosa, a Shep zdawa<sup>3</sup> siê potwierdzaæ diagnozê, opatruj<sup>1c</sup> swój uraz bez ¿adnego skrzywienia czy syku bólu. Za pomoc<sup>1</sup> wacików zmoczonych alkoholem zmy<sup>3</sup> zasch<sup>31</sup> krew z górnej wargi, k<sup>1</sup>ci-ka ust i podbródka. Kiedy bi<sup>3</sup> siê po twarzy, zdar<sup>3</sup> skórê z kostek d<sup>3</sup>oni, zahaczaj<sup>1c</sup> o zêby; te zadrapania te¿, przemy<sup>3</sup> alkoholem, a potem na<sup>3o</sup>¿y<sup>3</sup> odrobinê neosporyny. Kciukiem i palcem wskazuj<sup>1c</sup>ym prawej rêki zacz<sup>13</sup> sprawdzaæ po kolei wszystkie zêby, najpierw górne, potem dolne; za ka¿dym razem, gdy upewni<sup>3</sup> siê, ¿e z<sup>1b</sup> mocno tkwi na swoim miejscu, przerywa<sup>3</sup> za-biegi i mówi<sup>3</sup>:

- Jest, jak ma byæ, panie.

Shep unika<sup>3</sup> kontaktu wzrokowego, jego mina wskazywa<sup>3a</sup>, ¿e znajduje siê w zupe<sup>3</sup>nie innym œwiecie, w fordzie nie by<sup>3o</sup> ¿adnego szlachcica - lorda ani ksiêcia, ani królewicza - wynika<sup>3o</sup> wiêc z tego, ¿e nie mówi do nikogo z obecnych.

- Jest, jak ma byæ, panie.

Dzia<sup>3a</sup>3 metodycznie niemal jak robot, ale chwilami w jego ruchach da<sup>3o</sup> siê zauwa¿yæ pewn<sup>1</sup> nieporadnoœæ, jak gdyby pod-czas konstrukcji i programowania mechanizmu pope<sup>3</sup>niono b<sup>3ê</sup>-dy, których jeszcze nie wyeliminowano.

Jilly kilka razy próbowa<sup>3a</sup> zagadaæ do Shepa, lecz jej wysi<sup>3</sup>-ki spe<sup>3z</sup>3y na niczym. Mówi<sup>3</sup> tylko do Pana Zêbów, pos<sup>3</sup>uszenie sk<sup>3</sup>adaj<sup>1c</sup> mu meldunki o stanie swojego zdrowia.

- Shep umie rozmawiaæ - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Chocia¿, nawet gdy jest w najlepszej formie, nie mo¿na siê raczej po nim spodzie-waæ b<sup>3</sup>yskotliwych ripost, które zrobi<sup>3y</sup>by z niego duszê towa-rzystwa. Mówi po shepowemu, jak ja to nazywam, ale ca<sup>3</sup>kiem ciekawie.

Sprawdziwszy kolejny z<sup>1b</sup>, Shep œwiadczy<sup>3</sup> z tylnego sie-dzenia:

- Jest, jak ma byæ, panie.

- Ale na razie nie uda ci siê z nim nawi<sup>1</sup>zaæ dialogu - ci<sup>1</sup>-gn<sup>13</sup> Dylan. - Jest wytr<sup>1</sup>cony z równowagi. Nie radzi sobie za dobrze z ¿adnym zamieszaniem ani zaburzeniem codziennego rozk<sup>3</sup>adu dnia. Najlepiej jest, kiedy dzieñ przebiega dok<sup>3</sup>adnie tak, jak siê spodziewa. Kiedy œniadanie, obiad i kolacja s<sup>1</sup> o w<sup>3</sup>œciwej porze, a ka¿dy posi<sup>3</sup>ek sk<sup>3</sup>ada siê z dañ, które akcep-tuje, a jest ich bardzo niewiele, kiedy nie spotyka zbyt wielu nie-znajomych, którzy próbuj<sup>1</sup> z nim rozmawiaæ... wtedy udaje siê z nim nawi<sup>1</sup>zaæ kontakt i nagadaæ do woli.

- Jest, jak ma byæ, panie - oznajmi<sup>3</sup> Shep, na pozór nie po-twierdzaj<sup>1c</sup> s<sup>3</sup>ów brata.

- Co mu dolega? - spyta<sup>3a</sup> Jilly.

- Wed<sup>3</sup>ug diagnozy jest autyst<sup>1</sup>, chocia¿, o wysokim stopniu sprawnoœci. Nie wykazuje sk<sup>3</sup>onnoœci do przemocy, a bywa bar-dzo rozmowny, wiêc kiedyœ postawiono nawet diagnozê, ¿e to syndrom Aspergera.

- Syn Dromaspergera?

- Zespó<sup>3</sup> Aspergera, zaburzenia rozwojowe. Czasem wyda-je siê, ¿e Shep funkcjonuje bardzo sprawnie, ale czasem nie tak sprawnie, jak by siê chcia<sup>3o</sup>. W ka¿dym razie chyba nie mo¿na mu przyczepiaæ jednoznacznej etykiety. To po prostu Shep, je-dyny w swoim rodzaju.

- Jest, jak ma byæ, panie.

- Powiedzia<sup>3</sup> to ju¿ czternaœcie razy - zauwa¿y<sup>3</sup> Dylan. - Ile cz<sup>3</sup>owiek ma zêbów?

- Chyba... trzydzieœci dwa, razem z zêbami m<sup>1</sup>droœci. Dylan westchn<sup>13</sup>.

- Dziêki Bogu usuniêto mu zêby m<sup>1</sup>droœci.

- Mówi<sup>3</sup>œœ, ¿e Shep potrzebuje stabilnoœci. To na pewno do-brze, ¿e t<sup>3</sup>uczecie siê po kraju jak Cyganie?

- Jest, jak ma byæ, panie.

- Wcale siê nie t<sup>3</sup>uczemy - odpar<sup>3</sup> Dylan wyraŹnie ura¿ony pytaniem, choæ Jilly wcale nie mia<sup>3a</sup> zamiaru go dra¿niaæ. - Ma-my swój plan, sta<sup>3y</sup> porz<sup>1</sup>dek, cele, jakie chcemy osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ. Ma-my do czego d<sup>1</sup>¿yæ. Podrô¿ujemy z fasonem. To nie jest wóz konny z wymalowanymi na bokach magicznymi znakami.

- Chcia<sup>3</sup>am przez to powiedzieæ, ¿e mo¿e lepiej by mu by<sup>3o</sup> w jakimœ zak<sup>3</sup>adzie.

- Nigdy tam nie trafi.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - Nie wszystkie są takie straszne, jak się powszechnie uważa - powiedziała Jilly.
  - Shep ma tylko mnie. Gdybym go wsadził do zakładu, nie miałby już nic.
  - Może jednak byłoby mu lepiej. - Nie. Umarzyłby tam.
  - Przede wszystkim chyba nie pozwoliliby, żeby robił sobie krzywdę.
  - Shep nie robi sobie krzywdy.
  - Wzanie robił - zauważyła. - Jest, jak ma być, panie.
  - To był pierwszy raz, przypadek - rzekł Dylan, lecz w jego głosie zamiast głębokiego przekonania zabrzmiała nuta niepewności. - Na pewno tego nie powtórzy.
  - Wzeceniej też ci się tak wydawało.
- Mimo że przekroczyli już dopuszczalną prędkość, a ruch na autostradzie nie sprzyja szybkiej jeździe, Dylan cały czas przyśpiesza.
- Jilly wyczuła, że próbuje uciec nie tylko od mężczyźni w czarnych chevroletach.
- Możesz jechać nie wiem jak szybko, ale Shep ci siedzi z tyłu.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - Stuknięty lekarz daje ci zastrzyk - rzekł Dylan - a jak za godzinę później doświadczasz odmiennego stanu świadomości... - Przecież proszę o przerwę w tej rozmowie.
  - A ja nie chcę rozmawiać wzięcie o tym - oświadczysz stanowczo. - O zakładach, sanatoriach, domach opieki, miejscach, gdzie ludzi traktuje się jak pszczy z mięsem, odstawia na półkę i od czasu do czasu odkurza.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - W porządku - ustąpiła Jilly. - Przepraszam. Rozumiem. Zresztą to i tak nie moja sprawa.
  - Zgadza się - przytaknął Dylan. - Shep to nie nasza sprawa. Tylko moja.
  - W porządku. - No.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - Dwadzieścia - policzyła Jilly.
  - Ale twój odmienny stan świadomości dotyczy nas obojga, nie tylko ciebie, ale ciebie i mnie, bo ma związek z zastrzykiem...
  - Tego nie możemy być pewni.
- Na jego szerokiej i gumowatej twarzy niektóre miny przybierały karykaturalną formę, jak gdyby rzeczywiście był rysunkowym misiem, który przybył do prawdziwego świata prosto z animowanej krainy, zgolił futro na pysku i zapragnął udawać człowieka. W tej chwili niedowierzanie odmalowało się na jego obliczu tak plastycznie, że wyglądał jak kot Sylwester, który mimo swojej przebiegłości dał się zwabić ptaszce na skraj urwistej skały.
- Och, możemy być pewni. - Wcale nie - upierała się. - Jest, jak ma być, panie.
  - Poza tym - cięgnęła Jilly - określenie „odmienny stan” wcale nie podoba mi się bardziej niż „halucynacja”. Brzmi, jakbym była jakimś apunem.
  - Chyba nie będziemy się kłócić o słownictwo.
  - Ja się nie kłócę. Mówię tylko, co mi się nie podoba.
  - Jeżeli mamy rozmawiać na ten temat, musimy to jakoś nazwać.
  - Wobec tego w ogóle o tym nie rozmawiajmy - zaproponowała.
  - Musimy. Co twoim zdaniem mamy robić - przez resztę życia jeździć w kółko po całym kraju, nigdzie się nie zatrzymujemy i w ogóle o tym nie mówić?
  - Jest, jak ma być, panie.
  - A propos jazdy - powiedziała Jilly - jedziesz o wiele za szybko.
  - Wcale nie.
  - Ponad dziesięćdziesiąt.
  - Tak się wydaje, kiedy patrzysz ze swojego miejsca. - Doprawdy? A jak się wydaje z twojego?
  - Osiemdziesiąt osiem - przyznał, zdejmując nogę z gazu. - Nazwijmy to... mirażem. W tym świecie nie kryją się żadne sugestywne zaburzenia umysłowe, zażywania narkotyków ani manii religijnej.

- Jest, jak ma być, panie.
  - Mnie się wydaje, że lepsza byłaby „zjawia” - powiedziała Jilly.
  - Może być zjawia.
  - Chociaż bardziej podoba mi się „miraż”.
  - Ćwietnie! Wyciemnicie! Jesteśmy na pustyni, więc nawet pasuje.
  - Ale tak naprawdę to nie był miraż.
  - Wiem - zapewnił ją pospiesznie. - To była rzecz wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, którą trudno nazwać. Ale jeżeli widziałe ten miraż z powodu cholerycznej szprycy... - Urwał, wy-czuwając zbliżający się sprzeciw z jej strony. - Och, zejść na ziemię! Zdrowy rozsądek podpowiada, że te dwie rzeczy muszą mieć ze sobą związek.
  - Zdrowy rozsądek jest przereklamowany.
  - Nie w rodzinie O'Connerów.
  - Nie należy do rodziny O'Connerów.
  - Dzięki czemu nie musimy zmieniać nazwiska. - Jest, jak ma być, panie.
- Nie chciała się z nim kłócić, bo wiedziała, że sprawa dotyczy ich obojga, nie potrafiła się jednak powstrzymać.
- A więc w rodzinie O'Connerów nie ma miejsca dla ludzi takich jak ja?
  - Znowu zaczynasz z tym „ludzie tacy jak ja”!
  - Cóż, widocznie na tym polega problem z tobą.
  - To nie problem ze mną, tylko z tobą. Jesteś nadwrażliwa i cięgle się w tobie gotuje, jakbyś miała za chwilę wybuchnąć. - Cudownie. A więc teraz jestem garnkiem gotowym wybuchnąć. Masz nadzwyczajny talent działania ludziom na nerwy. - Ja? Jestem najmniej konfliktowym człowiekiem pod słońcem. Nigdy nikomu nie działałem na nerwy, dopóki nie spotkałem ciebie.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - Znowu jedziesz ponad dziewięćdziesiąt - ostrzegła go.
  - Osiemdziesiąt dziewięć - zaprotestował i tym razem nie zdjął nogi z gazu. - Jeżeli widziałe miraż z powodu szprycy, to pewnie mnie to czeka.
  - I to następny powód, dla którego nie powinieneś jechać ponad dziewięćdziesiąt.
  - Osiemdziesiąt dziewięć - poprawił, po czym niechętnie zwinął.
  - Ty pierwszy dostałeś szprycę od tego szurniętego sukina-syna komiwojaka - powiedziała Jilly. - Jeżeli to cholerstwo zawsze wywołuje miraże, najpierw ty powinieneś je widzieć.
  - Po raz setny powtarzam - to nie był komiwojaka, tylko jakiegoś stukniętego lekarza, naukowca maniak albo kogoś w tym rodzaju. Poza tym przypominam sobie, jak mówił, że szprycą na każdego działa inaczej.
  - Jest, jak ma być, panie.
  - Inaczej? Jak na przykład?
  - Nie powiedziała. Po prostu inaczej. Mówił też... że efekt jest zawsze interesujący, często zaskakujący, niekiedy nawet pozytywny.
- Wzdrygnęła się na wspomnienie kojących się ptaków i migoczących świec wotywnych.
- Ten miraż nie miał w sobie nic pozytywnego. Co jeszcze mówił doktor Frankenstein?
  - Frankenstein?
  - Nie możemy cię nazywać go stukniętym lekarzem, na-ukowcem maniakiem czy szurniętym sukinsynem komiwojaka-rem. Trzeba nadać mu jakieś imię, dopóki nie poznamy jego prawdziwego nazwiska.
  - Ale Frankenstein... - Co takiego?
- Dylan się skrzywił. Oderwał jedną dłoń od kierownicy, by wykonać nieokreślony dwuznaczny gest.
- Brzmi tak...
  - Jest, jak ma być, panie. - Jak brzmi?
  - Melodramatycznie - uznał w końcu.
  - Wszyscy tylko krytykują - odrzekła zniecierpliwiona. - I czemu od każdego cięgle słyszysz słowo „melodramatyczny”? - Ode mnie nigdy go nie słyszałem - zaprotestował. - Poza tym nie mówię o tobie.

- Ty nie. Nie powiedzia³am, ¿e to ty. Ale równie dobrze mó³byœ to byæ ty. Jesteœ mê¿czyn¹.

- Tego ju¿ w ogóle nie rozumiem.

- Oczywiście, ¿e nie rozumiesz. Jesteœ mê¿czyn¹. Przy swo-im zdrowym rozs¹dku nie potrafisz zrozumieæ niczego, co nie jest liniowe jak rz¹dek kostek domina.

- Masz problemy z mê¿czyznami? - spyta³ zachwycony, ¿e mu siê uda³o, a na widok jego zadowolonej miny Jilly zapra-gnê³a uderzyæ go w twarz.

- Jest, jak ma byæ, panie.

Jilly i Dylan powiedzieli równoczenie, z identyczn¹ ulg¹: - Dwadzieœcia osiem!

Sprawdziwszy stan wszystkich zêbów, Shep na³o¿y³ buty, zawi¹za³ i umilk³

Wskazówka szybkoœciomierza opada³a, podobnie jak wzbu-rzenie Jilly, choæ dziewczyna mia³a wra¿enie, ¿e w ci¹gu najbli¿-szych dziesiêciu lat raczej nie zazna spokoju.

Zmniejszaj¹c prêdkoœæ do siedemdziesiêciu mil na godzinê, choæ jego zdaniem by³o to pewnie tylko szeœædziesi¹t osiem, Dy-lan rzek³:

- Przepraszam.

S³ysz¹c to, Jilly siê zdumia³a. - Za co?

- Za mój ton. Za moje nastawienie. Za to, co mówi³em Wiesz, normalnie nikomu nie udaje siê wci¹gn¹æ mnie w k³ótniê.

- W nic ciê nie wci¹ga³am.

- Nie, nie - poprawi³ siê szybko. - Nie to mam na myœli. Nie wci¹gnê³aœ mnie w k³ótniê. Po prostu zwykle siê nie z³oszczê. Powstrzymujê siê. Panujê nad sob¹. Przekszta³cam to w energiê twórcz¹. Na tym miêdzy innymi polega moja filozofia artystyczna.

Jilly nie potrafi³a zapanowaæ nad cynizmem tak skutecznie, jak podobno on panowa³ nad gniewem; sarkazm by³o s³ychaæ w jej glosie i widaæ na twarzy, która przeobrazi³a siê w gipsow¹ maskê zatytu³owan¹ „Pogarda”.

- Artyœci siê nie z³oszcz¹, tak?

- Nie starcza nam negatywnej energii po tych wszystkich gwa³tach i morderstwach.

Musia³a siê uemiechn¹æ na ten przytyk.

- Przepraszam. Zawsze mnie ponosi, kiedy ludzie zaczyna-j¹ mówiæ o swojej filozofii.

- W³aœciwie masz racjê. Filozofia to zdecydowanie za du¿e s³owo. Powinienem powiedzieæ, ¿e na tym polega moja metoda dzia³ania. Nie jestem jednym z tych m³odych gniewnych, którzy daj¹ wyraz wœciek³oœci, rozpaczy i gorzkiemu nihilizmowi.

- Co wiêc malujesz? - Œwiat taki, jaki jest. - Tak? A jak twoim zdaniem wygl¹da dzisiaj œwiat?

- Cudownie. Przepiêknie. Tajemniczo. Jest g³êboki, wielo-warstwowy. - Z ka¿dym s³owem Dylan mówi³ coraz ciszej i spo-kojniej, jak gdyby by³a to czêsto powtarzana modlitwa, w któ-rej dziêki szczerej wierze odnajdywa³ pociechê. Jego twarz rozjaœni³ wewnêtrzny blask i Jilly przesta³a w nim widzieæ ry-sunkowego misia, jakiego dot¹d przypomina³. - Pe³en znaczeñ, których nie da siê do koñca uchwyciæ. Pe³en prawdy, która, je-œli obejmie siê j¹ uczuciem i rozumem, uspokoi najbardziej wzburzone morze i przyniesie nadziejê. Ma tyle piêkna, ¿e nie starczy mi talentu ani czasu, ¿eby je przenieœæ na p³ótno.

Jego elokwencja zupe³nie nie pasowa³a do cz³owieka, jakim siê wydawa³ i Jilly nie wiedzia³a, co powiedzieæ, gdy¿ zda³a so-bie sprawê, ¿e nie mo¿e wyg³aszaæ zgryŹliwych uwag podszy-tych zjadliwym sarkazmem, chocia¿ jêzyk j¹ œwierzbi³, czekaj¹c na odpowiedni¹ chwilê jak u wê¿a szykuj¹cego siê do ataku. Łatwe docinki, płaski humor by³y zupe³nie nie na miejscu wo-bec jego szczeroci. Czu³a, jak opuszcza j¹ pewnoœæ siebie i prze-m¹drza³oœæ, poniewa¿ g³êbia i skromnoœæ jego odpowiedzi wy-tr¹ci³y j¹ z równowagi. Nigdy przedtem nie mia³a wra¿enia, ¿e wszystko, co powie, bêdzie niestosowne i ku swemu zdumieniu stwierdzi³a, ¿e ogarnê³o j¹ poczucie... pustki. Jej ciêty dowcip, który zawsze przypomina³ okrêt pod pe³nymi ¿aglami, przeisto-czy³ siê w ma³¹ ódeczkê i utkn¹³ na mieliŹnie.

Nie podoba³o siê jej to uczucie. Dylan nie zamierza³ jej upo-korzyæ, jednak mia³a wra¿enie, ¿e zosta³a wykpi³a. Bêd¹c dziewczynk¹ z chóru i spêdziwszy w kociele wiêksz¹ czêœæ ¿y-cia, Jilly dobrze rozumia³a teoriê, wed³ug której upokorzenie jest cnot¹ i b³ogos³awieñstwem, zapewnij¹cym



szczęśliwsze czy-cie tym, którzy go nie doświadczyli. Jednak gdy ksi'dz poru-sza<sup>3</sup> tę sprawę w homilii, Jilly stara<sup>3</sup>a się go nie s<sup>3</sup>uchać. M<sup>3</sup>odej Jilly wydawa<sup>3</sup>o się, że czy<sup>3</sup> w upokorzeniu większym od absolut-nego minimum, które zadowoli<sup>3</sup>oby Boga, oznacza<sup>3</sup>o dać za wy-gran<sup>1</sup> na samym pocz<sup>1</sup>tku. Doros<sup>3</sup>a Jilly nie zmienia<sup>3</sup>a tego prze-konania. Na świecie roi się od ludzi, którzy za wszelk<sup>1</sup> cenę chc<sup>1</sup> cię zawstydziać, wykpią, postawią w k<sup>1</sup>cie i trzymają w ryzach. Jeżeli przyjmiesz upokorzenie bez zastrzeżeń, oddasz im tylko przys<sup>3</sup>ugę.

Wpatrując się w rozwijając<sup>1</sup> się czy zwijając<sup>1</sup> przed sob<sup>1</sup> au-tostradę, Dylan O'Conner wydawa<sup>3</sup> się zupełnie spokojny. Jilly jeszcze go takiego nie widzia<sup>3</sup>a i nie spodziewa<sup>3</sup>a się zobaczy<sup>3</sup> w tak tragicznych okolicznościach. Widocznie wystarczy<sup>3</sup> mu myśleć o swojej sztuce i kontemplacja w<sup>3</sup>oeciwego oddania piękna świata na dwuwymiarowym p<sup>3</sup>ótnie, by nie dopuścić do siebie strachu, przynajmniej na pewien czas.

Podziwia<sup>3</sup>a pewność siebie, z jak<sup>1</sup> podchodzi<sup>3</sup> do swej profesji, i bez pytania wiedzia<sup>3</sup>a, że nigdy nie bra<sup>3</sup> pod uwagę żadnego planu awaryjnego, gdyby nie powiod<sup>3</sup>o mu się w malarstwie, tak jak ona myśla<sup>3</sup>a o ewentualnej karierze autorki bestsellerów. Zazdrości<sup>3</sup>a mu tej pewności, ale zamiast wykrzesać z siebie zdrowy gniew, który mógł<sup>3</sup>by przegonić dojmujące poczucie niestosowności, jeszcze g<sup>3</sup>ębiej pogr<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>a się w lodowatym upokorzeniu.

W ciszy, jaka zapad<sup>3</sup>a z jej winy, Jilly znów us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a echo srebrzystego śmiechu dzieci, a może by<sup>3</sup>o to tylko wspomnienie; nie wiedzia<sup>3</sup>a. Na ramionach, szyi i twarzy poczu<sup>3</sup>a lekkie jak powiew ch<sup>3</sup>odnego wiatru dotknięcie trzepoczących pierza-stych skrzyde<sup>3</sup>.

Zamknę<sup>3</sup>a oczy, zdecydowana nie ulec następnemu mirażowi, jeżeli się zbliż<sup>3</sup>a, i uda<sup>3</sup>o się jej uciszyć śmiech dzieci. Skrzydła też zniknę<sup>3</sup>y, lecz dozna<sup>3</sup>a czegoś jeszcze bardziej niepokojącego i zdumiewającego: sta<sup>3</sup>a się nagle świadoma ka<sup>3</sup>-dego nerwu w swoim ciele, poczu<sup>3</sup>a - w postaci gor<sup>1</sup>ca i mrowienia impulsów - dokładne umiejscowienie i skomplikowany układ wszystkich dwunastu par nerwów czaszkowych, wszystkich trzydziestu jeden par nerwów lędźwiowych. Gdyby by<sup>3</sup>a malarzem, potrafi<sup>3</sup>aby narysować szczegółow<sup>1</sup> mapę tysięcy aksonów w swoim ciele i precyzyjnie określać liczbę neuronów, z których składa<sup>3</sup> się ka<sup>3</sup>dy z niciowatych neurytów. Czu<sup>3</sup>a miliony impulsów elektrycznych przenoszących informacje przez włókna czuciowe z odległych punktów ciała do rdzenia kręgowego i mózgu i równie gęsty ruch impulsów przekazujących instrukcje z mózgu do mięśni, narządów i gruczołów. W myślach ujrza<sup>3</sup>a trójwymiarowy model centralnego układu nerwowego: miliardy połączonych ze sobą komórek nerwowych w mózgu i rdzeniu kręgowym były na nim różnokolorowymi punkcikami światła, migoczącymi w gorączkowej pracy.

Uświadomi<sup>3</sup>a sobie ogrom wszechświata w swoim wnętrzu, bezmiar galaktyk b<sup>3</sup>yskających neuronów i nagle poczu<sup>3</sup>a, jak gdyby lecia<sup>3</sup>a w zimnym otch<sup>3</sup>ań gwiazd, jakby by<sup>3</sup>a kosmonaut<sup>1</sup>, który wyszed<sup>3</sup> w przestrzeń i zerwa<sup>3</sup> uwię<sup>3</sup> cz<sup>1</sup> go ze statkiem. Otworzy<sup>3</sup>a się przed ni<sup>1</sup> wieczność jak gigantyczna paszcza, żeby ją po<sup>3</sup>kn<sup>1</sup>ać, a ona lecia<sup>3</sup>a coraz szybciej i szybciej, wprost do czeluści, w g<sup>3</sup>łęb zapomnienia.

Otworzy<sup>3</sup>a oczy. Nienaturalna świadomość neuronów, aksonów i połączeń nerwowych zniknę<sup>3</sup>a równie gwałtownie, jak się pojawi<sup>3</sup>a.

Teraz poczu<sup>3</sup>a wyraźnie tylko jeden fragment swojego ciała. Punkcik po uk<sup>3</sup>uciu igły. Swędzenie. Pulsowanie. Pod opatrunkiem z królikiem.

Sparaliżowana ze strachu, nie mog<sup>3</sup>a oderwać plastra. Wstrząsana dreszczami wpatrywa<sup>3</sup>a się bezradnie w plamkę krwi ciemniejszą na spodzie gazy.

Gdy paraliż zaczął ustępować, Jilly unios<sup>3</sup>a wzrok i ujrza<sup>3</sup>a chmurę białych gołębi, które leciały wprost w kierunku forda. Bezszelestnie wy<sup>3</sup>oniły się z mroku, zmierzały na zachód, pod pr<sup>1</sup>du ruchu, trzepocząc setkami, tysiącami skrzydeł. Rozdzieliły się na dwa strumienie, które śmigły wzdłuż boków samochodu, i trzeci, który przemkn<sup>13</sup> nad maską i przedni<sup>1</sup> szyb<sup>1</sup>, cz<sup>1</sup> się w ciemności z rw<sup>1</sup>c<sup>1</sup> biał<sup>31</sup> rzek<sup>1</sup> - zupełnie bezgłośnie, jakby we śnie pozbawionym dźwięków.

Mimo że niezliczone legiony gołębi gnały na forda jak gęsta ścieżka, przez którą nic nie by<sup>3</sup>o widać, Dylan nie zareagowa<sup>3</sup> na to ani słowem, nie zmniejszył też prędkości. Patrzy<sup>3</sup> na biał<sup>31</sup> ścieżkę, zdając się nie zauważać ani jednego skrzydła, ani jedne-go widzącego oka.

Jilly przypuszcza<sup>3</sup>a, że zapewne nikt poza ni<sup>1</sup> nie widzi fali gołębi, która w rzeczywistości nie istnieje.

Zacisnęła spoczywać na kolanach dźonie, przygryzając wargę. Serce jej omotało - taki hałas mogłoby wydawać setki ptasich skrzydeł - a ona modliła się, aby te pierzaste widma zniknęły, choć bała się, że po nich może się zjawiać coś znacznie gorszego.

## 13 Zjawy wkrótce ustąpiły miejsca rzeczywistości, a z autostrady zniknęły ostatnie

gołębie, odlatując na gałęziach drzew i wysokie dzwonnice.

Serce Jilly stopniowo wróciło do normalnego rytmu, lecz każde uderzenie zdawało się równie głośnie jak wtedy, gdy konała ze strachu.

Mając za plecami księżyc, a nad głowami rozgwieżdżone niebo, przejechali mil czy dwie, słyszeli tylko cewist mijających ich aut i huk monstrualnych ciężarówek, gdy Dylan odezwał się, jak gdyby dodając melodię do rytmu bicia serca Jilly:

- A jak ty masz metodę działania? Pytam o twój pracę komika.

Wyszło jej w ustach, a język miał jak kółko, jednak kiedy przemówił, jej głos zabrzmiał zupełnie normalnie.

- Masz na myśli mój materiał? Ludzka głupota. Wycofajmy się, jak najlepiej potrafisz. Głupota, zdrada, niewierność, zachłanność, zrozumiałość, iść, próżność, nienałość, bezmyślna przemoc... Komik nigdy nie narzeka na brak tematów. - Słuchaj sama siebie, zawstydz się, porównuj jego i swoje inspiracje twórcze. - Ale tak pracują wszyscy komicy. Nie zamierza się usprawiedliwiać, lecz jakiego impuls kazał jej się tłumaczyć i nie mogła go opanować. - Mamy ciężką robotę, ale ktoś to musi robić.

- Ludzie potrzebują śmiechu - zauważył idiotycznie, starała się ją pocieszyć, jak gdyby czytał jej w myślach.

- Chce ich rozśmieszać do tego stopnia, żeby śmiali - powiedział Jilly, zastanawiając się, skąd się wzięły te słowa. - Chce, żeby czuli...

- Czuli co?

Słowo, które miało na końcu języka, było tak niewątpliwie i sprzeczne z motywacją, jakiej kiedyś oczekiwałoby od komika, że poczuła się nieswojo, słysząc je w głosie. „Ból”. Omal nie powiedziała: „Chce, żeby czuli ból”. Przeknęła jednak to słowo, krzywiąc się, jakby miało gorzki smak.

- Jilly?

Z ulgą porzuciła grzebanie we własnym mrocznym wnętrzu i wróciła do grozy czającej się w ciemnościach nocy, od której oboje na moment uciekli. Spoglądając na autostradę, zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Jedziemy na wschód. - Tak.

- Dlaczego?

- Przez czarne ford, wybuchy, bandytów w strojach golfowych - przypomina jej.

- Ale ja jechałam na zachód, zanim... zanim doszło do tego zajścia. W przyszłym tygodniu mam trzy występy w Phoenix. Siedzący z tyłu Shep przerwał milczenie:

- Ka. Fekalia. Defekacja.

- Nie możesz teraz jechać do Phoenix - sprzeciwił się Dylan. - Po tym, co się stało, po twoim mirażu...

- Gdyby nawet miało dojść do końca świata, potrzebuję pieniędzy. Poza tym nie można ustalić terminu, a potem wycofać się w ostatniej chwili. W każdym razie jeżeli chce się jeszcze pracować.

- Wypróbnienie. Stolec. Odchody - powiedziała Shep. - Zapomniałaś o swoim cadillacu? - spytał Dylan.

- Jak mogłabym zapomnieć? Przecież ci dranie wysadzili go w powietrze. Mojego pięknego coupe deville. - Westchnęła. - Czyż nie był piękny?

- Prawdziwe cacko - przytaknęła.

- Uwielbiam te gustownie stonowane stateczniki na tylnych błotnikach.

- Rzeczywiście eleganckie.

- Przedni zderzak wygląda, jakby wmontowali tam pociśki haubicy.

- Tak, był bardzo haubiczny.

- Napis „Coupe DeVille” na bokach by<sup>3</sup> z<sup>3</sup>oty. Uoczy szczegó<sup>3</sup>. Teraz wszystko wylecia<sup>3</sup>o w powietrze, spali<sup>3</sup>o siê i œmierdzi pieczonym Frankensteinem. Kto mó<sup>3</sup>by o czymœ ta-kim zapomnieæ?

- Nawóz. Obornik - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - Co on robi? - spyta<sup>3</sup>a Jilly.

- Jakœ czas temu powiedzia<sup>3</sup>æ mi, ¿e jestem wulgarny -przypomnia<sup>3</sup> jej Dylan. - Sugerowa<sup>3</sup>æ, ¿eby<sup>3</sup> szuka<sup>3</sup> synoni-mu s<sup>3</sup>owa, które ciê urazi<sup>3</sup>o. Shep postanowi<sup>3</sup> mnie wyrêczyæ. - Gnój. Koproli<sup>3</sup>.

- Ale to by<sup>3</sup>o jeszcze przed naszym wyjazdem z motelu - za-uwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a.

- Jego poczucie czasu jest inne ni¿ nasze. Trudniej mu rozró<sup>3</sup>-niæ przesz<sup>3</sup>oœæ, tera<sup>3</sup>niejszyoœæ i przysz<sup>3</sup>oœæ, a czasem zachowuje siê tak, jakby by<sup>3</sup>y dla niego tym samym i dzia<sup>3</sup>y siê równoczenie.

- Kupka - rzek<sup>3</sup> Shep. - Kaka.

- Jeœli chodzi o twojego cadillaca-ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan-to przy-puszczam, ¿e jeœli te zbiry w koszulkach polo dowiedzi<sup>1</sup> siê, ¿e nie nale<sup>3</sup> do Frankensteina, ale jest zarejestrowany na Jillian Jackson, zacz<sup>1</sup> ciê szukaæ. Bêd<sup>1</sup> chcieli wiedzieæ, jak zdoby<sup>3</sup> twój samochód albo czy da<sup>3</sup>æ mu go dobrowolnie.

- Wiedzia<sup>3</sup>am, ¿e powinnam wezwææ gliny. Powinnam zg<sup>3</sup>o-siæ kradzie<sup>3</sup> samochodu jak porz<sup>1</sup>dny obywatel. Teraz sama je-stem podejrzana.

- E-e. Kakunianie.

- Je<sup>3</sup>eli Frankenstein mia<sup>3</sup> racjê - ostrzeg<sup>3</sup> Dylan - byæ mo-¿e gliny nie potrafi<sup>1</sup> ciê ochroniæ. Mo<sup>3</sup>e ci ludzie maj<sup>1</sup> wp<sup>3</sup>ywy w policji.

- To chyba powinnam siê zwróciæ do kogoœ innego - FBI? - Mo<sup>3</sup>e nie da siê przed nimi uciec. Mog<sup>1</sup> mieæ te<sup>3</sup> wp<sup>3</sup>ywy w FBI.

- Kto to, na Boga, jest - Secret Service, CIA, gestapo elfów Œwiêtego Miko<sup>3</sup>aja, które robi listê niegrzecznych dzieci?

- Krowi placek. Nieczystoœci.

- Frankenstein nie zdradzi<sup>3</sup>, kim s<sup>1</sup> - odpar<sup>3</sup> Dylan. - Po-wiedzia<sup>3</sup> tylko, ¿e je<sup>3</sup>eli odkryj<sup>1</sup> szprycê w naszej krwi, mo<sup>3</sup>emy siê po<sup>3</sup>egnaæ z ¿yciem, a naszych kocci nigdy nikt nie znajdzie.

- Tak, mo<sup>3</sup>e rzeczywiœcie tak powiedzia<sup>3</sup>, ale dlaczego w ogóle mamy mu wierzyæ? To by<sup>3</sup> szalony naukowiec.

- Opró<sup>3</sup>nienie jelit. Oddawanie stolca. Seans toaletowy. - Nie by<sup>3</sup> szalony - oznajmi<sup>3</sup> z przekonaniem Dylan.

- Sam mówi<sup>3</sup>oœ, ¿e jest stukniêty.

- A ty nazywa<sup>3</sup>æ go komiwoja<sup>3</sup>erem. W tamtej nerwowej chwili ró<sup>3</sup>nie go nazywalicemy...

- Paczka sedesowa. Wk<sup>3</sup>ad do wychodka. Wydzieliny.

- ...ale pomyœl o tym, jaki mia<sup>3</sup> wybór - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan. - Skoro wiedzia<sup>3</sup>, ¿e œcigaj<sup>1</sup> go ci faceci i zamierzaj<sup>1</sup> zabiaæ, podj<sup>13</sup> najbardziej logiczne i racjonalne dzia<sup>3</sup>anie, jakie by<sup>3</sup>o w tym mo-mencie mo<sup>3</sup>liwe. Jilly otworzy<sup>3</sup>a szeroko usta, jak gdyby przygotowywa<sup>3</sup>a siê do leczenia kana<sup>3</sup>owego.

- Logiczne? Racjonalne? - Przypomnia<sup>3</sup>a sobie, ¿e tak na-prawdê w ogóle nie zna pana Dylana O'Connera. Mó<sup>3</sup> siê oka-zaæ jeszcze dziwniejszym osobnikiem ni¿ jego brat. - Dobra, najpierw ustalmy fakty. Uœmiechniêty gnojek czêstuje mnie chloroformem, wstrzykuje mi do ¿y<sup>3</sup> jakieœ eliksir doktora Jekyll-la, kradnie mój cudny samochód, daje siê wysadziæ w powietrze - i w twojej œwiat<sup>3</sup>ej opinii to zachowanie daje mu kwalifikacje szefa uniwersyteckiego zespo<sup>3</sup>u dyskusyjnego?

- Przyskrzynili go, czas ucieka<sup>3</sup>, wiêc zrobi<sup>3</sup> jedyn<sup>1</sup> rzecz, ja-k<sup>1</sup> mó<sup>3</sup>, ¿eby ocaliæ dzie<sup>3</sup>o swojego ¿ycia. Jestem pewien, ¿e nie zamierza<sup>3</sup> daæ siê wysadziæ w powietrze.

- Jesteœ tak samo pomyłony jak on - uzna<sup>3</sup>a Jilly. - Ekskrementy. Œajno.

- Nie twierdzê, ¿e post<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> s<sup>3</sup>usznie-t<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup> Dylan.

-Ale zgodnie z logik<sup>1</sup>. Je<sup>3</sup>eli przyjmiemy za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie, ¿e mia<sup>3</sup> nierówno pod sufitem, pope<sup>3</sup>nimy b<sup>3</sup>d, przez który mo<sup>3</sup>emy zgin<sup>1</sup>æ. Po-myœl: przegra, jeœli umrzemy. Dlatego chce, ¿ebyœmy prze<sup>3</sup>yli, bo jesteœmy jego... nie wiem... bo jesteœmy jego ¿ywym ekspery-mentem. W zwi<sup>1</sup>zku z tym muszê przyj<sup>1</sup>æ, ¿e wszystko, co mi mówi<sup>3</sup>, ma nam pomóc prze<sup>3</sup>yæ.

- Brudy. Biegunka. Wyp<sup>3</sup>ata z Jelitbanku.

Tu¿ po bokach autostrady miêdzystanowej, na pó<sup>3</sup>noc i po<sup>3</sup>u-dnie, rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>y siê równiny ciemne jak kamienie ze staro<sup>3</sup>ytne<sup>3</sup>go paleniska poczernia<sup>3</sup>e od dziesi<sup>1</sup>tków tysiêcy ognisk, upstrzone szarymi jak popió<sup>3</sup> cêtkami w miejscach, gdzie blask ksiê<sup>3</sup>yca i gwiazd odbija<sup>3</sup> siê od roœlinnoœci pustynnej albo

b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ych fragmentów kamieni. Na wschodzie majaczy<sup>3</sup> posępny zarys <sup>3</sup>añ-cucha gór Peloncillo, które z pó<sup>3</sup>nocnego i po<sup>3</sup>udniowego wscho-du niczym imad<sup>3</sup>o napiera<sup>3</sup>y na autostradê: twardy, czarny ma-syw poszarpanych ska<sup>3</sup>, ciemniejszy od nieba, w które siê wrzyna<sup>3</sup>.

Pustynny krajobraz nie napawa<sup>3</sup> otuch<sup>1</sup> i nadziej<sup>1</sup>, a poza autostrad<sup>1</sup> nie by<sup>3</sup>o widaæ ¿adnego znaku, ¿e to czeoæ zamiesz-kaney planety. Przypomina<sup>3</sup> niesamowit<sup>1</sup> sceneriê z filmu fan-tastycznonaukowego opowiadaj<sup>1</sup>cego o œwiecie, w którym wszystkie gatunki wyginê<sup>3</sup>y setki lat temu, pozostawiaj<sup>1</sup>c po so-bie martw<sup>1</sup> ziemiê, nieruchom<sup>1</sup> jak diorama pod szk<sup>3</sup>em, gdzie porusza<sup>3</sup>y siê jedynie maszyny wykonuj<sup>1</sup>ce zaprogramowane wieki temu zadania, które nie mia<sup>3</sup>y ju¿ ¿adnego znaczenia.

Ponury pejza¿ skojarzy<sup>3</sup> siê Jilly z widokiem piek<sup>3</sup>a, w któ-rym wygaszono ognie.

- Nie ujdziemy z tego z ¿yciem, prawda? - zapyta<sup>3</sup>a reto-rycznie, jakby nie spodziewa<sup>3</sup>a siê przec<sup>1</sup>cej odpowiedzi.

- Co? Oczywiście, ¿e prze¿yjemy.

- Oczywiście? - powiedzia<sup>3</sup>a z niedowierzaniem. - Nie masz ¿adnych w<sup>1</sup>tpliwoœci?

- Oczywiście - potwierdzi<sup>3</sup>. - Najgorsze ju¿ za nami. - Wcale nie.

- Ale¿ tak.

- Nie b<sup>1</sup>d<sup>3</sup>œ mieszn<sup>1</sup>.

- Najgorsze ju¿ za nami - powtórzy<sup>3</sup> z uporem.

- Jak mo¿esz mówiaæ, ¿e najgorsze za nami, skoro nie ma-my pojęcia, co nas jeszcze czeka?

- Tworzenie to akt woli - rzek<sup>3</sup>. - Co to niby ma znaczyæ?

- Zanim stworzê obraz, uk<sup>3</sup>adam go sobie w myœlach. I w tym momencie ju¿ istnieje. Potem, ¿eby zmieniaæ koncepcjê w namacalne dzie<sup>3</sup>o sztuki, potrzeba tylko czasu i pracy, farby i p<sup>3</sup>ót<sup>1</sup>na.

- Czy my rozmawiamy o tym samym? - zastanawia<sup>3</sup>a siê na g<sup>3</sup>os Jilly.

Shepherd znów zamilk<sup>3</sup>, lecz gadanina jego brata zaniepoko-i<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> bardziej ni¿ paplanie Shepa.

- Pozytywne myœlenie. Przewaga umys<sup>3</sup>u nad materi<sup>1</sup>. Bóg stworzy<sup>3</sup> niebo i ziemiê, powo<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c je do istnienia tylko myœl<sup>1</sup>. Najpotê¿niejszy<sup>1</sup> si<sup>3</sup> wszechœwiata jest si<sup>3</sup>a woli.

- Na pewno nie, bo inaczej mia<sup>3</sup>abym w<sup>3</sup>asny sitcom i w tym momencie urz<sup>1</sup>dza<sup>3</sup>abym przyjêcie w swojej posiad<sup>3</sup>oœci w Malibu. - Nasza zdolnoœæ tworzenia stanowi odbicie boskiej zdol-noœci tworzenia, bo codziennie wymyœlamy nowe rzeczy i po-wo<sup>3</sup>ujemy je do istnienia-wynalazki, projekty architektoniczne, zwi<sup>1</sup>zki chemiczne, procesy produkcyjne, dzie<sup>3</sup>a sztuki, przepi-sy na chleb, ciasto i pieczeñ.

- Nie zamierzam ryzykowaæ wiecznego potêpienia, utrzy-muj<sup>1</sup>c, ¿e robiê tak dobr<sup>1</sup> pieczeñ jak Bóg. Jego na pewno sma-kowa<sup>3</sup>aby lepiej.

Puszczaj<sup>1</sup>c mimo uszu jej uwagê, Dylan kontynuowa<sup>3</sup>:

- Nie mamy boskiej mocy, wiêc nie potraómy zamieniaæ energii naszych myœli bezpoœrednio w materiê...

- Bóg robi te¿ pewnie lepsze sa<sup>3</sup>atki ni¿ ja i jestem pewna, ¿e jest mistrzem nakrywania do sto<sup>3</sup>u.

- ...ale kieruj<sup>1</sup>c siê myœl<sup>1</sup> i logik<sup>1</sup>-ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> cierpliwie Dylan - umiemy wykorzystaæ inne rodzaje energii, ¿eby zmieniaæ ist-niej<sup>1</sup>c<sup>1</sup>materiê w prawie wszystko, co zechcemy. Przêdziemy nici, ¿eby szyæ z nich ubrania. Œcinamy drzewa i z drewna budu-jemy sobie schronienie. Nasz proces tworzenia jest o wiele wol-niejszy i nieporadny, ale w gruncie rzeczy bardzo zbli¿ony do boskiego. Rozumiesz, o czym mówiê?

- Je¿eli kiedykolwiek zrozumiem, to bêdzie znaczy<sup>3</sup>o, ¿e mo¿na odwie<sup>3</sup>æ mnie do czubków.

Znowu stopniowo zwiêkszaj<sup>1</sup>c prêdkoœæ, powiedzia<sup>3</sup>:

- Wyka¿ odrobinê dobrej woli, dobra? Mo¿esz siê trochê wysiliaæ?

Jilly zirytowa<sup>3</sup>a jego dzieciêca gorliwoœæ i huraoptymizm w obliczu œmiertelnego niebezpieczeñstwa.

Mimo to, przypomi-naj<sup>1</sup>c sobie upokorzenie, jakiego dozna<sup>3</sup>a po jego poprzednim popisie elokwencji, poczu<sup>3</sup>a zalewaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> jej twarz falê gor<sup>1</sup>ca, ale zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a opanowaæ wzbieraj<sup>1</sup>cy strumieñ sarkazmu.

- W porz<sup>1</sup>dku. Mów dalej.

- Za<sup>3</sup>ó¿my, ¿e zostaliby stworzeni na podobieñstwo Boga. - Dobra. I co z tego?

- Logiczny jest zatem wniosek, ¿e chocia¿ nie potrafimy tworzyæ materii z niczego i nie umiemy zmieniaæ istniej<sup>1</sup>cej ma-terii za pomoc<sup>1</sup> samych myœli, to jednak nasza si<sup>3</sup>a woli, o wie-le mniej potê¿na od boskiej, mo¿e mieæ wp<sup>3</sup>yw na ksza<sup>3</sup>t rze-czy, które maj<sup>1</sup> nadejœæ.

- Kszta<sup>3</sup>t rzeczy, które maj<sup>1</sup> nadej<sup>o</sup>æ-powtórzy<sup>3</sup>a. - Zgadza się.
- Kszta<sup>3</sup>t rzeczy, które maj<sup>1</sup> nadej<sup>o</sup>æ.
- Otó<sup>2</sup> to -potwierdzi<sup>3</sup>, kiwaj<sup>1</sup>c z zadowoleniem g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i od-rywaj<sup>1</sup>c na chwilę wzrok od drogi, aby się do niej u<sup>o</sup>emiechn<sup>1</sup>æ. - Kszta<sup>3</sup>t rzeczy, które maj<sup>1</sup> nadej<sup>o</sup>æ - powtórzy<sup>3</sup>a jeszcze raz, zdaj<sup>1</sup>c sobie nagle sprawę, że w konsternacji zaczę<sup>3</sup>a mówić jak Shepherd. - Jakich rzeczy?
- Przysz<sup>3</sup>ych wydarzeń - wyja<sup>o</sup>eni<sup>3</sup>. - Jeżeli jesteśmy stworze-ni na obraz Boga, by<sup>o</sup>æ mo<sup>2</sup>że posiadamy trochę boskiej mocy kształtowania rzeczy - odrobinkę, ale tyle, że da się ją wyko-rzystać. Nie tworzymy materii, ale przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>æ. Mo<sup>2</sup>że dzięki na-szej sile woli potrafimy kształtowa<sup>o</sup>æ swoje przeznaczenie, przy-najmniej czę<sup>o</sup>ciowo.
- Co? Jeżeli sobie wyobra<sup>2</sup>zę, że w przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>eci będę miliona-ry<sup>1</sup>, to naprawdę się ni<sup>1</sup> stanę?
- Musisz podejmowa<sup>o</sup>æ odpowiednie decyzje i cię<sup>2</sup>ko pracowa<sup>o</sup>æ, ale... tak, wierzę, że ka<sup>2</sup>dy z nas mo<sup>2</sup>że kształtowa<sup>o</sup>æ włas<sup>1</sup>n<sup>1</sup> przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>æ, jeżeli ma do<sup>o</sup>æ si<sup>3</sup>y woli.

Wci<sup>2</sup> panuj<sup>1</sup>c nad rozdra<sup>2</sup>żeniem i staraj<sup>1</sup>c się zachowa<sup>o</sup>æ spokojny ton, spyta<sup>3</sup>a:

- Dlaczego więc nie jesteś s<sup>3</sup>awnym malarzem miliarderm? - Nie chcę być s<sup>3</sup>awny ani bogaty.
- Ka<sup>2</sup>dy chce być s<sup>3</sup>awny i bogaty.
- Ja nie. Życie i tak jest skomplikowane. - Ale pieni<sup>1</sup>dze znacznie u<sup>3</sup>atwiają<sup>1</sup> życie.
- Pieni<sup>1</sup>dze znacznie komplikuj<sup>1</sup> życie - zaprotestowa<sup>3</sup>. - S<sup>3</sup>awa też. Chcę tylko dobrze malowa<sup>o</sup>æ, co dzień coraz lepiej. - Zatem - powiedzia<sup>3</sup>a, trac<sup>1</sup>c kontrolę nad strumieniem sarkazmu - w wyobra<sup>2</sup>żeni zobaczysz siebie w przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>eci jako drugiego Vincenta Van Gogha, pomyślisz sobie życzenie i pewnego dnia twoje obrazy znajd<sup>1</sup> się w muzeach.
- Zamierzam w ka<sup>2</sup>dym razie spróbowa<sup>o</sup>æ. Vincent Van Gogh - mo<sup>2</sup>że, chociaż wyobra<sup>2</sup>zam sobie przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>æ, w której mam oboje uszu.
- Niczym niezmi<sup>1</sup>cony dobry humor Dylana w obliczu nie-szczę<sup>o</sup>ścia podzia<sup>3</sup>a na Jilly tak, jakby kto<sup>o</sup> przejecha<sup>3</sup> jej po języku papierem ściernym.
- A ja, żeby sprowadzić cię na ziemię, wyobra<sup>2</sup>zam sobie przysz<sup>3</sup>o<sup>o</sup>æ, w której będę musia<sup>3</sup>a wpechn<sup>1</sup>æ ci jaja w prze<sup>3</sup>yk. - Tyle w tobie z<sup>3</sup>o<sup>o</sup>eci?
- Boję się.
- W tej chwili się boisz, jasne, ale zawsze kipsz z<sup>3</sup>o<sup>o</sup>eci<sup>1</sup>.
- Wcale nie zawsze. Spędzaliśmy z Fredem uroczy i spokojny wieczór, zanim to wszystko się zaczę<sup>3</sup>o.
- Musz<sup>1</sup> cię dręczy<sup>o</sup>æ jakiegoś trudne nierozwi<sup>1</sup>zane problemy z dzieciństwa.
- Kurczę, robisz na mnie coraz większe wrażenie. Zaraz się oka<sup>2</sup>że, że kiedy nie próbujesz naśladowa<sup>o</sup>æ Van Gogha, w wolnych chwilach zajmujesz się psychoanaliz<sup>1</sup>.
- Jeżeli jeszcze trochę podskoczy ci ciśnienie - ostrzeg<sup>3</sup> ją Dylan - pęknie ci tętnica szyjna.
- Przez zacięni<sup>o</sup>te zęby Jilly wydała wściek<sup>3</sup>y pisk, bo gdyby zdusi<sup>3</sup>a go w sobie, mog<sup>3</sup>aby wybuchn<sup>1</sup>æ.
- Chcę ci tylko powiedzieć - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan dra<sup>2</sup>gni<sup>1</sup>co rze-czowym i spokojnym tonem - że jeżeli pomyślimy pozytywnie, mo<sup>2</sup>że rzeczywiście najgorsze mamy już za sob<sup>1</sup>. A negatywne myślenie na pewno nic nam nie da.
- W odruchu gniewu chcia<sup>3</sup>a spuścić nogi na pod<sup>3</sup>ogę i mocno tupn<sup>1</sup>æ, ale zreflektowa<sup>3</sup>a się, przypominaj<sup>1</sup>c sobie o biednym

bezbronnym Fredzie wci<sup>o</sup>ni<sup>o</sup>ty pod siedzenie. Nabra<sup>3</sup>a więc g<sup>3</sup>ęboko powietrza i zaatakowa<sup>3</sup>a Dylana:

- Skoro to takie proste, dlaczego przez tyle lat patrzysz spo-kojnie na cię<sup>2</sup>k<sup>1</sup> dolę Shepherd<sup>1</sup>? Dlaczego nigdy nie wyobrazi<sup>3</sup>o<sup>o</sup> sobie, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różd<sup>2</sup>ki wycho-dzi z autyzmu i zaczyna normalnie żyć?
- Nieraz to sobie wyobra<sup>2</sup>żam - odpar<sup>3</sup> cicho i z gorycz<sup>1</sup>, która zdradza<sup>3</sup>a bezbrze<sup>2</sup>żny smutek z powodu choroby brata. - Myśle<sup>o</sup> o tym codziennie, żywo i intensywnie, z ca<sup>3</sup>ej duszy, od kiedy tylko sięgam pamięci<sup>1</sup>.
- Bezkresne niebo. Bezdro<sup>2</sup>że pustyni. Przepa<sup>o</sup>æ, która powsta<sup>3</sup>a we wnętrzu samochodu, równie

rozległa jak bezmiar mroku i pustki za oknami, przepaść, która była dziełem Jilly. Dajcie się ponieść złości, bezmyślnie przekroczą granicę dzielących sżusne argumenty i nieuzasadnion złościwość, trafiając Dylana O'Connora w najczulszy punkt, choć wiedział, że tam zboli go najbardziej.

Wprawdzie siedzieli obok siebie, ale dystans ich dzielący wydawał się nie do przebycia.

W ostrym świetle reflektorów nadjeżdżających z przeciwka aut i perłowym blasku wskaźników tablicy rozdzielczej widać było, że oczy Dylana łoniły, jakby przez tyle czasu wstrzymywał prawdziwy ocean żez. Przyglądając mu się z większym współczuciem niż dotąd, nawet w młym oświetleniu Jilly dostrzegła, że to, co wyglądało na smutek, może być w istocie głębokim cierpieniem, dżugotrwałym, niesabnym bólem, jak gdyby brat nie chorował na autyzm, ale umarł i odszedł na zawsze.

Nie wiedział, co powiedzieć, aby naprawić swój podstęp. Bez względu na to, czy będzie mówić szeptem, czy krzyknąć, słowa przepraszy nie pokonają otchłani, jaka powstała przez Jilly między nią a Dylaniem O'Connorem.

Czuła się jak wkład do wychodka.

Bezkresne niebo. Bezdroże pustyni. Szmer opon i monotonne brzęczenie silnika zlały się w biały szum, na który Jilly szybko przestała zwracać uwagę i po pewnym czasie zaczęła odnosić wrażenie, że równie dobrze mogłaby siedzieć w martwej ciszy na powierzchni księżyca. Nie słyszała ani własnego oddechu, ani głuchego bicia serca, ani echa śpiewu jej dawnego chóru kościelnego, który od czasu do czasu brzmiał w jej głowie, gdy czuła się samotna i zagubiona. Nie dysponowała tak dobrym głosem, żeby śpiewać solo, lecz miała talent do harmonii i gdy stała wśród swoich siostr i braci ubranych tak samo, trzymających

identyczne zbiory hymnów, ogarniała ją głębokie i pokrzepiające poczucie wspólnoty, jakiego przedtem i potem nigdy nie doświadczyła. Czasem Jilly uważała, że strasznie trudne zadanie nawiązania porozumienia ze skądajcie się z samych nieznanymi publiczności i nakłonienie ich do śmiechu z głupoty i złościwośći rodzaju ludzkiego jest o wiele łatwiejsze niż pokonanie dystansu i utrzymanie na pewien czas choćby najsłabszej więzi między dwojgiem ludzi. Bezkresne niebo, bezdroże pustyni i samotność każdego pancernego serca śczyła jedna cecha - ta sama dał, niemal nie do przebycia.

Liżąc poboczne autostrady, jęzor światła wyawiała z ciemnego żwiru tu i tam coś byszczącego i przez moment Jilly obawiała się, że znów zobaczy światła wotywnie i przybyłe znikłe kościelne śwawki, stado białych jak śmiera ptaków i strugi krwawej ektoplazmy, ale w porę zorientowała się, że te szybko znikające pomyki to tylko odbicie światła reflektorów od kawałków potuczonych butelek.

Ciszy nie przerwała ani ona, ani Dylan, lecz głos Shepherd'a monotonicznie powtarzał tego mantrę znaną z reklam telewizyjnych:

- Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dzie... Jilly zachodziła w głowę, dlaczego Shep zaczął recytować hasło reklamowe restauracji, w której niecałe dwie godziny temu kupiła kolację, ale zaraz doszła do wniosku, że musiała widzieć znaczek promocyjny, jaki kobieta załadła przypięła jej do bluzki. - Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach.

- Kiedy wracam do motelu z jedzeniem na wynos, dostanę pak w głowę - powiedziała Dylan. - Nie zjedliśmy kolacji. Chyba jest głodny.

- Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach - rzekł Shep, kożyszcie się z boku na bok.

Gdy Dylan oderwał jedną rękę od kierownicy i sięgnął do kieszeni swojej koszuli hawajskiej, Jilly zobaczyła, że ma taki sam jak ona znaczek z żabą. Na tle kwiecistego wzoru kolorowej tkaniny trudno było zauważyć uśmiechniętego paza.

- Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach... Gdy Dylan odpinał gadżet reklamowy, stała się coś dziwnego i nastąpił kolejny w ciągu tego wieczoru zwrot akcji. Trzymając znaczek między kciukiem a palcem wskazującym i sięgając w stronę konsoli dzielącej przednie siedzenia, jak gdyby

zamierzała wrzucić plaketkę do pojemnika na śmieci, Dylan zadygotał, niezbyt gwałtownie, jednak na tyle mocno, że nie sposób było uznać tego za zwykły dreszcz; zadygotał, jakby przez ciało przebiegł

mu prąd elektryczny. Jego język zatrzepotał o podniebienie, wydając charakterystyczny dźwięk podobny do odgłosu uruchamiania silnika samochodu:

- Hannn-na-na-na-na-na-na!

Udało mu się utrzymać kierownicę lewą ręką, ale jego stopa zmniejszyła nacisk na pedał gazu albo całym ciałem się z niego zecelizowała. Prędkość forda zaczęła spadać z górnych dziesięciu mil na godzinę do po prostu niebezpiecznych osiemdziesięciu mil i na koniec do mimo wszystko ryzykownych siedemdziesięciu mil.

- Hannn-na-na-na-na-na-na-na! - wyjąkał i równocześnie z wymówieniem ostatniej sylaby pstryknął znacznikiem, jakby grał w kulki. Przestał dygotać równie nagle, jak zaczął.

Metalowy krzyk odbił się z brzością od okna w drzwiach po stronie pasażera, kilka cali od twarzy Jilly, rykoszetem trafił w deskę rozdzielczą i wylądował w labiryncie gałęzi i liści Freda.

Mimo że stopniowo tracili prędkość, Jilly wyczula, że nie mając zapiętych pasów, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, zrozumiała też, że nie dłużej już naoliży i zapięła szelek. Okręciła się więc twarzą do przodu, lewą ręką chwyciła się kurczowo siedzenia, omal nie dziurawiła skórzanej tapicerki, a prawą zapała się uchwytu tuż nad drzwiami. W momencie, gdy Dylan potwierdził jej przecucia, wciskając hamulec do oporu, wparła się stopami w deskę rozdzielczą. Zgięła kolana, przygotowała się do zamortyzowania wstrząsu, i zaczęła odmawiać w myślach „Zdrować Mario”, nie prosząc w modlitwie o uchronienie przed kłutwem grubego tyłka, ale bągała o ocalenie swojego tyłka, wszystko jedno, jak groteskowe rozmiary miałyby przybrać w przyszłości.

W ciągu dwóch sekund prędkość forda spadła do sześćdziesięciu, może nawet do pięćdziesięciu mil na godzinę, ale wciąż jechali tak szybko, że nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby w takim pędzie wykonać ostrego skrętu. Najwidoczniej jednak Dylanem O'Connerem owładnęło szaleństwo: puścił hamulec, skręcił kierownicę do oporu w lewo, znów wdusił hamulec, poderwał samochód z jezdni i z przeraźliwym piskiem opon wykonał ostry zwrot.

Wzbijając obok kurzu, ford obrócił się na szerokim poboczu autostrady. U podwozie zagrzehotał wir: trach-trach, przeraźliwe jak seria z karabinu maszynowego. Okręcając się w oślepiającym świetle zbliżających się reflektorów, Jilly wciąż gnęła głęboko powietrze w rozpaczliwym pragnieniu życia, jak skazana na śmierć, gdy sypczy oświst spadającej gilotyny. Gdy samochód znalazł się w pozycji wyjściowej, pisała, a potem paskudnie zakłócała, zapominając o swojej awersji do wulgaryzmów, kiedy znowu obrócili się o sto dwadzieścia stopni, zatrzymując się w końcu zwróceniem przodem w kierunku północno-wschodnim.

Wschodnie i zachodnie pasy autostrady rozdzielała wysepka szerokości sześćdziesięciu stóp, nieosłonięta barierą, a jedyną przeszkodą, która miała uniemożliwić wjechanie na przeciwległy pas, był obniżony obszar zieleni. W momencie gdy ford stanął i Jilly wciąż gnęła kolejną porcję powietrza, która wystarczyłaby na przepłynięcie pod wodą kanału La Manche, Dylan puścił pedał hamulca, wciskając gaz i ruszył po przekłnej w dół obniżenia.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

Był wyjątkowo skoncentrowany, jak nigdy dotąd, skupiał się na zjeździe w dół zbocza bardziej niż wtedy, gdy przyglądał się jej pionowemu cadillacowi, bardziej niż gdy zajmował się Shepem w konfesjonale na tylnym siedzeniu.

Wielki jak niedźwiedź, całkowicie wpełniał swój poziom przedniego siedzenia. Nawet w normalnych okolicznościach - przynajmniej w najbardziej normalnych z tych, w których Jilly go widziała - ciężko wisiał na kierownicy, lecz w tej chwili za-wisł jeszcze bardziej, z twarzą przysuniętą blisko szyby, wykrzywił w niedźwiedzim grymasie, wlepiając wzrok w smugi światła reflektorów rozcinających mrok w dole, gdzie zjeżdżał.

Nie odpowiedział na jej pytanie. Rozchylił usta jakby w zdumieniu, jak gdyby sam nie wierzył, że wprowadził forda w kontrolowany poślizg i pędził przez wysepkę zieleni w stronę przeciwnego pasa ruchu.

Może jeszcze nie pędził, ale kiedy samochód znalazł się na dnie obniżenia, zaczął nabierać prędkości. Gdyby uderzyli we wzniesienie pod nieważnym kłtem lub przy zbyt dużej szybkości, auto zaczęłoby dachować, co świetnie wychodzi pojazdowi z napędem na cztery koła, kiedy się je

prowadzi na terenie takim jak ten, pokrytym piaskiem i luźnym tucznikiem.

- Nie! - krzyknęła, ale nie poskutkowało. Gdy ford wał<sup>13</sup> w krusz<sup>1</sup>ce się zbocze, Jilly mocniej wbiła stopy w deskę rozdzielczą, zastanawiając się, gdzie może być ukryta poduszka powietrzna. Bala się, że zamontowano ją w desce rozdzielczej i jeżeli wybuchnie pod jej stopami, może jej wbić kolana w twarz albo rozerwać się pod podeszwami butów, parząc całe ciało gorącym sprężonym gazem. Wzroście takie i jeszcze gorsze obrazy przesuwają się jej w myślach zamiast standardowego zapisu całego życia (z muzyką z „Królika Bugsa” w tle, która byłaby najodpowiedniejszą ilustracją), ale nie mogła pohamować ich na przykład, trzymając się mocno siedzenia i uchwytu nad drzwiami, krzycząc cięgle „Nie!” - wciąż na próżno.

Dziurawiła ciemność za sobą wyrzucanymi spod kół błyszczącymi strumieniami wiru i piasku, ford pi<sup>13</sup> się ukocenie po północnym zboczu nasypu, jak gdyby przechodził ostry test odporności na dachowanie. Słyszła po sile ciśnienia, jaka pchała Jilly w stronę kierowcy, gdyby wóz przechylił się jeszcze o jeden stopień, potoczyłby się z powrotem w dół.

Kilka razy podczas wspinaczki wydawało się, że z czterech napędzanych kół co najmniej dwa traciły przyczepność. Samo-chodem rzucało i kołysało, ale w końcu osiągnęło szczyt wznieślenia i stan<sup>13</sup> na poboczu pasa prowadzącego na zachód.

Dylan spojrzawszy w lusterko wsteczne, zerknął w boczne, po czym wstrzelił się w lukę między samochodami, które mknęły tam, skąd przyjechali. W stronę miasta. W stronę motelu, gdzie na pewno tulił się jeszcze jej cadillac. Prosto do miejsca, gdzie czekały na nich kłopoty, od których usiłowali uciec. Jilly przemknęła niedorzeczna myśl, że powodem szaleńczego przejazdu przez dół było powtarzane przez Shepa „Od dzieci tylko frytki jadam, zapominam o owadach” - informacja, że nie jadł kolacji. Oddanie starszego brata mogło być do pewnego stopnia godne podziwu, jednak powrót do baru z hamburgerami w tej sytuacji nie miał nic wspólnego z odpowiedzialną troskliwością opiekuna, ale stanowił lekkomyślny akt oślepego poświęcenia.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzyła Jilly.

Tym razem zareagowała, choć odpowiedź ani nie dodała jej otuchy, ani nie zaspokoiła ciekawości.

- Nie wiem.

W jego zachowaniu wyczuła ten sam rozpaczliwy bezradność, która ogarniała ją za każdym razem, gdy znalazła się we władzy mirażu. Przestraszona perspektywą szybkiej jazdy z kierowcą, który ma halucynacje lub coś jeszcze gorszego, powiedziała:

- Zwolnij, na litość boską. Dokąd jedziesz? Wcisnąć pedał gazu, odrzekł:

- Na zachód. Gdzieś na zachód. Do jakiegoś miejsca.

- Po co?

- Czuję, jak mnie ciągnie. - Co cię ciągnie?

- Ciągnie mnie na zachód. Nie wiem co ani dokąd. - Wobec tego dlaczego w ogóle jedziesz?

Jak gdyby był prostodusznym stworzeniem, który doszedł do wniosku, że rozmowa zeszła na tematy filozoficzne nie bardzo zrozumiałe niż osiągnięcia biologii molekularnej, Dylan spojrzawszy na nią, ukazując białyka oczu jak pies, który nie pojmuje powodu kary.

- Po prostu czuję, że... tak trzeba.

- Co trzeba?

- Trzeba jechać w tym kierunku, na zachód. - Nie pakujemy się z powrotem w kłopoty? - Tak, pewnie tak.

- To zjedź na bok, stań.

- Nie mogę. - Na jego twarzy zalśnił pot. - Nie mogę. - Dlaczego?

- Przez Frankensteina. Zastryk. Szprycy. Zaczęła działać. Coś się ze mną dzieje.

- Co?

- Jakiego straszne gówno.

- Nawóz - powiedziała z tylnego siedzenia Shep.



Dylan O'Conner wpadł w popłoch, jak gdyby uciekał przed szybko rozprzestrzeniającym się pożarem albo lawiną kamieni, lodu i śniegu. Serce waliło mu jak zajęcowi kociganemu przez wilka. Nigdy nie cierpił na manię prześladowczą, nie brał metamfetaminy, ale przypuszcza, że tak właśnie czuje się człowiek dręczony paranoicznymi urojeniami, kiedy wchodzi sobie w życie śmiertelną dawkę amfy w piynie.

- Ponoś mnie - rzekł do Jilly, wciskając pedał gazu. - Nie wiem dlaczego i nie umiem się uspokoić. Bóg jeden wie, co o tym pomyślał. Dylan sam nie był pewien, co chciał jej przez to powiedzieć. Właściwie nie miał wrażenia, jakby uciekał przed niebezpieczeństwem, ale czuł, jakby jakiegoś największego na świecie elektromagnes, oddziałując na żelazo w jego krwi, ciągnął go nieuchronnie w jakimś kierunku. Szalonemu niepokojowi towarzyszył nieodparty impuls, który kazał mu jechać. Szalony niepokój nie miał żadnej logicznej przyczyny, a impuls nie wiązał się z żadnym konkretnym obiektem. Dylan po prostu musiał jechać na zachód i jak najszybciej goniąc zachodzący księżyc. Powiedział Jilly, że to instynkt. Coś w krwi mówiło mu „jedź”, coś w kościach mówiło „pędź”, słyszał głos pamięci swe-go gatunku, który odezwał się w jego genach, głos, którego nie mógł zignorować, bo gdyby nie usłuchał wezwania, stałoby się coś strasznego.

- Strasznego? - spytał Jilly. - Co takiego?

Nie wiedział, tylko czuł, tak jak zaszczuta antylopa z odległości stu jardów wyczuwa geparda czającego się w wysokiej trawie albo jak spragniony gepard wyczuwa sadzawkę ukrytą w głębi sawanny i oddaloną o wiele mil.

Próbując wytłumaczyć, co się z nim dzieje, zwolnił nieco. Strzałka szybkoobrotowa drżała, wskazując osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Wdusił gaz, dopóki nie pokazała dziewięćdziesiątki.

Na autostradzie przy gęstym ruchu jazda takim dużym samochodem z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę była nie tylko niedozwolona i nierozsądna, ale głupia, a nawet gorzej niż głupia-kretyńska. Dylan nie potrafił zmusić się do odpowiedzialnej reakcji, ani apelując do rozsądku, ani do poczucia wstydu. Jego maniacka determinacja, by gnać na zachód, było dalej na zachód, stanowiła zagrożenie dla życia Shepa, Jilly i jego samego. Innym razem lub nawet parę godzin wcześniej zwolniłby na sam mój o odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo, ale teraz palący przymus zażyczył wszelkie względy moralne, a także instynkt przetrwania.

Na zachód gnały wielkie macki i peterbilty, sedany, coupe, auta terenowe, pikapy, furgonetki, lawety, wozy kempingowe i cysterny, zmieniając w pedzie pasy ruchu, a Dylan, nie zwalniając ani na moment, wciskał forda w luki między nimi z biegiem białego bystrookiego krawca, który nawleka mnóstwo igieł po kolei.

Szybkoobrotowa wskazywała dziewięćdziesiąt dwie mile, ale lek przed zderzeniem z innym pojazdem był o wiele słabszy od zwierzęcego odruchu, by gnać przed siebie. Przekraczając dziewięćdziesiąt trzy, Dylan poczuł wibracje, które wstrząsały podwoziem, lecz zaniepokojenie wcale nie skłoniło go do zmniejszenia prędkości.

Nieodparta potrzeba pędu, poczucie, że musi jechać jak sza-tan, bo inaczej zginie, była czymś więcej niż przymus; opanowała go zupełnie jak obsesja, a z każdym oddechem słyszał w głosie zowieszczę napomnienie „Masz coraz mniej czasu”, z każdym uderzeniem serca natarczywe wożanie „Prędej!”.

Przejeżdżając przez dziury, pęknięcia i łaty na jezdni, koła waliły jak młoty i Dylan bał się skutków ewentualnego rozrwania opony przy tak zawrotnej szybkości, mimo to gnał dziewięćdziesiąt sześć na godzinę, wystawiając na ciężką próbę amortyzatory i torturując resory, potem dziewięćdziesiąt siedem, przy akompaniamencie ryku silnika i świstu wiatru w oknach, dziewięćdziesiąt osiem, wciskając się między dwie ogromne ciężarówki, wyprzedzając z raketowym wizgiem łoniego jaguara, który zatrzymał z dezaprobatą, wreszcie dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dylan wiedział, że obok siedzi Jilly, wciąż przygotowana na katastrofę, wpierając adidasy w deskę rozdzielczą, szamocząc się z pasami bezpieczeństwa, które usiłowała zapisać. Którymś okiem dostrzegł, że zawładnięty niepanicznym strachem, a gdy zerknął na nią przelotnie, utwierdził się w tym przekonaniu. Przypuszczał, że coś do niego mówiła, protestując głośno przeciw karkołomnej, wariackiej gonitwie na zachód. Słyszał nawet jej głos, ale głosy i zniekształcone, jak gdyby ktoś odtwarzało taśmę z niewłaściwej prędkości; nie rozumiał ani słowa.

Zanim szybkoociomierz pokaza<sup>3</sup> setkê, a zw<sup>3</sup>aszczą gdy j<sup>1</sup> przekroczy<sup>3</sup>, ka<sup>3</sup>da nieregularnoœæ nawierzchni przenosi<sup>3</sup>a siê ze zwielokrotnionym skutkiem na kierownicê, która próbowa<sup>3</sup>a wymkn<sup>1</sup>æ siê Dylanowi z r<sup>1</sup>k. Na szczêœcie pot, jaki wczœœniej wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> mu nagle na czo<sup>3</sup>o i zwil<sup>1</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie, zd<sup>1</sup>ÿ<sup>3</sup> obesch<sup>1</sup>æ w podmuchu w<sup>3</sup>icznej klimatyzacji. Panowa<sup>3</sup> nad samochodem przy prêdkoœci stu dwóch i stu trzech mil na godzinê, ale choæ trzyma<sup>3</sup> kierownicê, nie móg<sup>3</sup> oderwaæ stopy od peda<sup>3</sup>u gazu. Ogromna prêdkoœæ ani trochê nie zmniejszy<sup>3</sup>a jego potrzeby pêdu; im szybciej jecha<sup>3</sup>, tym wiêkszy pop<sup>3</sup>och go ogarnia<sup>3</sup>, zmu-szaj<sup>1</sup>c do wciskania gazu do oporu. Mia<sup>3</sup> wra<sup>3</sup>enie, jakby wci<sup>1</sup>-ga<sup>3</sup>a go grawitacja czarnej dziury, ka<sup>3</sup>ÿc mu gnaæ wprost na li-niê horyzontu, za którym ani materia, ani promieniowanie nie mia<sup>3</sup>y dok<sup>1</sup>d uciec przed straszliw<sup>1</sup> si<sup>3</sup>1 wiru. „Jechaæ, jechaæ, JECHAÆ” - to by<sup>3</sup>a jego mantra, jazda w nieodgadnionym ce-lu, jazda dla samej jazdy, na zachód, œladem s<sup>3</sup>oñca, które daw-no zas<sup>3</sup>o, i jeszcze widocznego, ale te<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> powoli gasn<sup>1</sup>cego ksiêÿca.

Byæ mo<sup>3</sup>e szaleñcza gonitwa w stronê nieznanego, a jed-nak po<sup>3</sup>ÿdanego obiektu by<sup>3</sup>a reakcj<sup>1</sup> typow<sup>1</sup> dla najbardziej

pechowych pacjentów Frankensteina, których iloraz inteli-gencji zaraz potem gwa<sup>3</sup>townie spada<sup>3</sup>, wtr<sup>1</sup>caj<sup>1</sup>c ich w otch<sup>3</sup>añ têtopy.

Je<sup>3</sup>eli nie wyma<sup>3</sup>e ci osobowoœci ani nie pozbawi ciê zdolnoœci linearnego myœlenia, ani nie zredukuje ilorazu inteligencji o szeœæ-dziesi<sup>1</sup>t punktów...

Przed nimi majaczy<sup>3</sup>o miasto, które tak niedawno opuœcili w poœpiechu, boj<sup>1</sup>c siê widoku czarnych chevroletów we wstecz-ny m lusterku, po<sup>3</sup>yskuj<sup>1</sup>cych jak gondole œmierci na kó<sup>3</sup>kach.

Dylan spodziewa<sup>3</sup> siê, ÿe tajemnicza si<sup>3</sup>a ka<sup>3</sup>e mu zjechaæ z autostrady niedaleko motelu, gdzie cadillac Jilly zmieni<sup>3</sup> siê w p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>c<sup>1</sup> trumnê ich przeœladowcy. Zerkaj<sup>1</sup>c na szybkoœcio-mierz - sto cztery mile na godzinê - poczu<sup>3</sup>, jak przyspieszony rytm serca przechodzi w galop. Z tak<sup>1</sup> prêdkoœci<sup>1</sup> nie uda mu siê pokonaæ <sup>3</sup>ukowatego zjazdu. Modli<sup>3</sup> siê, by przed opuszcze-niem autostrady zd<sup>1</sup>ÿ<sup>3</sup> opanowaæ maniê szybkoœci, by nie wpaœæ na barierê i nie stoczyæ siê po nasypie w przymusowym teœcie na wytrzyma<sup>3</sup>oœæ produktu Ford Motor Company.

Kiedy zbli<sup>3</sup>ali siê do feralnego zjazdu, Dylan czeka<sup>3</sup> w napiê-ciu, lecz na szczêœcie nie ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> go tam ÿaden impuls. Prze-mknêli obok niczym grupa kaskaderów szykuj<sup>1</sup>ca siê do skoku przez rz<sup>1</sup>d szesnastu autobusów.

Na po<sup>3</sup>udnie od autostrady, wœród œwiata<sup>3</sup> sklepów i punk-tów us<sup>3</sup>ugowych dla podró<sup>3</sup>nych z<sup>3</sup>owrogo jaenia<sup>3</sup> szyld motelu. Czerwony neon kojarzy<sup>3</sup> siê z krwi<sup>1</sup> i ogniem; przywodzi<sup>3</sup> na myœl masê obrazów piek<sup>3</sup>a z makabrycznych wizji wszystkich artystów, od malarzy sprzed epoki renesansu po wspó<sup>3</sup>czesnych ilustratorów komiksów.

Na œcianach dalekiego motelu miga<sup>3</sup>y plamy œwiata<sup>3</sup> b<sup>3</sup>yiska-j<sup>1</sup>cych rytmicznie na dachach samochodów policji i wozów stra-ÿackich. Ze zwêglonego wraka cadillaca wci<sup>1</sup>ÿ unosi<sup>3</sup>y siê smu<sup>3</sup>-ki szarego dymu. Zanim up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o pó<sup>3</sup> minuty, spalone resztki samochodu zo-sta<sup>3</sup>y milê za nimi. Szybko zbli<sup>3</sup>ali siê do drugiego zjazdu, któ-ry równie<sup>3</sup> prowadzi<sup>3</sup> do miasta i znajdowa<sup>3</sup> siê trzy mile na za-chód od pierwszego.

Kiedy wreszcie zaczęli zwalniaæ i Dylan w<sup>3</sup>czy<sup>3</sup> prawy kie-runkowskaz, Jilly pewnie pomyœla<sup>3</sup>a, ÿe odzyska<sup>3</sup> panowanie nad sob<sup>1</sup>. Jednak Dylan mia<sup>3</sup> nie wiêkszy wp<sup>3</sup>yw na w<sup>3</sup>asny los ni<sup>3</sup> wtedy, gdy zjecha<sup>3</sup> ze wschodniego pasma autostrady i prze-ci<sup>13</sup> pas zieleni. Coœ go przyzywa<sup>3</sup>o, jak g<sup>3</sup>os syreny wo<sup>3</sup>a ÿegla-rza, a on nadal nie potrafi<sup>3</sup> siê oprzeæ nieznaney sile.

Wszed<sup>3</sup> w zakrê<sup>1</sup>t za szybko, ale ju<sup>3</sup> nie z tak<sup>1</sup> prêdkoœci<sup>1</sup>, by ford wpa<sup>3</sup>d w poœlizg albo wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup> na dachu. Na koñcu zjaz-du, nie widz<sup>1</sup>c ÿadnych samochodów na cichej ulicy, Dylan bez wahania zignorowa<sup>3</sup> znak stopu i skrêci<sup>3</sup> w lewo do dzielnicy mieszkaniowej, zupe<sup>3</sup>nie lekcewa<sup>3</sup>ÿc prawa fizyki i te stworzone przez cz<sup>3</sup>owieka.

- Euka-euka-eukaliptus - us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owo, które mimowolnie wypowiedzia<sup>3</sup>. Przerazi<sup>3</sup> siê nie tylko dlatego, ÿe znów dzia<sup>3</sup>o siê z nim coœ dziwaczego, ale zda<sup>3</sup> sobie sprawê, ÿe zacz<sup>13</sup> mówiæ jak Shep. - Eukaliptus, eukaliptusowa piêæ, nie, nie piêæ, euka-liptusowa szeœæ, nie, eukaliptusowa szeœædziesi<sup>1</sup>t. Choæ jego domen<sup>1</sup> by<sup>3</sup>a ekspresja plastyczna, Dylan by<sup>3</sup> te<sup>3</sup> ocytany; zna<sup>3</sup> kilka powieœci o ludziach, których umys<sup>3</sup>ami zaw<sup>3</sup>adnêli Obcy, w jednej czyta<sup>3</sup> o dziewczynie opêtanej przez demona, w innej o facecie, którego przeœladowa<sup>3</sup> duch jego zmar<sup>3</sup>ego brata bli<sup>3</sup>niaka. Przypuszcza<sup>3</sup>, ÿe czuje siê teraz

za-pewne tak jak oni, jeżeli faktycznie jakæ wroga istota poza-ziemska albo duch zamieszka<sup>3</sup> w jego ciele i przejd<sup>13</sup> w<sup>3</sup>adzê nad jego wol<sup>1</sup>. Nie czu<sup>3</sup> jednak obecnoœci ¿adnego obcego stwora ani pod skór<sup>1</sup>, ani na powierzchni mózgu. Zachowa<sup>3</sup> tyle roz-s<sup>1</sup>dku, by wiedziaæ, ¿e w jego krwi p<sup>3</sup>ynie jedynie tajemnicza zawartoœæ strzykawki pojemnoœci osiemnastu centymetrów szeœciennych.

Nie odnalaz<sup>3</sup> jednak pocięchy w tej konstatacji.

Bez powodu, po prostu dlatego, ¿e tak by<sup>3</sup>o trzeba, na pierwszym skrzy¿owaniu skrêci<sup>3</sup> w lewo i min<sup>13</sup> trzy przecznice. Z ka¿d<sup>1</sup> chwil<sup>1</sup> mówi<sup>3</sup> z coraz wiêkszym zniecierpliwieniem i co-raz g<sup>3</sup>oœniej, zag<sup>3</sup>uszaj<sup>1c</sup> Jilly, która usi<sup>3</sup>owa<sup>3a</sup> coœ wtr<sup>1</sup>ciæ:

- Eukaliptusowa szeœæ, eukaliptusowa zero, eukaliptusowa piêæ, szeœædziesi<sup>4t</sup> piêæ, nie, mo¿e piêæset szeœædziesi<sup>4t</sup> albo piêæ-dziesi<sup>4t</sup> szeœæ...

Zwolni<sup>3</sup> do czterdziestu mil na godzinê, lecz i tak ledwie mi-gnê<sup>3a</sup> mu tablica z nazw<sup>1</sup> ulicy, na której widnia<sup>3</sup>o powtarzane przez niego s<sup>3</sup>owo: ALEJA EUKALIPTUSOWA.

Wcisn<sup>13</sup> hamulec, obróci<sup>3</sup> kierownicê w lewo i wpad<sup>3</sup> w Ale-jê Eukaliptusow<sup>1</sup>, naje¿d¿aj<sup>1c</sup> na krawê¿nik na skrzy¿owaniu. Ulica by<sup>3a</sup> zbyt w<sup>1</sup>ska, by mo¿na j<sup>1</sup> nazwaæ alej<sup>1</sup>, odrobinê szersza od uliczki osiedlowej. Dylan nie zauwa¿y<sup>3</sup>, aby rós<sup>3</sup> tu choæ jeden eukaliptus, ale z obu stron okala<sup>3y</sup> j<sup>1</sup> drzewa lauro-we i oliwne o fantastycznie wêŸlastych i wykrzywionych pniach i ga<sup>3</sup>êziach, które w bursztynowym œwietle latarń rzuca<sup>3y</sup> spl<sup>1</sup>ta-ny jak gêsta wiklina cieñ. Eukaliptusy albo dawno powymiera-<sup>3y</sup>, albo usuniêto je wiele lat temu, a mo¿e nazwê ulicy nada<sup>3</sup> ja-kie dendrologiczny ignorant.

Za drzewami sta<sup>3y</sup> skromne domy, stare, ale w wiêkszoœci dobrze utrzymane: ozdobione sztukateri<sup>1</sup> i przykryte pó<sup>3</sup>okr<sup>1</sup>-g<sup>31</sup> dachówk<sup>1</sup> pude<sup>3</sup>ka, podmiejskie domki stylizowane na wiej-skie, o prostych liniach, lecz bez charakteru, gdzieniegdzie dwu-piêtrowy budynek, który wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>, jakby przeniesiono go tu prosto z Ohio albo Indiany.

Dylan zacz<sup>13</sup> przyspieszaæ, lecz nagle z impetem zahamo-wa<sup>3</sup>, zatrzymuj<sup>1c</sup> forda przed numerem 506.

Na koñcu ceglano-go chodnika wznosi<sup>3</sup> siê piêtrowy oszalowany dom z g<sup>3</sup>êbok<sup>1</sup> werand<sup>1</sup> od frontu.

Wy<sup>31</sup>czaj<sup>1c</sup> silnik i odpinaj<sup>1c</sup> klamrê pasa, Dylan nakaza<sup>3</sup>: - Zostañ z Shepem.

Jilly coœ mu odpowiedzia<sup>3a</sup>, ale nie zrozumia<sup>3</sup>. Od tej chwili mia<sup>3</sup> poruszaæ siê pieszo, jednak pulsowa<sup>3</sup> w nim nie mniejszy niepokój i poczucie misji ni¿ w trakcie szaleñczego zjazdu ze wschodniego pasa autostrady i odysei na zachód. Echo ciê¿ko wal<sup>1</sup>cego serca niemal go og<sup>3</sup>usza<sup>3</sup>o. Nie mia<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owy ani czasu prosiæ Jilly, aby powtórzy<sup>3a</sup>.

Gdy otworzy<sup>3</sup> drzwi, chwyci<sup>3a</sup> go za po<sup>3</sup>ê koszuli hawajskiej. Trzyma<sup>3a</sup> mocno niczym gryf; jej palce zacisnê<sup>3y</sup> siê na tkaninie jak szpony.

Jej <sup>3</sup>adna twarz pociemnia<sup>3a</sup> od niepokoju, a czarnobr<sup>1</sup>zowe oczy, przedtem jasne i bystre jak u czujnego or<sup>3a</sup>, zamgli<sup>3</sup> lêk. - Dok<sup>1</sup>d jecha<sup>3</sup>œe? - zapyta<sup>3a</sup> ostro.

- Tutaj - odrzek<sup>3</sup>, wskazuj<sup>1c</sup> oszalowany dom.

- Pytam o to, co by<sup>3</sup>o po drodze. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>œe na zupe<sup>3</sup>nie nieprzytomnego. Zapomnia<sup>3</sup>œe nawet, ¿e siedzê obok.

- Nie zapomnia<sup>3</sup>em - zaprzeczy<sup>3</sup>. - Nie mam czasu. Zostañ z Shepem.

Jej szponiasta d<sup>3</sup>oñ próbowa<sup>3a</sup> go zatrzymaæ. - Co siê dzieje?

- Niech mnie szlag, jeżeli wiem.

Byæ mo¿e nie oderwa<sup>3</sup> palców Jilly od swojej koszuli z nie-zwyk<sup>31</sup> dla siebie brutalnoœci<sup>1</sup> i byæ mo¿e jej nie odepchn<sup>13</sup>. Nie by<sup>3</sup> pewien, w jaki sposób uwolni<sup>3</sup> siê od uœcisku, w ka¿dym ra-zie wysiad<sup>3</sup> z forda. Zostawiaj<sup>1c</sup> otwarte drzwi, wymin<sup>13</sup> przód samochodu i ruszy<sup>3</sup> w kierunku domu.

Na parterze panowa<sup>3a</sup> ciemnoœæ, ale zza firanek po<sup>3</sup>owy okien na piêtrze s<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>o siê œwiat<sup>3</sup>o. Ktoœ by<sup>3</sup> w domu. Dylan zastanawia<sup>3</sup> siê, czy wiedz<sup>1</sup> o nim, czy na niego czekaj<sup>1</sup> - czy mo¿e jego pojawienie siê na progu zupe<sup>3</sup>nie ich zaskoczy. Mo¿e wyczuli instynktownie, ¿e coœ siê zbli¿a, podobnie jak on czu<sup>3</sup>, ¿e niewyt<sup>3</sup>umaczalna si<sup>3a</sup> przyci<sup>1</sup>ga go do nieznanego miejsca.

Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> jakieœ odg<sup>3</sup>os, który zdawa<sup>3</sup> siê dobiegaæ z prawej, z boku domu.

W po<sup>3</sup>owie drogi do werandy skrêci<sup>3</sup> z chodnika z u<sup>3</sup>o¿onych w jode<sup>3</sup>kê cegie<sup>3</sup>. Przeci<sup>13</sup> trawnik i znalaz<sup>3</sup> siê na podjeŸdzie. Przy œcianie domu dobudowano wiatê, która leciwego bui-cka kry<sup>3a</sup> teraz przed gasn<sup>1</sup>cym blaskiem ksiê¿yca, a w dzieñ przed ¿arem pustynnego s<sup>3</sup>oñca.

Rozgrzany metal styg<sup>3</sup>, tykaj<sup>1c</sup> miarowo. Samochód przyje-cha<sup>3</sup> tu ca<sup>3</sup>kiem niedawno.

Zza wiaty, z ty<sup>3</sup>u domu, dobieg<sup>3</sup> metaliczny d'Źwiêk, jak brzêk kluczy na kó<sup>3</sup>ku.

Mimo Źe nagl<sup>1</sup>ca potrzeba ruchu nie zmniejszy<sup>3</sup>a siê ani tro-chê, Dylan sta<sup>3</sup> nieruchomo obok auta.

Czeka<sup>3</sup>, nas<sup>3</sup>uchuj<sup>1</sup>c. Niepewny, co ma dalej robiæ.

To miejsce by<sup>3</sup>o mu zupe<sup>3</sup>nie obce. Czu<sup>3</sup> siê jak z<sup>3</sup>odziej, choæ, o ile wiedzia<sup>3</sup>, nie przyjecha<sup>3</sup> tu, aby cokolwiek kraææ.

Z drugiej strony jednak kluczowe by<sup>3</sup>o wyraŹenie „o ile wiem”. Pod wp<sup>3</sup>ywem zaaplikowanej szprycy móg<sup>3</sup> siê okazaæ zdolny do najokropniejszych czynów, o jakie nigdy by siê nie podejrzewa<sup>3</sup>. Kradziej mog<sup>3</sup>aby stanowiaæ najmniej znacz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> ze zbrodni, przed którymi nie umia<sup>3</sup>by siê cofn<sup>1</sup>æ.

Na myœl przyszed<sup>3</sup> mu „Doktor Jekyll i pan Hyde” - drze-mi<sup>1</sup>ca w cz<sup>3</sup>owieku bestia, która wrywa siê na wolnoœæ.

Ba<sup>3</sup> siê od chwili, gdy uleg<sup>3</sup> impulsowi pchaj<sup>1</sup>cemu go na za-chód, ale strach miesza<sup>3</sup> siê z poczuciem przymusu i dezorienta-cj<sup>1</sup>, trac<sup>1</sup>c na sile. Dylan zastanawia<sup>3</sup> siê, czy kr<sup>1</sup>Ź<sup>1</sup>ca w jego Źy<sup>3</sup>ach substancja moŹe byæ chemicznym odpowiednikiem de-mona, który dosiad<sup>3</sup> jego duszy i d'Źga ostrogami serce. Wzdryg-n<sup>13</sup> siê i lodowaty dotyk strachu zmrozi<sup>3</sup> mu nerwy, a na rêkach i karku poczu<sup>3</sup> gês<sup>1</sup> skórkê przeraŹenia.

Znów us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> niedaleki brzêk kluczy. Skrzypnê<sup>3</sup>y zawiasy, pewnie u drzwi.

Z ty<sup>3</sup>u domu w oknach na parterze widaæ by<sup>3</sup>o œwiat<sup>3</sup>o za fi-rankami w kwiatki.

Po chwili wahania juŹ wiedzia<sup>3</sup>, co robiæ: dotkn<sup>13</sup> klamki buicka w drzwiach od strony kierowcy. Ujrza<sup>3</sup> wiruj<sup>1</sup>ce kaska-dy iskier, jak gdyby tuŹ za jego oczami zacz<sup>13</sup> lataæ rój niereal-nych œwietlików.

Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> w g<sup>3</sup>owie elektryczny trzask, taki sam jak wczœœniej w samochodzie, gdy dotkn<sup>13</sup> znaczka z uœmiechniê<sup>1</sup> narysowa-n<sup>1</sup> Źab<sup>1</sup>. Dosta<sup>3</sup> ataku, który go przestraszy<sup>3</sup>, ale na szczêœcie nie by<sup>3</sup>y to gwa<sup>3</sup>towne konwulsje. Jêzyk zacz<sup>13</sup> uderzaæ o pod-niebienie i Dylan znów us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> tamten osobliwy, pó<sup>3</sup>mechanicz-ny d'Źwiêk.

- Hannn-na-na-na-na-na-na!

Tym razem trwa<sup>3</sup> w tym dziwnym stanie krócej i gdy tylko spróbow<sup>3</sup>a st<sup>3</sup>umiaæ nieartyku<sup>3</sup>owany be<sup>3</sup>kot, od razu umilk<sup>3</sup>, ina-czej niŹ poprzednim razem.

Gdy wybrzmia<sup>3</sup>o ostatnie „na”, znowu ruszy<sup>3</sup>. Jak najciszej przemkn<sup>13</sup> pod wiat<sup>1</sup> i skrêci<sup>3</sup> za róg domu.

Ganek z ty<sup>3</sup>u by<sup>3</sup> p<sup>3</sup>ytszy niŹ weranda od frontu i mia<sup>3</sup> prost-sze s<sup>3</sup>upki. Prowadzi<sup>3</sup>y do niego betonowe schodki.

W momencie gdy jego d<sup>3</sup>oñ spoczê<sup>3</sup>a na klamce, w g<sup>3</sup>owie znów rozszala<sup>3</sup>y siê œwietliki, lecz by<sup>3</sup>o ich mniej niŹ przedtem. Towarzysz<sup>1</sup>ce im elektryczne trzaski równieŹ brzmia<sup>3</sup>y mniej wybuchowo. Zaciskaj<sup>1</sup>c zêby i przyciskaj<sup>1</sup>c mocno jêzyk do podniebienia, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nie wydaæ tym razem Źadnego d'Źwiêku.

Drzwi nie by<sup>3</sup>y zamkniête na klucz. Klamka ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a pod naciskiem d<sup>3</sup>oni i drzwi uchyli<sup>3</sup>y siê, kiedy je popchn<sup>13</sup>.

Dylan O'Conner przest<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> próg, którego nie powinien prze-stêpowaæ, wszed<sup>3</sup> nieproszony, wystraszony w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> zuchwa<sup>3</sup>o-œci<sup>1</sup>, ale niezdolny opanowaæ przemoŹnego impulsu.

W kuchni by<sup>3</sup>a pulchna, siwow<sup>3</sup>osa kobieta w pr<sup>1</sup>Źkowanym uniformie. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a na znuŹon<sup>1</sup> i przygnêbion<sup>1</sup>, zupe<sup>3</sup>nie nie przypomina<sup>3</sup>a weso<sup>3</sup>ej i tryskaj<sup>1</sup>cej energii Źony Œwiêtego Miko-<sup>3</sup>aja, któr<sup>1</sup> by<sup>3</sup>a zaledwie kilka godzin temu, przyjmuj<sup>1</sup>c jego za-mówienie i przypinaj<sup>1</sup>c mu do koszuli znaczek z Źab<sup>1</sup>.

Na blacie obok kuchenki sta<sup>3</sup>a duŹa bia<sup>3</sup>a torba z kolacj<sup>1</sup> na wynos, któr<sup>1</sup> kupi<sup>3</sup>a za niŹsz<sup>1</sup> cenê w swoim barze. Wonna mie-szanka t<sup>3</sup>uszczu, cebuli, sera i pieczonego na wêglu miêsa zd<sup>1</sup>Źy-<sup>3</sup>a wype<sup>3</sup>nie pomieszczenie smakowitym melanŹem zapachów.

Sta<sup>3</sup>a obok sto<sup>3</sup>u, a jej poszarza<sup>3</sup>a twarz, która przedtem mia<sup>3</sup>a zdrowy, róŹowy kolor, wyraŹa<sup>3</sup>a coœ miêdzy strapieniem a rozpacz<sup>1</sup>. Wpatrywa<sup>3</sup>a siê w przedmioty u<sup>3</sup>oŹone na blacie sto-<sup>3</sup>u, w martw<sup>1</sup> naturê niepodobn<sup>1</sup> do Źadnej z tych, które malo-wali dawni mistrzowie: dwie puste puszk<sup>1</sup> po budweiserze, z któ-rych jedna sta<sup>3</sup>a, a druga leŹa<sup>3</sup>a, obie czêœciowo zgniecione; rozsypan<sup>1</sup> garœæ tabletek i kapsu<sup>3</sup>ek, bia<sup>3</sup>ych, róŹowych i kilku wielkich zielonych; popielniczkê, w której spoczywa<sup>3</sup>y dwa pety - niedopa<sup>3</sup>ki skrêtów z marihuany.

Kobieta nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a, jak Dylan wchodzi, nie dostrzeg<sup>3</sup>a k<sup>1</sup>-tem oka ruchu drzwi i przez chwilê nie mia<sup>3</sup>a pojêcia o jego obecnoœci. Kiedy siê zorientowa<sup>3</sup>a, Źe ma goœcia, przenios<sup>3</sup>a spojrzenie ze sto<sup>3</sup>u na jego

twarz, lecz by<sup>3</sup>a zbyt sparaliżowana malowniczym widokiem na stole, by mog<sup>3</sup>a się zdumieć lub przestraszyć.

Zobaczy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> żyw<sup>1</sup>, martw<sup>1</sup>, żyw<sup>1</sup>, martw<sup>1</sup>, a pulsujący w jego żyłach strach zgęstnia<sup>3</sup> w obłędne przerażenie.

**15** Dylan przeszedł przed fordem, migając w świetle reflektorów żółto-niebieski kszu<sup>1</sup>

jasny jak popołu-dnie na Maui, a Jilly niespecjalnie by się zdziwiła, gdyby znikn<sup>13</sup>

jej sprzed oczu, przechodząc do jakiegoś rzeczywistości alternatywnej. Ryzykowny powrót do miasta by<sup>3</sup> karkośomni jazd<sup>1</sup> prosto w nieznaną strefę między dwoma światami i po swojej wizji na pustyni i spotkaniu z widmowym stadem gołębi może już nigdy w życiu nic jej nie zaskoczy.

Gdy Dylan nie znikn<sup>13</sup> w światłach, gdy znalazł się na ce-glanym chodniku i zaczął iść w stronę domu, Jilly odwróciła się do siedzącego z tyłu Shepa.

Ujrzała, że chłopak na nią patrzy. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Zielone oczy Shepa rozszerzyły się w szoku, a potem znów zamknęły.

- Zostań tu, Shep. Nie odpowiesz.

- Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wrócimy.

Jego oczy zaczęły drgać pod bladymi powiekami.

Gdy Jilly zerknęła w stronę domu, zobaczyła, że Dylan skręcił z chodnika w kierunku podjazdu.

Nachylał się nad kierownicę, zgasił światła i wyłożył silnik. Potem wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Słyszałaś mnie, Shep?

Jego zamknięte oczy poruszały się jak we cieniu, jakby dręczyły go koszmary.

- Nie ruszaj się, zostań tu, nie ruszaj się, zaraz wrócimy - polecił mu, otwierając drzwi i ostrożnie przenosząc nogi nad podłogę, aby nie uszkodzić Freda.

Na chodniku walały się oliwki, skrzypiały pod nogami, jak gdyby siedzieli sobie niedawno na ulicy raut, na którym podano martini, ale wszyscy, zamiast zjechać dekorację drin-ka, rzucili owoce na ziemię.

Dylan doszedł na koniec podjazdu, gdzie w cieniu wiaty stał jakiś samochód, ale nie znikn<sup>13</sup> pod daszkiem, tylko pozostał na widoku.

Liście drzew oliwnych zaszeleściły w lekkim podmuchu suchego wiatru, cierpkiego jak gin z kropelki wermutu. Przez szum Jilly usłyszała: „Hann-na-na-na-na-na-na!”.

Jego nieartykułowany okrzyk wbił się przez wszystkie kościeczki w głąb jej uszu, a stamtąd przeniósł się na kręgosłup, zdając się wibrować w każdym kręgu i przejmując ją dreszczem. Wypowiadając ostatni sylabę, Dylan znikn<sup>13</sup> za wiat.

Miała dotychczas butami oliwki na chodniku, a potem szurając o trawę podszewkami, by je oczyścić, Jilly pobiegła tam, gdzie stał Dylan, zanim pochłonęła go ciemność.

Jej dobroduszna, okrągła twarz, nadająca się na widokówki bożonarodzeniowe, w jednej chwili stała się trupioblada i kojarzyła się bardziej z Halloween. W dręczącym cieniu czegoś niewidzialnego jej łonice siwe włosy splątały się i zlepiły krwią, ale w migotaniu światła pochodzącego z niewiadomego Źródła czerwone sploty znów wygładziły się i oczyściły, odzyskując na powrót połysk i biel. Bładoróżowa twarz zwieńczona srebrzystymi lokami przybierała matowy szary kolor, gdy włosy zmieniały się w krwawe struki. Oczy kobiety spoglądały na Dylana w oszołomieniu, a potem rozszerzały się w szoku, ośmiertelnie zimne-jednak w chwilę później znów widział w nich czujność i lęk.

Dylan widział ją żywą, martwą, żywą i znów martwą; jeden obraz wyznania się płynnie z drugiego, stając się na moment rzeczywistością, a potem rozpływając się w swoim przeciwieństwie. Nie miał pojęcia, co może oznaczać to ohydne widziadło, jeżeli w ogóle coś znaczyło, mimo to zerknął na swoje ręce, spodziewając się, że będą na przemian czyste i powalane krwią kobiety. Kiedy okazało się, że jego dłonie nie biorą udziału w wizji mordy, przerażenie ociskające mu trzewia wcale nie ustąpiło, a Dylan jeszcze raz popatrzył na twarz kobiety, prawie pewien, że siła, jaka przywiodła go do tego miejsca, w końcu posłużyła się nim, żeby zadać jej cieżę.

- Cheeseburgery, frytki, ciastka jabłkowe i koktajle waniliowe- powiedziała kobieta, dając dowód, że albo dobrze zapamiętała jego krótki wizyt w barze, albo ma fenomenalną pamięć.

Zamiast jej odpowiedzieæ, Dylan podszed³ do sto³u i wzi³ jedn¹ z opró¿nionych puszek budweisera. Pod czaszk¹ znów za-wirowa³y œwietliki, lecz us³ysza³ znacznie cichsze wy³adowania elektryczne ni¿ poprzednio, a spoczywaj¹cym za zaciœnietymi zêbami jêzykiem nie wstrz¹sn¹³ ¿aden spazm.

- Proszê uciekaæ z domu - poradzi³ kobiecie. - Nie jest tu pani bezpieczna. Szybko, niech pani idzie. Nie wiedzia³, czy posz³a, czy zosta³a, poniewa¿ mówi¹c, upuœci³ puszkê na blat i odwróci³ siê. Nie obejrza³ siê przez ra-miê. Nie móg³.

Dziwaczna podró¿, któr¹ rozpocz¹³ w fordzie i kontynu-owa³ pieszo, jeszcze siê nie zakoñczy³a.

Otwarte drzwi za kuch-ni¹ prowadzi³y na korytarz, którego pod³ogê z desek przykrywa³ wytarty chodnik w ró¿e. Dylan poczu³, jak tajemnicza si³a znów pcha go w mrok, do niewiadomego przeznaczenia.

za³ama³a rêce, jak gdyby chcia³a w ten sposób st³umiaæ ich ner-wowe dr¿enie. Spogl¹daj¹c z zaskoczeniem na Jilly, pozna³a j¹ i powiedzia³a:

- To pani. Kanapka z kurczakiem, frytki, piwo korzenne. - By³ tu wysoki cz³owiek w koszuli hawajskiej? - zapyta³a bez wstêpów Jilly.

Kobieta skinê³a g³ow¹.

- Powiedzia³, ¿e nie jestem tu bezpieczna. - Dlaczego nie?

- Mówi³, ¿ebym szybko ucieka³a z domu. - Dok¹d poszed³?

Mimo wysi³ków rêka trzê³a siê jej bezw³adnie, gdy pokaza³a otwarte drzwi prowadz¹ce na korytarz - tunel cienia, na którêgo koñcu majaczy³o s³abe ró¿owe œwiat³o.

\*\*\*

Staj¹c przy wiacie, Jilly spojrze³a wstecz na forda. Przeœwi-tuj¹ce przez ga³êzie oliwek œwiat³o latarñ pada³o na sylwetkê Shepa, który siedzia³ nieporuszony z ty³u, tam gdzie mu kazano.

Mijaj¹c buicka, pobiega³a na ty³y domu, wzbijaj¹c po drodze chmurê bia³ych ciem, które wyfrunê³y z tr¹conego przez ni¹ krzewu kamelii o kwiatach pe³nych i czerwonych jak panieñskie serca.

Drzwi by³y otwarte. W trójk¹cie padaj¹cego z kuchni œwia-t³a widaæ by³o pod³ogê ganku pomalowan¹ na per³owoszary ko-lor i wyj¹tkowo czyst¹ jak na ganek domu na pustyni.

Mimo zupe³nie wyj¹tkowej sytuacji Jilly mog³a przystan¹æ przed progiem i grzecznie zapukaæ we framugê otwartych drzwi. Jednak widok znajomej siwow³osej kobiety, która podnosi³a s³uchawkê telefonu zamontowanego na œcianie w kuchni, zanie-poko³ j¹ i ocemieni³, tote¿ prosto z ganku wesz³a na œwie¿o umy-te linoleum w ¿ó³to-zielon¹ kratê.

Tu¿ przed wejœciem Jilly kobieta wcisnê³a na klawiaturze te-lefonu dziewi¹tkê, a potem jeden. Jilly wyjê³a jej s³uchawkê z d³oni i od³o¿y³a, zanim zd¹¿y³a wybraæ drug¹ jedynkê.

Gdyby kobieta wezwa³a policjê, wkrótce zjawiliby siê tu tak-¿e mê¿czyŹni w czarnych chevroletach.

Na twarzy dobrodusznej babci z kreskówek Disneya nie go-œci³ ju¿ radosny uœmiech pogodnej sprzedawczyni hamburge-rów. Znu¿ona ca³ym dniem pracy, zatroskana i zdeorientowa-na wydarzeniami, jakie rozegra³y siê w ci¹gu ostatniej minuty,

Id¹c po ró¿ach, zielonych liœciach i kolcach, Dylan mija³ ³u-kowate, przypominaj¹ce wejœcia do altany drzwi, kryj¹ce ciem-noœci, w których mog³o rosn¹æ wszystko. Niepokoi³ go jeden pokój po prawej i dwa po lewej, mimo ¿e nic go do nich nie pcha³o, a skoro impuls kaza³ mu iœæ dalej, móg³ przypuszczaæ, ¿e niebezpieczeñstwo czai siê gdzieœ przed nim, nie z boku.

Nie miał w¹tpliwœci, ¿e bêdzie musia³ siê zmierzyæ z czymœ niebezpiecznym. Tajemnicza si³a, która kaza³a mu gnaæ przez ciemn¹ Arizonê, na pewno nie przywlok³a go tu, aby móg³ zna-leŹæ garniec z³ota, trudno by³o te¿ s¹dziaæ, ¿e ten dom jest jego ziemi¹ obiecany¹.

Od znaczka z ¿ab¹, przez klamkê samochodu, do puszek po piwie - Dylan szed³ tropem dziwnej energii, jak¹ pozostawi³ do-tyk siwow³osej kobiety.

Marjorie. Wiedzia³ ju¿, ¿e mia³a na imiê Marjorie, choæ na swoim uniformie nie mia³a plakietki z imieniem.

Wpierw znaczek z ¿ab¹, póŹniej kuchnia - id¹c tymi tropa-mi, szuka³ Marjorie, bo w niewidzialnych œladach, jakie jej do-tyk pozostawi³ na nieo¿ywnionych przedmiotach, odczyta³ prze-znaczenie kobiety.

Wyczul zerwane nici w splotach jej losu i sk¹dœ wiedzia³, ¿e zostan¹ zerwane tu, dzisiejszego wieczoru.

Od dotkniêcia czêœciowo zgniecionej puszek po piwie szed³ ju¿ za nowym celem. Marjorie, nic o tym

nie wiedząc, była ofiarą, gdy tylko weszła do domu; Dylan szuka jej niedoszłego mordercy.

Gdy mniej więcej zrozumiała, jak może wyglądać zbliżająca się konfrontacja, zda sobie sprawę, że dalsze posuwanie się naprzód jest aktem brawury, jeżeli nie szaleństwa, mimo to nie po-trafi się cofnąć ani o krok. Ta sama siła, która kazała mu zawrócić z drogi do Nowego Meksyku i pędzić na zachód z przed-kococi przekraczając sto mil na godzinę, zmusza go do kontynuowania poszukiwań.

Korytarz prowadzi do skromnie urządzonego przedpokoju, gdzie na niskim stoliku z ozdobną ałurów listwą stała szklana lampa nakryta abażurem z różowego jedwabiu. Stanowiła jedyne źródło światła, nie licząc lampy w kuchni, w którym było widać prowadzące na górę schody, jednak tylko do podestu. Kiedyś do drzwi na szupku poręczy u drzwi schodów, Dylan znów poczuł trop drapieżnika, ten sam, który znalazł na puszczyce po piwie, z nieomylności psa gończego, który zwierzy uciekiniera. Celady były zupełnie inne od tych, które Marjorie pozostawiła na znaczku z łab i kłamce samochodu - wyczuwała w nich coś, jak gdyby zostawił je przechodzący wtedy duch samych mocy piekielnych.

Oderwała się od szupka i przez chwilę patrzyła na wypolerowany krzywizną drewna topolowego upstrzonego ciemnymi plamami, szukając fizycznych lub nadprzyrodzonych dowodów czyjej obecności, ale bezskutecznie. Jego odciski palców i drzwi przykryły celady linii papilarnych amatora piwa i choć gołym okiem nie można było zobaczyć żadnego owalu, żuku czy zwoju, technicy z laboratorium policyjnego za pomocą chemicznych utwalaczy, proszku i odpowiedniego światła mogliby później znaleźć i uwidoczniać niepodważalny dowód jego obecności.

Dylan był pewny istnienia odcisków palców - niemal niewidzialnych, a jednak pozwalających skazać człowieka za każde zbrodnie, od kradzieży po morderstwo - tym łatwiej mógł więc uwierzyć, że dotykając czegoś, ludzie mogli pozostawić coś znacznie bardziej specyficznego, lecz równie rzeczywistego jak tusty odcisk będący odwzorowaniem linii na skórze.

Chodnik w różę położony na środku schodów wyglądał na równie wytarty jak podobny w korytarzu.

Wzór wydawał się bardziej wyrazisty, mniej było tu kwiatów, a więcej kolców, jak gdyby chciał zaszyfrować Dylana, że jego droga z każdym krokiem staje się coraz bardziej ciemniejsza.

Wspinając się po schodach, choć rozważenie odradzało mu wchodzenie na górę, Dylan przesuwał się po balustradzie. Pozostawione przez wroga istotę celady parzyły go w drzwi, iskrzyły go dotykaniem jego palców, lecz przestały mu kręcić w głowie światliki. Elektryczny syk również zupełnie ucichł, tak jak w kuchni, gdy tylko dotknął puszczyki po piwie, ustąpiły konwulsyjne drgawki języka.

Przystosowała się do tego osobliwego stanu, a jego umysł i ciało przestały się opierać nadprzyrodzonym doznaniom.

\*\*\*

Nawet nieznanemu intruzi i świadomości zbliżającej się przemocą nie mogły zbyt długo tłumaczyć naturalnej uprzejmości siwowo-sej kobiety, bez wątpienia wzmocnionej motywacją wpajaną podczas szkolenia prowadzonego przez bar fast food, w którym pracowała. Wyraz niepokoju na jej twarzy ustąpił miejsca sabbemu ucemichowi, a ona wyciągnęła wciła dygoczącą rękę.

- Jestem Marjorie, skarbie. A tobie jak na imię?

Gdyby powierzono jej pieczę tylko Shepherd, Jilly pobiegłaby na korytarz poszukać Dylana, ale ten zostawił jej pod opieką drugą osobę - tę kobietę. Nie chciała, by Shep siedział dłużej sam w samochodzie, a gdyby zostawiła Marjorie w pobliżu telefonu, na ulicy zjawiliby się więcej gliniarzy niż na mia-steczkowym zebraniu.

Poza tym Dylan kazał Marjorie uciekać z domu, bo nie była tu bezpieczna, lecz starsza pani mimo blisko siedemdziesięciu lat pozostała widocznie naiwną dziewczynką, która nie potrafiła rozpoznać zagrożenia, nawet gdy czuje na karku chłodny dotyk ostrza. Jeżeli Jilly jej się nie wyciągnie, Marjorie pewnie zostanie w kuchni, trochę dezorientowana, ale niezbyt przejęta, nawet gdyby ze spiżarni wysypało się stado wygłodzonej szarańchy albo z odpływu zlewu trysnęły strumień gorącej lawy.

- Jestem Marjorie - powtórzyła z tym samym ucemichem, dręczącym i niepewnym jak zmarszczka na powierzchni wody, która za moment zniknie w fali troski, jaka zaleje jej oblicze. Wciąż trzymając wyciągniętą rękę, spodziewała się usłyszeć imię Jilly, które z pewnością poda glinom, gdy w końcu uda jej się wezwąć policję.

Otoczając Marjorie ramieniem i delikatnie kierując ją w stronę drzwi wyjściowych, Jilly powiedziała:

- Kochana, możesz mi po prostu mówić „Kanapka z kur-czakiem, frytki, piwo korzenne”. Albo w skrócie „Kanapka”.

\*\*\*

Każdy dotyk celadów na poręczy przekonywał Dylana, że osoba, która je pozostawiła, jest znacznie groźniejsza, niż mu się wcześniej zdawało. Zanim dotarł do podestu i pokonał drugie piętro, zanurzając się w panującym na górze mroku, zrozumiął, że w pokojach na piętrze czeka na niego przeciwnik, którego nie da rady pokonać zwykły malarz zupełnie niezaprawiony w walce, ale co najmniej pogromca smoków.

Niecał minutę temu na dole, kiedy widział starszą kobietę żywą, a potem tak, jak mogłaby wyglądać po morderstwie, po raz pierwszy poczuł, jak oplatają go zimne macki przerażenia. Teraz jeszcze mocniej zacisnęły się wokół jego kręgosłupa.

- Proszę - szepnął Dylan, jak gdyby wciąż wierzył, że stoi tu zdany na askę i nieaskę nieubaganej nieznannej siły ze-wnętrznej. - Proszę - powtórzył, jak gdyby jeszcze nie powiedział oczywistej prawdy, że otrzymał dar - albo przekleństwo - szóstego zmysłu dzięki eliksirowi ze strzykawki i jak gdyby nie stało się jasne, że kontynuuje tę niebezpieczną wyprawę bez żadnego przymusu. Równie dobrze mógł szeptać do siebie. Kierowały nim motywy, których nie rozumiał, ale mimo wszystko były to jego motywy.

Mógł odwrócić się i wyjść. Wiedział, że wybór należy tylko do niego. Domyślał się także, że opuszczenie domu będzie o wiele łatwiejsze niż dalsza droga na górę.

Gdy zdał sobie sprawę, że całkowicie nad sobą panuje, spłynął na niego niewypowiedziany spokój, tak jak cienie w bez-wietrzny dzień przykrywa idealnie gładką warstwą nierówności krajobrazu. Przestał dygotać. Kiedy rozluźnił zacięnięte zęby, miśnienie szczęk przestało drgać. Opuszczył go przymus na potrzeby, by sunąć przed siebie, a serce zwolniło rytm i się uderzeń, pomyślał więc, że może jednak miesiąc sercowy wytrzyma. Zimne macki przerażenia zacięknęły się z jego kręgosłupa, wycofały i zniknęły w mroku.

Stał u szczytu schodów, na skraju ciemnego korytarza, wiedział, że może zawrócić, wiedział, że jednak pójdzie dalej, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy dlaczego, choć w tej chwili wcale to nie było najważniejsze. Nie uważał się za odważnego człowieka, nie urodził się po to, by przemierzać pola bitew ani patrolować ulice w nędznych dzielnicach. Podziwiał bohatera-stwo, lecz po sobie nie spodziewał się heroicznego czynów. Miśnienie i motywy własnego działania pozostawały dla niego zagadką, znalazł się wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że bezinteresowność nie wchodzi w grę; pójdzie dalej, bo intuicja podpowiadała mu, że odwrót nie leży w jego interesie. Nie potrafił jeszcze z pewnością oświadczym ogarnąć dziwnych informacji, jakich dostarczały mu powiększone w tajemniczy sposób możliwości percepcji, logika kazała mu zatem bardziej polegać na instynkcie, niż pozwalałby na to rozsądek.

Różowe światło sięgało schodów zaledwie do niższego podestu. Jedyne światło, którego blask syczył się przez uchylone mini-malnie drzwi po prawej, oświetlało ciemną przestrzeń przykrytego chodnikiem w kwiaty korytarza.

O ile się zorientował, na górze były trzy pokoje: ten, w którym świeciło się światło na końcu po prawej, jeszcze jeden bliżej Dylana po tej samej stronie i jeden po lewej.

Kiedy Dylan pokonał trzy kroki dzielące go od pierwszych drzwi z prawej, znów ogarnął go lęk: ale taki, z jakim można sobie poradzić, obawa, jak może czuć przed akcją rozważny strażak czy policjant, zupełnie niepodobna do panicznego strachu, który towarzyszy mu w drodze z kuchni przez korytarz na dole i po schodach.

Klamkę znaczący psychiczne ślady tropionej przez niego osoby. Omal nie cofnął ręki, ale intuicja-jego nowy przyjaciel - kazała mu iść dalej.

Cichy trzask zamka, szum suchych zawiasów. Przez okno z matowego szkła wpadało pomarańczowożółte światło latarni ulicznej, kładło na szybie cień gałęzi oliwki i ukazująco wnętrza pustej sypialni.

Dylan podszedł do drugiego pokoju po prawej, skłócił przez szczelinę między drzwiami a framugą padała właska smułka światła, rozcinając ciemność jak nożem. Słuchając głosu instynktu i rozsądku, nie



przy<sup>3</sup>o<sub>z</sub>y<sup>3</sup> do szpary oka, aby nie ocepi-<sup>3</sup>o go ostrze prawdziwego no<sub>z</sub>a, wymierzaj<sup>1</sup>c mu karê za szpiegowanie.

K<sup>3</sup>ad<sup>1</sup>c rêkê na klamce, Dylan wiedzia<sup>3</sup>, że znalaz<sup>3</sup> norê opê-tanej istoty, której tropem pod<sup>1</sup>ç<sup>3</sup>a<sup>3</sup>, ponieważ znak by<sup>3</sup> sto razy wyraŹniejszy ni<sub>z</sub> te, na które dot<sup>1</sup>d trafia<sup>3</sup>. Bezcielesny celad opló<sup>3</sup> mu d<sup>3</sup>oñ jak wij, skrêcaj<sup>1</sup>c siê i wiruj<sup>1</sup>c. Dylan by<sup>3</sup> ju<sub>z</sub> pe-wien, że za tymi drzwiami znajduje siê kolonia piek<sup>3</sup>a.

## 16 Przekraczaj<sup>1</sup>c próg drzwi z ty<sup>3</sup>u domu, Marjorie przypomn<sup>3</sup>a sobie o pozostawionej

kolacji i chcia<sup>3</sup>a wróciæ do kuchni po torbê, „póki cheeseburger nie wystygnie”. Z cierpliwocici<sup>1</sup> Wielkiego Ptaka lub innego nauczyciela z „Ulicy Sezamkowej”, wpajaj<sup>1</sup>cemu nowe s<sup>3</sup>owo dziecku, któ-rego zdolnoœæ koncentracji zaburzy<sup>3</sup>a zbyt du<sub>z</sub>a dawka ritalinu,

Jilly prowadzi<sup>3</sup>a j<sup>1</sup>, t<sup>3</sup>umacz<sup>1</sup>c, że ciep<sup>3</sup>y cheeseburger na nic siê jej nie przyda, jeœli bêdzie martwa.

NajwyraŹniej Dylan da<sup>3</sup> Marjorie tylko niejasne ostrze<sub>z</sub>enie, nie precyzuj<sup>1</sup>c, czy grozi jej wybuch czteropalnikowej kuchenki gazowej, czy zbli<sub>z</sub>a siê trzêsienie ziemi, które zmieni jej dom w malownic<sup>1</sup> kupkê dymi<sup>1</sup>cych gruzów, tak entuzjastycznie pokazywanych przez ç<sup>1</sup>dne krwi media. Jednak w œwietle ostat-nich wydarzeñ Jilly potraktowa<sup>3</sup>a tê przestrogê powa<sub>z</sub>nie, bez wzglêdu na jej ogólnikowoœæ. Przemawiaj<sup>1</sup>c s<sup>3</sup>odko i stosuj<sup>1</sup>c przebieg<sup>3</sup>e chwyt<sup>3</sup>y psycho-logiczne, które na pewno spotka<sup>3</sup>yby siê z gor<sup>1</sup>c<sup>1</sup> aprobat<sup>1</sup> Wielkiego Ptaka, Jilly <sup>3</sup>agodnie wyprowadzi<sup>3</sup>a Marjorie na ga-nek, do schodków prowadz<sup>1</sup>cych na trawnik z ty<sup>3</sup>u domu.

Tam starsza pani wykorzysty<sup>3</sup>a sw<sup>1</sup> imponuj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> masê, stosu-j<sup>1</sup>c manewr blokuj<sup>1</sup>cy, który polega<sup>3</sup> na przyssaniu siê bie<sub>z</sub>ni-kiem gumowych podeszew butów do pod<sup>3</sup>ogi ganku pomalowa-nej lœni<sup>1</sup>c<sup>1</sup> farb<sup>1</sup>. Dziêki tej sprytnej sztuczce stanê<sup>3</sup>a nieruchomo niczym Herkules, którego skazano na rozerwanie koñmi, ale okaza<sup>3</sup>o siê, że dorównuje si<sup>3</sup>1 dwóm zaprzêgom.

- Kanapeczko - zwróci<sup>3</sup>a siê do Jilly, wybieraj<sup>1</sup>c zdrobnia-<sup>3</sup>1 wersjê jej imienia. - Czy on wie o no<sub>z</sub>ach?

- Kto?

- Twój ch<sup>3</sup>opak.

- To nie jest mój ch<sup>3</sup>opak, Marj. Nawet nie snuj takich do-mys<sup>3</sup>ów. Nie jest w moim typie. O jakich no<sub>z</sub>ach mówi<sup>3</sup>ac?

- Kenny bardzo lubi no<sub>z</sub>e.

- Kto to jest Kenny?

- Kenny junior, nie mówiê o jego ojcu.

- Ach, te dzieci - powiedzia<sup>3</sup>a tonem wspó<sup>3</sup>czucia Jilly, wci<sub>z</sub> ponaglj<sup>1</sup>c kobietê, aby siê w koñcu ruszy<sup>3</sup>a.

- Kenny senior jest w wiêzieniu w Peru.

- Do bani - oznajmi<sup>3</sup>a Jilly, maj<sup>1</sup>c na myœli uwiêzienie Ken-ny'ego seniora w Peru i w<sup>3</sup>asne bezowocne wysi<sup>3</sup>ki, by zrzuciæ Marjorie ze schodów ganku.

- Kenny junior to mój najstarszy wnuk. Ma dziewiêtnaocie lat.

- I lubi no<sub>z</sub>e, co?

- Zbiera je. Niektóre nawet bardzo <sup>3</sup>adne.

- Bombowa sprawa, Marj.

- Bojê siê, że znowu zacz<sup>13</sup> z narkotykami.

- No<sub>z</sub>e i narkotyki, co?-powiedzia<sup>3</sup>a Jilly, próbuj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> roz-ko<sup>3</sup>ysaê i w ten sposób oderwaê jej stopy od pod<sup>3</sup>ogi.

- Nie wiem, co robiæ. Naprawdê nie wiem. Czasem od nar-kotyków wariuje.

- Wariuje, narkotyki, no<sub>z</sub>e - rzek<sup>3</sup>a Jilly, uk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>oceno elementy uk<sup>3</sup>adanki sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>ce siê na obraz Kenny'ego. Co chwilê zerka<sup>3</sup>a nerwowo na otwarte drzwi kuchenne.

- Prêdziej czy póŹniej dostanie ataku - martwi<sup>3</sup>a siê Marjo-rie. - Pewnego dnia posunie siê o krok za daleko.

- Kochana - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly - wydaję mi siê, że w<sup>3</sup>acenie dziec jest ten dzieñ.

Ju<sub>z</sub> nie jeden wij, ale ca<sup>3</sup>e ich gniazdo zdawa<sup>3</sup>o siê podrygi-waê i skrêcaê na d<sup>3</sup>oni Dylana.

Nie puœci<sup>3</sup> z odraz<sup>1</sup> klamki, ponieważ wœród odcisków opê-tanej istoty wyczu<sup>3</sup> inne celady nale<sub>z</sub>1ce do

znacznie lepszej oso-by. Odczyta<sup>3</sup> z nich dobr<sup>1</sup>, ale zalêknion<sup>1</sup> duszê, która, co cieka-we, przebywa<sup>3</sup>a w tej samej smoczej norze.

Ostrożnie pchn<sup>13</sup> drzwi.

Duż>a sypialnia zosta<sup>3</sup>a przedzielona dok<sup>3</sup>adnie na pół, jak gdyby wymalowano liniê na pod<sup>3</sup>odze, œecianie po lewej, suficie i œecianie po prawej. Nie przebiega<sup>3</sup>a tu jednak żadna fizyczna granica, ale rzuca<sup>3</sup>o siê w oczy, że lokatorzy dziel<sup>1</sup>cy pokój ma-j<sup>1</sup> skrajnie odmienne zainteresowania i charaktery.

W czêœci pokoju bliżej drzwi sta<sup>3</sup>o ³óko, nocny stolik i pó<sup>3</sup>-ki pe<sup>3</sup>ne ksi<sup>1</sup>żek w tanich wydaniach. Na œecianie zawieszono eklektyczn<sup>1</sup> kolekcjê trzech plakatów. Pierwszy przedstawia<sup>3</sup> kabriolet AC Shelby Cobra rocznik 1966, który pêdzi<sup>3</sup> autostra-d<sup>1</sup> w stronê œcelepiaj<sup>1</sup>cego zachodu s<sup>3</sup>oñca; zmys<sup>3</sup>owo op<sup>3</sup>ywowa sylwetka niskiego sportowego auta i srebrne detale, w których odbija<sup>3</sup>o siê niebo koloru filmowego b<sup>3</sup>êkitu, sprawia<sup>3</sup>y, że sa-mochód by<sup>3</sup> ucielecnieniem szybkoœci, radoœci i wolnoœci. Obok cobry wisia<sup>3</sup> portret nad<sup>1</sup>sanego C. S. Lewisa. Na trzecim pla-kacie by<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>ynne zdjêcie marines zatykaj<sup>1</sup>cych amerykañsk<sup>1</sup> flagê na szczycie pooranego po bitwie wzgórze na wyspie Iwojima.

W drugiej po<sup>3</sup>owie sypialni równie¿ sta<sup>3</sup>o ³óko i stolik, ale na œecianie nie by<sup>3</sup>o pó<sup>3</sup>ek z ksi<sup>1</sup>żkami ani plakatów. Zamiast nich na stela¿ach je¿y<sup>3</sup>a siê kolekcja bia<sup>3</sup>ej broni. W<sup>1</sup>skie kordzi-ki i szerokie sztylety, szkockie dirki, kordelasy, jedna szabla, bu<sup>3</sup>at, indyjskie khatary i kukri, szkocki skean dhu, halabarda na krótkim drzewcu, bagnety, kindz<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y, no¿e myœliwskie, jata-gany... Na wielu ostrzach wygrawerowano kunsztowne wzory,

rêkojêci by<sup>3</sup>y rzeŹbione i malowane, g<sup>3</sup>owice i jelce niektóre g<sup>3</sup>adkie, lecz czêœciej kunsztownie zdobione.

W pierwszej czêœci pokoju sta<sup>3</sup>o niewielkie biurko. Na blacie równiutko u<sup>3</sup>o¿ono suszkê, zestaw piór, puskê z o<sup>3</sup>ówkami, gruby s<sup>3</sup>ownik i pomniejszony model cobry rocznik 1966.

W drugiej po<sup>3</sup>owie na stole le¿a<sup>3</sup>a plastikowa replika ludzkiej czaszki oraz sterta rzuconych byle jak kaset z filmami porno. Bliższa drzwi domena by<sup>3</sup>a starannie zamieciona i odkurzo-na i choæ wyposa¿ono j<sup>1</sup> nieco lepiej ni¿ klasztor<sup>1</sup> celê, utrzy-mywano tu nienaganny porz<sup>1</sup>dek jak w mieszkaniu zakonnika. W drugim królestwie panowa<sup>3</sup> ba<sup>3</sup>agan. Poœciel na ³óku by<sup>3</sup>a zmiêta. Na pod<sup>3</sup>odze, stoliku nocnym i pó<sup>3</sup>ce nad wezg<sup>3</sup>owiem lóka wala<sup>3</sup>y siê buty, brudne skarpetki, puste puszki po napo-jach i piwie oraz papierki po cukierkach. Z trosk<sup>1</sup>-albo czu<sup>3</sup>ym wyrachowaniem-u<sup>3</sup>o¿ono tylko no¿e i resztê bia<sup>3</sup>ej broni, a s<sup>1</sup>-dz<sup>1</sup>c po lustrzanym blasku wszystkich ostrzy, wiele czasu po-œwiêcano na ich utrzymanie.

Poœrodku sypialni, na granicy dwóch wrogich obozowisk, sta<sup>3</sup>y dwie walizki, na których le¿a<sup>3</sup> czarny kapelusz kowbojski z zielonym piórkiem zatknietym za wst<sup>1</sup>żkê.

Dylan zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> dostrzec to wszystko w ci<sup>1</sup>gu zaledwie trzech, mo¿e czterech sekund, potrafi<sup>3</sup> bowiem ogarn<sup>1</sup>æ jednym spojrze-niem ca<sup>3</sup>y krajobraz ze szczegó<sup>3</sup>ami, aby na pierwszy rzut oka, za-nim glos serca ust<sup>1</sup>pi miejsca ch<sup>3</sup>odnemu umys<sup>3</sup>owi, móc oceniaæ, czy temat bêdzie wart czasu i energii, które musia<sup>3</sup>by poœwiêciaæ, by go dobrze oddaæ na p<sup>3</sup>ótnie. Fotograficzna rejestracja szczegó<sup>3</sup>ów nale¿a<sup>3</sup>a do jego wrodzonych zdolnoœci, ale w ci<sup>1</sup>gu lat pracy wy-æwiczy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> jeszcze bardziej, podobnie jak zdolny policjant trenuje swój zmys<sup>3</sup> obserwacyjny, nim zyska status detektywa.

I jak dobry policjant Dylan zacz<sup>13</sup> i skoñczy<sup>3</sup> oglêdziny na szczegó<sup>3</sup>e, który od razu rzuca<sup>3</sup> siê w oczy, wyznaczaj<sup>1</sup>c temat ca<sup>3</sup>ej scenerii: mniej wiêcej trzynastoletnim ch<sup>3</sup>opcu, który sie-dzia<sup>3</sup> na ³óku bliżej drzwi, ubrany w d¿insy i koszulkê z nadru-kiem „Stra¿ Po¿arna Nowego Jorku”, ze skrêpowanymi noga-mi, brutalnie zakneblowany, z rêkami przykutymi do mosiê¿nej ramy lóka.

\*\*\*

Marj doskonale odgrywa<sup>3</sup>a swój numer „Skamienia<sup>3</sup>a postae”, i Jilly nie potrafi<sup>3</sup>a oderwaæ jej od pod<sup>3</sup>ogi. Wci<sup>1</sup>¿ stoj<sup>1</sup>c jak pos<sup>1</sup>g na ganku u szczytu schodów, powiedzia<sup>3</sup>a z trosk<sup>1</sup> w glosie:

- Musimy go stamt<sup>1</sup>d zabraæ.

Mimo że Dylan nie by<sup>3</sup> jej ch<sup>3</sup>opakiem, Jilly nie wiedzia<sup>3</sup>a, jak inaczej mog<sup>3</sup>aby o nim mówiaæ, poniewa¿ nie chcia<sup>3</sup>a u¿ywaæ jego prawdziwego imienia w obecnoœci kobiety, a nie mia<sup>3</sup>a po-jêcia, co zamówi<sup>3</sup> dzisiaj w barze.

- Nie martw siê, Marj. Mój ch<sup>3</sup>opak go z<sup>3</sup>apie.

- Nie mówiê o Kennym - odrzek<sup>3</sup>a Marj z wiêkszym niepo-kojem ni¿ przedtem.

- A wiêc o kim?

- O Travisie. Mówiê o Travisie. Ch<sup>3</sup>opak ma tylko ksi<sup>1</sup>ki. Kenny ma swoje no<sup>2</sup>e, a Travis jedynie ksi<sup>1</sup>ki.

- Kto to jest Travis?

- M<sup>3</sup>odszy brat Kenny'ego. Ma trzynaœcie lat. Jak Kenny dostanie ataku, to Travis oberwie.

- A Travis... jest tam z Kennym?

- Pewnie tak. Musimy go stamt<sup>1</sup>d wyci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ.

Drzwi kuchenne po drugiej stronie ganku by<sup>3</sup>y nadal otwar-te. Jilly nie mia<sup>3</sup>a ochoty wracaæ do domu. Nie wiedzia<sup>3</sup>a, po co Dylan tu przyjecha<sup>3</sup>, ryzykuj<sup>1</sup>c  $\zeta$ ycie i zdrowie, i wy<sup>1</sup>sz<sup>1</sup> sk<sup>3</sup>adkê ubezpieczeniow<sup>1</sup>, ale mia<sup>3</sup>a powa<sup>2</sup>-ne w<sup>1</sup>tpliwoœci, czy przygna<sup>3</sup>a go tu potrzeba spó<sup>1</sup>Źnionego wy-ra<sup>2</sup>enia wdziêcznoœci Marjorie za uprzejm<sup>1</sup> obs<sup>3</sup>ugê w barze lub ch<sup>ê</sup>a zwrócenia jej znaczka z  $\zeta$ ab<sup>1</sup>, aby mog<sup>3</sup>a go przypil<sup>1</sup>æ inne-mu klientowi, który bardziej by go doceni<sup>3</sup>. Zwa<sup>2</sup>ywszy na sk<sup>1</sup>-pe informacje, jakimi dysponowa<sup>3</sup>a Jilly, i grozê tego wieczoru rodem prosto z „Archiwum X”, mog<sup>3</sup>aby siê za<sup>3</sup>o<sup>2</sup>yæ o spore pieni<sup>1</sup>dze,  $\zeta$ e pan Dylan Coe Siê Ze Mn<sup>1</sup> Dzieje O'Conner przy-gna<sup>3</sup> do domu Marjorie, aby powstrzymaæ Kenny'ego przed uczynieniem z<sup>3</sup>ego u<sup>2</sup>ytku ze swojej kolekcji.

Je<sup>2</sup>eli wybuch ponadzmys<sup>3</sup>owej percepcji zaprowadzi<sup>3</sup> Dyla-na do Kenny'ego No<sup>2</sup>ownika, którego prawdopodobnie nigdy wczesniej nie spotka<sup>3</sup>, nasuwa<sup>3</sup> siê logiczny wniosek,  $\zeta$ e bêdzie te<sup>2</sup> wiedzia<sup>3</sup> o obecnoœci Trvisa. Kiedy napotka trzynastoletka uzbrojonego w ksi<sup>1</sup>ki, nie powinien go wzi<sup>1</sup>æ przez pomy<sup>3</sup>kê za naæpanego dziewiêtnastoletniego wielbiciela no<sup>2</sup>y.

Potok jej myœli zatrzyma<sup>3</sup> siê na s<sup>3</sup>owie „logiczny”. Wydarze-nia minionych kilku godzin przeczy<sup>3</sup>y jakiegokolwiek logice. Nic, co sta<sup>3</sup>o siê tego wieczoru, nie mog<sup>3</sup>o siê dziaæ w œwiecie racjo-nalnym, gdzie Jilly kiedyœ by<sup>3</sup>a dziewczynk<sup>1</sup> z chóru, a dzie<sup>2</sup> ko-mikiem. To by<sup>3</sup> nowy œwiat, albo rz<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>cy siê zupe<sup>3</sup>nie now<sup>1</sup> logik<sup>1</sup>, której Jilly jeszcze nie rozszyfrowa<sup>3</sup>a, albo w ogóle po-zbawiony logiki. W takim œwiecie, w ciemnym i obcym domu Dylanowi mog<sup>3</sup>o siê wszystko przytrafiaæ.

Jilly nie lubi<sup>3</sup>a no<sup>2</sup>y. Zosta<sup>3</sup>a komikiem, nie wystêpowa<sup>3</sup>a w numerach z rzucaniem no<sup>2</sup>y. Nie mia<sup>3</sup>a najmniejszej ochoty wracaæ do domu, gdzie by<sup>3</sup> Kenny i jego kolekcja.

Dwie minuty temu, gdy Jilly wesz<sup>3</sup>a do kuchni i od<sup>3</sup>o<sup>2</sup>y<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>u-chawkê telefonu jedn<sup>1</sup> cyferkê przed katastrof<sup>1</sup>, biedna Marj wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a na oszo<sup>3</sup>omion<sup>1</sup> i bezradn<sup>1</sup>. Teraz ta pó<sup>3</sup>zombi szyb-ko przeobra<sup>2</sup>a<sup>3</sup>a siê w oszala<sup>3</sup> z rozpaczy babcie gotow<sup>1</sup> do naj-bardziej lekkomyœlnych czynów.

- Musimy wyci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ stamt<sup>1</sup>d Trvisa!

Ostatni<sup>1</sup> rzecz<sup>1</sup>, jakiej  $\zeta$ yczy<sup>3</sup>aby sobie Jilly, by<sup>3</sup> nó<sup>2</sup> wbity w jej pierœ, ale przedostatni<sup>1</sup> - rozhisteryzowana babcia, która pakuje siê z powrotem do domu, utrudniaj<sup>1</sup>c zadanie Dylanowi, i prawdopodobnie ponownie dopada telefonu, gdy tylko go spostrze<sup>2</sup>e i przypomni sobie,  $\zeta$ e policja jest zawsze do us<sup>3</sup>ug.

- Zostañ tu, Marj. Nie ruszaj siê. Ja siê tym zajmê. Znajdê Trvisa. I wyci<sup>1</sup>gnê go stamt<sup>1</sup>d.

Zobowi<sup>1</sup>zawszy siê do aktu odwagi, jakiego wola<sup>3</sup>aby siê nie podejmowaæ, Jilly odwróci<sup>3</sup>a siê, a wtedy Marj chwyci<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> za rêkê. - Ludzie, kim wy w<sup>3</sup>œciwie jesteœcie`?

Ludzie. Jilly zje<sup>2</sup>y<sup>3</sup>a siê na d<sup>1</sup>wiêk tego s<sup>3</sup>owa bardziej ni<sup>2</sup> w reakcji na samo pytanie. Mia<sup>3</sup>a na koñcu jêzyka: „Co to zna-czy-ludzie? Masz coœ do ludzi takich jak ja?”.

Jednak w ci<sup>1</sup>gu kilku ostatnich lat, gdy jej praca spotka<sup>3</sup>a siê z pewnym uznaniem i Jilly osi<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a pewnego rodzaju skromny sukces, nerwowe reakcje na to, co uwa<sup>2</sup>a<sup>3</sup>a za obelgi, wydawa<sup>3</sup>y siê coraz g<sup>3</sup>upsze. Nawet z Dylanem - który z jakiegoœ powodu mia<sup>3</sup> wyj<sup>1</sup>tkowy talent do trafiania w jej czu<sup>3</sup>e punkty - nawet wobec niego nerwowe reakcje by<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>upie. A w obecnej sytuacji mog<sup>3</sup>y równie<sup>2</sup> œci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ dodatkowe niebezpieczeñstwo.

- Policja - sk<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>a ze zdumiewaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> jak na by<sup>3</sup>1 dziewczynkê z chóru. - Jesteœmy z policji.

- Bez mundurów? - zdziwi<sup>3</sup>a siê Marj.

- Jesteœmy tajniakami. - Nie zamierza<sup>3</sup>a jej pokazywaæ od-znaki. - Zostañ tu, kochana. Tu jesteœ bezpieczna. Zostaw to zawodowcom.

\*\*\*

Ch<sup>3</sup>opiec w stra<sup>2</sup>ackiej koszulce zosta<sup>3</sup> obezw<sup>3</sup>adniony, pobi-ty i prawdopodobnie pozbawiony przytomnoœci, choæ zd<sup>1</sup>ly<sup>3</sup> siê ockn<sup>1</sup>æ, zanim Dylan wszed<sup>3</sup> do pokoju. Jedno oko mia<sup>3</sup> zsi-nia<sup>3</sup>e i napuchniête. Otart<sup>1</sup> skó<sup>2</sup> na brodzie. Lewe ucho skleja<sup>-3</sup>a zakrzep<sup>3</sup>a krew, pewnie po uderzeniu w bok

g<sup>3</sup>owy.

Odrywaj<sup>1</sup>c paski taemy klej<sup>1</sup>cej z twarzy ch<sup>3</sup>opca i wyci<sup>1</sup>-gaj<sup>1</sup>c mu z poblad<sup>3</sup>ych ust czerw<sup>1</sup> gumow<sup>1</sup> kulkê, Dylan przypomni<sup>3</sup> sobie w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> bezradnoœæ w motelu, gdy siedzia<sup>3</sup> przywi<sup>1</sup>zany do krzes<sup>3</sup>a, zakneblowany skarpetk<sup>1</sup>, i poczu<sup>3</sup> na-gromadzony w sobie gniew jak stos wêgla gotowy roz<sup>1</sup>arzyæ siê do bia<sup>3</sup>oœci pod wp<sup>3</sup>ywem podmuchu œwiêtego oburzenia. Ten gniew drzemi<sup>1</sup>cy w nim jak wulkan wydawa<sup>3</sup> siê zupe<sup>3</sup>nie nie przystawaæ do <sup>3</sup>agodnego charakteru cz<sup>3</sup>owieka, który wierzy<sup>3</sup>, <sup>1</sup>e nawet najdziks<sup>1</sup> istotê mo<sup>1</sup>na wydobyæ z ciemnoœci, poka-zuj<sup>1</sup>c jej naturalne piêkno, z jakim zosta<sup>3</sup> urz<sup>1</sup>dzony œwiat i <sup>1</sup>y-cie. Przez wiele lat tyle razy nadstawia<sup>3</sup> drugi policzek, <sup>1</sup>e cza-sem musia<sup>3</sup> przypominaæ kibica œledz<sup>1</sup>cego nieustaj<sup>1</sup>cy mecz tenisowy.

Gniewu nie wzbudzi<sup>3</sup>y w nim jednak w<sup>3</sup>asne cierpienia, jakie prze<sup>1</sup>y<sup>3</sup> i jakie byæ mo<sup>1</sup>ce w przysz<sup>3</sup>oœci zgotuje mu los, nad któ-rym zapanowa<sup>3</sup>a szpryca - ale wspó<sup>3</sup>czucie dla ch<sup>3</sup>opca i litoœæ nad wszystkimi ofiarami tego wieku przemocy. Mo<sup>1</sup>ce po S<sup>1</sup>dzie Ostatecznym w<sup>3</sup>adza na Ziemi trafi w rêce ludzi <sup>3</sup>agodnych, tak jak zosta<sup>3</sup>o przyrzeczone; tymczasem jednak dni up<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>y pod krwawymi rz<sup>1</sup>dami nikczemników.

Dylan zawsze mia<sup>3</sup> œwiadomoœæ istnienia niesprawiedliwo-œci na œwiecie, ale nigdy nie dotknê<sup>3</sup>a go bardziej ni<sup>1</sup>, w tej chwili, nigdy przedtem nie poczu<sup>3</sup> boleœniej jej ostrza. Zaskoczy<sup>3</sup>a go dojmuj<sup>1</sup>ca intensywnoœæ gniewu, poniewa<sup>1</sup>, wydawa<sup>3</sup> siê nie-wspó<sup>3</sup>mierny do przyczyny. Jeden pobity ch<sup>3</sup>opiec to nie to sa-mo co Oœwiêcim, co masowe groby w Kambod<sup>1</sup>y w epoce Czer-wonych Khmerów, co World Trade Center.

Odbywa<sup>3</sup>y siê w nim powa<sup>1</sup>ne przemiany, lecz metamorfoza nie polega<sup>3</sup>a tylko na tym, <sup>1</sup>e zyska<sup>3</sup> szósty zmys<sup>3</sup>. Zmiany siêga-<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>êbiej, jak gdyby u podstaw jego umys<sup>3</sup>u zaczê<sup>3</sup>y siê potê<sup>1</sup>ne ruchy tektoniczne. Pozbawiony knebla ch<sup>3</sup>opak wykaza<sup>3</sup> opanowanie i œwiado-moœæ powagi sytuacji. Nie odrywaj<sup>1</sup>c wzroku od otwartych drzwi, jakby to by<sup>3</sup>a brama, przez któr<sup>1</sup> lada chwila mog<sup>3</sup>y wmaszerowaæ legiony piekielne, wyszept<sup>3</sup>:

- Kenny jest na totalnym hajcu. To kompletny psychol. Jest w pokoju babci z dziewczyn<sup>1</sup>, chyba j<sup>1</sup> zabije. Potem babciê. Po-tem mnie. Mnie zabije na koñcu, bo najbardziej mnie nienawidzi. - Co to za dziewczyna? - zapyta<sup>3</sup> Dylan.

- Becky. Mieszka na naszej ulicy.

- Ma<sup>3</sup>a?

- Nie, ma siedemnaœcie lat.

£añcuch krêpuj<sup>1</sup>cy nogi ch<sup>3</sup>opca w kostkach by<sup>3</sup> zamkniêty k<sup>3</sup>ódk<sup>1</sup>. Ogniwa kajdanek, którymi mia<sup>3</sup> skute rêce, zosta<sup>3</sup>y przewleczone przez jeden z mosiê<sup>1</sup>nych szczebli wezg<sup>3</sup>owia, unieruchamiaj<sup>1</sup>c go przy <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ku.

- Gdzie kluczyki?

- Kenny je ma. - Ch<sup>3</sup>opak wreszcie oderwa<sup>3</sup> spojrzenie od otwartych drzwi i popatrzy<sup>3</sup> Dylanowi w oczy. - Nie mogê siê st<sup>1</sup>d ruszyæ.

W grê wchodzi<sup>3</sup>o ludzkie <sup>1</sup>y-cie. Mimo <sup>1</sup>e za policj<sup>1</sup> prawie na pewno zjawi<sup>1</sup> siê tu ludzie w czarnych chevroletach, którzy dla Dylana, Shepa i Jilly stanowili œmiertelne zagro<sup>1</sup>enie, Dylan czu<sup>3</sup> moralny obowi<sup>1</sup>zek zatelefonowania pod 911.

- Gdzie telefon? - spyta<sup>3</sup> szeptem.

- W kuchni - odrzek<sup>3</sup> równie cicho ch<sup>3</sup>opiec. - I w pokoju babci.

Intuicja podpowiada<sup>3</sup>a Dylanowi, <sup>1</sup>e nie ma czasu schodziæ do kuchni. Poza tym nie chcia<sup>3</sup> zostawiaæ ch<sup>3</sup>opca samego na górze. O ile wiedzia<sup>3</sup>, przeczucie nie nale<sup>1</sup>a<sup>3</sup>o do jego nowych zdolnoœci nadzmys<sup>3</sup>owych, lecz w zgêstnia<sup>3</sup>ym powietrzu wisia-<sup>3</sup>a zapowied<sup>1</sup> przemocy; mó<sup>1</sup>g<sup>3</sup>by siê za<sup>3</sup>o<sup>1</sup>yæ o w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> duszê, <sup>1</sup>e jeeli jeszcze nie dosz<sup>3</sup>o do mordu, to na pewno ktoœ zginie, za-nim on zd<sup>1</sup>ly zejœæ po ukwieconych schodach.

Telefon znajdowa<sup>3</sup> siê jeszcze w pokoju babci, ale wszystko wskazywa<sup>3</sup>o na to, <sup>1</sup>e jest tam równie<sup>1</sup> Kenny. Gdyby Dylan tam wszed<sup>3</sup>, nie wystarczy<sup>3</sup>aby mu tylko pewna d<sup>3</sup>oñ, by wykrê-ciæ numer.

Jego wzrok znów powêdrowa<sup>3</sup> do lœni<sup>1</sup>cych na œcianie ostrzy, lecz perspektywa rozp<sup>3</sup>atania kogoœ mieczem lub maczet<sup>1</sup> na-pe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>a go wstrêtem. Mia<sup>3</sup> za s<sup>3</sup>aby <sup>1</sup>o<sup>3</sup>dek do a<sup>1</sup> tak mokrej roboty.

Widz<sup>1</sup>c zainteresowanie Dylana no<sup>1</sup>ami i najwyra<sup>1</sup>niej wy-czuwaj<sup>1</sup>c jego opory, ch<sup>3</sup>opiec powiedzia<sup>3</sup>:

- Zajrzyj tam, za półkami z książkami.

Kij baseballowy. Staromodny, z twardego drewna. Dylan nieraz machał takim w dzieciństwie, choć nigdy nie zamierzył się na człowieka.

Aden niecierpliwy, gliniarz czy inny człowiek doświadczony w boju pewnie by się z nim nie zgodził, ale Dylan zamiast ba-gnetu wolał kij baseballowy. Dobrze leżało mu w dłoniach.

- Kompletny psychol - przypomniawszy mu chłopak, jak gdyby chciał powiedzieć, że kij baseballowy zadziała o wiele skuteczniej niż odwoływanie się do rozsądku czy próby perswazji.

Dylan wyszedł za próg. Korytarz. Po drugiej stronie ostatni z pokoi na piętrze, którego jeszcze nie sprawdził.

Przez zamknięte na głucho drzwi nie przecewitywał najmniejszy promień światła.

W domu zaległa cisza. Przyłożywszy ucho do framugi, Dylan zaczął nasłuchiwać, czy z pokoju dobiegnie dźwięk zdradzący obecność Kenny'ego, który był na totalnym hajcu.

Niektórzy artyści zaczynają czasem mylić świat fikcji z prawdziwym i do pewnego stopnia identyfikują się z odgrywanymi przez siebie postaciami, poruszając się po rzeczywistym świecie, jak gdyby zawsze byli na scenie. W ciągu paru ostatnich lat Jilly niemal uległ przekonaniu, że naprawdę jest nieustraszoną Amazonką Południowego Zachodu, którą udawała przed publicznością.

Wracając do kuchni, stwierdziła jednak ku swemu przerażeniu, że kiedy przyjdzie co do czego, rola i rzeczywistość nie są w jej przypadku tym samym. Gdy gorączkowo szukała broni, otwierając wszystkie szuflady i zaglądając do każdej szafki, czuła, jak miękła jej kolana, a serce zmienia się w wielki motłoch o imieniu Żebra.

Według prawa i zasad walki nóż rzecznicy mogą być o ułamek za broń. Jednak artretyczna niezgrabność, z jaką jej zeszywniała dłoń zacisnęła się na rękojeści, przekonała Jilly, że nie mogłaby go ułamywać przeciw nikomu i niczemu, co jest wrażliwsze od pieczenia wołowej.

Poza tym, żeby ułamywać noża, należało podejść blisko przeciwnika. Zakładając, że udałoby się jej walnąć Kenny'ego na tyle mocno, by go zatrzymała albo nawet sprzątnąć, Jilly wolała go walnąć z jak największej odległości, najlepiej ze strzelby o dużym zasięgu z dachu sąsiedniego domu.

Spiżarnia okazała się tylko spiżarnią, nie arsenałem. Najcieńszymi bronią, jaką znalazła na półkach, były puszki z brzo-skwiniami w syropie.

Nagle Jilly zauważyła, że Marj ma prawdopodobnie kopoty z wytępieniem mrówek i w przypływie natchnienia powiedziała: - Aha.

\*\*\*

Nawet mimo kija baseballowego w garści i suszonego gniewu Dylan nie był tak odważny ani nierozważny, by wpadać do ciemnego pokoju, gdzie czekał nastolatek ogłupiały od prochów i hormonów, uzbrojony w Bóg wie ile rodzajów broni. Uchyliwszy drzwi - znów poczuł drażniący dotyk psychicznych celadów - czekał oparty o cecianę w korytarzu i nasłuchiwał.

Słyszał tylko dzwoniący w uszach ciszę, jak gdyby dryfował w przestrzeni kosmicznej, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie ogłuchł. Uznał w końcu, że Kenny jest nie tylko kompletnym, ale wyjątkowo cierpliwym psycholem.

Z równą skwapliwością, z jaką przystąpiłby do zapasów z krokodylem, Dylan wsunął się w otwarte drzwi, sięgnął do czerodka i namacał na cecianie wycznik. Siedział, że Kenny stoi przygotowany na taki manewr i był niemal pewien, że ostrze noża przygwoździ mu dłoń do ceciany, więc ogromnie się zdumiał, kiedy zapalił światło i nadal miał wszystkie palce.

W pokoju babci nie było górnego oświetlenia, zapaliła się tylko jedna z dwóch nocnych lampek: ruda i pękata, malowana w tulipany i zwieńczona złotym abażurem z plisowanego materiału w kształcie szerokiego kapelusza słomkowego. Prze-strzeń sypialni tonęła w półmroku rozjaśnionym słabym blaskiem lampy.

Dylan dostrzegł dwoje zamkniętych drzwi. Za pierwszymi najprawdopodobniej była szafa. Drugie zapewne prowadziły do sypialni.

Zasłony w trzech oknach były za krótkie i za wąskie, aby mógł się za nimi ktoś ukryć.

Jeden z pokoi zajmował wolno stojące wysokie owalne lustro. Nikt się za nim nie czaił. W zwierciadle Dylan ujrzał swoje odbicie-wyglądające na wiele mniej przeraźliwego i znacznie wyższego,

niż mu się wydawało.

Królewskie łóżce były ustawione w taki sposób, że Kenny mógłby się za nim schować, kładąc się na podłodze, ale żaden inny mebel nie zapewniał bezpiecznej kryjówki.

Uwagę przykuwa jednak przede wszystkim postać, która leżała w łóżku. Cienka i delikatna pościel, pled i prześcieradło były rozrzucone w nieładzie, ale któreś pod nimi leżało przykryte od stóp do głów. Jak w niezliczonych filmach o ucieczkach z więzienia, być może były to poduszki udające kształtem człowieka, tyle że pościel lekko drżała.

Otwierając drzwi i zapalając światło, Dylan ujawnił już swoje obecność. Podchodził ostrożnie do łóżka, powiedział:

- Kenny?

Niezidentyfikowana postać przestała się trząść. Na moment znieruchomiała i leżała zastygła jak zwłoki pod prześcieradłem w kostnicy.

Dylan chwycił oburącz kij baseballowy, gotów do mistrzowskiego strzału.

- Kenny?

Przykryta sylwetka znów zaczęła drgać, jak gdyby w niepo-hamowanym nerwowym podnieceniu.

Drzwi, za którymi prawdopodobnie znajdowała się szafa: wciąż zamknięte. Drzwi, za którymi prawdopodobnie znajdowała się łazienka: wciąż zamknięte.

Dylan obejrzał się przez ramię w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

Nikogo.

Przypomniał sobie imię dziewczynki, o której wspominał chłopiec w kajdankach, dziewczynki z tej samej ulicy.

- Becky?

Tajemnicza postać dawała znaki życia, cały czas drżała pod pościelą, ale nie odpowiedziała.

Choć Dylan nie miał odwagi dzielić kijem tego, czego nie widział, nie miał też ochoty ocenić pościeli z ukrytego kształtu z tych samych powodów, dla których nie zerwałby brezentu ze sterty drewna, gdyby podejrzewał, że między sznurami chowa się grzechotnik.

Nie chciał także unieść pościeli końcem kija baseballowego. Zaplanowana w tkaninę pałka przestałaby być skuteczną bronią, i chociaż w wyniku tego manewru Dylan pozostawałby bez-bronny jedynie przez moment, tyle mogłoby wystarczyć Ken-ny'emu, aby wyskoczył z ukrycia i zrobić użytek ze specjalnego noża do patroszenia.

Półmrok i półcień. Cichy dom.

I ten drgający kształt.

**17** Jilly szła przez korytarz na parterze, od jednego łukowatego przejścia do drugiego,

minęła trzy ciemne pokoje, nasłuchując na progu każdego z nich. Gdy nie usłyszała żadnego dźwięku, ruszyła przez przedpokój, mijając lampę na stoliku i doszła do podestu schodów.

Kiedy zaczęła wchodzić na górę, usłyszała za sobą metaliczne ping i stanęła jak wryta na drugim stopniu. Zaraz po ping rozległo się stuk-stuk, potem szybkie i dźwięczne brzrzdêêk, a potem zaległa kompletna cisza.

Has dobiegło prawdopodobnie zza drzwi dokładnie naprzeciw przedpokoju. Zapewne znajdowała się za nimi salon. Kiedy próbuje się uniknąć starcia z młodym człowiekiem, o którym opinia jego własnej babci sprowadza się do słów „wa-riuje-narkotyki-noże”, wcale nie ma się ochoty słyszeć charakterystycznych metalicznych odgłosów, które dobiegają z ciemnego pokoju za plecami. Cisza, jaka potem zapanowała, nie brzmiała już - nie mogła brzmieć - tak niewinnie jak ta poprzedzająca ping.

Mając nieznaną przed sobą, ale także za sobą, Jilly wcale nie odkryła w sobie walecznej Amazonki, lecz nie zamarła też ani nie skuliła się ze strachu. Jej matka, zawsze zachowująca stoicki spokój, i kilka pechowych wydarzeń sprzed lat nauczyły ją, że należy otwarcie stawiać czoło przeciwnościom losu, nie stosując żadnych uników; mama radziła, aby mówić sobie, że każde nie-szczêcie jest jak ciastko, które trzeba zjeść całe, do ostatniego okruszka. Jeżeli w mrocznym salonie czaił się Kenny, ostrzelić nóż o nóż tak głośno, żeby Jilly go usłyszała, czekał ją istny pik-nik kłopotów.

Zesz<sup>3</sup>a ze schodów i wycofa<sup>3</sup>a się do przedpokoju. Ping, ping. Tyk, tyk, tyk. Brzdęk... brzrzrdêêk!  
Poza powtórzeniem wyczynu wilka z bajki i zdmuchnięciem poecieli z <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ka Dylan mia<sup>3</sup> do wyboru dwie możliwości: albo będzie czeka<sup>3</sup> na pierwszy ruch postaci pod ca<sup>3</sup>unem, co na pew-no skończy się katastrof<sup>1</sup> prędzej, niż, gdyby sam zaczą<sup>13</sup> dzia-<sup>3</sup>aæ, albo ods<sup>3</sup>oni dr<sup>1</sup>c<sup>1</sup> postae, aby poznaæ jej imię i zamiary.

Trzymaj<sup>1</sup>c w prawej ręce uniesiony kij baseballowy, drug<sup>1</sup> ręk<sup>1</sup> chwyci<sup>3</sup> poeciela i jednym ruchem odrzuci<sup>3</sup> na bok. Ujrza<sup>3</sup> czarnow<sup>3</sup>os<sup>1</sup>, niebieskook<sup>1</sup>, bos<sup>1</sup> nastolatka w d<sup>3</sup>insach z ob-ciętymi nogawkami i bluzce bez rękawów w niebiesk<sup>1</sup> kratkê.

- Becky?

W jej twarzy i otwartych szeroko oczach malowa<sup>3</sup>o się bez-denne przerażenie. Ca<sup>3</sup>ym jej cia<sup>3</sup>em wstrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup>y dreszcze strachu, p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ce jak wezbrany strumień, którego pr<sup>1</sup>d co chwila co-fa<sup>3</sup> się, wprawiaj<sup>1</sup>c jej g<sup>3</sup>owê w silne drgania. To w<sup>3</sup>aczenie ten ruch Dylan dostrzeg<sup>3</sup> wcześniej pod ko<sup>3</sup>dr<sup>1</sup>. Nie odrywa<sup>3</sup>a udręczonego wzroku od sufitu, jak gdyby nie zauważy<sup>3</sup>a, że przyby<sup>3</sup>a pomoc. Jej stan nieświadomości przypo-mina<sup>3</sup> trans.

Powtarzaj<sup>1</sup>c jej imię, Dylan zastanawia<sup>3</sup> się, czy dziewczynie nie zaaplikowano narkotyków. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a jak na wpó<sup>3</sup> spa-raliżowana i zdawa<sup>3</sup>a się nie zwracaæ uwagi na otoczenie.

Po chwili, nie patrz<sup>1</sup>c na niego, powiedzia<sup>3</sup>a przez zaciœniê-te zêby:

- Uciekaj.

Nadal trzymaj<sup>1</sup>c uniesiony kij, czujnie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się na otwar-te drzwi prowadz<sup>1</sup>ce na korytarz, gotów zareagowaæ na ka<sup>3</sup>dy d<sup>3</sup>wiêk, ruch i najl<sup>3</sup>ejszy cieñ. Z <sup>3</sup>adnej strony nie widaæ by<sup>3</sup>o oznak zbliżaj<sup>1</sup>cego się niebezpieczeństwa, nigdzie nie wyros<sup>3</sup>a brutalna postae, wyra<sup>3</sup>nie kontrastuj<sup>1</sup>ca z tapet<sup>1</sup> w stokrotki, <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>tymi zas<sup>3</sup>onami i kolekcj<sup>1</sup> perfum w lœni<sup>1</sup>cych szklanych bu-teleczkach, które sta<sup>3</sup>y na toaletce.

- Wyci<sup>1</sup>gnê ciê st<sup>1</sup>d - obieca<sup>3</sup>.

Wysun<sup>13</sup> do niej rękê, ale nie odwzajemni<sup>3</sup>a gestu. Leż<sup>1</sup>a<sup>3</sup> ze-sztywnia<sup>3</sup>a i dr<sup>1</sup>c<sup>1</sup>ca, ci<sup>1</sup>gle skupiaj<sup>1</sup>c przerażone spojrzenie na suficie, jak gdyby coraz bardziej się zni<sup>3</sup>a<sup>3</sup> i za moment mia<sup>3</sup> j<sup>1</sup> przygnieœæ - jak w starych filmach, gdzie czarny charakter kon-struowa<sup>3</sup> skomplikowane maszyny do zabijania, choæ o wiele proœciej by<sup>3</sup>oby uż<sup>1</sup>yæ rewolweru.

- Uciekaj - wyszept<sup>3</sup>a Becky z rozpacz<sup>1</sup>. - Na litoœæ bo-sk<sup>1</sup>, uciekaj.

Drżenie, paraliż i gor<sup>1</sup>czkowe przestrogi dziewczyny dzia-<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y mu na nerwy, choæ i tak mia<sup>3</sup> je ju<sup>3</sup> napiête jak struny.

W tych starych filmach ofiarê mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o obezw<sup>3</sup>adniaæ i do-prowadziæ do takiego stanu, jak tê dziewczynê, za pomoc<sup>1</sup> wy-liczonej dawki kurary - ale nie w prawdziwym œwiecie. Jej para-liż mia<sup>3</sup> prawdopodobnie pod<sup>3</sup>oż<sup>1</sup>e psychologiczne, choæ równie skutecznie porazi<sup>3</sup> jej miênienie. Aby podnieœæ j<sup>1</sup> z <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ka i wynieœæ z pokoju, Dylan musia<sup>3</sup>by od<sup>3</sup>oż<sup>1</sup>yæ kij.

- Gdzie jest Kenny? - spyta<sup>3</sup> szeptem.

W koñcu oderwa<sup>3</sup>a wzrok od sufitu i spojrze<sup>3</sup>a w k<sup>1</sup>t poko-ju, gdzie znajdowa<sup>3</sup>y się jedne z zamkniętych drzwi.

- Tam? - naciska<sup>3</sup>.

Oczy Becky po raz pierwszy zatrzyma<sup>3</sup>y się na nim... po czym szybko zwróci<sup>3</sup>y się z powrotem w stronê drzwi.

Dylan ostrożnie okr<sup>1</sup>ż<sup>3</sup> <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ko, wchodz<sup>1</sup>c w g<sup>3</sup>1b sypialni. Kenny móg<sup>3</sup> go zaatakowaæ z ka<sup>3</sup>dego miejsca.

Jêknê<sup>3</sup>y sprêż<sup>1</sup>ny i dziewczyna unios<sup>3</sup>a się, stêkaj<sup>1</sup>c z wysi<sup>3</sup>ku.

Odwracaj<sup>1</sup>c się, Dylan zobaczy<sup>3</sup>, że Becky nie leży ju<sup>3</sup> na wznak, ale klêczy, a potem staje na <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ku, trzymaj<sup>1</sup>c w prawej d<sup>3</sup>oni nóg.

Pong. Trach. Ping.

Zabieraj<sup>1</sup>c się do k<sup>3</sup>opotów jak do ciastek, które niezbyt jej smakowa<sup>3</sup>y, przy pong Jilly dosz<sup>3</sup>a do <sup>3</sup>ukowatych drzwi, na d<sup>3</sup>wiêk trach odnalaz<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>1cznik lampy. Przy ping sk<sup>1</sup>pa<sup>3</sup>a za-grozenie w œwietle. S<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c gwa<sup>3</sup>towny <sup>3</sup>opot skrzyde<sup>3</sup>, instynktownie chcia<sup>3</sup>a się odwróciæ do drzwi plecami. Spodziewa<sup>3</sup>a się ujrzeæ chmarê go-<sup>3</sup>ebi, która wirowa<sup>3</sup>a wokó<sup>3</sup> niej na poboczu autostrady albo ma-sê ptactwa, które

zobaczy<sup>3</sup>a tylko ona z ca<sup>3</sup>ej trójki pasażerów forda. Stado jednak się nie pokaza<sup>3</sup>o, a trzepot skrzyde<sup>3</sup> po chwili ucich<sup>3</sup>.

Kenny nie ostrzy<sup>3</sup> tu noży. Jeżeli nie przycupni<sup>13</sup> za fotelem czy kanap<sup>1</sup>, w ogóle nie by<sup>3</sup>o go w pokoju. Na dźwięk następnej serii metalicznych odgłosów Jilly skie-rowa<sup>3</sup>a spojrzenie na klatkę, która wisia<sup>3</sup>a piêæ czy szeææ stóp nad pod<sup>3</sup>og<sup>1</sup> na podobnej podstawie jak lampa pod<sup>3</sup>ogowa.

Za kratami z grubego drutu siedzia<sup>3</sup>a papużka uczepiona szponiastymi nógkami jednego z prętów; pierzasty więzień stu-ka<sup>3</sup> dziobem w ocianê swojej celi. Przeginaj<sup>1</sup>c szyjê, papuga szorowa<sup>3</sup>a dziobem w poprzek prętów niczym bezrêka harfistka graj<sup>1</sup>ca glissando: brzrzrdêêêk, brzrzrdêêêk.

Okaza<sup>3</sup>o się, że œmiertelne zagrożenie ma postać papużki. Jilly uzna<sup>3</sup>a, że jej nadszarpniêta reputacja jako nieustraszonej wojowniczkii dozna<sup>3</sup>a kolejnego uszczerbku, wycofa<sup>3</sup>a się więc, uciekaj<sup>1</sup>c od upokorzenia. W drodze powrotnej na schody znów usłysza<sup>3</sup>a, jak ptak bije skrzyd<sup>3</sup>ami powietrze, jak gdyby doma-ga<sup>3</sup> się wolnoœci latania.

Ptasi ha<sup>3</sup>as żywo przypomina<sup>3</sup> jej niedawne niezwykle prze-życia i z trudem powstrzyma<sup>3</sup>a się przed pokus<sup>1</sup>, by uciec jak najdalej z domu, postanowi<sup>3</sup>a jednak ruszyæ na poszukiwanie Dylana. Zanim dotar<sup>3</sup>a do œrodkowego podestu, ptak przesta<sup>3</sup> t<sup>3</sup>uc się po klatce, ale maj<sup>1</sup>c wci<sup>1</sup> przed oczyma mrowie skrzy-de<sup>3</sup>, czym prêdziej pobieg<sup>3</sup>a na górê, zapominaj<sup>1</sup>c o ostrożnoœci.

Z niebieskich oczu Becky znikn<sup>13</sup> udawany strach, ustêpuj<sup>1</sup>c miejsca dzikiej radoœci.

Zeskoczy<sup>3</sup>a z s<sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka, wœciekle wymachuj<sup>1</sup>c nożem. Kiedy Dy-lan okrêci<sup>3</sup> się, unikaj<sup>1</sup>c ciosu, okaza<sup>3</sup>o się, że Becky ma wiêcej entuzjazmu ni<sup>1</sup> praktyki. Potknê<sup>3</sup>a się i omal nie upadła, nadzie-waj<sup>1</sup>c się na w<sup>3</sup>asny nóg.

- Kenny! - krzyknê<sup>3</sup>a.

Otworzy<sup>3</sup>y się drugie drzwi, te, których Becky nie wskaza<sup>3</sup>a, i stan<sup>13</sup> w nich Kenny. Przypomina<sup>3</sup> trochê wêgorza: miał giêt-k<sup>1</sup> i wêżowat<sup>1</sup> sylwetkê, by<sup>3</sup> szczup<sup>3</sup>y, ale muskularny, a jego szalone oczy by<sup>3</sup>y œci<sup>1</sup>gniête jak u stworzenia skazanego na ży-cie w zimnych g<sup>3</sup>êbinach cuchn<sup>1</sup>cych wód. Dylan przypuszcza<sup>3</sup> nawet, że zêby Kenny'ego s<sup>1</sup> ostre i zakrzywione jak u wêża.

M<sup>3</sup>odzieniec by<sup>3</sup> ubrany z klas<sup>1</sup>, w czarne d<sup>1</sup>insy, czarne bu-ty kowbojskie, czarn<sup>1</sup> koszulkê i czarn<sup>1</sup> d<sup>1</sup>insow<sup>1</sup> kurtkê wy-szywan<sup>1</sup> w zielone indiañskie wzory, których kolor pasowa<sup>3</sup> do piórka na kowbojskim kapeluszu leż<sup>1</sup>cym na dwóch walizkach w pokoju po drugiej stronie korytarza.

- Kim jesteœ? - zapyta<sup>3</sup> Dylana Kenny i nie czekaj<sup>1</sup>c na od-powiedŹ, zwróci<sup>3</sup> się do Becky. - Gdzie ta stara suka?

Star<sup>1</sup> suk<sup>1</sup>, na któr<sup>1</sup> czeka<sup>3</sup>o tych dwoje, by<sup>3</sup>a bez w<sup>1</sup>tpie-nia siwow<sup>3</sup>osa kobieta w pr<sup>1</sup>żkowanym uniformie, która w<sup>3</sup>acenie wróci<sup>3</sup>a do domu po ciêżkim dniu pracy.

- Co za różnica, kim on jest - odrzek<sup>3</sup>a Becky. - Zabij go, potem znajdziemy stare pud<sup>3</sup>o i wyprujemy mu flaki.

Ch<sup>3</sup>opiec w kajdankach Źle zrozumia<sup>3</sup> charakter zwi<sup>1</sup>zku s<sup>1</sup>cz<sup>1</sup>cego jego brata i dziewczynê. Dwójka bezwzglêdnych kon-spiratorów zamierza<sup>3</sup>a zamordowaæ babcie i m<sup>3</sup>odsze go brata, byæ mo<sup>1</sup>e ukraœæ jakieœ œmieszne pieni<sup>1</sup>dze ukryte przez starsz<sup>1</sup> pani<sup>1</sup> w materacu, a potem wrzuciæ walizki Kenny'ego do sa-mochodu i wyruszyæ w drogê.

Potem mogli zatrzymaæ się przy domu Becky i zabraæ jej ba-ga<sup>1</sup>e. Byæ mo<sup>1</sup>e chcieli te<sup>1</sup>z zabiaæ jej rodzinê.

Bez wzglêdu na to, czy ich p<sup>3</sup>Źniejsze plany mia<sup>3</sup>y się po-wieœæ, czy nie, na razie wzięli Dylana w dwa ognie. Zajêli dobre pozycje, żeby go szybko za<sup>3</sup>atwiaæ.

Kenny trzyma<sup>3</sup> w garœci dwunastocalowy obosieczny nóg, wyj<sup>1</sup>tkowo ostry. Pokryta gum<sup>1</sup> rêkojêœæ z otworem mia<sup>3</sup>a ergonomiczny kształt, przyjazny dla u<sup>1</sup>ytownika, który utrud-nia<sup>3</sup> wytr<sup>1</sup>cenie broni z rêki zdecydowanemu na wszystko na-pastnikowi.

Nóg Becky, raczej kuchenny ni<sup>1</sup> bojowy, móg<sup>3</sup> jednak roz-ci<sup>1</sup>æ cz<sup>3</sup>owieka równie skutecznie jak kurczaka przeznaczonego na potrawkê.

Kij baseballowy by<sup>3</sup> znacznie d<sup>3</sup>u<sup>1</sup>szy od obu noży i dawa<sup>3</sup> Dylanowi przewagê zasiêgu. Z doœwiadczenia Dylan wiedzia<sup>3</sup>, że jego wzrost i postura odstrasza<sup>1</sup> pijacków i ulicznych ban-dytów, którzy w innej sytuacji mieliby ochotê się z nim zmie-rzyæ; nawet najbardziej agresywni z nich dochodzili do wnio-sku, że w ciele brutalà musi mieszkaæ brutal, gdy w istocie Dylan mia<sup>3</sup> go<sup>3</sup>êbie serce.



Być może Kenny waha się tak i dlatego, że nie zna swoje-go położenia i ba się mordować nieznajomego, nie wie, ile obcych jest jeszcze w domu. W byszczycach i dz mordu oczach węgorka pojawiła się przebiegocząca przywódca na myślenie z rajskiego ogrodu.

Dylan pomyślał, że mógłby udać policjanta i powiedzieć im o posiłkach, które zmierzają już do domu. Jednak nawet gdyby udało mu się wyjaśnić brak munduru, zdradziaby go broń - trudno uwierzyć, że gliniarz posługiwałby się kijem baseballowym zamiast pistoletem.

O ile na zatruty prochami umysł Kenny'ego skapnęła kro-pelka rozśledku, o tyle Becky nadal przypominała zwierzę ogar-nięte szaniem zabijania, którego nie mogła powstrzymać ani nie-bezpieczna dżugocząca kija, ani wzrost przeciwnika.

Dylan zamarkował krok w stronę Kenny'ego, lecz zaraz odwrócił się do dziewczyny, celując kijem w dłoń, w której trzy-mała nóż.

Może Becky ćwiczyła gimnastykę w szkole średniej albo należała do armii niedoszłych balerin, na które rzesze kocha-jących Amerykanów trwonił miliony dolarów w przekonaniu, że wychowuje przyszłą Margot Fonteyn. Choć nie miała takiego talentu, by występować na olimpiadzie czy w zawodowym teatrze, wykazała się refleksem, zwinnością i znacznie lepszą koordynacją ruchów, niż mogło się wydawać po tym, jak zeskoczyła z siłki. Rzuciła się do tyłu, unikając ciosu, z przedwczesnym triumfalnym „Ha!” i natychmiast odskoczyła w prawo, schodząc z drogi cofającemu się kijowi i uginając kolana, żeby mieć lepszą pozycję do manewru, jeżeli już się na jakimś zdecyduje.

Nie udało się, że rozśledek będzie dłużej powstrzymywał Kenny'ego przed atakiem, jeżeli nadarzy się sposobność, Dylan odwrócił się, naśladując ruchy Becky, choć prawdopodobnie nie przypominał niespełnionej baleriny, ale raczej tańczącego niedźwiedzia. Zaatakował kowboja w haftowanej kurtce do kładnie w chwili, gdy ten ruszył na niego.

W węgorkowatych oczach dzieciaka nie było tej nieokieślonej wściekłości co u Becky, lecz wyrachowanie i obawa podstępnego tchórza, który wykazuje się największą odwagą, gdy ma do czynienia ze słabszym przeciwnikiem. Był potworem, ale nie tak dzikim jak jego niebieskooka przyjaciółka i popełnił błąd, podkradając się do nieprzyjaciela, zamiast rzucić się na niego z impetem. Zanim Dylan zwrócił się w jego stronę z wysoko uniesionym kijem, Kenny powinien zanurkować pod jego ramieniem i wbić nóż. Spóźnił się jednak, drgnął, zrobił zwód i padł ofiarą własnego tchórzostwa.

Z siłą, jakiej nie powstydziby się senny „Babe” Ruth, kij z głośnym trzaskiem zamał przedramię Kenny'ego. Mimo ergonomicznej rękownicy z otworem na palec nóż wyleciał mu z ręki. Zdawało się, że Kenny uniósł się na moment w powietrze, jakby po dalekim strzale zrywał się do obiegnięcia baz. Gdy dzieciak zamiast pobiec z wrzaskiem, padł na podłogę jak źle uderzona piłka, Dylan wyczuł zbliżając się do niego z tyłu Becky i pomyślał, że tańczący niedźwiedź nie zdoła przechytrzyć obłąkanej baleriny.

\*\*\*

Stając na przedostatnim stopniu, Jilly usłyszała, jak ktoś wrzasnął: „Kenny!”. Zatrzymała się tuż przed korytarzem na piętrze, zaniepokojona krzykiem, który nie wydobył się z ust Dylana ani trzynastoletniego chłopca. Wysoki i przenikliwy głos należał do kobiety.

Usłyszała jeszcze jakieś hasła, potem męski głos, ale też nie Dylana ani nie chłopca, ale nie zrozumiała wypowiedzianych słów.

Przyszła tu nie tylko po to, żeby ostrzec Dylana, że na górze oprócz Kenny'ego jest jeszcze mały Travis, ale także po to, aby mu pomóc w razie potrzeby, nie mogła więc stać jak wryta na schodach, jeżeli miała zachować szacunek dla samej siebie. Jillian Jackson zyskała bowiem szacunek dla samej siebie dzięki znacznym wysiłkom, choć w dzieciństwie zwykle trzymała się skromnie na uboczu, wtipując we własne możliwości. Nie chciała zrezygnować z tego, o co dżugo i zawzięcie walczyła. Wpadając na korytarz, Jilly ujrzała smutkę sabbego cewia-ta padającego zza otwartych drzwi po lewej, jaśniejszy blask z pokoju położonego trochę dalej po prawej stronie - i gołębie, których stado wpadło przez zamknięte okno na końcu przedpokoju, widmo gołębi, które zostawiły za sobą nietknięte szyby. Ptaki nie wydawały żadnych dźwięków - nie gruchały ani nie krzyczały, ich skrzydła poruszały się zupełnie bezgłośnie. Gdy otoczyły je ze wszystkich stron powodziła biały piór, ty-sięciem

przeszywaj<sup>1</sup>cych oczu, tyś<sup>1</sup>cem otwartych dziobów, nie spodziewa<sup>3</sup>a się, że poczuje ich obecność, ale sta<sup>3</sup>o się inaczej. Wiatr, jaki wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> opot ich skrzyde<sup>3</sup>, niós<sup>3</sup> ostr<sup>1</sup> woń kadzi-d<sup>3</sup>a. Pióra muska<sup>3</sup>y jej cia<sup>3</sup>o, ręce i twarz.

Stoj<sup>1</sup>c blisko ceciany po lewej, ruszy<sup>3</sup>a szybko wprost w burzê bia<sup>3</sup>ych skrzyde<sup>3</sup> gęst<sup>1</sup> jak pierzasta oenie<sup>1</sup>yca, która na autostra-dzie przemknê<sup>3</sup>a nad fordem. Obawia<sup>3</sup>a się o stan swoich zmy-s<sup>3</sup>ów, ale nie ba<sup>3</sup>a się ptaków, które najwyra<sup>1</sup>niej nie mia<sup>3</sup>y z<sup>3</sup>ych zamiarów. Gdyby nawet by<sup>3</sup>y prawdziwe, nie wydzioba<sup>3</sup>yby jej oczu. Jilly zdawa<sup>3</sup>o się, że widok ptaków jest dowodem spotêgo-wania jej widzenia: wprawdzie taka myœl przemknê<sup>3</sup>a jej przez g<sup>3</sup>owê, nie wiedzia<sup>3</sup>a jednak, co to mo<sup>3</sup>e byæ spotêgowane wi-dzenie; na razie pojmowa<sup>3</sup>a to bardziej instynktownie i emocjo-nalnie ni<sup>3</sup> intelektualnie. Zjawy nie mog<sup>3</sup>y jej wprawdzie wyrz<sup>1</sup>dzia<sup>3</sup> krzywdy, ale po-jawi<sup>3</sup>y się w zupe<sup>3</sup>nie nieodpowiednim momencie. Jilly musia<sup>3</sup>a odnale<sup>1</sup>ć Dylana, a ptaki, prawdziwe czy nie, znacznie utrud-nia<sup>3</sup>y jej poszukiwania.

- Ha! - wykrzykn<sup>13</sup> ktoœ tu<sup>3</sup> obok, a chwilê pó<sup>1</sup>niej Jilly wy-maca<sup>3</sup>a z lewej otwarte drzwi, które zas<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>o przed jej wzro-kiem stado go<sup>3</sup>ebi.

Gdy przekroczy<sup>3</sup>a próg, ptaki zniknê<sup>3</sup>y. Zobaczy<sup>3</sup>a sypialniê oœwietlon<sup>1</sup> jedn<sup>1</sup> lamp<sup>1</sup>. Tu by<sup>3</sup> Dylan, uzbrojony w kij basebal-lowy i otoczony przez m<sup>3</sup>odego cz<sup>3</sup>owieka - Kenny'ego? - i na-stolatkê, wymachuj<sup>1</sup>cych no<sup>3</sup>ami.

Kij ze œwistem przeci<sup>13</sup> powietrze, m<sup>3</sup>ody cz<sup>3</sup>owiek krzykn<sup>13</sup>, a wypuszczony przez niego ostry nóg wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup> z brzêkiem na wysokiej komodzie z drewna orzechowego.

Kiedy Dylan machn<sup>13</sup> kijem, stoj<sup>1</sup>ca za nim nastolatka sprê-<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a się, uginaj<sup>1</sup>c jeszcze bardziej kolana. Gdy Kenny wrzasn<sup>13</sup> z bólu, dziewczyna zamachnê<sup>3</sup>a się, gotowa skoczyæ naprzód i wbia<sup>3</sup> Dylanowi nóg w plecy, zanim ten zd<sup>1</sup>ly się odwróciæ.

Ju<sup>3</sup> w chwili wyskoku dziewczyny Jilly krzyknê<sup>3</sup>a: - Policja!

Nastolatka z ma<sup>3</sup>pi<sup>1</sup> zrêcznoœci<sup>1</sup> okrêci<sup>3</sup>a się, robi<sup>1</sup>c jedno-czeœnie unik, aby nie odwróciæ się plecami do Dylana i mieæ go na oku.

Jej oczy by<sup>3</sup>y b<sup>3</sup>êkitne jak niebo z wymalowanymi cherubin-kami na suficie kaplicy, ale loeni<sup>3</sup>o w nich szaleñstwo wywo<sup>3</sup>ane zapewne narkotykami.

Jilly, wreszcie prawdziwa Amazonka Po<sup>3</sup>udniowego Zachodu, choæ zbyt wra<sup>3</sup>liwa, by ryzykowaæ pozbawienie dziewczyny wzroku, wycelowa<sup>3</sup>a preparat przeciw mrówkom trochê poni<sup>3</sup>ej oczu. Dysza puszk<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> znalaz<sup>3</sup>a w spi<sup>3</sup>arni, mia<sup>3</sup>a dwa usta-wienia: STRUMIEŃ i ROZPYLACZ. Ju<sup>3</sup> wczêœniej ustawi<sup>3</sup>a STRUMIEŃ, który wed<sup>3</sup>ug napisu na etykiecie mia<sup>3</sup> zasiêg do dziesiêciu stóp.

Byæ mo<sup>3</sup>e pod wp<sup>3</sup>ywem podniecenia w morderczym szale dziewczyna oddycha<sup>3</sup>a przez usta. Struga œrodka owadobójcze-go trafi<sup>3</sup>a prosto miêdzy rozchylone wargi jak strumieñ wody z fontanny, zalewaj<sup>1</sup>c jej usta po gard<sup>3</sup>o.

Preparat przeciw mrówkom na nastoletni<sup>1</sup> dziewczynê dzia-<sup>3</sup>a<sup>3</sup> ze znacznie mniejszym skutkiem ni<sup>3</sup> na mrówkê, ale na pew-no nie by<sup>3</sup> najsmaczniejszym napojem i mniej orze<sup>1</sup>wiaj<sup>1</sup>cym ni<sup>3</sup> szklanka ch<sup>3</sup>odnej wody. W jednej chwili odj<sup>13</sup> dziewczynie ochotê do walki. Rzuci<sup>3</sup>a nóg. Krztusz<sup>1</sup>c się, rzê<sup>1</sup>c i pluj<sup>1</sup>c, za-toczy<sup>3</sup>a się w stronê drzwi, otworzy<sup>3</sup>a je i kilka razy walnê<sup>3</sup>a we w<sup>3</sup>icznik, zanim zapali<sup>3</sup>o się œwiat<sup>3</sup>o, ukazuj<sup>1</sup>c wnêtrze <sup>3</sup>azienki. Potem odkrêci<sup>3</sup>a zimn<sup>1</sup> wodê nad umywalk<sup>1</sup>, stuli<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>onie i za-czê<sup>3</sup>a sobie p<sup>3</sup>ukaæ usta, prychaj<sup>1</sup>c i kaszl<sup>1</sup>c.

Na pod<sup>3</sup>odze le<sup>3</sup>a<sup>3</sup> zwiniêty jak krewetka Kenny, u<sup>3</sup>alaj<sup>1</sup>c się nad sob<sup>1</sup> z irytuj<sup>1</sup>cym jêkiem i szlochem. Jilly spojrze<sup>3</sup>a na Dylana i potrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a puszk<sup>1</sup> ze œrodkiem owadobójczym.

- Od dzie bêdê tego u<sup>3</sup>ywaæ na tych, co na widowni zacho-wuj<sup>1</sup> się jak byd<sup>3</sup>o.

- Co zrobi<sup>3</sup>æ z Shepem?

- Babcia powiedzia<sup>3</sup>a mi o Kennym i no<sup>3</sup>ach. Nie masz cza-sem ochoty powiedziæ: „Dziêki, że uratowa<sup>3</sup>æ mi ty<sup>3</sup>ek, Jilly?”.

- Mówi<sup>3</sup>em ci, żebyœ nie zostawia<sup>3</sup>a Shepa samego.

- Nic mu nie bêdzie.

- Bêdzie, je<sup>3</sup>eli zosta<sup>3</sup> tam sam - powiedzia<sup>3</sup>, podnosz<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>os, jakby mia<sup>3</sup> nad ni<sup>1</sup> jak<sup>1</sup>œ w<sup>3</sup>adzê.

- Nie krzycz na mnie. Bo<sup>3</sup>e drogi, przyjecha<sup>3</sup>œ tu jak wa-riat, nie mówi<sup>1</sup>c dlaczego ani po co, wyskoczy<sup>3</sup>œ z samochodu, nie mówi<sup>1</sup>c dlaczego. A ja co - mam siedziæ jak przyk<sup>3</sup>adna kobieta, w

stanie otępiącej bezmyślności czeka jak gupi indyk w deszczu, gapić się w niebo z otwartą gębą, a gdzie utopie? Popatrz na nią spodełka.

- Co ty wygadujesz, jakie indyki? - Dobrze wiesz, o czym mówię. - Wcale nie pada.

- Nie b' d' t'.

- Nie masz za grosz poczucia odpowiedzialności - oświadczysz.

- Mam ogromne poczucie odpowiedzialności. - Zostawię Shepa samego.

- Nigdzie nie pójdzie. Dać mu zajęcie. Powiedziam: Shepherd, przez twojego niegrzecznego i apodyktycznego brata będzie potrzebował przynajmniej stu dogodnych synonimów słowa „dupek”.

- Nie mam czasu na te gupie sprzeczki.

- A kto zacz? - odciśnięcie. Odwrócić się od niego i wy-szaby z pokoju, gdyby nie zatrzyma jej widok gości.

Przez korytarz wciła p'yn potok białych gości, mijając otwarte drzwi sypialni i kierując się w stronę schodów. Gdyby zjawy były rzeczywiste, dom powinien być już tak napchany ptakami, że ich napór wysadziłby okna jak eksplodujący gaz.

Jilly modliła się w myślach, żeby gościom zniknęły, ale leciały i leciały, więc odwróciła się do nich plecami. Znowu zaczęła się obawiać o stan swoich zmysłów.

- Musimy stąd wiać. Prędzej czy później Marj wezwie gliny. - Marj?

- Kobieta, która dała ci znaczek z łabą i od której wszystko to się jakoś zaczęło. Jest babci Kenny'ego i Trvisa. Co mam zrobić?

\*\*\*

Klęcząc nad toaletą, Becky zaczęła analizować swój kolać, a może nawet całe swoje życie.

Dylan wskazał krzesło z wysokim oparciem, a Jilly zrozumiała, co miało na myśli.

Drzwi azienki otwierały się do ośrodka. Gdyby krzesłem po-deprzeć i zaklinować klamkę, Becky zostałaby uwięziona i uwolniono ją dopiero policja.

Dylan nie s'dzi, by dziewczyna na tyle doszła do siebie, aby go pociać na plasterki, ale nie miał też ochoty zostać upaprany wymiocinami.

Leżący na podłodze Kenny na totalnym haju zupełnie się rozkleił. Zaśliniony, z rozmazanymi na twarzy śluzami i smarkami, choć nadal niebezpieczny, wyrzucił z siebie stek przekleństw i wyzwisk, i dał, żeby natychmiast sprowadzono mu lekarza, przysięgał zemstę i gdyby nadarzyła się okazja, pewnie zaprawiłby sprawdzić, czy rzeczywiście ma zęby ostre jak w.

Dylan zagroził, że rozupie mu czaszkę, chociaż s'dzi, że zabrzmiało to mało wiarygodnie, jednak dzieciak przyjął groźbę serio, być może dlatego, że sam nie zawahałby się ani chwili i roztrzaskał Dylanowi głowę, gdyby tylko ich role się odwróciły. Wystarczyło słowo, aby z kieszeni swojej wyhaftowanej ko-szuli zapinanej na zatrzaski z macicy perowej wyciągnął kłuczyki do kajdanek i kłódki.

Jilly ociłgała się z wyjęciem z sypialni, jak gdyby bała się spotkania z innymi szubrawcami, na których mógłby nie wystarczyć ośrodek owadobójczy. Dylan zapewnił ją, że poza Ken-nym i Becky w domu nie ma już żadnych innych dusz z piekła rodem. Mimo to, idąc do pokoju, gdzie siedział przykuty do ścianki chłopiec, krzywiła się i wahała, jakby strach na wpół ją oślepił. Co chwila spoglądała w stronę okna na końcu korytarza, jak gdyby zobaczyła twarz ducha przycięniętą do szyby.

Uwalniając Trvisa, Dylan wyjaśnił mu, że Becky nie ma odpowiednich kwalifikacji moralnych, by brać udział w konkursie Miss Ameryki Nastolatek, a potem wszyscy zeszli do kuchni.

Marj wbiegła z ganku do domu, aby przytulić wnuka i zapakać nad jego zsiniającym okiem, a Travis niemal utonął w jej pasyastych objęciach.

Dylan zaczekał, aż chłopak wyswobodzi się z czującego uścisku i rzekł:

- Kenny i Becky będą potrzebowali lekarza...

- I celi więziennej, dopóki nie zajmie się nimi opieka społeczna - dodała Jilly.

- ...ale proszę nam dać ze trzy minuty, zanim zadzwoni pa-ni pod dzwonekset jedenacie - dokończył Dylan.

Szysząc to, Marj się zdumiała.

- Jak to, przecież wy jesteście z dziewięć jeden jeden. Jilly wyjaśniła tę zawiłą kwestię:

- Jesteśmy jedn<sup>1</sup> z tych jedynek, Marj, ale nie drug<sup>1</sup> ani tym bardziej dziewi<sup>1</sup>tk<sup>1</sup>. Starsza pani zdumia<sup>3</sup>a się jeszcze bardziej, lecz Travis wy-gl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na rozbawionego.

- Damy wam czas, żebyście mogli się ulotnić. Ale to wszyst-ko jest strasznie dziwne, jak jakieś pokręcone czary. Kim wy, do diab<sup>3</sup>a, jesteście?

Dylanowi nie przychodzi<sup>3</sup>a na myśl żadna sensowna odpow-iedź, ale wyręczy<sup>3</sup>a go Jilly.

- Sami nie wiemy. Jeszcze dzieć po południu mog<sup>3</sup>abym wam powiedzieć, kim jesteśmy, ale teraz nie mam zielonego pojęcia. Mimo że w jej wyjaśnieniu kryta się ponura prawda, Marj os<sup>3</sup>upia<sup>3</sup>a jeszcze bardziej, a choćopiec jeszcze szerzej się uśmiech-n<sup>13</sup>.

Na górze Kenny g<sup>3</sup>ocono wzywa<sup>3</sup> pomocy. - Lepiej już id<sup>3</sup>ćcie - poradzi<sup>3</sup> Travis.

- Nie wiesz, czym je<sup>3</sup>dzimy, nie widzian<sup>3</sup> naszego wozu. Fakt - przytackn<sup>13</sup> Travis.

- Będziemy ci wdzięczni, jeżeli nie będziesz patrzy<sup>3</sup>, jak od-je<sup>3</sup>d<sup>3</sup>amy.

- Gdyby ktoś pyta<sup>3</sup>- rzek<sup>3</sup> choćopak- to mogliście po prostu wzi<sup>1</sup>ąć rozpęd i odfrun<sup>1</sup>ąć.

Dylan prosi<sup>3</sup> tylko o trzy minuty, bo Marj i Travisowi trud-no by<sup>3</sup>oby wyt<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup>ć glinom d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>sz<sup>1</sup> zw<sup>3</sup>ok<sup>3</sup>; jeżeli jednak Shep oddali<sup>3</sup> się od samochodu, byli zgubieni. Trzy minuty nie wystarcz<sup>1</sup>, żeby go odnale<sup>3</sup>ć.

Na ulicy panowa<sup>3</sup>a cisza, tylko wiatr szumia<sup>3</sup> w drzewach oliwnych. S<sup>1</sup>iedzi nie powinni s<sup>3</sup>ysze<sup>3</sup>ć dobiegaj<sup>1</sup>cych z domu s<sup>3</sup>umionych krzyków Kenny'ego.

Przy kraw<sup>3</sup>ęz<sup>3</sup>niku sta<sup>3</sup> ford z otwartymi drzwiami po stronie kierowcy. Zanim Jilly wysiad<sup>3</sup>a z samochodu, wy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>a silnik i zgasi<sup>3</sup>a świat<sup>3</sup>a.

Jeszcze gdy byli na trawniku przed domem, Dylan zobaczy<sup>3</sup> Shepherdę na tylnym siedzeniu z twarz<sup>1</sup> oświetlon<sup>1</sup> lampk<sup>1</sup> do czytania, której blask odbija<sup>3</sup> się od strony otwartej ksi<sup>1</sup>ęki.

- Mówi<sup>3</sup>am przecie<sup>3</sup> - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly.

Dylanowi kamień spad<sup>3</sup> z serca, więc zbyt jej uwag<sup>3</sup>ę mil-czeniem.

Przez zakurzon<sup>1</sup> szyb<sup>3</sup>ę od strony Shepherdę wida<sup>3</sup>ć by<sup>3</sup>o ty-tu<sup>3</sup> ksi<sup>1</sup>ęki, któr<sup>1</sup> czyta<sup>3</sup>: „Wielkie nadzieje” Charlesa Dickensa. Shep by<sup>3</sup> fanatykiem Dickensa.

Dylan usadowi<sup>3</sup> się za kierownic<sup>1</sup> i zatrzasn<sup>13</sup> drzwi, przy-puszczaj<sup>1</sup>c, że na kuchennym zegarze, przed którym zostawili Trávisa, musia<sup>3</sup>o już up<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ąć ponad pół minuty.

Podkulaj<sup>1</sup>c nogi, by nie nadepn<sup>1</sup>ąć Fredę stoj<sup>1</sup>cego pod sie-dzeniem, Jilly poda<sup>3</sup>a Dylanowi kluczyki, ale natychmiast cof-n<sup>3</sup>ę wyci<sup>1</sup>gni<sup>1</sup>ęć r<sup>3</sup>ęk<sup>3</sup>.

A jak znowu stracisz rozum`? - Wcale nie straci<sup>3</sup>em rozumu.

- Wszystko jedno, w każdym razie jeżeli znowu to zrobisz? - Prawdopodobnie zrobi<sup>3</sup>ę - uświadomi<sup>3</sup> sobie.

- Lepiej ją poprowadz<sup>3</sup>ę. Pokr<sup>3</sup>ęci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- A co zobaczy<sup>3</sup>acie na górze, gdy szliemy do pokoju Trávisa? Co zobaczy<sup>3</sup>acie w oknie na końcu korytarza?

Zawaha<sup>3</sup>a się. Potem odda<sup>3</sup>a mu kluczyki. - Poprowad<sup>3</sup>ę.

Gdy Travis odliczy<sup>3</sup> w kuchni pierwsz<sup>1</sup> minut<sup>3</sup>ę, Dylan za-wróci<sup>3</sup>. Wracali t<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> drog<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> przyjechali na Alej<sup>3</sup>ę Euka-liptusow<sup>1</sup>, gdzie nie by<sup>3</sup>o ani jednego eukaliptusa. Zanim Travis zadzwoni<sup>3</sup> pod 911, zd<sup>1</sup>ęyli min<sup>1</sup>ąć ulicę miasta i wyjecha<sup>3</sup>ć na autostrad<sup>3</sup>ę międzystanow<sup>1</sup> numer 10.

Dylan ruszy<sup>3</sup> na wschód w stron<sup>3</sup>ę końca miasta, gdzie pew-nie przesta<sup>3</sup> już dymia<sup>3</sup> cadillac Jilly, ale powiedzia<sup>3</sup>:

- Nie chc<sup>3</sup>ę się trzyma<sup>3</sup>ć tej drogi. Mam przeczucie, że nie b<sup>3</sup>ędzie tu bezpiecznie.

- Dzisiaj nie nale<sup>3</sup>ży lekcewa<sup>3</sup>ć przeczuc<sup>3</sup> - zgodzi<sup>3</sup>a się.

W końcu Dylan zjecha<sup>3</sup> z międzystanowej na autostrad<sup>3</sup>ę nu-mer 191, asfaltow<sup>1</sup> dwupasmówk<sup>3</sup>ę bez pasa zieleni oddzielaj<sup>3</sup>ce-go przeciwne kierunki ruchu, która prowadzi<sup>3</sup>a na północ przez ton<sup>1</sup>ce w mroku pustkowie. O tej godzinie panowa<sup>3</sup> na niej nie-wielki ruch. Na razie nie mia<sup>3</sup>o znaczenia, gdzie s<sup>1</sup>, dopóki od-dalali się coraz bardziej od wraka cadillaca coupe deville oraz domu w Alei Eukaliptusowej.

Przez pierwsze dwie mile autostrady 191 żadne z nich się nie odzywa<sup>3</sup>o, a gdy na liczniku stukn<sup>3</sup>ę trzecia, Dylan zacz<sup>13</sup> się trz<sup>1</sup>ęć. Poziom adrenaliny wraca<sup>3</sup> do normy, prymitywna istota walcz<sup>1</sup>ca o przetrwanie wycofa<sup>3</sup>a się do swojej genetycznej kry-jówki i dopiero teraz odczu<sup>3</sup> ogrom tego, co się wydarzy<sup>3</sup>o. Dy-lan stara<sup>3</sup> się ukry<sup>3</sup>ć rozdygotanie przed Jilly, lecz gdy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> szc<sup>3</sup>ęk w<sup>3</sup>asnych zębów,

wiedzia<sup>3</sup>, że mu się nie uda<sup>3</sup>o, a potem ucwiodomi<sup>3</sup> sobie, że ona także drży, obejmuj<sup>1</sup>c się ramionami i ko<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c na siedzeniu.

- Nnniech t-t-to szlag - powiedzia<sup>3</sup>a.

- No.

- Nie jestem żadn<sup>1</sup> W-wonder Woman.

- Nie jeste<sup>3</sup>ce.

- Przede wszystkim mam za ma<sup>3</sup>e cycki.

- Ja też - odrzek<sup>3</sup>.

- Jezu, te no<sup>3</sup>ę.

- Fakt, wielkie jak cholera -- przytakn<sup>13</sup>.

- A ty z kijem baseballowym. Czy ty... odbito ci, O'Conner?

- Pewnie mi odbi<sup>3</sup>o. A ty ze sprayem na mrówki - też nie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>ać na uosobienie rozs<sup>1</sup>dku, Jackson.

- Ale podzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o, nie? - Ładny strza<sup>3</sup>.

- Dzięki. Kiedy by<sup>3</sup>am ma<sup>3</sup>a, w domu czêsto æwiczy<sup>3</sup>am na karaluchach. Porusza<sup>3</sup>y się o wiele szybciej niż panna Becky. A ty musiałe<sup>3</sup> być dobry w baseball.

- Niez<sup>3</sup>y jak na sflacza<sup>3</sup>ego malarza. S<sup>3</sup>uchaj, Jackson, trze-ba odwagi, żeby wej<sup>3</sup>æ na górê po tym, jak Marj powiedzia<sup>3</sup>a ci o no<sup>3</sup>ach.

- Raczej g<sup>3</sup>upoty. Oboje mogli<sup>3</sup>emy zgin<sup>1</sup>æ.

- Mogli<sup>3</sup>emy - przyzna<sup>3</sup>. - Ale nie zginê<sup>1</sup>cimy.

- Ale mogli<sup>3</sup>emy. Koniec z tymi nocnymi po<sup>3</sup>ecigami i bijaty-kami. Koniec, O'Conner.

- Tego się raczej nie spodziewam - odrzek<sup>3</sup>.

- Mówi<sup>3</sup> powa<sup>3</sup>nie. Zupe<sup>3</sup>nie serio. Powtarzam, koniec.

- Nie s<sup>1</sup>dzê, żeby to od nas zale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o.

- Ja w ka<sup>3</sup>dym razie nie mam na to ochoty.

- Chcia<sup>3</sup>em powiedzie<sup>3</sup>æ, że chyba nad tym nie panujemy.

- Ja zawsze panujê nad sytuacj<sup>1</sup> - upiera<sup>3</sup>a się.

- Nie nad t<sup>1</sup>.

- Zaczynam się ciebie ba<sup>3</sup>æ.

- Sam zaczynam się siebie ba<sup>3</sup>æ - powiedzia<sup>3</sup>.

Po tych wyznaniach zapad<sup>3</sup>a cisza nak<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>ca do refleksji. Ksiê<sup>3</sup>yc, który srebrzy<sup>3</sup>ecie jaenia<sup>3</sup>, kiedy stał wysoko na nie-bie, teraz zacz<sup>13</sup> chyli<sup>3</sup>æ się ku zachodowi, blad<sup>3</sup> i matowia<sup>3</sup>, a roz-jaeniony jego romantycznym blaskiem płaski blat pustyni zmie-ni<sup>3</sup> się w ponury stó<sup>3</sup>, na którym mog<sup>3</sup>aby się odby<sup>3</sup>æ ostatnia wieczerza.

Na poboczu drogi dr<sup>3</sup>az<sup>3</sup>y br<sup>1</sup>zowe i kolczaste k<sup>3</sup>êby niesio-nych przez wiatr roelin, martwych, ale wci<sup>1</sup>ę gotowych do w<sup>3</sup>óczêgi, cho<sup>3</sup>æ s<sup>3</sup>aby wiatr nie móg<sup>3</sup> pchn<sup>1</sup>æ ich w drogê.

Wêdrowa<sup>3</sup>y za to æmy, mniejsze bia<sup>3</sup>e jak duchy i wiêksze szare, przypominaj<sup>1</sup>ce strzêpki brudnego ca<sup>3</sup>unu. Wirowa<sup>3</sup>y wo-kó<sup>3</sup> samochodu w trupim œwietle reflektorów, lecz rzadko l<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup>y na przedniej szybie.

W malarstwie klasycznym motyle by<sup>3</sup>y symbolem <sup>3</sup>ycia, ra-doœci i nadziei. Æmy-z tej rodziny co motyle, Lepidoptera-za-wsze symbolizowa<sup>3</sup>y rozpacz, upadek, zniszczenie i œmieræ. We-d<sup>3</sup>ug ocen entomologów na œwiecie istnieje trzydzieci tysiêcy gatunków motyli i cztery razy wiêcej gatunków ciem.

Dylanowi czêœciowo udzieli<sup>3</sup> się æmi nastrój. Wci<sup>1</sup>ę by<sup>3</sup> pode-nerwowany i rozdygotany, jak gdyby co<sup>3</sup> wyjad<sup>3</sup>o mu izolacjê wszystkich nerwów jak w<sup>3</sup>ókna we<sup>3</sup>nianego swetra zaatakowa-nego przez mole. Prze<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>c w myœlach to, co zdarzy<sup>3</sup>o się przy Alei Eukaliptusowej, i zastanawiaj<sup>1</sup>c się, co mo<sup>3</sup>ę się jeszcze sta<sup>3</sup>æ, czul widmowe æmy trzepocz<sup>1</sup>ce wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>ego krêgos<sup>3</sup>upa.

Nie pogr<sup>1</sup>ę<sup>3</sup> się jednak bez reszty w obawach. Rozmyœlania nad ich niepewn<sup>1</sup> przysz<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> przejmowa<sup>3</sup>y go d<sup>3</sup>awi<sup>1</sup>cym nie-pokojem, ale ilekro<sup>3</sup>æ niepokój opada<sup>3</sup>, ogarnia<sup>3</sup>a go dziwna ra-doœæ i miał ochotê rozeœmia<sup>3</sup>æ się na ca<sup>3</sup>e gard<sup>3</sup>o. Czu<sup>3</sup>, jakby równoczenie otrze<sup>3</sup>wia<sup>3</sup>a go obawa, która mog<sup>3</sup>a przerodzi<sup>3</sup>æ się w prawdziwy lêk, i odurza<sup>3</sup>a myœel o wspanialej mocy i swoich nowych mo<sup>3</sup>liwoœciach, których do koñca nie rozumia<sup>3</sup>.

Nigdy wcześniej nie doświadczy<sup>3</sup> tak szczególnego stanu umy-s<sup>3</sup>u, nie potrafi<sup>3</sup> więc dobrać s<sup>3</sup>ów ani tym bardziej obrazów, żeby to dobrze wyjaśnić Jilly. Gdy na moment odwróci<sup>3</sup> wzrok od pu-stej drogi, dr<sup>3</sup>ych k<sup>3</sup>ębów roelin i cemi<sup>3</sup>aj<sup>3</sup>ych ciem, natych-miast wyczyta<sup>3</sup> z jej miny, że Jilly przeżywa dok<sup>3</sup>adnie to samo.

Mogli powiedzieć za Dorotk<sup>1</sup> z „Czarnoksi<sup>3</sup>ęnika z Krainy Oz”: „Nie jesteśmy już w Kansas, Toto”. Nie byli też w Kra-inie Oz, gdzie wszystko <sup>3</sup>atwo przewidzieć, ale p<sup>3</sup>ynęli przez <sup>3</sup>ewiat, gdzie na pewno czeka<sup>3</sup>y na nich większe cuda niż drogi z <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>tej ceg<sup>3</sup>y albo szmaragdowe miasta i straszniejsze rzeczy niż <sup>3</sup>e wied<sup>3</sup>my i lataj<sup>3</sup>ce ma<sup>3</sup>py.

O przedni<sup>1</sup> szyb<sup>3</sup> pacn<sup>3</sup>a <sup>3</sup>ema, zostawiaj<sup>3</sup>c na szkle brudno-szar<sup>1</sup> plam<sup>3</sup>e, jak poca<sup>3</sup>unek cemi<sup>3</sup>erci.

18 Magnetyczny biegun Ziemi mo<sup>3</sup>e w jed-nej chwili zmieniać po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie, jak wed<sup>3</sup>ug teorii niektórych naukowców dzie<sup>3</sup>o się nieraz w przesz<sup>3</sup>oeci, i glob zacznie się obracać w zupe<sup>3</sup>nie innej p<sup>3</sup>aszczy<sup>3</sup>nie, co spowoduje katastro-falne zmiany na powierzchni planety. Strefy podzwrotnikowe w mgnieniu oka ogarnie arktyczny mróz, a w Miami zaskocze-ni emeryci o delikatnych cia<sup>3</sup>ach b<sup>3</sup>ed<sup>1</sup> musieli walczyć o prze-trwanie w temperaturze sięgaj<sup>3</sup>cej stu stopni poni<sup>3</sup>żej zera, w bu-rzach ceni<sup>3</sup>nych sypi<sup>3</sup>ych ostrymi jak ig<sup>3</sup>y kryszta<sup>3</sup>kami lodu, twardymi jak szk<sup>3</sup>o. Od ogromnych napi<sup>3</sup>e tektonicznych kon-tyenty zaczn<sup>1</sup> się wyginać, p<sup>3</sup>ekać i sk<sup>3</sup>adać jak papier. Oceany zmieni<sup>1</sup> się w gigantyczne fale, wyst<sup>1</sup>pi<sup>1</sup> z brzegów i zwal<sup>1</sup> się na Góry Skaliste, Andy i Alpy. Powstan<sup>1</sup> nowe oceany <sup>3</sup>eródl<sup>1</sup>dowe i nowe <sup>3</sup>ańcuchy górskie. Z wulkanów bluzn<sup>1</sup> wielkie p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>ce morza ziemskiej esencji. Cywilizacja zniknie, zgin<sup>1</sup> miliardy lu-dzi, a przed nielicznymi garstkami ocala<sup>3</sup>ych stanie niewdzi<sup>3</sup>ecz-ne zadanie sformowania plemion my<sup>3</sup>eliwych i zbieraczy.

Przez ostatni<sup>1</sup> godzin<sup>3</sup> programu Parish Lantern rozmawia<sup>3</sup> ze s<sup>3</sup>uchaczami z ca<sup>3</sup>ego kraju o prawdopodobieństwie zmiany po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enia bieguna w ci<sup>1</sup>gu najbliż<sup>3</sup>szych pi<sup>3</sup>ędziesięciu lat. Dylan i Jilly milczeli, zbyt zaabsorbowani rozmyślaniami o swoich nie-dawnych prze<sup>3</sup>yciach, s<sup>3</sup>uchali więc Lanterna, jad<sup>3</sup>c na p<sup>3</sup>noc pustynn<sup>1</sup> autostrad<sup>1</sup>. Na widok bezludnego pustkowia mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o dojeść do wniosku, że kataklizm planetarny poch<sup>3</sup>on<sup>13</sup> już ca<sup>3</sup>1 cywilizacj<sup>3</sup>e, ale równocześnie odnosi<sup>3</sup>o się wrażenie, że Zie-mia nie zmieni<sup>3</sup>a się od wieków.

- Zawsze s<sup>3</sup>uchasz tego faceta? - spyta<sup>3</sup> Jilly Dylan. - Nie codziennie, ale do<sup>3</sup>e często.

Cud, że nie masz nastrojów samobójczych.

Jego programy zwykle nie s<sup>1</sup> o zag<sup>3</sup>adzie. Przede wszystkim mówi<sup>1</sup> o podró<sup>3</sup>ach w czasie, rzeczywistoeci alternatywnej, <sup>3</sup>yciu po cemi<sup>3</sup>erci, o tym, czy mamy dusze...

Shep wci<sup>3</sup> czyta<sup>3</sup> Dickensa, darowuj<sup>3</sup>c pisarzowi pewn<sup>1</sup> form<sup>3</sup>e <sup>3</sup>ycia po cemi<sup>3</sup>erci. W radiu planeta nadal p<sup>3</sup>eka<sup>3</sup>a, p<sup>3</sup>on<sup>3</sup>a, ton<sup>3</sup>a, unicestwia<sup>3</sup>a ludzk<sup>1</sup> cywilizacj<sup>3</sup>e i wi<sup>3</sup>kszoc<sup>3</sup>e fauny, t<sup>3</sup>pi<sup>3</sup>c <sup>3</sup>ycie jak zaraz<sup>3</sup>e.

Kiedy czterdzieci minut po zje<sup>3</sup>dzie z autostrady między-stanowej dotarli do Safford, Shepherd powiedział<sup>3</sup>:

Od dzie tylko frytki jadam, zapominam o owadach... By<sup>3</sup>e mo<sup>3</sup>e przysz<sup>3</sup>a pora zatrzyma<sup>3</sup>e się i opracowa<sup>3</sup>e plan dzie<sup>3</sup>ania, a mo<sup>3</sup>e nie przemyśleli jeszcze do końca swojej sytu-acji, aby snu<sup>3</sup>e jakiegokolwiek plany, w ka<sup>3</sup>dym razie Dylan i Shep powinni wst<sup>1</sup>pi<sup>1</sup>e gdzie<sup>3</sup>e na kolacj<sup>3</sup>e, której nie jedli. A Jilly mia<sup>3</sup>a ochot<sup>3</sup>e na drinka.

- Najpierw musimy zmieniać tablice rejestracyjne-rzek<sup>3</sup> Dy-lan. -- Kiedy ustal<sup>1</sup>, że cadillac by<sup>3</sup> twój, zaczn<sup>1</sup> ci<sup>3</sup>e szukać, sprawdza pokój za pokojem. I kiedy się dowiedz<sup>1</sup>, że da<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>e no-g<sup>3</sup>e, a Shep i ja nie zostalibyśmy na noc, chociaż zap<sup>3</sup>acilibyśmy, mo-g<sup>1</sup> skojarz<sup>3</sup>e, że jesteśmy razem.

- Nie ma <sup>3</sup>adnego „mog<sup>1</sup>”. Skojarz<sup>1</sup> na pewno.

- W ksi<sup>1</sup>ce meldunkowej motelu jest marka, model i nu-mer rejestracyjny samochodu. Mo<sup>3</sup>emy przynajmniej zmieniać tablice i chociaż trochę utrudniać im po<sup>3</sup>ecig.

Dylan zaparkowa<sup>3</sup> forda na cichej ulicy w dzielnicy mieszka-niowej, ze skrzynki z narzędziami wzi<sup>13</sup> <sup>3</sup>erubokr<sup>3</sup>ety i szczypce,

po czym wyruszy<sup>3</sup> na poszukiwania tablic z Arizony. Na podje<sup>3</sup>dzie przy wiejskim cedrowym domu o wyblak<sup>3</sup>ych, podniszczo-nych <sup>3</sup>ecianach, przed którym ros<sup>3</sup>a zwi<sup>3</sup>da trawa, znalaz<sup>3</sup> pika-pa. Tablice odkr<sup>3</sup>ci<sup>3</sup> bez problemów.

Podczas kradzie<sup>3</sup>y serce wali<sup>3</sup>o mu jak szalone. Poczucie wi-ny wydawa<sup>3</sup>o się niewsp<sup>3</sup>mierne do czynu, ale twarz pali<sup>3</sup>a go ze wstydu na my<sup>3</sup>el, że kto<sup>3</sup>e móg<sup>3</sup>by go przy<sup>3</sup>apać.

Z przyw<sup>3</sup>aszczonymi tablicami Dylan okr<sup>1</sup>ęcy<sup>3</sup> miasto i za-trzyma<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e na pustym o tej porze parkingu przed szko<sup>1</sup>. Kryj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>e w cieniu, zamieni<sup>3</sup> swoje kalifornijskie numery na tablice z Arizony.

- Przy odrobinie szcz<sup>3</sup>ęcia - powiedzia<sup>3</sup>: siadaj<sup>1</sup>c za kierow-nic<sup>1</sup>-w<sup>3</sup>acciciel pikapa zauważy brak tablic dopiero jutro.

- Nie cierpi<sup>3</sup>e polegaa na szcz<sup>3</sup>ęciu - odrzek<sup>3</sup>a Jilly. - Nie mia<sup>3</sup>am go w ęcyu za duęo.

- Od dzie tylko frytki jadam - przypomnia<sup>3</sup> im Shep.

Kilka minut p<sup>3</sup>yniej, parkuj<sup>1</sup>c forda przed przylegaj<sup>1</sup>c do motelu restauracj<sup>1</sup>, Dylan powiedzia<sup>3</sup>:

- Pokaż mi swój znaczek. Plakietk<sup>3</sup>e z ęab<sup>1</sup>.

Jilly odpi<sup>3</sup>aa od bluzki ucemiechniętego p<sup>3</sup>aza, ale zawaha<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e przez chwil<sup>3</sup>e.

- Po co<sup>3</sup> ?

- Nie bój si<sup>3</sup>e. Na pewno nie zareaguj<sup>3</sup>e tak jak na tamten. To si<sup>3</sup>e juę nie powtórzy.

- No dobrze, a jeęeli nie?- niepokoi<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e. W odpowiedzi poda<sup>3</sup> jej kluczyki.

Jilly niech<sup>3</sup>ętnie wymieni<sup>3</sup>a znaczek za kluczyki.

Trzymaj<sup>1</sup>c kciuk na obrazku z ęab<sup>1</sup> i palec wskazuj<sup>1</sup>cy z ty-lu znaczka, Dylan poczu<sup>3</sup> mrowienie ęladu psychicznego wi<sup>3</sup>ecej nię jednej osoby, moęe odciski babci Marjorie przykryte odci-skami Jillian Jackson, ale ęaden z nich nie wywo<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup> w nim im-pulsu, który kaza<sup>3</sup> mu gna<sup>3</sup>e do domu przy Alei Eukaliptusowej. Wrzucaj<sup>1</sup>c znaczek do pojemnika na ęmieci, rzek<sup>3</sup>:

- Nic. Albo prawie nic. Nie zareagowa<sup>3</sup>em wtedy na sam znaczek. Wyczu<sup>3</sup>em tylko... zblięaj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>e ęmieraa Marjorie. Czy to w og<sup>3</sup>ole ma sens<sup>3</sup> ?

-- Tylko w Mieęecie ęwirów, w którym chyba zamieszkalicemy. - Chodęmy na tego twojego drinka - powiedzia<sup>3</sup>:

- Na dwa.

Kiedy szli przez parking do drzwi restauracji, Shep kroczy<sup>3</sup> mi<sup>3</sup>ędzy nimi. Trzyma<sup>3</sup> przed sob<sup>1</sup> „Wielkie nadzieje” i czyta<sup>3</sup> w ęwietle lampki na baterie.

Dylan zastanawia<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e wcz<sup>3</sup>ęniej, czy nie zabra<sup>3</sup>e mu księki, ale Shepherd miał tego wieczoru mn<sup>3</sup>stwo przeęyaa. Jego porz<sup>1</sup>-dek dnia zosta<sup>3</sup> zak<sup>3</sup>ócony, co zwykle budzi<sup>3</sup>o w nim g<sup>3</sup>ęboki nie-pokój. Na domiar z<sup>3</sup>ego w cięgu kilku godzin przeęy<sup>3</sup> wi<sup>3</sup>ecej nię przez ostatnie dziesi<sup>3</sup>e lat, a Shepherd O'Conner zwykle nie po-trafi<sup>3</sup> sobie radzi<sup>3</sup>e z nadmiarem wraa<sup>3</sup>eñ.

Jego odporno<sup>3</sup>aa na bodęce konwersacyjne przechodzi<sup>3</sup>a cię-k<sup>1</sup> prób<sup>3</sup>e na wystawach sztuki, gdy zbyt wielu nieznanymych zwraca<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e bezpo<sup>3</sup>rednio do niego, cho<sup>3</sup>e nigdy ęadnemu z nich nie odpowiada<sup>3</sup>. B<sup>3</sup>yskawice i grzmoty, a nawet zbyt g<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ony szum ulewy podczas burzy przekracza<sup>3</sup>y granice jego tolerancji na ha<sup>3</sup>as, co cz<sup>3</sup>ęsto grozi<sup>3</sup>o atakiem paniki.

Zwaęywszy na jego zwykle zachowanie wobec codziennych wraa<sup>3</sup>eñ, to rzeczywi<sup>3</sup>cie prawdziwy cud, ęe Shep nie wpad<sup>3</sup> w pa-nik<sup>3</sup>e w motelu, nie zwin<sup>13</sup> si<sup>3</sup>e ze strachu jak stonoga na widok p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cego cadillaca, a podczas brawurowej jazdy do domu Mar-jorie nie piszcza<sup>3</sup> z przeraęenia ani nie rwa<sup>3</sup> sobie w<sup>3</sup>osów z g<sup>3</sup>owy.

Na wzburzonym morzu dzisiejszych doznañ jego tratw<sup>1</sup> ra-tunkow<sup>1</sup> sta<sup>3</sup>y si<sup>3</sup>e „Wielkie nadzieje”

Dickensa. ęciskaj<sup>1</sup>c kur-czowo księk<sup>3</sup>e, potrafi<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e przekona<sup>3</sup>e, ęe jest bezpieczny, i móg<sup>3</sup> zapomnie<sup>3</sup>e o brutalnym naruszeniu spokoju codzienno<sup>3</sup>eci, po-zostaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>uchym i ęelepym na nacieraj<sup>1</sup>c na niego groęnie fale bodęców zewn<sup>3</sup>ętrznych.

Jednymi z oznak upo<sup>3</sup>ęedzenia Shepa by<sup>3</sup>y niezr<sup>3</sup>eczne ruchy i s<sup>3</sup>aba koordynacja fizyczna, ale mimo ęe szed<sup>3</sup>, nie przerywaj<sup>1</sup>c czytania, wcale nie zacz<sup>13</sup> stawia<sup>3</sup>e sztywnych kroków ani po-w<sup>3</sup>óczyaa nogami.

Dylan mia<sup>3</sup> wraa<sup>3</sup>enie, ęe gdyby jego brat napo-tka<sup>3</sup> po drodze schody, pokona<sup>3</sup>by wszystkie stopnie, ani na chwil<sup>3</sup>e nie odk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c dzie<sup>3</sup>a Dickensa.

Przed wej<sup>3</sup>ciem do restauracji nie czeka<sup>3</sup>y na nich ęadne schod-ki, lecz kiedy Dylan dotkn<sup>13</sup> drzwi, poczu<sup>3</sup> na d<sup>3</sup>oni i opuszkach palców przep<sup>3</sup>yw energii psychicznej i omal nie pu<sup>3</sup>eci<sup>3</sup> klamki.

Co<sup>3</sup> ?- spyta<sup>3</sup>a czujnie Jilly.

Coc<sup>3</sup>e, do czego b<sup>3</sup>ed<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e musia<sup>3</sup> przyzwyczaia<sup>3</sup>. - W nadnatu-ralnych ęladach na klamce niewyraęnie wyczuwa<sup>3</sup> wiele r<sup>3</sup>óżnych osobowo<sup>3</sup>eci, jak na<sup>3</sup>oęone na siebie warstwy wysch<sup>3</sup>ego potu mn<sup>3</sup>stwa d<sup>3</sup>oni. Restauracja zdawa<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e cierpie<sup>3</sup>e na rozdwojenie jaęni, jak gdyby wbrew prawom fizyki jedno wn<sup>3</sup>ętrze zajmowa<sup>3</sup>y równo-cz<sup>3</sup>ęenie ekskluzywny lokal i tani bar, szcz<sup>3</sup>ęeliwie nie powoduj<sup>1</sup>c katastrofalnej

eksplozji. Boksy obite czerwonym skóropodobnym materia<sup>3</sup>em i krzes<sup>3</sup>a z takiego samego tworzywa z chromowanymi nogami niebezpiecznie zestawiono ze sto<sup>3</sup>ami z prawdziwego mahoni. Kosztowne żyrandole z ciętego szkła rzuca<sup>3</sup>y pryzmatyczne światło nie na puszysty dywan, ale na twardo zmywalną podłogę z drewnopodobnego winylu. Kelnerzy i kelnerki byli ubrani w czarne garnitury, nakrochmalone białe koszule i eleganckie wskie krawatki wiązane na kokardę; ich pomocnicy pałali się między stolikami w zwykłych ubraniach, odróżniając się od innych tylko idiotycznymi spiczastymi czapczkami z papieru i skwaszonymi minami.

Pora kolacji dawno już minęła, toteż w restauracji zajęta była tylko jedna trzecia stolików. Klienci siedzieli przyjemnie rozleniwieni przy deserach, trunkach i kawie, pogrzeni w przyciszonych, swobodnych rozmowach. Niewielu z nich zwróciło uwagę na Shepa, który idąc między Jilly a Dylaniem, pozwolił kelnerce zaprowadzić się do boks i ani na chwilę nie oderwał oczu od otwartej książki. W restauracji Shep rzadko siadał przy oknie, ponieważ nie lubił, kiedy „patrzyli na niego ludzie w środku i ludzie z zewnątrz”. Dylan poprosił o boks oddalony od okien i usiadł po jednej stronie stołu obok swojego brata, naprzeciw Jilly.

Jilly wyglądała na niezwykle wypoczętą, wzięwszy pod uwagę, co przeszła - i wyjątkowo spokojną jak na kobietę, której życie zostało postawione do góry nogami, a przyszłość stanowiła zagadkę, jak można by jedynie oglądać, wrócić z fusów w ciemnym pokoju. Jilly nie miała pospolitej urody, ale tak, która dobrze znosi upływ czasu i przetrzyma wiele prób, zachowując blask i kolor jak dobra tkanina po wielokrotnym praniu.

Gdy Dylan wziął menu, które podała przed nim kelnerka, wzdygnął się, jakby dotknął lodu, i natychmiast odłożył kartę na stół. Poprzedni klienci pozostawili na plastikowej okładce żywą warstwą emocji, pragnień, nadziei i tęsknot, która układała go jak wyładowanie elektryczne o wiele silniejsze niż tamto na kłamece.

Kiedy skręcili z międzystanowej na północ, powiedział Jilly o odczuciach psychicznych. Teraz dziewczyna pojeżdża w lot, dlatego odłożył menu.

- Przeczytam ci -- powiedział.

Dylan stwierdził, że przygląda się Jilly z tak wielką przyjemnością, że kilka razy musiał się napomnieć w duchu, by uważnie słuchać recytowanej przez nią listy saatek, zup, kanapek i przystawek. Widok jej twarzy przynosił mu ukojenie byle jakie, jak w „Wielkich nadziejach” znalazł Shep.

Przyglądając się czytającej głośno Jilly, Dylan podłożył dłoń na okładce menu. Po doświadczeniu przy drzwiach wejściowych, tak jak się spodziewał - początkowo gwałtowna lawina wrażeń szybko zmieniła się w płynny spokojnie strumyk. Zauważył też, że świadomie potrafi stłumiać do końca te osobliwe doznania.

Informując go o ostatniej pozycji w karcie dań, Jilly uniosła głowę, zobaczyła dłoń Dylana na plastikowej okładce i zorientowała się, że pozwolił jej czytać tylko po to, aby móc otworzyć się na nią gapiąc, bez obawy, że napotka jej spojrzenie. Siedział po jej minie, miała mieszane odczucia co do wyniku obserwacji, lecz przynajmniej częściowo odpowiedział uroczym, choć trochę niepewnym ucieszeniem.

Zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, do stolika wróciła kelnerka. Jilly poprosił o butelkę sierra nevady. Dylan zamówił kolację dla Shepa i siebie z prośbą, aby danie dla Shepa przyniosła pięć minut przed jego talerzem.

Shepherd nadal czytał: „Wielkie nadzieje” leżały na stole, lampka była wyznaczona. Zgarbiony nad książką, pochylał twarz dziesięć cali nad kartką, choć nie miał kłopotów ze wzrokiem. Gdy obok niego stała kelnerka, Shep odczytał tekst i poruszał ustami, dając w ten sposób subtelnie do zrozumienia, że jest zajęty i niegrzeczności z jej strony byłyby zwrócenie się do niego.

Ponieważ obok nich nie siedzieli żadni goście, Dylan mógł swobodnie mówić o sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Jilly, sowa to twoja specjalność, prawda? - Chyba można tak powiedzieć.

- Co to znaczy „psychotropowy”? - Dlaczego o to pytasz?

Frankenstein użył tego słowa. Mówi, że szprycy w strzykawce ma działanie psychotropowe.

Nie podnosząc oczu znad książki, Shep powiedział:



- Psychotropowy. Wp³ywaj¹cy na procesy psychiczne, za-chowanie lub percepcjê. Psychotropowy.  
- Dziêkujê, Shep.

- Leki psychotropowe. Órodki uspokajaj¹ce, psycholeptycz-ne, przeciwd depresyjne. Leki psychotropowe.

Jilly pokrêci³a g³ow¹.

Nie s¹dzê, ¿eby ten dziwny eliksir by³ którymœ z nich.

- Órodki psychotropowe - objaœnia³ dalej Shep. - Opium, morfina, heroina, metadon. Barbiturany, meprobromat. Amfe-tamina, kokaina. Meskalina, marihuana, LSD, piwo Sierra Ne-vada. Órodki psychotropowe.

- Piwo to nie narkotyk - poprawi³a go Jilly. - Prawda? Wci¹¿ œledz¹c wzrokiem linijki tekstu Dickensa, Shep zda-wa³ siê czytaæ na g³os:

- Psychotropowe œrodki odurzaj¹ce i pobudzaj¹ce. Piwo, wino, whisky. Kofeina. Nikotyna.

Psychotropowe œrodki odurzaj¹ce i pobudzaj¹ce.

Jilly wpatrywa³a siê w niego, nie wiedz¹c, jak ma rozumieæ tê wyliczankê.

- Przeoczone - rzek³ Shep z gorycz¹. - Psychotropowe œrodki odurzaj¹ce wziewne. Klej, rozpuszczalniki, olej przek³adnio-wy. Psychotropowe œrodki odurzaj¹ce wziewne. Przeoczone.

Przepraszam.

- Gdyby to by³ narkotyk w tradycyjnym rozumieniu - ode-zwa³ siê Dylan -- s¹dzê, ¿e Frankenstein u¿y³by tego s³owa. Nie nazywa³by go z uporem „szpryc¹”, jak gdyby nie istnia³o inne okreœlenie. Poza tym narkotyki z czasem przestaj¹ dzia³aæ. A on wyraŹnie da³ mi do zrozumienia, ¿e to g³ównie daje trwa³y efekt.

Zjawi³a siê kelnerka z piwem Sierra Nevada dla Jilly i Dyla-na oraz szklank¹ coca-coli bez lodu. Dylan rozpakowa³ s³omkê i w³o¿y³ do napoju brata.

Shepherd pi³ tylko przez s³omkê, ale nie obchodzi³o go, czy papierow¹, czy z plastiku. Lubi³ zimn¹ colê, ale nie tolerowa³ p³ywaj¹cego w niej lodu. Z jakiegoœ powodu, znanego tylko samemu Shepherdowi, cola, s³omka i lód w jednej szklance ura-¿a³y go.

Unosz¹c oszronion¹ szklankê piwa, Dylan rzek³: - Za psychotropowe œrodki odurzaj¹ce.

- Z wyj¹tkiem œrodków wziewnych -- uœciœli³a Jilly.

Na zimnym szkle wyczu³ lekko dr¿¹ce œlady energii: pozo-stawione zapewne przez obs³ugê w kuchni i na pewno kelnerkê. Kiedy zmusi³ siê, by nie reagowaæ na psychiczne odciski, mro-wienie zniknê³o.

Odzyskiwa³ panowanie nad sob¹.

Jilly stuknê³a butelk¹ o jego szklankê i ³apczywie poci¹gnê³a ³yk.

- Nie ma dok¹d jechaæ, zgadza siê? - Oczywiście, ¿e jest dok¹d jechaæ. - Tak? A dok¹d?

- No, na pewno nie do Phoenix. To nie by³oby rozs¹dne. Masz wystêp w Phoenix, wiêc na pewno bêd¹ ciê tam szukaæ, ¿eby siê dowiedzieæ, dlaczego Frankenstein mia³ twój samo-chód, bêd¹ chcieli zbadaæ ci krew.

- Faceci w chevroletach.

Mo¿e inni faceci w innych samochodach, ale na pewno bêd¹ mieli zwi¹zek z tamtymi.

- Kim w ogóle mogli byæ ci kretyni"? Szpiegami tajnych s³u¿b? Agentami niejawnego oddzia³u policji? Agresywnymi do-mokr¹¿nymi sprzedawcami czasopism`?

-- Chyba ¿adna z tych mo¿liwoœci nie wchodzi w grê. Ale niekoniecznie musieli byæ Ýli.

- Wyszadzili w powietrze mój samochód.

- Jak móg³bym zapomnieæ. Ale wysadzili go tylko dlatego, ¿e w œrodku siedzia³ Frankenstein. A on na pewno by³ z³y.

- To, ¿e wysadzili w powietrze z³ego goœcia, wcale nie zna-czy, ¿e sami s¹ dobrzy - zauwa¿y³a Jilly. - Czasem Ýli goœcie wysadzaj¹ w powietrze innych z³ych goœci.

- Bardzo czêsto -- zgodzi³ siê. - Ale ¿eby unikn¹æ wysadza-nia, musimy omin¹æ Phoenix.

-- Omin¹æ i dok¹d pojechaæ?

- Mo¿e powinniemy siê trzymaæ mniejszych autostrad, ru-szyæ na pó³noc do jakiegoœ pustego i du¿ego miejsca, od które-go nie zaczêliby poszukiwañ, mo¿e do Skamienia³ego Lasu. Moglibyœmy tam byæ w ci¹gu kilku godzin.

- Mówisz, jakby to były wakacje. A ja mam na myśli całe swoje życie. Dokąd mam iść?  
- Skupiasz się na zbyt dalekiej perspektywie obrazu. Nie rób tego - poradzi<sup>3</sup>. - Dopóki nie będziemy wiedzieć więcej o swojej sytuacji, bez sensu jest skupiać się na dalekiej perspektywie - poza tym to przygnębiaj<sup>1</sup>ce.

- To na czym mam się skupiać? Na bliskiej perspektywie? -- Wzanie tak.

Znow pociągnę<sup>3</sup>a<sup>3</sup>yk piwa.

- A co jest w bliskiej perspektywie? - Przeżycie najbliższej nocy.

- Zdaje się, że bliska perspektywa jest tak samo przygnębiająca jak daleka.

- Ależ nie. Musimy się tylko zasyć w jakimś bezpiecznym miejscu i pomyśleć.

Kelnerka przyniosła kolację Shepherda.

Dylan złoży<sup>3</sup> zamówienie, kierując się gustem brata i bratowocci<sup>1</sup>, z jak<sup>1</sup> mógł<sup>3</sup> dostosować danie do kulinarnych upodobań Shepa.

- Z punktu widzenia Shepa -- powiedzia<sup>3</sup> - kształt jest ważniejszy od smaku. Lubi kwadraty i prostokąty, nie lubi kół i krągocci.

Na środku talerza leżały dwa owalne plastry klopsa w sosie. Nożem i widelcem Shepa Dylan odkroił<sup>3</sup> brzegi obu plasterków, nadając im prostokątny kształt. Następnie, odkładając skrawki na talerz z pieczywem, każdy kawałek pokroił<sup>3</sup> na małe kwadraty swobodnie mieszczące się w ustach.

Gdy wziął<sup>13</sup> sztucze, poczuł<sup>3</sup> na metalu wibrowanie celadów psychicznych, ale znow zdołał<sup>3</sup> je wyciszyć i potrafił<sup>3</sup> nie zwracać na nie uwagi.

Frytki nie miały twardych końcówek, ale ukośne. Dylan szybko podcinał<sup>3</sup> końce, nadając każdej frytce kształt prostokąta. - Shep zje te kawałki - wyjaśnił<sup>3</sup>, układając zociste okrawki obok odmienionych frytek - ale tylko oddzielnie.

Marchewka została już pokrojona w kostkę, nie stanowiła więc problemu. Dylan musiał<sup>3</sup> jednak oddzielić od niej groszek, pognieść i uformować z masy kwadratowe kawałki mieszczące się na widelcu.

Zamiast bulki zamówił<sup>3</sup> chleb. Trzy krawędzie każdej kromki były proste; czwarta pokręglą. Dylan odkroił<sup>3</sup> półksiężycowe skórki i odłożył<sup>3</sup> na cieciki klopsa.

- Na szczęście z masą nie ulepili kulek. - Zdjął<sup>13</sup> folię z trzech kawałków masą i postawił<sup>3</sup> je na sztorc obok chleba. - Gotowe.

Gdy Dylan podsunął<sup>13</sup> mu talerz, Shepherd odłożył<sup>3</sup> księżkę. Wziął<sup>13</sup> podane sztucze i zaczął<sup>13</sup> jeceć swe geometryczne danie z taką samą uwagą, z jaką czytał<sup>3</sup> Dickensa.

- Tak jest przy każdym posiłku? - spytała Jilly.

- Prawie przy każdym. Do każdego jedzenia stosuje się inne reguły.

- Co by się stało, gdybyś nie robił<sup>3</sup> takich korowodów?

- To nie są korowody. Po prostu... porządkowanie chaosu. Shep lubi porządek.

- A gdybyś postawił<sup>3</sup> przed nim jedzenie tak, jak je podali, i powiedział<sup>3</sup> „Jedź”?

- Nie tknęł<sup>13</sup>by go - zapewnił<sup>3</sup> ją Dylan.

- W końcu by zgłodniał<sup>3</sup>.

- Nie. Przy każdym posiłku, dzień po dniu, odwracał<sup>3</sup>by się od jedzenia, dopóki nie zemdleł<sup>3</sup>by z powodu obniżonego poziomu cukru we krwi.

Przyglądając mu się z miną, z której Dylan wolał<sup>3</sup> wyczytać współczucie zamiast litoci, Jilly powiedziała<sup>3</sup>:

- Chyba nieczęsto umawiasz się z dziewczynami, co? Odpowiedział<sup>3</sup> jej wzruszeniem ramion.

- Chcę jeszcze jedno piwo - oświadczyła Jilly, gdy kelnerka przyniosła Dylanowi kolację.

- Prowadź - rzekł<sup>3</sup>, odmawiając drugiej kolejki.

- Zgadza się, ale jeżeli masz prowadzić tak jak dzisiaj, jeszcze jedno piwo może tylko pomóc.

Może miał<sup>3</sup>a rację, może nie, w każdym razie Dylan postanowił<sup>3</sup> ulec pokusie, choć by to zupełnie nie w jego stylu.

- Dwa - powiedział<sup>3</sup> do kelnerki.

Kiedy zabrał<sup>3</sup> się do kurczaka z goframi, anarchicznie lekceważąc kształt i rozmiar każdego kęsa, Jilly rzekła:

- Powiedzmy, że pojedziemy sto mil na północ, zaszyjemy się w jakimś bezpiecznym miejscu i

pomyślimy. O czym w³acœciwie mamy myœleæ - poza tym, ¿e pieprzylicemy siê na dobre?

- Nie b¹dŸ wci¹¿ tak negatywnie nastawiona. Zje¿y³a siê bardziej ni¿ drucziana szczotka.

- Wcale nie jestem negatywnie nastawiona. - Ale nie jesteœ te¿ pogodna jak dalajlama.

- Je¿eli chcesz wiedzieæ, to kiedyœ by³am kompletnym ze-rem, zakompleksionym i zamkniêtym w sobie dzieciakiem. By³am roztrêsona i nieœmia³a, czu³am siê sponiewierana przez ¿y-cie jak nikomu niepotrzebny œmieæ. Mog³am uczyc³ p³ochliwoœci mysz pod miot³¹.

- To chyba by³o bardzo dawno temu.

- Nie postawi³byœ dolara przeciw milionowi na to, ¿e kie-dyœ wyjdê na scenê, a wczœœniej wst¹piê do chóru. Ale mia³am nadziejê, wielk¹ nadziejê i marzy³am, ¿e kiedyœ zostanê kimœ, ¿e bêdê wystêpowaa, i w koñcu sama zniszczy³am w sobie to roz-trêzione dziecko i zaczê³am realizowaæ marzenia.

Wys¹czaj¹c resztkê piwa, pos³a³a Dylanowi piorunuj¹ce spojrzenie znad przechylonej butelki.

- Nie przeczê, ¿e masz poczucie w³asnej wartoœci. Nigdy nie twierdzi³em, ¿e jest inaczej. Nie chodzi mi o twój negatywny sto-sunek do siebie, ale do reszty œwiata.

Popatrzy³a na niego tak, jakby zamierza³a uderzyæ go pust¹ butelk¹, lecz potem odstawi³a j¹ na stó³ i odsunê³a na bok.

- Zgoda. œwiat jest okrutny. I wiêkszoœæ ludzi jest okrutna. Je¿eli uwa¿asz to za negatywne nastawienie, dla mnie to tylko realizm.

- Wielu ludzi jest okrutnych, ale nie wiêkszoœæ. Wiêkszoœæ jest po prostu przera¿ona, samotna albo zagubiona. Nie wie-dz¹, po co siê tu znaleŸli, nie znaj¹ celu ani przyczyny, wiêc ¿y-j¹ na wpó³ martwi.

- A ty pewnie znasz cel i przyczynê.

- Mówisz, jakbyœ uwa¿a³a, ¿e jestem zadowolony z siebie. -- Wcale nie. Jestem po prostu ciekawa, po co twoim zda-niem ¿yjemy.

- Ka¿dy sam musi znaleŸæ odpowiedŸ na w³asny u¿ytek - odpar³ i naprawdê tak myœla³. - A ty j¹ znajdziesz, bo chcesz. - Teraz mówisz jak ktoœ bardzo zadowolony z siebie. - Wy-gl¹da³a, jak gdyby jednak zamierza³a waln¹æ go butelk¹. Shepherd wzi¹³ jeden z trzech kawa³ków mas³a i wpakowa³ sobie do ust.

Jilly skrzywi³a siê, a Dylan wyjaœni³:

- Shep lubi chleb z mas³em, ale nie razem. Ciesz siê, ¿e nie widzisz, jak je kanapkê z kie³bas¹ i majonezem.

- Nie ma dla nas ratunku - powiedzia³a.

Dylan westchn¹³, pokrêci³ g³ow¹ i nie odezwa³ siê.

- ZejdŸ na ziemiê, dobrze? Je¿eli zaczn¹ do nas strzelaæ, we-d³ug jakich regu³ Shepa bêdziemy uchylaæ siê od kul? Zawsze uchylaæ siê w lewo, nigdy w prawo. Mo¿na kluczyæ, ale nie mo¿-na robiæ uników - chyba ¿e jest dzieñ tygodnia, który ma w na-zwie „t”, wtedy mo¿na robiæ uniki, ale nie mo¿na kluczyæ. Jak szybko Shep mo¿e bieç, czytaj¹c, i co siê stanie, kiedy spróbu-jesz mu zabraæ ksi¹¿kê?

- Na pewno tak nie bêdzie - rzek³, Dylan, ale wiedzia³, ¿e Jilly ma racjê.

Nachyli³a siê nad sto³em, œciszy³a g³os, ale wymawia³a dobitnie ka¿de s³owo.

- Dlaczego nie? S³uchaj, musisz przyznaæ, ¿e nawet gdyby-cemy wdepnêli w to tylko my dwoje, mielibyœmy szansê jak ktoœ zje¿d¿aj¹cy w szklanych butach po wysmarowanym t³uszczem zboczu. A ze stuszeœadzieœciofuntowym ¿uj¹cym mas³o kamie-niem m³yñskim u szyi - jakie mamy szansê?

- Shep nie jest kamieniem m³yñskim-powiedzia³ z uporem Dylan.

Jilly zwróci³a siê do Shepherdza:

- Skarbie, nie obraŸ siê, ale jeœli chcemy mieæ jak¹œ nadzie-jê na wyjœcie z tego ca³o wszyscy troje, musimy spojrzeæ praw-dzie w oczy. Je¿eli bêdziemy siê ok³amywaa, koniec z nami. Mo¿e nie potrafisz nic na to poradziaæ, ¿e jesteœ m³yñskim ka-mieniem, ale mo¿e potrafisz, a jeœli potrafisz, musisz z nami wspó³pracowaæ.

- Shep i ja zawsze tworzylicemy zgrany zespó³ - oznajmi³ Dylan.

- Zespó³? Te¿ mi zespól. Gdybyœcie startowali w wyœcigu w workach, prêdziej czy póŸniej worek znalaz³by siê na czyjeœ g³owie.

- Nie jest dla mnie ciê¿arem...

- Nawet tak nie mów - przerwa<sup>3</sup>a mu. - Nie wa<sup>3</sup> się tak mó-wiać, O'Conner, nie wa<sup>3</sup> się, ty stuknięty, nabuzowany nadzieją i pozytywnym myśleniem dumnie.

Nie jest dla mnie cię<sup>3</sup>arem, jest...

- ...twoim bratem, genialnym idiot<sup>1</sup>-dokończy<sup>3</sup>a za niego. Cierpliwie i spokojnie Dylan wyjaśni<sup>3</sup>:

- Nie. Genialny idiota jest psychicznie upośledzony i mimo niskiego ilorazu inteligencji ma wyjątkowy talent w jednej dziedzinie, na przykład umie b<sup>3</sup>yskawicznie rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne albo grać na k<sup>3</sup>ładym instrumencie muzycznym, kiedy go tylko weźmie do ręki. Shep ma wysoki iloraz inteligencji i jest wyjątkowy pod niejednym względem. Cierpi tylko na... rodzaj autyzmu.

- Nie ma dla nas ratunku - powtórzy<sup>3</sup>a.

Shepherd przeżywa<sup>3</sup> z entuzjazmem następ<sup>1</sup> porcję mas<sup>3</sup>a, ca<sup>3</sup>y czas spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c w swój talerz z odleg<sup>3</sup>ości dziesięciu cali, jak gdyby znalaz<sup>3</sup> cel życia, a celem tym by<sup>3</sup> kłops.

## 19

Ilekroć otwiera<sup>3</sup> się drzwi i wchodzi<sup>3</sup> kolejny gość, Dylan tę<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. Niemożliwe,

żeby tamci tak szybko ich namierzili. A jednak...

Kelnerka przynios<sup>3</sup>a piwo, a Jilly, pokrzepiwszy się sporym<sup>3</sup> łykiem zimnej sierra nevady, powiedział<sup>3</sup>a:

- No więc, zaszyjemy się gdzieś w Skamienia<sup>3</sup>ym Lesie i... jak mówi<sup>3</sup>ecie? Ze pomyślimy?

- Pomyślimy - potwierdzi<sup>3</sup> Dylan.

- Niby o czym, z wyjątkiem rozwiązania zagadki, jak przeży<sup>3</sup>ać?

- Moż<sup>3</sup>e wykombinujemy, jak namierzyć Frankensteina. - Zapomnia<sup>3</sup>ecie, że nie żyje?

-- Chodzi mi o to, kim byt, zanim go zabili.

- Nie znamy nawet nazwiska z wyjątkiem tego, które sami mu nadaliśmy.

- Ale wszystko wskazuje na to, że by<sup>3</sup> naukowcem. Prowadzi<sup>3</sup> badania medyczne. Opracowywa<sup>3</sup> ośrodki psychotropowe, szpryce czy jak to nazwiemy, mamy więc słowo kluczowe. Naukowcy pisz<sup>1</sup> referaty, artykuły do czasopism, prowadz<sup>1</sup> wykład<sup>3</sup>ady. Zostawiaj<sup>1</sup> trop.

- Syp<sup>1</sup> za sob<sup>1</sup> ziarenka intelektualne.

- W<sup>3</sup>acenie. Jeżeli się postaram, moż<sup>3</sup>e sobie przypomnę, co jeszcze mówi<sup>3</sup> ten<sup>3</sup> ajdak w pokoju motelowym, znajdę jeszcze jakieś słowo kluczowe. Znaj<sup>1</sup>c słowo kluczowe, będziemy mogli zajrzeć do Internetu i wyszukać badaczy pracujących nad usprawnianiem funkcjonowania mózgu i podobnymi sprawami. - Nie jestem specem od techniki - rzek<sup>3</sup>a Jilly. - A ty?

- Też nie. Ale takie poszukiwania nie wymagaj<sup>1</sup> wiedzy technicznej, tylko cierpliwości. Nawet w tych nudnych czasopismach naukowych drukuj<sup>1</sup> czasem zdjęcia swoich współpracowników i jeżeli Frankenstein by<sup>3</sup> jednym z najlepszych w swojej dziedzinie, a wszystko wskazuje na to, że tak, to na pewno poświęcili mu trochę miejsca w gazetach. Gdy znajdziemy zdjęcie, będziemy zna-li nazwisko. Poczytamy o nim i dowiemy się, czym się zajmowa<sup>3</sup>.

- Chyba że jego badania by<sup>3</sup> odciełały tajne jak Projekt Man-hattan albo receptura karmelowo-czekoladowych ciastek Oreo.

- Znowu zaczynasz.

- Jeżeli nawet znajdziemy o nim szczegółowe informacje - powiedział<sup>3</sup>a - co z nimi zrobimy?

- Moż<sup>3</sup>e istnieje jakiś sposób, żeby cofn<sup>1</sup>ać to, co nam zrobi<sup>3</sup>. Jakieś antidotum.

- Antidotum. Co - mamy wrzucić do wielkiego kot<sup>3</sup>a żabie języki, skrzydła nietoperzy i oczy jaszczurek, i ugotować z broku<sup>3</sup>ami?

- Oto i nasza Negatywnie Nastawiona Jackson, krynica pesymizmu. Wiesz, ci goście z DC Comics powinni stworzyć no-wego bohatera, wzoruj<sup>1</sup>c się na tobie. Dzisiaj s<sup>1</sup> w modzie po-nurzy i sk<sup>3</sup>onni do depresji bohaterowie.

- Ty za to jesteś ca<sup>3</sup>y z komiksu Disneya. Szczeboczesz s<sup>3</sup>odziutko jak Chip i Dale.

Zgarbiony nad jedzeniem Shep, ubrany w koszulkę z wizerunkiem kojota, parskn<sup>13</sup> zduszonym cieniem albo dlatego, że spodoba<sup>3</sup> mu się żart o Disneyu, albo dlatego, że rozbawi<sup>3</sup> go pozostały na talerzu kłops.

Shepherd nie zawsze by<sup>3</sup> tak nieobecny, jakby się mog<sup>3</sup>o wydawać.

- Chodzi mi o to - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan -- ζe jego praca mog<sup>3</sup>a wy-wo<sup>3</sup>aæ kontrowersje. Możliwe, ζe inni naukowcy byli przeciwni jego badaniom. Któryœ z nich zrozumie, co nam zrobi<sup>3</sup>-i mo-ζe zechce nam pomóc.

- Tak - odrzek<sup>3</sup>a Jilly. - I kiedy trzeba bêdzie zdobyæ pie-ni<sup>1</sup>dze na sfinansowanie badañ, zawsze moζemy dostaæ parê miliardów od twojego wujka Sknerusa McKwacza.

- Masz lepszy pomys<sup>3</sup>?

Przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a mu siê, popijaj<sup>1</sup>c piwo. Jeden <sup>3</sup>yk, drugi. - Tak myœla<sup>3</sup>em - powiedzia<sup>3</sup>.

PóŹniej, gdy kelnerka przynios<sup>3</sup>a rachunek, Jilly nalega<sup>3</sup>a, ζe zap<sup>3</sup>aci za dwa piwa, które zamówi<sup>3</sup>a.

Z jej zachowania Dylan wysnu<sup>3</sup> wniosek, ζe p<sup>3</sup>acenie za sie-bie to dla niej kwestia honoru. Co wiêcej, podejrzewa<sup>3</sup>, ζe Jilly odmówi<sup>3</sup>aby przyjêcia nawet piêciu centów do parkometru rów-nie katerycznie jak dziesiêciu dolarów plus napiwek.

Po<sup>3</sup>oζywszy banknot dziesiêciodolarowy na stole, przeliczy<sup>3</sup>a zawartoœæ portfela. Liczenie nie wymaga<sup>3</sup>o ani czasu, ani zna-jomoœci wyζszej matematyki.

- Bêdê musia<sup>3</sup>a znaleŹæ bankomat i wyci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>aê trochê pie-niêdzy.

- Nie ma mowy - odrzek<sup>3</sup>. - Ci, którzy wysadzili twój samo-chód - jeζeli maj<sup>1</sup> jakiegokolwiek powi<sup>1</sup>zania z organami œcigania, a pewnie maj<sup>1</sup>, bez trudu wytropi<sup>1</sup> kartê. I to szybko.

- To znaczy, ζe nie mogê teζ korzystaæ z kart kredytowych? W kaζdym razie przez jakieœ czas.

To mam duζy k<sup>3</sup>opot - mruknê<sup>3</sup>a, wpatruj<sup>1</sup>c siê ponuro w otwarty portfel.

- Wcale nie taki duζy w porównaniu z reszt<sup>1</sup> naszych k<sup>3</sup>o-potów.

- K<sup>3</sup>opoty z pieniêdźmi - œwiadczy<sup>3</sup>a z powag<sup>1</sup> - nigdy nie s<sup>1</sup> ma<sup>3</sup>e.

Z tego zdania Dylan odczyta<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>e rozdzia<sup>3</sup>y jej autobiogra-fii - te dotycz<sup>1</sup>ce dzieciñstwa.

Chociaζ nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, ζe œcigaj<sup>1</sup>cy ich ludzie mog<sup>1</sup> skojarzyæ jego i Shepa z Jilly, postanowi<sup>3</sup> nie korzystaæ teζ ze swoich pla-stikowych pieniêdzy. Gdyby restauracja wprowadzi<sup>3</sup>a jego kar-tê do czytnika swojego terminalu, transakcjê zarejestrowa<sup>3</sup>oby centrum rozliczeniowe. Kaζdy legalny organ ochrony prawa -lub utalentowany, pracuj<sup>1</sup>cy za brudne pieni<sup>1</sup>dze haker, moni-toruj<sup>1</sup>cy system z polecenia s<sup>1</sup>du b<sup>1</sup>dŹ potajemnie - móg<sup>3</sup>by za pomoc<sup>1</sup> specjalnego programu namierzyæ wybran<sup>1</sup> osobê na-tychmiast po dokonaniu zakupu za pomoc<sup>1</sup> karty kredytowej.

P<sup>3</sup>ac<sup>1</sup>c gotówk<sup>1</sup>, Dylan zdziwi<sup>3</sup> siê, ζe nie wyczuwa ζadnej tajemniczej energii na pieni<sup>1</sup>dzach, które musia<sup>3</sup>y przejœæ przez mnóstwo r<sup>1</sup>k, zanim kilka dni temu trafi<sup>3</sup>y do niego w banku.

Oznacza<sup>3</sup>o to zapewne, ζe w przeciwieñstwie do odcisków pal-ców œlady psychiczne z czasem znikaj<sup>1</sup>.

Powiedzia<sup>3</sup> kelnerce, ζeby zatrzyma<sup>3</sup>a resztê i zabra<sup>3</sup> Shepa do ubikacji, tymczasem Jilly skierowa<sup>3</sup>a kroki do damskiej toalety.

- Siku - powiedzia<sup>3</sup> Shep, gdy tylko znaleŹli siê w <sup>3</sup>azience i zobaczy<sup>3</sup>, gdzie jest. Po<sup>3</sup>oζy<sup>3</sup> ksi<sup>1</sup>êkê na pó<sup>3</sup>ce nad umywalka-mi. - Siku.

- Wybierz sobie kabinê - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Chyba wszystkie s<sup>1</sup> wolne.

- Siku - powiedzia<sup>3</sup> Shep, gdy z opuszczon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, patrz<sup>1</sup>c spod œci<sup>1</sup>gniêtych brwi i pow<sup>3</sup>ócz<sup>1</sup>c nogami, wszed<sup>3</sup> do pierwszej kabiny. Zamykaj<sup>1</sup>c drzwi na zasuwkê, powtórzy<sup>3</sup>: - Siku.

Przy jednej z umywalk my<sup>3</sup> rêce zaζywny siedemdziesiêcio-kilkuletni mêtczyzna z siwym w<sup>1</sup>sem i bokobrodami. W powie-trzu unosi<sup>3</sup> siê pomarañczowy zapach myd<sup>3</sup>a.

Dylan zbli<sup>1</sup>y<sup>3</sup> siê do pisuaru. Shep nie móg<sup>3</sup> skorzystaæ z pi-suaru, poniewaζ ba<sup>3</sup> siê, ζe ktoœ siê do niego odezwie, gdy bêdzie niedysponowany.

- Siku - wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Shep zza drzwi kabiny. - Siku.

W kaζdej publicznej toalecie Shepherd czu<sup>3</sup> siê nieswojo i musia<sup>3</sup> utrzymywaæ sta<sup>3</sup>y kontakt g<sup>3</sup>osowy z bratem, by mieæ pewnoœæ, ζe nie zosta<sup>3</sup> porzucony.

- Siku - odezwa<sup>3</sup> siê znowu z coraz wiêszym zdenerwowa-niem. - Dylan, siku. Dylan, Dylan. Siku!

- Siku - odrzek<sup>3</sup> Dylan.

„Siku” dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o podobnie jak dŹwiêk wysy<sup>3</sup>any przez sonar okrêtu podwodnego, a odpowiedŹ Dylana przypomina<sup>3</sup>a sygna<sup>3</sup> echolokacyjny odbity od dobrze znanego i przyjaznego statku w groŹnych g<sup>3</sup>êbinach mêtskiej ubikacji.

- Siku - powiedzia<sup>3</sup> Shep.

- Siku - odrzek<sup>3</sup> Dylan.

W lustrzanej ościeżnicy nad pisuarami Dylan obserwowa<sup>3</sup> re-akcjê emeryta na ich s<sup>3</sup>owny sonar.

- Siku, Dylan.

- Siku, Shepherd.

Zdziwiony Pan z Bokobrodami spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> w konsternacji to na zamknięt<sup>1</sup> kabinê, to na Dylana, jak gdyby dzia<sup>3</sup>o siê tu coœ nie tylko zagadkowego, ale i perwersyjnego.

- Siku.

- Siku.

Gdy Pan z Bokobrodami zorientowa<sup>3</sup> siê, ¿e Dylan na niego patrzy, kiedy ich spojrzenia spotka<sup>3</sup>y siê w lustrze, emeryt szybko odwróci<sup>3</sup> wzrok. Zakrêci<sup>3</sup> kran, nie sp<sup>3</sup>ukuj<sup>1</sup>c z d<sup>3</sup>oni pachn<sup>1</sup>-cej pomarańczami piany.

- Siku, Dylan.

- Siku, Shepherd.

Z palcami ociekaj<sup>1</sup>cymi mydlem i rozbryzguj<sup>1</sup>c opalizuj<sup>1</sup>ce tęczowo bańki, które opada<sup>3</sup>y wolno na pod<sup>3</sup>ogê, emeryt pod-szed<sup>3</sup> do automatu na ościeżnicę i wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> z niego kilka papiero-wych ręczników. W koñcu w kabinie rozleg<sup>3</sup> siê odg<sup>3</sup>os silnego strumienia.

- Dobrze siku - powiedzia<sup>3</sup> Shep.

- Dobrze siku.

Nie zwracaj<sup>1</sup>c sobie g<sup>3</sup>owy wycieraniem namydlonych r<sup>1</sup>k, mêt<sup>1</sup>czyzna wypad<sup>3</sup> z toalety z narêczem papierowych ręczników. Dylan podszed<sup>3</sup> do innej umywalki, z której nie korzysta<sup>3</sup> emeryt - gdy nagle przyszed<sup>3</sup> mu do g<sup>3</sup>owy pewien pomys<sup>3</sup>. Zmieni<sup>3</sup> zamiar i siêgn<sup>13</sup> do automatu z ręcznikami.

- Siku, siku, siku - powtarza<sup>3</sup> zadowolony Shep z ulg<sup>1</sup> w głosie.

- Siku, siku, siku - powtórzy<sup>3</sup> jak echo Dylan, wracaj<sup>1</sup>c z ręcznikiem do umywalki emeryta.

Przykrywaj<sup>1</sup>c papierowym ręcznikiem d<sup>3</sup>oñ, dotkn<sup>13</sup> kranu, który przed chwil<sup>1</sup> zakrêci<sup>3</sup> Pan z Bokobrodami. Nic. Ąadnego wibrowania. Ąadnego elektrycznego trzasku.

Dotkn<sup>13</sup> baterii go<sup>31</sup> rêk<sup>1</sup>. Poczuj<sup>3</sup> silne wibracje i pr<sup>1</sup>d. Jeszcze raz przez papier. Znow<sup>3</sup> nic.

A wiêc koniecznym warunkiem by<sup>3</sup> bezpoœredni kontakt skóry. Mo¿e niekoniecznie d<sup>3</sup>oni. Mo¿e wystarczy<sup>3</sup>oby pos<sup>3</sup>u¿yæ siê <sup>3</sup>okciem. Albo stopami. Przysz<sup>3</sup>o mu do g<sup>3</sup>owy wiele nie-dorzecznych i komicznych mo¿liwoœci.

- Siku. Siku.

Dylan energicznie wytar<sup>3</sup> kran ręcznikiem, usuwaj<sup>1</sup>c mydli-ny i wodê pozostawione na uchwycie przez emeryta.

Potem znow<sup>3</sup> dotkn<sup>13</sup> kranu go<sup>31</sup> rêk<sup>1</sup>. Psychiczny œlad star-szego pana nie straci<sup>3</sup> ani trochê swojej si<sup>3</sup>y.

- Siku. -- Siku.

Wszystko wskazywa<sup>3</sup>o na to, ¿e niewidzialnej energii nie da<sup>3</sup>o siê zetrzeæ tak <sup>3</sup>atwo jak odcisków palców, ale sama stopnio-wo ulatnia<sup>3</sup>a siê jak paruj<sup>1</sup>cy rozpuszczalnik.

Dylan umy<sup>3</sup> rêce przy innej umywalce. Osusza<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie przy automacie z ręcznikami, gdy z czwartej kabiny wyszed<sup>3</sup> She-pherd i podszed<sup>3</sup> do umywalki, przy której przed momentem sta<sup>3</sup> jego brat.

- Siku - powiedzia<sup>3</sup> Shepherd. - Przecie¿ ju¿ mnie widzisz.

- Siku - powtórzy<sup>3</sup> z uporem Shep, odkrêcaj<sup>1</sup>c wodê.

- Stojê tu.

- Siku.

Nie daj<sup>1</sup>c siê wci<sup>1</sup>gn<sup>1æ</sup> w zabawê w sonar, gdy widzieli siê nawzajem, Dylan wrzuci<sup>3</sup> zmiête ręczniki do kub<sup>3</sup>a i czeka<sup>3</sup>. W g<sup>3</sup>owie zacz<sup>13</sup> mu wirowaæ ró¿nobarwny k<sup>31</sup>b dziwacz-nych myœli jak gigantyczny <sup>3</sup>adunek kolorowego prania w auto-matycznej suszarce. Wœród nich by<sup>3</sup>a taka, ¿e Shep wszed<sup>3</sup> do pierwszej kabiny, a wyszed<sup>3</sup> z czwartej.

- Siku.

Dylan podszed<sup>3</sup> do czwartej kabiny. Drzwi by<sup>3</sup>y uchylone, wiêc pchn<sup>13</sup> je ramieniem.

Kabiny by<sup>3</sup>y oddzielone od siebie przepierzeniami, które koñczy<sup>3</sup>y siê dwanaœcie albo czternaœcie cali nad pod<sup>3</sup>og<sup>1</sup>. She-pherd móg<sup>3</sup> siê przeczo<sup>3</sup>gaæ z pierwszej do czwartej kabiny pod przepierzeniami.

Mo¿liwe, choæ wysoce nieprawdopodobne.

- Siku - powtórzy<sup>3</sup> Shep, lecz z mniejszym entuzjazmem, niechêtnie dochodz<sup>1</sup>c do wniosku, ¿e brat nie

będzie już uczestniczy<sup>3</sup> w wymianie sygnałów.

Do czystości Shep podchodzi<sup>3</sup> z tak<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> skrupulatnością<sup>1</sup>, jak do geometrycznego porz<sup>1</sup>dku swoich posi<sup>3</sup>ków i mia<sup>3</sup> usta-lon<sup>1</sup> procedurę dnia<sup>3</sup> po wyj<sup>3</sup>ciu z toalety, od której nigdy nie odst<sup>3</sup>powo<sup>3</sup>: energicznie szorowa<sup>3</sup> ręce myd<sup>3</sup>em, dok<sup>3</sup>adnie sp<sup>3</sup>u-kiwa<sup>3</sup>, a potem jeszcze raz szorowa<sup>3</sup> i sp<sup>3</sup>ukiwa<sup>3</sup>. Istotnie, kiedy Dylan spojrz<sup>3</sup> na niego, Shep przyst<sup>3</sup>epowa<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie do drugie-go szorowania. Ch<sup>3</sup>opaka szczególnie niepoko<sup>3</sup>y warunki higieniczne w to-aletach publicznych. Nawet najlepiej utrzymanym sanitariatom przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e z paranoidaln<sup>1</sup> podejrzliwo<sup>3</sup>ci<sup>1</sup>, pewien, że na po-wierzchniach k<sup>3</sup>ębi<sup>1</sup> si<sup>3</sup>e wszystkie znane choroby i takie, któ-rych jeszcze nie odkryto. Po lekturze Encyklopedii Medycyny Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego Shep potrafi<sup>3</sup> wyrecytowa<sup>3</sup> listę niemal wszystkich znanych chorób i infekcji, jeceli tylko kto<sup>3</sup> by<sup>3</sup> na tyle lekkomy<sup>3</sup>elny, aby go o to poprosi<sup>3</sup>.. Móg<sup>3</sup>by spe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup> proce<sup>3</sup>bę, gdyby akurat by<sup>3</sup> sk<sup>3</sup>onny kontaktowa<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e ze <sup>3</sup>ewiatem zewn<sup>3</sup>trznym, a ten, kto go poprosi<sup>3</sup>, mia<sup>3</sup>by kil-ka godzin do dyspozycji, bo gdyby Shep zacz<sup>13</sup> nie da<sup>3</sup>oby si<sup>3</sup>e już mu przerwa<sup>3</sup>.

Po drugim sp<sup>3</sup>ukaniu d<sup>3</sup>onie Shepa by<sup>3</sup>y czerwone od mocne-go szorowania i gor<sup>1</sup>cej wody, od której strumienia wczesniej a<sup>3</sup> sykn<sup>13</sup>. Ale wytrzyma<sup>3</sup>. Pami<sup>3</sup>etaj<sup>1</sup>c o przebieg<sup>3</sup>ych i <sup>3</sup>miertel-nie niebezpiecznych mikroorganizmach przyczajonych na chro-mowanym uchwycie, Shepherd zamkn<sup>13</sup> kran<sup>3</sup>okciem.

Dylan nie wyobra<sup>3</sup>a<sup>3</sup> sobie sytuacji, w której Shep po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>-by si<sup>3</sup>e na brzuchu na pod<sup>3</sup>odze toalety i jak w<sup>1</sup>ę przepe<sup>3</sup>z<sup>3</sup>by pod rz<sup>3</sup>dem przepierze<sup>3</sup>ń dziel<sup>1</sup>cych kabiny. W<sup>3</sup>aceciwie by<sup>3</sup>o to tak samo prawdopodobne jak wizyta szatana w sklepie sportowym, gdzie diabe<sup>3</sup> wybra<sup>3</sup>by si<sup>3</sup>e po <sup>3</sup>y<sup>3</sup>wy. Poza tym czarna koszulka Shepa wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a nieskazitelnie. Na pewno nie wyciera<sup>3</sup> ni<sup>1</sup> pod<sup>3</sup>ogi. Trzymaj<sup>1</sup>c ręce uniesione wysoko jak chirurg czekaj<sup>1</sup>cy, a<sup>3</sup> piel<sup>3</sup>gniarka na<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y mu lateksowe r<sup>3</sup>ekawiczki, Shep podsze<sup>3</sup> do automatu z r<sup>3</sup>ecznikami. Czeka<sup>3</sup>, aby brat przekr<sup>3</sup>ci<sup>3</sup> ga<sup>3</sup>k<sup>3</sup>e dozownika, której sam za nic nie dotkn<sup>13</sup>by czystymi r<sup>3</sup>ekami.

- Nie wszed<sup>3</sup>ec<sup>3</sup> czasem do pierwszej kabiny? -zapyta<sup>3</sup> Dylan. Z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> jak zwykle nie<sup>3</sup>emia<sup>3</sup>o opuszczon<sup>1</sup>, ale tak<sup>3</sup>e odro-bin<sup>3</sup>e przechylon<sup>1</sup> na bok, <sup>3</sup>eby widzie<sup>3</sup> automat z r<sup>3</sup>ecznikami, Shepherd spojrz<sup>3</sup> ze zmarszczonymi brwiami na uchwyt i po-wiedzia<sup>3</sup>:

- Zarazki.

- Shep, kiedy tu weszli<sup>3</sup>emy, nie posze<sup>3</sup>ec<sup>3</sup> prosto do pierw-szej kabiny?

- Zarazki.

- Shep?

- Zarazki.

- Przesta<sup>3</sup>ñ, bracie. Pos<sup>3</sup>uchaj mnie.

- Zarazki.

- Daj spok<sup>3</sup>ój, Shep. Mo<sup>3</sup>esz mnie pos<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>?

- Zarazki.

Dylan wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> kilka r<sup>3</sup>eczników, oderwa<sup>3</sup> od perforowanej rolki i podał bratu.

- A potem wysze<sup>3</sup>ec<sup>3</sup> z czwartej kabiny, zgadza si<sup>3</sup>e? Patrz<sup>1</sup>c spode <sup>3</sup>ba na swoje ręce i wycieraj<sup>1</sup>c je zawzi<sup>3</sup>ecie, za-miast je po prostu osuszy<sup>3</sup>, Shep powiedzia<sup>3</sup>:

- Tu.

- Co powiedzia<sup>3</sup>ec<sup>3</sup>?

- Tu.

- Jeste<sup>3</sup>emy tu, o co chodzi, braciszku?

- Tu - powt<sup>3</sup>rzy<sup>3</sup> z wysi<sup>3</sup>kiem Shep, jak gdyby wk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> w to s<sup>3</sup>owo sporo emocji.

- Czego chcesz, braciszku? Shep zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.

- Tu.

- Co tu? - spyta<sup>3</sup> Dylan, domagaj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>e wyja<sup>3</sup>cenienia, cho<sup>3</sup> wiedzia<sup>3</sup>: <sup>3</sup>e raczej go nie uzyska.

- Tam - powiedzia<sup>3</sup>: Shep.

- Tam?

- Tam - przytakn<sup>13</sup> Shep, kiwaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>y czas jednak wpatruj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>e we w<sup>3</sup>asne ręce i ci<sup>1</sup>gle dr<sup>3</sup>ic.

- Gdzie - tam?

- Tu. - W jego głosie dal się s<sup>3</sup>yszeæ ton zniecierpliwienia. - O czym w ogóle mówimy, bracie?
- Tu.
- Tu - powtórzy<sup>3</sup> Dylan.
- Tam - rzek<sup>3</sup> Shep, a to, co z pocz<sup>1</sup>tku brzmia<sup>3</sup>o jak znie-cierpliwienie, zmieni<sup>3</sup>o się w nutê niepokoju. Próbuj<sup>1</sup>c go zrozumieæ, Dylan powiedzia<sup>3</sup>: - Tu, tam.
- Tu, t-t-tam -- powtórzy<sup>3</sup> Shep, wzdrygaj<sup>1</sup>c się. - Shep, co się dzieje? Shep, boisz się?
- Boisz - potwierdzi<sup>3</sup> Shep. - Tak. Boi się. Tak. - Czego się boisz, bracie?
- Shep się boi. - Czego?
- Shep się boi - powiedzia<sup>3</sup>: dygocz<sup>1</sup>c jeszcze mocniej. - Shep się boi.
- Dylan po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ręce na ramionach brata.
- Spokojnie, tylko spokojnie. Wszystko w porz<sup>1</sup>dku, Shep. Nie ma się czego baæ. Jestem przy tobie, braciszku.
- Shep się boi. - Odwrócona twarz ch<sup>3</sup>opca zblad<sup>3</sup>a, przy-bieraj<sup>1</sup>c barwê duchów, które móg<sup>3</sup> zobaczyć.
- Masz czyste ręce, bez ¼adnych zarazków, jesteemy tu tyl-ko my dwaj i nie ma się czego baæ. S<sup>3</sup>yszysz?
- Shep nie odpowiedzia<sup>3</sup>, tylko dalej dygota<sup>3</sup>.
- Uciekaj<sup>1</sup>c się do œpiewnego tonu, którym najczêœciej uda-wa<sup>3</sup>o mu się uspokoiaæ brata, gdy ten bywa<sup>3</sup> bardzo wzburzony, Dylan powiedzia<sup>3</sup>:
- Masz bardzo czyste ręce, bez paskudnych zarazków, bar-dzo czyste ręce. Teraz musimy iœæ, musimy ruszaæ w drogê. Dobrze? PojeŸdzimy. Dobrze? Lubisz jeŸdziaæ, znowu bêdziemy jeŸdziaæ do miejsc, w których nigdy nie by<sup>3</sup>œe, dobrze? Znowu bê-dziemy razem jechaæ jak Willie Nelson, ty i ja. Bêdziemy jechaæ
- Po drugim sp<sup>3</sup>ukaniu d<sup>3</sup>onie Shepa by<sup>3</sup>y czerwone od mocne-go szorowania i gor<sup>1</sup>cej wody, od której strumienia wczœniej a<sup>3</sup> sykn<sup>13</sup>. Ale wytrzyma<sup>3</sup>. Pamiêtaj<sup>1</sup>c o przebieg<sup>3</sup>ych i œmiertel-nie niebezpiecznych mikroorganizmach przyczajonych na chro-mowanym uchwycie, Shepherd zamkn<sup>13</sup> kran<sup>3</sup>okciem.
- Dylan nie wyobra<sup>3</sup> sobie sytuacji, w której Shep po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>-by się na brzuchu na pod<sup>3</sup>odze toalety i jak w<sup>1</sup>¼ przepe<sup>3</sup>z<sup>3</sup>by pod rzêdem przepierzeñ dziel<sup>1</sup>cych kabiny. W<sup>3</sup>œciwie by<sup>3</sup>o to tak samo prawdopodobne jak wizyta szatana w sklepie sportowym, gdzie diabe<sup>3</sup> wybra<sup>3</sup>by się po <sup>3</sup>y<sup>1</sup>wy. Poza tym czarna koszulka Shepa wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a nieskazitelnie, Na pewno nie wyciera<sup>3</sup> ni<sup>1</sup> pod<sup>3</sup>ogi. Trzymaj<sup>1</sup>c ręce uniesione wysoko jak chirurg czekaj<sup>1</sup>cy, a<sup>3</sup> pielêgniarka na<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y mu lateksowe rêkawiczki, Shep podszed<sup>3</sup> do automatu z rêcznikami. Czeka<sup>3</sup>, aby brat przekrêci<sup>3</sup> ga<sup>3</sup>kê dozownika, której sam za nic nie dotkn<sup>13</sup>by czystymi rêkami.
- Nie wszed<sup>3</sup>œe czasem do pierwszej kabiny? - zapyta<sup>3</sup> Dylan. Z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> jak zwykle nieœmia<sup>3</sup>o opuszczon<sup>1</sup>, ale tak<sup>3</sup>e odro-binê przechylon<sup>1</sup> na bok, ¼eby widzieæ automat z rêcznikami, Shepherd spojrz<sup>3</sup> ze zmarszczonymi brwiami na uchwyt i po-wiedzia<sup>3</sup>:
- Zarazki.
- Shep, kiedy tu weszliemy, nie poszed<sup>3</sup>œe prosto do pierw-szej kabiny?
- Zarazki. - Shep? - Zarazki.
- Przestañ, bracie. Pos<sup>3</sup>uchaj mnie. - Zarazki.
- Daj spokój, Shep. Mo<sup>3</sup>esz mnie pos<sup>3</sup>uchaæ? - Zarazki.
- Dylan wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> kilka rêczników, oderwa<sup>3</sup> od perforowanej rolki i poda<sup>3</sup> bratu.
- A potem wyszed<sup>3</sup>œe z czwartej kabiny, zgadza się? Patr<sup>1</sup>c spode <sup>3</sup>ba na swoje ręce i wycieraj<sup>1</sup>c je zawziêcie, za-miast je po prostu osuszyæ, Shep powiedzia<sup>3</sup>:
- Tu.
- Co powiedzia<sup>3</sup>œe? - Tu.
- Jesteemy tu, o co chodzi, braciszku?
- Tu - powtórzy<sup>3</sup> z wysi<sup>3</sup>kiem Shep, jak gdyby wk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> w to s<sup>3</sup>owo sporo emocji.
- Czego chcesz, braciszku? Shep zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.
- Tu.



- Co tu? - spyta<sup>3</sup> Dylan, domagaj<sup>1</sup>c siê wyjaczenia, choæ wiedzia<sup>3</sup>, ¿e raczej go nie uzyska.

- Tam - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - Tam?

- Tam - przytakn<sup>13</sup> Shep, kiwaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, ca<sup>3</sup>y czas jednak wpatruj<sup>1</sup>c siê we w<sup>3</sup>asne rêce i ci<sup>1</sup>gle dr<sup>1</sup>c.

- Gdzie - tam?

- Tu. - W jego g<sup>3</sup>osie da<sup>3</sup> siê s<sup>3</sup>yszeæ ton zniecierpliwienia. - O czym w ogóle mówimy, bracie?

- Tu.

- Tu - powtórzy<sup>3</sup> Dylan.

- Tam - rzek<sup>3</sup> Shep, a to, co z pocz<sup>1</sup>tku brzmia<sup>3</sup>o jak znie-cierpliwienie, zmieni<sup>3</sup>o siê w nutê niepokoju. Próbuj<sup>1</sup>c go zrozumieæ, Dylan powiedzia<sup>3</sup>: - Tu, tam.

- Tu, t-t-tam - powtórzy<sup>3</sup> Shep, wzdrygaj<sup>1</sup>c siê. - Shep, co siê dzieje? Shep, boisz siê?

- Boisz - potwierdzi<sup>3</sup> Shep. - Tak. Boi siê. Tak. - Czego siê boisz, bracie?

- Shep siê boi. - Czego?

- Shep siê boi - powiedzia<sup>3</sup>, dygocz<sup>1</sup>c jeszcze mocniej. - Shep siê boi.

Dylan po<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> rêce na ramionach brata.

- Spokojnie, tylko spokojnie. Wszystko w porz<sup>1</sup>dku, Shep. Nie ma siê czego baæ. Jestem przy tobie, braciszku.

- Shep siê boi. - Odwrócona twarz ch<sup>3</sup>opca zblad<sup>3</sup>a, przy-bieraj<sup>1</sup>c barwê duchów, które móg<sup>3</sup> zobaczyæ.

- Masz czyste rêce, bez ¿adnych zarazków, jesteemy tu tyl-ko my dwaj i nie ma siê czego baæ. S<sup>3</sup>yszysz?

Shep nie odpowiedzia<sup>3</sup>, tylko dalej dygota<sup>3</sup>.

Uciekaj<sup>1</sup>c siê do æpiewnego tonu, którym najczêœciej uda-wa<sup>3</sup>o mu siê uspokoiaæ brata, gdy ten bywa<sup>3</sup> bardzo wzburzony, Dylan powiedzia<sup>3</sup>:

- Masz bardzo czyste rêce, bez paskudnych zarazków, bar-dzo czyste rêce. Teraz musimy iœæ, musimy ruszaæ w drogê. Dobrze? PojeŹdzimy. Dobrze? Lubisz jeŹdziaæ, znowu bêdziemy jeŹdziaæ do miejsc, w których nigdy nie by<sup>3</sup>œæ, dobrze? Znowu bê-dziemy razem jechaæ jak Willie Nelson, ty i ja.

Bêdziemy jechaæ jak zawsze, przypomnisz sobie ten sam dawny rytm, rytm dro-gi. Bêdziesz móg<sup>3</sup> czytaæ ksi<sup>1</sup>¿kê, czytaæ i jechaæ, czytaæ i jechaæ. W porz<sup>1</sup>dku?

- W porz<sup>1</sup>dku - rzek<sup>3</sup> Shep. - Czytaæ i jechaæ.

- Czytaæ i jechaæ - powtórzy<sup>3</sup> jak echo Shep. Z jego g<sup>3</sup>osu zniknê<sup>3</sup>o napiêcie i niepokój, choæ nadal dr<sup>1</sup>a<sup>3</sup>. - Czytaæ i jechaæ. Gdy Dylan zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> w koñcu uspokoiaæ brata, Shep wci<sup>1</sup>¿ wy-ciera<sup>3</sup> rêce z tak<sup>1</sup> energi<sup>1</sup>, ¿e podar<sup>3</sup> rêczniki na strzêpy. Na pod-<sup>3</sup>odze pod jego stopami wala<sup>3</sup>y siê poszarpane i zmiête kawa<sup>3</sup>ki wilgotnego papieru.

Dylan æciska<sup>3</sup> rêce Shepa, dopóki nie przesta<sup>3</sup>y siê trz<sup>1</sup>œæ. Po-tem delikatnie otworzy<sup>3</sup> jego zaciœniête palce i wyj<sup>13</sup> z nich ¿a<sup>3</sup>o-sne resztki rêczników. Zwin<sup>13</sup> strzêpki w kulê i wrzuci<sup>3</sup> do kub<sup>3</sup>a na œmieci.

Ujmuj<sup>1</sup>c Shepa za podbródek, lekko uniós<sup>3</sup> jego g<sup>3</sup>owê.

W chwili gdy ich spojrzenia skrzy¿owa<sup>3</sup>y siê, Shep zamkn<sup>13</sup> oczy.

- Ju¿ dobrze? - spyta<sup>3</sup> Dylan. - Czytaæ i jechaæ.

- Kocham ciê, Shep. - Czytaæ i jechaæ.

Na blade jak œnieg policzki ch<sup>3</sup>opca powoli wraca<sup>3</sup>y kolory. Œeci<sup>1</sup>gniêta z niepokoju twarz rozluŹnia<sup>3</sup>a siê jak po<sup>3</sup>æ œniegu zdeptana przez wrony wyg<sup>3</sup>adza siê pod wp<sup>3</sup>ywem wiatru.

Mimo ¿e na zewn<sup>1</sup>trz Shep wydawa<sup>3</sup> siê ju¿ zupe<sup>3</sup>nie spokoj-ny, w œrodku wci<sup>1</sup>¿ by<sup>3</sup> roztrzêsony. Zaciœniête oczy drga<sup>3</sup>y pod bladymi powiekami, ogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c œwiat, który widzia<sup>3</sup> tylko on.

- Czytaæ i jechaæ - powtórzy<sup>3</sup> Shep, jakby te trzy s<sup>3</sup>owa sta-<sup>3</sup>y siê mantr<sup>1</sup> przynosz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> mu spokój.

Dylan przyjrza<sup>3</sup> siê rzêdowi kabin. Drzwi czwartej by<sup>3</sup>y otwarte, tak jak je zostawi<sup>3</sup> po sprawdzeniu przepierzeñ. Drzwi dwóch œrodkowych by<sup>3</sup>y uchylone, a pierwszej pozosta<sup>3</sup>y zamk-niête na g<sup>3</sup>ucho.

- Czytaæ i jechaæ-rzek<sup>3</sup> Shep.

- Czytaæ i jechaæ - zapewni<sup>3</sup> go Dylan. - Wezmê twój<sup>1</sup> ksi<sup>1</sup>¿kê.

Zostawiaj<sup>1</sup>c brata pod automatem z rêcznikami, Dylan po-szed<sup>3</sup> zabraæ „Wielkie nadzieje” z pó<sup>3</sup>ki nad umywalkami. Shep sta<sup>3</sup> w tym samym miejscu i ci<sup>1</sup>gle zadziera<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê, choæ Dylan nie unosi<sup>3</sup> mu ju¿

podbródka. Oczy mia<sup>3</sup> zamknięte, ale wci<sup>1</sup> si<sup>e</sup> porusza<sup>3</sup>y.

Z ksi<sup>1</sup> do d<sup>3</sup>oni Dylan zbli<sup>3</sup> si<sup>e</sup> do pierwszej kabiny. Spróbowa<sup>3</sup> otworzy<sup>e</sup> drzwi. Zamknięte.

- Tu, tam - wyszepta<sup>3</sup> Shep. Stoj<sup>1</sup>c z zamkniętymi oczami, opuszczonymi r<sup>e</sup>kami i d<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ni zwróconymi wewn<sup>e</sup>trzn<sup>1</sup> stron<sup>1</sup> do przodu, Shepherd wydawa<sup>3</sup> si<sup>e</sup> zupe<sup>3</sup>nie nieobecny, jak gdy-by by<sup>3</sup> medium w transie, którego cia<sup>3</sup>o w po<sup>3</sup>owie nale<sup>3</sup> do tego <sup>e</sup>wiata, a w po<sup>3</sup>owie do innego. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>, jakby mia<sup>3</sup> za-cz<sup>1</sup>ae lewitowa<sup>e</sup> i gdyby rzeczywicie uniós<sup>3</sup> si<sup>e</sup> w powietrze, nie by<sup>3</sup>oby w tym nic dziwnego. Cho<sup>e</sup> nadal mówi<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asnym g<sup>3</sup>o-sem, wydawa<sup>3</sup>o si<sup>e</sup>, <sup>e</sup> przemawia w imieniu wezwanej z <sup>e</sup>awia-tów istoty.

- Tu, tam.

Dylan wiedzia<sup>3</sup>, <sup>e</sup> w pierwszej kabinie nie ma nikogo. Mimo to przykl<sup>e</sup>kn<sup>13</sup> i zajrza<sup>3</sup> pod drzwi, potwierdzaj<sup>1</sup>c swoje przy-puszczenie.

- Tu, tam.

Wsta<sup>3</sup> i jeszcze raz spróbowa<sup>3</sup> otworzy<sup>e</sup> kabin<sup>e</sup>. Drzwi nie zaci<sup>e</sup>3y si<sup>e</sup>, ale by<sup>3</sup>y zamknięte. Oczywiście, od wewn<sup>1</sup>tr. Mo<sup>e</sup> zepsuta zasuwka. Obluzowa<sup>3</sup>a si<sup>e</sup> i opad<sup>3</sup>a, gdy w ka-binie nikogo nie by<sup>3</sup>o.

A mo<sup>e</sup> Shepherd tylko podszed<sup>3</sup> do pierwszych drzwi i nie mog<sup>1</sup>c ich otworzy<sup>e</sup>, od razu skierowa<sup>3</sup> si<sup>e</sup> do czwartej kabiny, a Dylan tego nie zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>.

- Tu, tam.

Nie poczu<sup>3</sup> ch<sup>3</sup>odu na skórze, ale w szpiku ko<sup>e</sup>ci, sk<sup>1</sup>d lodo-waty strach zacz<sup>13</sup> promieniowa<sup>e</sup> na ca<sup>3</sup>e jego cia<sup>3</sup>o. Nie by<sup>3</sup> to tylko l<sup>e</sup>k; towarzyszy<sup>3</sup>o mu nie do końca nieprzyjemne uczucie napi<sup>e</sup>cia i oczekiwania na tajemnicze zdarzenie, którego nadej-<sup>e</sup>cie odgadywa<sup>3</sup> podobnie jak kr<sup>1</sup>cy pod czarnymi chmurami nawa<sup>3</sup>nik spodziewa si<sup>e</sup> ogromnej burzy, zanim niebo przetnie pierwsza b<sup>3</sup>yskawica i rozlegnie si<sup>e</sup> pierwszy grzmot.

Dylan zerkn<sup>13</sup> w lustro nad umywalkami, przygotowany, <sup>e</sup> ujrz<sup>3</sup> zupe<sup>3</sup>nie inne pomieszczenie. Jednak okaza<sup>3</sup>o si<sup>e</sup>, <sup>e</sup> po-nios<sup>3</sup>a go wyobra<sup>3</sup>nia, poniewa<sup>3</sup> zobaczy<sup>3</sup> tylko odbicie kabin i pisuarów w zwyk<sup>3</sup>ej toalecie. Jedyne postaciami w tym wn<sup>e</sup>-trzu byli on i Shep, cho<sup>e</sup> Dylan sam nie wiedzia<sup>3</sup>, kogo jeszcze mógł<sup>3</sup>by tu zobaczy<sup>e</sup>.

Rzucaj<sup>1</sup>c ostatnie spojrzenie na zamknięt<sup>1</sup> kabin<sup>e</sup>, Dylan wróci<sup>3</sup> do brata i po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> mu d<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ni na ramieniu. Czuj<sup>1</sup>c jego dotyk, Shepherd otworzy<sup>3</sup> oczy, opu<sup>e</sup>ci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>e</sup> i zwiesi<sup>3</sup> ramiona, przyjmuj<sup>1</sup>c z powrotem sw<sup>1</sup> normaln<sup>1</sup> posta-w<sup>e</sup>, w jakiej szed<sup>3</sup> przez <sup>e</sup>ycie.

- Czyta<sup>e</sup> i jecha<sup>e</sup> - powiedzia<sup>3</sup>. - Jedziemy - odrzek<sup>3</sup> Dylan.

## 20 Jilly czeka<sup>3</sup>a w zamy<sup>e</sup>leniu przy kasie nie-daleko drzwi wej<sup>e</sup>ciowych, wpatrywa<sup>3</sup>a si<sup>e</sup> w

ciemno<sup>e</sup>ae za szyb<sup>1</sup>, <sup>e</sup>wietlista jak ksi<sup>e</sup>niczka, by<sup>e</sup> mo<sup>e</sup> wywodz<sup>1</sup>ca si<sup>e</sup> z rodu przystojnego rzymskiego cezara, który odwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup> si<sup>e</sup> podbia<sup>e</sup> po<sup>3</sup>udnio-we wybrze<sup>3</sup>a Wielkiej Syrty.

Dylan omal nie przystan<sup>13</sup> na <sup>e</sup>rodku restauracji, aby zapi-sa<sup>e</sup> sobie w pamie<sup>e</sup>ci ka<sup>3</sup>dy szczegó<sup>3</sup> jej sylwetki w przyt<sup>3</sup>umio-nym blasku rzucanym ukocenie przez <sup>e</sup>yrandole z ci<sup>e</sup>tego szk<sup>3</sup>a, poniewa<sup>3</sup> chci<sup>3</sup>a<sup>3</sup> j<sup>1</sup> kiedy<sup>e</sup> tak<sup>1</sup> namalowa<sup>e</sup>.

Jak w ka<sup>3</sup>dym miejscu publicznym, Shep wola<sup>3</sup> pozosta-wa<sup>e</sup> w ruchu, <sup>e</sup>by <sup>e</sup>aden nieznajomy nie wykorzysta<sup>3</sup> chwili wahania i nie zaczepi<sup>3</sup> go, nie pozwala<sup>3</sup> wi<sup>e</sup>c na <sup>e</sup>aden przy-stanek, a Dylan szed<sup>3</sup> za nim jak przykuty niewidzialnym <sup>3</sup>a<sup>3</sup>-cuchem.

Unosz<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ni do ronda stetsona, wychodz<sup>1</sup>cy klient uchyli<sup>3</sup> uprzejmie kapelusza, dzi<sup>e</sup>kuj<sup>1</sup>c Jilly za przepuszczenie go w drzwiach.

Gdy zobaczy<sup>3</sup>a Dylana i Shepa, wyraz zamy<sup>e</sup>lenia na jej twa-rzy ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> miejsca widocznej uldze.

Podczas ich nieobecno<sup>e</sup>ci co<sup>e</sup> musia<sup>3</sup>o si<sup>e</sup> jej przydarzy<sup>e</sup>.

- Co jest? - spyta<sup>3</sup> Dylan, gdy stan<sup>e</sup>li obok Jilly. - Powiem ci w samochodzie. Chod<sup>3</sup>my ju<sup>3</sup> st<sup>1</sup>d.

Otwieraj<sup>1</sup>c drzwi, Dylan dotkn<sup>13</sup> <sup>e</sup>wie<sup>3</sup>ego <sup>e</sup>ladu na klamce. Poczu<sup>3</sup> przenikliwe uk<sup>3</sup>ucie przyt<sup>3</sup>aczaj<sup>1</sup>cej samotno<sup>e</sup>ci, bez-nadziei i przygn<sup>e</sup>bienia, przera<sup>3</sup>liwej pustki przypominaj<sup>1</sup>cej wypalony i przysypany popio<sup>3</sup>em krajobraz po prze<sup>e</sup>ociu nisz-czycielskiego po<sup>3</sup>aru.

Natychmiast spróbowa<sup>3</sup> odizolowa<sup>e</sup> si<sup>e</sup> od si<sup>3</sup>y niewidzialnego odcisku psychicznego na klamce, tak jak zrobi<sup>3</sup> wczecniej z menu w restauracji. Tym razem jednak nie umia<sup>3</sup> si<sup>e</sup> obronia<sup>e</sup> przed nap<sup>3</sup>ywem

energii.

Nie pamiętaj<sup>1</sup>c, jak przekroczy<sup>3</sup> próg, Dylan znalaz<sup>3</sup> się na-gle na zewn<sup>1</sup>trz i par<sup>3</sup> przed siebie. Od zachodu s<sup>3</sup>ońca minę<sup>3</sup>o już wiele godzin, mimo to w wieczornym powietrzu z asfaltu unosi<sup>3</sup> się izar zgromadzony tam za dnia i wśród kuchennych zapachów dobywaj<sup>1</sup>cych się z otworów wentylacyjnych w dachu restauracji czu<sup>æ</sup> by<sup>3</sup>o woń smo<sup>3</sup>y.

Ogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c się przez ramię, zobaczy<sup>3</sup> stoj<sup>1</sup>cych w otwartych drzwiach Jilly i Shepa, których zostawi<sup>3</sup> już dziesięć stóp za so-b<sup>1</sup>. Po drodze upuści<sup>3</sup> ksi<sup>1</sup>żkê Shepa. Chcia<sup>3</sup> wrócić, podnieść j<sup>1</sup> z jezdn<sup>1</sup>i i zanieść bratu, ale nie mógł<sup>3</sup>.

- Zaczekajcie tu na mnie.

Od auta do auta, jakże si<sup>3</sup>a wci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>a go coraz dalej w g<sup>3</sup> parkingu, nie ka<sup>1</sup>ż<sup>1</sup>c mu wprowadzić pędzi<sup>æ</sup> jak na autostradzie, gdzie niemal w miejscu zawróci<sup>3</sup> forda, ale uświadomiam<sup>1</sup>c mu, że jeżeli nie będzie dzia<sup>3</sup>æ, zaprzęci okazj<sup>æ</sup> zrobienia czegoś bardzo wa<sup>1</sup>znego. Wiedzia<sup>3</sup>, że nie straci<sup>3</sup> panowania nad sob<sup>1</sup> i podświadomie rozumie, co i dlaczego robi, tak jak podświadomie zna<sup>3</sup> swój cel, gdy z determinacj<sup>1</sup> gna<sup>3</sup> na z<sup>3</sup>amanie karku do domu przy alei Eukaliptusowej - ale mimo to czu<sup>3</sup>, jakby prze-stawa<sup>3</sup> nad sob<sup>1</sup> panować.

Tym razem magnesem nie okaza<sup>3</sup>a się starsza kobieta w pr<sup>1</sup>żkowanym uniformie, ale podstarza<sup>3</sup>y kowboj w be<sup>1</sup>o-wych d<sup>1</sup>nsach i batystowej koszuli. Siedzia<sup>3</sup> już za kierownic<sup>1</sup> forda mercury mountaineer, ale Dylan zd<sup>1</sup>ży<sup>3</sup> go powstrzyma<sup>æ</sup> przed zamknięciem drzwi.

W odcisku na kłance odnalaz<sup>3</sup> tę sam<sup>1</sup> bezdenn<sup>1</sup> samotność co wcześniej w celadach w restauracji, przynębienie granicz<sup>1</sup>ce z rozpacz<sup>1</sup>.

Od d<sup>3</sup>ugich lat pracy na powietrzu twarz kowboja wygl<sup>1</sup>da-<sup>3</sup>a jak obci<sup>1</sup>gnięta wyprawion<sup>1</sup> skór<sup>1</sup>, ale s<sup>3</sup>ońce, które wy<sup>1</sup>obi-<sup>3</sup>o i pomarszczy<sup>3</sup>o mu skórę, nie zostawi<sup>3</sup>o w nim ani jednego promienia świat<sup>3</sup>a, a wiatr nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nape<sup>3</sup>nić cia<sup>3</sup>a ężyciem. Wy-palony i wychudzony przypomina<sup>3</sup> mizern<sup>1</sup> roelinę wczepion<sup>1</sup> w ziemię s<sup>3</sup>abym korzeniem i czekaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> na silniejszy podmuch wiatru, który porwie j<sup>1</sup> ze sob<sup>1</sup>, pozbawiaj<sup>1</sup>c ężycia.

Gdy Dylan przytrzyma<sup>3</sup> drzwi, staruszek nie uchyli<sup>3</sup> przed nim kapelusza, jak uczyni<sup>3</sup> przed Jilly, wychod<sup>1</sup>c z restauracji, nie zareagowa<sup>3</sup> też jednak rozdra<sup>1</sup>żeniem ani lękem. Wygl<sup>1</sup>-da<sup>3</sup> na faceta, który zawsze umie sobie poradzić bez względu na naturę zagrożenia i k<sup>3</sup>opotów - ale otacza<sup>3</sup>a go także aura cz<sup>3</sup>o-wieka, który nie bardzo przejmuje się tym, co może nast<sup>1</sup>pić.

- Szuka pan czegoś - powiedzia<sup>3</sup> Dylan, choć nie mia<sup>3</sup> poję-cia, co mówi, dopóki nie us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> własnych s<sup>3</sup>ów; dopiero po-tem mógł<sup>3</sup> zacząć zastanawiać się nad ich znaczeniem.

- Nie potrzebuj<sup>æ</sup> Jezusa, ch<sup>3</sup>opcze - odpar<sup>3</sup> kowboj. - Zna-laz<sup>3</sup>em Go już dwa razy. - Lazurowe oczy poch<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>y więcej świat<sup>3</sup>a, niż mog<sup>3</sup>y go odbić. - I nie potrzebuj<sup>æ</sup> k<sup>3</sup>opotów, ty zreszt<sup>1</sup> też nie.

- Nie czegoś - poprawi<sup>3</sup> się Dylan. - Szuka pan kogoś.

- W taki czy inny sposób może na tak powiedzieć o ka<sup>1</sup>dym, prawda?

- Szuka pan od bardzo dawna - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan, choć nadal nie mia<sup>3</sup> pojęcia, do czego to wszystko prowadzi.

Staruszek spojrze<sup>3</sup> na niego spod zmru<sup>1</sup>zonych powiek ba-dawczym wzrokiem m<sup>1</sup>drego cz<sup>3</sup>owieka, który umie odróżnić prawdę od iluzji.

- Jak się nazywasz, ch<sup>3</sup>opcze? - Dylan O'Conner.

- Nigdy o tobie nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em. Sk<sup>1</sup>d więc możesz mnie znać? - Nie znam pana. Nie wiem, kim pan jest.

Po prostu... - Mimo że wcześniej mówi<sup>3</sup> wbrew własnej woli, teraz nie potra-fi<sup>3</sup> znaleźć własnych s<sup>3</sup>ów. Po chwili wahania uświadomi<sup>3</sup> sobie, że jeżeli maj<sup>1</sup> kontynuować rozmowę, będzie musia<sup>3</sup> uchy-li<sup>æ</sup> r<sup>1</sup>bka prawdy, zdradzić c<sup>1</sup>ęc<sup>æ</sup> swojej tajemnicy. - Widzi pan, czasem mam przeb<sup>3</sup>yski... intuicji.

- Nie licz na ni<sup>1</sup> przy stole pokerowym.

- To nie tylko intuicja. Wiem rzeczy... których nie mogę wiedzieć. Czuj<sup>æ</sup>, wiem i... kojarzę.

- Czyli jesteś kimś w rodzaju spirytysty? - S<sup>3</sup>ucham?

- Jesteś wróżbit<sup>1</sup>, jasnowidzem, medium - kimś takim?

- Być może - odrzek<sup>3</sup> Dylan. - Wszystko zaczę<sup>3</sup>o się bardzo niedawno. Ale nie zarabiam na tym.

Choć zdawa<sup>3</sup>o się, że ta surowa twarz nigdy się nie rozja-œnia, przez jego rysy przemkn<sup>13</sup> lekki zarys

uciemiechu, jak gdyby ktoś próbował nakreślić jego kształt piórkami na powierzchni zniszczonego piaskowca, ale trwało to tak krótko, że mógł być po prostu tikiem.

- Jeżeli zawsze tak zagajasz, dziwi ci się, że nie musisz ludziom tłumaczyć, żeby cię słuchali.

- Słodzi pan, że dotarł na koniec drogi, którą pan szedł. - Dylan znów nie wiedział, co mówi, dopóki nie usłyszał własnych słów. - E pan przegrał. Ale może wcale tak nie jest.

- Mów dalej.

- Może ona jest bardzo niedaleko.

- Ona?

- Nie wiem. Po prostu to poczułem. Ale kimkolwiek ona jest, wie pan, o kim mówię.

Kowboj znowu utkwił badawcze spojrzenie w twarzy Dylana, tym razem z bezlitosną przenikliwością detektywa.

- Odsuń się kawałek. Zrób mi miejsce.

Gdy starszek wysiadł z wielkiego forda, Dylan poszukał spojrzeniem Jilly i Shepa. Od chwili gdy widział ich ostatni raz, oddalili się trochę od drzwi restauracji, ale tylko do miejsca, gdzie Dylan upuścił „Wielkie nadzieje”, które Jilly przed chwilą podniósł. Stał obok Sheparda, rozglądając się czujnie, a jej postawa zdradzała wielkie napięcie, jakby zastanawiała się, czy i tym razem będą mieli do czynienia z nożami.

Popatrzył też w stronę ulicy. Ani ciału czarnych chevroletów. Mimo to miał wrażenie, że przystanek w Safford zbyt blisko przed nim.

- Nazywam się Ben Tanner.

Odwracając się od Jilly i Shepa, Dylan ujrzał przed sobą wyścigówkę kowboja, zniszczoną i pokrytą odciskami. Zawahał się w obawie, że uderzą oni narazi go na kontakt z ogromnym adunkiem przygniatającej samotności i przygnębienia, który wyczuł w odcisku psychicznym Tannera, adunkiem tysiąc razy intensywniejszym w bezpośrednim zetknięciu z jego ręką, po którym mógł osunąć się na kolana.

Nie pamiętał, czy dotykał Marjorie, gdy zastał ją przy kuchennym stole zaćmionym tabletkami, lecz słodzi, że nie. A Kenny'ego? Wymierzwszy mu sprawiedliwym kijem baseballowym, Dylan zaczął od lewego w spodnie wielbiciela kłuczeków od kajdanek i kłódki; wtedy Kenny wyciągnął klucze z kieszeni koszuli i podał Jilly. O ile Dylan sobie przypominał, nie dotknął podłego tchórza.

Każdy ruch w celu uniknięcia ręki Tannera groził zniszczeniem ich kruchej porozumienia, więc Dylan uciął mu dłoń - i stwierdził, że prawie w ogóle nie poczuł emocji, których doznał, dotykając niewidocznych odcisków psychicznych kowboja. Mechanizm szóstego zmysłu okazał się nie mniejszą tajemnicą niż jego źródło.

- Jakże miesiąc temu przyjechałem tu z Wyoming - powiedział Tanner. - Miałem kilka tropów, ale okazały się niewarte funta kłaków.

Dylan wyciągnął rękę, aby dotknąć klamki samochodu Tannera.

- Tęsknię za jednym końcem Arizony na drugi, a teraz wracam do domu i lepiej by było, gdybym się w ogóle stamtąd nie ruszał.

Ze ciału jego psychiki Dylan znów odczytał mapę wypalonej duszy przypominającej kontynent popiołu, ten sam mroczny świat głuchej samotności, z którym zetknął się, wychodząc z restauracji.

Dylan usłyszał własne pytanie, nie formułując go przedtem w myślach:

- Kiedy twoja żona zmarła?

Badawcze spojrzenie Tannera mógł sugerować, że starszek nadal podejrzewa kant, ale trafność pytania podziękował na korzyść Dylana, dając mu większą wiarygodność.

- Emily odeszła osiem lat temu - powiedział Tanner rzeczowym tonem, jakim mówił z jego pokolenia powinni w swoim mniemaniu maskować najgłębsze uczucia, ale mimo zmrużonych powiek lazurów oczy zdradzały jego bezbrzożny smutek.

Wiedząc dzięki tajemniczemu darowi jasnowidzenia, że ona nieznanego nie ujawniła o tym, a nie tylko podejrzewając - dokładnie znalazł spustoszenie, jakiego jej śmierć dokonała w duszy Tannera, Dylan czuł się jak bezczelny intruz myszkuje po najbardziej prywatnych zakamarkach domu ofiary, jak wamywacz, który otworzył pamiętniki i przeczytał o największych tajemnicach ich autorów. Ten

od-rajajcy aspekt jego daru znacznie przeważa radość, którą odczuwa po zwycięskim pojedynku w domu Marjorie, mimo to nie potrafi opanować fali objawień zalewających jego świat-domość.

- Ty i Emily zaczęliście szukać dziewczyny dwanaście lat temu - powiedział Dylan, nie wiedząc, o jakiej dziewczynie mówi ani jaki był cel ich poszukiwań.

Smutek ustąpił miejsca zdumieniu. - Skąd o tym wiesz?

- Powiedziałem „dziewczyny”, ale wtedy miała już trzydzieści osiem lat.

- A dzisiaj pięćdziesiąt - potwierdził Tanner. Przez chwilę wydawało się, że bardziej oszłościła go liczba minionych lat niż fakt, że Dylan tajemniczym sposobem dowiedział się o tym. - Mój Boże, życie porynie.

Dylan puścił klamkę drzwi i znów zaczął iść, przyciśnięty przez nieznaną, ale znacznie potężniejszą niż poprzednio. Dopiero po chwili, jak gdyby po namyśle, zawołał do Tannera: - Tędy - choć nie miał pojęcia, dokąd go prowadzi.

Bez wątpienia rozsłdek podpowiadał staruszkowi, żeby z powrotem wsiał do forda i zamknął drzwi, lecz do głosu doszło jego serce, głuche na głos rozsłdka. Podbiegając do Dylana, Tanner rzekł:

- Myśleliśmy, że prędzej czy później odnajdziemy ją. Potem przekonaliśmy się, że wszystko spryskało się przeciw nam. Nad ich głowami przemknął jakiegoś cień i rozległ się szum. Unosząc głowę, Dylan zobaczył na tle blasku wysokiej latarni sylwetkę nietoperza, który chwycił w locie śmie. Ten widok za-pewne nie przeżyłby go lekko w innej sytuacji, ale teraz zmroził mu krew w żyłach.

Ujrzał jakiegoś samochód terenowy na ulicy. Nie był to chevrolet suburban, ale jechał bardzo powoli.

Dylan patrzył na samochód, dopóki nie znikł mu z oczu.

Intuicja jak pies gończy zawiodła go przez parking do dzieśięcioletniego pontiaca. Gdy dotknął drzwi po stronie kierowcy, poczuł ciał psychiczny kałdym nerwem dźoni.

- Kiedy miała się urodzić, miała dwadzieścia lat - powiedział Dylan. - A Emily zaledwie siedemnaście.

- Nie mieliśmy pieniędzy i żadnych perspektyw.

- Rodzice Emily umarli młodo, a twój okazali się... bezna-dziejni.

- Wiesz rzeczy, o których nie możesz wiedzieć - dziwił się Tanner. - Wzrost tak był. Nie mieliśmy żadnego wsparcia ze strony rodziny.

Ciał na drzwiach od strony kierowcy miał za matę adunek, by go zelektryzować, więc Dylan przeszedł na drugą stronę pontiaca, do drzwi pasażera.

Drepcząc przy jego boku, staruszek rzekł:

- Mimo to zatrzymalibyśmy ją, bez względu na trudności. Ale potem, kiedy Emily była w ósmym miesiącu...

- Nocna śnieżyca-powiedział Dylan. - Jechaliście pikapem.

- Nie miał szans przy zderzeniu z ciężarówką z naczepą.

- Złamała obie nogi.

- I uszkodziłem kręgosłup, poza tym miałem obrażenia wewnętrzne.

- Nie mieliście ubezpieczenia.

- Ani grosza. Dochodziłem do siebie przez rok.

Na przednich drzwiach od strony pasażera Dylan znalazł odcisk inny niż na drzwiach kierowcy.

- Z ciężkim sercem musieliśmy oddać dziecko, ale modliliśmy się, żeby okazało się to dla niej najlepszym rozwiązaniem. Dylan wyczuł przychylny rezonans między ciałem nieznaną osoby i odciskami Bena Tannera.

- Boże drogi, ty naprawdę jesteś jasnowidzem - rzekł staruszek, porzucając sceptycyzm znacznie szybciej, niż Dylan

mógł przypuszczać. Tak dźugo milczła nadzieja - przycupnięta jak ptak w głębi duszy Bena Tannera -- znów się rozepiewała. - Prawdziwy jasnowidz.

Bez względu na to, co się mogło stać, Dylan nadal czuł, że mu-si doprowadzić tę sprawę do nieuniknioną końca. Nie miał od-wrotu, podobnie jak ulewa, która nie może zacząć w przeciwną stronę, unosząc się z rozmokłej ziemi w stronę skłębionych cumulonimbusów, z których spada. Nie miał jednak ochoty rozbudzać nadziei kowboja, ponieważ nie potrafił przewidzieć zakończenia. Nie

móg<sup>3</sup> zagwarantowaæ, ¿e istotnie dzieæ dojdzie do spotkania po latach ojca i córki, które zdawa<sup>3</sup>o siê zbli¿aæ z ka¿d<sup>1</sup> chwil<sup>1</sup>.

- Prawdziwy jasnowidz - powtórzy<sup>3</sup> Tanner z niepokoj<sup>1</sup>-cym respektem.

Dylan zacisn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ na klamce pontiaca, a w jego g<sup>3</sup>owie na-gle dokona<sup>3</sup>o siê po<sup>3</sup>czenie z g<sup>3</sup>ocnym <sup>3</sup>oskotem szepianych ze sob<sup>1</sup> wagonów.

- Szlak Nieboszczyka - mrukn<sup>13</sup>, nie wiedz<sup>1</sup>c, co to ma zna-czyæ, ale czuj<sup>1</sup>c dreszcz na d<sup>3</sup>wiêk tych dwóch s<sup>3</sup>ów. Odwróci<sup>3</sup> siê w stronê restauracji. - Jeæli chcesz znaæ odpowied<sup>3</sup>, znaj-dziesz j<sup>1</sup> tam. Łapi<sup>1</sup>c Dylana za ramiê i zatrzymuj<sup>1</sup>c go, Tanner spyta<sup>3</sup>: - Dziewczyna? Jest tam, gdzie by<sup>3</sup>em przed chwil<sup>1</sup>?

- Nie wiem, Ben. To dzie<sup>3</sup>a inaczej. Nie potrafiê wyra<sup>3</sup>nie zobaczyæ. I nie znam odpowiedzi, dopóki nie ujrê koñca. Jak-bym ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> <sup>3</sup>añcuch, ogniwo po ogniwie, nie wiedz<sup>1</sup>c, jakie jest ostatnie, dopóki nie bêdê go mia<sup>3</sup> w rêku.

Ignoruj<sup>1</sup>c ukryte w s<sup>3</sup>owach Dylana ostrze¿enie, staruszek powiedzia<sup>3</sup> uszczêeliwiony:

- W<sup>3</sup>æciwie wcale jej tu nie szuka<sup>3</sup>em. W tym mieœcie, w tym miejscu. Po prostu zjecha<sup>3</sup>em z drogi i wst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>em na kolacjê. - Pos<sup>3</sup>uchaj, Ben, powiedzia<sup>3</sup>em, ¿e znajdziesz tam odpo-wied<sup>3</sup>, ale nie wiem, czy to bêdzie sama dziewczyna. B<sup>1</sup>d<sup>3</sup> na to przygotowany.

Staruszek poczu<sup>3</sup> smak nadziei nieca<sup>31</sup> minutê temu, a ju¿ zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> siê ni<sup>1</sup> upiaæ.

- Je¿eli to nie bêdzie, jak mówi<sup>3</sup>æ, ostatnie ogniwo, znaj-dziesz nastêpne i jeszcze jedno.

- A¿ do ostatniego - przytackn<sup>13</sup> Dylan, przypominaj<sup>1</sup>c so-bie niepohamowany impuls, który kaza<sup>3</sup> mu jechaæ w Alejê Eu-kaliptusow<sup>1</sup>. - Ale...

- Znajdziesz moj<sup>1</sup> córkê, wiem o tym. - Tanner nie wygl<sup>1</sup>-da<sup>3</sup> na cz<sup>3</sup>owieka, który w jednej chwili potrafi przejœæ z czarnej

rozpaczy do radoœci, lecz mo¿e perspektywa koñca trwaj<sup>1</sup>cych pó<sup>3</sup> wieku ¿alu i wyrzutów sumienia potrafi<sup>3</sup>a wywo<sup>3</sup>aaæ natych-miastow<sup>1</sup> przemianê emocjonaln<sup>1</sup> nawet w sercu stoika. - Je-steæ odpowiedzi<sup>1</sup> na moje modlitwy.

Mo¿e przez moment Dylan cieszy<sup>3</sup> siê, ¿e jednego wieczoru odegra bohatera dwa razy, ale gdy zda<sup>3</sup> sobie sprawê, jak zdru-zgotany bêdzie Ben Tanner, jeæli ta historia nie zakoñczy siê baj-kowym happy endem, jego entuzjizm opad<sup>3</sup>.

Delikatnie uwolni<sup>3</sup> siê z ucêisku d<sup>3</sup>oni kowboja i ruszy<sup>3</sup> w kierunku restauracji. Skoro nie mia<sup>3</sup> odwrotu, chcia<sup>3</sup> to za-koñczyæ jak najszybciej i rozwiaæ niepewnoœæ.

Nad nimi œemiga<sup>3</sup>y ju¿ trzy nietoperze, uwijaj<sup>1</sup>c siê przy uczcie, a kruche jak papier szkielety zewnêtrzne ciem wydawa<sup>3</sup>-y ciche, lecz s<sup>3</sup>yszalne chrupniêcie, wpadaj<sup>1</sup>c miêdzy ostre zêby drapie¿ników: zwiêz<sup>3</sup>e komunikaty o œmierci opatrzone wy-krzyknikami.

Gdyby Dylan wierzy<sup>3</sup> w znaki, powinien przystan<sup>1</sup>æ na wi-dok nietoperzy kr<sup>1</sup>¿<sup>1</sup>cych w œwietle latarni. A gdyby zwierzêta rzeczywiœcie by<sup>3</sup>y omenem, z pewnoœci<sup>1</sup> nie zwiastowa<sup>3</sup>yby Benowi Tannerowi powodzenia w poszukiwaniach córki.

Szlak Nieboszczyka.

Znów us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> w g<sup>3</sup>owie te s<sup>3</sup>owa, lecz nadal nie wiedzia<sup>3</sup>, ja-ki wniosek powinien z nich wysnuæ.

Mo¿e istnia<sup>3</sup>a szansa, ¿e w restauracji znaj<sup>1</sup>d dawno zagi-nion<sup>1</sup> córkê staruszka, ale zapewne równie dobrze mog<sup>3</sup>a ju¿ nie ¿yæ, a na koñcu <sup>3</sup>añcucha zamiast niej czeka<sup>3</sup> na nich lekarz, który towarzyszy<sup>3</sup> jej w ostatnich chwilach, albo ksi<sup>1</sup>dz, który udzieli<sup>3</sup> jej ostatnich sakramentów. Mo¿liwe te¿, ¿e zosta<sup>3</sup>a za-mordowana, a w restauracji je kolacjê policjant, który znalaz<sup>3</sup> jej cia<sup>3</sup>o. Albo cz<sup>3</sup>owiek, który j<sup>1</sup> zamordowa<sup>3</sup>.

Ben dziarsko maszerowa<sup>3</sup> u boku Dylana, który zatrzyma<sup>3</sup> siê na chwilê obok Jilly i Shepa, ale nie przedstawi<sup>3</sup> ich sobie ani ni-czego nie t<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup>. Poda<sup>3</sup> Jilly kluczyki, nachyli<sup>3</sup> siê i powiedzia<sup>3</sup>:

- Wsad<sup>3</sup> Shepa do auta i zapnij mu pas. Wyjed<sup>3</sup> z parkingu. Czekaj na mnie przecnicê dalej z tamtej strony. - Pokaza<sup>3</sup>. - Zostaw w<sup>3</sup>iczny silnik.

To, co mia<sup>3</sup>o siê wydarzyæ w restauracji, dobre czy z<sup>3</sup>e, mo-g<sup>3</sup>o wywo<sup>3</sup>aaæ pewne zamieszanie, a pracownicy i klienci zainte-resowaliby siê Dylanem i obserwowaliby go przez du¿e okna od frontu, gdy wyjdzie. Nie nale¿a<sup>3</sup>o zostawiaæ forda blisko restau-racji, aby nikt nie móg<sup>3</sup> odczytaæ numerów ani zwróciæ uwagi na markê i model samochodu.

Na szczęście Jilly nie zadawała pytań. Zrozumiała, że w stanie wywołanym działaniem szprycy Dylan musi być posłuszny impulsom i robić, co mu każe<sup>1</sup>. Wzięła kluczyki i powiedziała do Shepa:

- Chodź, skarbie, idziemy.

- Słuchaj jej - poleci bratu Dylan. - Rób, co mówi.

Potem wprowadziła Bena Tannera do restauracji.

- Przykro mi, ale nie podajemy już kolacji - powiedziała kelnerka, lecz po chwili poznała go. - Ach, zapomniał pan czegoś?

- Zobaczymy starego znajomego - skłamał Dylan, po czym skierował się do sali jadalnej przekonany, że choć nie wiedział, dokąd idzie, na pewno dojdzie tam, gdzie powinien.

Tych dwoje siedziało przy narożnym stoliku. Mieli po dwa-dzieci kilka lat.

Gdy Dylan bez wahania podszedł do nich, kobieta, za młodo na córkę Tannera, uniosła głowę. Ładna i opalona brunetka o ciemnej cerze, miała oczy barwy czystego błękitu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekł Dylan - ale czy może państwu mówi słowa „Szlak Nieboszczyka”?

Kobieta spojrzała na swego towarzysza z niepewnym uśmiechem, jak gdyby spodziewała się miłego zaskoczenia.

- O co chodzi, Tom? Tom wzruszył ramionami.

- Pewnie jakiego dowcip. Ale przysięgam, że nie ja go wymyśliłem.

Spoglądając ponownie na Dylana, kobieta powiedziała

- Szlak Nieboszczyka to kiepska droga pustynna między San Simon a tym miasteczkiem. Sam piach i rozjechane grzechotniki. Tam poznałem Toma.

- Kiedy zobaczymy Lynette, zmieniała kolo - rzekł Tom. - Pomogłem jej dociągnąć ceruby, a potem, o ile pamiętam, użyła jakichś czarów, żeby się jej oświadczył.

Uśmiechając się czule do Toma, Lynette powiedziała

- Owszem, rzuciłam na ciebie czar, ale chciałam zamienić cię w żabę, żebyś zniknął w podskokach na zawsze. A ty zostałeś. To mnie nauczyło, żeby nie odpuszczając sobie ćwiczeń w rzucaniu czaru.

Leżące na stoliku dwa niewielkie prezenty, jeszcze nierozpakowane, i butelka wina oświadczyły, że to niecodzienny wieczór. Choć prosta sukienka Lynette wyglądała na niedrogą, staranny makijaż i fryzura wskazywały, że to bardzo uroczysty strój. Sta-

ry pontiac na parkingu również dowodził, że to dla nich obojga szczególna okazja.

- Rocznicą? - zapytał Dylan, opierając się na dedukcji zamiast na swoim darze jasnowidzenia.

- Jakby pan nie wiedział, - odparła Lynette. - Trzecia. A w ogóle kto pana przysłał i o co chodzi?

Uśmiech zamalował jej na twarzy ze zdumienia, gdy Dylan do tkniętym przelotnie nożkami jej kieliszka, aby odświeżyć sobie w pamięci odcisk jej psychiki.

Znow poczuł ten sam wyjątkowy celad, który znalazł na drzwiach pontiaca, a w głowie znow rozległ się świszczący szum wagonów.

- Słuchaj, że matka powiedziała ci, że została adoptowana. Powiedziała tyle, ile wiedziała.

Gdy wspomniała jej matkę, z ust Lynette zniknęła uśmiech. - Tak.

- Czyli tyle, ile wiedzieli jej przybrani rodzice - że oddali ją jacyś ludzie z Wyoming.

- Zgadza się, z Wyoming.

- Próbowała odnaleźć swoich prawdziwych rodziców - kontynuował Dylan - ale zabrakło jej czasu i pieniędzy, żeby doprowadzić poszukiwania do końca.

- Znał pan moją matkę?

Jeżeli rozpuści się sporą ilość cukru w misce wody i na noc zanurzy w tej mieszaninie nitkę, rankiem znajdzie się na nitce kryształki cukru. Dylan miał wrażenie, jakby zanurzył długą nitkę w jakiejś sadzawce energii psychicznej i - znacznie szybciej niż cukier wytrącający się z wody - zaczęły się na niej krystalizować fakty z życia Lynette.

- Zmarła dwa lata temu w sierpniu - ciągnął.

- Przegrała z rakiem - potwierdził Tom.

- Czterdzieci osiem lat to za mało, żeby odchodzić z tego świata - powiedziała Lynette.

Choć dalsze wdzieranie się w głębię serca młodej kobiety przez pięć minut go odrzuciło do samego siebie,

Dylan nie umia³ siê poha-mowaæ. Czuj¹c, ¿e dziewczyna nadal bardzo cierpi po stracie ukochanej matki, czyta³ jej tajemnice krystalizuj¹ce siê na swej psychicznej nici.

- Tej nocy, kiedy zmar³a twoja matka, przedostatnie zda-nie, jakie wypowiedzia³a, brzmi³o: „Lynnie, pewnego dnia po-winnæe poszukaæ swoich korzeni. Dokoñcz to, co zaczê³am. Bê-dziemy lepiej wiedziaæ, dok¹d zmierzamy, jeceli siê dowiemy, sk¹d przyszlciemy”.

Zdumiona faktem, ¿e zna dok³adnie s³owa jej matki, Lynet-te zaczê³a wstawaa, lecz zaraz usiad³a z powrotem, siêgnê³a po wino, ale chyba przypomnia³a sobie, ¿e Dylan dotkn¹³ palcami kieliszka, wiêc cofnê³a d³oñ.

- Kim... kim pan jest?

- Wtedy w szpitalu na sam koniec powiedzia³a do ciebie: „Lynnie, mam nadziejà, ¿e nie policz¹ tego na moj¹ niekorzyca tam, dok¹d zmierzam, ale chocia¿ kocham Boga, ciebie kocham bardziej”.

Te s³owa okaza³y siê dla niej zbyt mocnym doznaniem. Wi-dz¹c ³zy Lynette, Dylan poczu³ siê okropnie, ¿e zepsu³ jej rocz-nicê, przywo³uj¹c wspomnienia, które zupe³nie nie pasowa³y do tej uroczystoœci.

Wiedzia³ jednak, po co dotkn¹³ najboleœniejszej struny jej duszy. Musia³ okazaæ siê wiarygodny, zanim przedstawi jej Be-na Tannera, aby zyskaa pewnoœæ, ¿e Lynette i staruszek szybko znajd¹ wspólny jêzyk, a on po zakoñczeniu swego dzie³a bêdzie móg³ jak najszybciej siê st¹d wymkn¹æ.

Mimo ¿e Tanner do tej chwili pozostawa³ z ty³u, sta³ na ty-le blisko, by us³yszeæ, ¿e jego marzenie o spotkaniu z córk¹ nie ziœci siê w tym ¿yciu, ale za to doczeka³ innego niespodziewane-go cudu. Zdj¹³ stetsona i obracaj¹c go nerwowo w rêkach, po-st¹pi³ naprzód.

Gdy Dylan spostrzeg³, ¿e staruszek trzyma siê na dr¿¹cych nogach bardzo niepewnie, podsun¹³ mu jedno z dwóch wolnych krzese³. Tanner od³o¿y³ na bok kapelusze i usiad³, a Dylan po-wiedzia³:

- Lynette, twoja mama mia³a nadziejà, ¿e pewnego dnia znajdzie swoich najbli¿szych, tymczasem oni te¿ jej szukali. Chcia³bym, ¿ebyœe pozna³a swojego dziadka - ojca twojej matki, Bena Tannera.

Staruszek i dziewczyna patrzyli na siebie z niedowierzaniem identycznymi lazurowymi oczyma.

Gdy Lynette nie mog³a wykrztusiæ s³owa ze zdumienia, Ben Tanner po³o¿y³ na stole fotografiê, któr¹ musia³ wyci¹gn¹æ z portfela, gdy sta³ za plecami Dylana. Podsun¹³ zdjêcie wnuczce.

- To moja Emily, twoja babcia, gdy by³a prawie w twoim wieku. ³a³ujê, ¿e nie do¿y³a dzisiejszego dnia, bo mog³aby zoba-czyæ, ¿e jesteœe do niej podobna jak dwie krople wody.

- Tom - powiedzia³ Dylan do mê¿a Lynette. - Zdaje siê, ¿e zosta³a wam tylko resztk³a wina. Przyda³aby siê jeszcze odrobi-na, ¿eby uczciaæ to spotkanie i bêdê ci wdziêczny, jeceli przyjmiesz ode mnie butelkê.

Tom, zaskoczony i oszo³omiony tym, co siê sta³o, skin¹³ g³o-w¹, uœmiechaj¹c siê niepewnie.

- Tak, hm, to bardzo mi³o z pana strony.

- Zaraz wracam - rzek³ Dylan, nie maj¹c zamiaru spe³niæ tej obietnicy.

Podszed³ do kasy przy drzwiach wyjœciowych, gdzie kelner-ka w³aœnie wyda³a resztê wychodz¹cemu goœciowi, rumianemu mê¿czyŹnie o chwiejnym kroku biesiadnika, którego kolacja sk³ada³a siê w wiêkszej czêœci z trunków ni¿ z jedzenia.

- Wiem, ¿e nie podajecie ju¿ kolacji - zwróci³ siê do kelner-ki Dylan. - Ale czy mogê zamówiaæ butelkê wina dla Toma i Ly-nette przy tamtym stoliku?

- Oczywiście. Kuchnia jest ju¿ nieczynna, ale bar jest otwar-ty jeszcze dwie godziny.

Kelnerka wiedzia³a, co wczêœniej zamówili. Czerwone wino w umiarkowanej cenie. Dylan po³o¿y³ pieni¹dze na ladzie i do-da³ napiwek.

Zerkn¹³ na stolik w rogu, gdzie siedzieli Tom, Lynette i Ben poch³oniêci rozmow¹. Bardzo dobrze. Nie zauwa¿¹ jego wyjœcia. Pchn¹³ drzwi i wyszed³ na zewn¹trz. Zauwa¿y³, ¿e Jilly wy-prowadzi³a forda z parkingu, tak jak j¹ prosi³. Samochód sta³ na ulicy przy krawê¿niku, przecznicê na p³noc od restauracji. Kieruj¹c siê w tam¹ stronê, Dylan spotka³ rumianego mê¿-czyznê, który tu¿ przed nim wyszed³ z restauracji. Facet najwi-doczniej mia³ trudnoœci z przypomnieniem sobie, gdzie zaparko-wa³ samochód, a mo¿e nawet jakim autem tu przyjecha³. Po chwili dostrzeg³ srebrn¹ corvettê i zdecydowanym krokiem ru-szy³ w kierunku wozu zgarbiony i z opuszczon¹ g³ow¹, jak byk na matadora potrz¹saj¹cego mulet¹. Nie szar¿owa³ jednak jak byk, ale halsowa³ to w lewo, to w prawo, niczym ¿eglarz wyko-nuj¹cy kolejne manewry zmiany kursu, œpiewaj¹c be³kotliwie ledwie zrozumia³¹ wersjê



„Yesterday” Beatlesów.

Grzebił w kieszeniach kurtki, pijany znalazł kluczyki, ale upuścił zwitek banknotów. Nie wiedząc, że jego pieniądze zostały na asfalcie, powłók się dalej.

- Proszę pana, zgubił pan coś - powiedziała Dylan. - Hej, człowieku, lepiej to zabierz.

Nucąc melancholijne „Yesterday”, roztkliwiając się nad swoimi kłopotami, pijany nie odpowiedział Dylanowi, zmierzając zakosami w stronę corvetty i trzymając kluczyk w wyciągniętej ręce, jak gdyby to była różdżka, bez której nie mógłby odnaleźć ostatnich dziesięciu stóp dzielących go od samochodu. Podnosząc z jezdni zwitek banknotów, Dylan miał wrażenie, jakby chwycił wijącego się zimnego i ocelizowanego węża, poczuł okropny smród, a w głowie usłyszał brzęczenie wóciekłych os. W jednej chwili zrozumiał, że pijany gupiec zataczał się w kierunku corvetty - Lucas jakiegotam, Lucas Croaker czy Crocker- jest o wiele podlejszy od zwykłego pijaczka i o wiele groźniejszy niż zwykły gupiec

## 2 1 Lucasa Crockera należało się bać, nawet jeżeli był pijany i chwiał się na nogach.

Odrzucając na bok pieniądze należące do energii, Dylan bez żadnego ostrzeżenia zaatakował go z tyłu.

W luźnych spodniach i kurtce Crocker wydawał się słaby i sflaczały, ale w rzeczywistości był krzepki jak beczka whiskey, zresztą wydzielał podobny zapach. Mocno pchnięty wpadł na corvette, która zakosowała się od zetknięcia z jego ciałem. Nie przestał jednak ciewać, mamrocząc ostatnie słowa piosenki Beatlesów z twarzą przyciętą do pękniętej od siły uderzenia szyby w oknie po stronie kierowcy.

Większość mężczyzn padłaby bez czucia, ale Crocker ryknął z wóciekłości i gwałtownie się wyprostował, jak gdyby zderzenie ze sportowym samochodem, od którego komuś innemu pękłoby żebro, tylko dodało mu siły. Zaczął wymachiwać mięsistymi ramionami, dając powietrze okciami, rzucał się i wiergał jak byk na rodeo, który zamierza zrzucić jeźdźca wagi muszej.

Choć Dylan nie zaliczał się do zawodników wagi muszej, został jednak odrzucony. Zatoczył się do tyłu, omal nie padając na ziemię, lecz utrzymał się na nogach. Trącał, że nie ma kija baseballowego.

Crocker ze zszamanym nosem i zakrwawioną twarzą wykrzywił w upiornym uśmiechu odwrócił się do napastnika z diablicznym radością, jak gdyby pobudził go perspektywa wybicia zębów, podniecony myśl o jeszcze większym bólu, który chyba uwielbiał zadawać. Zaszarował.

Przed ciętkimi obrażeniami nie uchroniłby Dylana ani wzrost, ani fakt, że w przeciwieństwie do Crockera był trzykrotnie wyższy; cenna przewaga dała mu jednak razem wzrost, trzykrotność i dzięk gniew. Gdy Crocker natarł na niego z entuzjazmem pijanego, Dylan zachęcił go gestem, a potem w ostatniej chwili odsunął się i kopnął go w kolano.

Crocker rozciągnął się jak długi i rwał czołmem w jezdnię, która przyjął go mniej życzliwie niż okno samochodu. Mimo to jego duch walki okazał się trwalszy niż twarz. Facet natychmiast się podniósł, stając na czworakach.

Dylan czerpał odwagę z kipiącego jak wulkan gniewu, który pierwszy raz poczuł, widząc pobitego chłopca przykutego do ścianki w pokoju przedzielonym na części z kłkami i częścią z nożami. Świat był pełen ofiar, zbyt wielu ofiar, które miały nie-wielu obrońców. W myślach, jak niszczycielskie czystki radioaktywne, wcięto wrowały mu okropne obrazy niespotykanego zdemoralizowania i okrucieństwa Crockera, które ujrzał, trzykrotnie w dłoni zwitek banknotów. Fala oświętego oburzenia zagłuszyła w nim strach o własne bezpieczeństwo.

Jak na malarza idyllicznych pejzaży, artystę o pogodnym sercu, potrafił wymierzyć wyjątkowo bolesnego i precyzyjnego kopniaka, jak egzekutor z gangu, a potem poprawiać następnym. Choć robił to ze szczerym obrzydzeniem, kopał wytrwale, nie czując żadnych wyrzutów sumienia.

Zszamane żebro Crockera sprawdzały odporność jego pęca na perforację, zmiażdżone palce zmieniały się w sztywne kiełbaski, a na opuchnięte wargi wyciskały gęste, gęste, gęste smaczki szmacianej lalki; wtedy pijany najwyraźniej uznał, że wystarczy zabawy jak na jeden wieczór. Porzucił próby wstania, upadł na bok, następnie przewrócił się na wznak i leżał, sapiąc z trudem powietrze i pojękując.

Dyszła ciętko, ale zdrowy i cały, Dylan rozejrzał się po parkingu. Poza nim i Crockerem nie było

nikogo. By<sup>3</sup> też prawie pewien, że w trakcie potyczki ulic<sup>1</sup> nie przejeżdża<sup>3</sup> żaden samo-chód. Nikt niczego nie widzia<sup>3</sup>.

Szczęście nie mog<sup>3</sup>o mu towarzyszyć wiecznie.

Na jezdni obok samochodu b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>y kluczyki do corvetty. Dylan skonfiskowa<sup>3</sup> je.

Spojrzawszy z powrotem na zakrwawionego i rzeź<sup>1</sup>cego fa-ceta, dostrzeg<sup>3</sup> przypięty do jego paska telefon.

Przebiegle œwiñskie oczka b<sup>3</sup>yszcza<sup>1</sup>ce w ró<sup>1</sup>owej jak gotowa-na szynka twarzy Crockera wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y dogodnej okazji.

- Daj telefon - powiedzia<sup>3</sup> Dylan.

Crocker nie wykona<sup>3</sup> żadnego ruchu, by spe<sup>3</sup>niać jego polece-nie, więc Dylan nadepn<sup>13</sup> mu na z<sup>3</sup>aman<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ, przyduszał<sup>1</sup>c spuchnięte palce do asfaltu.

Mn<sup>1</sup>c w ustach przekleñstwo, Crocker odpi<sup>13</sup> drug<sup>1</sup> ręk<sup>1</sup> telefon. Wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ z aparatem, patrz<sup>1</sup>c na niego zamglo-nymi z bólu oczami, w których nadal czai<sup>3</sup>a się jednak przebie-g<sup>3</sup>oœæ.

- Popchnij go po ziemi - rozkaza<sup>3</sup> Dylan. - Tutaj.

Gdy Crocker spe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> polecenie, Dylan zdj<sup>13</sup> stopę z jego oka-leczonej d<sup>3</sup>oni, nie wyrz<sup>1</sup>dzaj<sup>1</sup>c mu więcej krzywdy.

Telefon, wiruj<sup>1</sup>c, zatrzyma<sup>3</sup> się w odleg<sup>3</sup>oœci stopy od zwitka banknotów. Dylan podszed<sup>3</sup> i podniós<sup>3</sup> go z asfaltu, nie dotyka-j<sup>1</sup>c jednak pieniędzy.

Wypluwaj<sup>1</sup>c wybite zęby albo kawa<sup>3</sup>ki szyby z okna samo-chodu, Crocker wybe<sup>3</sup>kota<sup>3</sup> przez zmasakrowane usta:

- Nie chcesz mnie okraœæ?

- Ukradnê ci tylko trochê po<sup>3</sup>lceñ zamiejscowych. Pieni<sup>1</sup>-dze mo<sup>1</sup>esz zatrzymaæ, dostaniesz za to cholernie wysoki rachunek telefoniczny.

Otrze<sup>3</sup>wiony bólem Crocker przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mu się bezgranicz-nie zdumiony zasnutym bólem wzrokiem.

- Kim jesteœ?

- Wszyscy dzisiaj zadaj<sup>1</sup> mi to samo pytanie. Chyba bédê musia<sup>3</sup> wymyœliæ sobie jakieœ d<sup>3</sup>wiêczne imiê.

Obok czekaj<sup>1</sup>cego przecnicê dalej forda sta<sup>3</sup>a Jilly i obser-wowa<sup>3</sup>a ich. Mo<sup>1</sup>e gdyby zobaczy<sup>3</sup>a, że Dylan dosta<sup>3</sup> w ty<sup>3</sup>ek, pospieszy<sup>3</sup>aby mu z pomoc<sup>1</sup> uzbrojona w preparat owadobójczy albo ser w aerozolu.

Spiesz<sup>1</sup>c się do samochodu, Dylan spojrze<sup>3</sup> za siebie, ale Lu-cas Crocker nie próbowa<sup>3</sup> się podnosiæ. Mo<sup>1</sup>e zemdla<sup>3</sup>. A mo<sup>1</sup>e zauwa<sup>1</sup>y<sup>3</sup> nietoperze po<sup>1</sup>eraj<sup>1</sup>ce æmy w œwietle latarni: ten spek-takl móg<sup>3</sup> mu się spodobaæ. Byæ mo<sup>1</sup>e Crocker znalaz<sup>3</sup> w nim nawet inspiracjê.

Zanim Dylan dotar<sup>3</sup> do swojego forda, Jilly siedzia<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> na w œrodku. Wsiad<sup>3</sup> i zamkn<sup>13</sup> za sob<sup>1</sup> drzwi. Jej odciski na kierownicy sprawi<sup>3</sup>y mu przyjemnoœæ, jak gdy-by zanurzy<sup>3</sup> obola<sup>3</sup>e ręce w ciep<sup>3</sup>ej wodzie z solami leczniczymi. Po chwili poczu<sup>3</sup> jej niepokój. Jakby ktoœ upuœci<sup>3</sup> do wody przerwód elektryczny pod napiêciem. Si<sup>3</sup> woli wyciszy<sup>3</sup> wszystkie wi-bracje, dobre i z<sup>3</sup>e.

- Co tam się sta<sup>3</sup>o, do cholery? - zapyta<sup>3</sup>a Jilly. Podaj<sup>1</sup>c jej telefon, rzek<sup>3</sup>:

- Dzwoni na policjê.

- S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, że nie chcemy kontaktów z policj<sup>1</sup>.

- Teraz chcemy.

Na ulicy za nimi pojawi<sup>3</sup>y się reflektory jakiegoœ wolno to-cz<sup>1</sup>cego się auta. Znów samochód terenowy.

Mo<sup>1</sup>e ten sam, który przejeżd<sup>1</sup>a<sup>3</sup> wczêniej z prędkoœci<sup>1</sup> grubo poni<sup>1</sup>ej dopuszczalnej. A mo<sup>1</sup>e nie.

Dylan obserwowa<sup>3</sup> wóz. Kierowca nie zdradza<sup>3</sup> żadnego zaciekawienia. Oczywiście, prawdziwy zawodo-wiec dobrze ukry<sup>3</sup>by zainteresowanie.

Shepherd wróci<sup>3</sup> do lektury „Wielkich nadziei”. Wydawa<sup>3</sup> się wyj<sup>1</sup>tkowo spokojny.

Restauracja wychodzi<sup>3</sup>a na autostradê federaln<sup>1</sup> numer 70, któr<sup>1</sup> Dylan chcia<sup>3</sup> wyruszyæ w dalsz<sup>1</sup> drogê. Skierowa<sup>3</sup> się na pó<sup>3</sup>nocny zachód.

Jilly wybra<sup>3</sup>a numer, pos<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>a chwilê i powiedzia<sup>3</sup>a:

- Miasteczko jest chyba za ma<sup>3</sup>e na centralê dziewięæset je-denaœcie. - Zadzwo<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>a do biura numerów, poprosi<sup>3</sup>a o po<sup>3</sup>-czenie z policj<sup>1</sup> i odda<sup>3</sup>a telefon Dylanowi.

Opowiedzia³ zwiêŸle dy¿urnej o pijanym i pobitym Lucasie Crockerze, który czeka na karetkê na parkingu restauracji.

- Mogê prosiæ o pañskie nazwisko? - spyta³a dy¿urna.

- To zupe³nie nieistotne.

- Muszê zapytaæ o pañskie nazwisko.

- I ju¿ to pani zrobi³a.

- Proszê pana, jeœli by³ pan œwiadkiem tego napadu...

- Nie, to ja dokona³em tego napadu - odpar³ Dylan. Policja w sercu pustyni rzadko mia³a do czynienia z dziwnymi mi sprawami odbiegaj¹cymi od sennej rutyny. Dy¿urna nie-pewnie powtórzy³a jego œwiadczenie, nadaj¹c mu intonacjê pytania:

- Pan dokona³ tego napadu?

- Owszem, proszê pani. Kiedy bêdzie pani wysy³aa karetkê po Crockera, proszê te¿ wys³aa policjanta.

- Bêdzie pan czeka³ na nasz¹ jednostkê?

- Nie, proszê pani. Ale jeszcze przed œwittem aresztujecie Crockera.

- Czy to nie pan Crocker jest ofiar¹?

- Zgadza siê, jest moj¹ ofiar¹. Ale sam jest przestêpc¹. Wiem, ¿e pani zdaniem bêdziecie chcieli aresztowaæ mnie, ale proszê mi zaufaæ, aresztujecie Crockera. Trzeba bêdzie te¿ wy-s³aa radiowóz do...

- Proszê pana, fa³szywe zg³oszenie na policjê...

- Nie jestem dowcipnisiem. Owszem, jestem winien napa-du, kradzie¿y telefonu i wybicia okna samochodu g³ow¹ cz³owieka - ale nie mam nastroju do kawa³ów.

- G³ow¹ cz³owieka?

- Nie mia³em m³otka. Proszê pos³uchaæ, trzeba bêdzie wy-s³aa radiowóz i ambulans do domu Crockera przy... Fallon Hill Road. Nie widzê numeru domu, ale to takie ma³e miasto, ¿e za-pewne zna pani adres.

- Tam pan bêdzie czeka³?

- Nie. Tam jest matka Crockera, kobieta w podesz³ym wie-ku. Na imiê ma chyba Noreen. Jest skuta ³ańcuchem w piwnicy.

- Skuta w piwnicy?

- Siedzi tam ju¿ od kilku tygodni we w³asnnych nieczysto-œciach, a to bardzo nieprzyjemna sytuacja.

- Pan j¹ sku³ ³ańcuchem w piwnicy?

- Nie, proszê pani. Crocker za³atwi³ sobie pe³nomocnictwo i g³odzi j¹ na œmieræ, czyszcz¹c tymczasem jej konta i wyprzedaj¹c dobytek.

- Gdzie wiêc pana znajdziemy?

- Proszê siê mn¹ nie przejmowaæ. I tak bêdziecie dzieæ mieæ rêce pe³ne roboty.

Wcisn¹³ przycisk KONIEC, wy³czy³ telefon i poda³ Jilly. - Wytrzym go i wyrzuæ przez okno.

Wyczoœci³a aparat chusteczk¹ higieniczn¹, ktêrej pozby³a siê razem z telefonem.

Milê dalej poda³ jej kluczyki do corvetty, ktêre te¿ cisnê³a w ciemnoœæ.

- Œmiesznie by by³o, gdyby nas zatrzymali za œmiecenie - powiedzia³a.

- Gdzie Fred?

- Kiedy na ciebie czeka³am, w³o¿y³am go do baga¿nika, ¿e-bym mia³a miejsce na nogi.

- S¹dzisz, ¿e nic mu siê nie stanie?

- Wcisnê³am go miêdzy walizki. Jest solidny, wytrzyma.

- Mam na myœli zdrowie psychiczne.

- Fred jest bardzo odporny.

- Tobie te¿ nie brakuje odpornoœci - powiedzia³.

- Tylko gram. Kim by³ ten stary kowboj?

Ju¿ jej mia³ odpowiedziaæ, gdy nast¹pi³a w nim spóŸniona reakcja na spotkanie z Lucasem Crockerem i z³em w czystej po-staci, jakie poczu³, dotykaj¹c zwi³ka banknotów. Mia³ wra¿enie, jakby zacz¹³ siê w nim k³êbiaæ oszala³y rój ciem bezskutecznie szukaj¹cych œwiat³a.

Minęli już piaszczyste peryferie Safford i wjechali na względnie piaszczysty teren, który przynajmniej w nocy wydawał się zupełnie nieskażony celem człowieka, jak w mezozoiku dziesięć lat temu.

Dylan zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Daj mi minutę. Muszę... muszę wyrzucić z głowy Crockera. Kiedy zamknę oczy, znalazłem się w piwnicy, gdzie leżała stara kobieta oblepiona wspaniałymi nieczystościami. Z typową dla artysty dbałością o szczegóły i ich znaczenie Dylan wypracował scenę barokowymi detalami, równie znaczącymi jak obrzydliwymi.

W rzeczywistości nie zobaczył matki Lucasa Crockera, dotykając na parkingu pieniędzy upuszczonych przez jej syna. Piwnica i dręczona w nieludzki sposób kobieta były wytworem jego wyobraźni i najprawdopodobniej w ogóle nie przypominały ani prawdziwej piwnicy, ani prawdziwej Noreen Crocker.

Swoim szóstym zmysłem Dylan nie potrafił niczego zobaczyć, usłyszeć ani poczuć smaku czy zapachu. Po prostu od razu wiedział. Dotykał przedmiotu z pozostawionym na nim celem psychicznym i w jednej chwili zyskiwał wiedzę, jak gdyby przywołał ją z pamięci, jak gdyby przypominał sobie wydarzenie, o których kiedyś przeczytał w książce. Dotychczas na ogół wiedza ograniczała się do odpowiednika jednego lub dwóch zdań powiązanych ze sobą faktów; czasem przypominała akapity lub całe strony informacji.

Dylan otworzył oczy, pozostawiając wyimaginowaną Noreen Crocker w brudnej piwnicy, choć może w tym momencie staruszka słuchała syren zwiastujących przybycie ratunku.

- Dobrze się czujesz? - spytał Jilly.

- Chyba nie jestem tak odporny jak Fred. Ucieknę do siebie.

- Jego przewaga polega na tym, że nie ma mózgu.

- Lepiej już jedźmy. - Zwolnił hamulec ręczny. - Byle dalej od Safford. - Wjechał na dwupasmową drogę. - Goście w czarnych chevroletach mogli postawić w stan gotowości policję w całym stanie i kazać się informować o wszystkich niecodziennych zdarzeniach.

Na prośbę Dylana Jilly wyciągnęła ze schowka mapę Arizony i zaczęła ją studiować w świetle latarki. Na północ i południe od nich w nocne niebo wrzynały się czarne zęby dwóch różnych łańcuchów gór i jadł wzdłuż rozdzielającej je doliny rzeki Gila, mieli wrażenie, jakby przecinali rozdziawioną paszczę ziewającego lewiatana.

- Siedemdziesiąt osiem mil do miasteczka Globe - oznajmiła Jilly. - A potem, jeżeli naprawdę uważasz, że musimy ominąć Phoenix...

- Naprawdę uważam, że musimy - odrzekł. - Wolałbym nie zmieniać się w zwęglone truchło w spalonym fordzie.

- W Globe trzeba będzie skręcić na północ w autostradę numer 60 i przejechać nią do końca, do Holbrook niedaleko Skamienia Lasu. Stamtąd międzystanową czterdziestką na zachód w stronę Flagstaff albo na wschód w stronę Gallup w Nowym Meksyku - jeżeli to w ogóle ma jakieś znaczenie, do końca pojedziemy.

- Oto znów nasza Negatywnie Nastawiona Jackson, krynica pesymizmu. Oczywiście, że to ma znaczenie.

- Dlaczego?

- Bo zanim tam dojedziemy, stanie się coś, dzięki czemu to nabierze znaczenia.

- Może zanim dojedziemy do Holbrook, będziemy mieli taką wprawę w pozytywne myślenie, że się woli zmienić w miliardera. A potem pojedziemy na zachód i kupimy sobie ogromny posiadłość wychodzącą na Pacyfik.

- Niewykluczone - powiedział. - Na razie chcę kupić tylko jedną rzecz, i to od razu, gdy rano otworzą sklepy, wszystko jedno gdzie.

- Co takiego?

- Rękawiczki.

pracownik nocnej zmiany. Natura dała mu nieszczerliwie włoski, lisią twarz, której nie zdawało się powiększyć optycznie fryzurą na jeją. Miał dwadzieścia parę lat, lecz zachowywał się jak gburowaty czterdziestolatek z poważnymi zaburzeniami hormonalnymi. Z plamki na jego koszuli wynikało, że ma na imię SKIPPER.

Był może Skipper wyczyściłby pompy i napełnił bak Forda, gdyby Dylan pokazał mu kartę kredytową, ale jeden bukmacher w Las Vegas nie byłby aż tak naiwny, aby przyjmował za kłady o taki wynik. Kiedy jednak usłyszał o gotówce, oczy zawięły mu się na myśl o łatwym zarobku i zaraz zmieniło zachowanie, z gburą stał się tylko ponurym zrzędem.

Skipper wyczyścił pompy, lecz nie zapalił cygar na zewnątrz i napełnił bak po ciemku. Tymczasem Dylan i Jilly oczekiwali

z przedniej i tylnej szyby celady po owadach i pyłach, nie spodziewali się, że Skipper zaoferuje im pomoc - z równym prawdopodobieństwem mógłby zaczął recytować sonety Szekspira z doskonalym akcentem z siedemnastowiecznej Anglii.

Dylan przyjął go na tym, jak wlepił w Jilly jawnie pośledni wzrok i poczuł gniew, który oblał mu twarz falgórą. Po chwili zastanowił się zdziwiony, od kiedy jest o niego zazdrosny - i dlaczego w rzeczywistości miałyby powody lub prawo do zazdrości.

Znali się zaledwie od pięciu godzin. Fakt, że przeżyli je w ogromnym napięciu, stawiając czoło wielkim niebezpieczeństwom, w wyniku czego lepiej poznali nawzajem swoje charaktery, niż mogliby w czasie długiej znajomości w normalnych okolicznościach. Mimo to wiedział o Jilly najważniejsze - że w potrzebie można na niej polegać i nie cofnie się przed zagrożeniem. Nie było wiedzieć o kimś takie rzeczy, ale trudno zrobić z nich całkiem portret.

A może wcale nie trudno?

Skończywszy czytać przednią szybę, zirykowany lubieżnymi spojrzeniami Skippera, Dylan zastanawiał się, czy wystarczy mu ta jedna cecha Jilly, którą znał: dziewczyna zasługuje na jego zaufanie. Był może cała reszta, ważna w każdym związku, opiera się w oparciu na zaufaniu - na wierze w odwagę, prawość i dobrość drugiej osoby.

Uznał, że chyba wariuje. Psychotropowa szprycą musiał wpłynąć na jego mózg w jeszcze inny sposób. Oto rozmyślał o ułożeniu sobie życia z kobietą, która uważała go za postać z komiksu Disneya, szczebiocząc słodkiutko jak Chip i Dale.

Nie byli parą. Nie byli nawet przyjaciółmi. Nie sposób nawiazać przyjaźni w ciągu kilku godzin. Byli co najwyżej towarzyszami niedoli, rozbitkami z tego samego statku, którzy chcą się utrzymać na powierzchni i nie dać się porwać rekinom.

W stosunku do Jillian Jackson nie mógł więc być mowy o zazdrości. Dylan był po prostu wobec niej opiekuńczy, tak jak wobec Shepa, tak jakby troszczył się o siostrę, gdyby ją miał. Tak, o siostrę.

Zanim Skipper zainkasował pieniądze za benzynę, jego gburowatość zdławiła go przejęciem metamorfoz, zmieniając się w lekkie rozdrażnienie. Nawet nie udając, że zamierza dodać gotówkę do kasy stacji, wpuścił pieniądze do portfela, spoglądając na niego ze złością satysfakcją.

Benzyna kosztowała trzydzieści jeden dolarów; Dylan zapłacił dwiema dwudziestodolarówkami, dziękując za resztę. Nie

miał ochoty przyjmować drobnych, na których Skipper zostawił swój celad.

Starał się też nie dotykać dystrybutora ani niczego innego, na czym pracownik stacji mógł zostawić odciski psychiczne. Nie chciał zgłębiać tajemnic duszy Skippera i poznawać nienawici drobnych zadowolonych.

Dylan nadal był optymistą, gdy myślał o całej ludzkości. Wciąż lubił ludzi, ale miał ich dosyć jak na jeden dzień.

Gdy jechali z Globe na północ przez Góry Apaczów, mijając od wschodu Rezerwat Indian San Carlos, Jilly zaczęła sobie uświadomianą, że coś się zmieniło między nią a Dylaniem O'Connorem. Odnosił się do niej trochę inaczej niż przedtem. Człowiek nie odwracał wzroku od drogi, przyglądając się jej w swoim mniemaniu ukradkiem, więc Jilly udawała, że tego nie widzi. Zaczęła między nimi przepływać jakaś nowa energia, lecz Jilly nie potrafiła jej określić.

W końcu uznała, że jest zbyt zmęczona i zestresowana, aby wierzyć w własnym zmysłom. Po tylu

wydarzeniach, jakie roze-grały się w ciągu jednego wieczoru, nawet ośmiertelnicy znaczenie sabsi od Jillian Jackson, Amazonki Południowego Zachodu, mogliby popaść w zupełnie obłąd, więc przypuszcza, że nie musi się przejmować oznakami lekkiej paranoi.

W drodze z Safford do Globe Dylan zrelacjonował jej przebieg spotkania z Lucasem Crockerem.

Opowiedział także historię Bena Tannera i jego wnuczki, która dowodziła, że zamiast wciągać go w głąb niemoralnego świata psychopatów w rodzaju Crockera albo Kenny'ego Nożownika, jego szósty zmysł może znaleźć znacznie wdzieczniejsze zastosowanie.

Kiedy zostawili za sobą światła Globe, a Shep wciąż tkwił po uszy w lekturze „Wielkich nadziei”, Jilly zdała Dylanowi relację o niepokojącym zdarzeniu, do jakiego doszło w damskiej toalecie w restauracji. Myślała, a gdy spojrzała w lustro nad umywalką, zobaczyła odbicie żazienki wierne w każdym szczególe z wyjątkiem jednego. Tam gdzie powinny być kabiny, zobaczyła trzy konfesjonały z ciemnego drewna; wyrzeźbione na drzwiach krzyże zdobiły złote listy.

- Odwróciłam się, żeby przyjrzeć się dokładniej, ale okazało się, że to zwykle kabiny. Kiedy jednak znowu popatrzyłam w lustro... cięgle odbijały się w nim konfesjonały.

Opłukując dłonie, niezdolna oderwać oczu od lustra, zobaczyła, jak wolno otwierają się drzwi jednego z konfesjonałów. Wystronił się z niego ksiądz, ale nie z ucemiechem i modlitewnikiem w ręku, tylko bezwładny, martwy i zalany krwią.

- Wyskoczyłam z żazienki jak oparzona - powiedziała, drżąc na wspomnienie tego wydarzenia. - Ale nie potrafię nad tym zapanować, Dylan. Te wizje wracają cały czas i co znaczy. - Wizje? - odrzekł. - Nie miraż?

- Oszukiwałam sama siebie - przyznała. Wsunęła palec pod gazę opatrunku zasłaniającego ślad po ukłuciu igły na ramieniu i delikatnie dotknęła lekko opuchniętej ranki. - Ale już się w to nie bawię. To na pewno są wizje. Przeczucia.

Do pierwszego miasta na trasie, Seneki, mieli trzydzieści mil. Dwadzieścia osiem mil za Senecą leżało Carrizo. Na mapie obydwie były tylko kropkami przy drodze. Dylan zapuszcza się coraz głębiej w obszary Południowego Zachodu znane razem i osobno jako Wielka Samotnia.

- U mnie z kolei jest tak - powiedziała - że kojarzę ludzi i miejsca z rzeczami, które wydarzyły się w przeszłości albo w czasie ich dziej. Ale ty uważasz, że widzisz wydarzenia z przyszłości.

- Tak. Jakieś zdarzenie gdzieś w kościele. Które chyba wkrótce się rozegra. Morderstwo. Masowe morderstwo. I zda się... że będziemy tam, gdy do tego dojdzie.

- Widzisz nas tam? W swoich wizjach?

- Nie. Ale dlaczego cięgle zjawiałyby się te same obrazy - ptaki, kościół i tak dalej? Nie przeczuwam wypadków kolejowych w Japonii, katastrof lotniczych w Ameryce Południowej ani huraganu na Tahiti. Widzę coś ze swojej przyszłości, z naszej przyszłości,

- Wobec tego nie powinniśmy się zbliżyć do żadnego kościoła - rzekł Dylan.

- Wydaje mi się... że kościół sam do nas przyjdzie. Nie ślęcz, żeby udać nam się tego uniknąć.

Księżyc szybko zaszedł i noc rozświetlały już tylko gwiazdy, a Wielka Samotnia wydawała się coraz większa i coraz bardziej samotna.

\*\*\*

Dylan nie prowadził już forda, jakby samochód był pozbawionym skrzydeł drzutowcem, ale i tak jechali z dość dużą prędkością. Odległość, którą zwykle pokonywało się w ponad trzy godziny, przebyli w ciągu dwóch i pół.

Jak na pięciotysięczne miasto, Holbrook szczyciło się niezwykle dużą liczbą moteli. Tylko tu mogli znaleźć najdogodniejszy nocleg turyści odwiedzający Park Narodowy Skamienia Lasu czy zwabieni atrakcjami czekającymi na nich w pobliskich rezerwatach Indian Hopi i Nawaho.

Nadano z moteli nie oferował pięciogwiazdkowych luksusów, lecz Dylan wcale nie szukał wygód. Chciał tylko odpocząć w spokojnym miejscu, gdzie karaluchy będą się zachowywać w miarę dyskretnie.

Wybrał motel położony najdalej od stacji benzynowych, sklepów i lokali, w których rano zwykle robi się głośno. Zaspasłemu recepcjonistce od razu wyłożył gotówkę, nie pokazując karty kredytowej.

Recepcjonista załadował prawa jazdy. Dylan nie miał ochoty dawać mu dokumentu, ale odmowa mogłaby wzbudzić podejrzenia. Podał już numer rejestracyjny z Arizony, ale nie ten widniejący na ukradzionych

tablicach. Na szczęście zaspany recepcjoni-sta nie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na zaintrygowanego widoczn<sup>1</sup> sprzeczności<sup>1</sup> między prawem jazdy z Kalifornii a numerami z Arizony.

Jilly nie chcia<sup>3</sup>a brać dwóch s<sup>1</sup>siaduj<sup>1</sup>cych ze sob<sup>1</sup> pokoi<sup>1</sup>ów. Po wszystkim, co się sta<sup>3</sup>o, czu<sup>3</sup>aby się osamotniona, nawet gdy-by zostawili otwarte drzwi między pokojami.

Wzięli pojedynczy pokój z dwoma podwójnymi s<sup>3</sup>ó<sup>1</sup>kami. Dylan i Shep mieli zaj<sup>1</sup>æ jedno, a Jilly drugie. Na widok wystroju utrzymanego jak zwykle w jaskrawych kontrastowych wzorach i barwach, który mia<sup>3</sup> ukryć plamy i ślady zniszczenia, Dylanowi zrobi<sup>3</sup>o się odrobinę s<sup>3</sup>abo, jakby dosta<sup>3</sup> choroby lokomocyjnej. S<sup>3</sup>ania<sup>3</sup> się ze zmęczenia, piek<sup>3</sup>y go oczy i potwornie bola<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owa.

Dziesi<sup>1</sup>æ po trzeciej przenieśli do pokoju najpotrzebniejsze baga<sup>1</sup>e. Shep chcia<sup>3</sup> wzi<sup>1</sup>æ te<sup>1</sup> ksi<sup>1</sup>;<sup>1</sup>kê Dickensa, a Dylan zauwa-<sup>1</sup>cy<sup>3</sup>, że chociaż ch<sup>3</sup>opak wydawa<sup>3</sup> się zatopiony w lekturze przez ca<sup>3</sup>1 drogę, powie<sup>1</sup>æ wci<sup>1</sup> jest otwarta na tej samej stronie, któ-<sup>1</sup>r<sup>1</sup> czyta<sup>3</sup> w restauracji w Safford.

Jilly pierwsza skorzysta<sup>3</sup>a z s<sup>3</sup>azienki. Umy<sup>3</sup>a zęby i wysz<sup>3</sup>a, gotowa po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>æ się spać, cho<sup>1</sup>æ wci<sup>1</sup> by<sup>3</sup>a ubrana.

- Dzieć nie b<sup>1</sup>dzie pi<sup>1</sup>amy. Wol<sup>1</sup>æ by<sup>1</sup>æ przygotowana na szyb-<sup>1</sup>k<sup>1</sup> ewakuację.

- S<sup>3</sup>usznie - uzna<sup>3</sup> Dylan.

Shep wyj<sup>1</sup>tkowo spokojnie zareagowa<sup>3</sup> na chaos dzisiejszego wieczoru i zaburzenie codziennej rutyny, więc Dylan nie chcia<sup>3</sup> go wi<sup>1</sup>cej m<sup>1</sup>czyć, zmuszaj<sup>1</sup>c do rezygnacji ze zwyk<sup>3</sup>ej bielizny nocnej. Wystarczy<sup>3</sup>oby posun<sup>1</sup>æ się o krok za daleko i Shep móg<sup>3</sup>by przerwa<sup>1</sup>æ stoickie milczenie, wpadaj<sup>1</sup>c w wielogodzinny hipers<sup>3</sup>owotok, przez który i<sup>1</sup>adne z nich nie zmru<sup>1</sup>cy<sup>3</sup>oby oka.

Poza tym Shep do snu ubiera<sup>3</sup> się mniej wi<sup>1</sup>cej w to samo, co nosi<sup>3</sup> w dzień. Jego garderoba dzienna sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a się z kolekcji identycznych czarnych koszulek z kojotem i kolekcji takich sa-<sup>1</sup>mych niebieskich d<sup>1</sup>insów. Na noc ubiera<sup>3</sup> się w czyst<sup>1</sup> koszul-<sup>1</sup>kę z kojotem i czarne spodnie od pi<sup>1</sup>amy.

Siedem lat temu wpad<sup>3</sup> w histeri<sup>1</sup>ę z powodu decyzji, jakie trzeba by<sup>3</sup>o podejmowa<sup>1</sup>æ codziennie rano podczas ubierania, i zbuntowa<sup>3</sup> się przeciw urozmaiconej garderobie. Odt<sup>1</sup>d nosi<sup>3</sup> tylko d<sup>1</sup>insy i koszulki z kojotem.

Jego fascynacja rysunkow<sup>1</sup> postaci<sup>1</sup> kojota by<sup>3</sup>a niezrozu-<sup>1</sup>mia<sup>3</sup>a. Gdy Shep by<sup>3</sup> w nastroju do ogl<sup>1</sup>dania zwariowanych kre-<sup>1</sup>skówek, potrafi<sup>3</sup> godzinami cedi<sup>1</sup>æ na wideo „Strusia P<sup>1</sup>dziw-<sup>1</sup>ia-tra”. Czasami cemia<sup>3</sup> się rado<sup>1</sup>enie; kiedy indziej obserwowa<sup>3</sup> akcj<sup>1</sup>ę z wyj<sup>1</sup>tkow<sup>1</sup> powag<sup>1</sup>, jakby ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> najbardziej ponure z dzie<sup>3</sup> szwedzkiej kinematografii; innym razem wpatrywa<sup>3</sup> się w ekran z bezbrze<sup>1</sup>nym smutkiem, a po policzkach p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ęcy mu strugi<sup>3</sup>ez.

Shepherd O'Conner stanowi<sup>3</sup> zagadk<sup>1</sup>ę spowit<sup>1</sup> w tajemnic<sup>1</sup>ę, lecz Dylan nie zawsze by<sup>3</sup> pewien, czy istnieje jakie<sup>1</sup> rozwiązanie zagadki i czy za tajemnic<sup>1</sup> co<sup>1</sup> się kryje. Wielkie kamienne g<sup>3</sup>o-<sup>1</sup>wy na Wyspie Wielkanocnej, jedna z najwi<sup>1</sup>kszych zagadek na-<sup>1</sup>szej planety Ziemi, wpatrywa<sup>3</sup>y się w niewiadomym celu w mo-<sup>1</sup>rze, ale w o<sup>1</sup>rodku i na zewn<sup>1</sup>trz by<sup>3</sup>y z kamienia.

Shep dwa razy umy<sup>3</sup> zęby i dwa razy oczy<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> je nitk<sup>1</sup>, dwa ra-<sup>1</sup>zy umy<sup>3</sup> ręce przed skorzystaniem z toalety i dwa razy po, a p<sup>1</sup>Ń-<sup>1</sup>niej wróci<sup>3</sup> do sypialni. Usiad<sup>3</sup> na skraju s<sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka i zdj<sup>13</sup> pantofle.

- Ci<sup>1</sup>gle masz skarpetki - zauwa<sup>1</sup>cy<sup>3</sup> Dylan.

Shepherd zawsze spa<sup>3</sup> boso. Kiedy jednak Dylan ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup>, i<sup>1</sup>e-by zdj<sup>1</sup>æ mu skarpety, szybko po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> się i naci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> ko<sup>3</sup>drę pod brodę.

Odstępstwa od codziennej rutyny zawsze mia<sup>3</sup>y zewn<sup>1</sup>trne przyczyny i zawsze wytr<sup>1</sup>ca<sup>3</sup>y Shepa z równowagi; jednak nigdy nie czyni<sup>3</sup> ich z w<sup>3</sup>asnej woli.

Dylan zaniepokoi<sup>3</sup> się.

- Dobrze się czujesz, dziecko?

Shepherd zamkn<sup>13</sup> oczy. Znak, i<sup>1</sup>e nie b<sup>1</sup>dzie rozmowy na temat skarpet.

Mo<sup>1</sup>e by<sup>3</sup>o mu zimno w stopy. Wbudowany w okno klima-<sup>1</sup>tyzator nie ch<sup>3</sup>odzi<sup>3</sup> pokoju równomiernie, lecz kierowa<sup>3</sup> lodo-<sup>1</sup>wate podmuchy nad pod<sup>3</sup>ogę.

Mo<sup>1</sup>e ba<sup>3</sup> się zarazków. Zarazków na dywanie, zarazków na po<sup>1</sup>ecieli, ale tylko zarazków, które mog<sup>1</sup> zagra<sup>1</sup>æ jego stopom. Mo<sup>1</sup>e gdyby wykopa<sup>1</sup> jedn<sup>1</sup> z kamiennych g<sup>3</sup>ów na Wyspie Wielkanocnej, ukaza<sup>3</sup>aby się reszta gigantycznej statuy zako<sup>1</sup>czona stopami w kamiennych skarpetach, których obecno<sup>1</sup>æ by-<sup>3</sup>oby równie trudno wyja<sup>1</sup>nie jak nowe upodobanie Shepa do wzbogacenia nocnego stroju.

Dylanowi za bardzo dokucza<sup>3</sup> ból g<sup>3</sup>owy i wyczerpanie, aby mia<sup>3</sup> się przejmowa<sup>æ</sup> tym, co psychotropowa szprycza wyczynia w jego mózgu, nie mówi<sup>1</sup>c już o skarpetach Shepherd. Poszed<sup>3</sup> do <sup>3</sup>azienki i wykrzywi<sup>3</sup> się do poszarza<sup>3</sup>ej ze zmęczenia twarzy, która spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a na niego z lustra.

\*\*\*

Jilly leż<sup>a</sup>a w <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ku, wpatruj<sup>1</sup>c się w sufit.

Shep leż<sup>a</sup>a w <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ku, wpatruj<sup>1</sup>c się w wewnêtrzn<sup>1</sup> stronê swo-ich powiek.

Szum i dudnienie klimatyzatora, z pocz<sup>1</sup>tku irytuj<sup>1</sup>ce, prze-sz<sup>3</sup>y w spokojny, usypiaj<sup>1</sup>cy pomruk, który rano skutecznie móg<sup>3</sup> zag<sup>3</sup>uszy<sup>æ</sup> trzask zamykanych drzwi samochodów i g<sup>3</sup>osy innych go<sup>1</sup>eci, wstaj<sup>1</sup>cych o <sup>æ</sup>wicie.

Przez klimatyzator na pewno nie us<sup>3</sup>yszeliby te<sup>1</sup> charakterystycznego warkotu silnika podrasowanego chevroleta suburba-na ani odg<sup>3</sup>osów podchodz<sup>1</sup>cych cicho morderców przygoto-wuj<sup>1</sup>cych się do ataku. Jilly przez chwilê próbowa<sup>3</sup>a wzbudzi<sup>æ</sup> w sobie strach na my<sup>1</sup>el o ich bezbronno<sup>1</sup>eci, lecz tak naprawdê na razie czu<sup>3</sup>a się tu bezpiecznie. W ka<sup>1</sup>dym razie fizycznie.

Nie martwi<sup>3</sup>a się o w<sup>3</sup>asne bezpieczeństwo, nie zaprz<sup>1</sup>ta<sup>3</sup>a so-bie g<sup>3</sup>owy bezpo<sup>1</sup>średnim zagro<sup>1</sup>eniem, ale nie potrafi<sup>3</sup>a się po-wstrzyma<sup>æ</sup> od zniechêcenia granicz<sup>1</sup>czego z rozpacz<sup>1</sup>. Dylan wie-rzy<sup>3</sup>, <sup>1</sup>e ma<sup>1</sup> szansê odkry<sup>æ</sup> to<sup>1</sup> samo<sup>1</sup>æ Frankensteina i ustali<sup>æ</sup> charakter tajemniczego zastrzyku, ale ona nie podziela<sup>3</sup>a jego przekonania.

Po raz pierwszy od wielu lat utraci<sup>3</sup>a kontrolê nad w<sup>3</sup>asnym <sup>1</sup>yciem. Musia<sup>3</sup>a nad nim panowa<sup>æ</sup>, bo inaczej czu<sup>3</sup>a się tak jak przez wiêksz<sup>1</sup> czê<sup>1</sup>æ swojego dzieciñstwa: s<sup>3</sup>aba, bezradna, zda-na na <sup>3</sup>askê bezlitosnych si<sup>3</sup>. Nie cierpia<sup>3</sup>a tej bezbronno<sup>1</sup>eci. Ak-ceptacja roli ofiary by<sup>3</sup>a w jej oczach grzechem <sup>æ</sup>miertelnym, a jednak wszystko wskazywa<sup>3</sup>o na to, <sup>1</sup>e nie ma innego wyboru.

W jej mózgu dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup> jakie<sup>1</sup> czarodziejski eliksir psychotropo-wy - dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup> na jej mózg, usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c go zmienia<sup>æ</sup>, co przepe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>o j<sup>1</sup>

groz<sup>1</sup>, kiedy to sobie u<sup>1</sup>ewiadamia<sup>3</sup>a. Nigdy nie bra<sup>3</sup>a narkoty-ków, nigdy się nie upija<sup>3</sup>a, poniewa<sup>1</sup> ceni<sup>3</sup>a swój umys<sup>3</sup> i nie chcia<sup>3</sup>a traci<sup>æ</sup> szarych komórek. W ci<sup>1</sup>gu tych lat, gdy nie mia<sup>3</sup>a niczego, zawsze pozostawa<sup>3</sup>a jej inteligencja, dowcip, bogata wyobra<sup>1</sup>nia. Umys<sup>3</sup> Jilly stanowi<sup>3</sup> gro<sup>1</sup>ñ broñ przeciw <sup>æ</sup>wiatu i schronienie, w którym chowa<sup>3</sup>a się przed okrucieñstwem i nie-szczê<sup>1</sup>eciami. Gdyby kiedykolwiek mia<sup>3</sup>a się dorobi<sup>æ</sup> gluteus mu-chomega, który nêka<sup>3</sup> kobiety w jej rodzinie, gdyby ty<sup>3</sup>ek urós<sup>3</sup> jej do tego stopnia, <sup>1</sup>e wszêdzie musieliby j<sup>1</sup> wozi<sup>æ</sup> w ciê<sup>1</sup>arów-ce z platform<sup>1</sup>, zawsze pozostanie jej umys<sup>3</sup> i satysfakcja z <sup>1</sup>ycia wewnêtrznego. Teraz jednak jej mózg dr<sup>1</sup>u<sup>3</sup> robak, robak zmian, i Jilly nie wiedzia<sup>3</sup>a, ile z niej zostanie albo kim w ogó<sup>1</sup>e bêdzie, gdy ów zakoñczy dzie<sup>3</sup>o.

Mimo <sup>1</sup>e przedtem cieszy<sup>3</sup>a się, gdy razem z Dylanem pora-dzili sobie z par<sup>1</sup> morderców, Kennym i Becky, nie potrafi<sup>3</sup>a przywo<sup>3</sup>æ tamtego poczucia si<sup>3</sup>y, które j<sup>1</sup> przez chwilê uskrzydli<sup>3</sup>o. Martwi<sup>3</sup>a się wizjami, które przynosi<sup>3</sup>y zapowied<sup>1</sup> przemocy, i nie umia<sup>3</sup>a się przekona<sup>æ</sup>, <sup>1</sup>e dar jasnowidzenia znów mo<sup>1</sup>ze jej pomóc ocali<sup>æ</sup> innych - albo <sup>1</sup>e z czasem pozwoli jej panowa<sup>æ</sup> nad w<sup>3</sup>asnym przeznaczeniem o wiele lepiej ni<sup>1</sup> dotychczas.

Negatywnie Nastawiona Jackson. Nigdy nie wierzy<sup>3</sup>a za bardzo w innych ludzi, ale od do<sup>1</sup>æ dawna niezachwianie wierzy<sup>3</sup>a w siebie. Dylan mia<sup>3</sup> w tej sprawie racjê. Ale wiara w siebie za-czê<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> w<sup>3</sup>acenie opuszcza<sup>æ</sup>.

- Tu, tam - szepn<sup>13</sup> ze swojego <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ka Shepherd. - O co chodzi, skarbie?

- Tu, tam.

Jilly unios<sup>3</sup>a się na <sup>3</sup>okciu.

Shep leż<sup>a</sup>a na wznak z zamkniêtymi oczami. Czo<sup>3</sup>o mia<sup>3</sup> zmarszczone z zaniepokojenia.

- Shepherd, nic ci nie jest? - Shep się boi - wyszepta<sup>3</sup>. - Nie bój się.

- Shep się boi.

- Nic nam tu na razie nie grozi - uspokaja<sup>3</sup>a go. - Nikt nie mo<sup>1</sup>ze ci robi<sup>æ</sup> krzywdy.

Poruszy<sup>3</sup> ustami, jak gdyby mówi<sup>3</sup>, ale nie wyda<sup>3</sup> <sup>1</sup>adnego d<sup>1</sup>wiêku.

Shepherd nie by<sup>3</sup> tak wysoki jak brat, lecz wy<sup>1</sup>szy od Jilly, jak doros<sup>3</sup>y mê<sup>1</sup>czyzna, jednak gdy leż<sup>a</sup>a w po<sup>1</sup>ccielei, wydawa<sup>3</sup> się drobny. Z rozczochranymi w<sup>3</sup>osami i ustami ceci<sup>1</sup>gniêtymi w gry-masie strachu wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> dziecinnie.

Jilly ogarnê<sup>3</sup>o w<sup>3</sup>ó<sup>3</sup>czucie, gdy u<sup>1</sup>ewiadomi<sup>3</sup>a sobie, <sup>1</sup>e Shep-herd prze<sup>1</sup>y<sup>3</sup> dwadziecicia lat, w zasadzie



nie kontroluj<sup>1</sup>c w<sup>3</sup>asne-go życia. Co gorsza, jego potrzeba rutyny, ograniczenia doty-cz<sup>1</sup>ce stroju, jakie sam sobie narzuci<sup>3</sup>, skomplikowane zasady jedzenia - wszystko to oświadczy<sup>3</sup>o o rozpaczliwej potrzebie po-czucia w<sup>3</sup>adzy, tam gdzie to mo<sup>3</sup>liwe.

Shep nadal milczy<sup>3</sup>. Przesta<sup>3</sup> poruszać ustami. Z jego twarzy nie znikn<sup>13</sup> wyraz lęku, lecz z<sup>3</sup>agodnia<sup>3</sup>, jak gdyby strach doj-rza<sup>3</sup>, zmieniaj<sup>1</sup>c się w chroniczn<sup>1</sup> obawę.

K<sup>3</sup>ad<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê z powrotem na poduszce, Jilly poczu<sup>3</sup>a wdzięcznoœæ, że nie urodzi<sup>3</sup>a się w takiej pu<sup>3</sup>apce bez wyjœcia jak Shepherd, ale niepokoi<sup>3</sup>a się, że kiedy robak dokona w niej zmian, byæ mo<sup>3</sup>e będzie przypominaæ Shepa.

Po chwili z<sup>3</sup>azienki wyszed<sup>3</sup> Dylan. Wzeczniej zdj<sup>13</sup> buty, które postawi<sup>3</sup> obok dzielonego z bratem s<sup>3</sup>óka.

- Nic ci nie jest? - spyta<sup>3</sup>a Jilly.

- Nic. Jestem tylko... wykończony.

- Bo<sup>3</sup>e, te<sup>3</sup> jestem wypluta.

Po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> się w ubraniu, przygotowany na ewentualny alarm, i utkwi<sup>3</sup> wzrok w suficie, nie gasz<sup>1</sup>c nocnej lampki. Po chwili milczenia powiedzia<sup>3</sup>:

- Przepraszam.

Jilly odwróci<sup>3</sup>a się, by na niego spojrzeć. - Za co?

- Mo<sup>3</sup>e od pocz<sup>1</sup>tku, od naszego spotkania w motelu, wszystko zrobi<sup>3</sup>em Ÿle.

- Na przyk<sup>3</sup>ad?

- Mo<sup>3</sup>e powinniemy iœæ na policjê, zaryzykowaæ. Mia<sup>3</sup>acê ra-cjê, kiedy mówi<sup>3</sup>acê, że nie mo<sup>3</sup>emy wiecznie uciekaæ. Mam obo-wi<sup>1</sup>zek myœleæ za Shepa, ale nie mam prawa ci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ ciê z nami.

- Godny zaufania O'Conner - rzek<sup>3</sup>a - krynica odpowie-dzialnoœci. Melancholijny jak Batman. Szybko, dzwoñ do DC Comics.

- Mówiê powa<sup>3</sup>nie. - Wiem. Urocze.

Nie odrywaj<sup>1</sup>c oczu od sufitu, ucemiechn<sup>13</sup> się.

- Powiedzia<sup>3</sup>em ci dzisiaj du<sup>3</sup>o rzeczy, których nie powinie-nem mówiæ.

- Zosta<sup>3</sup>acê sprowokowany. Wkurzy<sup>3</sup>am ciê. Poza tym ja mó-wi<sup>3</sup>am gorsze rzeczy. Pos<sup>3</sup>uchaj... po prostu nie cierpiê byæ od kogoœ zale<sup>3</sup>na. Zw<sup>3</sup>aszczu od mêt<sup>3</sup>czyzn. Rozumiesz wiêc, że ta-ka sytuacja podzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a na mnie jak p<sup>3</sup>achta na byka.

- Dlaczego „zw<sup>3</sup>aszczu od mêt<sup>3</sup>czyzn”? Odwróci<sup>3</sup>a się od niego i popatrzy<sup>3</sup>a w sufit.

- Powiedzmy, że odchodzi od ciebie ojciec, kiedy masz trzy lata.

Po krótkim milczeniu zachêci<sup>3</sup> j<sup>1</sup>: - Powiedzmy.

- Tak. Powiedzmy, że twoja cudowna matka jest anio<sup>3</sup>em, bohaterk<sup>1</sup>, która zawsze ma dla ciebie czas i nigdy nie mo<sup>3</sup>e się jej staæ nic z<sup>3</sup>ego. Ale on tu<sup>3</sup> przed odejœciem bije j<sup>1</sup> tak, że mat-ka traci oko i do koñca życia musi chodziæ o dwóch laskach.

Mimo zmêczenia i sennoœci Dylan nie ponagla<sup>3</sup> jej, pozwala-j<sup>1</sup>c, by ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a opowieœæ we w<sup>3</sup>asnym tempie.

- Zostawia ciê w nêdzy, na zasi<sup>3</sup>ku, wystawionego na po-gardê ludzi z opieki spo<sup>3</sup>ecznej. To ju<sup>3</sup> Ÿle. Ale potem kilka ra-zy w roku przyje<sup>3</sup>d<sup>3</sup>a z wizyt<sup>1</sup> na jeden albo dwa dni.

- A policja?

- Mama ba<sup>3</sup>a się dzwoniaæ, kiedy się zjawia<sup>3</sup>. Drañ powie-dzia<sup>3</sup>, że jeżeli wyda go policji, to wyjdzie za kaucj<sup>1</sup>, wróci i wy-bije jej drugie oko. I jedno mnie. By<sup>3</sup>by do tego zdolny.

- Skoro odszed<sup>3</sup>, to po co w ogóle wraca<sup>3</sup>?

- Ćebyemy się ci<sup>1</sup>gle ba<sup>3</sup>y. Ćeby ci<sup>1</sup>gle mieæ nad nami w<sup>3</sup>a-dzê. Chcia<sup>3</sup> dostawaæ czêœæ jej zasi<sup>3</sup>ku. I zawsze dostawa<sup>3</sup>, bo czêsto jad<sup>3</sup>yemy darmowe obiady w kuchni koœcio<sup>3</sup>a. Wiêkszoœæ ubrañ te<sup>3</sup> mia<sup>3</sup>yemy za darmo z koœcielnego sklepiku z u<sup>3</sup>ywa-nymi rzeczami. Tak wiêc tatuœ zawsze mia<sup>3</sup> swoj<sup>1</sup> czêœæ.

Przypomnia<sup>3</sup>a sobie ojca stoj<sup>1</sup>cego w drzwiach mieszkania i ucemiechaj<sup>1</sup>cego się do niej gro<sup>3</sup>nym ucemiechem. I jego g<sup>3</sup>os: „Przyszed<sup>3</sup>em po ubezpieczenie za oko, maleñka. Macie doda-tek do ubezpieczenia za oko?”.

- Wystarczy - powiedzia<sup>3</sup>a. - To nie ma byæ wieczór litoœci. Chcia<sup>3</sup>am tylko, żebyœ zrozumia<sup>3</sup>, że nie

chodzi o ciebie. Po prostu... nie umiem być zależna od kogokolwiek.

- Wcale nie musiałam ci tłumaczyć.

- Ale próbowałam. - W pamięci ci głębiej mającym twarz ojca i wiedzą, że mimo zmęczenia nie zanieca, dopóki nie uwolni się od tej zjawy. - Ty musiałeś mieć wspaniałego tatę.

- Dlaczego tak się dzisz? - zdumiała się.

- Widzę, jak świetnie radzisz sobie z Shepem.

- Mój ojciec był inwestorem pomagającym przedsiębiorcom zakładać nowe spółki nowoczesnych technologii. Pracował po osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Być może był wspaniałym facetem, ale spędzałem z nim za mało czasu, żeby się o tym prze-

konać. Wpadł w poważne kłopoty finansowe. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem, tuż przed zachodem słońca, pojechał na parking przy plaży ze wspaniałym widokiem na Pacyfik. Był zimno. Nikt nie pływał, nie surfował na desce. Na ołtarzu w lesie na rurę wydechową, drugi koniec wsunął przez okno do samochodu. Potem usiadł za kierownicą i wziął sporą dawkę nembutalu. Ojciec był bardzo skrupulatny. Zawsze miał plan awaryjny. Zgasł podczas jednego z najbardziej malowniczych zachodów słońca w roku. Shep i ja oglądaliśmy zachód ze wzgórza za naszym domem, wiele mil od tamtej plaży. Oczywiście nie widzieliśmy, że on też go ogląda, umierając.

- Kiedy to się stało?

- Miałem piętnaście lat, Shep pięć. Prawie piętnaście lat temu.

- Przykre - powiedziała.

- Tak. Ale nie zamieniłbym się z tobą. - Jak się więc nauczyłeś?

- Czego?

- Tak dobrze opiekowałem się Shepem. Zgasł lampę. W ciemności rzekł:

- Od mamy. Też umarła młodo. Była wspaniała, taka czuła dla Shepa. Ale czasem można się też nauczyć czegoś dobrego na złym przykładzie.

- Chyba tak.

- Nie żadne chyba. Spójrz na siebie.

- Na mnie? Jestem do kitu - powiedziała. - Pokaż mi kogoś, kto nie jest. Zastanawiając się nad takim osobą, w końcu zasniesz.

Gdy ocknął się po raz pierwszy z pozbawionego majaków bólego snu, usłyszał ciche chrapanie Dylana.

W pokoju było zimno. Klimatyzator już się wyłączył.

Nie obudził jej jednak chrapanie Dylana, lecz chyba głos Shepa. Szepczący trzy słowa:

- Shep się boi.

Słyszyc z kierunku, z jakiego dobiega głos, Shep chyba ci głębiej leżał w łóżku.

- Shep się boi.

- Shep jest dzielny - odpowiedziała mu szeptem. - Shep się boi.

- Shep jest dzielny.

Shepherd zamilkł, a Jilly po jakimś czasie ponownie zapadła w sen.

Kiedy obudziła się drugi raz, znów usłyszała ciche chrapanie Dylana, ale przez zaciśnięte zasłony przebijały promienie słońca, lecz nie słabego blasku poranka, tylko ostrego światła przedpołudnia.

Jilly dostrzegła także inne światło padające zza nieodkrytych drzwi sypialni. Krwistoczerwone światło.

W pierwszej chwili pomyślała, że to pożar. Jednak gdy wy-skakiwała z łóżka i miała już to słowo na końcu języka, zorientowała się, że to nie jest blask skaczących promieni, ale coś zupełnie innego.

Wyrwany ze snu Dylan usiadł, potem wstał i wsunął buty, ci głębiej nieprzytomny, jak dobrze wyawiczo-ny strażak, który na dźwięk alarmu potrafi przez sen nałożyć rękawice, a budzi się dopiero, gdy zjeżdża po rurze.

Według zegara na nocnym stoliku było dwanaście po dwudziestej, a według Jilly mieli kłopoty - chociaż nie powiedziała, widziała to było po jej minie i szeroko otwartych oczach, z których wycierał łęk.

Dylan pierwszy zauważył, że Shepa nie ma w łóżku ani w ogóle w pokoju.

Potem dostrzegł ognisty blask za na wpół przymkniętymi drzwiami sypialni. Ognisty, lecz nie był to

blask pojaru. Piekielna czerwień jak z koszmaru, szkarłat i ochra nałożone na anilinową czerń. Pomarańczowoczerwona i brunatnoczerwona poewiata kująca w oczy jak światło w nocnej scenie filmowanej w podczerwieni. Zowieszczy czerwony blask oczu wygładnia go węża wyruszającego na nocne polowanie. Światło miało wszystkie te cechy, a jednak żadna z nich nie mogła go w pełni opisać, bo było nie do opisanego i przerosło talent Dylana, gdyby kiedykolwiek próbował oddać je na półtę.

W żażience nie było okien. To nie mogło być po prostu słońce poranka przenikające przez kolorowe zasłony. Lampa jarzeniowa nad umywalką również nie mogła stanowić Źródła tak niesamowitego oświetlenia.

Dziwne, że na sam widok światła Dylan poczuł ucisk w żołądku i napięcie mięśni, a serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Miał przed oczami jasność, jakiej nie spotyka się w naturze, niepodobną też do niczego, co stworzył człowiek, więc zbudziły się wszystkie zabobony drzemące w zakamarkach jego duszy.

Zbliżając się do żażienki, stwierdził, że czuje dotyk blasku, ale inaczej niż w lecie czuje żar słońca, kiedy wychodzi spod cienistego drzewa. Światło zdawało się pełzną po jego skórze, jak gdyby uwijały się na niej setki mrówek, z początku na twarzy, gdy stanął w jasnej plamie, a potem na prawej ręce, gdy przyłożył ją do drzwi.

Jilly stała obok niego i choć pozostawała poza kręgiem światła, na jej twarzy odbijała się czerwona poewiata. Zerknął na nią przelotnie, Dylan od razu się zorientował, że ona także poczuła niezwykły dotyk. Drgnęła i z lekkim grymasem odrzuciła twarz do tyłu, jak gdyby przywarły do niej strzępy lepkiej pajęczyny.

Dylan nie był znawcą nauki, interesował się jedynie tymi aspektami biologii i botaniki, które pomagały mu precyzyjniej oddać naturę w swoich obrazach, nie mógł na go też być nazwał nawet fizykiem kawiarnianym. Wiedział jednak, że ośmiertelne promieniowanie, nawet to powstałe po wybuchu bomby jądrowej, nigdy nie pobudza zmysłu dotyku, tak jak mniej ośmiertelne promienie rentgenowskie aplikowane podczas prześwietlenia w gabinecie dentystycznym nie wywołują najmniejszego mrowienia w szczęce; ci, którzy przeżyli wybuch w Hiroszynie, a po tym zmarli na chorobę popromienną, nigdy nie czuli miliardów cząstek subatomowych bombardujących ich ciała.

Choć nie przypuszczał, by wywołane przez światło kłucie mogło stanowić niebezpieczeństwo, wciąż się wahał. Mógłby zamknąć drzwi i odwrócić się, nie zaspokajając ciekawości, gdyby po drugiej stronie nie było Shepa, który być może potrzebował pomocy.

Wymówił imię brata, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Nic dziwnego. Mimo że czasem Shep bywał bardziej rozmowny od kamienia, najczęściej reagował równie żywo jak granit. Dylan zawołał jeszcze raz i gdy odpowiedział mu milczenie, otworzył drzwi.

Spodziewał się zobaczyć kabinę prysznicową. I toaletę. Umywalkę, lustro, wieszak na ręczniki.

Ale nadnercza wstrzyknęły do jego krwi kolejną dawkę adrenalinę, a żołądek skręcił się w bardzo nieprzyjemny sposób, gdy w oświetlenie obok umywalki ujrzał drzwi, których wcześniej tam nie było. Za tym wejściem znajdowało się Źródło dziwnego czerwonego światła.

Z wahaniem przestąpił próg i wszedł do żażienki.

Słowo „drzwi” nie określało najlepiej owego tajemniczego otworu. Nie było prostokątne, lecz okrągłe jak wąż w przegrodzie między dwoma przedziałami okrętu podwodnego. „Wąż” też nie był trafnym słowem, ponieważ dziura w oświetleniu nie miała ościeżnicy.

Otwór ośrednicy sześciu stóp wydawał się pozbawiony gębi, jak gdyby namalowano go na oświetleniu.

Bez nadproża, bez ościeżnicy, bez progu. Jednak za nim rozciągała się zdecydowanie trójwymiarowa przestrzeń: leniwy czerwony tunel, który kończył się tarczą niebieskiego światła.

Dylan widział arcydzieło trompe l'oeil których twórcy, posługując się wyjątkowo kolorowymi i wspaniałym talentem, stworzyli iluzję gębi i przestrzeni zupełnie mylące ludzkie oko. To jednak nie było po prostu zręczne malowidło.

Przed wszystkim ciemnoczerwony blask bijący od oświetlenia tunelu promieniował do wnętrza żażienki.

Dziwne światło położyło się na winylowej podłodze, odbijało się od lustro - i pełzło po jego odsłoniętej skórze.

Poza tym ścianiany tunelu nieustannie się obracały, jak gdyby był to korytarz w wesołym miasteczku, beczka śmiechu, w której goście sprawdzali, czy potrafi utrzymać równowagę. Malowidło trompe l'oeil mogło stworzyć iluzję gębi, faktury i rzeczy-wistości - lecz nie mogło dać iluzji ruchu.

Jilly weszła do szatni i stanęła obok Dylana.

Powstrzymała ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Razem przyglądali się w zdumieniu tunelowi, który miał co najmniej trzydzieści stóp długości.

Oczywiście, że to było niemożliwe. Do pokoju przylegał inny pokój motelowy; wspólna instalacja hydrauliczna zmniejszała koszty budowy. Gdyby w ścianie wykuto dziurę, zobaczyliby tylko identyczną szatnię. Ale nie tunel, na pewno nie tunel. Tunelu nie było w czym wydrzeć; szatni nie wybudowano na zboczu wielkiej góry.

Mimo to mieli przed oczyma tunel. Dylan zamknął oczy. I otworzył Tunel. Sześć stóp średnicy. Łeni i wirowa.

*Witajcie w beczce śmiechu. Proszę kupić bilet i sprawdzić, czy umieją państwo utrzymać równowagę.*

Zresztą ktoś już wszedł do beczki. Na tle lazurujacej tarczy rysowała się sylwetka mężczyzny stojącego na końcu korytarza. Dylan nie miał wątpliwości, że to Shep. Shepherd stał na końcu tunelu odwrócony do nich plecami i wpatrywał się w błąkit.

Jedli więc Dylan poczuł, jak podłoga się pod nim porusza, i miał wrażenie, że może wpaść przez dziurę do szybu głębokiego jak wieczność, nie było to efekt działania tunelu, tylko psychologiczna reakcja na świadomość, że rzeczywistość, jak znalazł, okazała się mniej stała, niż przypuszczał.

Oddychając z trudem i wyrzucając z siebie pospiesznie słowo, Jilly gorączkowo szukała wyjaśnienia:

- Do diabła z tym, do diabła z tym wszystkim, nie obudziłam się, na pewno jeszcze się nie obudziłam.

- Obudziłam się.

- Pewnie też mi się śni.

- To nie jest sen - powiedziała drżącym głosem.

- Ach, tak, to nie sen - wzdanie to być powiedziała, gdybyć mi się śni.

Podłoga jej dłoń na ramieniu nie dlatego, że się bała, że Jilly skoczy w głęb tunelu, po prostu obawiała się, że otwór wciągnie ją wbrew jej woli. Wirujące ścianiany przypominały wir, który po prostu kałdego, kto odważy się za bardzo zbliżyć do jego rozwar-tej paszczy. Jednak z każdą sekundą coraz mniej lękała się siły cyklonu, z jakim tunel mógłby ich pochłoniąć.

- Co się dzieje? - zapytała Jilly. - Co to jest, do cholery, co to jest?

Z otchłani za ścianą nie dobiegał żaden dźwięk. Obracająca się powierzchnia tunelu wyglądała, jakby miała góroco zgrzytać lub dudniać, albo przynajmniej bulgotać jak kipiła magma, a jednak wirowała w absolutnej ciszy.

Z otworu nie dolatywała najmniejszy powiew, ani gorąca, ani chłodu. Ani żaden zapach. Tylko światło.

Dylan zbliżył się do portalu.

- Nie - przestraszyła się Jilly.

Stojąc tuż przed otworem, najpierw spróbowała zbadać granicę ścian szatni i wejścia do tunelu, ale krawędź okazała się... nieostrą... niewyraźną plamą, w której nie potrafiła dostrzec

żadnego konkretnego szczegółu, choćby nie wiadomo jak wytężyła wzrok. Denerwowała się, że co chwilę odwraca wzrok od linii pośczenia, jakby jakaś prymitywna strona jego duszy wierzyła, że jeżeli spojrzy prosto, może zobaczyć tajne królestwo przerażających istot ukryte przed tym światem, istot, które sterują całym wszechświatem, i że ten widok z pewnością przyprawi go o natychmiastowe szaleństwo.

Gdy miała trzydzieści, czterdzieści lat, z dreszczykiem grozy czytała makabryczne opowieści H. P.

Lovecrafta. Teraz nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że u Lovecrafta było więcej prawdy niż fikcji.

Porzucając próby zbadania granicy między szatnią a tunelem, starała się skupić wzrok na jednym punkcie wirujących ścian, aby określić naturę i twardość materiału. Przy bliższych oglądzinach okazało się, że korytarz jest uformowany ze świetli-stej mgiełki, a może patrzył w tunel czystej energii; być może tak wygląda lej tornada z bocznej perspektywy.

Niepewnie po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> praw<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ na oecianie obok tajemniczej bramy. Malowana p<sup>3</sup>yta gipsowa by<sup>3</sup>a ciep<sup>3</sup>a i przyjemnie nor-malna.

Przesuwaj<sup>1</sup>c r<sup>3</sup>ekê po oecianie w lewo, w kierunku otworu, mia<sup>3</sup> nadziejê poczuæ granicê miêdzy motelem a tunelem i zrozu-mieæ, na czym polega to po<sup>3</sup>czenie. Kiedy jednak d<sup>3</sup>oñ zeœli-znê<sup>3</sup>a siê z gipsu, wpadaj<sup>1</sup>c w otwarte wejœcie, nie wyczu<sup>3</sup> ðad-nych szczegó<sup>3</sup>ów struktury, nic poza zimnem - a tak<sup>3</sup>e czerwonym œwiat<sup>3</sup>em, które jeszcze gwa<sup>3</sup>townie<sup>3</sup> zaczê<sup>3</sup>o pe<sup>3</sup>zaæ po skórze uniesionej d<sup>3</sup>oni.

- Nie, nie ró<sup>3</sup>b tego! - ostrzeg<sup>3</sup>a Jilly.

- Czego?

- Nie wchod<sup>3</sup> tam.

- Przecie<sup>3</sup>, nie wchodzê.

- Wygl<sup>1</sup>dasz, jakbyœ chcia<sup>3</sup> wejœæ.

- Po co mia<sup>3</sup>bym tam wchodziæ?

- Za Shepem.

- Nie mam mowy, ðeby<sup>3</sup> tam wszed<sup>3</sup>.

- Za Shepem skoczy<sup>3</sup>byœ w przepaœæ.

- Nie skoczy<sup>3</sup>bym w przepaœæ - zapewni<sup>3</sup> j<sup>1</sup> zniecierpliwiony.

- Skoczy<sup>3</sup>byœ - upiera<sup>3</sup>a siê. - Mia<sup>3</sup>byœ nadziejê, ðe z<sup>3</sup>apiesz go w locie i wyl<sup>1</sup>dujecie w stogu siana.

Skoczy<sup>3</sup>byœ, na pewno. Chcia<sup>3</sup> tylko sprawdzaæ rzeczywistoœæ tego, co widzia<sup>3</sup>, po-twierdzaæ, ðe to naprawdê trójwymiarowe zjawisko, brama, a nie okno, prawdziwe wejœcie do innego œwiata, a nie tylko jego wi-dok. Potem chcia<sup>3</sup> siê cofn<sup>1</sup>æ i przemyœlaæ sytuacjê, spróbowaa<sup>3</sup> u<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yæ logiczny plan dzia<sup>3</sup>ania do kompletnie nielogicznego roz-woju wypadków.

Przyciskaj<sup>1</sup>c mocno r<sup>3</sup>ekê do p<sup>3</sup>aszczyzny, gdzie powinna znaj-dowaæ siê oeciana, nie napotka<sup>3</sup> ðadnego oporu, pod obrazem tu-nelu nie by<sup>3</sup>o gipsu. Siêgn<sup>13</sup> z <sup>3</sup>azienki w g<sup>3</sup>1b tego innego z<sup>3</sup>owro-giego œwiata, czuj<sup>1</sup>c lodowaty ch<sup>3</sup>ód i dotyk œwiat<sup>3</sup>a, jakby wokó<sup>3</sup> palców nie biega<sup>3</sup>y mu ju<sup>3</sup> setki mrówek, lecz tysi<sup>1</sup>ce ðuków o twarde skorupach gotowych oderwaæ mu miêso od koœci.

Gdyby dopuœci<sup>3</sup> do g<sup>3</sup>osu instynkt, natychmiast cofn<sup>13</sup>by r<sup>3</sup>ekê, uwa<sup>3</sup> jednak, ðe musi dog<sup>3</sup>êbniej zbadaæ tê niewiarygodn<sup>1</sup>

sytuacjê. Siêgn<sup>13</sup> dalej, wsuwaj<sup>1</sup>c w bramê d<sup>3</sup>oñ a<sup>3</sup> po nadgarstek i choæ skrzywi<sup>3</sup> siê od przenikliwego zimna i okropnego owadzie-go dotyku œwiat<sup>3</sup>a, siêga<sup>3</sup> jeszcze dalej, wsadzaj<sup>1</sup>c r<sup>3</sup>ekê po <sup>3</sup>okieæ, a potem sta<sup>3</sup>o siê oczywicie to, przed czym ostrzeg<sup>3</sup>by go instynkt, gdyby Dylan pos<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup> jego g<sup>3</sup>osu - tunel go wci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>.

## 24 Dylan nie wpad<sup>3</sup> w otch<sup>3</sup>añ, nie przeszed<sup>3</sup>, nie przebieg<sup>3</sup> ani nie przelecia<sup>3</sup> przez

tunel, w ogóle nie czu<sup>3</sup>, ðe przenosi siê w przestrzeni, ale w mgnieniu oka opuœci<sup>3</sup> motelo-w<sup>1</sup> <sup>3</sup>azienkê i znalaz<sup>3</sup> siê obok Shepa. Poczu<sup>3</sup>, jak buty odrywa-j<sup>1</sup> siê od winylowych p<sup>3</sup>ytek pod<sup>3</sup>ogi i w tej samej chwili l<sup>1</sup>duj<sup>1</sup> na miêkkiej ziemi. Spojrza<sup>3</sup> w dó<sup>3</sup> i stwierdzi<sup>3</sup>, ðe stoi w wysokiej do kolan trawie.

Jego nieoczekiwane przybycie sp<sup>3</sup>oszy<sup>3</sup>o chmarê muszek, które poderwa<sup>3</sup>y siê ze z<sup>3</sup>otobr<sup>1</sup>zowej trawy, wysuszonej letnimi upa<sup>3</sup>ami. Kilka przestraszonych pasikoników odskoczy<sup>3</sup>o na bok, szukaj<sup>1</sup>c bezpiecznego schronienia.

Zaraz po wyl<sup>1</sup>dowaniu w trawie Dylan wrzasn<sup>13</sup>:

- Shep!

Ale Shepherd w ogóle nie zwróci<sup>3</sup> uwagi na jego przybycie. W momencie gdy Dylan zorientowa<sup>3</sup> siê, ðe stoi na wzgó<sup>3</sup>zu, nad g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> ma b<sup>3</sup>êkitne niebo i czuje ciep<sup>3</sup>y podmuch lekkiego wietrzyku, odwróci<sup>3</sup> siê od widoku, który fascynowa<sup>3</sup> Shepa, i spojrze<sup>3</sup> za siebie tam, gdzie powinien byæ tunel. Ujrza<sup>3</sup> jednak Jillian Jackson stoj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> w motelowej <sup>3</sup>azience - jej portret o œred-nicy szeœci<sup>3</sup>u stóp, lecz nie na koñcu czerwonego korytarza, a tu<sup>3</sup> przed sob<sup>1</sup>, jak gdyby sta<sup>3</sup>a przy nim, a on przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê jej przez okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>e okno pozbawione ram.

Kiedy Dylan patrzy<sup>3</sup> na niego z <sup>3</sup>azienki, Shepherd wydawa<sup>3</sup> siê bardzo dalek<sup>1</sup> kruch<sup>1</sup> sylwetk<sup>1</sup> na b<sup>3</sup>êkitnym tle. Widziana z koñca korytarza postaa<sup>3</sup> Jilly by<sup>3</sup>a naturalnych rozmiarów. Dy-lan domyœla<sup>3</sup> siê jednak, ðe ona z <sup>3</sup>azienki widzi go jako ma<sup>3</sup>1 fi-gurkê obok Shepa, poniewa<sup>3</sup> pochyli<sup>3</sup>a siê w stronê

wejścia do tunelu, gdzie sam stał jeszcze przed chwilą, i mrugając oczy, wytężył wzrok, by zobaczyć jego twarz.

Otworzyła usta i poruszyła wargami. Może wymówiła jego imię, ale choć zdawało się, że stoi zaledwie kilka cali od niego, Dylan nie słyszał nawet przytęmionego dźwięku.

Widok azienki polatującej nad wzgórzem jak gigantyczna bańka zdezorientował go. Zakrzyknął mu się w głosie. Poczucie,

jakby przypominająca powierzchnię morza ziemia usuwała mu się spod nóg, a on nie miał się bronić przed snem.

Chciał wyjść z suchej trawy i wrócić do motelu, bo wprawdzie przybył na szczyt wzgórza bez żadnego fizycznego uszczerbku, to jednak się obawiał, że musiał zostawić tam jakąś istotną część siebie, ważną nie umysłu czy ducha, bez której wkrótce całość się spruje.

Zamiast wrócić do azienki, zaciekawiony obszedł bramę, chcąc sprawdzić, jak wygląda z boku.

Odkrył, że portal nie przypomina ani okna, ani bańki, a raczej gigantyczny stojący na krawędzi monet. Z profilu wyglądał jak dziesięciocentówka, choć nie miał zblakowania, jakie można znaleźć na rantach większości monet. Cienka srebrzysta linia biegnąca ukiem z brzożowej trawy w górę i niemal niewidoczna na tle jasnoniebieskiego nieba mogła być nawet większa niż krawędź dziesięciocentówki, odrobinę szersza od okna, jak gdyby brama była tylko tarczą - półprzezroczystą i cienką niczym błona skrzydła muchy.

Brnąc przez trawę, Dylan przeszedł na drugą stronę portalu i stracił z oczu brata.

Z miejsca położonego sto osiemdziesiąt stopni od punktu, w którym stał przed chwilą, brama wyglądała identycznie jak z przodu. Odrapaną azienka motelowa. I wychylona do przodu Jilly, która wpatrywała się z niepokojem w górny tunel.

Nie widząc Shepa, Dylan zaczął się denerwować. Szybko okrążył bramę i wrócił do miejsca, z którego rozpoczął oględziny. Shep stał tak, jak Dylan go zostawił: z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż ciała, głowę przechylił na prawo, pa-trzył na zachód i w dół na znajomą panoramę. Jego smutny uśmiech wyrażał melancholię i zarazem szczęście.

Faliste wzgórza pokryte zółtą trawą ciągnęły się na północ i południe, gdzieś tam ozdobione rosnącymi z rzadka drzewami kalifornijskimi, które rzucały długie poranne cienie, a u stóp wzniesienia, na którym stał, leżała ślika. Na zachód od niej widać było wiktoriański dom z szeroką werandą z tytu. Za domem także rozciągały się bujne śliki, a ciwiry podjazd prowa-dził do autostrady biegnącej wzdłuż brzegu.

Wierze mili na zachód od asfaltowej jezdni rozpoczęła się Ocean Spokojny niczym ogromne zwierciadło, w którym odbicie nieba przybrało głębszy, bardziej uroczyście odbicie błękitu.

Było to miejsce położone daleko na północ od Santa Barbara w Kalifornii, na słabo zaludnionym skrawku wybrzeża,

około mili od najbliższych osiadów - dom, w którym dorastał Dylan. To wacenie tutaj ponad dziesięć lat temu zmarła ich matka i tu Dylan i Shep cięgle wracali między długimi podróżami na festiwale sztuki, które odbywały się na Zachodzie i Południowym Zachodzie.

- Wariactwo! - W tym jednym słowie wybuchła cała tęmiona do tej pory złość. Wyrzucił je z siebie tak gwałtownie, jakby warknął „Niech to szlag” lub coś bardziej dosadnego na wiadomość, że na loterii wyciągnięty los różnił się od numeru wygrywającego sto milionów dolarów, albo gdyby ręką się młotkiem w palec. Miał mętlik w głowie, bał się i czuł, że za chwilę eksploduje, jeżeli będzie stał nieruchomo i milcząco jak Shep, więc dodał: - Czyste wariactwo!

Jeszcze dalej na północ stąd, na pustym parkingu obok plaży, piętnaście lat temu popełnił samobójstwo ich ojciec. Z tego wzgórza, nieświadomy, że ich życie wkrótce się zmieni, Dylan i Shep oglądali malowniczy grudniowy zachód słońca, na który ich ojciec patrzył przez mgłę nembutalu i tlenku węgla, zapadał w wieczny sen.

Byli setki mil od Holbrook w Arizonie, gdzie położyli się spać.

- Wariactwo - ciągnął Dylan. - To wszystko jest pokręcone. Solidnie kopnięte. Zupełnie pokopane. Ciepłe promienie słońca, woń morza wyczuwalna w powietrzu, cykanie ćwierzczy w suchej trawie: choć wszystko mogło wydawać się snem, było prawdziwe.

Zwykle Dylan nie pytał brata o wyjaśnienie żadnej tajemnicy. Shepherd O'Conner nie był rodzajem

odpowiedzi, wyjaśnień ani spostrzeżeń. Shep by³ krynic¹ chaosu, tryskaj¹c¹ fontann¹ zagadek i prawdziwym gejzerem tajemnic.

Gdyby jednak me zwróci³ siê do Shepherd, równie dobrze mógłby szukaæ odpowiedzi u œwierszczy w trawie albo u mu-szek polatuj¹cych sennie w rozgrzanym s³oñcem wietrzyku.

- Shep, s³uchasz mnie?

Shep ucemiechn¹³ siê smutno do widocznego poni¿ej domu. - Shep, musisz mnie przez chwilê pos³uchaæ. I odpowie-dziaæ. Musisz mi powiedziaæ, jak siê tu dosta³eœ.

- Pokopane - powiedzia³ Shep. - Kopr¹æ, przy³o¿yæ... - Shep, nie zaczynaj.

- ...ugodziaæ, zdzeliæ, przysun¹æ... - Shep, tak nie mo¿na.

- ...zasun¹æ, do³o¿yæ, przylaæ...

Dylan stan¹³ na wprost brata, mocno z³apa³ go za ramiona i potrz¹sn¹³, chc¹c zwróciæ na siebie jego uwagê.

- Shep, spójrz na mnie, zobacz mnie w koñcu, skup siê. Jak siê tu dosta³eœ?

...zdzeliæ, wymierzyæ cios...

Szarpi¹c bratem jeszcze mocniej, jak gdyby chcia³ wytr¹-sn¹æ z ch³opaka urywan¹ litaniê synonimów, Dylan powiedzia³: - Doœæ, wystarczy, koniec z tym gównem, koniec!

- ...przysoliaæ, przy³oiaæ...

Dylan puœci³ ramiona Shepa i chwyci³ d³oñmi jego twarz, œciskaj¹c mu g³owê w dziesiêciopalczastym imadle.

- Nie chowaj siê przede mn¹, nie wciskaj mi tego kitu co za-wsze, nie teraz, Shep, nie teraz, kiedy dziej¹ siê takie rzeczy. ...paln¹æ, kropn¹æ, waln¹æ.

Mimo ¿e Shep z ca³ej si³y stara³ siê trzymaæ opuszczon¹ g³o-wê, Dylan nieustêpliwie unosi³ mu brodê.

- Pos³uchaj mnie, mów do mnie, popatrz na mnie! Zmuszony do konfrontacji Shepherd zamkn¹³ oczy. - Szturchn¹æ, trzasn¹æ...

Dziesiêæ lat frustracji, dziesiêæ lat cierpliwoci i poœwiêcenia, dziesiêæ lat czujnoœci, by Shep niechc¹cy nie zrobi³ sobie krzyw-dy, ty¹ce dni krojenia jedzenia na równe prostok¹tne i kwa-dratowe kêsy, niezliczone godziny spêdzone na zamartwianiu siê tym, co siê stanie z Shepherdem, gdyby zrz¹dzeniem losu prze¿y³ swojego brata: wszystko zwali³o siê na Dylana jak la-wina, jeden ciê¿ki kamieñ za drugim, jeden za drugim, Bo¿e drogi, a¿ poczu³ siê tak przygnieciony ogromnym brzemieniem, ¿e nie mógł ju¿ szczerze powiedziaæ: „Nie jest mi wcale ciê¿ko, to przecie¿ mój brat”. ³ycie z Shepherdem by³o bardzo ciê¿kie, ciê¿sze ni¿ g³az, który Syzyf musia³ przez wiecznoœæ wtaczaæ po d³ugim czarnym zboczu w Hadesie, ciê¿szym ni¿ œwiat na bar-kach Atlasa.

...tr¹ciaæ, trzepn¹æ...

Twarz Shepherd, œcieniona miêdzy wielkimi d³oñmi Dylana zmarszczy³a siê i wykrzywi³a jak buzia dziecka, które zaraz wy-buchnie p³aczem. Mówi³ niewyraŹnie.

- Kopr¹æ, przy³o¿yæ, ugodziaæ...

- Powtarzasz siê - powiedzia³ ze z³oœci¹ Dylan. - Zawsze siê powtarzasz. Dzieñ po dniu, tydzieñ po tygodniu, wci¹¿ ten sam nieznoœny ustalony porz¹dek, rok po roku, zawsze to samo ubranie, zawsze ta sama uboga lista gówna, które mo¿esz jeœæ, zawsze dwa razy mycie r¹k, zawsze dziewiêæ minut pod prysznicem, nigdy osiem ani dziesiêæ, zawsze dok³adnie dziewiêæ, i ca-³e ¿ycie ze spuszczon¹ g³ow¹, ze wzrokiem wbitym we w³asne buty, ci¹gle te same g³upie lêki, te same nieznoœne tiki, ciach dy-lu-dylu, i wci¹¿ siê powtarzasz, bez koñca g³upio siê powtarzasz! - ...zdzeliæ, przysun¹æ, zasun¹æ...

Palcem wskazuj¹cym prawej rêki Dylan spróbowal³ unieœæ bratu powiekê, rozewrzeæ j¹ si³¹.

- Spójrz na mnie, Shep, popatrz na mnie, popatrz. - ...do³o¿yæ, przylaæ...

Chocia¿ Shepherd sta³ z rêkami opuszczonymi luŹno wzd³u¿ boków, w ogóle siê nie broni¹c, zaciska³ mocno oczy, stawiaj¹c opór palcowi Dylana.

- ...zdzeliæ, wymierzyæ cios... - Popatrz na mnie, gówniarzu! - ...przysoliaæ, przy³oiaæ...

- POPATRZ NA MNIE!

Shep przesta³ siê opieraæ i otworzy³ lewe oko, a palec Dylana przycisn¹³ mu powiekê prawie do brwi. Ch³opak popatrzy³ na brata jak nigdy dot¹d, a jego jednookie spojrzenie wygl¹da³o jak ¿ywcem wziête z plakatu reklamuj¹cego horror: by³o kwin-tesencj¹ przera¿enia, jak wzrok ofiary, której przybysz z

innego  wiata za moment rozszarpie gard o albo zombi wyrwie serce, albo ob kany psychiatra otworzy czaszk  i po re m zg, popi-jaj c kieliszkiem doskona ego caberneta.

Popatrz na mnie... Popatrz na mnie... Popatrz na mnie... Dylan s ysza  te trzy s owa odbijaj ce si  echem od otaczaj cych ich wzg r , coraz ciszej, a chocia  wiedzia ,  e s ucha w asne-go w eciek ego wrzasku, glos brzmia  w jego uszach obco, ostro i brutalnie, i drga  w nim zimny gniew, o jaki Dylan nigdy by si  nie podejrzewa , ale tak e strach, kt ry bez trudu rozpozna .

Z jednym okiem zamkni tym, a drugim szeroko otwartym, Shepherd powiedzia :

- Shep si  boi.

Spogl dali na siebie tak, jak chocia  Dylan, oko w oko, otwarcie i nieugi cie. Panika brata obezw adnia  Dylana, kt ry poczu ,  e nie mo e z apa  tchu, a serce  cisn o mu si  bole enie jak przek ute ig .

- Shep si  b-boi.

Jasne,  e ch opak si  ba , bez w tpienia by  dziko przera o-ny, niewykluczone,  e bardziej ni  w ci gu dwudziestu lat cz stych napad w l ku. I cho  jeszcze przed chwil  m g  si  ba   wietlistego tunelu, kt ry w mgnieniu oka przeni s  go z pusty-

ni we wschodniej Arizonie na wybrze e Kalifornii, teraz mia  nowy pow d do trwogi: w asny brat w jednej chwili przeisto-czy  si  w kogo  obcego, wrzeszcz cego i agresywnego, jakby s o ce podzia a o niczym ksi yc i zmieni o Dylana z cz owieka w z ego wilka.

- Shep-p si  boi.

Wstrz eni ty strachem widocznym w spojrzeniu brata Dylan cofn  palec, kt rym przyciska  powiek , pu ci  jego g ow  i cofn  si , dr c z odrazy do siebie i wstydu.

- Shep si  boi - powt rzy  ch opak, otwieraj c szeroko oczy. - Przepraszam, Shep.

- Shep si  boi.

- Przepraszam. Nie chcia em ci  przestraszy , bracie. Nie chcia em powiedzie  tego, co powiedzia em, ani jednego s owa, zapomnij o tym.

Shep przymkn  oczy do tej pory szeroko otwarte z przera- enia. Zgarbi  si , spu ci  g ow  i przechyli  j  na bok, przyjmu-j c  agodn  i niezgrabn  postaw , kt r  og asza   wiatu,  e jest nieszkodliwy; w tej skromnej pozycji chcia  przej c przez  ycie, nie zwracaj c na siebie niczyjej uwagi, nie przyci gaj c spojrze  niebezpiecznych ludzi.

Jednak ch opak nie zapomni  tak szybko o konfrontacji z bratem. Wci  bardzo si  ba . Nie potrafi  te  w jednej chwili uleczy  zranionych uczu ; by  mo e nigdy tego nie dokona. W ka dej sytuacji jedyn  metod  Shepherd a by o udawanie    -wia: szybko wci ga  wszystkie wra liwe cz  ci pod skorup , ku-li  si  i chowa  pod tarcz  oboj tno ci.

- Przepraszam, braciszku. Nie wiem, co we mnie wst pi o. Nie. Nie, to nieprawda. Bardzo dobrze wiem, co we mnie wst pi o. Stara trz sionka, stare lichy, kt re nie daje mi spokoju. Zacz em si  ba , Shep. Do diab a, ca y czas si  boj , tak bar-dzo,  e nie mog  jasno my e . Nie lubi  si  ba , bardzo nie lu-bi . Nie jestem do tego przyzwyczajony, wi c wy adowa em z o e na tobie, a nie powinienem tego robi .

Shepherd przest powa  z lewej nogi na praw , z prawej na le-w . Nietrudno by o odczyta  min , z jak  wpatrywa  si  w swo-je rockporty. Nie by  ju  przera ony - owszem, zal kniony, ale strach ju  go nie pora a . Wydawa  si  tylko zaskoczony, jakby zdumiony faktem,  e jego starszy brat mo e si  czegokolwiek ba .

Dylan spojrze  ponad ramieniem Shepa na czarodziejsk  bram . Nie przypuszcza ,  e tak bole enie b dzie t skni  za mo-telow   azienk , kt rej wn trze widzia  przez okr g e okienko.

Przys aniaj c oczy d oni , Jilly wpatrywa a si  w g b czer-wonego tunelu. Dylan widzia  j  na pewno wyra niej ni  ona jego i dostrzeg ,  e jest przera ona. Mia  nadziej ,  e Jilly bar-dziej b dzie si  ba a wyci gn a  r ce w stron  tunelu, ni  zostae sama po drugiej stronie, bo gdyby pojawi a si  obok nich na wzg rzu, mog aby wszystko skomplikowa .

Dalej przeprasza  Shepa, a  sobie u wiadomi ,  e za du o usprawiedliwie  mo e wywo ae gorszy skutek ni  ich brak. Usi- owa  uspokoia  w asne sumienie kosztem zdenerwowania brata, w gruncie rzeczy dra ni c Shepa w jego skorupie. Ch opak z jeszcze wi kszym niepokojem przest powa  z nogi na nog .



- W każdym razie - rzekł Dylan - g³upio zrobi³em, krzy-cz¹c na ciebie dlatego, ¿e chcia³em wiedzieæ, jak siê tu dosta³eœ - ale wiedzia³em, ¿e sam musia³eœ tego dokonaæ, ¿e masz jakieœ nowy nieprawdopodobny talent. Nie rozumiem, jak to zrobi³eœ. Pewnie sam nawet nie bardzo to rozumiesz, tak jak ja nie bardzo wiem, jakim cudem czujê odciski psychiczne na klamce drzwi i odczytujê te œlady. Ale wiedzia³em, co musia³o siê potem staæ, zanim jeszcze zapyta³em.

Dylan z trudem zmusi³ siê do zamilkniêcia. Najlepszy spo-sób uspokojenia Shepa to przestaæ gadaæ, przestaæ przeci¿aæ jego zmys³y i daæ mu odrobinê spokoju.

W lekkim wietrze przesyconym woni¹ oceanu trawa falowa³a ospale jak wodorosty w wodnym ogrodzie. W powietrzu leni-wie kr¹¿y³y komary maleñkie jak drobiny kurzu.

Wysoko na niebie szybowa³ jastrz¹b unoszony pr¹dami wstêpuj¹cymi, wypatruj¹c myszy polnych trzysta stóp ni¿ej.

Z daleka dobiega³ cichy odg³os samochodów jad¹cych auto-strad¹, lecz tak nik³y, ¿e od czasu do czasu t³umi³ go nawet s³aby wietrzyk. Na tle pomruku da³ siê s³yszeæ g³oœniejszy warkot jed-nego silnika, na którego dŸwiêk Dylan oderwa³ wzrok od jastrzê-bia i spojrze³ na ¿wirowy podjazd. Do domu zbli¿a³ siê motocykl.

Harley nale¿a³ do Vonetty Beesley, gosposi, która przyje-d¿a³a do nich raz na tydzieñ, nawet podczas nieobecnoœci Dylana i Shepa w domu. W czasie niepogody jeŸdzi³a formem pikapem z do³adowanym silnikiem na ogromnych piêædziesiêcioczworo-calowych oponach, pomalowanym jak karmazynowy smok.

Vonetta mia³a czterdzieœci kilka lat oraz ujmuj¹c¹ osobo-woœæ i spêdza³a wolny czas jak niejeden poczciwy mieszkaniec Po³udnia. By³a œwietn¹ gosposi¹ i pierwszorzêdn¹ kuchark¹, a si³a i odwaga pozwoli³yby jej w razie koniecznoœci - i zapew-ne ku jej wielkiej radoœci - zostaæ ochroniarzem.

Vonetta nie mog³aby rozpoznaæ z daleka Dylana i Shepa, po-niewa¿ szczyt wzg³orza wznosi³ siê wysoko nad domem. Gdyby ich jednak zauwa¿y³a i uzna³a, ¿e wygl¹daj¹ podejrzenie, zapew-ne podjecha³aby harleyem nieco bli¿ej, aby lepiej im siê przyjrzeæ. Obawa o w³asne bezpieczeñstwo nie wchodzi³a w grê, gdy do g³o-su dochodzi³o jej poczucie obowi¹zku i ¿¹dza przyg³ód.

Dylan móg³by naprêdce wykombinowaæ jak¹œ g³upi¹ histo-ryjkê, ¿eby jej wyt³umaczyæ, co tu robi¹ z bratem, skoro powin-ni byæ w drodze do Nowego Meksyku, lecz nie mia³ talentu do oszukiwania ani czasu, by t³umaczyæ sprawê z bram¹, ³azienk¹ motelow¹ na wzg³orzu i Jilly wpatruj¹c¹ siê w nich têpo, jak gdy-by by³a Alicj¹, która bezskutecznie usi³uje zg³êbiaæ naturê zacza-rowanego œwiata po drugiej stronie lustra.

Odwróci³ siê do brata, gotów jeszcze raz podj¹æ ryzyko, ¿e go zdenerwuje, ale chcia³ mu powiedzieæ, ¿e pora wróciæ do Holbrook w Arizonie.

Zanim Dylan zd¹¿y³ siê odezwaæ, Shepherd rzek³: - Tu, tam.

Dylanowi przypomni³a siê toaleta w restauracji w Safford poprzedniego wieczoru. „Tu” odnosi³o siê do pierwszej kabiny. „Tam” - do kabiny czwartej. Pierwsza wyprawa Shepa by³a bardzo krótka, z toalety do toalety.

Dylan nie pamiêta³, aby towarzyszy³ jej nieziemski czerwo-ny blask. Byæ mo¿e dlatego, ¿e Shep zamkn¹³ za sob¹ bramê, gdy tylko przez ni¹ przeszed³.

- Tu, tam - powtórzy³ Shep.

Ze spuszczon¹ g³ow¹ popatrywa³ spod oka nie na Dylana, lecz na dom za ³¹k¹ u stóp wzg³orza i na Vonettê na harleyu. - Co chcesz powiedzieæ, Shep?

- Tu, tam.

- Gdzie jest „tam”?

- Tu - odrzek³ Shep, szoruj¹c praw¹ stop¹ po trawie. - A gdzie jest „tu”?

- Tam - powiedzia³ Shep, opuœci³ g³owê jeszcze ni¿ej i prze-chyli³ na prawo, spogl¹daj¹c przez ramiê w stronê Jilly.

- Wróæmy tam, sk¹d wyszlicemy - nalega³ Dylan.

Vonetta Beesley okr¹¿y³a dom, kieruj¹c siê w stronê wolno stoj¹cego gara¿u.

- Tu, tam - powiedzia³ Shep.

- Jak mo¿emy siê bezpiecznie dostaæ z powrotem do mote-lu? - zapyta³ Dylan. - Wystarczy wyci¹gn¹æ

rêce, wejœæ z tej strony w bramê?

Obawia<sup>3</sup> siê, ¿e gdyby pierwszy wszed<sup>3</sup> do portalu i znalaz<sup>3</sup> siê z powrotem w motelu, Shep nie poszed<sup>3</sup>by za nim.

- Tu, tam. Tam, tu - powtarza<sup>3</sup> Shep.

Z drugiej strony, gdyby Shep ruszy<sup>3</sup> w drogê powrotn<sup>1</sup> pierwszy, brama mog<sup>3</sup>aby siê zamkn<sup>1</sup>æ zaraz za nim, pozostawiaj<sup>1</sup>c Dylana uwiêzionego w Kalifornii, dopóki ten nie wróci<sup>3</sup>by do Holbrook tradycyjn<sup>1</sup> drog<sup>1</sup>, a tymczasem Jilly musia<sup>3</sup>aby radziæ sobie sama z ch<sup>3</sup>opakiem.

Rozs<sup>1</sup>dek podpowiada<sup>3</sup>, ¿e wszystkie dziwne rzeczy, jakie im siê przytrafia<sup>3</sup>y, maj<sup>1</sup> swe Ÿród<sup>3</sup>o w zastrzykach Frankensteina. Zatem Shepherd te¿ musia<sup>3</sup> dostaæ zastrzyk i dziêki niemu posiad<sup>3</sup> umiejêtnoœæ otwarcia bramy. Znalaz<sup>3</sup> j<sup>1</sup> i jakoœæ uruchomi<sup>3</sup>. Albo, co bardziej prawdopodobne, sam j<sup>1</sup> stworzy<sup>3</sup>. W zwi<sup>1</sup>zku z tym brama w pewnym sensie dzia<sup>3</sup>a³a wed<sup>3</sup>ug zasad Shepa, nie-znanych i niepoznawalnych, co oznacza<sup>3</sup>o, ¿e przechodzenie przez bramê przypomina<sup>3</sup>o grê w pokera z diab<sup>3</sup>em niekonwencjonaln<sup>1</sup> tali<sup>1</sup> kart z trzema dodatkowymi kolorami i zup<sup>3</sup>nie nowym zestawem figur miêdzy waletem a dam<sup>1</sup>.

Vonetta zatrzyma<sup>3</sup>a harleya przed gara¿em. Warkot urwa<sup>3</sup> siê jakby po<sup>3</sup>kniêty przez silnik.

Dylan nie mia<sup>3</sup> ochoty braæ Shepherdza za rêkê i razem z nim skakaæ w bramê. Je¿eli dostali siê do Kalifornii dziêki teleportacji - a jakie mog<sup>3</sup>o byæ inne wyt<sup>3</sup>umaczenie? - jeœli w chwili opuszczenia motelowej <sup>3</sup>azienki ka¿dy z nich zosta<sup>3</sup> natychmiast rozszcze-piony na megatryliony cz<sup>1</sup>stek elementarnych, a potem doskona-le zrekonstruowany w momencie zjawienia siê na szczycie wzgórza, musieli, a przynajmniej powinni odbyæ tê podró¿ osob-no, aby unikn<sup>1</sup>æ... pomieszania elementów. Dylan widzia<sup>3</sup> stary film „Mucha”, w którym teleportuj<sup>1</sup>cy siê naukowiec odbywa<sup>3</sup> krótk<sup>1</sup> podró¿ z jednego koñca laboratorium na drugi, niewiele d<sup>3</sup>u¿sz<sup>1</sup> ni¿ eksperyment Shepa przemieszczaj<sup>1</sup>cego siê z kabiny do kabiny, ale nie zauwa¿y<sup>3</sup>, ¿e towarzyszy<sup>3</sup>a mu zwyk<sup>3</sup>a mucha, co skoñczy<sup>3</sup>o siê wielk<sup>1</sup> katastrof<sup>1</sup>, do jakiej mog<sup>1</sup> doprowadziæ tylko politycy. Dylan nie chcia<sup>3</sup> znaleŸæ siê w motelu z nosem Shepa na czole albo kciukiem brata wystaj<sup>1</sup>cym z oczodo<sup>3</sup>u.

- Tu, tam. Tam, tu - powtórzy<sup>3</sup> Shep.

Za domem Vonetta ustawi<sup>3</sup>a motocykl na nógkach i zsiad<sup>3</sup>a z harleya.

- Nie tu. Nie tam. Tutam - powiedzia<sup>3</sup> Shep, tworzc<sup>1</sup>c z dwóch s<sup>3</sup>ów jedno.

W<sup>3</sup>acéciwie prowadzili rozmowê. Dylan bardzo mgliœcie ro-zumia<sup>3</sup>, co Shep próbowa<sup>3</sup> mu powiedzieæ; tym razem jednak

by<sup>3</sup> pewien, ¿e brat go s<sup>3</sup>ucha i udziela odpowiedzi na stawiane pytania.

Maj<sup>1</sup>c to na uwadze, Dylan zada<sup>3</sup> najwa¿niejsze z pytañ, ja-kie musia<sup>3</sup>y paceæ:

- Shep, pamiêtasz film „Mucha”?

Shep skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, nie podnoszc<sup>1</sup>c wzroku.

- „Mucha”. Wyœwietlana w kinach w tyssi<sup>1</sup>c dziewiêæset piêædziesi<sup>1</sup>tych dziewi<sup>1</sup>tych roku. Czas projekcji - dziewiêædzie-si<sup>1</sup>t cztery minuty.

- To niewa¿ne, Shep. Drobiazgi mnie nie interesuj<sup>1</sup>. Chcê tylko wiedzieæ, czy pamiêtasz, co siê sta<sup>3</sup>o z tym naukowcem? Daleko w dole, stoj<sup>1</sup>c obok motocykla, Vonetta Beesley zdjê<sup>3</sup>a kask.

- Wyst<sup>1</sup>pili: David Hedison w roli naukowca, Patricia Owens, Vincent Price...

- Shep, przestañ.

- ...i Herbert Marshall. Re¿yseria - Kurt Neumann. Inne filmy tego re¿ysera to „Tarzan i kobieta lampart”...

Rozmowa odbywa<sup>3</sup>a siê w jêzyku „shepowym”, jak mawia<sup>3</sup> Dylan. Je¿eli chcia<sup>3</sup>o siê uczestniczyæ w rozmowie, nale¿a<sup>3</sup>o siê uzbroiæ w cierpliwoœæ, a po p<sup>3</sup>ogodzinie mo¿na by<sup>3</sup>o ulec prze-ci<sup>1</sup>¿eniu danymi. Shep zapamiêtywa<sup>3</sup> mnóstwo informacji na interesuj<sup>1</sup>ce go tematy i czasem chêtne siê nimi dzieli<sup>3</sup>.

- ...,„Syn Ali Baby”, „Powrót wampira”...

Vonetta zawiesi<sup>3</sup>a kask na kierownicy motoru, spojrze<sup>3</sup>a na kr<sup>1</sup>¿<sup>1</sup>cego po niebie jastrzêbia i zauwa¿y<sup>3</sup>a Shepa i Dylana stoj<sup>1</sup>cych na wzgórzu.

- ...,„Zdarzy<sup>3</sup>o siê w Nowym Orleanie”, „Mohawk”, „Sta-tek kosmiczny X-M” i inne.

- Pos<sup>3</sup>uchaj, Shep, wróæmy do tego naukowca. Pamiêtasz, ¿e naukowiec wszed<sup>3</sup> do komory

teleportacyjnej...

- „Mucha” została nakręcona jeszcze raz pod tym samym tytułem w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

- ...i trafiła tam też mucha...

- Czas projekcji drugiej wersji...

- ...ale naukowiec nie wiedział...

- ...sto minut.

- ...że mucha tam jest.

- Reżyseria - David Cronenberg - powiedział Shepherd. - W rolach głównych: Jeff Goldblum...

Stojąc obok wielkiego motocykla, Vonetta pomachała do nich.

- ...Geena Davis i John Getz.

Dylan nie wiedział, czy powinien pomachać do Vonetty. Pa-trzyc na nich z tej odległości, na pewno nie wiedział, kim są, ale gdyby zdradził się jakimś charakterystycznym gestem, mógłby ich poznać.

- Inne filmy Davida Cronenberga to „Strefa śmierci”, do-bry, straszny, ale dobry film, Shepowi podobała się „Strefa śmierci”...

Vonetta mógłby zauważyć cię trzeciej osoby na wzgórzu -Jilly - ale nie dostrzegłaby bramy na tyle wyraźnie, by w pełni zrozumieć dziwną sytuację.

- ...„Potomstwo” i „Dreszcze”. Shepowi nie podobały się te filmy, bo było w nich za dużo krwi. Pełno ocelizowanych rzeczy. Shep nie chce ich więcej oglądać. Nie chce oglądać krwi i ocelizowanych rzeczy.

Dylan uznał, że gdyby pomachał, mógłby zachęcić Vonettę do złożenia wizyty na wzgórzu, udał więc, że jej nie widzi.

- Nikt nie chce cię zmuszać do oglądania filmów Cronen-berga - zapewnił brata. - Chcę tylko, żebyście pomyślał o tym, jak doszło do skrzyżowania naukowca i muchy.

- Teleportacja.

Nabrawszy jakichś podejrzeń, Vonetta nałożyła kask.

- Teleportacja! - przytaknął Dylan. - Tak, o to właśnie chodzi. Naukowiec i mucha teleportowali się razem i coś się między nimi pomieszało.

Wciąż mówił do ziemi pod swoimi stopami, Shepherd rzekł: - Wersja z osiemdziesiątego szóstego roku była zbyt obrzydliwa.

- Masz rację.

- Ocelizowane rzeczy. Krwawe sceny. Shep nie lubi ocelizowanych i krwawych scen.

Gospośia dosiadła harleya.

- Pierwsza wersja nie była ocelizowana i krwawa - przypomniał bratu Dylan. - Ale ważne jest przede wszystkim...

- Dziewięć minut pod prysznicem to akurat - powiedział Shepherd, nieoczekiwanie wracając do tyrady Dylana.

- Pewnie masz rację. Tak, na pewno. Dziewięć minut. Masz absolutną rację. A teraz...

- Dziewięć minut. Po minucie na każdą rękę. Po minucie na każdą nogę. Minuta...

Vonetta spróbowała uruchomić motocykl, lecz silnik nie za-skoczył.

- ...na główną - ciągnął Shep. - Dwie minuty na resztę. I dwie minuty na spukanie.

- Jeżeli razem skoczymy z powrotem do motelu - powiedział Dylan - obaj naraz, czy stanie się z nami to samo co z muchą i naukowcem?

W słowach, jakie potem padły z ust Shepa, wyraźnie dał się słyszeć ton wyrzutu oświadczycy o zranionych uczuciach chłopca: - Shep nie je główna.

- Co? - zdumiała się Dylan.

Gdy Vonetta ponownie przekręciła kluczyk, harley zadudnił w odpowiedzi.

- Shep nie je ubogiej listy główna, jak mówił, ubogiej listy główna. Shep je takie jedzenie jak ty.

- Oczywiście, dziecko. Chciałem tylko powiedzieć... - Gówno to kupa - przypomniał mu Shepherd.

- Przepraszam. Nie to miałem na myśli.

Siedząc na motorze i wciąż dotykając stopami ziemi, Vonetta kilka razy otworzyła przepustnicę i rozległ się ryk silnika.

- Kupka, kaka, e-e...

Dylan omal nie wrzasn<sup>13</sup> ze z<sup>3</sup>ooci, ale powstrzyma<sup>3</sup> się i z trudem zachowa<sup>3</sup> spokój.

- Shep, pos<sup>3</sup>uchaj mnie, bracie, braciszku, pos<sup>3</sup>uchaj...

- ...<sup>3</sup>ajno, nieczystooci, krwi placek i tak dalej, jak zosta<sup>3</sup>o poprzednio wymienione.

- Otó<sup>1</sup> to - rzek<sup>3</sup> z ulg<sup>1</sup> Dylan. - Jak zosta<sup>3</sup>o poprzednio wymienione. Poprzednio doskonale się spisa<sup>3</sup>o. Pamiętam ca<sup>31</sup> listę. Czy stanie się z nami to samo co z much<sup>1</sup> i naukowcem?

Pochylaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê tak nisko, że niemal dotyka<sup>3</sup> brod<sup>1</sup> piersi, Shep powiedzia<sup>3</sup>:

- Nienawidzisz mnie?

Pytanie wstrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>o Dylanem. Nie tylko pytanie, ale tak<sup>1</sup>e to, że Shepherd u<sup>1</sup>y<sup>3</sup> wobec siebie pierwszej osoby zamiast jak zwykle trzeciej. Nie „Shepa”, ale „mnie”. Musia<sup>3</sup> się czuæ bar-dzo g<sup>3</sup>ęboko zraniony. Vonetta zjecha<sup>3</sup>a z podjazdu i przeciê<sup>3</sup>a podwórko, kieruj<sup>1</sup>c się w stronê <sup>31</sup>ki.

Dylan przyklêkn<sup>13</sup> na jedno kolano przed Shepem.

- Wcale ciê nie nienawidzê, Shep. Nie potrafi<sup>3</sup>bym, nawet gdybym chcia<sup>3</sup>. Kocham ciê i bojê się o ciebie. Dlatego się wku-rzy<sup>3</sup>em.

Shep nie patrzy<sup>3</sup> na brata, ale przynajmniej nie zamkn<sup>13</sup> oczu.

- By<sup>3</sup>em dla ciebie niedobry - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan - ale ty tego nie rozumiesz, bo nigdy nie jesteś niedobry. Nie wiesz, jak byæ z<sup>3</sup>ym. Ja nie jestem taki dobry jak ty. Nie jestem taki <sup>3</sup>agodny.

Shepherd patrzy<sup>3</sup> w os<sup>3</sup>upieniu na trawê pod swoimi kapturami, jak gdyby dostrzeg<sup>3</sup> tam jakieś pozaziemskie stworzenie pe<sup>3</sup>-zn<sup>1</sup>ce między suchymi Ÿd<sup>1</sup>Ÿb<sup>3</sup>ami, ale zapewne reagowa<sup>3</sup> w ten sposób na zadziwiaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> wiadomoœæ, że mimo swoich dziwactw i ograniczeñ pod pewnymi wzglêdami mo<sup>1</sup>e byæ lepszy od brata.

Z przystrzy<sup>1</sup>onego trawnika podwórka Vonetta wjecha<sup>3</sup>a prosto w <sup>31</sup>kê. Wysokie z<sup>3</sup>ote trawy rozst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>y się przed motocy-klem jak powierzchnia jeziora przed dziobem <sup>3</sup>odzi.

Skupiaj<sup>1</sup>c ca<sup>31</sup> uwagê na Shepherdzie, Dylan powiedzia<sup>3</sup>: - Musimy się st<sup>1</sup>d wydostaæ, Shep, jak najszybciej. Musimy wracaæ do motelu, do Jilly, ale nie mo<sup>1</sup>emy, je<sup>1</sup>eli ma się z nami staæ to samo co z naukowcem i much<sup>1</sup>.

- Oeliz<sup>3</sup>e i krwawe - rzek<sup>3</sup> Shep.

- Otó<sup>1</sup> to. Lepiej żeby nie przytrafi<sup>3</sup>o się nam nic krwawego i oeliz<sup>3</sup>ego.

- Oeliz<sup>3</sup>e i krwawe sceny s<sup>1</sup> z<sup>3</sup>e. - Bardzo z<sup>3</sup>e, masz racjê. Marszcz<sup>1</sup>c brwi, Shep oœwiadczy<sup>3</sup> uroczyœcie: - To nie jest film Davida Cronenberga.

- Nie jest - zgodzi<sup>3</sup> się Dylan, pokrzepiony myœl<sup>1</sup>, że Shep s<sup>3</sup>ucha i uczestniczy w rozmowie, jak umie najlepiej. - Ale co to znaczy, Shep? - e mo<sup>1</sup>emy bezpiecznie wróciæ razem do motelu?

- Tutam - odpar<sup>3</sup> Shep, tak jak poprzednio <sup>31</sup>cz<sup>1</sup>c dwa s<sup>3</sup>o-wa w jedno.

Vonetta Beesley by<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> w po<sup>3</sup>owie <sup>31</sup>ki.

- Tutam -powtórzy<sup>3</sup> Shep. - Tu jest tam, tam jest tu i wszê-dzie jest to samo miejsce, je<sup>1</sup>eli wiesz, jak sk<sup>3</sup>adaæ.

- Sk<sup>3</sup>adaæ? Co sk<sup>3</sup>adaæ?

- Sk<sup>3</sup>adaæ tu z tam, jedno miejsce z drugim, tutaj. - Nie rozmawiamy o teleportacji, prawda?

- To nie jest film Davida Cronenberga - powiedzia<sup>3</sup> Shep, co Dylan zrozumia<sup>3</sup> jako potwierdzenie przypuszczenia, że tele-portacja i zwi<sup>1</sup>zane z ni<sup>1</sup> pomieszanie cz<sup>1</sup>stek elementarnych nie wchodzi<sup>3</sup>y w grê. Wstaj<sup>1</sup>c z klêczek, Dylan po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> rêce na ramionach She-pherda. Zamierza<sup>3</sup> skoczyæ razem z bratem w bramê.

Zanim zd<sup>1</sup>yli się ruszyæ, to brama zaczê<sup>3</sup>a się do nich zbli-<sup>1</sup>æ. Stoj<sup>1</sup>c zwrócony twarz<sup>1</sup> do Shepa i magicznego portalu, Dylan zobaczy<sup>3</sup>, jak obraz Jilly w motelowej <sup>3</sup>azience nagle sk<sup>3</sup>a-da się jak powstaj<sup>1</sup>ce dzie<sup>3</sup>o sztuki origami, jak papierowa sk<sup>3</sup>a-danka „niebo-piek<sup>3</sup>o”, któr<sup>1</sup> dzieci robi<sup>1</sup> w szkole, aby doku-czaæ innym dzieciom: brama roz<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a się wokó<sup>3</sup> nich, wci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a ich w siebie i z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a się, znikaj<sup>1</sup>c z Kalifornii.

**25** Szalej<sup>1</sup>c z niepokoju, Jilly omal nie straci<sup>3</sup>a panowania nad sob<sup>1</sup>, gdy œwietlisty tunel przed jej oczami za-cz<sup>13</sup> pêkaæ od œrodka, a potem z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> się wzd<sup>3</sup>u<sup>1</sup> linii pêkniêæ.

Choæ mia³a wra¿enie, ¿e czerwony korytarz sk³ada siê do we-wn¹trz, wydawa³o siê jej, ¿e równoczenie wybuchu jak kwiat prosto w jej twarz, cofnê³a siê odruchowo.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwil¹ znajdowa³o siê wejœcie do tunelu, zobaczy³a zmieniaj¹ce siê geometryczne czarne i czerwone wzory podobne do tych, które mo¿na ujrzeæ w kalejdoskopie, tyle ¿e wzory by³y osza³amiaj¹co trójwymiarowe i bezustannie zmienia³y ksztalt. Jilly ba³a siê, ¿e wpadnie w dwu-barwny wir, ale niekoniecznie spadnie, mog³a lewitowaæ jak astronauta w stanie niewa¿koœci w g³¹b rozkwitaj¹cych wzo-rów, w g³¹b wiecznoœci.

W³aceciwi nie ogarnia³a wzrokiem niesamowitej struktury wy³aniaj¹cej siê ze œcian albo nie potrafi³a poj¹æ rozumem tego, co widzia³y oczy. Zjawisko wydawa³o siê o wiele bardziej rze-czywiste ni¿ cokolwiek innego w³azience, rzeczywiste, lecz tak nieskoñczenie dziwne, ¿e jej przera¿one spojrzenie przemyka³o od jednego osobliwego szczegó³u do drugiego, jak gdyby umys³ ucieka³ przed analiz¹ prawdziwej z³o¿onoœci rozwijaj¹cej siê przed ni¹ konstrukcji. Co chwilê dostrzega³a otch³añ znacznie g³êbsz¹ ni¿ trzy wymiary, nie potrafi³a jednak siê na niej skupiaæ, mimo ¿e cichy i niespokojny g³os intuicji policzy³ do piêciu, po-tem do siedmiu i liczy³ dalej, choæ nie chcia³a go ju¿ s³uchaæ.

W czerñ i czerwieñ niemal od razu wdar³y siê nowe kolory: b³êkit letniego nieba i z³oty odcieñ piasku niektórych pla¿ i doj-rza³ej pszenicy. Pomiêdzy niezliczonymi p³ytkami nieustannie przeobra¿aj¹cej siê mozaiki pojawia³o siê coraz mniej barw czer-wono-czarnych i coraz wiêcej z³oto-b³êkitnych. Jilly zdawa³o siê, a potem by³a pewna - choæ stara³a siê nie patrzeæ - ¿e w ka-lejdoskopowych wzorach widzi migaj¹ce fragmenty ludzkiego cia³a: tu spogl¹daj¹ce uwa¿nie oko, tam palec, gdzie indziej ucho, jak gdyby potê¿ny cyklon rozbi³ portret na witra¿u, a od³amki rozsypa³ w powietrzu. Zdawa³o siê jej te¿, ¿e dostrzeg³a kawa³ek pyska narysowanego kojota, który szczyrzy³ zêby w uœmiechu, potem skrawek znajomej ¿ó³to-niebieskiej koszuli hawajskiej i podobny skrawek w innym miejscu.

Po piêciu czy szeœciu sekundach od chwili, gdy tunel zacz¹³ siê sk³adaæ, z kalejdoskopowych wzorów wy³onili siê Dylan i Shepherd i stanêli przed ni¹ cali i zdrowi. Za nimi, gdzie jesz-cze przed momentem zia³a czerwona otch³añ tunelu, znajdowa³a siê tylko zwyk³a œciana.

Dylan z widoczn¹ ulg¹ wypuœci³ wstrzymywane powietrze i powiedzia³ coœ w rodzaju:

- Oby³o siê bez oceliz³ych i krwawych scen. - Shep jest brudny - oœwiadczy³ Shep.

- Ty sukinsynu - powiedzia³a Jilly i grzmotnê³a Dylana piê-œci¹ w pierœ.

Uderzy³a z ca³ej si³y. Rozleg³ siê g³uchy odg³os, ale Dylan by³ zbyt potê¿nie zbudowany, aby cios zwali³ go z nóg, jak spo-dziewa³a siê Jilly.

- Hej - zaprotestowa³ Dylan.

- Pora iœæ pod prysznic - rzek³ Shep, nie podnosz¹c g³owy. - Sukinsynu - powtórzy³a Jilly, znowu t³uk¹c Dylana.

- Co siê z tob¹ dzieje?

- Powiedzia³eœ, ¿e nie chcesz tam wchodziæ - przypomni³a mu ze z³oœci¹, bij¹c go jeszcze mocniej.

- Au! Wcale nie zamierza³em tam wchodziæ.

- Ale wszed³eœ - powiedzia³a oskar¿ycielskim tonem, bio-r¹c kolejny zamach.

Wiel¹ jak rêkawica baseballowa d³oni¹ chwyci³ jej zaciœniê-t¹ piêœæ i przytrzyma³, skutecznie przerywaj¹c atak.

- Dobra, wszed³em, ale naprawdê nie mia³em zamiaru. Shepherd cierpliwie, lecz uparcie przypomni³a:

- Shep jest brudny. Pora iœæ pod prysznic.

- Powiedzia³eœ, ¿e nie wejdiesz - ci¹gnê³a Jilly - ale wsze-d³eœ i zostawi³eœ mnie tu sam¹.

Nie bardzo wiedzia³a, jak to siê sta³o, ¿e Dylan z³apa³ j¹ za nadgarstki. Powstrzymuj¹c j¹, powiedzia³:

- Wróci³em, obaj wróciliœmy, ju¿ wszystko w porz¹dku.

- Tego nie mog³am wiedzieæ. Spodziewa³am siê, ¿e przypad-niecie na zawsze albo wrócicie martwi.

- Musia³em wróciæ ¿ywy - zapewni³ j¹ - ¿ebyœ mia³a okazjê mnie zabiaæ.

- Nie ¿artuj sobie. - Stara³a siê wykrêciæ rêce z uœcisku, ale nie mog³a. - Puœæ mnie, draniu.

- Chcesz mnie znowu uderzyæ?

- Je¿eli mnie nie puœcisz, przysiêgam, ¿e rozedrê ciê na ka-wa³ki.

- Pora iœæ pod prysznic.

Dylan uwolni³ jej przeguby, ale nie opuœci³ r¹k, jak gdyby oczekiwa³, ¿e bêdzie musia³ odeprzeæ

kolejne ciosy.

- Tyle w tobie z<sup>3</sup>oœci.

- Och, masz absolutn<sup>1</sup> racjê, mnóstwo we mnie z<sup>3</sup>oœci. - Trzês<sup>3</sup>a siê z wœciek<sup>3</sup>oœci i dr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a ze strachu.

- Mówi<sup>3</sup>œe, ¿e tam nie wejdiesz, a potem wszed<sup>3</sup>œe i zosta<sup>3</sup>am sama. - Uœwiadomi<sup>-3</sup>a sobie, ¿e powodem jej dr<sup>3</sup>enia jest w wiêkszym stopniu ulga ni¿ wœciek<sup>3</sup>oœæ czy lêk. - Gdzieœcie w ogóle byli, do cholery?

- W Kalifornii - odpar<sup>3</sup> Dylan.

- Jak to w Kalifornii?

- W Kalifornii. Disneyland, Hollywood, Golden Gate. Chyba znasz Kaliforniê?

- Kalifornia - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - Sto szeœædziesi<sup>1</sup>t trzy ty-si<sup>1</sup>ce siedemset siedem mil kwadratowych.

Z g<sup>3</sup>êbokim niedowierzaniem w g<sup>3</sup>osie Jilly spyta<sup>3</sup>a: - Przez œcianê dostaliœcie siê do Kalifornii?

- Tak. Czemu nie? A dok<sup>1</sup>d twoim zdaniem mogliœmy siê dostaê? Do Narni? Krainy Oz? Do wnêtrza Ziemi? Zreszt<sup>1</sup> Ka-lifornia jest jeszcze dziwniejsza od tych miejsc.

- Ludnoœæ, oko<sup>3</sup>o trzydziestu piêciu milionów czterystu ty-siêcy. - Shep widocznie bardzo du¿o

wiedzia<sup>3</sup> o swoim stanie. - Ale nie wydaje mi siê, ¿ebyœmy dostali siê tam przez œcia-nê - powiedzia<sup>3</sup> Dylan - ani przez cokolwiek innego. Shep z<sup>3</sup>o-¿y<sup>3</sup> tu z tam.

- Najwy¿szy szczyt - Mount Whitney...

- Co z czym z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>? - zapyta<sup>3</sup>a Jilly.

- ...czternaœcie tyŝiêcy czterysta dziewiêdziesi<sup>1</sup>t cztery sto-py nad poziomem morza.

W miarê jak gniew Jilly opada<sup>3</sup>, a wraz z ulg<sup>1</sup> odzyskiwa<sup>3</sup>a spokój i jasnoœæ myœli, zorientowa<sup>3</sup>a siê, ¿e Dylan sprawia wra-¿enie uradowanego. Owszem, by<sup>3</sup> trochê zdenerwowany, mo¿e nawet przestraszony, ale przede wszystkim ucieszony jak ma<sup>3</sup>y ch<sup>3</sup>opiec.

- Z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> rzeczywistoœæ, czas i przestrzeñ - powiedzia<sup>3</sup> - jed-no albo jedno i drugie, nie wiem, ale z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> tu z tam. Co z<sup>3</sup>o¿y<sup>-3</sup>œe, Shep? Co w<sup>3</sup>œeciowie z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>œe?

- Najni¿ej po<sup>3</sup>o¿ony punkt - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Shep - Dolina Œmierci...

- Pewnie przez jakœ czas bêdzie gada<sup>3</sup> o tej Kalifornii.

- ...dwieœcie osiemdziesi<sup>1</sup>t dwie stopy poni¿ej poziomu morza.

- Co z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>œe, braciszku?

- Stolica stanu - Sacramento.

- Wczoraj wieczorem z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> kabinê numer jeden z kabin<sup>1</sup> numer cztery - powiedzia<sup>3</sup> Dylan - ale wtedy nie zda<sup>3</sup>em sobie z tego sprawy.

- Kabinê numer jeden z kabin<sup>1</sup> numer cztery? - Jilly zmarszczy<sup>3</sup>a brwi, masuj<sup>1</sup>c obola<sup>31</sup> rêkê, któr<sup>1</sup> zada<sup>3</sup>a mu cios. - Zdaje siê, ¿e Shep mówi rozs<sup>1</sup>dniej.

- Ptak stanu - przepiórka kalifornijska.

- W toalecie. Z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> ubikacjê z ubikacj<sup>1</sup>. Wszed<sup>3</sup> do pierw-szej kabiny, a wyszed<sup>3</sup> z czwartej. Nie mówi<sup>3</sup>em ci o tym, bo nie zdawa<sup>3</sup>em sobie sprawy z tego, co siê w<sup>3</sup>œeciowie sta<sup>3</sup>o.

- Kwiat stanu - maczek kalifornijski. Jilly chcia<sup>3</sup>a wiedzieæ dok<sup>3</sup>adnie.

- Teleportowa<sup>3</sup> siê z kabiny do kabiny?

- Nie, to nie polega na teleportacji. Widzisz - mam swoj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê, Shep wróci<sup>3</sup> z w<sup>3</sup>asnym nosem. To nie jest teleportacja. - Drzewo stanu - sekwoja.

- Poka¿ jej nos, Shep.

Shepherd trzyma<sup>3</sup> spuszczon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê.

- Motto stanu - „Eureka”, czyli „znalaz<sup>3</sup>em”.

- Uwierz mi - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Ma swój nos. To nie jest film Davida Cronenberga.

Gdy zastanawia<sup>3</sup>a siê nad ostatnim us<sup>3</sup>yszonym zdaniem, Dylan uœmiechn<sup>13</sup> siê i pokiwa<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, a Jilly powiedzia<sup>3</sup>a:

- Wiem, ¿e nie jad<sup>3</sup>am jeszcze œniadania, ale muszê strzeliæ sobie piwo.

- Psychotropowy œrodek odurzaj<sup>1</sup>cy - zauwa¿y<sup>3</sup> z dezapro-bat<sup>1</sup> Shep.

- Mówi do mnie - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - Tak - zgonzi<sup>3</sup> siê Dylan.

- Mam na myœli to, ¿e ze mn<sup>1</sup> rozmawia, a nie przemawia do mnie. W pewnym sensie.

- Tak, coœ siê w nim zmienia. - Dylan opuœci<sup>3</sup> klapê sedesu. - Chod<sup>Ÿ</sup>, Shep, usi<sup>1</sup>d<sup>Ÿ</sup> tu.

- Pora iœæ pod prysznic - przypomni³ im Shep.

- Dobrze, za chwilê, ale najpierw tu usi¹dŸ. - Dylan przy-prowadzi³ brata do toalety i nak³oni³ go, Ÿeby usiad³.

- Shep jest brudny. Pora iœæ pod prysznic.

Dylan ukl¹k³ przed nim i szybko obejrza³ jego rêce.

- Nic nie widzê.

- Pora iœæ pod prysznic. Dziewiêæ minut.

Dylan zdj¹³ Shepherdowi kaptcie i od³oŸy³ na bok. - Na jak¹ postacê z kreskówki stawiasz?

Skonsternowana Jilly poczu³a, Ÿe ma wiêksz¹ ochotê na pi-wo niŸ kiedykolwiek.

- Z kreskówki?

Shep spod oka obserwowa³ ruchy brata. - Królik albo piesek - wyjaceni³ Dylan.

Ogl¹daj¹c plaster na swoim ramieniu, Jilly zauwaŸy³a, Ÿe trochê siê odkleja, ale wci¹Ÿ zas³ania œlad po uk³uciu ig³y. Dylan œci¹gn¹³ skarpetkê z prawej stopy Shepherd.

- Po jednej minucie na kaŸd¹ nogê... - powiedzia³ Shep. Przysuwaj¹c siê bliŸej, Jilly patrzy³a, jak Dylan ogl¹da bos¹ stopê brata.

- JeŸeli rzeczywiœcie dosta³ zastrzyk, to czemu nie w rêkê? - spyta³a.

- ...i minuta na g³owê...

- Wtedy pracowa³ nad uk³adank¹ - odrzek³ Dylan. - Co z tego?

- ...i dwie minuty na resztê...

- Nigdy nie widzia³acê mojego brata zajêtego uk³adank¹. Bardzo szybko porusza rêkami: I jest wyj¹tkowo skupiony.

- ...dwie minuty na sp³ukanie - dokoñczy³ Shep. - Kot - doda³.

- Jest tak skupiony - ci¹gn¹³ Dylan - Ÿe nie sposób go na-k³oniæ, Ÿeby przesta³, dopóki nie u³oŸy ca³ego obrazka. Nie moŸna go nawet zmusiæ si¹. Nie zwróci³by uwagi na to, co siê dzieje z jego nogami, bo nie uk³ada nogami. Nie da³oby siê jed-nak unieruchomiæ Ÿadnej rêki.

- MoŸe dosta³ chloroform, tak jak ja.

Nie znalaz³szy Ÿadnego widocznego punktu po uk³uciu na prawej stopie, Dylan powiedzia³:

- Nie. Zacz¹³ uk³adaæ, kiedy poszed³em do knajpy naprze-ciwko, a gdy siê ockn¹³em przyklejony taœm¹ do krzes³a, Shep ci¹gle pracowa³ nad obrazkiem.

- Kot - wtr¹ci³ z niewiadomego powodu Shepherd.

- Gdyby zosta³ uœpiony chloroformem, skutki nie ust¹pi³y-by tak szybko - powiedzia³a Jilly, przypominaj¹c sobie w³asn¹ dezorientacjê po przebudzeniu.

- Kot.

- Poza tym, gdyby ktoœ przycisn¹³ mu do twarzy szmatê na-s¹czon¹ chloroformem, by³oby to dla niego bardziej szokuj¹ce przeŸycie niŸ dla ciebie. O wiele bardziej. Jest bardzo nieodpor-ny. Po odzyskaniu przytomnoœci móg³by zdradzaæ wielkie wzburzenie albo zwin¹³by siê w pozycji embrionalnej i za nic nie chcia³ siê ruszyæ. Na pewno nie wróci³by do uk³adanki jak gdyby nigdy nic.

Dylan zdj¹³ skarpetkê z lewej stopy Shepherd. Na plastrze widnia³ rysunkowy kot.

- Kot - powiedzia³ Shep. - Shep postawi³ na kota. Dylan ostroŸnie oderwa³ opatrunek.

- Shep wygra³ - rzek³ Shep.

Od podania zastrzyku up³ynê³o ponad pó³ dnia i miejsce po uk³uciu wci¹Ÿ by³o zaczerwienione i lekko opuchniête.

Na widok znamienia Shepa Jilly poczu³a, jak przebiega przez ni¹ dreszcz, którego nie potrafi³a wyt³umaczyæ. Odklei³a swój plaster z królikiem. Miejsce po zastrzyku wy-gl¹da³o identycznie jak u Shepa.

Piesek na ramieniu Dylana zas³ania³ œlad po uk³uciu, taki sam jak ranki na ciele brata i Jilly.

- Mówi³ mi, Ÿe szprycy na kaŸdego dzia³a inaczej. Spogl¹daj¹c na œcianê, gdzie jeszcze niedawno otwiera³ siê tunel, Jilly powiedzia³a:

- Na Shepa chyba bardzo inaczej.

- „Efekt jest zawsze interesuj¹cy - znów zacytowa³ Franken-steina Dylan - czêsto zaskakuj¹cy, czasem

nawet pozytywny". Jilly dostrzeg³a w jego twarzy zdumienie i b³ysk nadziei w oczach.

- S¹dzisz, ¿e to pozytywna rzecz dla Shepa?

- Nie wiem nic o zdolnoœci... sk³adania. Nie mam pojęcia, czy to dobrodziejstwo, czy przekleństwo. Czas poka¿e. Ale za-cz¹³ te¿ wiêcej mówiæ. I to mówiæ do mnie. Teraz wydaje mi siê, ¿e od tamtej chwili zacz¹³ siê zmieniaæ.

Wiedzia³a, o czym Dylan myœli i o czym nie œmie powie-dziaæ, ¿eby nie kusiæ losu: ¿e dzięki zastrzykowi, pomocy tajem-niczej psychotropowej szprycy Shep mo¿e odnaleŹæ drogê ucieczki z wiêzienia autyzmu.

Niewykluczone, ¿e zas³u¿y³a sobie, by nazywaæ j¹ Negatyw-nie Nastawion¹ Jackson. Mo¿e w skrajnych sytuacjach rze-czywiœcie by³a krynic¹ pesymizmu - nie wobec w³asnego ¿ycia i jego perspektyw, ale czêsto s¹dzi³a, ¿e wiêkszoœæ ludzi i spo³e-czeñstwo jako ca³oœæ zawsze znajd¹ najkrótsz¹ drogê, aby sto-czyæ siê na dno. Nie uwa¿a³a siê jednak za pesymistkê - ani nawet osobê o negatywnym nastawieniu - gdy spogl¹da³a na zmiany w zachowaniu Shepa i przeczuwa³a w nich wiêcej nie-bezpieczeñstw ni¿ nadziei, mniej oznak œwiecenia ni¿ grozy.

Patrz¹c na czerwony punkcik na swojej stopie, Shepherd szepn¹³:

- Przy blasku ksiê¿yca.

Spogl¹daj¹c na jego niewinn¹ dot¹d twarz, Jilly nie ujrza³a ani nieobecnego spojrzenia, ani ³agodnej miny, ani rozdzieraj¹-cego niepokoju, które zdawa³y siê wyznaczaæ skalê jego emo-cji. W jego g³osie zabrzmia³a cierpka nuta, a rysy œci¹gnê³y siê w szyderczej minie wyra¿aj¹cej coœ wiêcej ni¿ zwyk³¹ gorzycz. Byæ mo¿e gniew, zapiek³y i d³ugo skrywany gniew.

- Ju¿ to wczœniej mówi³ - odezwa³ siê Dylan. - Kiedy wczoraj wieczorem próbowa³em go wyci¹gn¹æ z motelu, tu¿ przed naszym spotkaniem.

- Robisz swoje - wyszepta³ Shep. - To te¿ - doda³ Dylan.

Shepherd wci¹¿ siedzia³ zgarbiony, trzymaj¹c rêce na kola-nach z d³oñmi zwróconymi wewnêtrzn¹ stron¹ w górê, jak gdy-by medytowa³, lecz jego zachmurzona twarz zdradza³a szalej¹-c¹ w nim burzê.

- O czym on mówi? - zapyta³a Jilly. - Nie wiem.

- Shep? Do kogo mówisz, skarbie? - Robisz swoje przy blasku ksiê¿yca. - Kto robi, jakie swoje, Shep? Jeszcze przed minut¹ Shepherd by³ kontaktowy i obecny du-chem jak nigdy przedtem. Teraz b³dzi³ gdzieœ bardzo daleko, jak gdyby znów przedosta³ siê przez œcianê do Kalifornii.

Jilly kucnê³a obok Dylana i delikatnie uję³a w d³onie jedn¹ z bezw³adnych r¹k Shepa. Nie zareagowa³ na jej dotyk. Rêka wci¹¿ by³a drêtwa jak u nieboszczyka.

Ywe by³y jednak jego zielone oczy utkwione w lewej stopie i pod³odze, choæ prawdopodobnie nie zauwa¿a³y ani jednego, ani drugiego, gdy¿ spogl¹da³y na kogoœ lub coœ, co drêczy³o go we wspomnieniach.

- Robisz swoje przy blasku ksiê¿yca - szepn¹³ znowu. Tym razem gniewnej minie towarzyszy³ wyraŹnie ostry ton g³osu. Jilly nie mia³a ¿adnej proroczej wizji, nie przeczuwa³a przy-szêej grozy, ale zwyk³y g³os intuicji nakazywa³ jej czujnoœæ i mówi³, ¿e mo¿e siê spodziewaæ strasznych i zaskakuj¹cych wydarzeñ.

## 26 Shepherd wróci³ z tylko sobie znanego miejsca rozœwietlonego ksiê¿ycowym blaskiem i

ponownie poin-formowa³, ¿e musi iœæ pod prysznic.

Jilly wycofa³a siê do sypialni, lecz Dylan zosta³ z bratem w ³azience. Po ostatnich komplikacjach z „tutam" nie zamierza³ zostawiaæ Shepherdá samego ani na chwilê.

Gdy Shep œci¹ga³ koszulkê z kojotem, Dylan powiedzia³: - S³uchaj, dziecko, chcê, ¿ebyœ mi coœ obieca³.

Shep w milczeniu zdj¹³ spodnie.

- Chcê, ¿ebyœ mi obieca³, ¿e nie bêdziesz sk³ada³ st¹d tam, nie bêdziesz siê nigdzie wybiera³, jeœli nie uzgodnisz tego wczœœniej ze mn¹.

Shep zsun¹³ slipki. - Dziewiêæ minut.

- Mo¿esz mi to obiecaæ, Shep'?

Odsuwaj¹c zas³onkê kabiny prysznicowej, Shep powiedzia³: - Dziewiêæ minut.



- To poważna sprawa, bracie. Koniec z tym skądaniem, dopóki nie zrozumiemy lepiej, co się z nami dzieje. Z nami wszystkimi.

Shep odkręci³ wodę, ostrożnie podstawi³ d³oñ pod strumień, wyregulowa³ kurki, po czym jeszcze raz sprawdzi³ temperaturę. Ludzie często b³ędnie zak³adali, że Shepherd jest poważnie upo³edzony i wymaga pomocy we wszystkim, w istocie by³o jednak inaczej. Potrafi³ zadbaæ o w³asny³ higienę, potrafi³ siê ubraæ i z powodzeniem radzi³ sobie z wieloma prostymi codzien-nymi sprawami z wyj³tkiem przygotowywania posi³ków. Nie nale¿a³o prosiæ Shepa o przygotowanie p³on¹cego deseru ani nawet zrobienie grzanki. Wręczenie mu kluczyków od porsche te¿ nie by³oby najlepszym pomys³em. By³ jednak inteligentny, mo¿e nawet bystrzejszy od Dylana.

Niestety, w jego przypadku inteligencja nie znajdowa³a praktycznego zastosowania. Po prostu przyszed³ na œwiat z nie-sprawn¹ instalacj¹. Przypomina³ sportowy model mercedesa wyposa¿ony w mocny silnik, który nie zosta³ po³¹czony z uk³adem napêdowym; choæby ca³y dzieñ wdusza³o siê gaz do dechy, delektuj¹c siê piêknym dŸwiêkiem silnika, nie mo¿na by³o ni-gdzie pojechaæ.

- Dziewiêæ minut - powiedzia³ Shep.

Dylan poda³ mu minutnik: mechaniczny licznik u¿ywany w kuchni. Na bia³ej okr¹g³ej tarczy widnia³o szeœædziesi¹t czar-nych znaczków, co pi¹ty by³ numerowany.

Shep przysun¹³ sobie urz¹dzenie pod nos i przypatrywa³ mu siê uwag³nie, jakby nigdy wczœniej go nie widzia³, a potem ostrożnie ustawi³ pokrêt³o na dziewiêæ minut. Wzi¹³ kostkê my-d³a Neutrogena - jedynego, jakiego u¿ywa³ pod prysznicem - i wszed³ do brodzika, trzymaj¹c minutnik za pokrêt³o, aby apa-rat nie zacz¹³ za wczœnie odmierzaæ czasu.

Shep nigdy nie zaci¹ga³ zas³onki, ¿eby nie dostaæ ataku klau-strofobii.

Kiedy ju¿ sta³ pod prysznicem, postawi³ minutnik na kra-wêdzi brodzika, puszczaj¹c pokrêt³o. Rozleg³o siê tykanie, do-brze s³yszalne mimo szumu i plusku wody.

Minutnik zawsze robi³ siê mokry. W ci¹gu kilku miesiêcy rdza skutecznie unieruchomi³aby jego mechanizm. Dlatego Dy-lan kupowa³ te urz¹dzenia na tuziny.

Shep natychmiast zacz¹³ siê trzeæ kostk¹ neutrogeny, namy-dlaj¹c lew¹ rêkê. Chocia¿ w ogóle nie patrzy³ na tarczê minutni-ka, poœwiêca³ ka¿dej czêœci cia³a precyzyjnie odmierzony czas. Dwie lub trzy sekundy przed sygna³em minutnika z satysfakcj¹ w g³osie oznajmia³ g³oœno: Dzyñ!

Mo¿e œledzi³ up³ywaj¹cy czas, licz¹c tykniêcia minutnika - jedno na sekundê. A mo¿e po wielokrotnym precyzyjnym od-mierzaniu czasu k¹pieli Shep wykszta³ci³ w sobie dok³adny ze-gar wewnêtrzny.

W ci¹gu minionych dziesiêciu lat Dylan bez przerwy pamiê-ta³ o zegarze nieustaj¹co odmierzaj¹cym jego ¿ycie, ale nie mia³ ochoty myœlaæ o czasie, o tym, gdzie siê znajdzie za dziewiêæ mi-nut, szeœæ miesiêcy, rok czy dwa lata. Oczywiœcie, bêdzie malo-waæ œwiat, jeŸdzie na festiwale sztuki, obje¿d¿aæ galerie na ca-³ym Zachodzie. I opiekowaæ siê Shepem.

Teraz jego wewnêtrzne zegary nie tyka³y szybciej, ale bar-dziej natarczywie, a on nie móg³ przestaæ rozmyœlaæ o przysz³o-œci, która nagle sta³a siê p³ynna. Ju¿ nie wiedzia³, gdzie mo¿e byæ jutro lub w jakiej sytuacji znajdzie siê jeszcze tego samego dnia przed wieczorem, nie mówi¹c w ogóle o prognozach dwu-nastomiesiêcznych. Kogoe, kto przez dziesiêæ lat wiód³ wyj³t-kowo przewidywalne ¿ycie, powinno przera¿aæ to nowe po³o¿e-nie - i rzeczywiœcie Dylan ba³ siê jak diabli, lecz jednocześnie nie móg³ powstrzymaæ entuzjazmu granicz¹cego z radoœci¹.

Dziwi³ siê, ¿e tak bardzo spodoba³a mu siê perspektywa od-miany. Przez d³ugi czas uwa¿a³ siê za cz³owieka ceni¹cego sta-³oœæ, szanuj¹cego tradycjê, kochaj¹cego to, co odwieczne, i nie interesowa³ siê nowoœciami tylko dlatego, ¿e s¹ nowoœciami, w przeciwieñstwie do reszty spo³eczeñstwa, które ulegaj¹c fa-scynacji chwilow¹ mod¹, traci³o korzenie.

Pocz³ pal¹cy rumieniec wstydu, kiedy przypomina³ sobie tyradê na wzgórzu, podczas której wyrzuci³ Shepherdowi „nie-znoeny ustalony porz¹dek” i to, ¿e wci¹¿ „g³upio siê powta-rza³”, jak gdyby biedak miał wybór i móg³ zostaæ kimœ innym.

Nie maj¹c pojêcia, czy rewolucyjne zmiany w jego ¿yciu przynios¹ wiêcej z³ego czy dobrego, z pocz¹tku uzna³, ¿e radoœæ z ich nadejœcia jest objawem lekkomyœlnoœci. Gdy zrozumia³, ¿e zmiany najgroŸniejsze mog¹ byæ dla Shepherd’a, doszed³ do wniosku, ¿e jego podeksycytowanie to coœ gorszego ni¿ lekko-myœlnoœæ: to dowód w³asnej p³ytkoœci i egoizmu.

Spoglądajcie we własną twarz w lustrze, przekonywał się milcząco, że entuzjazm wobec odmiany, każdej odmiany, jest niczym innym jak tylko odbiciem jego wiecznego optymizmu. Gdyby nawet wypowiedział to głośno, konstatacja taka zapewne nie zabrzmiałaby prawdziwie. Przestraszony czowiekiem, jakiego zobaczył, Dylan odwrócił się od lustra, lecz mimo że doradzał sobie w duchu wyjątkową rozważę, podekscytowanie niewiadomą, którą stała się jego przyszłość, wcale się nie zmniejszyło. Nikt nigdy nie mógłby się uskarżać, że Holbrook w stanie Arizona jest prawdziwym centrum handlowym. Z wyjątkiem takich okazji, jak Święto Zachodu w czerwcu, festiwal sztuki Indian podczas Zjazdu Orłów w lipcu i jarmark okręgu Navaho we wrześniu, nawet pancernik mógłby spokojnie przejechać przez ulicę czy autostradę w tej okolicy, nie ryzykując śmierci pod kołami samochodu.

Mimo to Jilly odkrył, że w dwugwiazdkowym motelu pokoj jest wyposażony w oddzielne gniazdko modemu niezależne od telefonu. Pod tym względem mieli kryjówkę nie gorszą niż Hotel Peninsula w Beverly Hills.

Sadowiła się przy niewielkim biurku, otworzyła laptop, podłączyła i wyruszyła w rejs po Internecie. Zaczęła wycenienie stron poświęconych badaniom naukowym nad usprawnianiem funkcjonowania mózgu, gdy w sali Shephard wykrzyknął „dżin!”, a brzęczenie minutnika obwieściło koniec dziewięćdziesięciu minutowej kąpieli.

Na początku wykluczyła strony na temat poprawiania zdolności umysłowych za pomocą terapii witaminowych i diety. Frankenstein nie wyglądał na zwolennika naturalnego żywienia i homeopatii.

Nie była też zainteresowana stronami poświęconymi jodze i innym formom medytacji. Nawet najgenialniejszy naukowiec nie potrafiłby skroplić zasad dyscypliny medytacyjnej i wstrzymać im jak szczepionki przeciw grypie.

Shephard wyszedł z sali umyty, z jeszcze wilgotnymi włosami, przebrany w czyste dżinsy i koszulkę z kojotem. Dylan szedł za nim, ale po kilku krokach przystanął i rzekł: - Jilly, mógłbyś przez chwilę mieć oko na Shepa? Uwaga, żeby... nigdzie nie poszedł.

- Jasne.

Po obu stronach małego stolika pod oknem stały dwa dodatkowe krzesła z wysokimi oparciami. Jilly przystawiła jedno do biurka, aby Shep usiadł obok niej.

Zignorował jednak zaproszenie i poszedł do rogu sypialni przy biurku, gdzie stanął zwrócony plecami do pokoju.

- Shep, nic ci nie jest?

Nie odpowiedział. Tapeta - w białe, żółte i jasnoniebieskie pasy - na styku ściennym została przyklejona byle jak. Shephard wolno podniósł głowę i opuszczając, jak gdyby uważnie oglądał niedopasowany wzór.

- Skarbie, co się stało?

Po dwukrotnych oglądzinach niedbałej pracy tapeciarza, od podłogi po sufit, Shep utkwiał wzrokiem w miejscu ściennym. Ręce miał jak zwykle opuszczone wzdłuż boków. Nagle podniósł prawe ramię, jak gdyby miał zrobić przysięgę: zgiął rękę w łokciu, trzymając otwartą dłoń na wysokości twarzy. Po chwili zaczął machać, jakby nie patrzył w kąt pokoju, ale zobańczył przez okno znajomego. Dylan znów wyszedł z sali, aby wziąć z walizki czyste ubranie, więc Jilly spytała:

- Do kogo on macha?

- Właściwie nie macha - wyjaśnił Dylan. - To odruch, taki jak nerwowy tik mięśni twarzy. Czasem może tak niektórymi godzinami.

Przyjrząwszy się uważnie, Jilly dostrzegła, że nadgarstek Shepharda jest luźny, a dłoń zwisa niemal bezwładnie, w związku z czym machanie zupełnie nie przypomina świadomego gestu powitania czy pożegnania.

- Wydaje mu się, że zrobił coś złego? - spytała.

- Złego? Ach, dlatego że stoi w kącie? Nie. Po prostu czuje się przytłoczony. Za dużo wrażeń. Nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić.

- A kto potrafi?

- Odwracając się twarzą do kąta - tłumaczył Dylan - ogranicza liczbę wrażeń umysłowych. Redukuje

œwiat do tego w<sup>1</sup>skiego skrawka przestrzeni. To go uspokaja. Czuje siê bezpieczniej.

- Mo¿e ja te¿ potrzebujê swojego k<sup>1</sup>ta - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - Na razie miej go na oku. Shep wie, ¿e nie powinien... ni-gdzie iœæ. To dobre dziecko. Najczêœciej robi to, co trzeba. Ale bojê siê, ¿e to ca<sup>3</sup>e sk<sup>3</sup>adanie... mo¿e nie bêdzie umia<sup>3</sup> nad tym zapanowaæ, tak jak nie umie zapanowaæ nad swoj<sup>1</sup> praw<sup>1</sup> rêk<sup>1</sup>. Shep ca<sup>3</sup>y czas macha<sup>3</sup> do œciany.

Poprawiaj<sup>1</sup>c laptop na biurku i przesuwaj<sup>1</sup>c odrobinê krze-s<sup>3</sup>o, aby widzieæ Shepa, Jilly zapewni<sup>3</sup>a Dylana:

- Mo¿esz na mnie liczyæ. - Wiem.

Czu<sup>3</sup>oœæ w jego g<sup>3</sup>osie kaza<sup>3</sup>a jej podnieœæ g<sup>3</sup>owê.

W jego szczerych oczach ujrza<sup>3</sup>a ten sam wyraz namys<sup>3</sup>u, ja-ki spostrzeg<sup>3</sup>a w tamtych ukradkowych spojrzaniach, które po-sy<sup>3</sup>a<sup>3</sup> jej poprzedniego wieczoru, gdy zatankowali na stacji w Globe.

Kiedy Dylan ucemiechn<sup>13</sup> siê do niej, Jilly zorientowa<sup>3</sup>a siê, ¿e sama ucemiechnê<sup>3</sup>a siê pierwsza, a on po prostu odpowiedzia<sup>3</sup> tym samym.

- Mo¿esz na mnie liczyæ - odezwa<sup>3</sup> siê Shep.

Oboje spojrzeli na ch<sup>3</sup>opaka. Wci<sup>1</sup>¿ sta<sup>3</sup> twarz<sup>1</sup> do œciany i macha<sup>3</sup>.

- Wiemy, ¿e mo¿emy na ciebie liczyæ, bracie - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Nigdy siê na tobie nie zawiod<sup>3</sup>em. Zostañ tu, dobra? Tu, nie tam. Ąadnego sk<sup>3</sup>adania.

Na razie Shep powiedzia<sup>3</sup> wszystko, co zamierza<sup>3</sup>. - Lepiej pójdê pod prysznic - powiedzia<sup>3</sup> Dylan. - Dziewiêæ minut - przypomni<sup>3</sup>a mu Jilly.

Znów siê ucemiechn<sup>13</sup> i wróci<sup>3</sup> do <sup>3</sup>azienki z czystym ubra-niem.

Ca<sup>3</sup>y czas widz<sup>1</sup>c Shepa k<sup>1</sup>tem oka i od czasu do czasu zer-kaj<sup>1</sup>c prosto na niego, Jilly przemierza<sup>3</sup>a

Internet w poszukiwa-niu informacji na temat usprawniania funkcjonowania mózgu,

zdolnoœci umys<sup>3</sup>owych, pamiêci... wszystkiego, co mog<sup>3</sup>o ich za-prowadziæ do Frankensteina.

Zanim z <sup>3</sup>azienki wróci<sup>3</sup> Dylan, umyty i ogolony, w spod-niach khaki i wypuszczonej na pasek koszuli o hawajskim kro-ju, w czerwono-br<sup>1</sup>zow<sup>1</sup> kratê, Jilly ustali<sup>3</sup>a kierunek poszuki-wañ. Zainteresowa<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> przede wszystkim kilka artyku<sup>3</sup>ów na temat mo¿liwoœci poszerzania ludzkiej pamiêci za pomoc<sup>1</sup> mi-krouk<sup>3</sup>adów.

Gdy Dylan usiad<sup>3</sup> na krzesele obok niej, rzek<sup>3</sup>a:

- Twierdz<sup>1</sup>, ¿e kiedyœ bêdziemy mogli chirurgicznie instalowaæ sobie w mózgach porty danych, a potem, kiedy tylko ze-chcemy, pod<sup>3</sup>iczmy do nich karty pamiêci, ¿eby poszerzyæ swoj<sup>1</sup> wiedzê.

- Karty pamiêci.

- Na przyk<sup>3</sup>ad, gdybyœ chcia<sup>3</sup> zaprojektowaæ sobie dom, mo¿esz pod<sup>3</sup>czyæ kartê pamiêci - czyli chip z gêsto upakowany-mi danymi - i w jednej chwili bêdziesz zna<sup>3</sup> wszystkie szczegó<sup>3</sup>y architektoniczne i techniczne potrzebne do sporz<sup>1</sup>dzenia pla-nów budowlanych. Mam na myœli dok<sup>3</sup>adnie wszystko, od wzglêdów estetycznych po sposób obliczenia wymagañ noœnych fundamentów, nawet rozmieszczenie instalacji hydraulicznej i rozplanowanie systemu ogrzewania i ch<sup>3</sup>odzenia.

Dylan wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>, jakby mia<sup>3</sup> pewne w<sup>1</sup>tpliwoœci. - Tak mówi<sup>1</sup>?

- Tak. Je¿eli chcia<sup>3</sup>byœ wiedzieæ wszystko o historii i sztuce Francji przed wyjazdem do Pary¿a, pod<sup>3</sup>czas sobie odpowied-ni<sup>1</sup> kartê pamiêci. Mówi<sup>1</sup>, ¿e to nieuchronne.

- Kto to s<sup>1</sup> ci „oni”?

- Mnóstwo <sup>3</sup>ebskich speców od techniki, badacze, czo<sup>3</sup>ówka Doliny Krzemowej.

- To ci sami goœcie, przez których mamy dziesiêæ tysiêcy zbankrutowanych spó<sup>3</sup>ek internetowych?

- Tamci to w wiêkszoœci byli oszuœci, maniacy w<sup>3</sup>adzy albo szesnastoletni przedsiêbiocy, a nie powa¿ni naukowcy.

- Mimo to jakoœ nie jestem pod wra¿eniem. A co na ten te-mat mówi<sup>1</sup> neurochirurdzy?

- Zdziwisz siê, ale sporo z nich te¿ uwa¿a, ¿e kiedyœ rzeczy-wiœcie to bêdzie mo¿liwe.

- Zak<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c, ¿e nie palili za du¿o trawki, co maj<sup>1</sup> na myœli, mówi<sup>1</sup>c „kiedyœ”?

- Wed<sup>3</sup>ug niektórych za trzydzieœci lat, wed<sup>3</sup>ug innych za piêædziesi<sup>1</sup>t.

- Ale jaki to wszystko mo¿e mieæ zwiz<sup>1</sup>ek z nami? - zdu-mia<sup>3</sup> siê Dylan. - Nikt mi jeszcze nie zainstalowa<sup>3</sup> w czasce por-tu danych. W<sup>3</sup>acenie my<sup>3</sup>em w<sup>3</sup>osy, coœ bym zauwa¿y<sup>3</sup>.

- Nie wiem - przyzna<sup>3</sup>a. - Wydaje mi siê jednak, ¿e nawet gdyby to nie by<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>acœciwa droga, je¿eli

pójdê ni<sup>1</sup> trochê dalej, w końcu przetnie siê z t<sup>1</sup> w<sup>3</sup>aœciw<sup>1</sup> i dowiem siê, co takiego ba-da<sup>3</sup> Frankenstein. Dylan skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Nie wiem dlaczego, ale te¿ tak mi siê wydaje. - Intuicja.

- Tylko ona nam zosta<sup>3</sup>a. Wstaj<sup>1c</sup> zza biurka, zapyta<sup>3a</sup>:

- Chcesz przej<sup>1æ</sup> pocêg, dopóki nie wrócê? Przy was czujê siê jak ostatni kocmo<sup>3</sup>uch.

- Dziewiêæ minut - odrzek<sup>3</sup>.

- Wykluczone. Moja fryzura ma wiêksze wymagania.

Nara¿aj<sup>1c</sup> skórê g<sup>3</sup>owy na oparzenie silnym strumieniem powietrza z suszarki, Jilly po czterdziestu piêciu minutach wróci<sup>3a</sup> do sypialni, czysta i z puszystymi w<sup>3</sup>osami. Przebra<sup>3a</sup> siê w bananowo¿óty, obcis<sup>3y</sup>, lekki sweterek z krótkimi rêka-wami, bia<sup>3e</sup> d¿insy - których krój dowodzi<sup>3</sup>, ¿e kl<sup>1</sup>twa wielkie-go ty<sup>3</sup>ka drêcz<sup>1ca</sup> jej rodzinê jeszcze nie przeobrazi<sup>3a</sup> jej po-celadków, zmieniaj<sup>1c</sup> ich rozmiar z melonów w dwie dorodne dynie - oraz bia<sup>3e</sup> sportowe buty z ¿ótyymi sznurowad<sup>3</sup>ami pod kolor sweterka.

Czu<sup>3a</sup> siê <sup>3</sup>adna. Od wielu tygodni i miesiêcy w ogóle jej nie obchodzi<sup>3o</sup>, czy <sup>3</sup>adnie wygl<sup>1</sup>da i dziwi<sup>3a</sup> siê, ¿e zaczê<sup>3o</sup> jej zale-¿eæ teraz, w obliczu zbli¿aj<sup>1cej</sup> siê katastrofy, gdy jej ¿ycie leg<sup>3o</sup> w gruzach, a przypuszczalnie nadci<sup>1ga</sup>¿y jeszcze gorsze k<sup>3</sup>opoty; mimo to spêdzi<sup>3a</sup> kilka minut, przygl<sup>1daj</sup>c siê swemu odbiciu w lustrze <sup>3</sup>azienkowym i dokonuj<sup>1c</sup> starannych zabiegów, by wygl<sup>1daæ</sup> jeszcze <sup>3</sup>adniej. Czu<sup>3a</sup> siê bezwstydna, p<sup>3</sup>ytka i g<sup>3</sup>upia, ale przede wszystkim - <sup>3</sup>adna.

Stoj<sup>1cy</sup> w swoim k<sup>1</sup>cie Shepherd nie dostrzeg<sup>3</sup>, ¿e Jilly wró-ci<sup>3a</sup> <sup>3</sup>adniejsza, ni¿ wysz<sup>3a</sup>. Ju¿ nie macha<sup>3</sup> rêk<sup>1</sup>. Ramiona miał opuszczone. Pochyli<sup>3</sup> siê do przodu, wcisn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>owê w róg i doty-ka<sup>3</sup> ciemieniem pasiastej tapety, jak gdyby uwa¿a<sup>3</sup>, ¿e nawet naj-mniejsza odleg<sup>3oææ</sup> od schronienia miêdzy œcianami narazi go na kontakt z szerokim strumieniem doznañ zmys<sup>3</sup>owych, któ-rych by nie zniós<sup>3</sup>.

Mia<sup>3a</sup> nadziejê, ¿e Dylan zareaguje o wiele ¿ywiej ni¿ brat, ale gdy spojrze<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup> znad laptopa, nie powiedzia<sup>3</sup> jej ¿adnego komplementu, nawet siê nie ucemiechn<sup>13</sup>.

- Znalaz<sup>3em</sup> gnojka.

Jilly tak siê stara<sup>3a</sup> poprawiaê swój wygl<sup>1</sup>d, ¿e spodziewa<sup>3a</sup> siê komplementu, tote¿ w pierwszej chwili nie zrozumia<sup>3a</sup>, o czym Dylan mówi.

- Jakiego gnojka?

- Ucemiechniêtego gnojka, który je orzeszki, wbija ig<sup>3y</sup> i kradnie samochody, tego gnojka.

Dylan wskaza<sup>3</sup> na laptop. Zdjęcie na ekranie przedstawia<sup>3o</sup> doktora Frankensteina, wygl<sup>1daj</sup>cego bardzo dostojnie i w ni-czym nieprzypominaj<sup>1</sup>cego szaleñca, którym wydawa<sup>3</sup> siê wczó-raj wieczorem.

## 27 Lincoln Merriweather Proctor - imiê i nazwisko by<sup>3y</sup> pod ka¿dym wzglêdem myl<sup>1</sup>ce.

„Lincoln” przy-wodzi<sup>3</sup> na myœl Abrahama, kojarz<sup>1</sup>cego siê z m<sup>1</sup>droœci<sup>1</sup> i prawoœci<sup>1</sup> wielkich ludzi, którzy pochodzili z prostych rodzin. „Merriweather” dodawa<sup>3</sup> mu lekkoœci, sugeruj<sup>1c</sup> osobê woln<sup>1</sup> od trosk, mo¿e nawet sk<sup>3onn</sup><sup>1</sup> do niepowa¿nych zachowañ\*. „Proctor” oznacza<sup>3</sup> osobê nadzoruj<sup>1c</sup> studentów, powa¿nego mentora pilnuj<sup>1</sup>cego porz<sup>1</sup>dku i trwa<sup>3oæci</sup>.

Ten Lincoln Merriweather Proctor by<sup>3</sup> dzieckiem urodzo-nym pod szczêœliw<sup>1</sup> gwiazd<sup>1</sup>, uczy<sup>3</sup> siê najpierw w Yale, potem na Harvardzie. Na podstawie szybkiej lektury fragmentów jego artyku<sup>3ów</sup>, które Dylan pokaza<sup>3</sup> jej na ekranie laptopa, Jilly uzna<sup>3a</sup>, ¿e Proctor wcale nie jest oaz<sup>1</sup> spokoju, ale drêcz<sup>1</sup> go megalomañskie wizje o absolutnym panowaniu nad natur<sup>1</sup>, zmierzaj<sup>1</sup>cym do zupe<sup>3</sup>nego wypaczenia jej praw. Dzie<sup>3o</sup> jego ¿ycia - tajemnicza szpryca - w ¿aden sposób nie mog<sup>3o</sup> siê przy-czyniaê do zachowania porz<sup>1</sup>dku i trwa<sup>3oæci</sup>, raczej mog<sup>3o</sup> wywo-<sup>3aæ</sup> niestabilnoœæ, strach, a nawet chaos.

Wyj<sup>1</sup>tkowy talent Proctora znalaz<sup>3</sup> potwierdzenie w dwóch doktoratach - z biologii molekularnej i fizyki - które uzyska<sup>3</sup> przed ukoñczeniem dwudziestego szóstego roku ¿ycia. Usilnie zabiega<sup>3o</sup> o niego œrodowisko akademickie, ale i przemys<sup>3</sup> by<sup>3</sup> zainteresowany, a Proctor skorzysta<sup>3</sup> z obu propozycji, zajmu-j<sup>1c</sup> presti¿owe stanowiska; zanim skoñczy<sup>3</sup> trzydzieœci lat, za<sup>3o</sup>-¿y<sup>3</sup> w<sup>3asn</sup><sup>1</sup> firmê i b<sup>3ysn</sup><sup>13</sup> najwiêkszym geniuszem, gdy¿ zdoby<sup>3</sup> dla swoich badañ olbrzymi kapita<sup>3</sup> od biznesmenów, którzy mieli nadziejê, ¿e jego odkrycia znajd<sup>1</sup> zastosowanie komercyj-ne i przynios<sup>1</sup> krocie.

W swoich publikacjach i wyst<sup>1</sup>pieniach Proctor nie zajmo-wa<sup>3</sup> siê jednak tylko tworzeniem imperium

przemysłowego, ale marzy o zreformowaniu społeczeństwa i w istocie ma nadzieję zmieniać naturę całej ludzkości. W naukowych prześladach końca dwudziestego wieku i tych, które niewłaściwie miały na celu na początku dwudziestego pierwszego stulecia, upatrywać okazji do udoskonalenia człowieka i stworzenia utopijnego społeczeństwa.

Motywy, jakimi się rzekomo kierował - współczucie dla biednych i chorych, troska o równowagę ekologiczną planety, chęć krzewienia ogólnej równości i sprawiedliwości - były godne podziwu.

Jednak czytając jego słowa, Jilly usłyszała w głosie oskot maszerujących szeregów i brzęk ańców w guzłach.

- Od Lenina do Hitlera, wszyscy utopieci są tacy sami - zgodził się Dylan. - Postanawiam za wszelką cenę udoskonalить społeczeństwo, a w rzeczywistości je niszczyć.

- Ludzi nie da się udoskalać. Przynajmniej tych, których znam.

- Uwielbiam naturę, dlatego ją maluję. W naturze wszędzie widać doskonałość. Doskonała sprawność pszczoły w ulu. Doskonała organizacja mrowiska czy kolonii termitów. Ale piękno ludzkości bierze się z wolnej woli, naszej indywidualności, nieustannych zmagania z własną niedoskonałością.

- Piękno... i groza - dodała Jilly.

- W porządku, tragiczne piękno, ale walenie to czyni nas tak odmiennymi od natury i jest cenne samo w sobie. W naturze nie ma tragedii, tylko procesy - dlatego brak też triumfów.

Ten niewiedziowaty mężczyzna o szerokiej twarzy, ubrany jak chłopak w spodnie khaki i wypuszczony na wierzch kołszulę, nie przestawał jej zadziwiać.

- W każdym razie - powiedział -- Proctor nie prowadził badań nad kartami pamięci podłączonymi do portów w mózgu, ale miał rację, że ten trop może nas na niego naprowadzić.

Sięgnął do klawiatury. Na ekranie laptopa wyświetliły się nowe materiały.

Wskazując jedno słowo w nagłówku, Dylan rzekł: - Oto droga, którą od dawna porusza się Proctor.

Czytając słowo nad jego palcem, Jilly powiedziała:

- Nanotechnologia. - Zerknęła na Shepa stojącego w kącie, spodziewała się, że poda definicję, ale wszystko wskazywało na to, że chłopak wciąż wciska gówe między ościany, jak gdyby chciał nadać kształt klina idealnie dopasowanego do rogu.

- „Nano” w jednostce miary oznacza jedną miliardową - wyjaśnił Dylan. - Nanosekunda to jedna miliardowa sekundy. W tym wypadku oznacza jednak „bardzo mały, drobny”. Nanotechnologia - czyli maleńkie urządzenia, tak maleńkie, że nie widać ich gołym okiem.

Jilly zaczęła nad tym rozmyślać, ale koncepcja nanotechnologii nie była wdzięcznym tematem.

- Za małe, żeby je można zobaczyć? To z czego są zrobione takie maszyny?

Patrzył na nią wyczekująco.

- Na pewno z niczym ci się to nie kojarzy?

- A powinno?

- Niewykluczone - odparł tajemniczo. - W każdym razie takie nanomaszyny buduje się z paru atomów.

- Kto je buduje - elfy, duszki?

- Jakiego dziesięć lat temu pokazywano w telewizyjnych wiadomościach logo IBM, które badacze firmy ułożyli zaledwie z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu atomów. Połączyli atomy ze sobą i unieruchomili, wyczarowali z nich trzy literki.

- Czekaj, pamiętam. Byłam chyba w dziesiątej klasie. Nauczyciel pokazywał nam takie zdjęcie.

- Zrobiono fotografię aparatem podłączonym do silnego mikroskopu elektronowego.

- Ale to był przecież tylko maleńki napis, a nie maszyna - zaprotestowała Jilly. - Do niczego nie służy.

- Zgadza się, ale od tego czasu armia badaczy wsparta wielkimi funduszami pracuje nad projektami nanomaszyn, które będą działać. Maszyn, które już działają.

- Tycich maszyn dla duszków.

- Jeżeli chcesz o nich myśleć w ten sposób, to w porządku. - Dlaczego?

- Kiedy udoskonalili się te mikromaszyny, otworzył się nie-wiarygodnie wielki, nieskończony możliwości ich wykorzystania, zwłaszcza w medycynie.

Jilly próbowała sobie wyobrazić przynajmniej jedną z możliwości wykorzystania tych maszyn

wykonuj<sup>1</sup>cych tydzień zada-<sup>3</sup>nia. Westchn<sup>2</sup>ia.

- Spędzi<sup>3</sup>am za du<sup>2</sup>o czasu na pisaniu dowcipów, opowiada-<sup>3</sup>niu dowcipów i podkradaniu dowcipów innym. Teraz sama czu-<sup>2</sup>ję się, jakby mi ktoś zrobi<sup>3</sup> dowcip. Co to za mo<sup>2</sup>żliwość?

Dylan wskaza<sup>3</sup> ekran laptopa.

- Ćci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em wywiad, którego Proctor udzieli<sup>3</sup> kilka lat temu. S<sup>3</sup>ownictwo do<sup>2</sup>ce jest przyst<sup>2</sup>ępne dla laika. Nawet ja zrozumia<sup>3</sup>em. - Mo<sup>2</sup>żesz mi stre<sup>2</sup>ścić?

- W porz<sup>1</sup>dku. Po pierwsze, par<sup>2</sup>e mo<sup>2</sup>żliwych zastosowa<sup>3</sup>ń. Wyobra<sup>3</sup> sobie maszyn<sup>2</sup>e mniejsz<sup>1</sup> ni<sup>2</sup> komórka krwi, zbudo-<sup>2</sup>wan<sup>1</sup> z paru atomów, ale tak<sup>1</sup>, która umie rozpozna<sup>2</sup>e p<sup>3</sup>yt<sup>2</sup>kę mia<sup>2</sup>żd<sup>2</sup>ycow<sup>1</sup> na <sup>2</sup>ścianach naczy<sup>3</sup>ń krwiono<sup>2</sup>cenych i potrafi j<sup>1</sup> bezpiecznie usun<sup>1</sup>æ metod<sup>1</sup> mechaniczn<sup>1</sup>. Wchodzi w interak-<sup>2</sup>cję biologiczn<sup>1</sup>, ale sk<sup>3</sup>ada się z oboj<sup>2</sup>etnych biologicznie ato-<sup>2</sup>mów, więc jej obecno<sup>2</sup>ść nie zaalarmuje twojego uk<sup>3</sup>adu odpor-<sup>2</sup>no<sup>2</sup>ciowego. A teraz wyobra<sup>3</sup> sobie, że dostajesz zastrzyk z setkami tysi<sup>2</sup>ęcy takich nanomaszyn, a mo<sup>2</sup>że nawet milionami. - Milionami?

Dylan wzruszy<sup>3</sup> ramionami.

- W kilku centymetrach sze<sup>2</sup>ściennych na przyk<sup>3</sup>ad glukozy zmie<sup>2</sup>ści<sup>3</sup>oby się par<sup>2</sup>e milionów. Strzykawka by<sup>3</sup>aby mniejsza od tej, któr<sup>1</sup> mia<sup>3</sup> Proctor.

- Ciarki chodz<sup>1</sup> po plecach.

- Przypuszczam, że kiedy powsta<sup>3</sup>y pierwsze szczepionki, lu-<sup>2</sup>dziom ciarki chodzi<sup>3</sup>y po plecach na my<sup>2</sup>ś o tym, że b<sup>2</sup>ęd<sup>1</sup> im wstrzykiwa<sup>2</sup>e martwe zarazki, żeby stali się odporni na <sup>2</sup>zywe.

- Mimo wszystko nadal mi się to nie podoba.

- W ka<sup>2</sup>dy razie miliony nanomaszyn b<sup>2</sup>ęd<sup>1</sup> bez ko<sup>2</sup>ńca kr<sup>1</sup>-<sup>2</sup>ż<sup>2</sup>ać po twoim ciele, szukaj<sup>1</sup>c p<sup>3</sup>yt<sup>2</sup>ek mia<sup>2</sup>żd<sup>2</sup>ycowych i delikatnie je zdrapuj<sup>1</sup>c, tak że twój uk<sup>3</sup>ad krwiono<sup>2</sup>ceny b<sup>2</sup>ędzie czysty jak <sup>3</sup>za. Ta wiadomo<sup>2</sup>ść zrobi<sup>3</sup>a na Jilly wra<sup>2</sup>żenie.

- Jeżeli to kiedy<sup>2</sup>ś wejdzie na rynek, to koniec z poczuciem winy po zjedzeniu cheeseburgera. Wiesz co? Zaczyna mi się co<sup>2</sup>ś kojarz<sup>2</sup>ać.

- Nic dziwnego.

- Ale czemu ma mi się kojarz<sup>2</sup>ać?

Zamiast odpowiedzie<sup>2</sup>ć na pytanie, Dylan rzek<sup>3</sup>:

- Nanomaszyny mog<sup>3</sup>yby wykrywa<sup>2</sup>e i eliminowa<sup>2</sup>e kolonie komórek nowotworowych, zanim guz osi<sup>1</sup>gnie wielko<sup>2</sup>ść g<sup>3</sup>ówki szpilki.

- Trudno dostrzec w tym jakie<sup>2</sup>ś z<sup>3</sup>e strony - odpar<sup>3</sup>a Jilly. - Ale wiemy, że na pewno jest jedna.

Dlaczego jeste<sup>2</sup>cie taki tajem-<sup>2</sup>niczy? Czemu uwa<sup>2</sup>żasz, że to powinno mi się z czym<sup>2</sup>ś kojarz<sup>2</sup>ać?

Stoj<sup>1</sup>cy w k<sup>1</sup>acie Shep powiedzia<sup>3</sup>: - Tutam.

- Niech to szlag! - Dylan zerwa<sup>3</sup> się gwa<sup>3</sup>townie z miejsca, przewracaj<sup>1</sup>c krzes<sup>3</sup>o.

- Tutam.

Jilly by<sup>3</sup>a bli<sup>2</sup>żej Shepherda ni<sup>2</sup> Dylan, znalaz<sup>3</sup>a się wi<sup>2</sup>ęc przy nim pierwsza. Podchodz<sup>1</sup>c do niego, nie zauwa<sup>2</sup>ż<sup>3</sup>a niczego nie-<sup>2</sup>zwyk<sup>3</sup>ego, <sup>2</sup>adnego czerwonego tunelu prowadz<sup>1</sup>cego do Kali-<sup>2</sup>fornii ani gdzie indziej.

Shepherd nie pochyla<sup>3</sup> się ju<sup>2</sup>, wciskaj<sup>1</sup>c czaszk<sup>2</sup>e w róg mi<sup>2</sup>-<sup>2</sup>dzy <sup>2</sup>ścianami. Sta<sup>3</sup> wyprostowany z uniesion<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, utkwiw-<sup>2</sup>szy wzrok w czym<sup>2</sup>ś, czego Jilly nie widzia<sup>3</sup>a, a co najwyra<sup>2</sup>źniej bardzo go zainteresowa<sup>3</sup>o.

Znów podniós<sup>3</sup> praw<sup>1</sup> r<sup>2</sup>ękę jak do przysi<sup>2</sup>ęgi, lecz nie zacz<sup>13</sup> macha<sup>2</sup>e. Gdy Jilly stan<sup>2</sup>e obok niego, Shep wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oń przed siebie, si<sup>2</sup>ęgaj<sup>1</sup>c do punktu w przestrzeni, w który patrzy<sup>3</sup>, i mi<sup>2</sup>ędzy palec wskazuj<sup>1</sup>cy a kciuk wzi<sup>13</sup> szczypt<sup>2</sup>e... wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o, że szczypt<sup>2</sup>e niczego. Kiedy jednak lekko skr<sup>2</sup>ęci<sup>3</sup> t<sup>2</sup>e szczypt<sup>2</sup>e po-<sup>2</sup>wietrza, róg pokoju zacz<sup>13</sup> się sk<sup>3</sup>ada<sup>2</sup>e.

- Nie -powiedzia<sup>3</sup>a Jilly bez tchu i cho<sup>2</sup>e wiedzia<sup>3</sup>a, że Shep-<sup>2</sup>herd wzdryga się, gdy ktoś go dotyka, po<sup>3</sup>o<sup>2</sup>ż<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oń na jego r<sup>2</sup>ęce. - Nie rób tego, skarbie.

Kawa<sup>3</sup>ki pasków trójkolorowej tapety, które wcz<sup>2</sup>ośniej by<sup>3</sup>y niedopasowane tylko w rogu, teraz za<sup>3</sup>amywa<sup>3</sup>y się pod r<sup>2</sup>o<sup>2</sup>ny-mi k<sup>1</sup>tami, a róg sypialni sta<sup>3</sup> się tak zdeformowany, że Jilly nie widzia<sup>3</sup>a ju<sup>2</sup> linii biegn<sup>1</sup>cej od pod<sup>3</sup>ogi do sufitu.

Dylan, który stan<sup>13</sup> po drugiej stronie Shepa, po<sup>3</sup>o<sup>2</sup>ż<sup>3</sup> r<sup>2</sup>ękę na ramieniu brata.

- Zosta<sup>3</sup> tu, bracie. Zosta<sup>3</sup>, z nami jeste<sup>2</sup>cie bezpieczny. Ćciany przesta<sup>3</sup>y się sk<sup>3</sup>ada<sup>2</sup>e, lecz róg pozosta<sup>3</sup>

skręcony jak w surrealistycznej geometrii.

Jilly mia<sup>3</sup>a wrażenie, jakby patrzy<sup>3</sup>a na ten fragment cewiata przez oemiboczny pryzmat. Jej umys<sup>3</sup> buntowa<sup>3</sup> się przeciw czemuś, co przeczy<sup>3</sup>o rozs<sup>1</sup>dkowi, nawet bardziej niż tamten cewietlisty tunel w cecianie.

Jilly nie zdejmowa<sup>3</sup>a ręki z d<sup>3</sup>oni Shepa, ale nie chcia<sup>3</sup>a się z nim si<sup>3</sup>ować w obawie, że każdy ruch może dalej sk<sup>3</sup>adać tu w tam, gdziekolwiek owo „tam” mia<sup>3</sup>o się tym razem znajdo-wać.

- Rozprostuj to, kochanie - namawia<sup>3</sup>a go, a g<sup>3</sup>os jej dr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>, jak gdyby marszczy<sup>3</sup> się podobnie jak ceciany. - Zostaw to, skar-bie. Wyprostuj tak, jak ma być.

Shepherd nadal ceciska<sup>3</sup> kciukiem i palcem wskazuj<sup>1</sup>cym cienki materia<sup>3</sup> rzeczywistości.

Wolno odwróci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owę, aby spojrzeć na Jilly. Popatrzy<sup>3</sup> jej prosto w oczy, tak jak zrobi<sup>3</sup> dot<sup>1</sup>d tylko jeden jedyny raz, gdy siedzia<sup>3</sup> w fordzie przed domem w Alei Eukaliptusowej, tuż po nag<sup>3</sup>ym wyjściu Dylana. Wtedy Shep, zaskoczony kontaktem, zaraz odwróci<sup>3</sup> wzrok.

Tym razem wytrzyma<sup>3</sup> jej spojrzenie. Jego zielone oczy zda-wa<sup>3</sup>y się g<sup>3</sup>ębokie jak dwa oceany i rozświetlone od wewn<sup>1</sup>trz. - Czujesz to? - zapyta<sup>3</sup>.

- Co?

- Jak to dzie<sup>3</sup>a, ca<sup>31</sup> zup<sup>3</sup>noceć wszystkich.

Pewnie spodziewa<sup>3</sup> się, że przez jego d<sup>3</sup>oń Jilly poczuje to sa-mo co on między kciukiem a palcem wskazuj<sup>1</sup>cym, lecz ona do-tyka<sup>3</sup>a tylko ciep<sup>3</sup>ej skóry, twardych kości cęródre<sup>3</sup>ca i k<sup>3</sup>yki. Spodziewa<sup>3</sup>a się wyczuć ogromne napięcie cewiadcz<sup>1</sup>ce o wysi<sup>3</sup>-ku, jaki Shep musia<sup>3</sup> w<sup>3</sup>o<sup>3</sup>żyć w ten niewiarygodny wyczyn. Wy-dawa<sup>3</sup> się jednak zup<sup>3</sup>nie rozlu<sup>3</sup>niony, jakby sk<sup>3</sup>adanie jednego miejsca w drugie by<sup>3</sup>o proste niczym z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>żenie ręcznika.

- Czujesz ca<sup>3</sup>e piękno wszystkiego? - zapyta<sup>3</sup>, zwracaj<sup>1</sup>c się do niej z otwartości<sup>1</sup>, która nie mia<sup>3</sup>a nic wspólnego z obojętno-ści<sup>1</sup> charakterystyczn<sup>1</sup> dla autyzmu.

Być może tajemna struktura rzeczywistości by<sup>3</sup>a piękna, ale bliskie spotkanie z jej tajemnic<sup>1</sup> nie wprowi<sup>3</sup>o Jilly w taki za-chwył jak Shepa, a raczej przeszy<sup>3</sup>o lodowatym dreszczem prze-ra<sup>3</sup>enia. Nie chcia<sup>3</sup>a zrozumieć, tylko przekonać go, żeby zamk-n<sup>13</sup> t<sup>3</sup> bramę, zanim otworzy j<sup>1</sup> na oście<sup>3</sup>.

- Proszę cię, rozprostuj to, skarbie. Rozprostuj, żebym mo-g<sup>3</sup>a poczuć, jak się rozk<sup>3</sup>ada.

Jej ojciec zosta<sup>3</sup> zastrzelony rok temu podczas nieudanej trans-akcji sprzedaży narkotyków, mimo to Jilly ogarn<sup>13</sup> dziwny lęk, że jeżeli Shepherd nie przestanie sk<sup>3</sup>adać tu w tam, za chwilę stanie oko w oko ze swoim okropnym starym. Często otwiera<sup>3</sup>a drzwi mieszkania i widzia<sup>3</sup>a tamten z<sup>3</sup>owrogi ucemiec.

Spodziewa<sup>3</sup>a się, że Shep umie otworzyć bramy piekie<sup>3</sup> z równ<sup>1</sup> <sup>3</sup>atwości<sup>1</sup> jak bra-mę do Kalifornii, doprowadzaj<sup>1</sup>c do spotkania ojca z córki<sup>1</sup>. „Przyszed<sup>3</sup>em po ubezpieczenie za oko, maleńka. Macie dodatek z ubezpieczenia za oko?”. Jak gdyby Shep mógł bezwiednie dać oj-cu okazję, by wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> rękę z zacewiatów i spe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> tam<sup>1</sup> gro<sup>3</sup>Yb<sup>3</sup> sprzed lat, pozbawiaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> nie jednego, lecz obojga oczu.

Shep powoli odwróci<sup>3</sup> od niej wzrok i skupia<sup>3</sup> się ponownie na swoim kciuku i palcu wskazuj<sup>1</sup>cym.

Wcześniej skręci<sup>3</sup> szczytę niczego w prawo. Teraz skręci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> w lewo.

Przecinaj<sup>1</sup>ce się pod nieprawdopodobnymi k<sup>1</sup>tami paski na tapecie wyprostowa<sup>3</sup>y się. Znow by<sup>3</sup>o widać równ<sup>1</sup> linię rogu pokoju, biegn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> od pod<sup>3</sup>ogi do sufitu, bez <sup>3</sup>adnych zygzaków. To, co Jilly przed chwil<sup>1</sup> ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a jakby przez pryzmat, odzy-ska<sup>3</sup>o prawdzi<sup>3</sup>owy wygl<sup>1</sup>d.

Patrz<sup>1</sup>c uważnie na punkt przestrzeni, który Shep nadal cęci-ska<sup>3</sup> w palcach, dostrzeg<sup>3</sup>a coś na kształt zmarszczki w powie-trzu, jak na powierzchni b<sup>3</sup>ony filmowej albo cienkiej folii.

Potem Shep wyprostowa<sup>3</sup> palce, wypuszczaj<sup>1</sup>c niezwyk<sup>3</sup>y materia<sup>3</sup>.

Nawet obserwuj<sup>1</sup>c go z boku, Jilly zauwa<sup>3</sup>ży<sup>3</sup>a, jak jego zieleno-ocze zasnuwaj<sup>1</sup> się mg<sup>31</sup>, g<sup>3</sup>ębiam oceanu zmienia się w mieli-znę, a zachwył ustępuje miejsca... melancholii.

- Bardzo dobrze. - Dylan odetchn<sup>13</sup> z ulg<sup>1</sup>. - Dziękuj<sup>3</sup>, Shep. Cewietnie się spisa<sup>3</sup>o. Naprawdę dodsonale.

Jilly zdję<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oń z ręki Shepa, który zaraz j<sup>1</sup> opuści<sup>3</sup>. Opuści<sup>3</sup> też g<sup>3</sup>owę, wbijaj<sup>1</sup>c wzrok w pod<sup>3</sup>ogę, i zgarbi<sup>3</sup> się, jak gdyby po krótkiej chwili swobody znow przyj<sup>13</sup> na siebie cię<sup>3</sup>ar autyzmu.

przed laptopem w pó<sup>3</sup>kolu, z Shepem w cęrodku, aby lepiej go pilnowaę. Ch<sup>3</sup>opak opiera<sup>3</sup> podbródek o pierę. Ręce trzyma<sup>3</sup> na kola-nach zwrócone wewnętrzn<sup>1</sup> stron<sup>1</sup> w górę. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>, jakby wró<sup>3</sup>cy<sup>3</sup> sobie z d<sup>3</sup>oni: linia serca, linia g<sup>3</sup>owy, linia  $\zeta$ ycia - i wie-le innych istotnych linii biegn<sup>1</sup>cych promienioęcie od sieci międy kciukiem a palcem wskazuj<sup>1</sup>cym, znanej jako anatomiczna ta-bakiera.

Matka Jilly potrafi<sup>3</sup>a wró<sup>3</sup>cyę z d<sup>3</sup>oni - nie dla pieniędzy, ale w poszukiwaniu nadziei. Mamy nie interesowa<sup>3</sup>y tylko linie ser-ca, g<sup>3</sup>owy i  $\zeta$ ycia, ale tak $\zeta$ e anatomiczna tabakiera, przestrzenie międy palcami, nasada d<sup>3</sup>oni, k<sup>3</sup>1b kciuka i k<sup>3</sup>ębik.

Jilly siedzia<sup>3</sup>a z ramionami skrzy<sup>3</sup>owanymi na piersi, trzy-maj<sup>1</sup>c pod pachami d<sup>3</sup>onie zwinięte w pięęci. Nie lubi<sup>3</sup>a wró<sup>3</sup>e-nia z ręki.

Wró<sup>3</sup>enie z ręki, z herbacianych fusów, interpretacja kart Tarota, stawianie horoskopów - Jilly nie chcia<sup>3</sup>a mieę z tym nic wspólnego. Nigdy nie powierzy<sup>3</sup>aby losowi swojej przysz<sup>3</sup>oęci, ani na minutę. Gdyby los chcia<sup>3</sup> przej<sup>1</sup>ę nad ni<sup>1</sup> w<sup>3</sup>adzę, musia<sup>3</sup>-by j<sup>1</sup> najpierw pozbawiaę przytomnoęci i si<sup>3</sup>1 zdobyę panowanie.

- Nanomaszyna - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly, przypominaj<sup>1</sup>c Dyla-nowi o przerwany w<sup>1</sup>tku. - Szoruje ęciany  $\zeta$ y<sup>3</sup>, zwalcza mia $\zeta$ -d $\zeta$ ycę i szuka maleńkich grup komórek rakowych.

Dylan przez chwilę przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się zmartwiony Shepowi, a potem skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i spojrz<sup>3</sup>a Jilly w oczy.

- Czyli wiesz, o co chodzi. W wywiadzie Proctor du $\zeta$ o mó-wi o nanomaszynach i nanokomputerach wyposażonych w tak<sup>1</sup> pamięę,  $\zeta$ eby zaprogramowaę doęę skomplikowane zadania.

Mimo i $\zeta$  wszyscy troje stanowili  $\zeta$ ywy dowód na to,  $\zeta$ e Lin-coln Proctor nie mówi<sup>3</sup> g<sup>3</sup>upstw, Jilly się zorientowa<sup>3</sup>a,  $\zeta$ e rów-nie trudno uwierzyę jej w ten be<sup>3</sup>kot o cudach techniki jak w zdolnoęę Shepa do sk<sup>3</sup>adania tu w tam. A mo $\zeta$ e po prostu nie chcia<sup>3</sup>a wierzyę, poniewa $\zeta$  odkrycia nios<sup>3</sup>y ze sob<sup>1</sup> koszmar-ne konsekwencje.

- To ęmieszne - powiedzia<sup>3</sup>a. - Jak mo $\zeta$ na wcisn<sup>1</sup>ę tak<sup>1</sup> wielk<sup>1</sup> pamięę do komputera mniejszego od ziarnka piasku?

- Mniejszego od drobiny kurzu. Proctor wyjaęnia to, odwo-<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c się do historii: pierwsze krzemowe uk<sup>3</sup>ady scalone by<sup>3</sup>y wielkoęci paznokcia i mia<sup>3</sup>y milion obwodów. Najmniejszy ob-wód mia<sup>3</sup> gruboęę jednej setnej ludzkiego w<sup>3</sup>osa.

- Mnie interesuje tylko, jak rozbawiaę publicznoęę,  $\zeta$ eby par-ska<sup>3</sup>a ęmiechem - poskar $\zeta$ y<sup>3</sup>a się.

- Potem nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> prze<sup>3</sup>om w... zdaje się,  $\zeta$ e nazwa<sup>3</sup> to lito-grafi<sup>1</sup> rentgenowsk<sup>1</sup>.

- Nazwij to sobie be<sup>3</sup>kotologi<sup>1</sup> albo ko<sup>3</sup>owatografi<sup>1</sup>, jeceli masz ochotę. Mnie to i tak nic nie powie.

- W ka $\zeta$ dym razie dzięki jakimuę prze<sup>3</sup>omowi w ko<sup>3</sup>owato-grafii uda<sup>3</sup>o się wydrukowaę miliard obwodów na jednym chi-pie, a ka $\zeta$ dy mia<sup>3</sup> gruboęę jednej tysięcnej ludzkiego w<sup>3</sup>osa. Po-tem dwa miliardy. Ale to się dzia<sup>3</sup>o wiele lat temu.

- Mo $\zeta$ e, ale kiedy ci wa $\zeta$ ni naukowcy dokonywali prze<sup>3</sup>o-mowych odkryę, ja nauczy<sup>3</sup>am się na pamięę stu osiemnastu dowcipów o grubych ty<sup>3</sup>kach. Ciekawe, kto lepiej rozbawi<sup>3</sup>by towarzystwo na przyjęciu.

Myęel o kr<sup>1</sup> $\zeta$ -<sup>1</sup>cych w jej krwi nanomaszynach i nanokompute-rach przeję<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> takim dreszczem obrzydzenia, jakby co najmniej hodowa<sup>3</sup>a w piersi pozaziemskiego robala rodem z „Obcego”.

- Zmniejszaj<sup>1</sup>c rozmiary uk<sup>3</sup>adów scalonych - t<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup> Dylan - projektanci zwiększyli równoczenie szybkoęę kompu-terów, dzia<sup>3</sup>anie i pojemnoęę. Proctor mówi<sup>3</sup> o wieloatomowych maszynach poruszanych nanokomputerami zrobionymi z jed-nego atomu.

- Komputery nie większe od atomu? S<sup>3</sup>uchaj, ęwiat o wiele bardziej potrzebuje przenoęnej pralki wielkoęci rzodkiewki. Jilly zaczę<sup>3</sup>a odnosię wra $\zeta$ enie,  $\zeta$ e maleńkie, interaktywne biologicznie maszyny to los uwięziony w strzykawce. Los nie musia<sup>3</sup> się ju $\zeta$  do niej skradaę, aby pozbawiaę j<sup>1</sup> przytomnoęci; uwija<sup>3</sup> się w najlepsze po jej wnętrzu dzięki uprzejmoęci Lincol-na Proctora.

- Proctor twierdzi - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Dylan -  $\zeta$ e protony i elektrony w atomie mog<sup>1</sup> s<sup>3</sup>u $\zeta$ yę jako dodatnie i ujemne prze<sup>3</sup>czniki, a obwody mo $\zeta$ na wyryę w neutronach, więc pojedynczy atom w nanomaszynie stanie się potę $\zeta$ nym komputerem, który będzie ni<sup>1</sup> sterowa<sup>3</sup>.

- Je $\zeta$ eli o mnie chodzi - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly - to pobiegnę do CostCo, kiedy tylko us<sup>3</sup>yszę,  $\zeta$ e sprzedaj<sup>1</sup> tam niedrogie tycie ku-chenki mikrofalowe, które mog<sup>1</sup> s<sup>3</sup>u $\zeta$ yę te $\zeta$  jako ozdoba pępka.

Wcisnę<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>onie pod pachy, nie potrafi<sup>3</sup>a się zmusiaę do s<sup>3</sup>u-chania Dylana, bo dobrze wiedzia<sup>3</sup>a, do czego prowadzi<sup>1</sup> wszyst-kie te informacje i na myęel o tym ogarnia<sup>3</sup> j<sup>1</sup> parali $\zeta$ uj<sup>1</sup>cy strach. Pocz<sup>3</sup>a pod



pachami wilgoæ.

- Boisz siê - rzek³ Dylan.

- Nic mi nie jest.

- Wcale nie.

- Jasne, co mi przysz³o do g³owy? Przecie¿ to nie ja wiem, czy coæ mi jest, czy nie. Ty jesteœ ekspertem od moich spraw, nie?

- Kiedy siê boisz, twoje uwagi robi¹ siê tragicznie ma³o dowcipne.

- Je¿eli dobrze pogrzebiesz w pamieci - odpar³a - przypo-mnisz sobie, ¿e w przesz³oœci nie mia³am zbyt dobrego zdania o twojej amatorskiej psychoanalizie.

- Bo by³a celna. S³uchaj, boisz siê, ja te¿ siê bojê, Shep siê boi, wszyscy siê boimy, i nic w tym dziwnego. Wszyscy...

- Shep jest g³odny - powiedzia³ Shepherd.

Nie jedli œniadania. Zbli¿a³a siê pora lunchu.

- Nied³ugo pójdziemy na lunch - obieca³ bratu Dylan.

- Cheez-ity - rzek³ Shep, nie odrywaj¹c oczu od swoich d³oni.

- Zjemy coæ lepszego ni¿ cheez-ity, bracie. - Shep lubi cheez-ity.

- Wiem, bracie. - Zwracaj¹c siê do Jilly, Dylan doda³: - To ³adne kwadratowe krakersy.

- Co by zrobi³, gdybyœ mu da³ te ma³e serowe krakersy w kszta³cie rybek... jak one siê nazywaj¹, Goldfish?

- Shep nie cierpi goldfishów - odpar³ natychmiast ch³opak. - S¹ kszta³towe. Okr¹g³e i kszta³towe. Goldfishes s¹ do kitu. S¹ za bardzo kszta³towe. S¹ wstrêtne. Goldfishes s¹ do niczego. Do kitu, do kitu, do kitu.

- Trafi³aœ w czu³y punkt - zauwa¿y³ Dylan.

- Nie bêdzie goldfishów - obieca³a Shepowi Jilly. - Goldfishes s¹ do kitu.

- Masz zupe³n¹ racjê, skarbie. S¹ absolutnie kszta³towe - powiedzia³a Jilly.

- Wstrêtne.

- Tak, skarbie, s¹ absolutnie wstrêtne.

- Cheez-ity - powtórzy³ z uporem Shep.

Jilly chêtnie spêdzi³aby resztê dnia na dyskusji o kszta³tach krakersów, gdyby mog³a dziêki niej unikn¹æ s³uchania szczegó³owych opowieœci o tym, co nanomaszyny mog¹ w tej chwili wy-prawiaæ w jej ciele, lecz zanim zd¹¿y³a wspomnieæ o ciastkach Wheat Thins, Dylan wróci³ do strasznego tematu.

- W wywiadzie Proctor twierdzi nawet, ¿e pewnego dnia cz³owiekowi bêdzie mo¿na wstrzykn¹æ...

Jilly siê skrzywi³a.

- Wstrzykn¹æ, no proszê.

- ...miliony nanomaszyn psychotropowych...

- Psychotropowych.

- ...które z krwi¹ dostan¹ siê do mózgu... Wzdrygnê³a siê.

- Maszyny w mózgu.

- ...i skolonizuj¹ mózg.

- Wstrêtne - powiedzia³ Shep, choæ prawdopodobnie wci¹¿ mówi³ o krakersach Goldfish.

- Proctor przewiduje, ¿e nanomaszyny i nanokomputery wymusz¹ ewolucjê mózgu.

- Dlaczego nikt wczêœniej nie zabi³ tego sukinsyna?

- Mówi, ¿e nanomaszyny bêdzie mo¿na tak zaprogramo-waæ, by analizowa³y strukturê mózgu na poziomie komórko-wym i same znajdowa³y sposób jego ulepszenia.

- Chyba nie by³am na g³osowaniu, kiedy wybierali Lincolna Proctora na nowego boga.

Jilly wyci¹gnê³a rêce spod pach, otworzy³a d³onie i przyjrza³a siê im. Cieszy³a siê, ¿e nie umie wróci³a z rêki.

- Kolonie nanomaszyn utworz¹ nowe po³czenia miêdzy ró¿nymi p³atami mózgu, nowe drogi nerwowe...

Powstrzyma³a siê, by nie dotkn¹æ g³owy, w obawie, ¿e mo-¿e poczuæ przez czaszkê jakieœ dziwne lekkie wibracje - niezbi-ty dowód obecnoœci nanomaszyn pracowicie zmieniaj¹cych j¹ od œerodka.

- ...lepsze synapsy. Synapsy to miejsca styku miêdzy neuro-nami w po³czeniu nerwowym wewn¹trz

mózgu, które ulegają zmęczeniu, kiedy myślimy albo za długo nie śpimy. Gdy się zmęczą, zwalniają nasz proces myślenia.

Ze śmiertelną powagą, nie siląc się na żaden dowcip, Jilly powiedziała:

- Przydałoby mi się teraz drobne zmęczenie synaps. Myślenie zdecydowanie za szybko przelatuje mi przez głowę.

- Wywiad jest jeszcze dłuższy - rzekł Dylan, znów wskazując na ekran laptopa. - Przejrzałem dalszą część, ale znalazłem żar-gon, którego po prostu nie rozumiałem, jakże biokotologia, zaokrętzaerodkowy i zakręt przedzserodkowy, komórki Purkiniego... i tak dalej, same terminy dla wtajemniczonych. Ale z tego, co rozumiałem, wiem, że wpakowaliśmy się w poważne tarapaty.

Jilly nie mogła się już dłużej opanować i przycisnęła palce do skroni. Nie wyczuła żadnych wibracji.

- Boże, strach pomyśleć. Miliony maleńkich nanomaszyn i nanokomputerów skaczą ci w głowie, uwijają się niczym rój pszczoł, jak mrówki, wszystko zmieniają... to nie do zniesienia, nie śdzisz?

Poszarzała twarz Dylana była widowym znakiem, że jego optymizm, jeżeli zupełnie się nie wypalił, na pewno przygasł jak zasypany żar.

- Nie mamy wyboru, musimy to znosić, musimy o tym myśleć. Chyba że wybierzemy sposób Shepa. Ale kto wtedy pokroi nam jedzenie w kwadraty i prostokąty?

Rzeczywiście, Jilly nie miała pojęcia, czy prędzej podda się panice, gdy będzie rozmawiała o tej maszynowej infekcji, czy jeżeli w ogóle nie będzie o tym mówiła. Czując, jak przyczaił się w niej strach, niczym dziki czarny ptak trzepoczący skrzydłami, i wiedziała, że jeżeli nie uda się jej go uspokoić i zatrzymać, jeżeli pozwoli mu ulecieć z klatki, nigdy nie zdoła go sprowadzić z powrotem; wiedziała też, że gdy ptak zacznie wściekle łuc skrzydłami o ściany jej umysłu, razem z nim uleci zdrowy rozsądek, wtrącając ją w otchłań obłądka.

- Czuję się, jakby ktoś mi powiedział, że mam chorobę szalonych krów albo pasożyty w mózgu - wyznała.

- Tyle że to miało być dobrodziejstwo dla ludzkości.

- Dobrodziejstwo? Założę się, że gdzieś w wywiadzie ten kretyn ułożył sformułowania „rasa panów” albo „superrasa”, albo czegoś w tym guście.

- Zaraz ci powiem. Od dnia, w którym Proctor wymyślił, że można wykorzystać nanotechnologię do ewolucji mózgu, wiedział już, jak będzie się nazywać ludzie, których podda temu zabiegowi. „Proctorianie”.

Nagły wybuch niepojętego gniewu doskonale odwrócił uwagę Jilly od własnego przerażenia i pozwolił utrzymać ptaka w klatce.

- Co za egoistyczny, zakochany w sobie ćwir! - To bardzo trafny opis - zgodził się Dylan.

Shep, który najwyraźniej wciłał rozmyślał o wyszołoci kwadratowych krakersów nad wstrętnie kształtowymi goldfishami, powiedział,

- Cheez-ity.

- Wczoraj wieczorem - rzekł Dylan - Proctor mówił, że gdyby nie był tchórzem, sam by to sobie wstrzyknął.

- Gdyby nie dał się śmiać wysadzić w powietrze - oświadczyła Jilly - sama zrobiłabym kretynowi zastrzyk, o ile większy strzykawką, wpompowałabym mu wszystkie te nano-maszyny do mózgu przez tyłek.

Dylan ucieszył się blado. - Tyle w tobie żołądka.

- Tak. Dobrze się z tym czuję.

- Cheez-ity.

- Proctor powiedział mi, że nie może być dla nikogo wrogiem do naciadania - rzekł Dylan. - Te duma nie pozwala mu na skruchę. Gada o swoich wadach.

- Co? Mam zapach ze współczucia?

- Przypominam sobie tylko, co mi mówił,

Drażniła świadomość, że nanomaszyny buszują w jej szarych komórkach, oraz cieżkie oburzenie sprawy, że Jilly nie mogła dłużej usiedzieć w miejscu. Z rozgorczkowania rozpieczętała ogromną energię, dzięki której mogłaby pobiec na długim dystansie albo zafundować sobie porcję

dynamicznego aerobiku - albo najlepiej znaleźć kogoś, komu trzeba skopać tyłek i kopać, dopóki nie rozbolały jej stopy, dopóki mogą a-bi unieść nogę.

Jilly poderwała się tak gwałtownie, że Dylan drgnął i też w jednej chwili zerwał się z krzesła.

Shep także wstał, i to szybciej niż zwykle.

- Cheez-ity - powiedział, ocisnął w palcach szczytę niczego, skręcił i złożył wszystkich troje z pokoju motelowego.

**29** Jako ujmująca, atrakcyjna kobieta, która bywała zabawna i miała ciewięzy oddech, Jillian Jackson często zapraszali na lunch młodzi mężczyźni, doceniający jej zalety - ale nigdy przedtem nie została na lunch z nią.

Wciąż nie była świadkiem tego złozenia, nie widziała, jak staje się czymś w rodzaju rozkładówki dziewczyny miesząca w „Playboyu”, i nie poczuła żadnego dyskomfortu. Tandem po-kój motelowy i meble momentalnie zmieniły się w dziwnie zestawione ze sobą fragmenty, a potem zagięły się, zmarszczyły, skrzyżowały i zniknęły jej z oczu. W jej stronę zaczęły się natomiast rozkładać skocone kawałki jakiegogo innego miejsca, jak gdyby przechodziły przez nienajwygodniejszy pokój. Tam gdzie przed chwilą byli, panował rozjaśniony światłem lampy półmrok, a punkt docelowy był zalany słońcem, więc przez chwilę Jilly miała wrażenie, jakby zamknęła się w gigantycznym kalejdoskopie, a jej cały świat to tylko mieszanina kolorowych fragmentów mozaiki, które w momencie zmieniają wzór, przechodząc z ciemnego deseni w jasny.

Obiektywnie czas przejścia mógł wynosić zero; być może przemieścili się stąd tam w mgnieniu oka, jednak według subiektywnej oceny Jilly trwało to trzy lub cztery sekundy. Gu-mowe podeszwy jej sportowych butów zecelizowały się z dywanu, a potem przejechały kilka cali po betonie i stwierdziła, że stoi z Dylaniem i Shepherdem przed drzwiami restauracji.

Shepherd złożył ich z powrotem do restauracji w Safford, gdzie zeszłego wieczoru jedli kolację. Jilly pomyślała, że może się stać, bo to w momencie w Safford Dylan poznał starego kowboja, Bena Tannera, z jego dawno zaginioną wnuczką, a na domiar złego na tutejszym parkingu spuścił solidne łanie Lucasowi Crockerowi, po czym zadzwonił na policję z informacją, że Crocker trzyma swoją matkę, Noreen, skutą łańcuchami w piwnicy. Gdyby nawet w restauracji nie było o tej porze żadnej z osób, które pracowały wczoraj na wieczornej zmianie, kto mógłby rozpoznać Dylana na podstawie opisu, a co najmniej jeden gliniarz wróciłby gdzieś obejrzał miejsce zdarzenia w dziennym świetle.

Po chwili zorientowała się, że jest w błędzie. Wcale nie byli w Safford. Lokal wyglądał podobnie jak tamten, ponieważ obydwa zbudowano w tym samym pozbawionym polotu, lecz tradycyjnym stylu architektonicznym typowym dla restauracji motelowych na całym Zachodzie: miała szerokie zadaszenie osłaniające duże okna przed pustynnym słońcem i niskie ściany z kamiennych płyt pod oknami, a przed wejściem stały wyłożone takimi samymi płytami klomby, w których roełiny walczyły o przetrwanie w upale.

Był to bar siodający z motelem, z którego w momencie zniknęli, aby się tu złożyć. Z południowej strony znajdowała się recepcja, a za nią ciagnęło się osłonięte przejście prowadzące przez długie skrzydło pokoi, z których przedostatni należał do nich. Shepherd złożył ich na odległość czterystu czy pięciuset stóp.

- Shep jest głodny.

Jilly obejrzała się prawie pewna, że zobaczy otwartą bramę podobną do tamtej ze wzgórza w Kalifornii, którą znała z opisu Dylana, tyle że ta nie powinna przedstawiać widoku ścianki motelowej, lecz pustą sypialnię, którą opuścili parę chwil temu. Najwyraźniej jednak tym razem Shepherd natychmiast zamknął bramę, bo za nimi leżał w ostrym słońcu południe tylko asfalt parkingu.

Dwadzieścia stóp od nich z pikapa wyposażonego w uchwyt na strzelbę wysiadła młoda dziewczyna w ubraniu roboczym i sfałgowanym kowbojskim kapeluszu. Spojrzał na nich ze zdumieniem, ale nie wykrzyknął oskarżycielskim tonem „Teleporterzy” ani „Proctorianie”, ani nic podobnego. Wydawała się jedynie lekko zdziwiona, że nie zauważyła ich wcześniej.

Aden z mkn<sup>1</sup>cych ulic<sup>1</sup> samochodów nie wjecha<sup>3</sup> na kra-wê<sup>1</sup>nik, nie roztrzaska<sup>3</sup> siê o s<sup>3</sup>up ani nie waln<sup>13</sup> w kufer auta jad<sup>1</sup>cego z przodu. S<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c po reakcji kierowców, aden nie wi-dzia<sup>3</sup>, jak troje ludzi zmaterializowa<sup>3</sup>o siê nie wiadomo sk<sup>1</sup>d.

Nikt w barze nie rzuci<sup>3</sup> siê do okna, co znaczy<sup>3</sup>o, że nikt za-pewne nie patrzy<sup>3</sup> w stronê wejœcia, gdy Jilly, Dylan i Shepherd zamienili dywan w pokoju na beton chodnika przed drzwiami restauracji.

Dylan rozejrza<sup>3</sup> siê, niew<sup>1</sup>tpliwie dochodz<sup>1</sup>c do tych samych wniosków co Jilly, a gdy popatrzy<sup>3</sup> jej w oczy, powiedzia<sup>3</sup>:

- W sumie wola<sup>3</sup>bym jednak przyjœæ tu pieszo.

- Do diab<sup>3</sup>a, ja bym nawet wola<sup>3</sup>a, żeby mnie przywleczono koñmi.

- Zdawa<sup>3</sup>o mi siê, że doszliœmy do porozumienia w tej spra-wie, bracie - zwróci<sup>3</sup> siê Dylan do Shepa.

- Cheez-ity.

Mijaj<sup>1</sup>c ich, m<sup>3</sup>ody mêt<sup>1</sup>czyzna z pikapa dotkn<sup>13</sup> ronda kape-lusza.

- Siemacie, ludzie.

- Po czym wszed<sup>3</sup> do baru.

- Bracie, to nie mo<sup>1</sup>że wejœæ ci w nawyk.

- Shep jest g<sup>3</sup>odny.

- Wiem, to moja wina, powinienem zaprowadziæ ciê na œniadanie, gdy tylko wyszed<sup>3</sup>œce spod prysznic. Ale nie mo<sup>1</sup>żesz sk<sup>3</sup>adaæ siê do restauracji, kiedy tylko bêdziesz mia<sup>3</sup> ochotê. Tak nie wolno, Shep. Naprawdê nie wolno. To bardzo niegrzeczne.

Zgarbiony, ze spuszczon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i nie mówi<sup>1</sup>c ani s<sup>3</sup>owa, Shep wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> że a<sup>3</sup>ocniej ni<sup>1</sup> basset. Widaæ by<sup>3</sup>o, że reprimenda brata wzbudzi<sup>3</sup>a w nim ogromne poczucie winy.

Jilly zapagnê<sup>3</sup>a go przytuliz. Ba<sup>3</sup>a siê jednak, że Shep z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y ich dwoje do lepszej restauracji, zostawiaj<sup>1</sup>c tu Dylana, a ona nie wziê<sup>3</sup>a ze sob<sup>1</sup> torebki.

Wspó<sup>3</sup>czu<sup>3</sup>a te<sup>1</sup> Dylanowi. Aby wyjaœniaæ bratu wszystkie za-wi<sup>3</sup>oœci sytuacji i skutecznie przekonae go, że publicznie dokony-wanie cudu sk<sup>3</sup>adania st<sup>1</sup>d tam mo<sup>1</sup>że ich naraziæ na powa<sup>1</sup>żne niebezpieczeñstwo, musia<sup>3</sup> sk<sup>3</sup>oniaæ Shepherd'a do takiego kon-taktu i skupienia uwagi, które zdawa<sup>3</sup>y siê przerastaæ jego mo<sup>1</sup>liwoœci.

Dlatego Dylan postanowi<sup>3</sup> niczego nie wyjaœniaæ. Spróbo-wa<sup>3</sup> otwarcie i stanowczo oznajmiaæ mu, że powinien siê wsty-dziaæ, gdy ktoœ zobaczy go w trakcie sk<sup>3</sup>adania.

- Shep - zacz<sup>13</sup> Dylan. - Nie poszed<sup>3</sup>byœ chyba za<sup>3</sup>atwiaæ siê publicznie, prawda?

Shepherd nie odpowiedzia<sup>3</sup>.

- Prawda? Nie nasila<sup>3</sup>byœ na chodnik, gdzie wszyscy mogli-by ciê widzieæ. Prawda? Zaczynam myœleæ, że jednak potrafi<sup>3</sup>byœ to zrobiæ.

Shepherd skuli<sup>3</sup> siê na myœl, że móg<sup>3</sup>by zrobiæ sobie toaletê w miejscu publicznym, mimo to nie zacz<sup>13</sup> siê broniæ przed tym oskar<sup>1</sup>eniem. Z nosa skapnê<sup>3</sup>a mu kropelka potu, znacz<sup>1</sup>c ciem-n<sup>1</sup> plamkê na chodniku u jego stóp.

- Czy mam uwa<sup>1</sup>żae to milczenie za potwierdzenie? Naprawdê ul<sup>1</sup>y<sup>3</sup>byœ sobie tu, na chodniku? Taki jesteœ, Shep? Takie masz zwyczaje?

Zwa<sup>1</sup>zywszy na patologiczn<sup>1</sup> nieœmia<sup>3</sup>oœæ Shepherd'a i jego obsesjê czystoœci, Jilly dosz<sup>3</sup>a do wniosku, że ch<sup>3</sup>opak wola<sup>3</sup>by

raczej zwin<sup>1</sup>æ siê w k<sup>3</sup>êbek na jezdni w pal<sup>1</sup>cym s<sup>3</sup>oñcu i umrzeæ z odwodnienia, ni<sup>1</sup> za<sup>3</sup>atwiaæ publicznie swoje potrzeby.

- Shep - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> nieub<sup>3</sup>aganie Dylan. - Je<sup>1</sup>eli nie mo<sup>1</sup>żesz mi odpowiedzieæ, muszê przyj<sup>1</sup>æ, że wysika<sup>3</sup>byœ siê publicznie, że wysika<sup>3</sup>byœ siê wszêdzie tam, gdzie mia<sup>3</sup>byœ ochotê.

Shepherd przestêpow<sup>3</sup> z nogi na nogê. Kolejna kropla po-tu sp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a mu z nosa. By<sup>3</sup>o wprawdzie gor<sup>1</sup>co, ale on najwyra<sup>1</sup>niej poci<sup>3</sup> siê ze zdenerwowania.

- Przechodzi<sup>3</sup>aby têdy jakaœ mila staruszka, a ty móg<sup>3</sup>byœ obsikaæ jej buty - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Shep, naprawdê muszê siê mar-twiæ takimi rzeczami? Shep? Shep, powiedz coœ.

Po niemal szesnastu godzinach intensywnej znajomoœci z braœmi O'Connerami Jilly rozumia<sup>3</sup>a, że czasem Dylan musi dr<sup>1</sup>zyæ sprawê z wytrwa<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, a nawet uporem, aby skupiaæ na sobie uwagê Shepherd'a i osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ po<sup>1</sup>ldany efekt. Jego podzi-wu godna nieustêpliwoœæ mog<sup>3</sup>a jednak czasem

sprawiaæ nie-przyjemne wrażenie, ¿e umyœlnie mœczy autystycznego brata, a nawet z³oceliwie siê nad nim znêca.

- Przechodzi³aby têdy jakæœ mi³a staruszka z ksiêdzem i za-nim zorientowa³bym siê, o co chodzi, ty obsika³byœ im buty. Masz zamiar to zrobiæ, Shep? Naprawdê, bracie? Chcesz teraz to zrobiæ? Obserwuj¹c zachowanie Dylana, mo¿na by³o zauwa¿yæ, ¿e poddaj¹c brata tej torturze, cierpi nie mniej od niego. Jego g³os zabrzmia³ bardziej ostro i natarczywie, a twarz œci¹gnê³a siê nie w grymasie zniecierpliwienia czy gniewu, ale bólu. Jego oczy wyra¿a³y szczery ¿al i udrêkê.

- Naprawdê, Shep? Nagle postanowi³eœ robiæ brzydkie i wstrêtne rzeczy? Tak, Shep? Naprawdê, Shep? Shepherd, na-prawdê?

- N-nie - odezwa³ w koñcu Shep.

- Co powiedzia³eœ? Shep, czy¿byœ powiedzia³ „nie”?

- Nie. Shep powiedzia³ „nie”.

- Nie zaczniesz sikaæ staruszkom na buty?

- Nie.

- Nie bêdziesz robiæ publicznie wstrêtnych rzeczy?

- Nie.

- Cieszê siê, Shep. Bo zawsze uwa¿a³em ciê za dobre dziec-ko, zawsze byleœ bardzo grzeczny. Cieszê siê, ¿e dalej chcesz byæ grzeczny. Bardzo byœ mnie zrani³, gdybyœ nagle zacz¹³ Ýle siê zachowywaæ. Wielu ludzi czuje siê ura¿onych, kiedy widz¹, jak sk³adasz jedno miejsce w drugie. To ich razi, tak samo jakbyœ obsika³ im buty.

- Naprawdê? - spyta³ Shep.

- Tak. Naprawdê. Czuj¹ obrzydzenie.

- Naprawdê?

- Tak.

- Dlaczego?

- A dlaczego ciebie brzydz¹ ma³e serowe goldfishy? - zapy-ta³ Dylan.

Shep nie odpowiedzia³. Wpatruj¹c siê w chodnik, zmarsz-czy³ brwi, jak gdyby nie bardzo rozumia³, z jakiego powodu roz-mowa zboczy³a nagle na krakersy w ksztac³e rybek.

Powietrze by³o za gor¹ce dla ptaków. S³oñce odbija³o siê od szyb i przeœlizgiwa³o po lakierowanych powierzchniach aut, które œmigala³y jak zmienne ksztac³y ze snu. Po drugiej stronie ulicy przez fa³uj¹ce od ¿aru powietrze drga³ obraz drugiego mo-telu i stacji benzynowej, niczym p³óprzezroczystych budowli wi-dzianych w mira¿u.

Zaledwie parê chwil temu Jilly magicznym sposobem z³o¿y³a siê z jednego miejsca w drugie i oto stali w surrealistycznej sce-nerii, maj¹c przed sob¹ przysz³oœæ, która z pewnoœci¹ bardziej bêdzie przypomina³a halucynacjê ni¿ rzeczywistoœæ, mimo to rozmawiali o czymœ tak przyziemnym jak krakersy serowe. Byæ mo¿e absurdalnoœæ by³a dowodem na to, ¿e cz³owiek ¿yje, ¿e nie œni ani nie umar³, poniewa¿ w snach dominowa³y zagadki i strach, a nie absurdalnoœæ rodem z Abbotta i Costella, nato-miast po œmierci na pewno by³o mniej absurdów i niedorzecz-noœci ni¿ w ¿yciu, bo gdyby rzecz mia³a siê inaczej, ¿ycie poza-grobowe nie mia³oby ¿adnego sensu.

- Dlaczego brzydz¹ ciê ma³e serowe goldfishy? - powtórzy³ Dylan. - Dlatego ¿e s¹ trochê okr¹g³e?

- Ksztatowe - powiedzia³ Shepherd.

- S¹ okr¹g³e? i ksztatowe, dlatego siê ich brzydzisz. - Ksztatowe

- Ale wielu ludzi lubi goldfishy, Shep. Wielu ludzi jada je codziennie.

Shep wzdygn¹³ siê na myœl o zdeklarowanych wielbicielach goldfishów.

- Shep, chcia³byœ, ¿eby ktoœ ciê zmusi³ do ogl¹dania ludzi, którzy na twoich oczach jedliby goldfishy?

Pochylaj¹c nieco g³owê, ¿eby lepiej widzieæ jego twarz, Jilly zobaczy³a, jak Shep krzywi siê ze zgroz¹.

Dylan naciska³ dalej.

- Nawet gdybyœ zamkn¹³ oczy, ¿eby ich nie widzieæ, chcia³byœ siedzieæ miêdzy dwiema osobami jedz¹cymi goldfishy i s³u-chaæ g³oœnego chrupania?

Shepherd zakrztusi³ siê z autentycznym wstrêtem.

- Lubiê goldfishy, Shep. Ale nie jem ich dlatego, ¿e siê nimi brzydzisz. Jem cheez-ity. Chcia³byœ, ¿eby

zacz<sup>13</sup> jeceæ goldfisha i zostawia<sup>3</sup> je na widoku? Chcia<sup>3</sup>byce je ci<sup>1</sup>gle znajdowaæ w naj-mniej spodziewanych miejscach? Dobrze byce siê czu<sup>3</sup>, Shep? Shepherd energicznie pokrêci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Dobrze byce siê czu<sup>3</sup>? Powiedz, Shep, dobrze?

- Nie.

- S<sup>1</sup> rzeczy, które nas nie raż<sup>1</sup>, ale mog<sup>1</sup> raziæ innych, mu-simy wiêc szanowaæ uczucia innych ludzi, jeżeli chcemy, żeby szanowali nasze.

- Wiem.

- To dobrze. Czyli nie jemy goldfishów w obecności niêktó-rych ludzi...

- Nie jemy goldfishów.

- ...i nie sikamy w publicznych miejscach...

- Nie sikamy.

- ...i nie sk<sup>3</sup>adamy miejsca w miejsce, jeżeli ktoæ nas może zobaczyæ.

- Nie sk<sup>3</sup>adamy.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie sk<sup>3</sup>adamy - powie-dzia<sup>3</sup> Dylan.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie sk<sup>3</sup>adamy - powtó-rzy<sup>3</sup> Shep.

Choæ wyraz udrêki nie znikn<sup>13</sup> z jego twarzy, Dylan prze-mówi<sup>3</sup> cichym i bardziej czu<sup>3</sup>ym tonem:

- Jestem z ciebie bardzo dumny. I kocham ciê, Shep. Wiesz? Kocham ciê, bracie. - G<sup>3</sup>os mu siê za<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> i Dylan odwróci<sup>3</sup> siê od brata. Nie patrzy<sup>3</sup> też na Jilly, bo może gdyby spojrze<sup>3</sup>, prze-sta<sup>3</sup>by nad sob<sup>1</sup> panowaæ. Zacz<sup>13</sup> uważnie ogl<sup>1</sup>daæ swoje wielkie d<sup>3</sup>onie, jak gdyby dokona<sup>3</sup> nimi czegoæ bardzo wstydliwego. Kil-ka razy g<sup>3</sup>ęboko i powoli odetchn<sup>13</sup>, po czym znów powiedzia<sup>3</sup> do zak<sup>3</sup>opotanego Shepa: - Wiesz, że bardzo ciê kocham?

- W porz<sup>1</sup>dku - odrzek<sup>3</sup> cicho Shep.

- W porz<sup>1</sup>dku - powtórzy<sup>3</sup> Dylan. - No to w porz<sup>1</sup>dku. Shepherd otar<sup>3</sup> spocon<sup>1</sup> twarz rêk<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> potem osuszy<sup>3</sup> o nogawkê spodni.

- W porz<sup>1</sup>dku.

Gdy Dylan w końcu popatrzy<sup>3</sup> Jilly w oczy, przekona<sup>3</sup>a siê, ile kosztowa<sup>3</sup>a go rozmowa z Shepem, zw<sup>3</sup>aszczą jej pierwsza

czêceæ, kiedy pastwi<sup>3</sup> siê nad bratem. Jej g<sup>3</sup>os też lekko za<sup>3</sup>amywa<sup>3</sup> siê ze wzruszenia.

- Co... co teraz?

Dylan sprawdzi<sup>3</sup>, czy ma portfel. - Teraz idziemy na lunch.

- Zostawiliçemy w pokoju w<sup>3</sup>iczony komputer.

- Nic mu nie bêdzie. Pokój jest zamkniêty. Na drzwiach wi-si tabliczka „Nie przeszkadzaæ”.

Promienie s<sup>3</sup>oñca wci<sup>1</sup> odbija<sup>3</sup>y siê od przejeżdżaj<sup>1</sup>cych sa-mochodów jak strugi p<sup>3</sup>ynnego œwiat<sup>3</sup>a. Druga strona ulicy mi-gota<sup>3</sup>a jak fantasmagoria.

Jilly spodziewa<sup>3</sup>a siê us<sup>3</sup>yszeæ srebrzysty œmiech dzieci, po-czuaæ woñ kadzid<sup>3</sup>a i ujrzeæ kobietê w mantyli siedz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> w koœciel-nej <sup>3</sup>awce na parkingu, poczuaæ wiatr wywo<sup>3</sup>any <sup>3</sup>opotem skrzy-de<sup>3</sup> stada bia<sup>3</sup>ych ptaków, które sfrunê<sup>3</sup>yby nagle z pustego do<sup>1</sup>d nieba.

Potem Shepherd, nie podnosz<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owy, nieoczekiwanie wzi<sup>13</sup> j<sup>1</sup> za rêkê. Chwila sta<sup>3</sup>a siê zbyt rzeczywista na wizje. Weszli do œrodka. Jilly prowadzi<sup>3</sup>a Shepa, aby nie musia<sup>3</sup> pod-nosiæ oczu i naraż<sup>3</sup>aæ siê na kontakt wzrokowy z nieznanymi. Bior<sup>1</sup>c pod uwagê temperatur<sup>1</sup> na zewn<sup>1</sup>trz, może na by<sup>3</sup>o od-nieceæ wrażenie, że powietrze do restauracji pompuje siê prosto z Arktyki. Jilly nie czu<sup>3</sup>a ch<sup>3</sup>odu.

+\*\*

Myœl o setkach tysiêcy milionów mikroskopijnych maszyn uwijaj<sup>1</sup>cych siê w jego mózgu zupe<sup>3</sup>nie odebra<sup>3</sup>a apetyt Dyla-nowi, który jad<sup>3</sup> bez żadnej przyjemności, jak na ironiê prawie niczym maszyna pobieraj<sup>1</sup>ca porcjê paliwa.

Kiedy przed Shepem postawiono danie z<sup>3</sup>ożone z grzanki z serem zrobionej z chleba bez okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ej skórki, podzielonej na cztery kwadratowe kawa<sup>3</sup>ki, frytek bez ostrych koñcówek, ogór-ków konserwowych, z których Dylan uformowa<sup>3</sup> prostok<sup>1</sup>tne s<sup>3</sup>upki, oraz grubych plastrów pomidorów tak<sup>3</sup>e pokrojonych w kwadraty, ch<sup>3</sup>opak zacz<sup>13</sup> jeceæ z widocznym zadowoleniem.

Mimo że Shep jad<sup>3</sup> palcami - nie tylko grzankê, frytki i ogór-ki, ale tak<sup>3</sup>e pokrojone pomidory - Dylan

nawet nie próbowa<sup>3</sup> przypomina<sup>æ</sup> mu o konieczności u<sup>ç</sup>ycia widelca. Na manery przy stole by<sup>3</sup> odpowiedni czas i miejsce, ale tu i teraz powinni si<sup>ê</sup> przede wszystkim cieszy<sup>æ</sup>,  $\zeta$ e  $\zeta$ yj<sup>1</sup> i mog<sup>1</sup> w spokoju zje<sup>æ</sup> posi<sup>3</sup>ek.

Zajmowali boks przy oknie, chocia<sup>ç</sup>, Shep nie lubi<sup>3</sup>, gdy „pa-trzyli na niego ludzie w oerodku i ludzie z zewn<sup>1</sup>tr<sup>z</sup>". Szyby

w oknach by<sup>3</sup>y jednak mocno przyciemnione, chroni<sup>3</sup>y wn<sup>ê</sup>trze restauracji przed o<sup>æ</sup>lepiaj<sup>1</sup>cym o<sup>æ</sup>wiat<sup>3</sup>em s<sup>3</sup>onecznym, tote<sup>ç</sup> z uli-cy niewiele mo<sup>ç</sup>na by<sup>3</sup>o zobaczy<sup>æ</sup>.

Poza tym wszystkie boksy w tym lokalu rozmieszczono wzd<sup>3</sup>u<sup>ç</sup> okien, a zwyk<sup>3</sup>e stoliki ustawiono tak blisko siebie,  $\zeta$ e w miar<sup>ê</sup> jak g<sup>ê</sup>stnia<sup>3</sup>by t<sup>3</sup>um go<sup>æ</sup>ci, Shep szybko zacz<sup>13</sup>by okazy-wa<sup>æ</sup> niepokoj<sup>3</sup>.

Fizyczne bariery boksu zapewnia<sup>3</sup>y im odpowied-ni stopie<sup>ñ</sup> prywatności, a po niedawnej reprimendzie Shep po-pad<sup>3</sup> w zmienny nastrój.

Dylan czu<sup>3</sup> wibruj<sup>1</sup>cy dotyk odcisków psychicznych na me-nu i sztu<sup>æ</sup>cach, lecz doszed<sup>3</sup> do wniosku,  $\zeta$ e coraz lepiej idzie mu wyciszanie tych impulsów.

Dylan i Jilly prowadzili bezsensown<sup>1</sup> pogaw<sup>ê</sup>dk<sup>ê</sup> o zupe<sup>3</sup>nie nieistotnych rzeczach, takich jak ulubione filmy, jak gdyby roz-rywka rodem z Hollywood mog<sup>3</sup>a mie<sup>æ</sup> teraz jakiegokolwiek zna-czenie dla nich, skoro zostali oddzieleni od reszty ludzko<sup>æ</sup>ci i najprawdopodobniej godzinami b<sup>ê</sup>d<sup>1</sup> prze<sup>ç</sup>ywa<sup>æ</sup> rzeczy si<sup>ê</sup>ga-j<sup>1</sup>ce daleko poza ludzkie do<sup>æ</sup>wiadczenie.

Wkrótce pogaduszki o filmach zacz<sup>ê</sup>3y si<sup>ê</sup> wydawa<sup>æ</sup> nie tyl-ko b<sup>3</sup>ahe, ale zupe<sup>3</sup>nie dziwaczne, jakby by<sup>3</sup>y bohatersk<sup>1</sup> prób<sup>1</sup> ucieczki przed rzeczywisto<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup>, wi<sup>ê</sup>c Jilly powoli skierowa<sup>3</sup>a roz-mow<sup>ê</sup> na ich sytuacj<sup>ê</sup>. Nawil<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>c do zawi<sup>3</sup>ej logiki, dzi<sup>ê</sup>ki k<sup>ó</sup>-rej Dylan zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> u<sup>æ</sup>wiadamia<sup>æ</sup> bratu,  $\zeta$ e sk<sup>3</sup>adanie w miejscu publicznym jest równie  $\text{Y}$ le widziane jak sikanie na buty starusz-kom, powiedzia<sup>3</sup>a:

- To by<sup>3</sup>o kapitalne.

- Kapitalne? - Pokr<sup>ê</sup>ci<sup>3</sup> przec<sup>1</sup>co g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. - To by<sup>3</sup>o pod<sup>3</sup>e. - Nie. Nie rób sobie wyrzutów.

- Ale jednak by<sup>3</sup>o pod<sup>3</sup>e. Nie cierpi<sup>ê</sup> tego, chocia<sup>ç</sup>, kiedy trzeba, umiem to robi<sup>æ</sup> ca<sup>3</sup>kiem nie  $\text{Y}$ le.

- Trzeba go by<sup>3</sup>o przekona<sup>æ</sup> - odpar<sup>3</sup>a. - I to szybko.

- Nie szukaj dla mnie usprawiedliwie<sup>ñ</sup>. Mo<sup>ç</sup>e mi si<sup>ê</sup> spodo-ba<sup>æ</sup> i sam ich zacz<sup>n</sup>ê szuka<sup>æ</sup>.

- Nie do twarzy ci z tym ponuractwem, O'Conner. Bardziej podoba<sup>3</sup>e<sup>æ</sup> mi si<sup>ê</sup> jako irracjonalny optymista.

U<sup>æ</sup>miechn<sup>13</sup> si<sup>ê</sup>.

- Ja te<sup>ç</sup> si<sup>ê</sup> sobie bardziej podoba<sup>3</sup>em.

Po<sup>3</sup>kn<sup>ê</sup>3a ostatni k<sup>ê</sup>s kanapki z w<sup>ê</sup>dlin<sup>1</sup> i sa<sup>3</sup>at<sup>1</sup>, popi<sup>3</sup>a 3y-kiem coorsa, a potem westchn<sup>ê</sup>3a i powiedzia<sup>3</sup>a:

- Nanomaszyny, nanokomputery... je<sup>ç</sup>eli to ma<sup>3</sup>e choler-stwo poprawia mi teraz inteligencj<sup>ê</sup>, dlaczego ci<sup>1</sup>gle nie potrafi<sup>ê</sup> ogarn<sup>1</sup>æ rozumem tego wszystkiego?

- Niekoniecznie poprawiaj<sup>1</sup> nam inteligencj<sup>ê</sup>. Po prostu nas zmieniaj<sup>1</sup>. Nie zawsze na lepsze. A w<sup>3</sup>acenie, Proctor uzna<sup>3</sup>,  $\zeta$ e niezr<sup>ê</sup>cznie mówia<sup>æ</sup> o nanomaszynach sterowanych przez nano-komputery, wi<sup>ê</sup>c wymy<sup>æ</sup>li<sup>3</sup> nowe s<sup>3</sup>owo na okre<sup>æ</sup>lenie po<sup>3</sup>1czenia tych dwóch rzeczy. Nanoboty. Kombinacja „nano" i „robota".

- Cieliczna nazwa wcale nie sprawia,  $\zeta$ e s<sup>1</sup> mniej straszne. - Jilly zmarszczy<sup>3</sup>a brwi i potar<sup>3</sup>a kark, jak gdyby poczu<sup>3</sup>a ch<sup>3</sup>ód. - Znowu de<sup>3</sup>a vu. Nanoboty. Co<sup>æ</sup> mi o<sup>æ</sup>wita. Wtedy w pokoju mówi<sup>3</sup>e<sup>æ</sup>, jakby<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup> spodziewa<sup>3</sup>,  $\zeta$ e co<sup>æ</sup> o tym wiem. Dlaczego?

- Ten tekst, który mia<sup>3</sup>a<sup>æ</sup> przeczyta<sup>æ</sup> z ekranu, a który ci stre<sup>æ</sup>ci<sup>3</sup>em... to by<sup>3</sup> zapis godzinnego wywiadu, którego Proctor udzieli<sup>3</sup> w twoim ulubionym programie radiowym.

- U Parisha Lanterna?

- W ci<sup>1</sup>gu pi<sup>ê</sup>ciu lat Proctor by<sup>3</sup> jego go<sup>æ</sup>ciem trzy razy, trze-ci raz przez dwie godziny. Czyli mog<sup>3</sup>a<sup>æ</sup> go raz s<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup>.

Jilly zamy<sup>æ</sup>li<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> na moment nad now<sup>1</sup> okoliczno<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup>, ale p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ce z niej wnioski nie wzbudzi<sup>3</sup>y jej entuzjazmu.

- Mo<sup>ç</sup>e ju<sup>ç</sup> lepiej zacz<sup>n</sup>ê si<sup>ê</sup> martwia<sup>æ</sup> przemieszczaniem bie-guna magnetycznego Ziemi i pijawkami mózgowymi z innej rze-czywisto<sup>æ</sup>ci.

Z ulicy zjecha<sup>3</sup> na parking jakic<sup>æ</sup> samochód i przemkn<sup>13</sup> obok restauracji z tak nierozs<sup>1</sup>dn<sup>1</sup> pr<sup>ê</sup>dko<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup>,

że ryk silnika i b³ysk za oknem zwróci³y uwagê Dylana. Czarny chevrolet suburban. Na dachu nad przedni¹ szyb¹ mia³ zamontowane cztery reflektory, które nie nale¿a³y do standardowego wyposa¿enia suburbanów. Jilly te¿ zauwa¿y³a samochód.

- Nie. Jak mogli nas znaleŹæ?

- Mo¿e po tym, co zdarzy³o siê w Safford, powinniemy jeszcze raz zmieniaæ tablice.

Czarne auto zatrzyma³o siê przed biurem motelu, tu¿ obok restauracji.

- Mo¿e ten szczurek na stacji, Skipper, zacz¹³ coœ podejrzewaæ.

- Jest setka takich „byæ mo¿e”.

Dylan siedzia³ twarz¹ do motelu, lecz Jilly mia³a miejsce akcji za plecami. Albo czêœæ miejsca akcji.

Pokaza³a, stukaj¹c palcem w szybê.

- Dylan. Po drugiej stronie ulicy.

Przez przyciemnione okno i dr¿¹ce od gor¹ca powietrze, które unosi³o siê ze spieczonej jezdni, Dylan ujrza³ drugiego czarnego chevroleta przed motelem naprzeciwko.

Prze³ykaj¹c ostatni kês lunchu, Shep powiedzia³:

- Ciasto.

Ze swojego miejsca, nawet gdyby przycisn¹³ twarz do szyby, Dylan nie móg³ zobaczyæ ca³ego chevroleta, który zaparkowa³ ko³o recepcji. Po³owa samochodu znajdowa³a siê jednak w jego polu widzenia i ujrza³ dwóch mê¿czyzn, którzy wysiedli od stro-ny kierowcy. Ubrani w lekkie, jasne stroje, odpowiednie do pogody w miasteczku na pustyni, wygl¹dali jak golfiœci zmie-rzaj¹cy na popo³udniow¹ partiê: niezwykle wysocy golfiœci, nie-zwykle wysocy i groŹnie wygl¹daj¹cy golfiœci.

- Proszê - przypomni³ sobie Shep. - Proszê o ciasto.

3 0 Dylan przyzwyczai³ siê, ¿e jest jedn¹ z najwy¿szych osób prawie w ka¿dym gronie, ale dwaj dr¹gale, którzy wysiedli z chevroleta, wygl¹dali, jakby spêdzili rano na rodeo, wyrzucaj¹c w powietrze kowbojów i bior¹c ich na rogi. Zniknêli za samochodem, kieruj¹c siê w stronê biura.

- ChodŹmy - rzuci³ krótko Dylan, wysun¹³ siê z boksu i wsta³.

Jilly zerwa³a siê natychmiast, ale Shep nawet siê nie ruszy³. Z pochylon¹ g³ow¹, wpatruj¹c siê w pusty talerz, powiedzia³: - Proszê o ciasto.

Gdyby nawet podano mu trój¹tny kawa³ek zamiast kwa-dratowego, jeden zaokr¹glony koniec ciasta mo¿na by³o ³atwo sp³aszczyæ. Poza tym trój¹t by³ odpowiednio kanciasty, bez krzywizn, zdecydowanie niekszta³towy. Shep uwielbia³ ciasto.

- Zjemy ciasto - sk³ama³ Dylan. - Ale najpierw pójdziemy do toalety, bracie.

- Siku? - spyta³ Shep.

- Siku - potwierdzi³ cicho Dylan, chc¹c unikn¹æ robienia sceny w restauracji.

- Shep nie musi siku.

Ze wzglêdu na przepisy przeciwpo¿arowe i koniecznoœæ przyjmowania dostaw restauracja na pewno mia³a tylne wyjœcie; aby tam jednak dotrzeæ, na pewno musieliby przejœæ przez kuchniê, co spowodowa³oby za du¿o zamieszania, nawet gdyby im pozwolono skorzystaæ z tej drogi. Nie œmieli wyjœæ frontowy-mi drzwiami z obawy, ¿e zauwa¿¹ ich pseudogolfiœci. Pozosta³a im tylko jedna droga.

- Mo¿liwe, ¿e przez pewien czas nie bêdziesz mia³ okazji. Lepiej chodŹmy teraz - wyjaœni³ Dylan.

- Nie chcê siku. Zjawi³a siê kelnerka. - Podaæ coœ jeszcze?

- Ciasto - powiedzia³ Shep.

- Moglibyœmy zobaczyæ listê deserów w menu? - zapyta³ Dylan.

- Ciasto.

- Myœla³am, ¿e ju¿ pañstwo wychodz¹.

- Idziemy tylko do toalety - zapewni³a j¹ Jilly. Gdy kelner-ka zmarszczy³a brwi, Jilly doda³a: - Osobno.

Wyci¹gaj¹c bloczek z kieszeni fartucha, kelnerka oznajmi³a: - Mamy œwietne ciasta. -Z pieczono-wicie u³o¿onej i upiêtej rudej fryzury wydoby³a o³ówek. - Kokosowe, torcik szwar-cwaldzki, cytrynowe i cytrynowo-orzechowe.

- Nie chcemy zamawiaæ ciasta dla wszystkich - odrzek³ Dy-lan. - Chcielibyœmy dostaæ menu.

- Ciasto - powiedzia³ Shepherd.



Gdy kelnerka oddali<sup>3</sup>a siê, żeby przynieœæ im menu, Dylan powiedzia<sup>3</sup>:

- Chod<sup>Ÿ</sup>, Shep.

- Ciasto. Kokosowe... - Najpierw siku, Shep.

- ...torcik szwarcwaldzki...

Mêczy<sup>Ÿ</sup>ni z czarnego chevroleta byli ju<sup>¿</sup> pewnie w recepcji. - ...cytrynowe...

Je<sup>¿</sup>eli mieli przy sobie jakieœ dokumenty policyjne, pokazu-j<sup>1</sup> je ju<sup>¿</sup> recepcjonioœcie.

- ...i cytrynowo-orzechowe.

Je<sup>¿</sup>eli nie mieli dokumentów, postaraj<sup>1</sup> siê uzyskaæ i<sup>1</sup>dane informacje metod<sup>1</sup> zastraszenia.

- Jak nie zrobisz siku - pó<sup>3</sup>g<sup>3</sup>osem poinformowa<sup>3</sup> Shepa Dy-lan - nie bêdzie ciasta.

Oblizuj<sup>1</sup>c wargi na myœl o cieœcie, Shep rozwa<sup>¿</sup>a<sup>3</sup> ultimatum. - Dylan - powiedzia<sup>3</sup>a cicho, lecz z widocznym przejêciem Jilly. - Okno.

Spod motelu naprzeciwko nadjecha<sup>3</sup> drugi czarny chevrolet suburban. Zaparkowa<sup>3</sup> za pierwszym, który sta<sup>3</sup> przed recepcj<sup>1</sup> obok restauracji.

Dylan nie chcia<sup>3</sup> chwytæ brata za rêkê i si<sup>31</sup> wyci<sup>1</sup>gaæ go z boksu, chyba ¿e nie mia<sup>3</sup>by ju<sup>¿</sup> absolutnie ¿adnego wyboru. Gdyby to zrobi<sup>3</sup>, prawdopodobnie ch<sup>3</sup>opak poszed<sup>3</sup>by za nim, choæ niekoniecznie by<sup>3</sup>by sk<sup>3</sup>onny do wspó<sup>3</sup>pracy. Nie stawia<sup>3</sup>by

zaciêtego oporu, ale gdy siê upar<sup>3</sup>, potrafi<sup>3</sup> tkwiæ w miejscu jak zaklinowana ocemionica.

Kelnerka wziê<sup>3</sup>a menu ze swojego stanowiska i ruszy<sup>3</sup>a w drogê powrotn<sup>1</sup> do ich boksu.

- Bez siku nie bêdzie ciasta? - zapyta<sup>3</sup> Shepherd. - Bez siku nie bêdzie ciasta.

- Najpierw siku, potem ciasto? - upewni<sup>3</sup> siê Shep. - Najpierw siku, potem ciasto - przytakn<sup>13</sup> Dylan.

Shepherd wysun<sup>13</sup> siê z boksu.

Kiedy wsta<sup>3</sup>, przysz<sup>3</sup>a kelnerka, po<sup>3</sup>o<sup>¿</sup>y<sup>3</sup>a menu na stole i spyta<sup>3</sup>a:

- Podaæ kawê?

Dylan zobaczy<sup>3</sup>, jak otwieraj<sup>1</sup> siê drzwi wejœciowe. Od szkla-nej tafli odbi<sup>3</sup>o siê jaskrawe œwiat<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>oñca, a z miejsca, gdzie sta<sup>3</sup>, z boku, nie móg<sup>3</sup> zobaczyæ, kto wchodzi, dopóki goœæ nie znalaz<sup>3</sup> siê w œrodku.

- Dwie kawy - poprosi<sup>3</sup>a Jilly.

Próg przekroczy<sup>3</sup>o dwoje starsz<sup>3</sup>ów. Mieli zapewne ponad osiemdziesi<sup>1</sup>t lat. Choæ nie uginali siê pod brzemieniem wieku i wygl<sup>1</sup>dali doœæ czerstwo, na pewno nie byli mordercami.

- Mleko - wymamrota<sup>3</sup> Shep.

- Dwie kawy i mleko - powiedzia<sup>3</sup> do kelnerki Dylan. Szklanka, z której bêdzie pi<sup>3</sup> mleko, jest zapewne okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>a; jed-nak samo mleko nie by<sup>3</sup>o okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>e. Nie by<sup>3</sup>o kszta<sup>3</sup>towe, lecz bez-kszta<sup>3</sup>tne, a Shepherd nigdy nie mia<sup>3</sup> ¿adnych uprzedzeñ wobec jedzenia tylko z powodu formy naczynia, w którym je podawano. - Ciasto - powiedzia<sup>3</sup> Shep, gdy ze spuszczone<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> szed<sup>3</sup> za Dylanem miêdzy stolikami, a Jilly zamyka<sup>3</sup>a pochód. - Cia-sto. Najpierw siku, potem ciasto. Najpierw siku, potem ciasto. Toalety znajdowa<sup>3</sup>y siê w korytarzu z ty<sup>3</sup>u restauracji. Przed Dylanem szed<sup>3</sup> przysadzisty brodaty mêczyzna w bezrêkawniku, który na ramionach, karku i <sup>3</sup>ysej czaszce mia<sup>3</sup> tyle kolorowych tatua<sup>¿</sup>y, ¿e móg<sup>3</sup>by wystêpowæ jako cyrkowa atrakcja. Skierowa<sup>3</sup> siê do mêskiej toalety.

Gdy znale<sup>Ÿ</sup>li siê w korytarzu, ci<sup>1</sup>gle w polu widzenia niektó-rych goœci restauracji, Dylan rzek<sup>3</sup> do Jilly:

- Sprawd<sup>Ÿ</sup> damsk<sup>1</sup>.

Wesz<sup>3</sup>a do <sup>3</sup>azienki i wróci<sup>3</sup>a, zanim drzwi zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup>y siê za ni<sup>1</sup> zamkn<sup>1</sup>æ.

- Nie ma nikogo.

Dylan ponagli<sup>3</sup> brata, ¿eby wszed<sup>3</sup> do damskiej toalety ra-zem z Jilly, a sam zaraz za nimi wsun<sup>13</sup> siê do œrodka.

Obie kabiny by<sup>3</sup>y otwarte. Zewnêtrznych drzwi prowadz<sup>1</sup>-cych z korytarza nie mo<sup>¿</sup>na by<sup>3</sup>o zamkn<sup>1</sup>æ na zamek. W ka<sup>¿</sup>dej chwili móg<sup>3</sup> ktoœ wejœæ.

Jedynie okno zosta<sup>3</sup>o zupe<sup>3</sup>nie zamalowane, poza tym by<sup>3</sup>o za ma<sup>3</sup>e, by przez nie uciec.

- S<sup>3</sup>uchaj, bracie - powiedzia<sup>3</sup> Dylan. - Chcia<sup>3</sup>bym, ¿ebyœ coœ dla mnie zrobi<sup>3</sup>.

- Ciasto.

- Shep, musisz z<sup>3</sup>o<sup>¿</sup>yæ nas st<sup>1</sup>d z powrotem do naszego po-koju w motelu.

- Przecie<sup>¿</sup> oni na pewno przyjd<sup>1</sup> do naszego pokoju - za-protestowa<sup>3</sup>a Jilly.

- Jeszcze ich tam nie ma. Zostawiliemy w<sup>3</sup>czony kompu-ter, na ekranie jest wywiad z Proctorem. Nie powinni tego wi-dzieæ. Nie wiem, dok<sup>1</sup>d mamy teraz jechaæ, ale gdziekolwiek by to by<sup>3</sup>o, je<sup>3</sup>eli zorientuj<sup>1</sup> siê, ile wiemy, <sup>3</sup>atwiej im bêdzie deptaæ nam po piêtach, bêd<sup>1</sup> mogli przewidywaæ nasze ruchy.

- Ciasto kokosowe.

- Poza tym - doda<sup>3</sup> Dylan - w przyborach do golenia mam kopertê z pieniêdźmi, prawie piêæset dolców, a tutaj tylko to, co w portfelu. - Uj<sup>13</sup> podbródek Shepa i uniós<sup>3</sup> mu g<sup>3</sup>owê. - Shep, musisz to dla mnie zrobiaæ.

Shep zamkn<sup>13</sup> oczy.

- Nie sikamy w miejscach publicznych.

- Nie proszê ciê, <sup>3</sup>ebyœe sika<sup>3</sup>. Po prostu z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas z powro-tem do pokoju. Teraz, Shep. Jak najszybciej.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie sk<sup>3</sup>adamy. - Shep, to zupe<sup>3</sup>nie co innego.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie sk<sup>3</sup>adamy.

- Tutaj ta zasada nie obowi<sup>1</sup>zuje, bracie. Nie jesteœmy w miejscu publicznym.

Argument nie trafi<sup>3</sup> Shepherdowi do przekonania. Wiedzia<sup>3</sup> przecie<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e to jest „toaleta publiczna”.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie sk<sup>3</sup>adamy.

- Pos<sup>3</sup>uchaj, bracie, widzia<sup>3</sup>eœe du<sup>3</sup>o filmów, wiesz, jacy s<sup>1</sup> Ýli ludzie.

- Sikaæ w miejscu publicznym.

- Wyobra<sup>3</sup> sobie jeszcze gorszych od tych najgorszych. Lu-dzi z broni<sup>1</sup>. Morderców takich jak na filmach. Szukaj<sup>1</sup> nas bardzo Ýli ludzie, Shep.

- Hannibal Lecter.

- Nie wiem. Mo<sup>3</sup>e s<sup>1</sup> tacy Ýli jak on. Nie wiem. Ale je<sup>3</sup>eli mi nie pomo<sup>3</sup>iesz, je<sup>3</sup>eli nie z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ysz nas tam, gdzie powiedzia<sup>3</sup>em, to na pewno dojdzie do krwawych i oeliz<sup>3</sup>ych scen.

Oczy ch<sup>3</sup>opaka pod powiekami porusza<sup>3</sup>y siê gwa<sup>3</sup>townie, co œwiadczy<sup>3</sup>o o jego poruszeniu.

- Oeliz<sup>3</sup>e i krwawe sceny s<sup>1</sup> z<sup>3</sup>e.

- Bardzo z<sup>3</sup>e. I jeœli w tej chwili nie z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ymy siê z powrotem do pokoju motelowego, zdarz<sup>1</sup> siê bardzo krwawe i oeliz<sup>3</sup>e rzeczy. - Shep siê boi.

- Nie bój siê. - Shep siê boi.

Dylan w duchu nakaza<sup>3</sup> sobie spokój, by nie straciaæ panowa-nia nad sob<sup>1</sup> tak jak na wzgórzach Kalifornii. Nigdy wiêcej nie wolno mu mówiaæ do Shepa w taki sposób, nawet w najbardziej dramatycznej sytuacji. Nie pozosta<sup>3</sup>a mu <sup>3</sup>adna inna taktyka poza b<sup>3</sup>aganiem.

- Na litoææ bosk<sup>1</sup>, proszê ciê, bracie. - S-shep siê b-boi.

Gdy Dylan zerkn<sup>13</sup> na swojego timeksa, wskazówka se-kundnika zdawa<sup>3</sup>a siê wirowaæ wokó<sup>3</sup> tarczy. Staj<sup>1</sup>c obok Shepa, Jilly powiedzia<sup>3</sup>a:

- Skarbie, wczoraj w nocy, kiedy ja le<sup>3</sup>a<sup>3</sup>am w swoim <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ku, ty w swoim, a Dylan spal i chrapa<sup>3</sup>, pamiêtasz nasz<sup>1</sup> krótk<sup>1</sup> roz-mowê?

Dylan nie mia<sup>3</sup> pojêcia, o czym mówi<sup>3</sup>a. Nie opowiada<sup>3</sup>a mu o <sup>3</sup>adnej rozmowie z Shepem. Poza tym by<sup>3</sup> pewien, <sup>3</sup>e nie chrapa<sup>3</sup>. - Skarbie, obudzi<sup>3</sup>am siê i us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am, jak szepczesz, pamiê-tasz? Mówi<sup>3</sup>eœe, <sup>3</sup>e siê boisz. I co ci wtedy powiedzia<sup>3</sup>am?

Oczy Shepherda przesta<sup>3</sup>y drgaæ gor<sup>1</sup>czkowo, ale ch<sup>3</sup>opak milcza<sup>3</sup>.

- Pamiêtasz, kochanie? - Gdy otoczy<sup>3</sup>a Shepa ramieniem, nie skuli<sup>3</sup> siê pod wp<sup>3</sup>ywem dotyku, nawet siê nie wzdrygn<sup>13</sup>. - Skarbie, pamiêtasz, powiedzia<sup>3</sup>eœe: „Shep siê boi”, a ja odpar-<sup>3</sup>am: „Shep jest dzielny”.

Dylan us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> jakieœ ha<sup>3</sup>asy w korytarzu i zerkn<sup>13</sup> na drzwi. Nikt nie wszed<sup>3</sup>, ale by<sup>3</sup>a pora lunchu i w restauracji t<sup>3</sup>oczy<sup>3</sup>o siê sporo ludzi; ich samotnoææ nie mog<sup>3</sup>a trwaæ d<sup>3</sup>ugo.

- Bo jesteœe dzielny, Shep - ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a Jilly. - Jesteœe jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich znam. Œwiat to straszne miej-sce. Wiem, <sup>3</sup>e dla ciebie jest jeszcze straszniejszy ni<sup>3</sup> dla nas. Tyle ha<sup>3</sup>asu, tyle jasnoœci i kolorów, tylu ludzi, obcych, którzy ci<sup>1</sup>gle do ciebie mówi<sup>1</sup>, i wszêdzie zarazki, nic nie jest tak upor<sup>1</sup>dko-wane, jak powinno byæ, nic nie jest tak proste, jak byœe chcia<sup>3</sup>, wszystko jest kszta<sup>3</sup>towe i obrzydliwe. Mo<sup>3</sup>esz z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yæ uk<sup>3</sup>adan-kê tak, <sup>3</sup>eby wszystkie kawa<sup>3</sup>ki by<sup>3</sup>y na

swoim miejscu, możesz czytać „Wielkie nadzieje” dwadzieścia lub sto razy i za każdym razem książka będzie dokładnie taka, jak się spodziewasz. Ale nie da się złożyć życia tak jak układanki, nie możesz sprawić, aby każdy dzień wyglądał tak samo - mimo to codziennie rano wstajesz i próbujesz. Dlatego jesteś bardzo dzielny, skarbie. Shepherd, gdybym była taka jak ty, nie sładzę, żeby być o mnie stać na taką odwagę. Na pewno nie byłabym taka dzielna. Co dzień tak uparcie próbowałam - to najodważniejszy czyn, jakiego nie dokonał żaden bohater filmowy.

Spróbuj Jilly, Dylan w końcu przestał popatrywać nerwo-wo na drzwi, przestał zerkać na zegarek i odkrył, że twarz i me-lodyjny głos tej kobiety bardziej przykuwają jego uwagę niż myślenie o osaczających ich zawodowych mordercach.

- Kochanie, musisz być dzielny, wiem, że potrafisz. Nie wolno ci się bać złych ludzi ani ocelizujących i krwawych rzeczy, po prostu zrób, co trzeba, tak jak wstajesz co dzień rano i idziesz pod prysznic, zrób, co trzeba, spróbuj sprawić, żeby świat był uprzejmym i prostym. Skarbie, musisz być dzielny i złożyć nas z powrotem do pokoju.

- Shep jest dzielny?

- Tak, Shep jest dzielny.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie skądamy - powiedz Shep, ale jego oczy pod zamkniętymi powiekami pozostały nieruchome, co oznaczało, że nawet kwestia niestosowności sikania w miejscu publicznym nie dręczy go tak bardzo jak jeszcze przed minutą.

- Właściwie skądanie w miejscu publicznym to nie to samo co sikanie, skarbie - rzekła Jilly. - Bardziej przypomina plucie. Oczywiście, kulturalni ludzie tego nie robią. Choć nigdy nie sikałam w miejscu publicznym, czasem muszę splunąć, kiedy na przykład robak wpadnie ci do ust, i nic w tym złego. Ci źli ludzie przypominają robaka, który wpadł ci do ust, więc jeżeli się złożymy, żeby przed nimi uciec, to tak jakbyśmy wypluli tego robaka. Shep, zrób to, skarbie. Jak najszybciej.

Shepherd sięgnął w przestrzeń, chwycił szczyptę niczego i skręcił.

Jilly położyła rękę na grzbiecie jego dłoni.

Shep otworzył oczy i odwrócił się, napotykając spojrzenie Jilly.

- Czujesz, jak to jest?

- Zrób to, skarbie. Pospiesz się.

Dylan podszedł bliżej, obawiając się, że zostanie tu sam. Zobaczył lekką zmarszczkę w powietrzu między palcami Shepherda, a potem patrzył w zdumieniu, jak rozchodził się od niej krąg.

Shep pociągnął tkaninę rzeczywistości. Toaleta damska złożyła się, a wokół nich zaczęło się rozkładać nowe miejsce.

31 Kiedy Dylan zaczął się składać - a może składała się damska toaleta, wszystko jedno - wpadł w panikę przekonany, że Shep zgniecie ich i rzuci w jakieś zupełnie inne miejsce, że zamiast w swoim pokoju, znajdą się w motelu, gdzie nocowali dwa, trzy albo dziesięć dni wcześniej; możliwe, że kiedy się rozłożył, będą bezradnie wymachiwać rękami i nogami w powietrzu tysiąc stóp nad ziemią, a potem runą na spotkanie śmierci; że wprost z azienki przeniosł się na dno mrocznej otchłani oceanu, a potworne ciśnienie kilka mil pod powierzchnią morza w jednej chwili rozgniecie ich na miąższość, zanim zdąży wciągnąć do płuca pierwszy zabójczy haust wody. Shepherd, dla którego Dylan od dwudziestu lat był bratem, a od dziesięciu opiekunem, był może zachowałem pechowi wadliwych, ale nie potrafił ich wykorzystać w żaden konsekwentny sposób. Mi-mo że złożyli się żywi ze wzgórza w Kalifornii i bezpiecznie przebyli drogę z pokoju motelowego przed restaurację, Dylan nie umiał zaufa nowemu Shepherdowi O'Connerowi, który z dnia na dzień stał się geniuszem fizyki, specem od stosowanej mechaniki kwantowej - czy co tam innego stosował - istnym czarodziejem, który nadal rozumował jak dziecko; potrafił manipulować czasem i przestrzenią, ale za nic w świecie nie zjadłby niczego kształtowego, mówił o sobie w trzeciej osobie i unikał bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Gdyby Dylan w chwili szaleństwa dał Shepherdowi naśladowną broń, mógłby się spodziewać tylko najgorszej tragedii; skądanie „tutam” musiało grozić niewspółmiernie poważniejszą katastrofą niż spustoszenia, jakich dokonałby nawet karabin maszynowy. Chociaż po drodze trwała tylko mgienina oka, Dylan zdążył sobie wyobrazić tyle krwawo-ocelizujących scen, że starczyłoby ich na obdzielenie obrzydliwych i tandetnych filmów dla całego pokolenia ich młodocianików. Wreszcie toaleta złożyła się zupełnie, a

wokó³ nich roz³o¿y³o siê nowe miejsce.

Metaforyczna na³adowana broñ nie wypali³a. ZnaleŸli siê z powrotem w swoim pokoju motelowym: okno by³o zas³oniê-te, sypialniê oœwietla³a w³aœciwie tylko lampa, na biurku sta³ porzucony laptop. Shep zamkn¹³ za nimi bramê do damskiej toalety, gdy tylko przez ni¹ przeszli. Dobrze. Zreszt¹ i tak nie mogliby tam bez-piecznie wróciæ. Najmniej potrzebowali spotkania z jak¹œ oso-b¹, która zechce skorzystaæ z toalety, wkurzy siê i krzykiem zwabi oœwiadców.

Byli bezpieczni. Tak im siê w ka¿dym razie przez moment wydawa³o.

Rzeczywioœcie, w³os nie spad³ im z g³owy, ale wcale nie byli bezpieczni. W chwili pojawienia siê w pokoju, zanim którekol-wiek z nich zd¹¿y³o odetchn¹æ, Dylan us³ysza³ chrobot klucza uniwersalnego w zamku, a potem szczêk zasuwki, jak gdyby ktoœ próbowa³ otworzyæ drzwi, robi¹c przy tym jak najmniej ha³asu.

U bram stanêli barbarzyñcy, a na murach nie ustawiono sa-ganów z wrz¹cym olejem, by poczêstowaæ ich pal¹cym desz-czem i odeprzeæ.

Pod zasuwk¹ by³ prostszy zamek, do którego na pewno za-raz wsunie siê klucz. Drzwi zabezpieczyli ³añcuchem, ale to nie mog³o stanowiæ powa¿nej przeszkody dla brutalnego osi³ka, je-œli bêdzie wiedzia³, gdzie dok³adnie ma kopn¹æ.

W chwili gdy zasuwka puœci³a, Dylan chwyci³ jedno z trzech krzese³ stoj¹cych za biurkiem. Szybko przeci¹³ pokój d³ugimi krokami i podpar³ wysokim oparciem krzesa³a klamkê, blokuj¹c drzwi, które powinny wytrzymaæ nawet po otwarciu drugie-go zamka.

Czasu mia³ tyle samo co pieniêdzy, nie czeka³ wiêc, ¿eby sprawdziæ, czy krzes³o mocno dociska drzwi, czy zosta³o trochê niebezpiecznego luzu. Musia³ zaufaæ prowizorycznej baryka-dzie, tak jak Shepowi i jego magicznej mocy sk³adania. Wbieg³ do ³azienki, wyszarpn¹³ kopertê z pieniêdzmami z saszetki z przy-borami do golenia i wepchn¹³ do kieszeni spodni.

Wracaj¹c do sypialni, zauwa¿y³, ¿e drzwi s¹ zamkniête na-prawdê szczelnie, a krzes³o trzyma siê mocno, nawet gdy klam-ka zaczê³a siê poruszaæ, a drewno zaskrzypia³o pod naciskiem z zewn¹trz.

Przez kilka cennych sekund mê¿czyŸni za drzwiami mogli przypuszczaæ, ¿e opór, jaki napotkali, ma zwi¹zek z uszkodze-niem któregoœ z zamków. Dylan nie móg³ jednak liczyæ na ich g³upotê czy nawet ³atwowiernoœæ, a s¹dzi¹c po agresywnoœci,

z jak¹ prowadzili czarne chevrolety, nie mogli na te¿ by³o spodzie-waæ siê po nich cierpliwœci.

Jilly od³czy³a i zamknê³a laptop. Zarzuci³a na ramiê toreb-kê i odwracaj¹c siê do Dylana, unios³a rêkê, wskazuj¹c na sufit. Nie wiedziæ czemu skojarzy³a mu siê z Mary Poppins, ale by³a to Mary Poppins, której cery nie wybieli³a paskudna angielska pogoda, a jej gest przywodzi³ na myœl Supermana wzbijaj¹cego siê do lotu.

Skrzypienie drewna usta³o i znów dal siê s³yszeæ chrobot klucza w zamku, co oznacza³o, ¿e napakowani golfiœci jeszcze siê nie zorientowali.

Shep stal w klasycznej pozycji Shepa, jak obraz krzywdy wy-rz¹dzonej przez okrutn¹ Naturê, w niczym nie przypominaj¹c czarodzieja.

- Dobra, bracie - szepn¹³ Dylan. - Rób swoje i z³ó¿ nas st¹d. Shep nie wykona³ ¿adnego gestu, by przenieœæ ich do bez-piecznego miejsca.

- No, dziecko. Szybko. Znikajmy st¹d.

- To tak, jakbyœ wyplu³ robaka - przypomni³a mu Jilly. Szczêk klucza ust¹pi³ trzeszczeniu œrub zawiasów wcinaj¹-cych siê w futrynê, a krzes³o znów zatrzeszcza³o pod nieustêpli-wym naporem.

- Jak nas nie z³o¿ysz, nie bêdzie ciasta - szepn¹³ rozgor¹cz-kowany Dylan, bo dla Shepa ciasto i kreskówki ze Strusiem Pê-dziwiatrem stanowi³y wiêksz¹ motywacjê ni¿ s³awa i fortuna dla wiêszoœci ludzi.

Na wspomnienie o cieœcie Jilly syknê³a i powiedzia³a: - Nie zabieraj nas z powrotem do restauracji, Shep! S³ysz¹c ostrze¿enie, Shepherd zada³ pytanie, które wyjaœnia-³o powody jego wahania:

- Dok¹d?

Mordercy stracili cierpliwœæ, uciekaj¹c siê do bardziej rady-kalnych metod, które zapewne by³y im bli¿sze ni¿ dyskretne pod-chody. Drzwi zadygota³y od ciosu barku lub obcasa ciê¿kiego buciora, a krzes³o jêknê³o jak kot, któremu przydepniêto ogon. - Dok¹d? - zwróci³a siê do Dylana Jilly. - Dok¹d?

Łomot do drzwi rozległ się niczym walenie w kotły i coce w krzeczle trzasko, ale konstrukcja wytrzymała.

Podczas skądania z damskiej toalety Dylan wyobrażał sobie mnóstwo niezamierzonych celów podróży, które mogły się okazać dla niego zgubą, lecz teraz nie przychodziło mu do głowy ani jedno miejsce na Ziemi, gdzie mogliby szukać azylu.

Znowu dobiegł ich odgłos zderzenia ciała z odpornym drewnem, po którym ciało wydało stęknięcie, ale nie bólu ani złości, tylko perwersyjnej przyjemności, jak czerpać z kary.

Zaraz potem usłyszeli kolejny hałas, lecz tym razem był to ostry brzęk tłuczonego szkła. Zasłony na oknie drgnęły, gdy od tkaniny odbiły się kawałki rozbitej szyby.

- Do domu - powiedziała do Shepherda Dylan. - Zabierz nas do domu, Shep. Szybko.

- Do domu - powtórzył jak echo Shepherd, ale wyglądał, jakby nie był pewien, do którego miejsca dokładnie odnosi się to słowo.

Ten, który wybił okno, zgarnął jakimś narzędziem ostre odłamki z ramy, oczyszczając sobie drogę.

- Do naszego domu w Kalifornii - rzekł Dylan. - Kalifornia - sto ileś tam tysięcy mil kwadratowych...

Shep uniósł dłoń, jak gdyby skądąś hołd lenny stanowi Kalifornia.

- ...ludność, trzydzieści ileś milionów ileś tysięcy... Genetyczny kuzyn byka, który atakował drzwi, znowu zaszarżowało, a krzesło trzasko, i obsunęło się trochę. Marszczył brwi, jakby wciąż niepewny siebie, Shepherd ściśnięte powietrze palcami uniesionej dłoni.

- ...drzewo stanu - powiedziała Dylan, lecz nazwa wyleciała mu z głowy

- Sekwoja! - pośpieszył mu z pomocą Jilly.

Zasłony wydęły się jak balon. Jeden z zabójców zaczął się gramolić do środka.

- Kwiat stanu - maczek kalifornijski - cięgnął Dylan. Wytrząsał się opaciśca. Po piątym uderzeniu drzwi wpadły z hukiem do środka, wywracając krzesło

Pierwszy mężczyzna, który stanął na progu, kopiąc na bok szczelki krzesła, był ubrany w blade, szare spodnie i różowo-białe koszulki polo, a na twarzy miał wypisaną kłódę mordy. W ręce trzymał pistolet. Ruszył na nich, unosząc broń z niedwuznacznym zamiarem pocignięcia za spust.

- Eureka - powiedziała Shep i skręcił się szczytę niczego. Dylan w duchu podziękował Bogu, że nie usłyszał wystrzału, gdy pokój motelowy się rozłożył, usłyszał jednak, jak niedoszły zabójca krzyknął:

- O'Conner!

Tym razem podczas kalejdoskopowej podróży obawiał się czegoś zupełnie innego: że zanim uciekli z pokoju, zbier w stroju golfowym podszedł za blisko nich i Shep rozłożył razem z nimi do Kalifornii uzbrojonego mordercę.

## 32 Przez nienawistną sypialnię motelową Dylan zobaczył zbliżające się liczne pąty

cienia i kilka drobnych odłamków bladego światła, a ułamek sekundy przed tym, jak rozpoznał nowe pomieszczenie, które rozłożyło się wokół niego, poczuł aromat ciasta

cynamonowo-pekankowego-rodzynekowego upieczonego według strzeżonego jak oka w głowie przepisu jego matki - cudownej woni nie sposób było z niczym pomylić.

Shep, Jilly i Dylan przybyli tu cali i zdrowi, ale morderca w koszulce polo nie zdążył się z nimi zabrać. Z Arizony nie dobiegło ich nawet echo krzyku „O'Conner!”.

Mimo poprawiającego samopoczucie zapachu i braku zabójcy, który szturmował drzwi pokoju w motelu, Dylan nie odczuwał ulgi. Co było nie tak. Nie potrafił na razie określić źródła swojego niepokoju, ale uczucie było zbyt wyraźne, by móc na jego obrać karę osłabionych nerwów.

Mrok panujący w kuchni ich kalifornijskiego domu rozjaśniało jedynie słabe światło karmelowe światło słychać się zza otwartych drzwi, które prowadziły do jadalni, oraz jeszcze słabszy blask podświetlanego zegara - zamontowanego w brzuchu uśmiechniętej ceramicznej cewinki zawieszanej na ocianie z prawej strony zlewu. Na blacie pod zegarem w blasku cyferblatu widać było prostokątną formę do pieczenia ze świeżym ciastem cynamonowo-pekankowym, które studziło się na drucianej podstawie.

Vonetta Beesley - odwiedzajca ich raz na tydzień gosposia jeżdżąca na harleyu - czasami gotowała

według najlepszych przepisów ich niezwykłej matki. Ale bracia mieli wrócić z objazdu po festiwalach sztuki dopiero pod koniec października, więc musiały przygotować ten smakołyk dla siebie.

Po chwilowej dezorientacji, jaka nastąpiła tuż po zorientowaniu, Dylan zrozumiał, dlaczego nie może się pozbyć wrażenia, że coś tu jest nie tak. Opuszczili wschodnią Arizonę, która leży w górskiej strefie czasowej, w sobotę przed trzynastą. W Kalifornii, w pacyficznej strefie czasowej, powinno być o godzinę wcześniej niż w Holbrook. Prawie pierwsza po południu w Holbrook oznacza prawie południe na wybrzeżu Pacyfiku, a jednak za oknami kuchni panowała nieprzenikniona noc.

Ciemność w samo południe?

- Gdzie jesteśmy? - zapytał szeptem Jilly. - W domu - odparł Dylan.

Zerknął na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka, który ustawił na czas górski przed dwoma dniami, przed festiwalem w Tucson. Zegar pokazywał dwunastą pięćdziesiąt sześć, czyli dokładnie tak, jak się spodziewał Dylan.

Tu, na ziemi maczka kalifornijskiego i sekwoi, powinna być za cztery dwunasta, ale w południe nie o północy.

- Dlaczego jest ciemno? - spytał Jilly.

Podświetlany zegar w brzuchu ówinki pokazywał dziewięć dwadzieścia jeden.

Poprzednio w trakcie skądania podróży odbywał się mentalnie lub co najwyżej w ciągu kilku sekund. Tym razem Dylan również nie zauważył, aby upłynęło więcej czasu.

Jedni rzeczywiście pojawili się tu o dwudziestej pierwszej dwa-dzieć jeden, Vonetta powinna wyjść już parę godzin wcześniej. Pracowała od dziewiętej rano do siedemnastej. Gdyby jednak poszła, zabrałaby ze sobą ciasto.

Nie zapomniaby też zgasić światła, w jadalni. Na Vonecie Beesley zawsze można było polegać jak na zegarze atomowym w Greenwich, według którego wszystkie kraje świata regulują swoje zegary.

Panował nastrój pogrzebowy - dom spowijał całkiem ciszy i bezruchu.

Wrażenia osobliwości nie wywołały tylko ciemność zagiętych do okien, ale sam dom i coś, co kryło się wewnątrz niego. Dylan nie słyszał oddechu zaczajonego demona, lecz wyczuwał, że wszystko jest nie tak, jak powinno.

Jilly także musiała ulec podobnemu wrażeniu. Stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie została zorientowana, jak gdyby bała się ruszyć, a mimo półmroku z mowy jej ciała bez trudu można było wyczytać napięcie.

Z jadalni słychać się światło inne niż zwykle. Górna lampa nad stołem, której Dylan nie widział ze swojego miejsca, była wyposażona w ściemniacz, ale blask, choć przytłumiony, miał karmelowy odcień i był zbyt nastrojowy jak na światło mosiężno-kryształowego żyrandola. Poza tym blask nie pochodził z góry; sufit w siodem pokoju tonął w cieniu, a światło padało na podłogę z punktu umieszczonego niewiele wyżej niż blat stołu.

- Shep, bracie, co się dzieje? - wyszeptał Dylan.

Skoro obiecano mu ciasto, można się było spodziewać, że Shep od razu ruszy do cypryńskich wspaniałości, które studiowały się w blasze pod zegarem, ponieważ zwykle skupia się bez reszty na jednym celu, zwłaszcza jeżeli chodzi o ciasto. On jednak postąpił krok ku drzwiom jadalni, zawahał się i powiedział:

- Shep jest dzielny - ale w jego głosie Dylan usłyszał tyle lęku, jak nigdy dotąd.

Dylan nie chciał ryzykować wyprawy w głąb domu, dopóki lepiej nie rozezna się w sytuacji.

Potrzebował też dobrej broni. W szufladzie szafki kuchennej spoczywał cały arsenał ostrych narzędzi; na razie jednak miał dość noży. Zatrzymał się przy kije baseballowym.

- Shep jest dzielny - powtórzył Shep jeszcze bardziej drżącym głosem i z mniejszą pewnością siebie niż poprzednio. Nie patrzył jednak na podłogę, lecz prosto na drzwi jadalni i jak gdyby ignorując wewnętrzny głos, który w obliczu niebezpieczeństwa zawsze radził mu wycofać się bez podejmowania walki, ruszył naprzód, powściął nogami.

Dylan szybko zbliżył się do brata i chwycił go powstrzymać, położył mu dłoń na ramieniu, ale Shep stracił ją i wolno, lecz zdecydowanie zmierzał w kierunku jadalni.

Jilly spojrzawszy pytająco na Dylana. Jej ciemne oczy zalśniły w młym blasku tarczy zegara.

Kiedy Shep coe postanowi<sup>3</sup>, móg<sup>3</sup> byæ przyk<sup>3</sup>adem dla wszystkich mu<sup>3</sup>ów; tym razem Dylan rozpozna<sup>3</sup> u niego rzadko widziany, ale znajomy upór, z którym, jak nauczył<sup>3</sup>o go do-œwiadczenie, nie sposób sobie poradziæ szybko i po cichu. Shep musia<sup>3</sup> zrobiæ to, co chcia<sup>3</sup>, a Dylanowi nie pozostawa<sup>3</sup>o nic in-nego, jak ostro;nie ruszyæ za nim.

Rozejrza<sup>3</sup> siê po ciemnej kuchni w poszukiwaniu broni, lecz na wierzchu niczego nie zauważy<sup>3</sup>.

Na progu w plamie ciemno;ótego œwiat<sup>3</sup>a Shepherd zawa-ha<sup>3</sup> siê, ale tylko na moment. Potem wyszed<sup>3</sup> z kuchni i skrêci<sup>3</sup> w lewo, by stan<sup>1</sup>æ przed sto<sup>3</sup>em.

Gdy Dylan i Jilly weszli do jadalni za Shepem, zobaczyli sie-dz<sup>1</sup>cego przy stole ch<sup>3</sup>opca, który wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na dziesiêæ lat. Ch<sup>3</sup>opiec nie uniós<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owy, aby na nich spojrzeæ, patrzy<sup>3</sup> w skupieniu na le;<sup>1</sup>cy przed nim du;ly koszyk pe<sup>3</sup>en uroczych szczeniaków rasy golden retriever. Kosz by<sup>3</sup> prawie gotowy, lecz wielu szczeniakom brakowa<sup>3</sup>o czêœci cia<sup>3</sup>a i fragmentów ;ebków. Rêce ch<sup>3</sup>opca, œemiga<sup>3</sup>y, bior<sup>1</sup>c z pude<sup>3</sup>ka kolejne elementy uk<sup>3</sup>adanki i uzupe<sup>3</sup>nij<sup>1</sup>c nimi obrazek.

Jilly byæ mo;e nie rozpozna<sup>3</sup>a m<sup>3</sup>odego mi<sup>3</sup>ocenika uk<sup>3</sup>adanek, ale Dylan zna<sup>3</sup> go doskonale. By<sup>3</sup> to Shepherd O'Conner.

### 33 Dylan pamiêta<sup>3</sup> tê uk<sup>3</sup>adankê, która mia<sup>3</sup>a tak szczególne znaczenie, ;e móg<sup>3</sup>by j<sup>1</sup> w

miarê dok<sup>3</sup>adnie na-malowaæ z pamiêci. Teraz pozna<sup>3</sup> te; Ÿród<sup>3</sup>o ciemno;ótego œwiat<sup>3</sup>a: aptekarsk<sup>1</sup> lampê, która zwykle sta<sup>3</sup>a na biurku w gabi-necie. Lampa mia<sup>3</sup>a szklany abazur koloru ochry.

Gdy autyzm Shepherda objawia<sup>3</sup> siê nadwra;liwoœci<sup>1</sup> na ostre œwiat<sup>3</sup>o, ch<sup>3</sup>opiec nie móg<sup>3</sup> pracowaæ nad uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup> w przyt<sup>3</sup>u-mionym dziêki œciemniaczowi blasku górnej lampy. Nikt inny prawie nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> cichego brzêczenia rezystora ograniczaj<sup>1</sup>cego przep<sup>3</sup>yw pr<sup>1</sup>du, ale dla Shepa odg<sup>3</sup>os ten brzmia<sup>3</sup> przera;liwie jak pisk wysokoobrotowej pi; do koœci, rozsadzaj<sup>1</sup>c mu czaszkê. Dlatego korzysta<sup>3</sup> z lampki na biurko z przyciemnionym abazu-rem, do której wkrêcono ;arówkê o mniejszej mocy.

Od dziesiêciu lat Shepherd nie bawi<sup>3</sup> siê uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup> w jadal-ni, poniewa; wola<sup>3</sup> korzystaæ ze sto<sup>3</sup>u kuchennego. Łamig<sup>3</sup>ówka przedstawiaj<sup>1</sup>ca kosz ze szczeniakami by<sup>3</sup>a ostatni<sup>1</sup>, jak<sup>1</sup> skoñ-czy<sup>3</sup> w tym pokoju.

- Shep jest dzielny - powiedzia<sup>3</sup>: dwudziestoletni Shep, lecz m<sup>3</sup>odszy Shepherd przy stole nie uniós<sup>3</sup> wzroku.

adne z wydarzeñ, jakie rozegrały siê dotychczas, nie prze-jê<sup>3</sup>o Dylana tak potwornym lêkiem. W przeciwieñstwie do przy-gód, które do tej pory prze;ly<sup>3</sup>, tym razem doskonale wiedzia<sup>3</sup>, co siê stanie w ci<sup>1</sup>gu najbli;szych kilku minut. Czuz<sup>3</sup>, jakby w stronê dobrze znanej grozy pcha<sup>3</sup>a go potê;na fala, a on by<sup>3</sup> wobec niej zupe<sup>3</sup>nie bezsilny, jak cz<sup>3</sup>owiek w ma<sup>3</sup>ej ;ódce zbli;a-j<sup>1</sup>cy siê nieuchronnie do Niagary.

- Dylan!

To by<sup>3</sup> glos Jilly. Kiedy siê do niej odwróci<sup>3</sup>, wskaza<sup>3</sup>a na pod<sup>3</sup>ogê.

W jadalni le;a<sup>3</sup> perski dywan. Wzory wokó<sup>3</sup> ich stóp przys<sup>3</sup>a-nia<sup>3</sup>y migocz<sup>1</sup>ce czarne plamy, jak gdyby ich buty stały w ka<sup>3</sup>u;ach atramentu. Powierzchnia czerni ca<sup>3</sup>y czas marszczy<sup>3</sup>a siê delikatnie. Kiedy Dylan poruszył<sup>3</sup> jedn<sup>1</sup> stop<sup>1</sup>, ka<sup>3</sup>u;a przesunê<sup>3</sup>a siê razem z ni<sup>1</sup>, a czêœæ dywanu, która wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a na zalan<sup>1</sup> atramentem, ukaza<sup>3</sup>a siê ponownie, nieskazitelnie czysta.

Niedaleko Dylana sta<sup>3</sup>o krzes<sup>3</sup>o i kiedy go dotkn<sup>13</sup>, zoba-czył<sup>3</sup>, jak pod jego rêk<sup>1</sup> na obiciu rozlewa siê kolejna atramentowa plama, wiêksza od d<sup>3</sup>oni, ale odpowiadaj<sup>1</sup>ca jej ksza<sup>3</sup>tem. Przesun<sup>13</sup> rêkê w lewo i prawo, a czarny kleks przesun<sup>3</sup> siê ra-zem z ni<sup>1</sup>, nie pozostawiaj<sup>1</sup>c ;adnych œladów na tkaninie.

Dylan czuz<sup>3</sup> dotyk krzes<sup>3</sup>a, lecz gdy spróbowa<sup>3</sup> je chwyciæ, obicie nawet siê nie wgnio<sup>3</sup>o. Usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> gwa<sup>3</sup>townym ruchem odsun<sup>1</sup>æ je od sto<sup>3</sup>u - i rêka przes<sup>3</sup>a przez krzes<sup>3</sup>o, jak gdyby by<sup>3</sup>o tylko iluzj<sup>1</sup>.

Albo jakby on by<sup>3</sup> pozbawionym cielesnoœci duchem. Widz<sup>1</sup>c szok i rosn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> dezorientacjê Jilly, po<sup>3</sup>o;ly<sup>3</sup> jej d<sup>3</sup>oñ na ramieniu, aby pokazaæ, ;e atramentowe zjawisko nie zacho-dzi miêdzy nimi, lecz tylko wóczas gdy próbuj<sup>1</sup> zmieniaæ coe w otoczeniu.

- Ch<sup>3</sup>opiec przy stole - powiedzia<sup>3</sup> do niej - to Shepherd, kiedy mia<sup>3</sup> dziesiêæ lat.

Chyba sama siê tego domyœli<sup>3</sup>a, bo wiadomoœæ wcale jej nie zdziwi<sup>3</sup>a.

- To nie jest... ;adna wizja, któr<sup>1</sup> mamy razem z Shepem. - Nie.

Jak gdyby zaczê<sup>3</sup>a kojarzyæ wszystkie fakty, zanim Dylan odkry<sup>3</sup> przed ni<sup>1</sup> to; samoœæ ch<sup>3</sup>opca z

uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup>, powiedzia<sup>3</sup>a tonem stwierdzenia:

- Z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ylicemy siê nie tylko do Kalifornii, ale do jakiejœ prze-sz<sup>3</sup>oœci.

- Wcale nie jakiejœ. - Serce w nim truchla<sup>3</sup>o, lecz nie z po-wodu niebezpieczeñstwa, by<sup>3</sup> bowiem niemal pewien, ÷e ze stro-ny przesz<sup>3</sup>oœci nie grozi im ÷adna krzywda, tak jak oni nie mieli wp<sup>3</sup>ywu na nic wokó<sup>3</sup> siebie; ogarn<sup>13</sup> go tylko niewypowiedziany ÷al i pogr<sup>1</sup>ÿ<sup>3</sup> siê w znajomej otch<sup>3</sup>ani smutku. - To nie jest jakaœ przesz<sup>3</sup>oœæ, ale jeden konkretny wieczór. Okropny wieczór.

Bardziej z myœl<sup>1</sup> o Jilly ni<sup>3</sup>, po to, by siê utwierdziæ we w<sup>3</sup>a-snym przekonaniu, Dylan podszed<sup>3</sup> do sto<sup>3</sup>u i machn<sup>13</sup> rêk<sup>1</sup>, chc<sup>1</sup>c str<sup>1</sup>ciaæ uk<sup>3</sup>adankê na pod<sup>3</sup>ogê. Nie drgn<sup>13</sup> ani jeden ka-wa<sup>3</sup>ek obrazka.

Dziesiêcioletni Shepherd, odgradzony od reszty œwiata izo-lacj<sup>1</sup> autyzmu i zupe<sup>3</sup>nie poch<sup>3</sup>oniety uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup>, móg<sup>3</sup>by nie zareagowaæ na ich g<sup>3</sup>osy, nawet gdyby je s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>. Ale wzdry-gn<sup>13</sup>by siê lub przynajmniej zaskoczony zamruga<sup>3</sup> na widok czyjeje rêki usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>cej zniszczyæ jego pracê. Jednak w ogóle nie zareagowa<sup>3</sup>.

- Jesteœmy w zasadzie niewidzialni - rzek<sup>3</sup> Dylan. - My wi-dzimy, ale nas nikt nie widzi. S<sup>3</sup>yszymy, ale nikt nas nie s<sup>3</sup>yszy. Czujemy zapach ciasta. Czujemy podmuch ciep<sup>3</sup>ego powietrza z otworu ogrzewania i mo<sup>3</sup>emy nim oddychaæ, czujemy po-wierzchniê przedmiotów, ale nie mamy na nic wp<sup>3</sup>ywu.

- Chcesz przez to powiedziaæ, ÷e Shep tak chce?

Shepherd wci<sup>1</sup>ÿ patrzy<sup>3</sup> na m<sup>3</sup>odsze go siebie, jak dodaje <sup>3</sup>ap-ki chromym szczeniakom, a œlepym - oczy.

- Zwa<sup>3</sup>ywszy na to, co siê sta<sup>3</sup>o tego wieczoru - odpar<sup>3</sup> Dy-lan - to ostatnia rzecz, jakiej Shep móg<sup>3</sup>by chciaæ. To nie on ustala zasady. Tak chyba chce Natura.

Widocznie Shepherd potrafi<sup>3</sup> z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ÿæ ich do przesz<sup>3</sup>oœci, lecz mogli j<sup>1</sup> tylko ogl<sup>1</sup>daæ, jak gdyby zwiedzali muzeum.

- Przesz<sup>3</sup>oœæ to przesz<sup>3</sup>oœæ. Nie mo<sup>3</sup>na jej odwróciæ - rzek<sup>3</sup> Dylan, choæ gor<sup>1</sup>co pragn<sup>13</sup>, by by<sup>3</sup>o inaczej.

- Wczoraj wieczorem - przypomni<sup>3</sup>a mu Jilly - Shepherd nagle zacz<sup>13</sup> recytowaæ synonimy odchodów

- ale d<sup>3</sup>ugo po tym, jak kaza<sup>3</sup>am ci przestaæ przeklinaæ, bo mówi<sup>3</sup>eœ jak mój stary.

- Nie powiedzia<sup>3</sup>aœ, ÷e mówiê jak twój stary.

- W<sup>3</sup>acenie dlatego przeszkadza mi wulgarny jêzyk. Stary umia<sup>3</sup> odzywaæ siê tylko po chamsku. W ka<sup>3</sup>dym razie mówi<sup>3</sup>eœ, ÷e Shep ma inne poczucie czasu ni<sup>3</sup> my.

- Shep ma poczucie prawie wszystkiego inne ni<sup>3</sup> my.

- Mówi<sup>3</sup>eœ, ÷e dla niego przesz<sup>3</sup>oœæ, tera<sup>3</sup>niejszyœ i przy-sz<sup>3</sup>oœæ nie s<sup>1</sup> tak wyra<sup>3</sup>nie oddzielone jak dla nas.

- I proszê bardzo: dziewiêtnasty lutego tyśc dziewiêæset dziewiêædziesi<sup>1</sup>tego drugiego roku, ponad dziesiêæ lat temu, za-nim wszystko siê zawali<sup>3</sup>o.

Z przyleg<sup>3</sup>ego salonu przez otwarte drzwi dobieg<sup>3</sup>y ich k<sup>3</sup>ótl<sup>1</sup>-we g<sup>3</sup>osy, lecz niezbyt g<sup>3</sup>oœne.

Dylan i Jilly spojrzeli na drzwi, za którymi pali<sup>3</sup>o siê œwiat<sup>3</sup>o du<sup>3</sup>o jaœniejsze od blasku aptecznej lampki w jadalni. M<sup>3</sup>odszy Shep dalej uzupe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup> obrazek ze szczeniakami, podczas gdy starszy Shep przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mu siê z niepokojem na twarzy.

W wojnie, jak<sup>1</sup> toczy<sup>3</sup>y miêdzy sob<sup>1</sup> serce i umys<sup>3</sup>, strach Dylana walczy<sup>3</sup> z przemo<sup>3</sup>ni<sup>1</sup> ciekawoœci<sup>1</sup>.

Gdyby porcja kosz-maru nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a zaspokoiaæ ciekawoœci, wówczas ciekawoœæ mo-g<sup>3</sup>aby zwyciê<sup>3</sup>ÿæ. Albo gdyby Dylan móg<sup>3</sup> mieæ wp<sup>3</sup>yw na za-koñczenie tego wieczoru z przesz<sup>3</sup>oœci, potrafi<sup>3</sup>by prze<sup>3</sup>amaæ to niemal parali<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>ce oczekiwanie na z<sup>3</sup>o. Skoro jednak nie móg<sup>3</sup> niczego zmieniaæ

- bo nie móg<sup>3</sup> - nie chcia<sup>3</sup> byæ biernym œwiad-kiem tego, czego nie widzia<sup>3</sup> dziesiêæ lat temu.

G<sup>3</sup>osy w salonie sta<sup>3</sup>y siê g<sup>3</sup>oœniejsze, bardziej nabrzmia<sup>3</sup>e z<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>.

- Bracie, z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas st<sup>1</sup>d - zacz<sup>13</sup> namawiaæ starszego Shepherd<sup>3</sup>a Dylan. - Z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas do domu, ale do naszych czasów. Ro-zumiesz mnie, Shep? Z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas z przesz<sup>3</sup>oœci, szybko.

M<sup>3</sup>odszy Shepherd by<sup>3</sup> g<sup>3</sup>uchy na g<sup>3</sup>os Dylana, Jilly i star-szego siebie. Mimo ÷e starszy Shep s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> ka<sup>3</sup>de s<sup>3</sup>owo brata, zareagowa<sup>3</sup> tak, jakby te<sup>3</sup> nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do minionego czasu i by<sup>3</sup> g<sup>3</sup>u-chy jak pieñ na g<sup>3</sup>osy przybyszów z przysz<sup>3</sup>oœci. S<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c po sku-pieniu, z jakim obserwowa<sup>3</sup> m<sup>3</sup>odsze go siebie, nie chcia<sup>3</sup> jeszcze donik<sup>1</sup>d siê sk<sup>3</sup>adaæ i ÷adna si<sup>3</sup>a nie zmusi<sup>3</sup>aby go do wykorzy-stania czarodziejskiej



mocy.

Gdy prowadzona podniesionymi głosami rozmowa w salo-nie przybrała na sile, ręce dziesięcioletniego Shepa opadły nagle na stół, a każda trzymała element układanki. Chłopiec spojrzał w stronę otwartych drzwi.

- Och, nie - rzekł Dylan, gdy ze zgrozą uświadomił sobie, co się dzieje. - Nie bracie, nie, nie.

- Co? - odezwała się Jilly. - Co jest?

Młodszy Shep odłożył kawałki układanki na stół i podniósł się z krzesła.

- Biedny dzieciak. Widział to - powiedziała z rozpaczą Dylan. - Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że widział.

- Co widział?

Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku dziesięcioletni Shepherd O'Conner wyszedł zza stołu i powólczył nogami, zbliżył się do drzwi salonu.

Dwudziestoletni Shepherd postąpił naprzód i wyciągnął ręce, próbując zatrzymać młodszego siebie.

Doń przeszedł przez Shepherd'a z lutego sprzed lat, jakby był duchem, bez najmniej-szego efektu.

Wpatrując się w swoje ręce, starszy Shep powiedział drżącym ze strachu głosem:

- Shep jest dzielny. Shep jest dzielny.

Nie mówił chyba jednak z podziwem o dziesięcioletnim Shepherdzie O'Connerze, lecz dodawał sobie siłę, by stawiać czoła koszarowi, który miał nastąpić.

- Zróć nas stłd - nalegał Dylan.

Shepherd spojrzał mu prosto w oczy i mimo że stał przed bratem, a nie kimś obcym, taka chwila bliskości zawsze wiele go kosztowała. Dzieci, w tych okolicznościach, cena była wyjątkowo wysoka. W jego oczach widniała bezbronność i delikatność, przeciw którym nie miał zwykłej ludzkiej broni: ego, poczucia własnej wartości, psychologicznego instynktu samo-zachowawczego.

- Chodźcie. Chodźcie zobaczcie. - Nie.

- Chodźcie zobaczcie. Musicie zobaczyć. Młodszy Shepherd wyszedł z jadalni do salonu. Odwracając wzrok od Dylana, starszy Shepherd powtórzył z uporem:

- Shep jest dzielny, dzielny. - Po czym ruszył za samym sobą - męczycyżna-dziecko celadem dziecka. Gdy kierując się do salonu, zszedł z perskiego dywanu na parkiet z jasnego klonu, każdy krok znaczący atramentowymi kałużami.

Dylan i Jilly poszli za nim do salonu z dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Młodszy Shepherd zatrzymał się dwa kroki za progiem, lecz starszy Shepherd minął go, by spojrzeć z bliska na rozgrywał się w pokoju doniosłą scenę.

Widok matki, Blair, która jeszcze żyła i wydawała się teraz cudownie zmartwychwstała, wstrząsnął nim bardziej, niż Dylan mógłby przypuszczać. Czując, jakby serce cęcisł mu drut kolczasty, ranił je do głębi przy każdym uderzeniu.

Blair O'Conner miała czterdzieści cztery lata. Tak niewiele. Pamiętała jej pogodność, dobroć, ciepłość i dorównującą urodzie młodość.

Teraz jednak ukazywała bardziej wybuchową stronę swojej natury: gniew rozjaśniał zielone oczy i nadawał rysom ostrość. Mówiła, chodziła tam i z powrotem, a każdy ruch i moment zatrzymania przywołał na myśl panterę broniącą młodych.

Nigdy nie wpadała w gniew bez przyczyny, a Dylan nigdy nie widział jej aż tak rozgniewanej.

Męczycyżna, który podrażnił jej poczucie dobra i zła, doprowadzając ją do gniewu, stał pod oknem, odwrócony tyłem do niej i do wszystkich z tego i tamtego czasu.

Nie widział duchów z przyszłości ani nawet dziesięcioletniego Shepa, który przyglądał się z drzwi jadalni, Blair powie-działa:

- Mówię panu, że one nie istnieją. A nawet gdyby istniały, nigdy bym ich panu nie dała.

- A gdyby jednak istniały, komu by je pani dała? - zapytała męczycyżna pod oknem, odwracając się do niej.

Chociaż w roku 1992 był nieco szczuplejszy niż w 2002 i miał więcej włosów niż dziesięć lat później, poznali go od razu. W salonie stał Lincoln Proctor vel Frankenstein.

**34** Jilly określiła kiedyś jego ucemiech jako „okrutno-senny” i Dylan odniósł podobne

wrażenie. Przedtem zdawało mu się, że wyblakłe i matowe bładoniebieskie oczy muszą należeć do istoty śagodnej jak baranek, lecz przy drugim spotkaniu doszedł do wniosku, że przypominają lodowe okna, za którymi kryje się królestwo chłodu.

Jego matka znała Proctora. Dziesięć lat temu Proctor był w ich domu.

Odkrycie wstrząsnęło Dylanem do tego stopnia, że na chwilę zapomniał o strasznym zakończeniu tego spotkania i stał na wpół sparaliżowany, słychać jak urzeczony toczącej się rozmowy.

- Niech to diabli, te dyskietki nie istnieją! - oświadczyła sta-nowczo matka. - Jack nigdy o nich nie wspomina. Ta dyskusja nie ma sensu.

Jack, ojciec Dylana, nie był od piętnastu lat, a w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, gdy doszedł do tej konfrontacji - od pięciu.

- Wszedł w ich posiadanie w dniu, w którym umarł - powiedział Proctor. - Nie musiała pani o tym wiedzieć.

- Jeśli kiedykolwiek istnieli - odparła Blair - w co wątpię, Jack zabrał je ze sobą.

- Gdyby istnieli - naciska dalej Proctor - czy oddałaby je pani nieszczytnym inwestorom, którzy stracili pieniądze...

- Proszę nie upiększać prawdy. Pozbawił ich pan pieniędzy oszustwem. Ludzie, którzy ufali Jackowi, zaufali też panu - a pan ich oskubał. Założył pan firmę na potrzeby własnych projektów, nad którymi w ogóle nie zamierzał pan pracować, pompował pan z nich pieniądze na swoje grupie badania nad robotami...

- Nanobotami. Poza tym moje badania nie są grupie. Nie jestem dumny z oszukiwania ludzi. Wstydzi się tego. Ale badania nad nanomaszynami pochłaniają dużo więcej pieniędzy, niż ktokolwiek chciałby zainwestować. Musiałem znaleźć dodatkowe źródła finansowania. Były...

Matka Dylana przerwała mu lekceważącym tonem:

- Gdybym miała dyskietki, o których pan mówi, oddałabym je policji. Dlatego może być pan pewien, że Jack też ich nie miał. Gdyby miał w ręku dowody tego rodzaju, nigdy by się nie zabił. Miałby przynajmniej cię nadziei. Zwróć się do władz, walcz o dobro inwestorów.

Proctor z ucemiechem skinął głową.

- Czyli nie był człowiekiem, który mógłby położyć fiolkę tabletek i sztachnąć się spalinami z rury wydechowej, co? Przez twarz Blair O'Conner przemknął promień wściekłości, lecz szybko zdusił je uczucia silniejsze od gniewu.

- Wpadł w depresję. Nie tylko z powodu własnych strat. Uważał, że zawiódł zaufanie dobrych ludzi, którzy liczyli na niego. Przyjaciół, rodziny. Czuli się przygnębieni... - Dopiero po chwili zorientowała się, że w pytaniu Proctora może się kryć inny, przerażający sens. Otworzyła szeroko oczy. - Co pan chce przez to powiedzieć?

Spod skórzanej kurtki Proctor wyciągnął pistolet. Jilly chwyciła Dylana za ramię.

- Co to?

- Myśliciel, że zabił kogoś obcy, kto wdarł się do domu. Może jakimś psychopata, który zjechał z autostrady. Nigdy tego nie wyjaśniono.

Przez chwilę matka Dylana i Proctor patrzyli na siebie w milczeniu i Blair O'Conner zrozumiała prawdę o śmierci męża.

- Jack był mojego wzrostu - powiedział wreszcie Proctor. - Ale ja jestem myślicielem, nie bokserem. Przyznaję, że mam coś z tchórze. Ale pomyślałem, że mogę go pokonać, wykorzystując zaskoczenie i chloroform. I udało się.

Na wspomnienie o chloroformie Jilly zacisnęła dłoń na ramieniu Dylana.

- Gdy był nieprzytomny, intubacja została nie nastręczona żadnych trudności. Potrzebowałem tylko laryngoskopu, żeby sprawdzić, czy nie włożyłem sondy do tchawicy zamiast do przełyku. Spukałem kapsułki nembutalu wodną, prosto do osłona. Wyciągnąłem sondę i podawałem chloroform, dopóki nie zaczęła działać dawka nembutalu.

Shok Dylana ustąpił miejsca złości, lecz nie był to tylko gniew z powodu krzywdy, którą wyrzucił jego

rodzinie ten po-twór. Jego wóćiek<sup>3</sup>oœæ by<sup>3</sup>a skierowana nie tylko przeciw Lin-colnowi Proctorowi, ale przeciw samemu z<sup>3</sup>u, przeciw œwiado-moœci, ¿e ono istnieje. Byæ mo¿e ca<sup>3</sup>a ludzkoœæ zesza na drogê grzechu, ale zbyt wielu jej przedstawicieli rzuca<sup>3</sup>o siê ochoczo w objêcia ciemnoœci, siej<sup>1</sup>c okrucieñstwo i karmi<sup>1</sup>c siê nieszczê-œciem innych, krocza t<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> coraz pewniej, z coraz wiêkszym entuzjazmem.

- Zapewniam pani<sup>1</sup> - powiedzia<sup>3</sup> Proctor do Blair O'Con-ner - ¿e mêt<sup>1</sup>a nic nie bola<sup>3</sup>o. Mimo ¿e by<sup>3</sup> nieprzytomny, bardzo uwa¿a<sup>3</sup>em przy intubacji.

Dylan czu<sup>3</sup> to samo, gdy znalaz<sup>3</sup> Trávisa przykutego do <sup>3</sup>ó¿-ka w domu przy Alei Eukaliptusowej: wspó<sup>3</sup>czucie dla wszystkich ofiar przemocy i zajad<sup>3</sup> wóćiek<sup>3</sup>oœæ na ich oprawców. Ki-pia<sup>3</sup>y w nim emocje równie gwa<sup>3</sup>towne jak u bohaterów opery, co nigdy przedtem mu siê nie zdarzy<sup>3</sup>o; by<sup>3</sup>o to nie mniej dziw-ne ni¿ jego nowy szósty zmys<sup>3</sup>, nie mniej dziwne ni¿ sk<sup>3</sup>adanie w czasie i przestrzeni.

- Nie mo¿na mnie nazwaæ dobrym cz<sup>3</sup>owiekiem - mówi<sup>3</sup> Proctor, z t<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> przymiln<sup>1</sup> samokrytyk<sup>1</sup>, której upust dawa<sup>3</sup> wczorajszego wieczoru, robi<sup>1</sup>c zastrzyk Dylanowi. - Pod ¿ad-nym wzglêdem. Znam swoje wady, mam niejedn<sup>1</sup>. Jednak cho-cia¿ jestem z<sup>3</sup>y, nie potrafiê zadawaæ nikomu bólu bezmyœlnie albo kiedy nie jest to rzeczywiœcie konieczne.

Jilly, jak gdyby dziel<sup>1</sup>c z Dylanem têt operow<sup>1</sup> wóćiek<sup>3</sup>oœæ i g<sup>3</sup>êbok<sup>1</sup> litoœæ dla bezbronnych ofiar, podesz<sup>3</sup>a do starszego Shepherdá, na którego jej wspó<sup>3</sup>czucie mog<sup>3</sup>o mieæ jakieœ wp<sup>3</sup>yw, w przeciwieñstwie do odgradzonego od nich ch<sup>3</sup>opca z przesz<sup>3</sup>o-œci. Otoczy<sup>3</sup>a Shepa ramieniem i delikatnie odwróci<sup>3</sup>a go od Lin-colna Proctora i matki, aby drugi raz nie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> tego, czego œwiadkiem by<sup>3</sup> dziesiêæ lat temu.

- Zanim pod<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>em w<sup>1</sup>¿ do rury wydechowej - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Proctor - Jack ju¿ g<sup>3</sup>êboko spa<sup>3</sup> i nie wiedzia<sup>3</sup>, ¿e umiera. Nie czu<sup>3</sup>, ¿e siê dusi, nie ba<sup>3</sup> siê. <sup>3</sup>a<sup>3</sup>ujê tego, co zrobi<sup>3</sup>em, gryzê siê tym, choæ nie mia<sup>3</sup>em innego wyboru. W ka¿dym razie ciesze siê, ¿e mam sposobnoœæ powiadomienia pani, ¿e m<sup>1</sup>¿ nie porzuci<sup>3</sup> pani i dzieci. <sup>3</sup>a<sup>3</sup>ujê ¿e do tej pory wprowadza<sup>3</sup>em pani<sup>1</sup> w b<sup>3</sup>id.

S<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup>c usprawiedliwieñ Proctora i stoj<sup>1</sup>c w obliczu ry-ch<sup>3</sup>ej œmierci, Blair O'Conner zareagowa<sup>3</sup>a hardoœci<sup>1</sup>, która po-ruszy<sup>3</sup>a Dylanem.

- Jesteœ paso¿ytem - powiedzia<sup>3</sup>a do Proctora. - Ohydny, cuchn<sup>1</sup>cym robakiem.

Podchodz<sup>1</sup>c do niej wolno, Proctor pokiwa<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Owszem, nawet kimœ jeszcze gorszym. Nie mam ¿adnych skrupu<sup>3</sup>ów, ¿adnej moralnoœci. Dla mnie liczy siê tylko jedno. Moja praca, moja nauka, moja wizja. Jestem chorym, nikczem-nym cz<sup>3</sup>owiekiem, ale mam misjê, z której siê wywi<sup>1</sup>¿ê.

Mimo ¿e przesz<sup>3</sup>oœci z pewnoœci<sup>1</sup> nie da<sup>3</sup>o siê odmieniaæ, tak jak bezdusznych serc szaleñców, Dylan ruszy<sup>3</sup> naprzód, by sta-n<sup>1</sup>æ miêdzy matk<sup>1</sup> a Proctorem w irracjonalnej nadziei, ¿e bogo-wie czasu jeden jedyny raz uczyni<sup>1</sup> odstêpstwo od swoich okrut-nych praw i pozwo<sup>1</sup> mu zatrzymaæ pocisk, który dziesiêæ lat temu zabi<sup>3</sup> Blair O'Conner.

- Kiedy zabra<sup>3</sup>em dyskietki martwemu Jackowi - powie-dzia<sup>3</sup> Proctor - nie wiedzia<sup>3</sup>em, ¿e dosta<sup>3</sup> dwa zestawy. S<sup>1</sup>dzi-<sup>3</sup>em, ¿e mam wszystkie. Dopiero niedawno dowiedzia<sup>3</sup>em siê, ¿e jest inaczej. Dyskietki, które mu zabra<sup>3</sup>em, zamierza<sup>3</sup> oddaæ w<sup>3</sup>adzom. Drugi zestaw musi byæ tutaj. Gdyby je znalezione, siedzia<sup>3</sup>bym ju¿ wiêzieniu, prawda?

- Ja ich nie mam-powtórzy<sup>3</sup>a uparcie Blair.

Odwrócony ty<sup>3</sup>em do matki Dylan patrzy<sup>3</sup> na Proctora i wy-lot lufy jego pistoletu.

Proctor spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> przez niego, zupe<sup>3</sup>nie nieœwiadomy, ¿e stoi przed nim przybysz z przysz<sup>3</sup>oœci.

- Piêæ lat to du¿o czasu. Ale w pracy Jacka sprawy prawno--podatkowe s<sup>1</sup> cholernie wa¿ne.

Dr<sup>1</sup>c z emocji, Dylan zbli¿y<sup>3</sup> siê do Proctora. Wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> rêkê. Po<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ na broni.

- Wed<sup>3</sup>ug przepisów federalnych okres przedawnienia w sprawach podatkowych wynosi siedem lat - rzek<sup>3</sup> Proctor. Dylan czu<sup>3</sup> kszta<sup>3</sup>t pistoletu. Ch<sup>3</sup>ód lufy.

Proctor najwyraŹniej w ogóle nie odczu<sup>3</sup> nacisku rêki Dylana. - Jack mia<sup>3</sup> zapewne zwyczaj przechowywaæ wszystkie do-kumenty przynajmniej tak d<sup>3</sup>ugo. Gdyby znaleŹli dyskietki, by-<sup>3</sup>oby po mnie.

Dylan usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> chwyciæ pistolet, aby wyrwaæ go z rêki mor-dercy, ale jego palce przesz<sup>3</sup>y przez stal i zacisnê<sup>3</sup>y siê na niczym. - Nie jest pani g<sup>3</sup>upia, pani O'Conner. Wie pani o siedmio-letnim przedawnieniu.

Przechowuje pani jego dokumenty zwi1-zane z prac1. Jestem pewien, że w3aczenie tam s1 dyskietki. Byæ mo¼e nawet pani sobie nie zdawa3a sprawy z ich istnienia. Ale skoro ju¼ pani wie... odszuka je pani i zaniecie na policjê. Wola3-bym unikn1æ... tych nieprzyjemnoœci.

W ataku bezsilnego sza3u Dylan wymierzy3 Proctorowi cios - i zobaczy3, jak jego piêœæ, ci1gn1c za sob1 atramentowy ogon jak kometa, wbi3a siê w twarz tego 3ajdaka, a on nawet siê nie skrzywi3.

- Wola3bym skorzystaæ z pani pomocy-powiedzia3 Proctor - ale sam mogê poszukaæ. Tak czy inaczej musia3bym pani1 za-biaæ. To straszne, co robiê, pod3e i niegodziwe. Gdyby istnia3o piek3o, zas3ugiwa3bym na wieczne cierpienie, wieczne tortury.

- Nie ró³ krzywdy mojemu synowi. - Blair O'Conner mó-wi3a spokojnie, nie kul1c siê ze strachu i nie b3agaj1c mordercy o darowanie ¼ycia. Wiedzia3a, że ¼adne upokorzenie go nie wzruszy, wiêc prosi3a o ocalenie Shepherd'a opanowanym g3osem, nie odwo3uj1c siê do emocji, lecz logicznych argumentów.

- Cierpi na autyzm. Nie wie, kim jesteœ. Nie bêdzie mó³g3 prze-ciwko tobie œwiadczyæ, nawet gdyby zna3 twoje nazwisko. Pra-wie w ogó³e nie mo¼na siê z nim porozumieæ.

Zdrêtwia3y ze strachu Dylan odsun13 siê od Proctora i cof-n13 w stronê matki, zrozpaczony usi3owa3 siê przekonaæ, że bê-dzie mia3 wiêkszy wp3yw na trajektorie pocisku, je¼eli znajdzie siê bli¼ej niej.

- Wiem, co jest Shepherdowi - odrzek3 Proctor. - Musia3 byæ wielkim ciê¼arem przez te lata.

- Nigdy nie by3 ciê¼arem - oœwiadczy3a zdecydowanie Blair O'Conner g3osem dŸwiêcznym jak stal. - Co ty mo¼esz o tym wiedzieæ.

- Nie mam skrupu3ów i jestem brutalny, kiedy trzeba, ale nigdy nie jestem niepotrzebnie okrutny. - Proctor zerkn13 na dziesiêcioletniego Shepherd'a. - Nie stanowi dla mnie ¼adnego zagro¼enia.

- O Bo¼e. - Matka Dylana sta3a odwrócona plecami do Shepherd'a i dopiero teraz zorientowa3a siê, że porzuci3 uk3adan-kê i stoi w drzwiach prowadz1cych do jadalni. - Nie. Nie ró³ te-go w obecnoœci ch3opca. Nie zmuszaj go, ¼eby... to ogl1da3.

- Nie prze¼yje wstrz1su, pani O'Conner. Sp3ynie to po nim bez œladu, nie s1dzi pani?

- Nie, nie sp3ynie. Nie jest taki jak ty.

- Poza tym jego emocjonalnoœæ jest zbli¼ona do emocjonal-noœci - czego? - ¼aby? - zapyta3 Proctor, zadaj1c k3am wyg3oszonemu przed chwil1 twierdzeniu, że nigdy nie jest niepotrzebnie okrutny.

- Jest 3agodny - odpar3a Blair. - Kochany. Wyj1tkowy. - Te s3owa nie by3y skierowane do Proctora, stanowi3y po¼egna-nie z chorym synem. - Na swój sposób jest b3yskotliwy.

- Tyle w nim b3yskotliwoœci, ile w mêtnej wodzie - rzek3 z ¼alem Proctor, jak gdyby odczuwa3 smutek z powodu upoœe-dzenia Shepa. - Mogê jednak pani obiecaæ, że kiedy osi1gnê to, co na pewno uda mi siê osi1gn1æ, kiedy wejdê do towarzystwa noblistów i bêdê zapraszany przez królów, nie zapomnê o pani biednym synu. Dziêki mojemu dzie3u bêdzie mo¼na zmieniaæ go z ¼aby w tytana intelektu.

- Ty nadêty dupku - rzek3a z gorycz1 Blair O'Conner. - Nie jesteœ ¼adnym naukowcem. Jesteœ potworem. Nauka to œwiat3o w ciemnoœci. A ty sam jesteœ ciemnoœci1. Potworem. Robisz swoje przy blasku ksiê¼yca.

Maj1c wra¼enie, że ogl1da siê a daleka, Dylan zobaczy3, że podnosi rêkê, jakby chcia3 zatrzymaæ nie tylko kulê, ale tak¼e nieub3aganie biegn1cy czas.

Huk wystrza3u by3 g3oœniejszy, ni¼ Dylan siê spodziewa3, jak gdyby otworzy3o siê niebo i nasta3 Dzieñ S1du.

3 5 Byæ mo¼e tylko wyobrazi3 sobie, że czuje, jak pocisk przelatuje przez niego, ale gdy przera¼ony odwróci3 siê do ukochanej matki, mó³g3by opisaæ w najdrobniejszych szczegó³ach kszt1t, fakturê, ciê¼ar i temperaturê kuli, która j1 zabi3a. Czu3, jakby rzeczywiœcie zosta3 trafiony, ale nie w mo-mencie, gdy pad3 strza3, lecz kiedy zobaczy3, jak matka pada na pod3ogê, gdy zobaczy3 szok i ból maluj1ce siê na jej twarzy.

Dylan ukl1k3 przy niej, rozpaczliwie pragn1c wzi1æ j1 w ra-miona, daæ jej ukojenie w ostatnich sekundach ¼ycia, ale by3 bardziej bezcielesny od cienia ducha.

Matka patrzy3a przez Dylana prosto na dziesiêcioletniego Shepa. Ch3opiec sta3 w odleg3oœci piêtnastu stóp, zgarbiony, na wpó3 spuceciwszy g3owê. Choæ nie podszed3 do niej, spojrze3 pro-sto w oczy matki, co zdarza3o siê bardzo rzadko.

M3odszy Shep wygl1da3, jak gdyby nie poj13 do koñca tego, co zobaczy3, albo zrozumia3 to zbyt dobrze

i wpad<sup>3</sup> w szok. Sta<sup>3</sup> bez ruchu. Nic nie mówi<sup>3</sup> ani nie p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>.

Niedaleko ulubionego fotela Blair Jilly tuli<sup>3</sup>a starszego Shepherd, który nie uchyla<sup>3</sup> się przed dotykiem, jak czyni<sup>3</sup> zazwyczaj. Nie pozwala<sup>3</sup>a mu się odwrócić w stronę matki, sama jednak patrzy<sup>3</sup>a na Dylana z bólem i współczuciem, któ-re oświadczy<sup>3</sup>y o tym, że nie jest już obc<sup>1</sup> osob<sup>1</sup>; w ci<sup>1</sup>gu nie-ca<sup>3</sup>ych dwudziestu czterech godzin sta<sup>3</sup>a się cz<sup>3</sup>onkiem ich ro-dziny.

Spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c przez Dylana na ma<sup>3</sup>ego Shepa, matka powie-dzia<sup>3</sup>a:

- Nie martw się, kochanie. Nie jesteś sam, nigdy nie b<sup>ê</sup>-dziesz. Dylan zawsze b<sup>ê</sup>dzie się tob<sup>1</sup> opiekowa<sup>3</sup>.

Emieræ postawi<sup>3</sup>a kropkê nad „i” w historii jej życia i matka odesz<sup>3</sup>a.

- Kocham cię- powiedzia<sup>3</sup> do niej Dylan. Umar<sup>3</sup>a podwój-nie, a on wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do niej, stoj<sup>1</sup>c po drugiej stronie rzeki dziesięciu lat i po drugiej stronie zup<sup>3</sup>nie innej rzeki, której brzeg le<sup>1</sup>a<sup>3</sup> o wiele dalej niż granice czasu.

Na w<sup>3</sup>asne oczy widzia<sup>3</sup> jej emieræ, co wstrz<sup>1</sup>sn<sup>ê</sup>o nim do g<sup>3</sup>êbi, lecz nie mniej wstrz<sup>1</sup>sn<sup>ê</sup>o nim ostatnie s<sup>3</sup>owa matki: „Nie jesteś sam, nigdy nie b<sup>ê</sup>dziesz. Dylan zawsze b<sup>ê</sup>dzie się tob<sup>1</sup> opiekowa<sup>3</sup>”.

Wzruszy<sup>3</sup> się, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c, jak mocno w niego wierzy<sup>3</sup>a - jako brata i jako cz<sup>3</sup>owieka.

Zadr<sup>1</sup>a<sup>3</sup> jednak na wspomnienie bezsennych nocy, gdy le<sup>1</sup>a<sup>3</sup> wyczerpany psychicznie po trudnym dniu z Shepherdem i u<sup>1</sup>a-la<sup>3</sup> się nad w<sup>3</sup>asnym losem. Nigdy nie wpada<sup>3</sup> w rozpacz - naj-wy<sup>1</sup>żej ogarnia<sup>3</sup>o go zniech<sup>ê</sup>cenie, a w najgorszym wypadku przygn<sup>ê</sup>bienie-lecz w tych trudnych chwilach dyskutowa<sup>3</sup> sam ze sob<sup>1</sup>, czy Shepherdowi nie by<sup>3</sup>oby lepiej w miejscu, które mi-strzowie eufemizmów nazywaj<sup>1</sup> „przyjaznym œrodowiskiem profesjonalnej opieki”.

Wiedzia<sup>3</sup>, że nie musia<sup>3</sup>by się wstydzia<sup>3</sup>, gdyby znalaz<sup>3</sup> dla Shepa pierwszor<sup>ê</sup>dny zak<sup>3</sup>ad, zdawa<sup>3</sup> te<sup>1</sup> sobie spraw<sup>ê</sup>, że po-œwi<sup>ê</sup>ca się bratu za cen<sup>ê</sup> w<sup>3</sup>asnego szcz<sup>ê</sup>œcia, co zdaniem psycho-logów oświadczy<sup>3</sup>oby o zaburzeniach emocjonalnych. W istocie co dzieñ przychodzi<sup>3</sup>a chwila, gdy Dylan <sup>1</sup>a<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>, że życie wy-pe<sup>3</sup>nij<sup>1</sup> mu obowi<sup>1</sup>zki, i przypuszcza<sup>3</sup>, że kiedyœ z gorycz<sup>1</sup> po-myœli o tylu zmarnowanych latach.

A jednak takie życie mia<sup>3</sup>o swoje blaski-jednym z nich by<sup>3</sup>o odkrycie, że spe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> nadzieje, jakie pok<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a w nim matka. Wytrwa<sup>3</sup>oœæ w opiece nad Shepherdem i dziesi<sup>ê</sup> d<sup>3</sup>ugich lat sp<sup>ê</sup>-dzonych razem nagle nabra<sup>3</sup>y zup<sup>3</sup>nie niezwyk<sup>3</sup>ego znaczenia, jak gdyby Dylan jakimœ cudem dowiedzia<sup>3</sup> się o przyrzeczeniu, które w jego imieniu z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a matka, mimo że Shepherd nigdy o tym nie wspomina<sup>3</sup>. By<sup>3</sup> sk<sup>3</sup>onny uwierzyæ, że zjawi<sup>3</sup>a mu się we œnie, którego nie pami<sup>ê</sup>t<sup>3</sup> i mówi<sup>3</sup>a o swojej mi<sup>3</sup>oœci do nie-go i wierze w jego poczucie obowi<sup>1</sup>zku.

Od dziesi<sup>ê</sup>ciu lat lub jeszcze d<sup>3</sup>u<sup>1</sup>ej Dylan s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, że rozumie frustracj<sup>ê</sup> Shepa oraz jego chroniczne poczucie bezradnoœci w obliczu przyt<sup>3</sup>aczaj<sup>1</sup>cych si<sup>3</sup>, z którymi osoba dotkni<sup>ê</sup>t<sup>3</sup> auty-zmem musi się codziennie zmagaa<sup>3</sup>. Okaza<sup>3</sup>o się jednak, że by<sup>3</sup>o to rozumienie <sup>1</sup>a<sup>3</sup>oœnie niepe<sup>3</sup>ne. Dopiero gdy musia<sup>3</sup> się bezrad-nie przygl<sup>1</sup>daæ, jak bandyta strzela do jego matki, próbowa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> podtrzymaæ, kiedy umiera<sup>3</sup>a, lecz nie potrafi<sup>3</sup>, pragn<sup>13</sup> zd<sup>1</sup>ÿæ z ni<sup>1</sup> porozmawiaæ, ale nie by<sup>3</sup>o go s<sup>3</sup>ychaa<sup>3</sup> -- dopiero w tej straszliwej chwili poczu<sup>3</sup> bezsilnoœæ, jaka zawsze towarzyszy<sup>3</sup>a jego bratu. Kl<sup>ê</sup>cz<sup>1</sup>c obok matki i czuj<sup>1</sup>c utkwione w sobie jej szkliste oczy, Dylan trz<sup>1</sup>s<sup>3</sup> się z upokorzenia, l<sup>ê</sup>ku i wœciek<sup>3</sup>oœci, której nie móg<sup>3</sup> wy<sup>3</sup>adowaa<sup>3</sup>, bo nie by<sup>3</sup>a skierowana przeciw

konkretnemu obiektowi, wœciek<sup>3</sup>oœci na w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> s<sup>3</sup>aboœæ i na wszystko, że jest, jakie jest, i zawsze takie b<sup>ê</sup>dzie. Wzbiera<sup>3</sup> w nim gniewny krzyk, ale Dylan nie da<sup>3</sup> upustu z<sup>3</sup>oœci, ponie-wa<sup>1</sup> prawie nikt tu nie us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>by wrzasku z innego czasu - a tak<sup>1</sup>e dlatego, że gdyby zacz<sup>13</sup> krzyczaæ, trudno by<sup>3</sup>oby mu przestaæ.

Krwi nie by<sup>3</sup>o du<sup>1</sup>o. Przynajmniej tyle dobrego. I nie umiera<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>ugo. Prawie nie cierpia<sup>3</sup>a.

Potem zda<sup>3</sup> sobie spraw<sup>ê</sup>, jaki koszmarny spektakl ma na-st<sup>1</sup>piæ.

- Nie.

\*\*\*

Obejmuj<sup>1</sup>c Shepherd, i spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c ponad jego ramieniem, Jilly patrzy<sup>3</sup>a na Lincolna Proctora z odraz<sup>1</sup>, jak<sup>1</sup> dotychczas by<sup>3</sup>a zdolna odczuwaæ tylko wobec ojca, kiedy traktowa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> i matk<sup>ê</sup> ze szczeg<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ln<sup>1</sup> pod<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>. Nie mia<sup>3</sup>o znaczenia, że dzie-si<sup>ê</sup> lat p<sup>ó</sup>Ńniej Proctor zmieni się w dymi<sup>1</sup>ce œcierwo w szcz<sup>1</sup>t-kach jej cadillaca: nienawidzi<sup>3</sup>a go nie mniej zawzi<sup>ê</sup>cie.

Po oddaniu strza<sup>3</sup>u Proctor schowa<sup>3</sup> pistolet do kabury pod skórzan<sup>1</sup> kurtk<sup>1</sup>. Wydawa<sup>3</sup> się pewny swoich strzeleckich umie-jêtnoœci.

Z kieszeni wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> parê lateksowych rêkawiczek i na<sup>3</sup>o<sup>3</sup>z<sup>3</sup>y<sup>3</sup> je, ca<sup>3</sup>y czas przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê dziesiêcioletniemu Shepowi. Nawet Jilly, która zna<sup>3</sup>a subtelnoœci uczuaê, jakie odbija<sup>3</sup>y siê na obojêtniej twarzy Shepherd, odnios<sup>3</sup>a wra<sup>3</sup>zenie, ðe ch<sup>3</sup>opiec w ogôle nie prze<sup>13</sup> siê œmierci<sup>1</sup> matki. Tak jednak nie mog<sup>3</sup>o byæ, skoro dziesiêæ lat pó<sup>3</sup>niej cofn<sup>13</sup> ich w czasie, by mogli zo-baczyæ to na w<sup>3</sup>asne oczy; w swoim starszym wcieleniu wróci<sup>3</sup> tu z widocznym lêkiem, powtarzaj<sup>1</sup>c: „Shep jest dzielny”.

Usta mu nie zadr<sup>3</sup>o, z oczu nie polecia<sup>3</sup>a ani jedna <sup>3</sup>za. Ch<sup>3</sup>opiec z kamienn<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup> odwróci<sup>3</sup> siê od cia<sup>3</sup>a matki i pod-szed<sup>3</sup> do najbli<sup>3</sup>szego rogu pokoju, gdzie stan<sup>13</sup>, utkwivszy wzrok w <sup>3</sup>czeniu œcian. Gdy by<sup>3</sup> przyt<sup>3</sup>oczony traumatycznymi doznaniem, redu-kowa<sup>3</sup> swój œwiat do w<sup>1</sup>skiej przestrzeni, w której czu<sup>3</sup> siê bez-pieczniej. Podobnie radzi<sup>3</sup> sobie z uczuciem ðalu.

Wyginaj<sup>1</sup>c palce w lateksowych rêkawiczkach, Proctor zbli-<sup>3</sup>y<sup>3</sup> siê do ch<sup>3</sup>opca i stan<sup>13</sup> za nim, przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c mu siê uwa<sup>3</sup>nie. Kiwaj<sup>1</sup>c siê wolno w przód i w ty<sup>3</sup>, m<sup>3</sup>odszy Shepherd zacz<sup>13</sup> mruceæ pod nosem, powtarza<sup>3</sup> rytmicznie kilka s<sup>3</sup>ów, których Jilly nie mog<sup>3</sup>a zrozumieæ.

Dylan wci<sup>3</sup> klêcza<sup>3</sup> obok matki z pochylon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, jak gdyby pogr<sup>1</sup>o<sup>3</sup>ny w modlitwie. Jeszcze nie by<sup>3</sup> gotów, by j<sup>1</sup> zo-stawiaæ.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, ðe skupiony na k<sup>1</sup>cie poko-ju Shepherd sam bêdzie stra<sup>3</sup>nikiem w<sup>3</sup>asnego wiêzienia, Proc-tor wyszed<sup>3</sup> z salonu, przeci<sup>13</sup> korytarz i otworzy<sup>3</sup> drzwi innego pokoju. Je<sup>3</sup>eli na razie nie zamierzali siê st<sup>1</sup>d sk<sup>3</sup>adaæ, nie od rzeczy by<sup>3</sup>o pójœæ za Proctorem i sprawdzaæ, co robi<sup>3</sup>.

Uœcisnê<sup>3</sup>a czule Shepa i puœci<sup>3</sup>a go.

- Chod<sup>3</sup>my zobaczyæ, co ten <sup>3</sup>ajdak kombinuje. Pójdiesz ze mn<sup>1</sup>, skarbie?

Pozostawienie Shepa samego nie wchodzi<sup>3</sup>o w rachubê. Na-dal siê bal i cierpia<sup>3</sup>, wiêc potrzebowa<sup>3</sup> towarzystwa. Poza tym, choæ Jilly w<sup>1</sup>tpi<sup>3</sup>a, by móg<sup>3</sup> siê st<sup>1</sup>d z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>z<sup>3</sup>yæ bez niej i Dylana, wo-la<sup>3</sup>a nie ryzykowaæ.

- Pójdiesz ze mn<sup>1</sup>, Shepherd? - Szczurek, Kret, Ropuch.

- Co to znaczy, Shep? Czego chcesz?

- Szczurek, Kret, Ropuch. Szczurek, Kret, Ropuch.

Gdy wyrecytowa<sup>3</sup> tê mantrê po raz trzeci, zsynchronizowa<sup>3</sup>a siê ze s<sup>3</sup>owami, które powtarza<sup>3</sup> póg<sup>3</sup>osem stoj<sup>1</sup>cy w k<sup>1</sup>cie dziesiêcioletni Shepherd, nie przestaj<sup>1</sup>c siê ko<sup>3</sup>ysaæ.

- Szczurek, Kret, Ropuch.

Jilly nie wiedzia<sup>3</sup>a, co to mo<sup>3</sup>e znaczyæ i nie mia<sup>3</sup>a czasu wda-waæ siê w kolejn<sup>1</sup> d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> i zawi<sup>3</sup> rozmowê z Shepherdem.

- Szczurek, Kret, Ropuch. Porozmawiamy o tym pó<sup>3</sup>niej, skarbie. A teraz chod<sup>3</sup> ze mn<sup>1</sup>. Chod<sup>3</sup>.

Ku jej zdziwieniu, Shep bez wahania wyszed<sup>3</sup> za ni<sup>1</sup> z salonu. Kiedy znale<sup>3</sup>li siê w gabinecie, Proctor rozwala<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie mo-nitor klawiatur<sup>1</sup> komputera. Potem rzuci<sup>3</sup> ca<sup>3</sup> maszynê z biur-ka na pod<sup>3</sup>ogê.

Dokonywanie zniszczenia nie wzbudza<sup>3</sup>o w nim ðadnej satysfakcji, nawet krzywi<sup>3</sup> siê z niesmakiem.

Szybko przetrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup> szufladê po szufladzie, szukaj<sup>1</sup>c dyskie-tek. Znalaz<sup>3</sup> kilka i po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> z boku. Pozosta<sup>3</sup> zawartoœæ szuflad wysypa<sup>3</sup>, rozrzucaj<sup>1</sup>c wszystko po ca<sup>3</sup>ej pod<sup>3</sup>odze; chcia<sup>3</sup> widocz-nie stworzyæ wra<sup>3</sup>zenie, ðe osoba lub osoby odpowiedzialne za œmieræ matki Dylana by<sup>3</sup>y zwyk<sup>3</sup>ymi z<sup>3</sup>odziejami i wandalami.

W segregatorach na dole szafy znajdowa<sup>3</sup>y siê tylko papiery. Proctor nawet do nich nie zajrza<sup>3</sup>.

Na segregatorach sta<sup>3</sup>y trzy podwójne pudelka na dyskietki: mog<sup>3</sup>y mieœciæ nawet setkê dyskietek.

Proctor zacz<sup>13</sup> wyci<sup>1</sup>gaæ dyskietki z pude<sup>3</sup>ek ca<sup>3</sup>ymi garœcia-mi, odrzuca<sup>3</sup> je na bok, nie czytaj<sup>1</sup>c etykietek. W trzecim pudel-ku znalaz<sup>3</sup> cztery dyskietki inne od pozosta<sup>3</sup>ych, w kanarkowo-<sup>3</sup>tych papierowych kopertach.

- Bingo - powiedzia<sup>3</sup>, nios<sup>1</sup>c wszystkie cztery na biurko. Trzymaj<sup>1</sup>c Shepa za rêkê, Jilly podesz<sup>3</sup>a bli<sup>3</sup>ej Proctora, spo-dziewa<sup>3</sup>a siê, ðe krzyknie, jakby zobaczy<sup>3</sup> ducha. Jego oddech mia<sup>3</sup> zapach fistaszków.

Na <sup>3</sup>tej kopercie ka<sup>3</sup>dej dyskietki widnia<sup>3</sup> czerwony napis UWAGA! Tekst pod spodem

wydrukowano czarn<sup>1</sup> czcionk<sup>1</sup>: by<sup>3</sup>a to prawna formu<sup>3</sup>ka ostrzegaj<sup>1</sup>ca, ðe dyskietki zawieraj<sup>1</sup> prywatne dane chronione przepisami poufnoœci zawodowej i ka<sup>3</sup>demu, kto bezprawnie wejdzie w ich posiadanie,

grozi ka-ra przewidziana w prawie cywilnym i karnym, i że każdy, kto nie jest zatrudniony w wymienionej niżej firmie prawniczej, automatycznie staje się ich bezprawnym posiadaczem. Proctor wysun<sup>13</sup> z koperty jedn<sup>1</sup> dyskietkê i przeczyta<sup>3</sup> napis na etykiecie. Potem zadowolony schowa<sup>3</sup> wszystkie do we-wnêtrznej kieszeni kurtki.

Skoro mia<sup>3</sup> już to, po co przyszed<sup>3</sup>, jeszcze raz zabawi<sup>3</sup> się w wandala, zrywaj<sup>1</sup>c ze œcian pó<sup>3</sup>ki i rzucaj<sup>1</sup>c na œrodek pokoju. Dwie ksi<sup>1</sup>ki przefrun<sup>ê</sup> przez Jilly, <sup>3</sup>opocz<sup>1</sup>c stronicami, a potem wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup>y na pod<sup>3</sup>odze jak martwe ptaki.

Gdy komputer spad<sup>3</sup> z hukiem z biurka, Dylan przypomina<sup>3</sup> sobie ba<sup>3</sup>agan, jaki zasta<sup>3</sup> w czołoci domu tamtego lutowego wie-czoru. Dot<sup>1</sup>d trwa<sup>3</sup> przy boku matki w irracjonalnej nadziei, że choœ nie potrafi<sup>3</sup> uchroni<sup>æ</sup> jej przed kul<sup>1</sup>, mo<sup>3</sup>e zdo<sup>3</sup>a oszczêdzi<sup>æ</sup> jej upokorzenia, jakie jeszcze mia<sup>3</sup>o nast<sup>1</sup>pi<sup>æ</sup>. S<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c rumor w gabinecie, musia<sup>3</sup> się jednak pogodzi<sup>æ</sup> z faktem, że jest tu rów-nie bezradny jak jego brat. Matka odesz<sup>3</sup>a dziesi<sup>ê</sup> lat temu i tego, co zdarzy<sup>3</sup>o się zaraz po jej œmierci, nie mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o odwróci<sup>æ</sup>. Musia<sup>3</sup> się teraz trosz-czy<sup>æ</sup> o Ÿywych.

Nie mia<sup>3</sup> ochoty przygl<sup>1</sup>da<sup>æ</sup> się, jak Proctor przygotowuje scenografi<sup>ê</sup>. Dobrze wiedzia<sup>3</sup>, jak b<sup>ê</sup>dzie potem wygl<sup>1</sup>da<sup>æ</sup> dom. Podeszed<sup>3</sup> do k<sup>1</sup>ta, gdzie dziesi<sup>ê</sup>cioletni Shep ko<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> się w przód i w ty<sup>3</sup>, mrucz<sup>1</sup>c: - Szczurek, Kret, Ropuch.

Dylan spodziewa<sup>3</sup> się us<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup> coœ innego, ale recytowane przez brata s<sup>3</sup>owa wcale go nie zdumia<sup>3</sup>y. Po wszystkich dzie<sup>3</sup>ach Dr. Seussa i innych autorów, pierw-sz<sup>1</sup> opowieœci<sup>1</sup> dla starszych dzieci, jak<sup>1</sup> ich matka przeczyta<sup>3</sup>a Shepowi, by<sup>3</sup>a ksi<sup>1</sup>ka Kennetha Grahame'a „O czym szumi<sup>1</sup> wierzby". Shep by<sup>3</sup> tak zachwycony histori<sup>1</sup> Szczurka, Kreta, Ropucha, Borsuka i innych barwnych postaci z Puszczy, że ci<sup>1</sup>-gle nalega<sup>3</sup>, by przez ca<sup>3</sup>y czyta<sup>æ</sup> mu j<sup>1</sup> znów od pocz<sup>1</sup>tku. Za-nim skończy<sup>3</sup> dziesi<sup>ê</sup> lat, zd<sup>1</sup>Ÿy<sup>3</sup> już sam przeczyta<sup>æ</sup> j<sup>1</sup> co naj-mniej dwadzieœcia razy.

Pragn<sup>13</sup> towarzystwa Szczurka, Kreta i Ropucha, opowieœci o przyja<sup>Ÿ</sup>ni i nadziei, marzenia o Ÿyciu w ciep<sup>3</sup>ych i bezpiecz-nych norach, g<sup>3</sup>êbokich labiryntach rozjaœnionych œwiat<sup>3</sup>em lampy, na ocienionych polankach, pragn<sup>13</sup> otuchy, że po prze-ra<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>cych przygodach, po chaosie, zawsze mo<sup>3</sup>na usi<sup>1</sup>œ<sup>æ</sup> wœród przyjació<sup>3</sup> przed p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cym na kominku ogniem i spêdza<sup>æ</sup> spo-kojne wieczory, podczas których œwiat kurczy się do rozmiarów rodziny, a wokó<sup>3</sup> bij<sup>1</sup> same znajome serca.

Dylan nie mó<sup>3</sup>g mu tego da<sup>æ</sup>. Jeœli w ogóle takie Ÿycie by<sup>3</sup>o mo<sup>3</sup>liwe, najprawdopodobniej mogli się nim cieszy<sup>æ</sup> tylko boha-terowie ksi<sup>1</sup>ek.

W korytarzu na dole rozbi<sup>3</sup>o się lustro przy drzwiach wej-œciowych. O ile Dylan pamiêta<sup>3</sup>, Proctor roztrzaska<sup>3</sup> je wazo-nem, który stał na ma<sup>3</sup>ym stoliku.

Od drzwi salonu Jilly zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a: - Idzie na górê!

- Niech idzie. Wiem, co robi. Spl<sup>1</sup>druje sypialni<sup>ê</sup> i ukrad-nie bi<sup>1</sup>uteri<sup>ê</sup> mamy... chyba po to, że by upozorowa<sup>æ</sup> kradzi<sup>æ</sup>. Na górze jest torebka mamy. Opró<sup>1</sup>ni j<sup>1</sup> i zabierze pieni<sup>1</sup>dze z portfela.

Jilly i Shepherd wróci<sup>1</sup> do salonu i stanêli w k<sup>1</sup>cie za plecami dawnego Shepa.

Tamtego wieczoru dwunastego lutego tysi<sup>1</sup>c dziewi<sup>ê</sup>set dziewi<sup>ê</sup>dziesi<sup>1</sup>tego drugiego roku znaleziono Shepa w innym miejscu. Dylan chcia<sup>3</sup> zosta<sup>æ</sup> w przesz<sup>3</sup>oœci, dopóki nie b<sup>ê</sup>dzie wiedzia<sup>3</sup>, czy Shepowi oszczêdzono widoku tego, co jeszcze mia<sup>3</sup>o nast<sup>1</sup>pi<sup>æ</sup>.

Z góry dobiega<sup>3</sup> <sup>3</sup>oskot - to Proctor wyci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup> szuflady z ko-mody i ciska<sup>3</sup> nimi o œciany.

- Szczurek, Kret, Ropuch - powiedzia<sup>3</sup> m<sup>3</sup>odszy Shepherd, a starszy Shep rzek<sup>3</sup>, os<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c się tymi s<sup>3</sup>owami jak tarcz<sup>1</sup> przed strasznym œwiatem i by<sup>æ</sup> mo<sup>3</sup>e kieruj<sup>1</sup>c je tak<sup>3</sup>e do dziesi<sup>ê</sup>-cioletniego siebie:

- Shep jest dzielny, Shep jest dzielny.

Po minucie ha<sup>3</sup>asy na górze usta<sup>3</sup>y. Prawdopodobnie Proctor znalaz<sup>3</sup> torebkê. A mo<sup>3</sup>e upycha<sup>3</sup> po kieszeniach bi<sup>1</sup>uteri<sup>ê</sup>, któ-<sup>1</sup>ra nie mia<sup>3</sup>a szczególnie wielkiej wartoœci.

Ze spuszczo<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, w pozie wyra<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>cej wieczn<sup>1</sup> pokorê, m<sup>3</sup>odszy Shep opuœci<sup>3</sup> swój k<sup>1</sup>t i szuraj<sup>1</sup>c nogami, wróci<sup>3</sup> do ja-dalni, a starszy Shep szed<sup>3</sup> za nim krok w krok. Wygl<sup>1</sup>dali jak id<sup>1</sup>cy w procesji mnisi z bractwa dystygowanych samotników.

Dylan odetchn<sup>13</sup> z ulg<sup>1</sup>. I tak by za nimi poszed<sup>3</sup>, lecz gdy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> kroki Proctora na schodach, ciê<sup>1</sup>kie jak têtent koñskich kopyt, czym p<sup>1</sup>êdzej ruszy<sup>3</sup> za bratem, poci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>c ze sob<sup>1</sup> Jilly.

Dziesi<sup>ê</sup>cioletni Shep okr<sup>1</sup>Ÿy<sup>3</sup> stó<sup>3</sup> i usiad<sup>3</sup> na swoim krzeœle, wbijaj<sup>1</sup>c wzrok w uk<sup>3</sup>adankê.

Szczeniaki golden retrievery w koszu dawa<sup>3</sup>y chwilê spokoju i ciep<sup>3</sup>a, które nie mog<sup>3</sup>y istnie<sup>æ</sup> w

pe<sup>3</sup>nym przemocy, zwyrodnia<sup>3</sup>ym œwiecie; kiedy na nie patrzy<sup>3</sup>, musia<sup>3</sup>o mu siê wydawaæ, ¿e przez chwilê zagl<sup>1</sup>da do nory w Puszczy.

Shepherd stal naprzeciwko, maj<sup>1</sup>c po bokach Dylana i Jilly, i nie odrywa<sup>3</sup> oczu od m<sup>3</sup>odsze<sup>3</sup>o siebie. W salonie Proctor zacz<sup>13</sup> przewracaæ meble, zrywaæ obra-zy ze œcian i roztrzaskiwaæ bibeloty, kontynuuj<sup>1</sup>c odgrywanie scenariusza, który mia<sup>3</sup> odwieœæ policjê od hipotezy, ¿e intru-zem móg<sup>3</sup> byæ ktoœ inny ni¿ zwyk<sup>3</sup>y bandyta nafaszerowany prochami.

M<sup>3</sup>odszy Shep wybra<sup>3</sup> z pude<sup>3</sup>ka kawa<sup>3</sup>ek uk<sup>3</sup>adanki. Przyj-rza<sup>3</sup> siê nieskoñczonemu obrazkowi.

Próbowa<sup>3</sup> w<sup>3</sup>o¿yæ element w niew<sup>3</sup>acœciwe miejsce, potem znów siê pomyli<sup>3</sup>, by za trzecim razem trafiaæ.

Nastêpny kawa<sup>3</sup>ek od razu znalaz<sup>3</sup> siê tam, gdzie powinien. I nastêpny, jeszcze szybciej.

Rozleg<sup>3</sup> siê najg<sup>3</sup>oceniejszy ze wszystkich huk, po którym w salonie zapad<sup>3</sup>a cisza.

Dylan stara<sup>3</sup> siê skupiaæ na zrêcznoœci, z jak<sup>1</sup> dziesiêcioletni Shep zmienia chaos w obraz szczeniaków w koszu. Mia<sup>3</sup> nadzie-jê, ¿e zdo<sup>3</sup>a nie dopuœciaæ do siebie wspomnieñ ostatniej fazy in-scenizacji, nad któr<sup>1</sup> musia<sup>3</sup> teraz pracowaæ Proctor.

Jak by<sup>3</sup>o do przewidzenia, nie uda<sup>3</sup>o mu siê.

Chc<sup>1</sup>c zasugerowaæ, ¿e pocz<sup>1</sup>tkowo poza kradzie¿<sup>1</sup> intruz zamierza<sup>3</sup> tak¿e dokonaæ gwa<sup>3</sup>tu, Proctor szarp<sup>13</sup> bluzkê Blair O'Conner, odrywaj<sup>1</sup>c guziki od szyi do pasa. Chc<sup>1</sup>c zasugero-waæ, ¿e ofiara broni<sup>3</sup>a siê przed wykorzystaniem seksualnym i zosta<sup>3</sup>a zastrzelona, przypadkiem lub celowo, przez rozwœcie-czonego oporem napastnika, Proctor zdar<sup>3</sup> z niej stanik, zrywa-j<sup>1</sup>c jedno rami<sup>1</sup>czko i obna¿aj<sup>1</sup>c piersi.

Dokonawszy tego poni¿aj<sup>1</sup>cego aktu, wszed<sup>3</sup> do jadalni za-czerwieniony z wysi<sup>3</sup>ku.

Je¿eli Dylan by<sup>3</sup> kiedykolwiek zdolny dokonaæ mordy, to w<sup>3</sup>acenie w tej chwili. Mia<sup>3</sup> ochotê, ale brakowa<sup>3</sup>o mu mo¿liwoœci. Jego piêœci stanowi<sup>3</sup>y dla Proctora nie wiêksze zagro¿enie ni¿ chmura dymu. Gdyby nawet przyby<sup>3</sup> tu uzbrojony w rewolwer, kula przebi<sup>3</sup>aby Proctora, nie naruszaj<sup>1</sup>c ani jednego w<sup>3</sup>ókna je-go cia<sup>3</sup>a.

Przystaj<sup>1</sup>c na progu, morderca przyjrza<sup>3</sup> siê dziesiêcioletnie-mu Shepowi, który siedzia<sup>3</sup> przy stole nieœwiadomy, ¿e ma pu-blicznoœæ. Otar<sup>3</sup> czo<sup>3</sup>o chustk<sup>1</sup>.

- Czujesz mój pot, ch<sup>3</sup>opcze?

Palce chwytaj<sup>3</sup>y kolejne fragmenty, rêce œmigaj<sup>3</sup>y, niedokoñ-czone szczeniaki powoli zyskiwa<sup>3</sup>y pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> formê, ale Shepherd nie odpowiedzia<sup>3</sup> na pytanie.

- Œmierdzê czymœ gorszym ni¿ pot, co? Zdrad<sup>1</sup>. Œmierdzê tak od piêciu lat i zawsze bêdê tak œmierdzia<sup>3</sup>.

Jego dramatyzuj<sup>1</sup>cy masochizm rozwœcieczy<sup>3</sup> Dylana, po-niewa¿ tak samo jak poprzedniego wieczoru w motelu w s<sup>3</sup>o-wach Proctora nie by<sup>3</sup>o ani grama szczeroœci, a nêdznik po pro-stu u¿ala<sup>3</sup> siê nad sob<sup>1</sup>, nazywaj<sup>1</sup>c to odwa¿n<sup>1</sup> autoanaliz<sup>1</sup>.

- Teraz œmierdzê jeszcze tym. - Przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê przez chwilê, jak ten, który sam stanowi<sup>3</sup> nie lada <sup>3</sup>amig<sup>3</sup>ówkê, pracuje nad <sup>3</sup>amig<sup>3</sup>ówk<sup>1</sup> obrazkow<sup>1</sup>, po czym rzek<sup>3</sup>: - Co za parszywe ¿y-cie. Pewnego dnia, ch<sup>3</sup>opcze, stanê siê twoim wybawieniem, a ty mo¿e staniem siê moim.

Proctor opuœci<sup>3</sup> pokój i dom, wychodz<sup>1</sup>c w ciemnoœæ dwuna-stego lutego ty<sup>1</sup>c dziewiêæset dziewiêædziesi<sup>1</sup>tego drugiego ro-ku i rozpoczynaj<sup>1</sup>c sw<sup>1</sup> podró¿ do tak zwanego wybawienia i œmierci w p<sup>3</sup>omieniach, która nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a dziesiêæ lat póŹniej w Arizonie.

Na pochylonej nad uk<sup>3</sup>adank<sup>1</sup> twarzy Shepherdza zaleni<sup>3</sup>y <sup>3</sup>zy, lecz zjawi<sup>3</sup>y siê tak cicho jak rosa na trawie.

- ChodŸmy st<sup>1</sup>d - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - Shep? - zwróci<sup>3</sup> siê Dylan do brata.

Starszy Shepherd, który trz<sup>1</sup>s<sup>3</sup> siê z emocji, ale nie p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>, wci<sup>1</sup>¿ patrzy<sup>3</sup> na m<sup>3</sup>odsze<sup>3</sup>o siebie. Nie odpowiedzia<sup>3</sup> od razu, lecz gdy brat jeszcze dwa razy odezwa<sup>3</sup> siê do niego, odrzek<sup>3</sup>:

- Zaraz. Nie oeliz<sup>3</sup>o-krwawy film Davida Cronenberga. Zaraz.

Chocia¿ przypuszczalnie nie wykorzystywali teleportacji ja-ko takiej i choæ mechanizm ich przenoszenia w czasie i prze-strzeni wci<sup>1</sup>¿ nie przestawa<sup>3</sup> go zdumiewaæ, Dylan potrafi<sup>3</sup> sobie wyobraziaæ mnóstwo b<sup>3</sup>êdów, jakie mogli pope<sup>3</sup>niaæ podczas po-dró¿y, niemal tak nieprzyjemnych jak te z „Muchy”. Gdyby przypadkiem z<sup>3</sup>o¿yli siê na autostradzie przed pêdz<sup>1</sup>cym peter-bilem, by<sup>3</sup>oby to bolesne doœwiadczenie.

- Zaczekajmy, a¿ Shep bêdzie pewny, ¿e robi to dobrze. Tu kawa<sup>3</sup>ek z<sup>3</sup>otej sierœci, tam koniec



czarnego pyska, tam znowu ciekawskie oko: choć czas zdawa<sup>3</sup> się d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ła w nieskoń-czoność, ręce ch<sup>3</sup>opca porusza<sup>3</sup> się b<sup>3</sup>yskawicznie, zmierzaj<sup>3</sup>c do ostatecznego rozwi<sup>1</sup>zania.

- W porz<sup>1</sup>dku - odezwa<sup>3</sup> się starszy Shepherd po kilku mi-nutach.

- W porz<sup>1</sup>dku? Czyli mo<sup>3</sup>emy i<sup>3</sup>ę? - upewni<sup>3</sup> się Dylan. - W porz<sup>1</sup>dku. Mo<sup>3</sup>emy i<sup>3</sup>ę, ale nie mo<sup>3</sup>emy zostawi<sup>3</sup>. - Nie mo<sup>3</sup>emy zostawi<sup>3</sup>? - powtórzy<sup>3</sup> zdumiony Dylan. - Czego<sup>3</sup> - dokończy<sup>3</sup> Shep.

Pierwsza, co ciekawe, rozumia<sup>3</sup>a go Jilly.

- Mo<sup>3</sup>emy i<sup>3</sup>ę, ale nie mo<sup>3</sup>emy czego<sup>3</sup> zostawi<sup>3</sup>. Jeżeli nie b<sup>3</sup>dziemy mie<sup>3</sup> wszystkiego, co przynieśliemy, Shep nie b<sup>3</sup>dzie nas móg<sup>3</sup> z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ła z przesz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci. Zostawi<sup>3</sup>am w kuchni torebk<sup>3</sup> i laptop. Wycofali się z jadalni, opuszczaj<sup>3</sup>c p<sup>3</sup>acz<sup>3</sup>cego m<sup>3</sup>odsze<sup>3</sup>go Shepa z ostatnimi elementami uk<sup>3</sup>adanki w r<sup>3</sup>ekach.

Chocia<sup>3</sup> Dylan czu<sup>3</sup> kształt w<sup>3</sup>icznika, dotykaj<sup>3</sup>c go, wie-dzia<sup>3</sup>, że nie potrafi zapali<sup>3</sup> jarzeniówek w kuchni, tak jak nie potrafi<sup>3</sup> zatrzyma<sup>3</sup> kuli. W mroku kuchni nie widzia<sup>3</sup>, czy toreb-ka i laptop, które Jilly zostawi<sup>3</sup>a na stole, le<sup>3</sup> w takich samych atramentowych plamach, jakie przesuwa<sup>3</sup> się niczym cienie ich stóp i rozlewa<sup>3</sup> na wszystkich przedmiotach z przesz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci, któ-rych usi<sup>3</sup>owali dotkn<sup>1</sup>ę, ale przypuszcza<sup>3</sup>, że wszystko z ich cza-sów znaczy swój c<sup>3</sup>lad czarnymi ka<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ami.

Zarzucaj<sup>3</sup>c na rami<sup>3</sup> torebk<sup>3</sup> i chwytaj<sup>3</sup>c laptop, Jilly powie-dzia<sup>3</sup>a:

- Mam. Mo<sup>3</sup>emy i<sup>3</sup>ę.

Gdy otworzy<sup>3</sup> się drzwi kuchenne, obróci<sup>3</sup>a się na pi<sup>3</sup>ecie, jak gdyby by<sup>3</sup>a przekonana, że ujrzy nabuzowanych steroidami osi<sup>3</sup>ków, lubuj<sup>1</sup>cych się w wywa<sup>3</sup>aniu drzwi i t<sup>3</sup>uczeniu okien, którzy z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yli się do Kalifornii prosto z Holbrook w stanie Ari-zona i cofn<sup>3</sup>li się na dodatek w czasie.

Dylan nie zdziwi<sup>3</sup> się, widz<sup>3</sup>c na progu drzwi m<sup>3</sup>odsze<sup>3</sup>go siebie. Dwunastego lutego tyśi<sup>3</sup>c dziewię<sup>3</sup>set dziewię<sup>3</sup>dziesiątego drugiego roku mia<sup>3</sup> wieczorne zaj<sup>3</sup>ęcia na Uniwersytecie Kalifornii w Santa Barbara. Do szko<sup>3</sup>y i z powrotem podwozi<sup>3</sup> go ko-lega, który nieca<sup>3</sup>e dwie minuty temu wysadzi<sup>3</sup> go na końcu d<sup>3</sup>ugiego podjazdu.

Dylan zdumia<sup>3</sup> się jednak, widz<sup>3</sup>c, jak nied<sup>3</sup>ugo po morder-stwie wróci<sup>3</sup> do domu. Zerkn<sup>13</sup> na zegarek, a potem spojrz<sup>3</sup>a na cyferblat w brzuchu ceramicznej c<sup>3</sup>winki. Gdyby tamtego luto-wego wieczoru zjawi<sup>3</sup> się w domu pi<sup>3</sup>ę minut wcześniej, spotka<sup>3</sup>-by wychodz<sup>3</sup>cego Lincolna Proctora. Gdyby zjawi<sup>3</sup> się szesna-cie minut wcześniej, by<sup>3</sup> mo<sup>3</sup>ę zosta<sup>3</sup>by zastrzelony - ale niewykluczone, że móg<sup>3</sup>by zapobiec morderstwu matki. Szesna-cie minut.

Nie chcia<sup>3</sup> myśle<sup>3</sup> o tym, co mog<sup>3</sup>oby się sta<sup>3</sup>. Nie mia<sup>3</sup> od-wagi.

Dziewiętnastoletni Dylan O'Conner zamkn<sup>13</sup> za sob<sup>1</sup> drzwi i nie zapalaj<sup>3</sup>c c<sup>3</sup>wiat<sup>3</sup>a, przeszed<sup>3</sup> przez zaskocz<sup>1</sup> Jilly Jack-son. Po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> na stole par<sup>3</sup> ksi<sup>1</sup>ęk i skierowa<sup>3</sup> się do jadalni.

- Z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas st<sup>1</sup>d, Shep - powiedzia<sup>3</sup> Dylan.

W jadalni m<sup>3</sup>odszy Dylan rzek<sup>3</sup> do m<sup>3</sup>odsze<sup>3</sup>go Shepherd: - Cze<sup>3</sup>ę, bracie, poznaj<sup>3</sup>ę po zapachu, że dzisiaj ciasto.

- Z<sup>3</sup>ó<sup>3</sup> nas do domu, Shep. Do naszych czasów. Drugi Dylan w pokoju obok zapyta<sup>3</sup>:

- P<sup>3</sup>aczysz? Hej, co jest, bracie?

Gdyby us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> własny przepe<sup>3</sup>niony bólem krzyk, jaki wy-dal na widok cia<sup>3</sup>a matki, mog<sup>3</sup>oby to przepe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>ę miar<sup>3</sup>.

- Shep, zabierz nas st<sup>1</sup>d, do diabła.

Ciemna kuchnia z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a się i oddali<sup>3</sup>a. Wokó<sup>3</sup> nich zacz<sup>3</sup>ęo się sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> nowe jasno o<sup>3</sup>świetlone miejsce. Zdjęty paranoicz-nym l<sup>3</sup>kiem, Dylan zastanawia<sup>3</sup> się, czy fantastyczna sztuczka Shepherd'a ogranicza się tylko do podró<sup>3</sup>owania w czasie i prze-strzeni, czy mo<sup>3</sup>ę obejmuje wymiary nieznanne dla 3<sup>3</sup>wych. By<sup>3</sup> mo<sup>3</sup>ę pope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> b<sup>3</sup>id, mówi<sup>3</sup>c „do diabła” na chwil<sup>3</sup>ę przed opusz-czeniem roku tyśi<sup>3</sup>c dziewię<sup>3</sup>set dziewię<sup>3</sup>dziesiątego drugiego.

3 6 Kalejdoskop się zakr<sup>3</sup>ęci<sup>3</sup>. Ciemno<sup>3</sup>ę znik-n<sup>3</sup>ęa, a w jej miejscu wokó<sup>3</sup> Jilly z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a się zalana s<sup>3</sup>ońcem kuch-nia i ka<sup>3</sup>dy detal wskoczy<sup>3</sup> na swoje miejsce.

Nie pachnia<sup>3</sup>o o<sup>3</sup>wie<sup>3</sup>o upieczonym ciastem. Pod nogami nie po<sup>3</sup>yskiwa<sup>3</sup>y czarne ka<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ę energii.

Uoemiechni<sup>3</sup>ta ceramiczna c<sup>3</sup>winka na cecianie podtrzymywa<sup>3</sup>a raciczkami tarcz<sup>3</sup>ę zegara, która pokazywa<sup>3</sup>a godzin<sup>3</sup> 1.20, dwadzie-cia cztery minuty po tym, jak z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yli się z obl<sup>3</sup>ęonego po-koju motelowego w Arizonie. W tera<sup>3</sup>niejszo<sup>3</sup>eci up<sup>3</sup>yn<sup>3</sup>ęo więc dok<sup>3</sup>adnie tyle czasu, ile sp<sup>3</sup>ędzili w

przeszłości.

W powietrzu za nimi nie wisiała żadna brama, przez którą mogliby zajrzeć do ciemnej kuchni sprzed dziesięciu lat, nie wi-dać też było wejścia do oświetlistego tunelu. Jilly odnosiła wrażenie, że tunel był po prostu technik, z której Shepherd nie musiał już korzystać, doświadczenie prymitywnie w porównaniu z obecnymi metodami, dzięki której mógł przemieszczać się z miejsca na miejsce bez potrzeby stosowania urządzeń z pomocą punktem wyjścia.

Będzie pod wrażeniem własnej pewności siebie, jakby wsiadł z tak pospolitego środka transportu jak winda, Jilly postawiła laptop na kuchennym stole.

- Nie zmieniłeś tu zbyt wiele, prawda? Kuchnia wygląda tak samo.

Dylan uciszył ją i przekrzywił głowę, pilnie nasłuchując. Dom toniał w ciszy, dopóki nie wyczuł się agregat lodówki. - Co jest? - spytała Jilly.

- Będzie musiał wszystko wytłumaczyć Vonetcie. To nasza gospoś. Przed garażem stoi jej harley.

Wyglądaj przez okno, Jilly zobaczyła garaż na końcu podwórka, ale nie zauważyła żadnego motocykla.

- Jaki harley?

- Tam. - Dylan odwrócił się, pokazując przez okno miejsce, w którym nie było harleya. - Aha. Musiała pewnie pojechać po coś do sklepu. Może uda się nam stąd zniknąć, zanim wróci.

Shepherd otworzył lodówkę. Był może szukał ciasta na pociechę.

Wciąż rozmyślał nad swoją podróżą w przeszłość, nie przejmując się gospoś, Jilly powiedziała:

- Kiedy wrogowie, kimkolwiek są, osaczali Proctora, on tropił ciebie i Shepa.

- Wczoraj wieczorem, gdy byłem przywiązany do krzesła, mówił mi, że gryzł go wyrzuty sumienia - tak bardzo, że czuje się pusty, ale wtedy wydawało mi się to zupełnie bez sensu.

- Moim zdaniem ta kanalia zawsze była pusta w środku - odparła Jilly. - Od początku, pewnie od kołyski.

- Głównie prawda z tymi wyrzutami sumienia. Facet odstawia swój numer z samokrytyką tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Przepraszam, Jilly.

- Nic się nie stało. Po tym, co przeszliśmy, masz pełne prawo nie używać słowa „kupka”.

Prawie go rozczemiszła, ale wciąż odczuwał bolesne wspomnienia z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego spowodowały, że Dylan ledwie się ucieszył.

- Nie o to mi chodzi. Przepraszam, że wplątałem się w tę ka-bałę przez mnie. Przeze mnie i przez Shepa.

- Proctor miał po prostu za dużo o jedną dawkę swojego piekielnego eliksiru i potrzebował kogoś, żeby mu ją wpakował. I wtedy napatoczyłem się na niego, bo zachciało mi się piwa korzennego.

Stojąc przed otwartą lodówką, Shepherd powiedział: - Zimno.

- Ale Proctora by tam nie było - zauważyła Jilly - gdyby nie było Shepa i mnie.

- Tak, a mnie by tam nie było, gdybym przez całe swoje względnie krótkie, tak zwane dorosłe życie nie próbowała zostać solistką od opowiadania dowcipów i gdybym sobie nie wmówiła, że to nie tylko sensowne życie, ale też jedyne możliwe. Do diabła, nie muszę się już martwić, że mi tyłek urośnie, bo już dałam... ciastka. Nie odstawiaj więc własnego numeru z samokrytyką. Stało się, co się stało, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, i chociaż nanoboty budują nam już pewnie w czaszkach Nowe Jeruzalem, chyba lepiej, że - przynajmniej na razie - żyjemy, niż gdybyśmy mieli nie żyć. Co teraz?

- Teraz pakujemy się, i to szybko. Wezmę trochę ubrań dla Shepa i siebie, trochę pieniędzy, które trzymam w kasetce na górze, no i broń.

- Masz broń?

- Kupię po tym, co się stało z matką. Mordercy nie zżalają. Myślałem, że może wrócić.

- Wiesz, jak się obchodzić z bronią?

- Annie Oakley to ja nie jestem - odparł. - Ale potrafię wy-celować i nacisnąć spust, gdyby było trzeba.

Jej mina wyrażała powątpiewanie.

- Może powinniśmy kupić kij baseballowy. - Zimno - powiedziała Shepherd.

- No to ubranie, pieniądze, broń, a potem w drogę - rzekł Dylan.

- S<sup>1</sup>dzisz, <sup>2</sup>ci go<sup>2</sup>ecie, którzy namierzili nas w motelu w Holbrook, mog<sup>1</sup> si<sup>2</sup>e tu pokaza<sup>2</sup>e?  
Skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Je<sup>2</sup>eli maj<sup>1</sup> jakie<sup>2</sup>e powi<sup>1</sup>zania z policj<sup>1</sup> czy innymi s<sup>3</sup>u<sup>2</sup>ba-mi o zasi<sup>2</sup>egu ogólnokrajowym - tak, w końcu tu trafi<sup>1</sup>.

- Nie mo<sup>2</sup>emy ci<sup>1</sup>gle si<sup>2</sup>e sk<sup>3</sup>ada<sup>2</sup>e - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - To zbyt osobliwe, niepewne, nieprzewidywalne. Shep mo<sup>2</sup>e si<sup>2</sup>e zm<sup>2</sup>e-czy<sup>2</sup>e i gdzie<sup>2</sup>e w końcu utkniemy - albo jeszcze gorzej.

- W gara<sup>2</sup>u mam chevroleta. - Zimno.

Jilly pokr<sup>2</sup>eci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Pewnie wiedz<sup>1</sup>, <sup>2</sup>ci masz chevroleta. Przyjd<sup>1</sup> tu, zobacz<sup>1</sup>, <sup>2</sup>ci auta nie ma i zaczn<sup>1</sup> go szuka<sup>2</sup>e.

- Zimno.

- Mo<sup>2</sup>e zdejmujemy tablice - zaproponowa<sup>3</sup> Dylan - i ukrad-niemy z innego samochodu.

- Jeste<sup>2</sup>e ju<sup>2</sup> do<sup>2</sup>eciwdczonym uciekinierem, co? - Chyba powinienem si<sup>2</sup>e nauczy<sup>2</sup>e.

Zagl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c do otwartej lod<sup>2</sup>owki, Shep powiedzia<sup>3</sup>: - Zimno.

Dylan podszed<sup>3</sup> do niego. - Czego szukasz, bracie? - Ciasto.

- Nie mamy tu <sup>2</sup>adnego ciasta. - Ciasto.

- Skończy<sup>3</sup>o si<sup>2</sup>e nam ciasto. - Nie ma ciasta?

- Nie ma ciasta. - Zimno.

Dylan zamkn<sup>13</sup> drzwi lod<sup>2</sup>owki. - Dalej zimno?

- Lepiej - powiedzia<sup>3</sup> Shep.

- Mam z<sup>2</sup>e przecucie - odezwa<sup>3</sup>a si<sup>2</sup>e Jilly, cho<sup>2</sup>e jej niepok<sup>2</sup>ój nie mia<sup>3</sup> konkretnego powodu.

- Co<sup>2</sup>e nie tak? - zapyta<sup>3</sup> Dylan.

- Nie wiem. - U<sup>2</sup>emiech ceramicznej <sup>2</sup>ewinki wydawa<sup>3</sup> si<sup>2</sup>e te-raz szelmowski. - Mam po prostu... nie najlepsze przecucie.

- Najpierw kasetka. Nawet z tym, co mia<sup>3</sup>em w kopercie z przyborami do golenia, nie mamy za du<sup>2</sup>o pieni<sup>2</sup>dy.

- Lepiej trzymajmy si<sup>2</sup>e razem - rzek<sup>3</sup>a Jilly. - Blisko.

- Zimno. - Shepherd zn<sup>2</sup>ow otworzy<sup>3</sup> lod<sup>2</sup>owk<sup>2</sup>e. - Zimno. - Bracie, tam nie ma ciasta.

P<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>c w zwolnionym tempie jakie<sup>2</sup>e sze<sup>2</sup>e<sup>2</sup>e czy osiem cali od twarzy Jilly, bez <sup>2</sup>adnego huku czy trzasku, pojawi<sup>3</sup> si<sup>2</sup>e nagle postrz<sup>2</sup>epiony i ostry od<sup>3</sup>amek szk<sup>3</sup>a wielko<sup>2</sup>eci d<sup>3</sup>oni, sun<sup>13</sup> obok niej majestatycznie jak g<sup>2</sup>ora lodowa po g<sup>3</sup>adkiej tafli morza.

- Zimno.

- Potem dostaniesz ciasto, bracie.

Pó<sup>2</sup>yniej zobaczy<sup>3</sup>a co<sup>2</sup>e jeszcze, co porusza<sup>3</sup>o si<sup>2</sup>e kilka cali przed drwi<sup>1</sup>cym z prawa grawitacji kawa<sup>3</sup>kiem szk<sup>3</sup>a - znacznie mniejszy i ciemniejszy przedmiot: pocisk. Przecinaj<sup>1</sup>c wolno po-wietrze i lec<sup>1</sup>c w g<sup>3</sup>b kuchni, kula obraca<sup>3</sup>a si<sup>2</sup>e leniwie.

- Zamknij lod<sup>2</sup>owk<sup>2</sup>e, Shep. Nie ma tam ciasta.

Je<sup>2</sup>eli pocisk porusza<sup>3</sup> si<sup>2</sup>e w zwolnionym tempie, to szk<sup>3</sup>o p<sup>3</sup>yn<sup>2</sup>e<sup>3</sup>o za nim w superzwolnionym tempie. Za pierwszym od<sup>3</sup>amkiem pokaza<sup>3</sup>y si<sup>2</sup>e nast<sup>2</sup>e<sup>2</sup>pne b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ce odpryski i okruchy, sun<sup>2</sup>e<sup>3</sup>y w powietrzu wolno i swobodnie. - Zimno - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - Zimno nam.

Jilly zorientowa<sup>3</sup>a si<sup>2</sup>e, <sup>2</sup>ci szk<sup>3</sup>o i kula s<sup>1</sup> równie rzeczywiste, jak czerwone <sup>2</sup>ewiece wotywnie na pustyni i <sup>3</sup>awice bia<sup>3</sup>ych pta-ków. Nie by<sup>3</sup> to obraz tera<sup>2</sup>yniejszej katastrofy, ale wizja zdarze-nia, które mia<sup>3</sup>o dopiero nadej<sup>2</sup>e<sup>2</sup>e.

- Tobie jest zimno, mnie nie - powiedzia<sup>3</sup> do Shepherd a Dylan.

Jilly wyczuwa<sup>3</sup>a, <sup>2</sup>ci te prorocze wizje nie maj<sup>1</sup> zwi<sup>1</sup>zku z po-przednimi. Kawa<sup>3</sup>ki szk<sup>3</sup>a nie pochodzi<sup>3</sup>y z okien ko<sup>2</sup>ecio<sup>3</sup>a, wi<sup>2</sup>ec kula mia<sup>3</sup>a wybia<sup>2</sup>e szyb<sup>2</sup>e w jakim<sup>2</sup>e innym miejscu.

- Zimno nam. Wszyscy w zimnie - upiera<sup>3</sup> si<sup>2</sup>e Shep. Odwracaj<sup>1</sup>c si<sup>2</sup>e do braci, Jilly zobaczy<sup>3</sup>a po swojej lewej stro-nie jeszcze wi<sup>2</sup>ec<sup>2</sup>e kawa<sup>3</sup>ków szyb - bo chyba to by<sup>3</sup>o szk<sup>3</sup>o - twor<sup>3</sup>yc<sup>1</sup>ych prawdziw<sup>1</sup> galaktyk<sup>2</sup>e po<sup>3</sup>yskliwych odprysków i wi<sup>2</sup>ekszych trójk<sup>1</sup>tnych od<sup>3</sup>amków, które obraca<sup>3</sup>y si<sup>2</sup>e wolno w powietrzu.

- Zimno nam, wszyscy w zimnie.

Spogl<sup>1</sup>daj<sup>c</sup> przez rozsypan<sup>1</sup> uk<sup>3</sup>adankê ze szk<sup>3</sup>a, Jilly zo-baczy<sup>3</sup>a, jak Shepherd odsuwa siê od lodówki, pozwalaj<sup>c</sup> Dy-lanowi ponownie zamkn<sup>1</sup>æ drzwi. Bracia poruszali siê z normal-n<sup>1</sup> prêdkoeci<sup>1</sup>.

Szalony <sup>3</sup>omot jej serca wskazywa<sup>3</sup>, ¿e ona tak¿e nie zsyn-chronizowa<sup>3</sup>a siê z szybkoeci<sup>1</sup> poruszaj<sup>1</sup>cych siê w zwolnionym tempie kawa<sup>3</sup>ków szk<sup>3</sup>a. Siêgnê<sup>3</sup>a po przep<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>cy w pobli¿u fragment szyby, ale okaza<sup>3</sup> siê niematerialny. Od<sup>3</sup>amek przep<sup>3</sup>y-n<sup>13</sup> wolno miêdzy jej palcami, nie kalecz<sup>c</sup> jej.

Próba kontaktu z wizj<sup>1</sup> spowodowa<sup>3</sup>a, ¿e czar prysn<sup>13</sup>, a szk<sup>3</sup>o uniknê<sup>3</sup>o jak flotylla statków-widm, rzeczywistych na pierwszy rzut oka, które z podniesionymi ¿aglami szukaj<sup>1</sup> wia-tru, a po chwili rozp<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup> siê w oparach mg<sup>3</sup>y.

Jilly odwróci<sup>3</sup>a siê do okien wychodz<sup>1</sup>cych na podwórko i zobaczy<sup>3</sup>a, ¿e szyby pozosta<sup>3</sup>y nietkniête. Widz<sup>c</sup>, ¿e Jilly jest rozkojarzona tak samo, jak podczas po-przednich przypadków jasnowidzenia, Dylan rzek<sup>3</sup>:

- Hej, dobrze siê czujesz?

Najprawdopodobniej zobaczy<sup>3</sup>a inne okna. Od ubieg<sup>3</sup>ego wie-czoru mia<sup>3</sup>a wizje rzezi w koœciele, do której jeszcze nie dosz<sup>3</sup>o. Nie mia<sup>3</sup>a ¿adnego powodu podejrzewaæ, ¿e kolejna krwawa sce-na rozegra siê tu, a nie gdzie indziej, i raczej prêdzej ni¿ póŸniej. Dylan zbli¿y<sup>3</sup> siê do niej.

- Coœ nie tak?

- Nie jestem pewna.

Zerknê<sup>3</sup>a na zegar, na z<sup>3</sup>oœeliwie wyszczerzon<sup>1</sup> œewinkê. Wiedzia<sup>3</sup>a, ¿e ucœmiech w ogóle siê nie zmieni<sup>3</sup>. Ryjek trwa<sup>3</sup> znieruchomia<sup>3</sup>y w tym samym wyrazie pod ceramicznym szkli-wem. Ucœmiech pozosta<sup>3</sup> tak samo dobroduszny jak wtedy, gdy zobaczy<sup>3</sup>a go pierwszy raz, nieca<sup>3</sup>e pó<sup>3</sup> godziny temu, w kuchni sprzed dziesiêciu lat. Jednak œewinka i zegar kipia<sup>3</sup>y wrêcz z<sup>3</sup>o-wrog<sup>1</sup> energi<sup>1</sup>.

- Jilly?

W<sup>3</sup>œœiwiê nie tylko œewinka, lecz ca<sup>3</sup>a kuchnia zdawa<sup>3</sup>a siê o¿ywaæ od z<sup>3</sup>a, jak gdyby nawiedzi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> mroczny duch, który nie potrafi<sup>3</sup> objawiaæ siê w tradycyjnej ektoplazmatycznej postaci i zamieszka<sup>3</sup> w meblach i powierzchniach w samym pomieszcze-niu. Ka¿da krawêdŸ blatu loeni<sup>3</sup>a groŸnie jak ostra brzytwa.

Shepherd ponownie otworzy<sup>3</sup> drzwi lodówki i zagl<sup>1</sup>daj<sup>c</sup> do œerodka, powiedzia<sup>3</sup>:

- Zimno. Wszyscy w zimnie.

Czarne szk<sup>3</sup>o drzwiczek piekarnika patrzy<sup>3</sup>o, patrzy<sup>3</sup>o spod przymkniêtych powiek jak oczy. Ciemne butelki w stojaku na wino wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y jak nape<sup>3</sup>nio-ne koktajlem Mo<sup>3</sup>otowa.

Czuj<sup>c</sup>, jak lodowaty dreszcz przebiega jej po plecach i ca<sup>3</sup>e cia<sup>3</sup>o pokrywa siê gêsi<sup>1</sup> skórk<sup>1</sup>, wyobrazi<sup>3</sup>a sobie stalowe zêby zgrzytaj<sup>1</sup>ce bezg<sup>3</sup>oœenie w gardzieli m<sup>3</sup>ynka do rozdrabniania od-padków.

Nie. To absurd. ̄aden duch nie zamieszka<sup>3</sup> w kuchni. Nie potrzebowali egzorcysty.

Jej zaniepokojenie - a w<sup>3</sup>œœiwiê przecucie œmierci - ros<sup>3</sup>o z ka¿d<sup>1</sup> chwil<sup>1</sup> i by<sup>3</sup>o tak dojmuj<sup>1</sup>ce, ¿e musia<sup>3</sup>a za wszelk<sup>1</sup> ce-nê odkryæ jego powód. Swój strach przenios<sup>3</sup>a zabobonnie na martwe przedmioty - œewinkê z zegarem, drzwiczki piekarnika, zêby w zlewie - gdy tymczasem prawdziwe zagro¿enie czai<sup>3</sup>o siê gdzie indziej.

- Zimno, wszyscy w zimnie - powtórzy<sup>3</sup> Shep, stoj<sup>c</sup> przed otwart<sup>1</sup> lodówk<sup>1</sup>.

Tym razem Jilly zrozumia<sup>3</sup>a jego s<sup>3</sup>owa inaczej ni¿ przed-tem. Przypomnia<sup>3</sup>a sobie talent Shepherd'a do wynajdywania synonimów i zda<sup>3</sup>a sobie sprawê, ¿e „wszyscy w zimnie" mog<sup>1</sup> oznaczaæ „wszyscy zimni", czyli „wszyscy martwi". W zimnie jak zw<sup>3</sup>oki. Zimni jak w grobie. Zimni i martwi.

- Zabierajmy siê st<sup>1</sup>d, jak najprêdzej - powiedzia<sup>3</sup>a zdecydowanie.

- Muszê wzi<sup>1</sup>æ pieni<sup>1</sup>dze z kasetki - zaprotestowa<sup>3</sup> Dylan. - Daj spokój z pieniêdźmi. Mo¿emy umrzeæ przez te pieni<sup>1</sup>dze. - Zobaczy<sup>3</sup>æ to?

- Ja to wiem.

- Dobra, w porz<sup>1</sup>dku.

- Szybko, sk<sup>3</sup>adajmy siê st<sup>1</sup>d.

- Zimno, wszyscy w zimnie - powiedzia<sup>3</sup> Shep.

znaczące spojrzenie. Zapomnij o tym cholernym zegarze. Ewinka nie stanowi zagrożenia. Skup się. Dylan wróci do brata, trzeci raz zamknie lodówkę i pociągnie Shepa w stronę Jilly.

- Musimy iść, bracie.

- Gdzie jest lód? - zapytał Shep. Jilly nie widział, aby wcześniej był tak bardzo odważny jak wcześniej. - Gdzie jest lód? - Jaki lód? - spytał Dylan.

Jasnowidzenie wciąż było dla Jilly czymś nowym, strasznym i niechcianym, poza tym nie potrafił nim odpowiednio kierować. - Gdzie jest lód? - powtarzał z uporem Shepherd.

- Nie trzeba nam żadnego lodu - rzekł Dylan. - Bracie, zachęcaj mnie powoli przerażać. Nie strasz mnie.

- Gdzie jest lód?

- Shep, skup się. Słuchaj mnie, zrozum, skup się.

Usiłując zidentyfikować źródło niepokoju, przesłuchiwał podejrzliwym spojrzeniem z przedmiotu na przedmiot, z miejsca na miejsce, nie pozwalając, by niepokój sam skierował magię jej intuicji we właściwą stronę. Musiał się odprężyć, zaufać dziwnemu przecuciu i przekonać się, czego dokładnie ma się bać.

- Gdzie jest lód?

- Daj spokój z tym lodem. Nie potrzeba nam lodu, bracie. Musimy się stąd wydostać, rozumiesz?

- Tylko lód.

W końcu uwagę Jilly przyciągnęły okna i widoczne za nimi podwórko. Zielona trawa, garaż w głębi, złota siatka za garażem. - Tylko lód.

- Dostał manii na punkcie tego lodu - zauważył Dylan. - Więc go z niej wyciągnij.

- Tylko lód - mówił Shep. - Gdzie jest lód?

- Znasz już Shepa. Jeżeli się czegoś uczepli, nie da się odciągnąć, chyba że sam tego chce. Jakby... całe życie odbijało mu się rykoszetem w głowie. Tym razem jest gorzej niż zwykle.

- Skarbie - powiedział Jilly, nie odrywając oczu od okien. - Musimy się zorientować. Potem dostaniesz lód.

- Gdzie jest lód?

Dylan ujął podbródek brata i uniósł mu głowę.

- Shep, to bardzo ważna sprawa, zasadnicza. Rozumiesz, co to znaczy „zasadnicza”? Wiem, że rozumiesz, bracie. Musimy się zorientować, to teraz najważniejsze.

- Gdzie jest lód?

Zerkając na Shepherdę, Jilly zobaczył, że nie chce nawiązać kontaktu z bratem. Jego oczy poruszały się bez przerwy pod przymkniętymi powiekami.

Gdy Jilly ponownie popatrzył na podwórko, obok północno-zachodniego narożnika garażu klęczał na jednym kolanie jaśniejący mężczyzna. Krył się w cieniu. Miał brakować, by go nie zauważył, ale głowę by dał, że jeszcze przed chwilą go tam nie było.

Z wysokich traw spadł następny i przebiegł skulony do południowo-zachodniego narożnika garażu.

- Już tu są - powiedział Jilly do Dylana.

Wądem z nich nie miał na sobie pastelowego stroju typowego dla turystów na pustyni, ale obaj przypominali pseudogolfistów z Arizony. Byli wysocy, barczyci i zdecydowani, i z pewnością nie chodzili od domu do domu, głośno zbawienie przez Chrystusa.

- Gdzie jest lód?

Jilly największą zgrozą przeżył widok słuchawek, jakie obaj mieli na głowie. Każda para była wyposażona w wysięgnik z mikrofonem wielkości monety jednocentowej. Wysoki stopień koordynacji świadczył o tym, że grupa szturmowa składała się

z większej liczby osób, a także o tym, że nie byli to zwykli brutalni bandyci do wynajęcia, ale bandyci o rozwiniętym zmyśle organizacyjnym.

- Gdzie jest lód?

Drugi mężczyzna osłaniał teren między siatką a garażem. Przycisnął się przy południowo-zachodnim narożniku, na pół schowany za krzewem.

Jilly spodziewał się, że będą dobrze uzbrojeni, więc ich rynsztunek nie przeraził jej aż tak jak

s³uchawki. Mieli broń ogromnych rozmiarów. O futurystycznym wygl¹dzie. Pewnie jakieœ karabiny szturmowe. Jilly nie zna³a siê za dobrze na bro-ni palnej - w swoim zawodzie nie musia³a, nawet gdy trafi³a siê jej wyj¹tkowo niesforna publicznoœæ - ale domyœla³a siê, ¿e z tych karabinów mo¿na wystrzeliæ tyœi¹ce pocisków, zanim trzeba je bêdzie prze³adowaæ.

- Gdzie jest lód?

Musieli z Dylanem zyskaæ na czasie, dopóki nie uda siê im przekonaæ Shepherdá, ¿e musi z³o¿yæ wszystkich troje do ja-kiegoœ miejsca, gdzie mo¿na dostaæ ciasto i lód, i ¿e to jedyny sposób.

- Odsuñcie siê od okien - ostrzeg³a Jilly, cofaj¹c siê od tych, które wychodzi³y na podwórko. - Okna to... okna to œmieræ.

- W ka¿dym pokoju s¹ okna. - Dylan siê zmartwi³. - Mnó-stwo okien.

- A piwnica?

- Nie ma piwnicy. To Kalifornia. Konstrukcja jest z p³yt.

- Gdzie jest lód? - pyta³ Shep.

- Wiedz¹, ¿e tu jesteœmy - powiedzia³a Jilly.

- Sk¹d mog¹ wiedzieæ? Przecie¿ nie weszliœmy od zewn¹trz.

- Mo¿e wczesniej za³o¿yli w domu pods³uch - zasugerowa³a. - Albo zobaczyli nas przez lornetkê, obserwuj¹c okna.

- Wys³ali Vonettê do domu - zorientowa³ siê Dylan.

- Miejmy nadziejà, ¿e nic jej nie zrobili.

- Gdzie jest lód?

Na myœl o tym, ¿e coœ mog³o siê staæ jego gosposi, Dylan zblad³ niczym p³ótno, jak gdyby bardziej siê tym przej¹s ni¿ gro-¿¹cym mu œmiertelnym niebezpieczeñstwem.

- Ale z³o¿yliœmy siê z Holbrook dopiero p³³ godziny temu. - Co z tego?

- Przypuszczalnie cholernie wystraszyliœmy w motelu tego goœcia, który widzia³, jak znikamy.

- Pewnie musia³ zmieniaæ bieliznê - doda³a Jilly.

- Jak wiêc mogli w ci¹gu p³³ godziny rozpracowaæ mecha-nizm sk³adania, nie mówi¹c o powiadomieniu ludzi w Kalifornii? - Ci ludzie nie zjawili siê tu dlatego, ¿e p³³ godziny temu zostali zawiadomieni.

Obserwowali dom, ale nie wiedzieli, gdzie jesteœmy, a¿ banda z Arizony potwierdzi³a, ¿e znajdujemy siê w Holbrook, wiele godzin przed ich wejœciem do motelu.

- Czyli wczoraj wieczorem doœæ szybko skojarzyli ciê ze spa-lonym cadillakiem i mnie z tob¹ - rzek³ Dylan. - Ca³y czas wy-przedzaliœmy ich zaledwie o parê godzin.

- Nie wiedzieli, czy w ogóle siê tu zjawimy. Po prostu czeka-li w nadziei, ¿e a nu¿...

- Nikt nie prowadzi³ obserwacji domu rano, kiedy z³o¿yli-œmy siê z Shepem na wzgórze.

- Musieli zaj¹æ stanowiska wkrótce potem.

- Lód - powiedzia³ Shep. - Lód, lód, lód, lód.

Facet klêcz¹cy w cieniu i ten drugi, na wp³³ schowany za krzewem, mówili do mikrofonów, ale zapewne nie rozmawiali ze sob¹, tylko gawêdzili z grup¹ podobnych zabójców otaczaj¹cych dom ciasnym pierœcieniem, wymieniaj¹c siê wskazówkami na temat konserwacji broni, technik duszenia i przepisami na gazy neurotoksyczne, synchronizuj¹c zegarki i koordynuj¹c atak.

Jilly by³a gotowa utoczyæ lodu z w³asných ¿y³, gdyby Shep sobie tego ¿yczy³. Czu³a siê zupe³nie bezbronna. Czu³a siê naga. Naga w rêkach losu.

- Lód, lód, lód, lód, lód.

Oczyrna duszy ogl¹da³a p³yn¹ce wolno od³amki szk³a i po-cisk sun¹cy w powietrzu.

- Ale teraz ta grupa na pewno porozumia³a siê z tamtymi z Arizony, za³o¿ê siê o wszystko - powiedzia³a Jilly. - Rozma-wiali z nimi w ci¹gu ostatnich piêtnastu czy dwudziestu minut, wiedz¹ wiêc, ¿e umiemy odstawiaæ numer „tutam”.

Myœli Dylana pêdzi³y w równie zawrotnym tempie.

- Mo¿e któræ z dawniejszych ofiar eksperymentów Proc-tora te¿ umia³a dokonaæ tej sztuczki i widzieli ju¿ sk³adanie. - I trzê¹ portkami na myœl o biegaj¹cych po œwiecie spry-ciarzach, napompowanych nanobotami i obdarzonych niezwy-k³ymi zdolnoœciami.

- Trudno mieæ im to za z³e. Sam trzêê portkami - odrzek³ Dylan - mimo ¿e tymi spryciarzami jesteœmy

my.

- Lód, lód, lód.

- Czyli zaatakuj<sup>1</sup> szybko i wysadz<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>y dom w powietrze,

¿eby nas zabiać, zanim się zorientujemy, ¿e tu s<sup>1</sup> i zd<sup>1</sup>¿y my się z<sup>3</sup>o¿yæ - zauwa¿y<sup>3</sup>a Jilly.

- Tak s<sup>1</sup>dzisz czy wiesz? Wiedzia<sup>3</sup>a, czu<sup>3</sup>a to, widzia<sup>3</sup>a.

- Maj<sup>1</sup> pociski przeciwpancerne, które przebij<sup>1</sup> œciany, ka-mieñ, ka¿dy cholerny materia<sup>3</sup>.

- Lód, lód, lód.

- Maj<sup>1</sup> jeszcze coe gorszego od pocisków przeciwpancer-nych - ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a. - O wiele gorszego. Coe w rodzaju... pocisków rozpryskowych, które rozrzucaj<sup>1</sup> od<sup>3</sup>amki pokryte cyjankiem.

Nigdy nie czyta<sup>3</sup>a ani nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a o tak potwornej broni, ale dziêki nowym stworzonym przez nanoboty po<sup>3</sup>1czeniu w móz-gu przewidzia<sup>3</sup>a jej u¿ycie. Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a w g<sup>3</sup>owie czyjeœ g<sup>3</sup>osy, g<sup>3</sup>osy mê¿czyzn rozmawiaj<sup>1</sup>cych o szczegó<sup>3</sup>ach ataku kiedyœ w przy-sz<sup>3</sup>oœci - mo¿e policjantów, którzy jeszcze dzie lub jutro bêd<sup>1</sup> przeszukiwaæ pozosta<sup>3</sup>e po domu ruiny, mo¿e samych morder-ców wspominaj<sup>1</sup>cych krwawe dzie<sup>3</sup>o zniszczenia, doskonale za-planowane i dokonane we wspania<sup>3</sup>ym stylu.

- Od<sup>3</sup>amki z cyjankiem i Bóg wie co jeszcze - ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a. Wstrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> ni<sup>1</sup> dreszcz. - W porównaniu z tym, co z nami zro-bi<sup>1</sup>, szturm na sektê Koresha bêdzie wygl<sup>1</sup>daæ jak niewinna chrzeœcijañska zabawa towarzyska.

- Lód, lód, lód.

Dylan zwróci<sup>3</sup> się zniecierpliwiony do Shepa.

- Otwórz oczy, bracie, wy<sup>3</sup>a¿ z tej jamy, zostaw ten lód, Shep. Shepherd nie otwiera<sup>3</sup> oczu.

- Shep, je¿eli chcesz jeszcze spróbowaæ ciasta, otwórz oczy.

- Lód, lód, lód.

- Na razie nie ma szans, ¿eby przyszed<sup>3</sup> do siebie - powie-dzia<sup>3</sup> Dylan do Jilly. - Zupe<sup>3</sup>nie się zatraci<sup>3</sup>.

- Na górê - odrzek<sup>3</sup>a krótko. - Na pewno nie bêdzie to pik-nik, ale na dole mo¿e nas por<sup>1</sup>baæ na plasterki.

Jeden z mê¿czyzn kryj<sup>1</sup>cych się pod gara¿em wyszed<sup>3</sup> z cie-nia, drugi wysun<sup>13</sup> się zza krzewu. Ruszyli w stronê domu. Zaczêli bieć.

## 38 - Na górê! - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly, a Dylan

doda<sup>3</sup>:

- Biegiem!

- Lód, lód, lód - powtarza<sup>3</sup> Shepherd, a Dylan przez jakieœ

dziwne po<sup>3</sup>1czenie w pamięci skojarzy<sup>3</sup> to sobie ze znanym z dawnych potańcówek przebojem „Hot, Hot, Hot” Bustera Po-indextera, co mog<sup>3</sup>oby się nawet wydawaæ zabawne w przyjem-niejszych okolicznoœciach, gdyby nie upiorna myœl, ¿e „Hot, Hot, Hot” bêdzie towarzyszyæ ich agonii.

Schody znajdowa<sup>3</sup>y się we frontowej czêœci domu, a z kuch-ni prowadzi<sup>3</sup>o dwoje drzwi: jedno do jadalni, drugie do koryta-rza na dole. Druga droga by<sup>3</sup>a bezpieczniejsza, nie bieg<sup>3</sup>a w po-bli¿u okien. Jilly nie zorientowa<sup>3</sup>a się, ¿e istnieje mo¿liwoœæ przejœcia przez korytarz, poniewa¿ drzwi by<sup>3</sup>y zamkniête. Prawdopodob-nie pomyœla<sup>3</sup>a, ¿e to spi¿arnia. Nim Dylan zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> skierowaæ j<sup>1</sup> w drug<sup>1</sup> stronê, wypad<sup>3</sup>a z kuchni prosto do jadalni.

Dylan ba<sup>3</sup> się wychodziæ na korytarz, bo przypuszcza<sup>3</sup>, ¿e Jilly mo¿e się odwróciæ, zobaczy, ¿e go nie ma i wróci tu ich po-szukaæ, a w ka¿dym razie na pewno przez chwilê się zawaha. Stracona sekunda mog<sup>3</sup>a oznaczaæ ró¿nicê miêdzy ¿yciem a œmierci<sup>1</sup>.

Ponagla<sup>1</sup>c, popychaj<sup>1</sup>c i niemal unosz<sup>1</sup>c brata w powietrze, Dylan popêdzi<sup>3</sup> go naprzód. Oczywiście Shep pow<sup>3</sup>óczy<sup>3</sup> noga-mi, ale szybciej ni¿ zwykle, wci<sup>1</sup>¿ marudz<sup>1</sup>c o lodzie, powtarzaj<sup>1</sup>c po trzy razy „lód, lód, lód”, z ka¿dym krokiem coraz bar-dziej niezadowolony, jakby czu<sup>3</sup> się dotkniêty, ¿e pêdz<sup>1</sup> go niczym niesform<sup>1</sup> owcê.

Zanim Dylan i Shep wyszli z kuchni, Jilly by<sup>3</sup>a ju¿ w salonie. Shepherd zatrzyma<sup>3</sup> się na moment w progu, lecz pozwoli<sup>3</sup> się pogoniaæ dalej.

Wchodz<sup>1</sup>c do jadalni, Dylan niemal spodziewa<sup>3</sup> się zobaczyæ dziesięcioletniego Shepa uk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>cego

obrazek ze szczeniaka-mi. Mimo że chcia<sup>3</sup> się uwolnić od koszmarne go wieczoru z przesz<sup>3</sup>oeci, chyba wola<sup>3</sup> go od tera<sup>3</sup>niejszoeci, która jeceli w ogóle <sup>3</sup>czy<sup>3</sup>a się z jak<sup>1</sup>kolwiek przysz<sup>3</sup>oeci<sup>1</sup>, to tylko kruchy-mi i niepewnymi mostami.

Shep protestowa<sup>3</sup> przeciwko uporczywemu poszturchiwaniu przez brata:

- Łód, nie, łód, nie, łód, nie... - a gdy przeszli przez jadalnię, chwyci<sup>3</sup> się obiema rękami futryny następnycy drzwi.

Zanim zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wzmocnić uchwyt, rozstawia nogi i zaklino-wa<sup>æ</sup> się w drzwiach, Dylan wepchn<sup>13</sup> go do salonu. Ch<sup>3</sup>opak po-tn<sup>13</sup> się i wyl<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup> na czworakach, co okaza<sup>3</sup>o się szczêceli-wym upadkiem, ponieważ w tej samej chwili uzbrojeni bandyci otworzyli ogień.

Ciszê rozdar<sup>3</sup> grzechot broni maszynowej, który wstrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> oknami w kuchni i jadalni - jeszcze g<sup>3</sup>oenniejszy niż w filmach, ciê<sup>1</sup>ki i ha<sup>3</sup>aceliwy jak ryk wiertarki udarowej wcinaj<sup>1</sup>cej się w twardey beton i wal<sup>1</sup>cej z szybkoeci<sup>1</sup> dziêcio<sup>3</sup>a. Odezwa<sup>3</sup>y się wiêcej niż dwa karabiny, mo<sup>1</sup>e trzy, mo<sup>1</sup>e cztery.

Gwa<sup>3</sup>townej kanonadzie towarzyszy<sup>3</sup> ni<sup>1</sup>szy, bardziej dudni<sup>1</sup>cy i wolniejszy huk, jakby karabinu wiêkszego kalibru, potê<sup>1</sup>niejszej broni, któ-rej si<sup>3</sup>a odrzutu mog<sup>3</sup>aby posadzi<sup>æ</sup> strzelca na ty<sup>3</sup>ku.

Gdy rozleg<sup>3</sup>y się pierwsze strza<sup>3</sup>y, Dylan rzuci<sup>3</sup> się na pod<sup>3</sup>o-gê salonu. Podci<sup>13</sup> Shepherdowi ręce i ch<sup>3</sup>opak rozci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> się jak d<sup>3</sup>ugi na klonowym parkiecie.

- Gdzie jest łód? - zapyta<sup>3</sup> Shepherd, jak gdyby zupe<sup>3</sup>nie nieocwiadomy gradu pocisków nieustannie bombarduj<sup>1</sup>cych dom.

Brzêknê<sup>3</sup>y t<sup>3</sup>uczone okna, zadzwoni<sup>3</sup>y kaskady szk<sup>3</sup>a, po czym kule zaczê<sup>3</sup>y od<sup>3</sup>upywa<sup>æ</sup> drzazgi z ram, prua<sup>æ</sup> tynk i dzwo-ni<sup>æ</sup> o rury w œcianach: ping-ping-ping.

Serce Dylana t<sup>3</sup>uk<sup>3</sup>o się jak u zaszcute go zaj<sup>1</sup>ca; rozumia<sup>3</sup>, co czuj<sup>1</sup> ma<sup>3</sup>e zwierzêta, gdy ich sielskie <sup>3</sup>ki pierwszego dnia sezonu <sup>3</sup>owieckiego zmieniaj<sup>1</sup> się w pola cemierci.

Ogień zdawa<sup>3</sup> się dochodzi<sup>æ</sup> tylko z dwóch stron. Ze wscho-du, gdzie znajdowa<sup>3</sup> się ty<sup>3</sup> domu. I z po<sup>3</sup>udnia.

Jeceli zabójcy otoczyli budynek ze wszystkich czterech stron - a Dylan by<sup>3</sup> pewien, że tak - ci od zachodu i p<sup>3</sup>nocy na razie pozostawali w ukryciu. Zbyt profesjonalnie podchodzili do za-dania, aby otworzyc<sup>æ</sup> krzy<sup>1</sup>owy ogień, od którego mogliby zgi-n<sup>1</sup>æ oni albo ich kompani.

- Czo<sup>3</sup>gaj się ze mn<sup>1</sup>, Shep. - Dylan podniós<sup>3</sup> glos, by prze-krzyczyc<sup>æ</sup> kakofoniê. - Czo<sup>3</sup>gaj się ze mn<sup>1</sup>, chod<sup>3</sup>, zasuwamy! Shepherd przyciska<sup>3</sup> się do pod<sup>3</sup>ogi z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> zwrócon<sup>1</sup> w stronê brata, ale nie otwiera<sup>3</sup> oczu.

- Łód.

W salonie dwa okna wychodzi<sup>3</sup>y na po<sup>3</sup>udnie i cztery na za-chód. Szyby w po<sup>3</sup>udniowej œcianie rozprys<sup>3</sup>y się od razu po roz-poczêciu ognia zaporowego, lecz okna zachodnie pozosta<sup>3</sup>y nie-naruszone, niedraœeniête nawet rykoszetem.

- Rób jak w<sup>1</sup>! - nagli<sup>3</sup> Dylan. Shep nie drgn<sup>13</sup>.

- Łód, łód, łód.

Serie jedna po drugiej pru<sup>3</sup>y po<sup>3</sup>udniow<sup>1</sup> œcianê, wdzieraj<sup>1</sup>c się do salonu, r<sup>1</sup>bi<sup>1</sup>c drewniane meble na szczapy, rozbijaj<sup>1</sup>c

lampy i wazony. Dziesi<sup>1</sup>tki pocisków przebija<sup>3</sup>y tapicerowane meble z g<sup>3</sup>uchym ha<sup>3</sup>asem, który szczególnie dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Dylanowi na nerwy - zapewne dlatego, że podobny odg<sup>3</sup>os wydawa<sup>3</sup>o tra-fione kul<sup>1</sup> cia<sup>3</sup>o.

Cho<sup>æ</sup> twarz Shepa by<sup>3</sup>a zaledwie kilka cali od niego, Dylan krzyczyc<sup>3</sup> - po to, żeby brat us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> go przez <sup>3</sup>oskot kanonady, w nadziei, że uda mu się pobudzi<sup>æ</sup> go do dzia<sup>3</sup>ania, dlatego że by<sup>3</sup> na niego z<sup>3</sup>y, ale przede wszystkim dlatego, że znów zawrza<sup>3</sup>o w nim œwiête oburzenie, które pierwszy raz poczu<sup>3</sup> w domu przy Alei Eukaliptusowej; wœciek<sup>3</sup>oœæ na tych <sup>3</sup>ajdaków, którzy zawsze postawi<sup>1</sup> na swoim i u<sup>1</sup>zywaj<sup>1</sup> si<sup>3</sup>y, którzy zawsze i wszê-dzie, w ka<sup>1</sup>dej sytuacji uciekaj<sup>1</sup> się do przemocy.

- Niech to szlag, Shep, chcesz, żeby nas zabili jak mamê? Chcesz, żebyœmy tu padli i zgnili? Chcesz, żeby znowu usz<sup>3</sup>o im to na sucho? Chcesz tego, niech ciê szlag, Shep, chcesz?

Ich matkê zabi<sup>3</sup> Lincoln Proctor, a ci bandyci byli przeciw-nikami Proctora i jego dzie<sup>3</sup>a, ale dla Dylana wszyscy stali po jednej stronie. W armii ciemnoeci nosili tylko emblematy rô<sup>1</sup>-nych jednostek.

Poruszony z<sup>3</sup>oeci<sup>1</sup> Dylana, a mo<sup>1</sup>e zdaj<sup>1</sup>c sobie wreszcie sprawê, że s<sup>1</sup> otoczeni, Shep przesta<sup>3</sup>



powtarzając mantrę o lo-dzie. Otworzył oczy. W końcu dopadł go przerażenie.

Serce Dylana zmieniło bieg, przechodził najpierw w luz i zamierzał na chwilę, a potem w wyższe przeżycie na myślenie, że Shep natychmiast ich zdoła, zostawiając Jilly, która dotarła już do korytarza od frontu.

Shepherd postanowił jednak udawać węża. Froterując brzuchem podłogę, zaczął pechnąć od drzwi jadalni do korytarza na dole, przecinając na ukos północno-wschodni kwadrant salonu.

Opierając się na kociach i palcach stóp, chłopak porusza się tak szybko, że Dylan z trudem za nim nadąża.

Kiedy się czołgali, spada na nich deszcz kawałków tynku, obupanych drzazg, bryłek pianki uszczelniającej okna i innych śmieci. Między nimi a południową ścianą stało mnóstwo mebli pochłaniających lub zmieniających kierunek niższej przelatujących pocisków. Reszta trafiała wyżej. Nad głowami cwiastały im kule, jakby los wciągał z sykiem powietrze przez zacienione zęby, ale Dylan nie słyszał jeszcze pi-sku wirujących odłamków, nie czuł też cyjanku ani innych niepokojących zapachów.

Pokój spowiła chmura tynkowego pyłu jak zasłona ze snu, a w powietrzu fruwało pierze niczym w kurniku, do którego wpadł lis.

Shep wypełzł do korytarza i czołgał się dalej aż do gabine-tu, gdyby nie natknął się na Jilly, która leżała na brzuchu u stóp schodów. Cofnął się, zagradzając mu drogę, chwycił ją za spodnie na siedzeniu i skierował ją na schody.

Kule, których meble nie zatrzymały ani toru nie zmieniły, swobodnie wdzierały się do frontowego korytarza przez otwarte drzwi salonu. Siekły też południową ścianę korytarza, która była północną ścianą salonu. Zderzenie z drugą masą drewna i tynku zatrzymywało niektóre pociski, ale inne przebijały się, nie tracąc wiele ze swej ośmierniocennej siły.

Rzucił bardziej ze strachu niż z wysiłku, krzywił się od al-kalicznego smaku tynkowego pyłu, Dylan spojrzawszy w górę i zobaczył dziesiątki dziur w tej ścianie. Niektóre były rozmiarów awieradolarówki, ale były kilka większych od jego pięści.

Kule wyrываły z poręczy schodów drobne odłamki i całe kawały. Dylan przyglądał się, jak kontynuują swe niszczytel-skie dzieła.

Kilka balasków było wyszczerbionych. Dwa zostały zupełnie roztrzaskane.

Pociski przebijały ścianę i mijając poręcz zatrzymywały się w końcu na północnej ścianie korytarza, która stała się ścianą klatki schodowej. Tu traciły resztki energii, dziurawiły i ka-leczyły tynk tak, że wyglądał jak mur, przed którym staje pluton egzekucyjny.

Gdyby nawet Jilly i bracia O'Connerowie niczym rodzina udających węża kuglarzy wspięli się na stopnie, trzymając się tak nisko jak sprężyna slinky sama schodząca po schodach, nie mogliby dotrzeć bez szwanku do pierwszego podestu. Pewnie jedne-mu z nich udałoby się ta sztuka. Może nawet dwojgu, co byłoby niezbitym dowodem na istnienie aniołów stróżów. Gdyby jednak cuda chadzały trójkami, nie mogła by ich nazywać cudem, stałyby się pospolitym zjawiskiem. Przy próbie pokonania schodów Jilly, Shep albo Dylan zostaliby zabici albo ciężko ranni. Leżeli więc rozpaszczeni na podłodze, dysząc ciężko i wciągając z każdym oddechem tynkowy pył, bez wyjścia, bez nadziei.

Wtedy ogień osłabł i po trzech czy czterech sekundach ustal zupełnie.

Po zakończeniu pierwszego etapu szturm, który trwał nie dłużej niż dwie minuty, mordercy od wschodniej i południowej

strony domu wycofali się. Kryli się, by uniknąć zranienia w krzywym ogniu.

Równocześnie w kierunku domu ruszyli, zapewne biegiem, bandyci z północy i zachodu. Etap numer dwa.

Główne wejście w zachodnią ścianę domu znajdowało się za plecami Dylana, a po obu stronach drzwi były witrażowe okienka. Leżąc twarzą do pierwszego podestu schodów, mieli gabinet z lewej, tuż za ścianą, a w nim trzy okna.

W drugim etapie szturm korytarz zostanie zasypany takim gradem kul, że wszystko, co zdarzyło się dotychczas, będzie wyglądać jak demonstracja złości w wykonaniu grupki agresywnych dzieci.

Śmierć drwiła z nich, darując im chwilę na ocalenie, sama tymczasem rozczapierzyła kościste palce

i odlicza<sup>3</sup>a sekundy. Jilly musia<sup>3</sup>a b<sup>3</sup>yskawicznie dojce<sup>3</sup> do tych samych wniosków, bo gdy jeszcze nie przebrzmia<sup>3</sup>o echo ostatniego strza<sup>3</sup>u, pode-rwa<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e na nogi równoczenie z Dylanem. Bez wahania i bez s<sup>3</sup>owa oboje si<sup>3</sup>e<sup>gn</sup>eli w dó<sup>3</sup>, chwycili Shepa za pasek i poci<sup>1</sup>gn<sup>3</sup>eli, by stan<sup>13</sup> mi<sup>3</sup>ędzy nimi. Z nadludzki<sup>1</sup> si<sup>3</sup>l, która pozwala napompowanym adrenali-n<sup>1</sup> matkom podnosi<sup>3</sup>e przewrócone samochody, by uwolnia<sup>3</sup>e za-kleszczone niemowl<sup>3</sup>e, unieceli Shepa i poci<sup>1</sup>gn<sup>3</sup>eli go po schodach, które ledwo muska<sup>3</sup> stopami; ale od czasu do czasu nawet opar<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e o stopie<sup>3</sup>ń w taki sposób, aby uprzejmie wesprze<sup>3</sup>e ich wysi<sup>3</sup>tek i pomóc im lekkim ruchem w gór<sup>3</sup>e.

- Gdzie jest lód? - zapyta<sup>3</sup> Shep.

- Na górze- wydyszała Jilly.

- Gdzie jest lód?

- Niech ci<sup>3</sup>e szlag, bracie!

- Już prawie jesteśmy - zach<sup>3</sup>ęciła ich Jilly. - Gdzie jest lód?

Ukazał si<sup>3</sup>e pierwszy podest.

Shep zahaczył czubkiem buta o stopie<sup>3</sup>ń. Przesun<sup>3</sup>eli go, podci<sup>1</sup>gn<sup>3</sup>eli i wspinali si<sup>3</sup>e dalej. - Gdzie jest lód? W huku ognia nagle rozprysły si<sup>3</sup>e witra<sup>3</sup>e w okienkach, a w drzwi zalomotało mnóstwo koecistych palców, jak gdyby wst<sup>3</sup>ępu domagała si<sup>3</sup>e dwudziestka zdecydowanych demonów z nakazami oemierci. Pocisk za pociskiem zacz<sup>13</sup> prua<sup>3</sup>e drewno, wybija<sup>3</sup>e dziury i tlu<sup>3</sup>c w ni<sup>3</sup>sze stopnie, powoduj<sup>1</sup>c wibracje w ca-lych schodach.

**39** Gdy tylko dotarli do podestu i zacz<sup>3</sup>eli wchodzi<sup>3</sup>e wy<sup>3</sup>ej, Dylan poczu<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e bezpieczniej, ale zaraz oka-za<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e, <sup>3</sup>e przedwcz<sup>3</sup>eenie. Trzy stopnie przed nimi kula przebi-<sup>3</sup>a podnó<sup>3</sup>ek stopnia i wbi<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e w sufit.

Zorientowa<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e, <sup>3</sup>e od spodu wy<sup>3</sup>szy bieg schodów znajduje si<sup>3</sup>e na wprost drzwi wej<sup>3</sup>eciowych.

W<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>ewie mieli pod stopami tyln<sup>1</sup> oecian<sup>3</sup>e strzelnicy.

Dalsza droga na gór<sup>3</sup>e by<sup>3</sup>a niebezpieczna, wycofanie si<sup>3</sup>e nie mia<sup>3</sup>o <sup>3</sup>adnego sensu, a zatrzymanie w po<sup>3</sup>owie schodów ozna-cza<sup>3</sup>o pewn<sup>1</sup> i rych<sup>3</sup> oemier<sup>3</sup>e. Poci<sup>1</sup>gn<sup>3</sup>eli wi<sup>3</sup>ec Shepherd<sup>3</sup>a za pasek nieco mocniej, Jilly obiema r<sup>3</sup>ekami, Dylan jedn<sup>1</sup>; wlekli go po schodach.

- Gdzie jest lód? - pisa<sup>13</sup> falsetem Shep.

Dylan spodziewa<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e, <sup>3</sup>e trafi<sup>1</sup> go w podeszwy stóp, w rami<sup>3</sup>e, w dó<sup>3</sup> podbródka albo we wszystko naraz. Kiedy dotarli do gór-nego korytarza cali i <sup>3</sup>adne z nich nie przypomina<sup>3</sup>o denata z ilustracji z podr<sup>3</sup>cznika medycyny s<sup>1</sup>dowej, pucci<sup>3</sup> brata i opar<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e r<sup>3</sup>ek<sup>1</sup> o s<sup>3</sup>upek por<sup>3</sup>czy, by z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup>e oddech.

Najwyra<sup>3</sup>niej tego dnia spocz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a tu tak<sup>3</sup>e d<sup>3</sup>o<sup>3</sup> Vonetty Bee-sley, ich gosposi, poniewa<sup>3</sup> gdy tylko Dylan dotkn<sup>13</sup> jej oeladu psychicznego, przez g<sup>3</sup>ow<sup>3</sup>e przebieg<sup>3</sup>y mu jak b<sup>3</sup>yskawica obra-zy jej twarzy. Poczu<sup>3</sup> silny impuls, który kaza<sup>3</sup> mu natychmiast bie<sup>3</sup>c jej szuka<sup>3</sup>e.

Gdyby zdarzy<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e to poprzedniego wieczoru, gdyby nie na-uczy<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e panowa<sup>3</sup>e na takich odruchami, mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup>by pop<sup>3</sup>ędzia<sup>3</sup> w dó<sup>3</sup> schodów wprost w oerodek zawieruchy, tak jak nie zwa<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c na nic, mkn<sup>13</sup> do domu Marjorie przy Alei Eukaliptusowej. Tym razem oderwa<sup>3</sup> d<sup>3</sup>o<sup>3</sup> od s<sup>3</sup>upka i st<sup>3</sup>umi<sup>3</sup> swoj<sup>1</sup> wra<sup>3</sup>liwo<sup>3</sup>e na od-cisk Vonetty.

Jilly poci<sup>1</sup>gn<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a już Shepherd<sup>3</sup>a w g<sup>3</sup>1b korytarza, dalej od pocz<sup>1</sup>tku schodów. Podnosi<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>os, aby wygra<sup>3</sup>e z rumorem na dole, b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup>a go, <sup>3</sup>eby ich st<sup>1</sup>d z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>.

Dylan zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e brat wci<sup>1</sup>; tkwi w okowach wyimago-wanego lodu. My<sup>3</sup>el o lodzie ci<sup>1</sup>gle t<sup>3</sup>uk<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e w g<sup>3</sup>owie Shepa, czyni<sup>1</sup>c go oboj<sup>3</sup>etnym na niemal wszystko wokó<sup>3</sup>.

Nie istnia<sup>3</sup> <sup>3</sup>aden wzór, który pozwala<sup>3</sup>by określa<sup>3</sup>e, kiedy Shepherd wydob<sup>3</sup>dzie si<sup>3</sup>e ze studni swojej najnowszej obsesji, lecz z du<sup>3</sup>ym prawdopodobie<sup>3</sup>ństwem mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o obstawia<sup>3</sup> d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>szy okres nieoewiadomo<sup>3</sup>eci. Dylan przypuszcza<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e brat ocknie si<sup>3</sup>e raczej za godzin<sup>3</sup>e ni<sup>3</sup> za dwie minuty.

Skupienie uwagi na jednej rzeczy czy obszarze zaintereso-wania by<sup>3</sup>o dla Shepa form<sup>1</sup> odizolowania si<sup>3</sup>e od przyt<sup>3</sup>aczaj<sup>1</sup>-cego mnóstwa wra<sup>3</sup>e<sup>3</sup>ñ zmys<sup>3</sup>owych. Pod gradem kul nie mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> wybra<sup>3</sup>e sobie bezpiecznego k<sup>1</sup>ta i odwrócia<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e plecami do cha-osu, ale mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> uciec do symbolicznego k<sup>1</sup>ta w ciemnym pokoju w twierdzy w<sup>3</sup>asnego umys<sup>3</sup>u, gdzie nie istnia<sup>3</sup>o nic innego poza lodem, lodem, lodem.

- Gdzie jest lód?

- Kiedy skończ<sup>1</sup> na dole, co potem? - zapyta<sup>3</sup>a Jilly.
- Rozwał<sup>1</sup> piêtro. Mo¿e wejd<sup>1</sup> na dach werandy, ¿eby by<sup>3</sup>o <sup>3</sup>atwiej.
- Albo wedr<sup>1</sup> siê do œrodka - doda<sup>3</sup>a. - Lód, lód, lód.
- Musimy coœ robiæ, ¿eby przesta<sup>3</sup> mówiæ o tym lodzie - zirytowa<sup>3</sup>a siê Jilly.
- Do tego trzeba czasu i ciszy. - Jesteœmy udupieni.
- Nie jesteœmy udupieni. - Jesteœmy.
- Wcale nie.
- Masz jakicœ plan? - spyta<sup>3</sup>a ostro.

Jedyny plan Dylana, który zreszt<sup>1</sup> zasugerowa<sup>3</sup>a sama Jilly, polega<sup>3</sup> na tym, ¿eby dostaæ siê ponad liniê ognia. Ale sta<sup>3</sup>o siê ja-sne, ¿e ostrza<sup>3</sup> dosiêgnie ich wszêdzie, nie mówi<sup>1</sup>c o bandytach.

Wœciek<sup>3</sup>y grzechot i huk na dole, strach, ¿e zab<sup>3</sup>kana kula mo¿e trafiæ w górê schodów lub nawet przebiæ sufit korytarza na parterze i sufit korytarza na piêtrze - wszystko to powodo-wa<sup>3</sup>o, ¿e skupienie siê na taktyce i strategii by<sup>3</sup>o równie trudne, jak <sup>3</sup>apanie wê¿y na lasso. W takich okolicznoœciach Dylan znów sobie uzmys<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>, jak musi siê czuaæ jego brat, gdy ¿ycie go przyt<sup>3</sup>acza, czyli prawie zawsze. W porz<sup>1</sup>dku, trzeba zapomnieæ o pieni<sup>1</sup>dzach w kasetce. Beatlesi mieli racjê: za pieni<sup>1</sup>dze nie kupisz miłoœci. Ani nie za-trzymasz kuli.

Trzeba zapomnieæ o pistolecie kalibru dziewiêæ milimetrów, który kupi<sup>3</sup> po œmierci matki. Wobec artylerii napastników rów-nie dobrze móg<sup>3</sup>by byæ uzbrojony w kij.

- Lód, lód, lód.

Jilly namawia<sup>3</sup>a Shepherda, ¿eby zeœlizn<sup>13</sup> siê ze swojego lodowego zamku i wróci<sup>3</sup> do nich, ¿eby mogli siê z<sup>3</sup>o¿yæ do jakie-goœ bezpiecznego miejsca, ale on nie reagowa<sup>3</sup> na s<sup>3</sup>odkie s<sup>3</sup>ówka, dopóki mia<sup>3</sup> zamkniête oczy i sparali¿owane proces myœlowy.

Trzeba czasu i ciszy. Choæ nie mogli zyskaæ zbyt du¿o czasu, ka¿da minuta mog<sup>3</sup>a siê okazaæ t<sup>1</sup>, w której Shep odzyska œwia-domoœæ. W zgie<sup>3</sup>ku tocz<sup>1</sup>cego siê na dole d¿ihadu nie mog<sup>3</sup>o byæ mowy o zupe<sup>3</sup>nej ciszy, lecz gdyby huk i jazgot choæ trochê przy-cich<sup>3</sup>y, mo¿e ch<sup>3</sup>opak odnalaz<sup>3</sup>by wyjœcie z lodowego k<sup>1</sup>ta.

Dylan przeci<sup>13</sup> korytarz i otworzy<sup>3</sup> drzwi do pokoju goœcin-nego.

- Tutaj.

Jilly holowa<sup>3</sup>a Shepherda, który w miarê szybko pow<sup>3</sup>óczy<sup>3</sup> nogami.

Od potê¿nej kanonady trzê<sup>3</sup>szy siê œeciany domu. Szyby w oknach na piêtrze dygota<sup>3</sup>y z brzêkiem w ramach.

Dylan wbieg<sup>3</sup> do sypialni przed Jilly i Shepem. Przypad<sup>3</sup> do drzwi garderoby i zapali<sup>3</sup> œwiat<sup>3</sup>o.

Z sufitu w garderobie zwisa<sup>3</sup> sznurek opuszczanej kłapy. Dy-lan szarpn<sup>13</sup> sznurek, otwieraj<sup>1</sup>c wejœcie na strych. Og<sup>3</sup>uszaj<sup>1</sup>ca strzelanina, przypominaj<sup>1</sup>ca chwile najbardziej za¿artej walki podczas oblê¿enia Leningradu przez hitlerow-ców, o którym Dylan ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> kiedyœ program na kanale histo-rycznym, nagle przybra<sup>3</sup>a na sile.

Zastanawia<sup>3</sup> siê, ile druzgoc<sup>1</sup>cych strza<sup>3</sup>ów wytrzymaj<sup>1</sup> jesz-cze s<sup>3</sup>upy œecian, zanim zostanie naruszona konstrukcja i runie któryœ z rogów domu.

- Lód, lód, lód.

Staj<sup>1</sup>c przed drzwiami garderoby z Shepem, Jilly powiedzia<sup>-3</sup>a, maj<sup>1</sup>c na myœli nieludzkie pandemonium na dole:

- Dostaliœmy podwójn<sup>1</sup> porcjê apokalipsy.
- Z posypk<sup>1</sup>. - Do kłapy by<sup>3</sup>a zamontowana drabina sk<sup>3</sup>a-daj<sup>1</sup>ca siê trzech segmentów. Dylan j<sup>1</sup> opuœci<sup>3</sup>.
- Niektóre z ofiar eksperymentów Proctora musia<sup>3</sup>y posi<sup>1</sup>œæ o wiele straszniejsze zdolnoœci od naszych.
- O czym mówisz?

- Ci tam na dole nie wiedz<sup>1</sup>, co potrafimy robiæ, ale mocz<sup>1</sup> spodnie ze strachu na myœl o tym, co to mo¿e byæ. Dlatego za wszelk<sup>1</sup> cenê chc<sup>1</sup> nas zabiæ.

Dylan nie pomyœla<sup>3</sup> o tym. Nie mia<sup>3</sup> ochoty o tym myœleæ. Widocznie wczesniej nanoboty Proctora stworzy<sup>3</sup>y potwory. Dlatego wszyscy spodziewali siê, ¿e on, Jilly i Shep równie¿ sta-li siê potworami.

- Co? - spyta³a z niedowierzaniem Jilly. - Chcesz, ¿ebyœmy weszli po tej pieprzonej drabinie?
  - Tak.
  - To pewna œmieræ.
  - To strych.
  - Strych to pewna œmieræ. Œlepy zau³ek.
  - Wszêdzie, gdzie teraz pójdziemy, trafimy na œlepy zau³ek. Tylko tutaj mo¿emy daæ Shepowi trochê czasu.
  - Bêd¹ nas szukaæ na strychu.
  - Nie od razu.
  - Nie chcê - œœwiadczy³a.
  - Jak widzisz, ja te¿ nie skaczê z radoœci.
  - Lód, lód, lód.
  - WchodŸ pierwsza - powiedzia³ Dylan.
  - Dlaczego ja?
  - Bêdziesz mog³a namawiaæ Shepa z góry, kiedy bêdê go popycha³ od do³u.
- Ogieñ urwa³ siê, ale echo salw wci¿ dzwoni³o Dylanowi w uszach.
- Ju¿ tu id¹.
  - Gównno - powiedzia³a Jilly.
  - Na górê.
  - Gównno.
  - WchodŸ.
  - Gównno.
  - No ju¿, Jilly.

## 40 Strych dawa³ im niewiele mo¿liwoœci, skazywa³ na sytuacjê z³apanych w pu³apkê

szczurów i oferowa³ jedynie ciemnoœæ, kurz i paj¹ki, mimo to Jilly wspie³a siê po po chy³ej drabinie, poniewa¿ strych by³ jedynym miejscem, w któr-rym mogli siê schroniæ.

Gdy wchodzi³a na górê, obji³a sobie biodra zawieszon¹ na ramieniu torebk¹, a ta na moment zahaczy³a o d³ugie zawiasy, na których by³a umocowana drabina. Jilly straci³a swego cadil-laca coupe deville, ca³y baga¿, laptop, karierê komika, nawet swego bardzo wa¿nego partnera - kochanego, uroczego Freda - ale za ¿adne skarby nie porzuci³aby torebki, bez wzglêdu na okolicznoœci. Mia³a w niej tylko parê dolarów, cukierki miêto-we, chusteczki, szminkê, puder, szczotkê do w³osów - nic, co zmieni³oby jej ¿ycie, gdyby j¹ zatrzyma³a, albo zniszczy³o, gdy-by j¹ zgubi³a - ale jeceliby w cudowny sposób prze¿y³a wizytê w domu O'Connerów, skorzysta³aby z pierwszej sposobnoœci, aby poprawiaæ makija¿ i uczesaæ siê, poniewa¿ w tej tragicznej sytuacji perspektywa wolnej chwili, któr¹ mo¿na poœwiêciæ wy-³ecznie swojej urodzie, wydawa³a siê jej nieosi¹galnym luksu-sem, porównywalnym z limuzynami, apartamentem prezydenc-kim w piêciogwiazdkowym hotelu i kawiorem bie³ugi.

Poza tym, skoro musia³a umrzeæ tak m³odo z mózgiem pe³nym nanomaszyn, w³acenie dlatego, ¿e w mózgu mia³a pe³no na-nomaszyn, chcia³a zostawiaæ po sobie jak najpiêkniejsze zw³oki-zak³adaj¹c, ¿e celny strza³ w g³owê nie upodobni jej twarzy do portretu pêdzla Picassa.

Wspi¹wszy siê po drabinie, Negatywnie Nastawiona Jack-son, krynica pesymizmu, stwierdzi³a, ¿e strych jest na tyle wyso-ki, ¿e mo¿na siê swobodnie wyprostowaæ. Przez kilka os³oniê-tych otworów pod okapem do wnêtrza ich wysokiej reduty przenika³o œwiat³o s³oneczne, lecz zbyt sk¹pe, by wygnaæ zalega-j¹ce w k¹tach cienie. W przestrzeni zamkniêtej pomiêdzy kro-kwiami z surowego drewna, œcianami z desek i pod³og¹ z dykty znajdowa³o siê ze czterdzieœci kartonowych pude³, trzy stare ku-fry, przeró¿ne rupiecie i sporo wolnego miejsca.

W gor¹cym i suchym powietrzu wyczuwa³o siê ulotn¹ woñ staroœwieckiej smo¿y, któr¹ pokrywano dach, oraz silny zapach niezliczonych odmian kurzu. Tu i ówdzie z pochy³ych p³asz-czyzn dachu zwiesza³o siê kilka kokonów; woreczki owadziej produkcji nieznacznie fosforyzowa³y w mroku. Bli¿ej

Jilly, tuż nad jej g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, między krokwiemi rozpina<sup>3</sup>a się kunsztowna pa-jêczyna; choæ jej budowniczy albo zgin<sup>13</sup>, albo wyruszy<sup>3</sup> w po-dró¿, jego sieæ zdo<sup>3</sup>bi<sup>3</sup>y cztery æmy - szare skrzyd<sup>3</sup>a mia<sup>3</sup>y rozpo-starte jak wspomnienie ostatniego lotu, a po cia<sup>3</sup>ach wyspanych przez paj<sup>1</sup>ka pozosta<sup>3</sup>y tylko puste skorupki.

- Koniec z nami - mruknê<sup>3</sup>a, odwracaj<sup>1</sup>c się do otwartej klapy. Przyklêknê<sup>3</sup>a i spojrze<sup>3</sup>a w dó<sup>3</sup> drabiny. Shep wszed<sup>3</sup> na dolny szczebel, trzymaj<sup>1</sup>c się obur<sup>1</sup>cz jedne-go z górnych. Mia<sup>3</sup> opuszczon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê, jak gdyby by<sup>3</sup>a to jakæ drabina modlitewna, i sprawia<sup>3</sup> wra¿enie, ¿e nie ma ochoty wspinaæ się wy¿ej.

Dylan zerka<sup>3</sup> przez otwarte drzwi garderoby do pokoju, nie-w<sup>1</sup>tpliwie spodziewaj<sup>1</sup>c się ujrzeæ ludzi na dachu werandy za oknami.

- Lód - powiedzia<sup>3</sup> Shep.

- Namów go, ¿eby wszed<sup>3</sup> na górê - zwróci<sup>3</sup> się Dylan do Jilly.

- A jak wybuchnie po¿ar?

- To cholernie s<sup>3</sup>aba namowa.

- Lód.

- Ca<sup>3</sup>y strych to beczka prochu. A jak wybuchnie po¿ar?

- A jak biegun magnetyczny Ziemi zmieni po<sup>3</sup>o¿enie? - spy-ta<sup>3</sup> drwi<sup>1</sup>co.

- Na tê okolicznoææ akurat mam plan dzia<sup>3</sup>ania. Nie mo-¿esz go wepchn<sup>1</sup>æ?

- Mogê go trochê zachêciaæ, ale nie da się cz<sup>3</sup>owieka we-pchn<sup>1</sup>æ na górê po drabinie.

- Przecie¿ to nie jest wbrew prawom fizyki.

- In¿yner się znalaz<sup>3</sup>.

- Lód.

- Mam tu masê lodu, skarbie - skfiama<sup>3</sup>a Jilly. - Popchnij go, Dylan.

- Staram się.

- Lód.

- Mnóstwo lodu, Shep. WejdŸ tu do mnie.

Shep nawet nie ruszy<sup>3</sup> rêk<sup>1</sup>. Tkwi<sup>3</sup> w miejscu uparcie ucze-piony drabiny.

Jilly nie widzia<sup>3</sup>a twarzy Shepherd'a, tylko czubek jego po-chylonej g<sup>3</sup>owy.

Dylan uniós<sup>3</sup> praw<sup>1</sup> stopê brata i postawi<sup>3</sup> na nastêpnym szczeblu.

- Lód.

Wci<sup>1</sup>¿ maj<sup>1</sup>c przed oczyma martwe æmy i czuj<sup>1</sup>c ogarniaj<sup>1</sup>-c<sup>1</sup> j<sup>1</sup> desperacjê, Jilly porzuci<sup>3</sup>a próby nak<sup>3</sup>onienia Shepa do wejœcia na strych i postanowi<sup>3</sup>a przemówiaæ do niego, zamienia-j<sup>1</sup>c jego monolog o lodzie w dialog.

- Lód - powiedzia<sup>3</sup>.

- Zamarzniêta woda - odrzek<sup>3</sup>a.

Dylan postawi<sup>3</sup> lew<sup>1</sup> stopê Shepherd'a na szczeblu, na który przed chwil<sup>1</sup> przesun<sup>13</sup> praw<sup>1</sup>, lecz rêce Shepa pozosta<sup>3</sup>y w tym samym miejscu.

- Lód.

- Deszcz ze œniegiem - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly.

W g<sup>3</sup>êbi domu, na parterze, ktoæ kopn<sup>13</sup> drzwi. Zwa¿ywszy na fakt, ¿e po salwach z broni maszynowej drzwi wejœciowe mu-sia<sup>3</sup>y zmieniaæ się w pyfi lub a¿urowe zas<sup>3</sup>onki z drzazg, jedyne drzwi, które trzeba by<sup>3</sup>o otwieraæ kopniakiem, znajdowafiy się prawdopodobnie wewn<sup>1</sup>trz domu. Zaczê<sup>3</sup>o się przeszukiwanie.

- Lód.

- Grad.

- Lód.

- Kra - odpar<sup>3</sup>a Jilly.

Na dole rozleg<sup>3</sup> się kolejny <sup>3</sup>omot: ten wstrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> ca<sup>3</sup>ym do-mem, a¿ pod<sup>3</sup>oga pod kolanami Jilly zadygota<sup>3</sup>a.

Dylan zamkn<sup>13</sup> drzwi garderoby i nowa sytuacja mog<sup>3</sup>a ich zdecydowanie szybciej przyprawiæ o klaustrofobiê.

- Lód.

- Lodowiec.

Kiedy Jilly ju¿ się wydawa<sup>3</sup>o, ¿e Shepherd za moment od-powie, skończy<sup>3</sup>y się jej synonimy i

określenia form lodu. Po-stanowi³a zmieniaæ zasady gry, odpowiadaj¹c s³owami oznacza j¹cymi rzeczy, które maj¹ zwi¹zek z lodem, jak gdyby usi³owa³a naprowadziæ Shepherdá na w³o³ciw¹ myœl.

- Lód - powiedzia³ Shep.
- Góra lodowa - odrzek³a.
- Lód.
- Kostka lodu.

Od rozmowy o lodzie na strychu robi³o siê coraz bardziej gor¹co. Zdawa³o siê, ¿e kurz na krokwiach, pod³odze i unosz¹-cy siê powietrzu zaraz buchnie p³omieniem.

- Lód.
- Lodowisko.
- Lód.
- Œy¿wiarz.
- Lód.
- Hokej. Powinieneœ siê wstydziæ, skarbie. Przydzieli³eœ so-bie ³atwiejsz¹ rolê w zabawie i ci¹gle powtarzasz to samo s³owo. Shepherd uniós³ g³owê. Patrzy³ teraz na szczel, na którym zaciska³ d³onie.

Z do³u dochodzi³y nastêpne huki i ³omoty, szczeni³a ner-wowa seria z karabinu.

- Lód.
- Lody na patyku. Shep, bawi³oby ciê uk³adanie ³amig³ów-ki z jednego kawa³ka?
- Lód.
- Szpikulec do lodu.
- Lód.
- Szczypce do lodu.

Kiedy podsuwa³a mu nowe s³owa, „lód” przesta³ ju¿ odbijaæ siê rykoszetem w jego g³owie. W twarzy Shepa zasz³a subtelna zmiana, jakby z³agodnia³a, co œwiadczy³o, ¿e obsesja powoli ustêpuje. Jilly by³a prawie pewna, ¿e tak jest naprawdê.

- Lód.
- Kube³ek na lód.
- Lód.
- Epoka lodowcowa. Wiesz co, skarbie? Chocia¿ mam trud-niejsz¹ rolê w tej zabawie, to o wiele fajniejsze ni¿ s³uchanie sy-nonimów „odchodów”.

Na jego ustach zadrga³ s³aby ucemiech, ale niemal w tej samej chwili znikn¹³ jak zdmuchniêty nerwowym oddechem.

- Lód.
- Zamra¿alnik.
- Shepherd przesun¹³ w górê praw¹ rêkê i chwyci³ nastêpny szczel. Potem wyci¹gn¹³ lew¹ d³oñ. Z³apa³ siê jeszcze wy¿sze-go szczelbla.
- Lód.
- Worek z lodem.

Shepherd bez pomocy brata wprawi³ w ruch stopy.

Na dole zadzwoni³ dzwonek do drzwi. Nawet w oddziale zawodowych morderców musia³ siê trafiæ jakieœ przyg³upi dow-cipnieœ.

- Lód.
- Lodówka.
- Shepherd wspina³ siê coraz wy¿ej.
- Lód.
- Rewia na lodzie.
- Lód.
- Go³oledŸ.
- Lód.
- Mro¿ona herbata, czekan, lodo³amacz, dostawca lodu, ch³odnia, woda z lodem-powiedzia³a Jilly i z

ostatnimi s<sup>3</sup>owa-mi Shep pokona<sup>3</sup> najwyższe szczeble i znalaz<sup>3</sup> siê na strychu.

Pomog<sup>3</sup>a mu zejœæ z drabiny i odsunê<sup>3</sup>a go od wejœcia w pod<sup>3</sup>odze. Przytuli<sup>3</sup>a go, mówi<sup>1</sup>c mu, Ÿe by<sup>3</sup> wspania<sup>3</sup>y, a Shep nie opiera<sup>3</sup> siê, choœ zapyta<sup>3</sup>:

- Gdzie jest lód?

Dylan zgasi<sup>3</sup> œwiat<sup>3</sup>o w garderobie i w ciemnoœci szybko wszed<sup>3</sup> po drabinie.

- Dobra robota, Jackson.

- *De nada*, O'Conner.

Klêcz<sup>1</sup>c w mroku, Dylan z<sup>3</sup>oŸy<sup>3</sup> harmonijkow<sup>1</sup> drabinê i po cichu zamocowa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> z powrotem do klapy, któr<sup>1</sup> zaraz potem zamkn<sup>13</sup>.

- JeŸeli jeszcze ich nie ma na górze, to zaraz bêd<sup>1</sup>- szepn<sup>13</sup>.

- Zabierz Shepa do po<sup>3</sup>udniowo-zachodniego rogu, za tamte kartony.

- Gdzie jest lód? - zapyta<sup>3</sup> trochê za g<sup>1</sup>oœno Shepherd.

Jilly uciszy<sup>3</sup>a go i poprowadzi<sup>3</sup>a przez zasnuty cieniem strych. Shep nie by<sup>3</sup> aŸ tak wysoki, by tr<sup>1</sup>caæ cz<sup>3</sup>em najniŸsze krokwie, lecz jego starszy brat bêdzie musia<sup>3</sup> uwaŸaæ.

Na dole banda wandal<sup>1</sup> wpad<sup>3</sup>a z ha<sup>3</sup>asem do nastêpnego pokoju.

Jeden z nich wrzasn<sup>1</sup>fi coœ niezrozumiale. Drugi odpowiedzia<sup>3</sup> mu wrzaskiem, dodaj<sup>1</sup>c przekleñstwo, a ktoœ rykn<sup>13</sup> œmiechem. W ich g<sup>3</sup>osach pobrzmiwa<sup>3</sup>a arogancja, pewnoœæ siebie i bezczelnoœæ, dlatego Jilly odnios<sup>3</sup>a wraŸenie, Ÿe to nie ludzie, ale nieokreœlone kszt<sup>3</sup>ty, które œcigaj<sup>1</sup> cz<sup>3</sup>owieka w sennych koszmarach, biegaj<sup>1</sup>c czasem na dwóch, czasem na czterech nogach, to wyj<sup>1</sup>c ludzkim g<sup>3</sup>osem, to znów ujadaj<sup>1</sup>c jak dzikie bestie.

Zastanawia<sup>3</sup>a siê, kiedy przyjad<sup>1</sup> gliny. JeŸeli w ogóle przy-jad<sup>1</sup>. Dylan mówifi, Ÿe do najbliŸszego miasta jest wiele mil. Naj-bliŸszy s<sup>1</sup>siad mieszka<sup>3</sup> p<sup>3</sup> mili na po<sup>3</sup>udnie st<sup>1</sup>d. Ktoœ jednak musia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>yszeæ strza<sup>3</sup>y.

Jasne, Ÿe szturm rozpocz<sup>13</sup> siê najwyŸej piêæ, moŸe szeœæ mi-nut temu, i Ÿadna wiejska policja nie zareaguje na sygna<sup>3</sup> z tak daleka w czasie krótszym niŸ piêæ minut, choœ prawdopodobnie potrwa to co najmniej dziesiêæ minut.

- Gdzie jest lód? - spyta<sup>3</sup> Shepherd tak samo g<sup>1</sup>oœno jak po-przednio.

Zamiast znów go uciszyæ, Jilly odpowiedzia<sup>3</sup>a p<sup>3</sup>g<sup>3</sup>osem w nadziei, Ÿe ch<sup>3</sup>opak pójdzie za jej przyk<sup>3</sup>adem:

- W lodówce, kochanie. Tam jest lód.

Jilly zachêci<sup>3</sup>a Shepa, aby usiad<sup>1</sup>fi na zakurzonej pod<sup>3</sup>odze za stert<sup>1</sup> kartonów w po<sup>3</sup>udniowo-zachodnim rogu.

W smudze dziennego œwiat<sup>3</sup>a wpadaj<sup>1</sup>cego przez przys<sup>3</sup>oniê-te otwory wentylacyjne widaæ by<sup>3</sup>o zw<sup>3</sup>oki dawno padfiego pta-ka - prawdopodobnie wróbla - z którego zosta<sup>3</sup>y tylko cieniut-kie koœci.

Pod szkieletem spoczywa<sup>3</sup>o kilka piórek, których przeci<sup>1</sup>gi nie ponios<sup>3</sup>y do innych k<sup>1</sup>tów strychu.

Ptak musia<sup>3</sup> siê tu zakraœæ pewnego ch<sup>3</sup>odnego dnia przez jak<sup>1</sup>œ szczelinê w okapie, a potem nie móg<sup>3</sup> siê wydostaæ. Pewnie z<sup>3</sup>amafi skrzyd<sup>3</sup>o, t<sup>3</sup>uk<sup>1</sup>c o krokwie, i g<sup>3</sup>odny, i wyczerpany cze-ka<sup>3</sup> na œmieræ, siedz<sup>1</sup>c przy otworze, przez który widzia<sup>3</sup> niebo.

- Gdzie jest lód? - zapyta<sup>3</sup> Shepherd, tym razem œcisza<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>os do szeptu.

Jilly zaniepokoi<sup>1</sup>fi siê, Ÿe Shep wchodz<sup>1</sup>c po drabinie, wca-le nie opuœci<sup>3</sup> do koñca swego lodowego k<sup>1</sup>ta albo w<sup>3</sup>acenie do niego wraca, toteŸ zaczê<sup>3</sup>a now<sup>1</sup> grê, usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c wci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ go w dialog.

- Lód jest w margaricie, prawda, skarbie? P<sup>3</sup>ywa i powoli siê rozpuszcza. Rany, ale bym siê napi<sup>3</sup>a margarity.

- Gdzie jest lód?

- Lód moŸe byæ w lodówce turystycznej.

- Gdzie jest lód?

- Lód moŸe byæ w Nowej Anglii na BoŸe Narodzenie. Lód i œnieg.

Poruszaj<sup>1</sup>c siê nadzwyczaj zrêcznie i cicho jak na swój wzrost, Dylan wy<sup>3</sup>onifi siê z g<sup>3</sup>êbszych ciemnoœci spowijaj<sup>1</sup>cych œrodkow<sup>1</sup> czêœæ strychu i wyszed<sup>3</sup> w smugê œwiat<sup>3</sup>a padaj<sup>1</sup>cego na martwego ptaka i rozjaœniaj<sup>1</sup>cego odrobinê ich kryjówkê, po czym usiad<sup>3</sup> obok brata.

- Ci<sup>1</sup>gle lód? - spyta<sup>3</sup> ze zmartwion<sup>1</sup> min<sup>1</sup>.

- Chyba nareszcie zaczyna sensownie odpowiadaæ - odpar³a Jilly nie do koñca o tym przekonana.
- Gdzie jest lód? - wyszepta³ Shep.
- Mnóstwo lodu jest na lodowisku.
- Gdzie jest lód?
- W lodówce nie ma nic innego.

W drzwi na piêtrze za³omota³y kopniêcia. Cisze w pokojach wype³nify brzêk i ³oskot.

Szeptli jeszcze ciszej, Shepherd zapyta³:

- Gdzie jest lód?
- Widze szampana w srebrnym kube³ku - odrzek³a Jilly, do-stosowuj¹c siê do tonu jego g³osu. - Butelka tkwi w pokruszo-nym lodzie.
- Gdzie jest lód?
- Na biegunie pó³nocnym jest du¿o lodu.
- Ach - rzek³ Shepherd i przez chwilê nie powiedzia³ nic wiêcej.

Jilly nas³uchiwa³a w napiêciu g³osów na dole, które odezwa³y siê, gdy tylko ucich³y ha³asy zacieklych poszukiwañ. Równie wyraŹnie mogli rozmawiaæ zmumifikowani konspiratorzy w sarkofagu ukrytym w g³êbi piramidy, mówi¹c przez spowija-j¹ce ich banda¿e. Jilly nie rozumia³a ani s³owa.

- Ach. - Shep westchn¹³.

- Musimy siê st¹d ruszyæ, bracie - rzek³ Dylan. - Ju¿ daw-no powinniemy siê z³o¿yæ.

W domu nagle zapadla cisza, a po uplywie pó³ minuty nie-pokoj¹ca martwota stala siê bardziej zlowieszcza ni¿ wszystko, co zdarzylo siê dot¹d.

- Bracie - powiedzial Dylan, lecz przestal go prosiæ, jak gdyby wyczuz³, ¿e Shep lepiej zareaguje na cisze i bezruch ni¿ na dalsze naciski.

Oczyrna duszy Jilly zobaczyla kuchenny zegar, uemiechniê-t¹ œewinkê, na której brzuchu wskazówka sekundnika przesuwala siê po kolejnych cyfrach.

Nawet wspomnienie tego uemiechu wydawa³o siê nieprzy-jemne, wiêc odsunê³a od siebie obraz œewinki, ale w tej samej chwili ujrza³a mimo woli minutnik, za pomoc¹ którego Shep odmierzal czas k¹pieli pod prysznicem. Obraz ten wstrz¹sn¹l ni¹ bardziej ni¿ widok œewinki, poniewa¿ minutnik do zludzenia przypominal licznik bomby zegarowej.

Bandyci na dole otworzyli ogieñ, celuj¹c w sufit, a z podlo-gi strychu trysnêly geizery kul.

## 41 Bandyci zaczêli zbli¿aæ siê do siebie od przeciwleglych koñców domu, strzelali w górê

pociskami du¿ego kalibru, które wbijaly siê w sufit korytarza na piêtrze. Kule pru ly dyktê podlogi strychu, wyrzucaj¹c w górê odłamki drewna, ustanowily strefê œmierci szerokoœci œeœciu stóp i dlugoœci calego piêtra i wpuœcily z dolu w¹skie smugi bladego œwiatla. Niektóre pociski bombardowaly krokwie, inne przebijaly dach, wycinaj¹c z b³êkitu nieba gwiazdy w ciemnym sklepieniu sufitu strychu.

Jilly zrozumiala, dlaczego Dylan chcial, ¿eby usiedli w rogu, przywieraj¹c plecami do zewnêtrznej œciany.

Wzdłu¿ obrze¿a konstrukcja miêdzy nimi a piêtrem byla zapewne gêstsza i mo-gla zatrzymaa przynajmniej niektóre z pocisków wnika¹cych w podlogê strychu.

Siedziala z wyprostowanymi nogami, wiêc szybko podci¹gnêla je pod brodê, aby stanowiaæ jak najmniejszy cel, choæ i tak za du¿y.

Dranie na dole ca³y czas zmieniali magazynki, przeladowu-j¹c na zmianê, mogli wiêc prowadziæ szturm nieprzerwanie. Grzechot i huk ostrzalu parali¿owaly umys³, powstrzymuj¹c wszystkie uczucia z wyj¹tkiem przera¿enia i blokuj¹c wszystkie myœli z wyj¹tkiem myœli o œmierci.

Napastnikom nie brakowa³o amunicji. Nie bylo miejsca na chwilê wahania i zastanowienia siê nad lekkomyœlnoœci¹ i nie-moralnoœci¹ morderstwa popelnianego z zimn¹ krwi¹. Operacjê prowadzono systematycznie i bezwzglêdnie.

W slabym œwietle wpadaj¹cym przez osloniety otwór pod okapem Jilly zobaczyla, ¿e twarz Shepherd a o¿yla w nastêpuj¹-cych po sobie tikach i skurczach, ale oczy ukryte pod powieka mi nie drgaly jak zwykle. Grzmot wystrzalów niepokoil go, lecz silniejsza od strachu, który znów móg³by kazaæ mu szukaæ schronienia w g³êbi wlasnego umyslu, byla jakaa frapuj¹ca myœl i na niej zdawal siê skupiaæ



ca<sup>31</sup> uwagê.

Ogień umilkł.

W domu slychaæ bylo stukot i skrzypienie œwiadcza<sup>1</sup>ce o do-konanych zniszczeniach.

Wykorzystuj<sup>1</sup>c chwilê ciszy, która na pewno miała siê oka-zaæ krótk<sup>1</sup> przerw<sup>1</sup>, Dylan odważył siê zmobilizowaæ Shepher-da groŸb<sup>1</sup>:

- Krwawo-oœliŸle rzeczy, Shep. Niedlugo bêd<sup>1</sup> krwawo-oœli-zle rzeczy.

Bandy ci przeszli z korytarza do pokojów po obu stronach domu i ponownie otworzyli ogieñ.

Mordercy nie dotarli jeszcze do pokoju znajduj<sup>1</sup>cego siê bez-pocerednio pod rogiem strychu, w którym przycupnêli Jilly, Dylan i Shep. Ale zawitaj<sup>1</sup> tam za minutê. MoŸe wczesniej.

Choæ wœciekla kanonada koncentrowała siê w dwóch odda-lonych od siebie miejscach, cała podłoga strychu wibrowała od uderzeñ dziesi<sup>1</sup>tek wielkich pocisków.

Drewno skrzypiało i jêczało, metal kul dzwonił o gwoŸdzie i rury w œcianach.

Z krokwi wzbijały siê obłoki kurzu.

Koœci ptaka leŸ<sup>1</sup>ce na podłodze dręaly, jak gdyby wrócił w nie duch zdolny ożywia stworzenie.

Jedno z piórek, uwolnione, wzbilo siê spiralnie w opadaj<sup>1</sup>-cym kurzu.

Jilly chcia<sup>3</sup>a wrzasn<sup>1</sup>æ, ale nie miała odwagi, nie potrafi<sup>3</sup>a: gardło œcisnêło siê jak piêœæ, tamuj<sup>1</sup>c oddech.

Szybkostrzelne karabiny grzechotały tuŸ pod nimi, a przed ich oczami przez stertê pudel przedzierała siê chmara kul, mn<sup>1</sup>c, wykrzywaj<sup>1</sup>c i dr<sup>1</sup>c karton na strzêpy.

Shepherd otworzył szeroko oczy, zerwał siê z podłogi, stan<sup>1</sup>t wyprostowany i przyłgn<sup>1</sup> plecami do œciany.

Wypuszczaj<sup>1</sup>c raptownie powietrze, Jilly skoczy<sup>3</sup>a na równe nogi, Dylan równieŸ. Zdawa<sup>3</sup>o siê, Ÿe dom rozpadnie siê wokó<sup>3</sup> nich, zostanie rozerwany na kawa<sup>3</sup>ki przez cyklon ha<sup>3</sup>asu, jeœli wczesniej nie zmieni go w kupê gruzu huraganowy napór o<sup>3</sup>o-wiu i pocisków w stalowych płaszczach.

Dwie stopy przed nimi kule wœciekle rozrywa<sup>3</sup>y od do<sup>3</sup>u dyk-tê pod<sup>3</sup>ogi.

Coœ uk<sup>3</sup>u<sup>3</sup>o Jilly w czolo i gdy unios<sup>3</sup>a praw<sup>1</sup> rêkê, zanim zd<sup>1</sup>ę<sup>3</sup>a przycisn<sup>1</sup>æ d<sup>3</sup>oñ do rany, poczu<sup>3</sup>a na niej takie samo pa-rz<sup>1</sup>ce dotkniêcie. Krzyknê<sup>3</sup>a z bólu i zaskoczenia.

Mimo mroku i przys<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>cej wszystko chmury kurzu, zo-baczyła pierwsze kropelki krwi, które strz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a z palców. Roz-prysły siê ciemn<sup>1</sup> plam<sup>1</sup> na kartonach, tworz<sup>1</sup>c wzór, który nie-w<sup>1</sup>tpliwie przepowiadał jej przyszloœæ.

Ze zranionego czofia po skroni spłynêła fiukiem gruba kropla krwi, trafiaj<sup>1</sup>c do k<sup>1</sup>cika oka.

Jeden, trzy, piêæ i jeszcze wiêcej pocisków przeszyfio z trza-skiem podłogê bliŸej niŸ pierwsza seria.

Shepherd chwycił Jilly za rêkê.

Nie widzia<sup>3</sup>a, Ÿeby zacisn<sup>1</sup>ł palce i przekrêcił, ale strych wo-kófi nich złoŸy<sup>3</sup> siê i znikn<sup>1</sup>fi, a w jego miejsce pojawi<sup>3</sup>a siê ja-snoœæ.

Niskie krokwie rozci<sup>1</sup>gnêły siê w wysokie jasne niebo. Pod-łoga strychu wysunêfia siê spod ich stóp, które spoczêfiy wœród wysokiej do kolan z<sup>3</sup>otej trawy.

Zaskoczone koniki polne rozpierzchły siê na boki, wydaj<sup>1</sup>c suche i trzeszcz<sup>1</sup>ce cykanie przywodz<sup>1</sup>ce na myœl coœ od dawna martwego.

Jilly stafia z Shepem i Dylanem na zalanym sfioñcem wzgó-rzu. Daleko na zachodzie rozci<sup>1</sup>gafio siê morze, pofiyskuj<sup>1</sup>c jak zielona, roziskrzona zlotymi plamkami smocza fуска.

Wci<sup>1</sup>Ÿ slysza<sup>3</sup>a nieustanny terkot strza<sup>3</sup>ów, ale przytfiumiony odlegfioœci<sup>1</sup> i œcianami domu O'Connerów, który po raz pierw-szy zobaczyła z zewn<sup>1</sup>trz. St<sup>1</sup>d budynek nie wydawał siê jakoœ szczególnie zniszczony.

- Shep, to nie najlepszy pomysł, jesteœmy za blisko - zanie-pokoi<sup>3</sup> siê Dylan.

Shepherd puœcifi d<sup>3</sup>oñ Jilly i stafi jak poraŸony, wpatruj<sup>1</sup>c siê w krew kapi<sup>1</sup>c<sup>1</sup> z kciuka i dwóch palców jej prawej rêki.

W miêkk<sup>1</sup> czêœæ dloni wbila siê drzazga dfiugoœci dwóch ca-li i szerokoœci mniej wiêcej æwierci cala.

Zwykle na widok krwi Jilly nie miêkły kolana, wiêc byæ mo-Ÿe nogi dręaly jej nie z powodu krwi, ale na myœl, Ÿe rana mogła - i powinna - wygl<sup>1</sup>daæ o wiele gorzej.

Podtrzymuj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> pod ramiê, Dylan obejrzał jej czolo.

- To tylko dracenięcie. Prawdopodobnie trafiła cię druga drzazga, ale się nie wbiła. Więcej krwi niż szkody.

U stóp wzgórza, za fiłk, na podwórku otaczającym dom, stało na warcie trzech uzbrojonych mężczyzn, pilnowali, aby ich zdobycz jakimś cudem nie wymknęła się mordercom przeszkujcym podziurawione kulami pokoje. Zaden z nich nie pa-trzył w stronę wzgórza, ale szczęście mogło za chwilę opuścić troje ludzi, który stali na jego szczycie.

Korzystając z tego, że uwagę Jilly zaprzętał inny widok, Dylan chwycił drzazgę tkwiącą w jej dłoni i mocnym szarpnięciem wyciągnął. Jilly syknęła z bólu.

- Oczywiście to póŹniej - rzekł.

- Kiedy póŹniej? - spytała. - Jeżeli nie powiesz Shepowi, do-kiłd ma nas zlożyć, pewnie zabierze nas na wycieczkę do miejsc, którego nie mielibyśmy odwagi odwiedzić, na przykład do motelu w Holbrook, gdzie założy się, że na nas czeka - albo z powrotem do domu.

- No to gdzie jest bezpiecznie? - zastanawiał się Dylan, przez chwilę czując pustkę w głowie.

Może krew na dłoni i twarzy przypominała jej wizję na pu-styni, gdy natarła na nią fala białych skrzydeł i doświadczyla jeszcze gorszych rzeczy. W okrutną rzeczywistość dramatycznego dnia nagle wdarły się majaki - zapowiedź nieuchronnego zła, jakie miało nastąpić.

Przez pszeniczny zapach suchej trawy przebiła słodka i ostra woń kadzidla.

Przylumione odgłosy strzałów z domu raptownie przycichły, potem zupełnie ustaly, a na wzgórzu rozległ się srebrzysty ośmiech dzieci.

Dylan poznał po jakimś znaku, co się z nią dzieje, i domyślił się, że porwała ją fala jasnowidzenia.

- Co jest, co widzisz? - zapytał.

Odwracając się w stronę radosnych i melodyjnych głosików, nie zobaczyła jednak żadnych dzieci, lecz marmurową chrzcielnicę, tak, w której trzyma się wodę poświęconą w kościołach katolickich - porzuconą tu, na szczycie porośniętego trawą wzgó-rza, przekrzywioną jak płyta nagrobna na starym cmentarzu.

Uwagę Jilly przykuł jakiś ruch za plecami Shepa i gdy ode-rwała wzrok od chrzcielnicy, ujrzała matkę, jasnowosłą i niebieskooką dziewczynkę w wieku pięciu, sześciu lat, ubraną w białą koronkową sukienkę, z białymi wstążkami we włosach, która z powagą i zdecydowaniem trzymała w rękach bukiet kwiatów. Niewidzialne dzieci omiały się, a dziewczynka odwróciła się, jakby ich szukała, i gdy była obrócona plecami do Jilly, przestała istnieć...

- Jilly?

...lecz zamiast niej zaistniała, stojąca dokładnie w tym samym miejscu co dziewczynka, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta ubrana w blade, szare suknie, czarne rękawiczki i kapelusz ozdobiony kwiatami. Oczy uciekły jej w górę czaszki i widać było tylko białka, a w ciele miała trzy paskudne rany postrzałowe, jedną między piersiami. Choć kobieta nie była, szła w stronę Jilly, w blasku słońca wydawała się prawdziwsza od wszystkich zjaw, jakie ukazywały się w księżycowej poświacie, i wyciągała do niej rękę, jak gdyby prosząc o pomoc.

Jilly stała jak wmurowana, jakby trzymała się sięgającej gębkę korzenie, uchyliła się od dotyku widma, osłaniając się krwawą ręką, ale gdy palce martwej kobiety dotknęły jej dłoni - i poczuła charakterystyczny nacisk - zjawa zniknęła.

- To się stanie dzisiaj - powiedziała z pewnością Jilly. - Niedługo.

- Stanie się? Co? - zapytał Dylan.

W oddali krzyknął jeden z mężczyzn, drugi odpowiedział mu wrzaskiem.

- Zobaczyli nas - powiedziała Dylan.

W wielkiej ptaszarni nieba fruwała tylko jeden okaz - ja-strzyb, który wysoko w górze zataczał koła - a z trawy wokół nich nie poderwały się żadne ptaki, choć Jilly wyraźnie słyszała skrzydła, najpierw cichy trzepot, potem narastający szum.

- Idź na nas - ostrzegł Dylan, nie mówiąc o ptakach, lecz o mordercach.

- Skrzydła - powiedziała Jilly, gdy furkot niewidzialnych gołębi z każdą sekundą przybierał na sile. - Skrzydła.

- Skrzydła - powtórzył Shepherd, dotykając jej zakrwawionej dłoni, którą usiłowała odtrącić martwą

kobietê i wcił; trzy-ma³a wyci¹gniê¹ przed siebie.

G³uchemu ³up-³up-³up broni maszynowej, które w tym mo-mencie by³o rzeczywistoci¹, odpowiedzia³ bardziej metodyczny huk karabinów o dużym zasiêgu, który us³ysza³a tylko Jilly - strza³y pad³y w innym miejscu i czasie, który mia³ dopiero na-dejœæ, lecz zbli³a³ siê bardzo szybko.

- Jilly - rzek³ Shepherd, a ona wzdrygnê³a siê, s³ysz¹c swo-je imiê.

Popatrzy³a w jego zielone oczy, w których nie by³o cienia sennego roztargnienia, które nie unika³y jej spojrzenia jak do-tychczas, ale spogl¹da³y bystro i z g³êbok¹ obaw¹.

- Koeció³ - powiedzia³ Shepherd. - Koeció³ - przytaknê³a.

- Shep! - popêdza³ go Dylan, gdy kule zaczê³y wyrywaæ grudki ziemi i m³óciæ trawê na zboczu wzgórza nieca³e dwadzie-œcia stóp pod nimi.

Shepherd O'Conner przeniós³ „tu” „tam”, z³ożyl³ s³oñce, z³o-t¹ trawê, œwiszcz¹ce kule i roz³ożyl³ ch³odn¹ przestrzeñ o wyso-kim sklepieniu z oknami, których witraże wygl¹da³y jak ukoñ-czone gigantyczne uk³adanki.

## 42 Nawa g³ówna hiszpañskiego barokowe-go koeció³a, starej, przestronnej i piêknej

budowli - w której odbywa³y siê w³acenie jakieg³o prace remontowe - by³a pocerodku zwieñczona d³ugim sklepieniem beczkowym, po bokach skle-pieniami krzyżowymi, a przez œrodek biegn¹ d³uga kolumnada z³ożona z masywnych trzydziestostopowych filarów spoczywa-j¹cych na rzeŹbionych coko³ach.

T³um zgromadzony w koeci³e, liczy³y oko³o trzystu osób, wydawa³ siê bardzo maty w porównaniu z ogromn¹ przestrzeni¹ i rozmiarami elementów architektonicznych. Mimo Źe wszyscy mieli na sobie odœwiêtne stroje, nie mogli konkurowaæ z kaska-dami wielobarwnego œwiat³a padaj¹cego na nich przez zachodnie okna.

Rurowa konstrukcja rusztowania - wzniesionego w celu od-nowienia gipsowego fryzu zdobieg³ego trzy œciany - nie zdo³a³a przys³oniæ wspanieg³ego blasku okien jaœniej¹cych jak klejnoty. Wpadaj¹ce do wnêtra promienie s³oneczne przebija³y szafiro-we, rubinowe, szmaragdowe, ametystowe i Źóto-brylantowe szklane kszta³ty, rozrzucaj¹c skry œwiat³a w po³owie nawy g³ów-nej i znacz¹c barwnymi œcîtkami czêœæ przejócia miêdzy ³awkami.

W czasie odmierzonego dziesiêcioma uderzeniami serca Dy-ylan zd¹l³y³ ogarn¹æ spojrzeniem ca³y koeció³ i poznaæ ty³y szczegó³ów jego ornamentów, formy i funkcji. O z³ożonoœci architektury baroku œwiadczy³ jednak fakt, Źe mimo wiadomoœci na temat ty³y szczegó³ów Dylan wiedzia³ o tej budowli mniej wiêcej tyle, ile egiptolog wiedzia³by o nowo odkrytej piramidzie, gdyby zbada³ tylko jej wierzcho³ek wysokoœci œceciu stóp, któ-rego nie przysypa³y piaski Sahary.

Dokonawszy pobieg³ych oglêdzin koeció³a, Dylan opuœci³ wzrok i dostrzeg³ ma³¹, może dziewiêcioletni¹ dziewczynkê z warkoczami, zwiedzaj¹c¹ ciemny k¹t olbrzymiej nawy g³ów-nej, do którego z³ożyl³ ich Shepherd. Dziecko wstrzyma³o od-dech, wlep³o w nich zaskoczony spojrzenie, zamru³o oczami, a potem odwróci³o siê i pobieg³o do rodziców siedz¹cych w ³aw-ce, chc¹c ich z pewnoœci¹ poinformowaæ o przybyciu œwiêtych albo z³ych czarodziejów.

Choæ powietrze pachnia³o kadzid³em, tak jak w wizjach Jil-ly, nie s³ychaæ by³o ani muzyki, ani ³opotu skrzyde³. Trzystu lu-dzi rozmawia³o przyciszonymi g³osami, których szum unosi³ siê poceród kolumn tak lekko jak woñ kadzid³a.

Wiêkszoœæ zgromadzonych siedzia³a w ³awkach w przedniej czêœci koeció³a, zwrócona twarz¹ do prezbiterium. JeŹeli nikt nie by³ odwrócony i nie rozmawia³ z s¹siadem z nastêpnego rzê-du, nie mogli zauwaŹyæ magicznego z³ożenia trojga ludzi, po-niewaŹ nikt nie zerwa³ siê z miejsca, by lepiej im siê przyjrzeæ, ani nie wyda³ okrzyku zdumienia.

BliŹej nich m³odzi ludzie w smokach prowadzili na miej-sca spóŹnialskich. Eskorta by³a zbyt zajêta, a goœcie zbyt zaafê-rowani zbliŹaj¹c¹ siê uroczystoci¹, by zwróciæ uwagê na cu-down¹ materializacjê w odleg³ym zacienionym k¹cie.

- Œelub - szepnê³a Jilly.

- To tutaj?

- To Los Angeles. Mój koeció³ - powiedzia³a w oszo³omieniu.

- Twój?
- Tu śpiewam w chórze, kiedy byś miał.
- Kiedy to się stanie?
- Niedługo - odrzekł.
- A jak?
- Będzie strzelał.
- Znowu cholerne karabiny.
- Sześćdziesiąt siedem osób postrzelonych... czterdzieści ośmiu.
- Sześćdziesiąt siedem? - powtórzył, wstrząśnięty liczbą ofiar. - Czyli to nie będzie jeden bandyta.
- Więcej niż jeden - szepnął. - Więcej niż jeden.
- Ilu?

Jej spojrzenie szukało odpowiedzi w kluczach zwartych sklepień biegnących ukiem w stronę nieba, lecz po chwili zeczłonie się po kolumnach z łobnego marmuru na naturalnej wielkości rzeźby oświetlonych zdobici ich cokoły.

- Co najmniej dwóch - powiedział. - Może trzech.
- Shep się boi.
- Wszyscy się boimy, bracie - odparł Dylan, bo w tej chwili nie było go stać na lepsze pocieszenie. Jilly przyglądała się rodzinie i przyjacielom państwa młodych, jak gdyby patrząc z tyłu na ich głowy, chciała swoim szóstym zmysłem wydedukować, czy ktoś spośród nich przyszedł tu z zamiarem dokonania mordu.
- Bandyci na pewno nie zostali zaproszeni na celub - rzekł Dylan.
- Nie... chyba... nie...

Podeszła do wolnych ławek w ostatnim rzędzie, odrywając wzrok od zgromadzonych gości i spoglądając na prezbiterium za odległą balustradą.

Kolumnada oddzielała nawę główną od prezbiterium, podpierając poprzeczne łuki sklepienia. Za kolumnami znajdowało się miejsce dla chóru i ołtarz główny z cyborium i tabernakulum, za którym górował monumentalny, podświetlony od dołu krucyfiks.

Stając obok Jilly, Dylan rzekł:

- Może wejść dopiero wtedy, kiedy zacznie się uroczystość. Wpadnij i otwórz ogień.
- Nie. Już tu są.

Słysząc jej słowa, Dylan poczuł lodowaty chłód na karku. Jilly odwróciła się wolno, lustrując badawczo kościół, szukając.

Organista w prezbiterium uderzył w klawisze i rozległy się pierwsze nuty hymnu powitalnego.

Najwyraźniej robotnicy pracujący przy renowacji gipsowego fryzu zostawili otwarte okna lub drzwi, przez które do wnętrza dostali się dzicy lokatorzy, zajmując górne piętra. Spłoszone gołębie poderwały się ze swojej kryjówki w żebach sklepień i na rzeźbionych w marmurze głowicach kolumn i sfrunęły w dół na wyłonej. Nie była to ogromna fala, jak przewidywała Jilly, ale zaledwie osiem czy dziesięć, najwyżej tuzin ptaków, które wzbiły się z różnych miejsc kościoła, lecz natychmiast pochyliły się w stado i fruwały po tej stronie balustrady.

Na widok białoskrzydłego spektaklu gości wykrzyknęli, jak gdyby był to zaplanowany występ przed ceremonią zaślubin, a ponad ich głowami dał się słyszeć srebrzysty cemiach kilkorga uradowanych dzieci.

- Zaczyna się - oznajmiła Jilly, a na jej przybrudzonej krwi twarzy odmalowało się przerażenie.

Stado zataczało koła pod sklepieniem kościoła, polatując od rodziny panny młodej do rodziny pana młodego i z powrotem, przesuwając się równocześnie w głąb nawy głównej.

Jeden z młodzieńców wprowadzających gości wykazał się refleksem i ruszył na koniec nawy głównej, przebiegł pod rusztowaniem, przez otwarte drzwi do ogrodzonego przejścia, przypuszczalnie zamierzał otworzyć podwójne drzwi wejściowe, aby skrzydlaci intruzi mieli którędy uciec.

Jak gdyby synchronizując lot z dźwiękami hymnu i błogostawie zebranych, ptaki wzbiły się do lotu, potem zanurkowały i zatoczyły łuk od prezbiterium do przeciwległej ściany nawy głównej.

Przyciągane powiewem wiejącego powietrza i blaskiem słonecznym nieprzesłanym przez witraże,

go³êbie skierowa³y siê w stronê otwartych drzwi i wylecia³y z kococio³a, zostawiaj¹c po sobie tylko kilka œwietliœcie bia³ych piórek, które polatywa-³y w powietrzu.

Jilly z pocz¹tku wpatrywa³a siê jak urzeczona w piórka uno-szone ciep³ym pr¹dem, lecz po chwili nagle skierowa³a wzrok na szczyt rusztowania stoj¹cego pod wschodni¹ œcian¹ nawy g³ównej.

- Tam, na górze.

Wierzcho³ki wszystkich ³ukowatych okien znajdowa³y siê oko³o dwudziestu stóp nad posadzk¹ kococio³a. Szczyt rusztowania siêga³ dwie stopy wy¿ej, aby robotnicy mieli swobodny dostêp do pasa rzeŹbionego i malowanego gipsu szerokoœci trzech stóp, który zaczyna³ siê oko³o dwudziestu czterech stóp nad pod³og¹.

Górna platforma robocza, na której w ci¹gu tygodnia pro-wadzili prace remontowe rzemieœlnicy i robotnicy, mia³a mniej wiêcej piêæ stóp szerokoœci, czyli prawie tyle, co œrodkowe przejœcie miêdzy ³awkami, i by³a zbudowana z kawa³ków sklejki za-mocowanych do poziomych rur, które stanowi³y zwieñczenie rusztowania. Nie widzieli, kto mo¿e siê czaiæ na tym odizolo-wanym od reszty kococio³a wzniesieniu, poniewa¿ rusztowanie by³o za wysokie, a pod sklepieniem nie pali³y siê lampy u¿ywa-ne przez robotników i panowa³ mrok.

W œcianie nawy g³ównej naprzeciw o³tarza nie by³o okien, jednak ci¹gn¹³ siê wzd³u¿ niej fryz, a tak¿e rusztowanie. Dzie-siêæ stóp dalej, tu¿ po lewej rêce Shepherd, znajdowa³a siê wbu-dowana w rusztowanie drabina: rurkowe szczelby pokrywa³a gêsto rowkowana guma.

Dylan podszed³ do drabiny, dotkn¹³ szczelby nad swoj¹ g³ow¹ i natychmiast poczu³ dotyk œladu psychicznego z³ych ludzi, jak nag³e uk³ucie skorpiona.

Jilly, która razem z nim pospieszy³a do drabiny, musia³a do-strzec okropn¹ zmianê w wyrazie jego twarzy i oczu.

- O Bo¿e, co?

- Trzech - powiedzia³, odrywaj¹c d³oñ od szczelby, kilka-krotnie wyginaj¹c i zaciskaj¹c palce, jak gdyby chcia³ siê po-zbyæ mrocznej energii, która wczepi³a siê w jego rêkê jak pijaw-ki. - Fanatycy. Chorzy z nienawiœci. Chc¹ zabiaæ ca³y orszak, ksiêdza i tylu goœci, ilu siê da.

Jilly odwróci³a siê w stronê o³tarza. - Dylan!

Pod¹aj¹c za jej wzrokiem, ujrza³ ksiêdza i dwóch ministran-tów, którzy zjawili siê ju¿ w prezbiterium i schodzili ambitem od o³tarza w stronê balustrady.

Do nawy g³ównej weszli bocznymi drzwiami dwaj m³odzi mêtczyŹni w smokingach i ruszyli w stronê œrodkowego przejœcia. Pan m³ody i pierwszy dru¿ba.

- Musimy ich ostrzec - powiedzia³a Jilly.

- Nie. Je¿eli zaczniemy krzyczeæ, nie bêd¹ wiedzieli, kim je-steœmy i mog¹ nie zrozumieæ, o co nam chodzi. Nie zareaguj¹ od razu - a bandyci zareaguj¹. Otworz¹ ogieñ. Nie zabij¹ pan-ny m³odej, ale trafi¹ pana m³odego i mnóstwo goœci.

- W takim razie musimy wejœæ na górê - odpar³a, chwytaj¹c siê drabiny, jakby zamierza³a wspi¹æ siê na rusztowanie. Zatrzyma³ j¹, k³ad¹c jej d³oñ na ramieniu.

- Nie. Pamiêtaj o wibracjach. Ca³e rusztowanie zacznie siê trz¹œæ. Poczuj¹, ¿e wchodzimy. Bêd¹ wiedzieli, ¿e idziemy. Shepherd sta³ w zupe³nie niezwyk³ej dla siebie pozie: nie po-chyla³ g³owy, nie garbi³ siê i nie gapi³ w pod³ogê, ale z zadart¹ g³ow¹ przygl¹da³ siê polatuj¹cemu piórku.

Staj¹c miêdzy bratem a piórkiem, Dylan spojrze³ mu pro-sto w oczy.

- Shep, kocham ciê. Kocham ciê... i chcê, ¿ebyœ siê skupi³. Odrywaj¹c wzrok od piórka i zatrzymuj¹c go na Dylanie, Shep powiedzia³:

- Biegun p³³nocny.

Przez chwilê Dylan sta³ skonsternowany, dopóki nie zorien-towa³ siê, ¿e Shep powtarza jedn¹ z odpowiedzi Jilly na jego monotennie powtarzane pytanie „Gdzie jest lód?”.

- Nie, bracie, daj spokój z biegunem p³³nocnym. Skup siê, tu i teraz.

Shep mruga³ oczami jak gdyby zdziwiony.

Obawiaj¹c siê, ¿e brat zamknie oczy i wycofa siê do bez-piecznego k¹ta w swoim umyœle, Dylan powiedzia³:

- Szybko, musisz nas natychmiast zabraæ st¹d tam. - Wska-za³ posadzkê pod ich stopami. - St¹d. -

Potem wskaza<sup>3</sup> na szczyt rusztowania stoj<sup>1</sup>cego z ty<sup>3</sup>u nawy g<sup>3</sup>ównej, a drug<sup>1</sup> ręk<sup>1</sup> odwróci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê Shepa w tym kierunku. - Na tê platformê, tam. St<sup>1</sup>d tam, Shep. St<sup>1</sup>d tam. Skończy<sup>3</sup> siê hymn powitalny. Ostatnie d<sup>1</sup>wiêki organowe odbija<sup>3</sup>y siê g<sup>3</sup>uchym echem od sklepieñ i kolumnad.

- St<sup>1</sup>d? - spyta<sup>3</sup> Shep, pokazuj<sup>1</sup>c posadzkê miêdzy nimi. - Tak.

- Tam? - spyta<sup>3</sup> Shep, pokazuj<sup>1</sup>c platformê robocz<sup>1</sup> nad ich g<sup>3</sup>owami.

- Tak, st<sup>1</sup>d tam.

- St<sup>1</sup>d tam? - powtórzy<sup>3</sup> Shep, marszcz<sup>1</sup>c w zdumieniu czo<sup>3</sup>o. - St<sup>1</sup>d tam, bracie.

- Niedaleko - rzek<sup>3</sup> Shep.

- Rzeczywiście, skarbie - zgodzi<sup>3</sup>a siê Jilly. - Niedaleko i wiemy, że potrafisz dokonaæ o wiele wiêkszych rzeczy, sk<sup>3</sup>a-daæ o wiele dalej, ale w tej chwili wystarczy, żebyœ z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> nas st<sup>1</sup>d tam.

Gdy wybrzmia<sup>3</sup>y ostatnie tony hymnu, na parê sekund zapa-d<sup>3</sup>a cisza siêgaj<sup>1</sup>ca najdalszych zak<sup>1</sup>tków koœcio<sup>3</sup>a i nagle orga-nista zacz<sup>13</sup> graæ „Oto panna m<sup>3</sup>oda”.

Dylan spojrze<sup>3</sup> na œrodkowe przejœcie miêdzy <sup>3</sup>awkami i w odleg<sup>3</sup>oœci mniej wiêcej osiemdziesiêciu stóp ujrza<sup>3</sup> piêkn<sup>1</sup> m<sup>3</sup>od<sup>1</sup> kobietê wychodz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> z ogrodzonego przejœcia przed drzwiami, której towarzyszy<sup>3</sup> przystojny m<sup>3</sup>odzianiec w smokin-gu. Przeszli pod rusztowaniem, minêli chrzcielnicê ze œwiêcon<sup>1</sup> wod<sup>1</sup> i znale<sup>1</sup>li siê w nawie g<sup>3</sup>ównej. Kobieta by<sup>3</sup>a ubrana w b<sup>3</sup>ê-kitn<sup>1</sup> sukniê i b<sup>3</sup>êkitne rêkawiczki i trzyma<sup>3</sup>a ma<sup>3</sup>y bukiet kwia-tów. Druhá wsparta na ramieniu dru<sup>1</sup>by. Powaçni i skupieni na tempie kroków, szli w klasycznym przerywanym rytmie or-szaku panny m<sup>3</sup>odej.

- Tutam? - zapyta<sup>3</sup> Shep.

- Tutam - przytakn<sup>13</sup> zniecierpliwiony Dylan. - Tutam! Goœcie podnieœli siê z miejsc i odwrócili, by obserwowaæ wej-œcie panny m<sup>3</sup>odej. Orszak z pewnoœci<sup>1</sup> zupe<sup>3</sup>nie przykuje ich uwagê i prawdopodobnie nikt, mo<sup>1</sup>że z wyj<sup>1</sup>tkiem jednej dziew-czynki z warkoczami, nie zauwa<sup>1</sup>zy znikniêcia trzech postaci z odleg<sup>3</sup>ego zacienionego k<sup>1</sup>ta.

Palcami jeszcze wilgotnymi od krwi Jilly, Shepherd znów siêgn<sup>13</sup> po jej rękê.

- Poczuj, jak to dzia<sup>3</sup>a, ca<sup>3</sup>a zupe<sup>3</sup>noœæ wszystkiego.

- St<sup>1</sup>d tam - przypomni<sup>3</sup>a mu Jilly.

Gdy wesz<sup>3</sup>a druga druhá z towarzyszem, wszystko, co Dy-lan widzia<sup>3</sup>, z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>o siê i ulecia<sup>3</sup>o.

**43** Pod ich stopami roz<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a siê górna plat-forma rusztowania, która zaskrzypia<sup>3</sup>a i lekko zadr<sup>1</sup>a<sup>3</sup>a, przyj-muj<sup>1</sup>c na siebie ich ciê<sup>1</sup>ar i Dylan zobaczy<sup>3</sup> po prawej stronie rze<sup>1</sup>Źbiony fryz, a po lewej karko<sup>3</sup>omn<sup>1</sup> przepaææ.

Pierwszy z trzech bandytów - brodaty, z rozczochranymi w<sup>3</sup>osami, o wielkiej g<sup>3</sup>owie na chudej szyi - siedzia<sup>3</sup> w odleg<sup>3</sup>oœci zaledwie kilku stóp od nich, opieraj<sup>1</sup>c siê o œcianê nawy. Obok niego le<sup>1</sup>a<sup>3</sup> karabin szturmowy i szeœæ zapasowych magazynków.

Choæ rozpoczê<sup>3</sup>a siê ju<sup>1</sup> muzyka na wejœcie orszaku, fana-tyk nie zaj<sup>13</sup> jeszcze pozycji strzeleckiej.

Le<sup>1</sup>a<sup>3</sup> obok niego „En-ertainment Weekly”, którego lektur<sup>1</sup> skraca<sup>3</sup> sobie widocznie czas oczekiwania.

Dos<sup>3</sup>ownie przed chwil<sup>1</sup> wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> z opako-wania czekoladkê w kszta<sup>3</sup>cie grubego kó<sup>3</sup>eczka.

Zdziwiony wstrz<sup>1</sup>sem, który zako<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> rusztowaniem, ban-dyta odwróci<sup>3</sup> siê w lewo. Spojrze<sup>3</sup> zdumiony na góruj<sup>1</sup>cego nad nim Dylana, który sta<sup>3</sup> nie dalej ni<sup>1</sup> cztery stopy od niego.

Facet dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup> zupe<sup>3</sup>nie mechanicznie. Mimo że szeroko otworzy<sup>3</sup> oczy ze zdumienia, pstrykn<sup>13</sup> kciukiem, wrzucaj<sup>1</sup>c cze-koladowe kó<sup>3</sup>eczko prosto do ust.

Dylan mocno go kopn<sup>13</sup>, wbijaj<sup>1</sup>c mu w gard<sup>3</sup>o chyba nie tylko czekoladkê, ale te<sup>1</sup> parê zêbów.

G<sup>3</sup>owa mi<sup>3</sup>ocenika czekoladek odskoczy<sup>3</sup>a do ty<sup>3</sup>u i uderzy<sup>3</sup>a w gipsowy fryz. Oczy uciek<sup>3</sup>y mu w g<sup>3</sup>1b czaszki, g<sup>3</sup>owa zwis<sup>3</sup>a bezw<sup>3</sup>adnie na szyi i osun<sup>13</sup> siê nieprzytomny na bok.

Wymierzaj<sup>1</sup>c mu kopniaka, Dylan straci<sup>3</sup> równowagê. Za-ko<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> siê, chwyci<sup>3</sup> jedn<sup>1</sup> ręk<sup>1</sup> fryzu i unikn<sup>13</sup> upadku w czeluœæ.

\*\*\*

Dylan stan<sup>13</sup> na rusztowaniu pierwszy, najbli<sup>1</sup>ej bandyty, maj<sup>1</sup>c Shepa za plecami.

Jilly roz<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a siê ostatnia i puœci<sup>3</sup>a rękê Shepa, wci<sup>1</sup>l<sup>1</sup> czuj<sup>1</sup>c, jak to dzia<sup>3</sup>a, czuj<sup>1</sup>c ca<sup>31</sup> zupe<sup>3</sup>noœæ

wszystkiego.

- Ach! - wyrzuciła z siebie, bo wiedziała, że nie znajdzie właściwych słów, by opisać to, czego się dowiedziała - bardziej intuicyjnie niż intelektualnie - o architekturze rzeczywistości. - Ach!

W bardziej sprzyjających okolicznościach by mogła usiąść i spędzić na rozmyśleniach godzinę albo rok, jeśli wspaniały kciuk i od czasu do czasu wołał ją mamusię. Jednak wnieśli się nie tylko z posadzki kościoła na szczyt rusztowania, ale także w pobliżu ości, czuli jej lodowaty oddech i Jilly nie miała czasu na przyjemność czerpania z ssania kciuka.

Gdyby Dylan nie poradził sobie z tym ludzkim stworzeniem, nie mógłby mu w żaden sposób pomóc i ostatecznie zostaliby skazani na ościerze od kul. Dlatego też kiedy Dylan kopał bandy-tę w szczękę, Jilly natychmiast zaczęła się rozglądać, szukając dwóch pozostałych.

Dwadzieścia dwie stopy niżej goście przyglądali się, jak za orszakiem zmierza pierwsza drużyna. Orszak pokonał już pół drogi do ołtarza. Wysokość i cień osłaniały całość ich trójki i zebrani nie widzieli, jak Dylan kopie, Jilly rozgląda się, a Shep shepie.

Panny młodej nie było jeszcze widać.

Za pierwszą drużyną szedł, celebrował z namaszczeniem każdy krok, mały chłopek, który niósł obrączki. Za nimi podługą aliczna jasnowłosa dziewczynka w wieku pięciu czy sześciu lat, ubrana w białą koronkową sukienkę i białe rękawiczki, z białymi wstawkami we włosach; trzymała mały pojemnik z perłami róż, które sypała przed panną młodą.

Akordy marsza wybuchające spod palców organisty niosły pod sklepienia obietnice małżeńskiego szczęścia i zdawało się, że w szale radości z powodu zbliżających się zaślubin zaraz zburzył podtrzymujące dach kolumny.

Jilly dostrzegła drugiego bandytę na rusztowaniu pod zachodnią ością, nad kolorowymi oknami, wysuniętego daleko z przodu nawy głównej, skąd mógł bez kłopotu wziąć na cel prezbiterium i strzelać przez kolumnadę, pod poprzecznymi słupkami sklepienia. Leżał na platformie wychylony w stronę czekającego pana młodego i pierwszego drużby.

Mimo sabiego światła na górze zdawała się zobaczyć, że morderca nie odwróci się, żeby spojrzeć na orszak, ale spokojnie przygotowywał się do rzezi, namierzając cel i obliczając trajektorię pocisków.

Dylan dobiegł do Jilly i Shepa, trzymając karabin za lufę. - Widzisz ich?

Wskazała na zachodnie rusztowanie.

- Tam jest drugi, ale nie wiem, gdzie trzeci.

Nie widzieli stąd za dobrze rusztowania na wschodniej ości. Człowiek górnej platformy przyspieszył wiele kolumn. Dylan poprosił Shepherda, żeby zorientował ich z południowego rusztowania, ale bardzo precyzyjnie, tak aby znaleźli się dokładnie obok leżącego na zachodniej platformie bandyty. Dylan chciał być przy nim pierwszy, żeby kolbą karabinu odebranego pierwszemu mordercy wymierzył sprawiedliwość drugiemu. - Znowu niedaleko - zauważył Shep.

- Rzeczywiście. Krótka podróż - przytaknął Dylan. - Shep umie daleko.

- Tak, bracie, wiem, ale musimy niedaleko. - Shep umie bardzo daleko.

- Wystarczy stąd tam, bracie.

W nawie pod nimi ukazała się panna młoda prowadzona pod ramię przez ojca.

- Szybko, skarbie - dodała niecierpliwie Jilly. - Musimy się tam zorientować jak najszybciej. Dobrze?

- Dobrze - odparł Shep.

Nadal stali na szczycie południowego rusztowania. - Skarbie? - ponagliła Jilly.

- Dobrze.

„Oto panna młoda” - huczały organy, ale ona już ich minęła. Zbliżyła się do balustrady prezbiterium, przed którą czekał pan młody.

- Bracie, co jest, dlaczego jeszcze się nie skłaniamy? - Dobrze.

- Bracie, słuchasz mnie, naprawdę słuchasz? - Myślenie - odrzekł Shep.

- Nie myśl, na litość boską, skłanaj. - Myślenie.

- Zróz nas stąd! - Dobrze.

Pan młody, pierwszy drużba, drużyna i drużbowie, pierwsza drużyna, chłopiec z obrączkami, dziewczynka z kwiatami, ojciec

panny m<sup>3</sup>odej i panna m<sup>3</sup>oda - ca<sup>3</sup>y orszak znalaz<sup>3</sup> siê w polu rażenia mordercy zajmuj<sup>1</sup>cego pozycjê na zachodnim ruszto-waniu i najprawdopodobniej weszli tak<sup>3</sup>e pod lufê trzeciemu bandycie, który jeszcze nie zosta<sup>3</sup> zlokalizowany.

- Dobrze.

Shep siêgn<sup>13</sup> poza œwiat, który widzimy, za to, co wyczuwa-my piêcioma zmys<sup>3</sup>ami, i œcisn<sup>13</sup> w palcach g<sup>3</sup>êbok<sup>1</sup> strukturê rzeczywistoœci, która przypomina<sup>3</sup>a najcieñsz<sup>1</sup> b<sup>3</sup>onê, najprost-sz<sup>1</sup> pod s<sup>3</sup>oñcem, a jednak sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a siê z jedenastu wymiarów. Przekrêci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> lekko, czyni<sup>1</sup>c czas i przestrzeñ pos<sup>3</sup>usznymi swo-jej woli, i z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ich troje z po<sup>3</sup>udniowego rusztowania na rusz-towanie zachodnie lub - œciœle rzecz bior<sup>1</sup>c - z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> i oddali<sup>3</sup> od nich po<sup>3</sup>udnie, a potem z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> i przybli<sup>3</sup>y<sup>3</sup> do nich zachód, choœ to rozróżnienie wy<sup>3</sup>cznie techniczne, bo efekt by<sup>3</sup> identyczny.

Kiedy ich rzeczywistoœci<sup>1</sup> sta<sup>3</sup>o siê rusztowanie pod zachod-ni<sup>1</sup> œcian<sup>1</sup>, Jilly zobaczy<sup>3</sup>a, jak Dylan unosi nad g<sup>3</sup>owê karabin, zamierzaj<sup>1</sup>c u<sup>3</sup>yæ kolby jak maczugi.

Drugi bandyta le<sup>3</sup>a<sup>3</sup> na brzuchu, podpieraj<sup>1</sup>c siê lekko na le-wym przedramieniu i spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c przez koœció<sup>3</sup> na wschodni<sup>1</sup> œcianê. Do paska mia<sup>3</sup> przytroczon<sup>1</sup> uwiê<sup>3</sup>, któr<sup>1</sup> niczym alpinista przewlók<sup>3</sup> przez karabiñczyk zamocowany w œcianie, najprawdo-podobniej po to, ¿eby przeciwdzia<sup>3</sup>aæ skutkom odrzutu i zapew-nia sobie stabilnoœæ, gdyby postanowi<sup>3</sup> strzelaæ na stoj<sup>1</sup>co.

Nie nosi<sup>3</sup> brody jak jego kompan, lecz kilkudniowy zarost, i by<sup>3</sup> ubrany w spodnie robocze oraz

koszulkê ozdobion<sup>1</sup> na ple-cach uniwersalnym symbolem patriotyzmu amerykańskiego - logo Budweisera - mimo to nie przeszed<sup>3</sup>by przez kontrolê celn<sup>1</sup> na wschód od Akela w Nowym Meksyku, gdzie nawet na bied-nego Freda w podejrzanej doniczce patrzyli bardzo nieufnie. Bandyta uniós<sup>3</sup> siê na lewej rêce, ¿eby daæ komuœ sygn<sup>3</sup> praw<sup>1</sup>. Tym kimœ okaza<sup>3</sup> siê trzeci morderca.

Dok<sup>3</sup>adnie naprzeciw wielbiœciela budweisera podniós<sup>3</sup> siê ostatni z bandytów - ostro zarysowany cieñ wœród innych bez-kszt<sup>3</sup>tnych cieni. Zapewne równie<sup>3</sup> by<sup>3</sup> zabezpieczony uwiêzia i uzbrojony w karabin szturmowy - w nik<sup>3</sup>ym œwietle widaæ by<sup>3</sup>o, ¿e to krótki karabinek, jeden z tych morderczych automatów ze sk<sup>3</sup>adany<sup>3</sup> o<sup>3</sup>em.

- Shep chce ciasta - powiedzia<sup>3</sup> Shepherd, jak gdyby w<sup>3</sup>a-œnie zda<sup>3</sup> sobie sprawê, ¿e to œlub. Dylan r<sup>1</sup>bn<sup>13</sup> drugiego bandy-tê kolb<sup>1</sup> karabinu w g<sup>3</sup>owê, a Jilly zorientowa<sup>3</sup>a siê, ¿e s<sup>1</sup> w po-trzasku i bez w<sup>1</sup>tpienia zostan<sup>1</sup> zastrzeleni, podobnie jak orszak i wielu goœci.

Trzeci morderca, który by<sup>3</sup> œwiadkiem ich cudownej materia-lizacji i widzia<sup>3</sup>, jak jego kompan dostaje cios w g<sup>3</sup>owê i traci przytomnoœæ, móg<sup>3</sup> w jednej sekundzie otworzyæ ogieñ, zanim Shepherd da<sup>3</sup>oby siê przekonaæ, ¿e musz<sup>1</sup> odbyæ jeszcze jedn<sup>1</sup> krótk<sup>1</sup> podró<sup>3</sup>.

Istotnie, gdy kolba wy<sup>3</sup>adowa<sup>3</sup>a z odpowiedni<sup>1</sup> si<sup>3</sup> na czas-ce drugiego bandyty, trzeci zacz<sup>13</sup> unosiæ karabin w kierunku zachodniego rusztowania.

- Tu, tam - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - Tu, tam.

W nadziei, ¿e pamiêta mechanizm jedenastowymiarowej macierzy i ca<sup>3</sup>ej zupe<sup>3</sup>noœci wszystkiego tak samo dobrze jak sto osiemnaœcie dowcipów o grubych ty<sup>3</sup>kach, Jilly zsunê<sup>3</sup>a z ra-mienia torebkê, która wy<sup>1</sup>dowa<sup>3</sup>a na platformie u jej stóp. Ujê<sup>3</sup>a w palce szczyptê niczego, przekrêci<sup>3</sup>a i z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>la siê z za-chodniej œciany na wschodnie rusztowanie, maj<sup>1</sup>c nadziejê, ¿e zaskoczenie da jej przewagê i uda siê jej wyrwaæ broñ z r<sup>1</sup>k mordercy, zanim ten nacienie spust. Z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a sama siebie i tylko siebie, poniewa<sup>3</sup>, w ostatniej chwili, gdy przekrêca<sup>3</sup>a palce, pomyœla<sup>3</sup>a o filmie „Mucha" i nie chcia<sup>3</sup>a nadstawiæ g<sup>3</sup>owy, gdy-by nos Dylana mia<sup>3</sup> zostaæ na zawsze umieszczony pod lew<sup>1</sup> pach<sup>1</sup> Shepherd.

Prawie uda<sup>3</sup>o siê jej przenieœæ z rusztowania na rusztowanie. Od celu dzieli<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> zaledwie osiem czy dziesiêæ stóp.

Sta<sup>3</sup>a obok Shepa na szczycie zachodniego rusztowania, a pó<sup>3</sup> chwili pó<sup>3</sup>niej roz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a siê w powietrzu, dwadzieœcia dwie stopy na posadzk<sup>1</sup> koœcio<sup>3</sup>a.

Choœ jej dokonanie, mimo ¿e dalekie od doskona<sup>3</sup>oœci, nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o uznaæ za osi<sup>1</sup>gniêcie pod ka<sup>3</sup>dym wzglêdem fantastyczne i choœ horda pracowitych nanomaszyn i nanokomputerów w czasie krótszym ni<sup>3</sup>, jeden dzieñ obdarzy<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> zdumiewaj<sup>1</sup>cymi zdolnoœciami, Jillian Jackson nie potrafi<sup>3</sup>a lataæ.

Zmaterializo-wa<sup>3</sup>a siê tak blisko trzeciego bandyty, ¿e zobaczy<sup>3</sup>a jego wyba<sup>3</sup>u-szone oczy i minê wyra<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> absolutne i bezbrze<sup>3</sup>ne zdumie-nie, przez sekundê zdawa<sup>3</sup>a siê wisieæ w powietrzu, lecz potem runê<sup>3</sup>a w dó<sup>3</sup> jak studziœciofuntowy kamieñ.



\*\*\*

Terrorysta ubrany w koszulkę z logo Budweisera musiał mieć niezwykle twarde g³owê, zważywszy na fakt, że wspólne cech wszystkich, którzy poświęcają swoje życie bezsensownej przemocy, jest nieczułość na nowe idee i prawdę. Okazało się jednak, że kolba karabinu była twardsza.

Jak na człowieka o wrażliwej duszy artysty Dylan poczuł dziwne wielkie przyjemności na dźwięk zetknięcia kolby z czaszką i chętnie powtórzyłby cios, gdyby nie usłyszał Jilly, która powiedziała: „Tu, tam”. Wyraźna obawa w jej głosie zaniepokoiła go.

Kiedy na niego spojrzę, złożyła się w gwiazdkę o konturach cienkich jak linie narysowane ołówkiem, które natychmiast złożyły się w maleńkie kropki i zniknęły. Serce Dylana zdęło uderzyć raz, potem drugi - czyli upłynęła sekunda, może mniej - gdy Jilly pojawiła się zawieszona w powietrzu wysoko nad gołębiami zgromadzonymi w kościele.

Wisiła tam wbrew prawu ciążenia przez chwilę trwając dwa gośne uderzenia serca Dylana, jak gdyby podtrzymywana była fala muzyki organowej, a potem kilku gości krzyknęło w szoku, widząc ją zawieszoną nad swoimi głowami. Jego serce na moment zamarło, po czym znów rozległ się mocny szum ciał-człczy o wznowieniu krążenia i Dylan zobaczył, jak Jilly spada prosto we wrzeszczący ze strachem chór.

Lecąc w dół, zniknęła.

~ ~ Trudna publiczność czasem przyjmowała jej materiały w milczeniu, niekiedy nawet ją wygwizdywała, ale nigdy dotąd żadna publiczność na nią nie wrzeszczała. Była może Jilly odpowiedziałyby im wrzaskiem, spadając prosto między przerażonych widzów, lecz za bardzo pochłaniała ją odciskanie w palcach struktury rzeczywistości i skądanie się z rozdziawionej paszczy śmierci na szczyt wschodniego rusztowania, gdzie zamierzała się dostać, kiedy opuściła Dylana, który walił drągami bandytę kolbą w głowę.

Rubinowe i szafirowe promienie światła wpadające przez witraże, rzeźbiony marmur kolumn, rzędy drewnianych słupów, przerażone twarze odwrócone do góry nogami - wszystko nagle się złożyło. Jednak słysząc po bękitnobiającej jasności przeważającej w kalejdoskopowym wzorze, jak szybko skądają się wokół niej, miejsce, do którego trafiła, było zbyt mocno oświetlone jak na platformę na szczycie wschodniego rusztowania.

Oczywiście, okazało się, że stoi na dachu kościoła i znów chybiła, skądając się o dobre dziesięć stóp powyżej celu. Lazurowe bękit nieba, białe, pierzaste chmury, złoty blask słońca. Czarna pyłki szupkowej dachu.

Dach z czarnych szupków o niebezpiecznie stromym spadku.

Patrząc na ulicę w dole, poczuła, że dostaje zawrotów głowy. Kiedy spojrzała na wieżę dzwonnicy górującą trzy piętra nad dachem, zawroty jeszcze się nasiliły.

Chciała się złożyć z dachu kościoła natychmiast - lecz na moment zastygła w bezruchu, straciła zinną krew i opadła ją lek, że popełni jeszcze większy błąd. Może tym razem rozłożyła się wbita po ową ciąża w marmurową kolumnę w nawie głównej, z drugiej po ową ciąża na zewnątrz, wstrząsaną przedmiernymi drgawkami, a większą jej narządów wewnętrznych na zawsze położyła się z kamieniem.

Skoro już pomyślała o tak makabrycznym rozwoju wypadków, była prawie pewna, że tak się w stanie stanie. Nie potrafi wyrzucić z pamięci widoku siebie samej w powiecie zściżonej z kamieniem i kiedy złożyła się „stamtam”, „tam” okazała się ośrodkiem kolumny, a ona pozostanie bardziej związana z kościołem niż w czasach, gdy śpiewała w chórze.

Mogła stać jeszcze kilka minut na dachu, ale się uspokoi i odzyska pewność siebie; okazało się jednak, że taka możliwość nie wchodzi w grę. Po trzech, najwyżej czterech sekundach zaczęła się zsuwać.

Może szupkowe pyłki były czarne, kiedy kładziono dach, ale równie dobrze mogły być szare, zielone czy różowe. Teraz, w powiecie bezdeszczowego lata, dachówki były czarne i gładkie, ponieważ gęste od smogu powietrze pokryło je drobnym pyłem sadzy.

Sadza okazała się drobna jak sproszkowany grafit. Sproszkowany grafit to doskonały smar. Sadza także.

Na szczęście Jilly stała blisko szczytu dachu; dlatego nie zsunęła się od razu na jego skraj i nie runęła na beton, zamiast wszystkie kości, ani nie nadzieja się na sterzycy groźnie i elastyczny stop, ani nie wpadła w paszczę czyhającej sfory pitbulterierów. Zjechała mniej więcej dziesięć stóp i nagle odzyskała przyczepność, tak gwałtownie, że omal nie poleciała do przodu. Zdołała się jednak utrzymać na nogach.

Potem znów zaczęła się zeszłościwać. Zjechała po czarnych płytach do progu skoczni. Szykowała się do skoku. Nabierała prędkości, żeby uzyskać odległość kwalifikacyjną do olimpiady.

Jilly miała na nogach buty sportowe i sama była dość wysportowana, nie umiała się jednak zatrzymać. Choć wymachiwała rękami jak drwal w konkursie obracania nogami bala, z trudem utrzymywała równowagę i nagle jej jedna stopa straciła kontakt z podłożem. Spadała, zdając sobie sprawę, że grzmotnie w dach kości ogonów. Wąska, że zamiast chudego tyłka nie ma grubego pupka, ale wszystkie lata odmawiania sobie płczków w końcu się na niej zemściły. Za chwilę otworzy się pod nią przepaść.

Akurat. Nie chciała umierać ciemnicą Negatywnie Nasta-wionej Jackson. Miała dość siły woli, aby samej decydować o swoim przeznaczeniu, zamiast być bierną ofiarą losu.

Cała zupełnie wszystkiego, piękna w swej jedenastymia-rowej prostocie, złożyła się na jej rozkaz i Jilly opuściła pokryty szałdach, nie kończąc zjazdu w otchłan ciemnicy.

Kiedy spadając na posadzkę kości, Jilly uniknęła, goście wrzasnęli jeszcze głębiej, a organista oderwał palce od klawiatury. Potem wrzaski równocześnie ucichły i wszyscy jak jeden mąż wstrzymali w zdumieniu oddech.

Oglądając spektakl z góry, Shepherd powiedział: - No, no.

Dylan błyskawicznie spojrzał na platformę wschodniego rusztowania, gdzie stał trzeci bandyta z karabinem. Chyba zbyt oszołomiony, żeby wykonać swój pierwotny plan, morderca nie otworzył jeszcze ognia. Wahanie nie mogło trwać długo; w ciągu paru sekund jego nienawieść okazała się potężniejsza od zaskoczenia, jakie wywołał w nim widok niezaprzeczalnego cudu.

- Bracie, stąd tam. - No, no.

- Zabierz nas tam, bracie. Do zęgo człowieka. - Myślenie.

- Nie myśl, bracie. Po prostu skądaj. Stąd tam. Tymczasem na dole większość gości, którzy nie patrzyli w górę, gdy Jilly najpierw pojawiła się w powietrzu, a potem, spadając, zniknęła, odwrócili się skonsternowani do tych, którzy wszystko widzieli. Jaką kobietą zaczęła pisać, a piskliwy dziecięcy głosik - należący bez wątpienia do pewnej dziewczynki z warkoczami - powiedział:

- Mówię ci, mówię ci! - Bracie...

- Myślenie.

- Na litość boską!... - No, no.

Jakby do przewidzenia, jeden z gości-kobieta w różowym kostiumie i różowym kapeluszu z piórami - zauważył trzeciego

mordercę, który stał wychylony na skraju platformy na szczycie wschodniego rusztowania i spoglądał w dół, zabezpieczony liną przymocowaną do ściany. Kobieta w różowym kostiumie musiała też zobaczyć karabin, bo pokazała na niego i wrzasnęła.

Nic nie mogło lepiej wyrwać bandyty ze zbawiennej wahań niż ten alarmujący krzyk.

\*\*\*

Jilly złożyła się z brudnego od sadzy dachu na platformę rusztowania, spodziewała się ujrzeć trzeciego bandytę i kopnąć go w głowę, brzuch, jędra czy jakiegokolwiek inne nadające się do kopania miejsce, które akurat nadstawi. Zobaczyła jednak przed sobą długi i pustą platformę, po lewej malowany gipsowy fryz, a po prawej masywne marmurowe kolumny wznoszące się do sufitu kościoła.

Zamiast zwiłokrotnionego wrzasku, jaki towarzyszy jej zżeniu się w powietrzu, usłyszała krzyk tylko jednej osoby. Spojrzała w dół i zobaczyła kobietę w różowym kostiumie usiłującą przestrec pozostałych gości przed niebezpieczeństwem.

- Tam, tam na górę! - zawołała kobieta, wskazując nie na Jilly, lecz obok niej.

Zorientowawszy się, że stoi przodem do tylnej ściany nawy, a nie do ołtarza, Jilly odwróciła się i ujrzała trzeciego mordercę, który znajdował się dwadzieścia stóp od niej i patrzył na tłum w dole. Trzymał

karabin luf<sup>1</sup> w górê, wycelowany w sklepienie sufitu - ale zacz<sup>13</sup> w<sup>3</sup>acenie reagowaæ na krzyk kobiety w rô¿o-wym stroju.

Jilly ruszy<sup>3</sup>a na niego. Dwadziecia cztery godziny temu ucieka<sup>3</sup>aby przed uzbrojonym cz<sup>3</sup>owikiem, a teraz biegi<sup>3</sup>a prosto na niego.

Choæ serce podchodzi<sup>3</sup>o jej do gard<sup>3</sup>a i t<sup>3</sup>uk<sup>3</sup>o g<sup>3</sup>oceno jak bê-ben w cyrku, a strach jak w<sup>1</sup>¿ œciska<sup>3</sup> jej trzewia, zachowa<sup>3</sup>a na tyle przytomnoœci umys<sup>3</sup>u, by zastanowiæ siê przez chwilê, czy odkry<sup>3</sup>a w sobie nowe pok<sup>3</sup>ady odwagi, czy raczej postrada<sup>3</sup>a zmys<sup>3</sup>y. Mo¿e jedno i drugie.

Wyczuwa<sup>3</sup>a te¿, ¿e impuls, który kaza<sup>3</sup> jej zaatakowaæ ban-dytê, móg<sup>3</sup> mieæ zwi<sup>1</sup>zek z faktem, ¿e nanogad¿ety, pracowicie przebudowuj<sup>1</sup>ce jej mózg, dokonuj<sup>1</sup> w niej g<sup>3</sup>êbokich zmian, fundamentalnych i daleko wa¿niejszych od nadnaturalnych zdolnoœci, jakie posiad<sup>3</sup>a. Nie by<sup>3</sup>a to mi<sup>3</sup>a myœl.

Dwadziecia stóp dziel<sup>1</sup>ce j<sup>1</sup> od niedosz<sup>3</sup>ego mordercy pan-ny m<sup>3</sup>odej d<sup>3</sup>u¿y<sup>3</sup>y siê jak maraton. Dykta zdawa<sup>3</sup>a siê pod ni<sup>1</sup>

poruszaæ, utrudniaj<sup>1</sup>c jej bieg, jakby by<sup>3</sup>a ruchom<sup>1</sup> bie¿ni<sup>1</sup>. Mi-mo to wola<sup>3</sup>a puœciæ siê biegiem, ni¿ jeszcze raz zaufaæ swej jesz-cze niezbyt dopracowanej umiejêtnoœci sk<sup>3</sup>adania.

Ciê¿kie bum-bum-bum stóp na platformie i wstrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>ce rusztowaniem wibracje oderwa<sup>3</sup>y uwagê bandyty od zgroma-dzonych w koœciele. Kiedy odwraca<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê w stronê Jilly, wpa-d<sup>3</sup>a na niego z takim impetem, ¿e a¿ zako<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> siê na boki, i chwyci<sup>3</sup>a karabin.

Natychmiast po zderzeniu próbowa<sup>3</sup>a wyrwaæ mordercy broñ. Jego rêce zdawa<sup>3</sup>y siê przyklejone do karabinu, jednak Jil-ly te¿ trzyma<sup>3</sup>a mocno, choæ straci<sup>3</sup>a równowagê i spad<sup>3</sup>a z rusz-towania.

Silny uchwyt broni ocali<sup>3</sup> j<sup>1</sup> przed kolejnym upadkiem. Dziêki linie nie poci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a za sob<sup>1</sup> bandyty, który zosta<sup>3</sup> na platformie, przymocowany do œciany.

Dyndaj<sup>1</sup>c w powietrzu, czuj<sup>1</sup>c cuchn<sup>1</sup>cy czosnkiem oddech fanatyka i patrz<sup>1</sup>c w jego oczy - czarne studnie emanuj<sup>1</sup>ce nie-nawoœci-Jilly poczu<sup>3</sup>a w sobie gniew, jakiego nigdy dot<sup>1</sup>d nie zazna<sup>3</sup>a. Gniew zmieni<sup>3</sup> siê we wœciek<sup>3</sup>oœæ podsyca<sup>1</sup> myœl<sup>1</sup> o wszystkich synach Kaina, podobnych do tego cz<sup>3</sup>owika, od których roi<sup>3</sup>y siê wzgórze i miasta tego œwiata, którymi powodo-wa<sup>3</sup>y niezliczone utopijne wizje naprawy spo<sup>3</sup>eczeñstwa, ale tak-¿e w<sup>3</sup>asne szaleñstwo - <sup>3</sup>akn<sup>1</sup>cych przemocy i krwi, chorych od marzeñ o w<sup>3</sup>adzy.

Jilly uwiesi<sup>3</sup>a siê karabinu ca<sup>3</sup>ym ciê¿arem cia<sup>3</sup>a i morderca nie mia<sup>3</sup> tyle si<sup>3</sup>y, by wyrwaæ jej broñ z r<sup>1</sup>k. Zacz<sup>13</sup> wiêc krêciaæ ka-rabinem w lewo i prawo, tam i z powrotem, nadaj<sup>1</sup>c jej moment obrotowy i obci<sup>1</sup>¿aj<sup>1</sup>c nadgarstki. Ka¿dy skrêt zgodnie z pra-wami fizyki wymaga<sup>3</sup> rotacji, która w koñcu mia<sup>3</sup>a wyrwaæ jej z r<sup>1</sup>k karabin, jeœli cia<sup>3</sup>o Jilly by<sup>3</sup>o pos<sup>3</sup>uszne prawom fizyki.

Ból w torturowanych stawach i œciêgnach nadgarstków wkrótce sta<sup>3</sup> siê nie do zniesienia, znacznie gorszy ni¿ pieczenie po bitych drzazdze. Gdyby Jilly puœci<sup>3</sup>a karabin, mog<sup>3</sup>aby z<sup>3</sup>o¿yæ siê, spadaj<sup>1</sup>c, ale zostawi<sup>3</sup>aby broñ w rêkach bandyty. A zanim zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup>aby wróciæ, pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup>by setki pocisków w t<sup>3</sup>um, który sta<sup>3</sup> jak sparali¿owany, ogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c tocz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> siê pod sklepieniem walkê, i nikomu nie przys<sup>3</sup>o jeszcze na myœl, ¿eby uciec z koœcio<sup>3</sup>a.

Jej wœciek<sup>3</sup>oœæ przerodzi<sup>3</sup>a siê w furiê podsyca<sup>1</sup> g<sup>3</sup>êbokim poczuciem niesprawiedliwoœci i wspó<sup>3</sup>czuciem dla niewinnych, którzy zawsze padaj<sup>1</sup> ofiar<sup>1</sup> morderców takich jak ten; dla ma-tek i dzieci rozrywanych na kawa<sup>3</sup>ki przez zamachowców samo-bójców, dla zwyk<sup>3</sup>ych obywateli, którzy czêsto trafiaj<sup>1</sup> w cero-dek strzelaniny miêdzy rywalizuj<sup>1</sup>cymi ze sob<sup>1</sup> gangami uliczny-mi, dla kupców mordowanych dla paru dolarów z kas sklepo-wych - dla pewnej panny m<sup>3</sup>odej i jej oblubieñca oraz dziew-czynki z kwiatami, których kule mog<sup>3</sup>y roznieœæ na strzêpy w dniu, kiedy mia<sup>3</sup>a panowaæ radoœæ.

Furia doda<sup>3</sup>a jej si<sup>3</sup> i Jilly spróbowa<sup>3</sup>a kontrowaæ ruchy ban-dyty, wymachuj<sup>1</sup>c nogami w przód i w ty<sup>3</sup>, w przód i w ty<sup>3</sup>, jak akrobata na trapezie. Im skuteczniej udawa<sup>3</sup>o siê jej wykony-waæ wymachy, tym trudniej by<sup>3</sup>o mu krêciaæ karabinem.

Przeguby bola<sup>3</sup>y, jakby pali<sup>3</sup> je ¿ywy ogieñ; bandycie musia<sup>3</sup>o siê wydawaæ, ¿e za chwilê ramiona wyskocz<sup>1</sup> mu z panewek. Im du¿ej wisia<sup>3</sup>a na karabinie, tym wiêksze by<sup>3</sup>o prawdopodo-bieñstwo, ¿e on pierwszy puœci broñ. Wówczas nie bêdzie ju¿ potencjalnym morderc<sup>1</sup>, ale po prostu szaleñcem na rusztowa-niu z zapasowymi magazynkami amunicji, której nie mo¿e wy-korzystaæ.

- Jillian? -- Ktoœ na dole wykrzykn<sup>13</sup> w zdumieniu jej imiê. - Jillian? - By<sup>3</sup>a prawie pewna, ¿e to ojciec

Francorelli, ksiądz, któremu się spowiada i który przez większą część życia Jilly udziela jej sakramentów - ale nie odwróci się, by na niego spojrzeć.

Najbardziej dawa się jej we znaki pot. Słone krople z czoła bandyty kapały prosto na nią, co wzbudzało w niej wstręt, ale bardziej przeszkadza jej własny pot. Miała oślisie ręce. Jej uchwyt słał z każdą sekundą.

Wkrótce przyszło wybawienie z trudnego położenia: albo pękła lina, albo pułki wbity w ościanę karabińczyk i uwięź przestała utrzymywać ciężar ich obojga.

Spadajcie, bandyta wypuść broń. - Jillian!

Spadajcie, Jilly się zorientowała.

Słowa „zdziwienie” i „zdumienie” określają chwilowe obeszadnienie umysłu spowodowane czymś nieoczekiwanym, choć „zdziwienie” może bardziej dotyczyć emocji, a „zdumienie” reakcji intelektu. „Osłupienie” oznacza doznanie głębsze i bardziej intensywne, stan oszumienia, jaki wywołuje w nas coś niesłychanie zaskakującego.

Dylan w osłupieniu przygląda się z zachodniego rusztowania, jak Jilly pędzi sprintem po platformie, zderza się z bandytą, spada z rusztowania i wisząc na karabinie, wykonuje z zapamiętaniem ćwiczenia, jak gdyby brała udział w przesłuchaniu dla kandydatów na cyrkowców urządzonym przez syna rodziny Wallenda.

- No, no - powiedziała Shepherd, gdy lina zerwała się, wydając trzask niczym gigantyczny bicz, a Jilly i morderca runęli w dół. Uwięzieni w sławkach gołocie z przeraźliwym piskiem próbowali się odsunąć albo uchylać.

Cztery stopy nad podłogą Jilly i karabin zniknęli, lecz nie-szczęśliwa spadła tam, gdzie miała miejsce. Również szyję w oparciu sławki, zamarła kark, zrobiła salto, przelatując do następnej rzędy, i spuentowała ciemierci swój widowiskowy występ, zastygając w plataninie kończyn między dystygowanym siwowłosym panem w granatowym garniturze w przeliku a do stojącej matrony w drogim beżowym kostiumie oraz sładnym kapeluszu z piórami i szerokim rondem.

Gdy Jilly zjawiła się obok Shepa, bandyta był już martwy, ale przewalała się jeszcze przez sławki, przybierając ostateczną pozę, w której będzie go chciał unieśmiertelnić policyjny fotograf. Odorientowała karabin.

- Wkurzam się.

- Widzę - odparł Dylan.

- No, no - powiedziała Shepherd. - No, no.

Gołocie krzyżeli, gdy bandyta odbił się od oparcia sławki, spadł do tylnego rzędu i znieruchomiał z przekrzywioną głową i dziwnie wykręconą ręką, jakby wziął się pod bok. Potem jakiegoś mężczyzna w szarym garniturze dostrzegł Jilly, która stała z Dylanem i Shepem na szczycie zachodniego rusztowania, i pokazała jej reszcie zgromadzonych. W jednej chwili gromada wiernych stanęła z zadartymi głowami i wpatrywała się w nią. Wszyscy zamilkli, zapewne w szoku, więc w kołocie zapadła głęboka, prawdziwie grobowa cisza.

Gdy cisza przedłużała się, nabrzmiewając groźną, Dylan wyjął Jilly:

- Osłupieli.

W tłumie na dole Jilly ujrzała młodych kobiet w mantyli. Była może ta sama, którą widziała na pustyni. Zanim tłum zdłżył ochłonąć i wpaść w panikę, Dylan przemówił głośno, chcąc uspokoić gołoci:

- Sytuacja opanowana. Już po wszystkim. Jesteście bezpieczni. - Wskazała na wbite między sławki zwłoki. - Na gorze

sł dwaj współnicy tego człowieka, zostali rozbrojeni, ale potrzebują pomocy lekarza. Niech ktoś zadzwoni po pogotowie. Ruszyło się tylko dwoje ludzi: kobieta w mantyli, która po-desza do oświetlacznika, zapaliła oświeceniowy i zmówiła modlitwę, oraz fotograf, który zaczął robić zdjęcia Dylanowi, Jilly i Shepowi.

Spoglądając w dół na trzy setki osób, z których sześćdziesiąt siedem miało odnieść rany w strzelaninie, z czego czterdzieści śmiertelnych, gdyby ona, Dylan i Shep nie dotarli tu na czas, Jilly doznała tak intensywnych emocji, uskrzydlałych i upokarzających zarazem, że wiedziała, iż przez resztę życia nigdy nie zapomni swoich uczuć w tym niewiarygodnym momencie ani nie będzie umiała

w<sup>3</sup>oeciwie opisaæ ich natê<sup>3</sup>enia.

Z platformy rusztowania podnios<sup>3</sup>a torebkê, w której by<sup>3</sup>a resztkã rzeczy, jakie pozosta<sup>3</sup>y jej w<sup>3</sup>asnoeci<sup>1</sup> na tym oewiecie: portfel, puder, szminka... Nie sprzeda<sup>3</sup>aby tego ÷a<sup>3</sup>osnego do-bytku za ÷adn<sup>1</sup> cenê, poniewa<sup>3</sup> stanowi<sup>3</sup> jedyny namacalny do-wód na to, ÷e kiedyœ wiod<sup>3</sup>a ÷ywot zwyk<sup>3</sup>ego cz<sup>3</sup>owieka. Zda-wa<sup>3</sup>o siê jej, ÷e te przedmioty to talizmany, dziêki których mo<sup>3</sup>e odzyskaæ utracone ÷ycie.

- Shep - wyszept<sup>3</sup>a dr<sup>3</sup>ycym z emocji g<sup>3</sup>osem. - Nie ufam so-bie na tyle, ÷eby z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yæ st<sup>1</sup>d nas wszystkich. Ty musisz to zrobiaæ. - Do jakiegoœ spokojnego miejsca - ostrzeg<sup>3</sup> Dylan. - I od-ludnego. Gdy nadal wszyscy stali jak wryci, panna m<sup>3</sup>oda ruszy<sup>3</sup>a na-przód, omijaj<sup>1</sup>c goeci, i zatrzyma<sup>3</sup>a siê dopiero przed Jilly. By<sup>3</sup>a piêkna, oloeniewaj<sup>1</sup>ca i uroczã w zachwycaj<sup>1</sup>cej sukni, która na pewno stanowi<sup>3</sup>aby jeden z g<sup>3</sup>ównych tematów rozmów na we-selu, gdyby myœli goeci nie zaprz<sup>1</sup>ta<sup>3</sup>y teraz takie sprawy jak mord, gwa<sup>3</sup>t i czyny bohaterów na rusztowaniach.

Spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c z do<sup>3</sup>u na Jilly, Dylana i Shepa, oloeniewaj<sup>1</sup>ca m<sup>3</sup>oda dama w bajecznej bia<sup>3</sup>ej sukni unios<sup>3</sup>a praw<sup>1</sup> rêkê, trzy-maj<sup>1</sup>c w niej bukiet, jak gdyby sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a im wyrazy uznania i wdziêcznoeci. Kwiaty jaenia<sup>3</sup>y jak p<sup>3</sup>omienie rozpalonej do bia<sup>3</sup>oeci pochodni.

Byæ mo<sup>3</sup>e panna m<sup>3</sup>oda chcia<sup>3</sup>a coœ powiedziaæ, ale Jilly ode-zwa<sup>3</sup>a siê pierwsza, a w jej g<sup>3</sup>osie da<sup>3</sup>o siê s<sup>3</sup>yszeæ szczere wspó<sup>3</sup>-czucie:

- Kochanie, bardzo mi przykro, ÷e twój oelub musia<sup>3</sup> tak wy-gl<sup>1</sup>daæ.

- Chod<sup>3</sup>my - powiedzia<sup>3</sup> Dylan.

- Dobrze - odrzek<sup>3</sup> Shep i z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ich.

## 45

Wokó<sup>3</sup> nich rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>a siê prawdziwa pustynia, tak rzadko zraszana deszczem, ÷e nawet nieliczne kaktusy skar<sup>3</sup>owacia<sup>3</sup>y z d<sup>3</sup>ugotrwa<sup>3</sup>ego pragnienia. Rosn<sup>1</sup>ce z rzadka w<sup>1</sup>tle kêpy traw zim<sup>1</sup> usycha<sup>3</sup>y, przybieraj<sup>1</sup>c zapewne czarno-zielon<sup>1</sup> barwê; teraz w lecie by<sup>3</sup>y srebrno-br<sup>1</sup>zowe i spalone na wiór. Jak okiem siêgn<sup>1</sup>æ, by<sup>3</sup>o tu wiêcej piasku ni<sup>3</sup> roelinnoci i wiêcej skal ni<sup>3</sup> piasku.

Stali na zachodnim zboczach wzgó<sup>3</sup>za, które wznosi<sup>3</sup>o siê <sup>3</sup>agodnymi terasami z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>onymi ze zbitych warstw smolisto-br<sup>1</sup>zowych i rdzawoczerwonych skal. Niedaleko przed nimi, a w ka<sup>3</sup>dym razie mniej wiêcej poœrodku rozleg<sup>3</sup>ej równiny, wznosi<sup>3</sup>y siê dziwne naturalne formy skalne, przypominaj<sup>1</sup>ce pozosta<sup>3</sup>oeci wielkiej staro<sup>3</sup>ytnej fortecy: tu jakby kolumny o œrednicy trzydziestu stóp i wysokoeci stu, byæ mo<sup>3</sup>e czêœæ portyku przed nieistniej<sup>1</sup>cym wejœciem; tam d<sup>3</sup>ugie na sto stóp i wysokie na osiemdziesi<sup>1</sup>t rozpadaj<sup>1</sup>ce siê ruiny zwieñzonego blankami muru obronnego, z którego zrêcni <sup>3</sup>ucznicy mogli broniaæ zamku deszczem strza<sup>3</sup>; tu wiê<sup>3</sup>e strzelnicze; tam znowu wa<sup>3</sup>y obronne, bastiony, na wpó<sup>3</sup> zawalony barbakan.

Oczywiœcie, ludzie nigdy nie zamieszkiwali tej niegoecinnej krainy, ale natura stworzy<sup>3</sup>a krajobraz, który pobudza<sup>3</sup> wyobra<sup>3</sup>niê. - Nowy Meksyk - powiedzia<sup>3</sup> do Jilly Dylan. - By<sup>3</sup>em tu z Shepem, malowa<sup>3</sup>em ten pejza<sup>3</sup>. W pa<sup>3</sup>dzierniku, prawie cztery lata temu, przy znoœniejszej pogodzie. Za tym wzgó<sup>3</sup>zem jest droga gruntowa, a cztery mile w drug<sup>1</sup> stronê betonowa autostrada. chocia<sup>3</sup> nie bêdziemy jej potrzebowaæ.

W tej chwili krajobraz by<sup>3</sup> roz<sup>3</sup>arzon<sup>1</sup> ku<sup>3</sup>ni<sup>1</sup>, gdzie rozpalone do bia<sup>3</sup>oeci s<sup>3</sup>oñce formowa<sup>3</sup>o ogniste podkowy dla podniebnych je<sup>3</sup>d<sup>3</sup>ców, którzy ponoæ nawiedzali pustyniê noc<sup>1</sup>.

- Je<sup>3</sup>eli si<sup>1</sup>dziemy w cieniu - rzek<sup>3</sup> Dylan - mo<sup>3</sup>e uda siê nam wytrzymaæ w tym upale tak d<sup>3</sup>ugo, ÷eby zebraæ myœli i wykombinowaæ, co mamy, cholera, dalej zrobiaæ.

O tej godzinie zwieñzone blankami ska<sup>3</sup>y, mieni<sup>1</sup>ce siê jaskrawymi odcieniami czerwieni, oran<sup>3</sup>u, fioletu i ró<sup>3</sup>u, znalaz<sup>3</sup>y siê na wschód od s<sup>3</sup>oñca, które dawno minê<sup>3</sup>o ju<sup>3</sup> zenit. O<sup>3</sup>ywczy cieñ siêgaj<sup>1</sup>cy w stronê zbocza, na którym stali, mia<sup>3</sup> barwê dojrza<sup>3</sup>ych oeliwek.

Dylan poprowadzi<sup>3</sup> Jilly i Shepa w dó<sup>3</sup> wzniesienia, potem dwieeci stóp przez równinê do podstawy czegoœ, co mog<sup>3</sup>oby byæ wie<sup>3</sup>l<sup>1</sup> strzelnicz<sup>1</sup> z legend o królu Arturze. Usiedli obok siebie na wyg<sup>3</sup>adzonym przez pogodê kamieniu jak na niskiej <sup>3</sup>awce i oparli siê plecami o wie<sup>3</sup>lê.

Cieñ, bezwietrzna cisza, bezruch pozbawionej ÷ycia równiny i niebo bez jednego ptaka przynios<sup>3</sup>y im tak ogromn<sup>1</sup> ulgê, ÷e przez kilka minut ÷adne z nich siê nie odzywa<sup>3</sup>o.

Wreszcie Dylan poruszy<sup>3</sup> sprawê, która jeżeli nie by<sup>3</sup> najpilniejsza, to z pewnością<sup>1</sup> najważniejsza.

- W kociele, kiedy tamten spad<sup>3</sup> na <sup>3</sup>awki i powiedzia<sup>3</sup>æ, że się wkurzy<sup>3</sup>æ, mia<sup>3</sup>æ na myśli tak<sup>1</sup> z<sup>3</sup>oææ, jakiej nigdy w życiu nie czu<sup>3</sup>ææ, prawda?

Przez chwilê oddycha<sup>3</sup>a spokojnie, stopniowo opanowuj<sup>1</sup>c wewnętrzny tumult.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Wiesz.

- Niezupe<sup>3</sup>nie.

- Wiesz - upiera<sup>3</sup> się.

Pod ciêżarem cienia zamknê<sup>3</sup>a oczy i opar<sup>3</sup>a głowę o ocianê wiêzy, staraj<sup>1</sup>c się ze wszystkich sił nie ulec fali przeczenia i utrzymaæ się na suchym l<sup>1</sup>dzie. W końcu powiedzia<sup>3</sup>a:

- To by<sup>3</sup>a wciek<sup>3</sup>oææ, piekielna furia, ale nie taka nieokie<sup>3</sup>znana ani og<sup>3</sup>upiaj<sup>1</sup>ca jak zwyk<sup>3</sup>y gniew, nie negatywna. To by<sup>3</sup>o... to by<sup>3</sup>o...

- Oczyszczaj<sup>1</sup>cy i ożywczy œwiêty gniew - podsun<sup>1</sup>l.

Otworzyła oczy. Spojrzała na niego. Zakrwawiona pólbogini wypoczywaj<sup>1</sup>ca w cieniu palacu Zeusa.

Widæ by<sup>3</sup>o, że nie chce o tym rozmawiaæ. Może nawet ba<sup>3</sup>a się o tym rozmawiaæ.

Nie mog<sup>3</sup>a jednak d<sup>3</sup>użej unikaæ tego tematu, tak jak nie mog<sup>3</sup>a wrócić do życia w klubach komediowych, jakie prowadzi<sup>3</sup>a jeszcze wczoraj.

- Nie by<sup>3</sup>am wciek<sup>3</sup>a tylko na tych trzech <sup>3</sup>ajdaków... By<sup>3</sup>am... Gdy szuka<sup>3</sup>a odpowiednich s<sup>3</sup>ów i nie mog<sup>3</sup>a znaleŹæ, Dylan dokończy<sup>3</sup> jej myśl, ponieważ on pierwszy doœwiadczy<sup>3</sup> tego œwiêtego gniewu jeszcze w Alei Eukaliptusowej, gdzie Travis siedzia<sup>3</sup> przykuty do łózka, a Kenny mia<sup>3</sup> nadzieję zrobić krwawy użytek ze swojej kolekcji noży; dlatego mia<sup>3</sup> wiêcej czasu na analizê swoich emocji.

- Nie by<sup>3</sup>æ wciek<sup>3</sup>a tylko na tych trzech <sup>3</sup>ajdaków... ale na samo z<sup>3</sup>o, by<sup>3</sup>æ wciek<sup>3</sup>a dlatego, że z<sup>3</sup>o istnieje, na sam<sup>1</sup> myœl, że z<sup>3</sup>o nie daje się opanowaæ i zwalczyæ.

- Boże drogi, mówisz, jakbyœ siedzia<sup>3</sup> w mojej g<sup>3</sup>owie albo ja w twojej. - Ani jedno, ani drugie - odpar<sup>3</sup> Dylan. - Ale powiedz mi... wtedy w kociele, zdawa<sup>3</sup>æ sobie sprawê z niebezpieczeństwa?

- Och, tak.

- Wiedzia<sup>3</sup>æ, że może do ciebie strzelaæ, że możesz zgin<sup>1</sup>æ albo zostaæ kalek<sup>1</sup> na ca<sup>3</sup>e życie, ale zrobi<sup>3</sup>æ to, co by<sup>3</sup>o trzeba.

- Nie moż<sup>1</sup>na by<sup>3</sup>o robiæ niczego innego.

- Zawsze moż<sup>1</sup>na robiæ coœ innego - zaprotestowa<sup>3</sup>. - Po pierwsze, uciec. Daæ sobie spokój i po prostu wiaæ. Pomyœla<sup>3</sup>æ o tym?

- Oczywiście.

- Ale czy tam w kociele by<sup>3</sup>a choæ jedna chwila, króciutka, w której mog<sup>3</sup>abyœ uciec?

- O rany - powiedzia<sup>3</sup>a i wzdygnê<sup>3</sup>a się, zaczynaj<sup>1</sup>c powoli rozumieæ, jaki ciêżar bêd<sup>1</sup> musieli na siebie przyj<sup>1</sup>æ, ciêżar, któ-ry bêd<sup>1</sup> mogli zdj<sup>1</sup>æ z ramion dopiero po œmierci. - Tak, mo-g<sup>3</sup>abym uciec. Do diab<sup>3</sup>a, pewnie, że mog<sup>3</sup>abym. Ma<sup>3</sup>o brakowa-<sup>3</sup>o, żebym to zrobi<sup>3</sup>a.

- Dobra, niewykluczone, że mog<sup>3</sup>abyœ uciec. Możliwe wszyscy potrafimy jeszcze uciekaæ. Ale chodzi o to... czy by<sup>3</sup>a choæ jed-na chwila, króciutka chwila, w której mog<sup>3</sup>abyœ uchylaæ się od obowi<sup>1</sup>zku uratowania tych ludzi - i mimo to żyæ w zgodzie z w<sup>3</sup>asnym sumieniem?

Patrzy<sup>3</sup>a na niego w milczeniu. Spojrza<sup>3</sup> jej w oczy.

Wreszcie odrzek<sup>3</sup>a: - Do kitu z tym.

- Do kitu, ale i nie do kitu.

Po chwili namys<sup>3</sup>u ucemiechnê<sup>3</sup>a się dr<sup>1</sup>czymi wargami i przy-taknê<sup>3</sup>a:

- Do kitu, ale i nie do kitu.

- Nowe po<sup>3</sup>czenia, nowe drogi nerwowe zbudowane przez nanomaszyny da<sup>3</sup>y nam pewn<sup>1</sup> zdolnoææ jasnowidzenia, niedo-skona<sup>3</sup>y talent przeczuwania i sk<sup>3</sup>adania. Ale to nie jedyne zmia-ny, jakie w nas zasz<sup>3</sup>y.

- Wola<sup>3</sup>abym, żeby to by<sup>3</sup>y jedyne zmiany.

- Ja teŹ. Ale ten œwiêty gniew zawsze prowadzi do nieod-partego przymusu dzia<sup>3</sup>ania.

- Nieodpartego - zgodzi<sup>3</sup>a się. - To jest przymus, obsesja albo coœ, czego nie potrafimy nazwaæ.

- Ale to nie jest zwyk<sup>3</sup>y przymus dzia<sup>3</sup>ania, tylko... Zawaha<sup>3</sup> się przed wypowiedzeniem ostatnich s<sup>3</sup>ów, które mia<sup>3</sup>y zdecydowaæ o kszta<sup>3</sup>cie ich dalszego życia.

- W porz<sup>1</sup>dku - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - W porz<sup>1</sup>dku, bracie?  
 Spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c spod wie<sup>2</sup>cy w stronê roz<sup>2</sup>arzonej równiny, ch<sup>3</sup>o-pak rzek<sup>3</sup>:

- W porz<sup>1</sup>dku, Shep siê nie boi.

- No to w porz<sup>1</sup>dku. Dylan te<sup>2</sup> siê nie boi. - Nabra<sup>3</sup> powie-trza i dokończy<sup>3</sup> to, co musia<sup>3</sup> dokończyæ. -  
 Œwie<sup>2</sup>ty gniew za-wsze prowadzi do nieodpartego przymusu dzia<sup>3</sup>ania, bez wzglê-du na ryzyko. Nie  
 chodzi tylko o to, <sup>2</sup>eby dzia<sup>3</sup>aa, ale <sup>2</sup>eby zrobia<sup>2</sup> to, co trzeba. Mo<sup>2</sup>emy skorzystaæ z wolnej woli i  
 odwró-ciæ siê - ale kosztem utraty szacunku do samych siebie, czyli za cenê nie do przyjêcia.

- Niemo<sup>2</sup>liwe, <sup>2</sup>eby o to chodzi<sup>3</sup>o Lincolnowi Proctorowi - zauwa<sup>2</sup>y<sup>3</sup>a Jilly.

- Ostatni<sup>1</sup> rzecz<sup>1</sup>, jakiej chcia<sup>3</sup>by cz<sup>3</sup>owiek taki jak on, by<sup>3</sup>o stworzenie pokolenia bohaterów  
 uszczêliwiaj<sup>1</sup>cych za wszelk<sup>1</sup> cenê innych.

- Racja. By<sup>3</sup> gnid<sup>1</sup>. Mia<sup>3</sup> wizje amoralnej rasy panów, którzy byæ mo<sup>2</sup>e trochê naprawiliby œwiat, ale  
 gnêbi<sup>1</sup>c resztê ludzkoœci.

- No to dlaczego stalicemy siê... tym, czym siê stalicemy?

- Mo<sup>2</sup>e kiedy siê rodzimy, wszyscy mamy takie po<sup>3</sup>czenia w mózgu, <sup>2</sup>e wiemy, co nale<sup>2</sup>y robiæ, zawsze  
 wiemy, jak powin-niemy siê zachowaæ.

- Tak mnie uczy<sup>3</sup>a mama, s<sup>3</sup>owo w s<sup>3</sup>owo - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly.

- Mo<sup>2</sup>e wiêc nanomaszyny tylko trochê poprawi<sup>3</sup>y istniej<sup>1</sup>-ce obwody, zmniejszy<sup>3</sup>y opór i zostalicemy tak  
 ustawieni, <sup>2</sup>eby zawsze robiæ to, co nale<sup>2</sup>y, wszystko jedno, co sami woleliby-œmy robiæ, wszystko  
 jedno, czego chcemy, bez wzglêdu na kon-sekwencje, jakie mielibyœmy ponieœæ, za wszelk<sup>1</sup> cenê.  
 Uk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c to wszystko w myœlach jak kodeks, wed<sup>3</sup>ug które-go wyrokiem losu przyjdzie jej odt<sup>1</sup>d <sup>2</sup>yæ,  
 Jilly powiedzia<sup>3</sup>a:

- Czyli teraz, za ka<sup>2</sup>dym razem, gdy bêdê mia<sup>3</sup>a wizjê jakiejœ katastrofy albo aktu przemocy...

- I za ka<sup>2</sup>dym razem, gdy odczytam z odcisku psychiczne-go, <sup>2</sup>e ktoœ jest w opa<sup>3</sup>ach albo knuje coœ  
 z<sup>3</sup>ego...

- ...bêdziemy zmuszeni...

- ...naprawiæ sytuacjê - dokończy<sup>3</sup>, u<sup>2</sup>ywaj<sup>1</sup>c tych s<sup>3</sup>ów w nadziei, <sup>2</sup>e mo<sup>2</sup>e znów uda mu siê wywo<sup>3</sup>aa  
 u niej uœmiech, choæby nik<sup>3</sup>y.  
 Musia<sup>3</sup> zobaczyæ jej uœmiech.

Na jej twarzy zjawi<sup>3</sup> siê grymas, który móg<sup>3</sup> przypominaæ uœmiech odbity w zwierciadle w gabinecie  
 krzywych luster, ale jego widok wcale nie podniós<sup>3</sup> na duchu Dylana.

- Nie potrafiê powstrzymaæ wizji - powiedzia<sup>3</sup>a. - Ale ty mo<sup>2</sup>esz nosiæ rêkawiczki.

Pokrêci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Och, wydaje mi siê, <sup>2</sup>e móg<sup>3</sup>bym je najwy<sup>2</sup>ej kupiæ. Ale wk<sup>3</sup>adaæ je po to, <sup>2</sup>eby nie poznaæ planów  
 z<sup>3</sup>ych ludzi albo k<sup>3</sup>o-potów dobrych? To na pewno nie jest rzecz, jak<sup>1</sup> trzeba zrobia<sup>2</sup>, prawda?  
 Przypuszczam, <sup>2</sup>e móg<sup>3</sup>bym kupiæ rêkawiczki, ale nie s<sup>1</sup>dzê, <sup>2</sup>ebym móg<sup>3</sup> je nosiæ.

- No, no - powiedzia<sup>3</sup> Shepherd, byæ mo<sup>2</sup>e komentuj<sup>1</sup>c ich rozmowê albo <sup>2</sup>ar pustyni, a mo<sup>2</sup>e reaguj<sup>1</sup>c  
 na jakieœ wydarze-nie, które nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o w Œwiecie Shepa, na planecie autystów o wysokiej sprawnoœci,  
 gdzie spêdza<sup>3</sup> czêœæ <sup>2</sup>ycia wiêksz<sup>1</sup> ni<sup>2</sup> na ich wspólnej ziemi. - No, no.

Mieli jeszcze mnóstwo rzeczy do omówienia, planów do ustalenia, ale na razie <sup>2</sup>adne z nich nie potrafi<sup>3</sup>o  
 wykrzesaæ z sie-bie energii ani odwagi, by kontynuowaæ rozmowê. Shep nie by<sup>3</sup> nawet w stanie  
 wydobyæ z siebie kolejnego „No, no”.

Cieñ. Upa<sup>3</sup>. Rozgrzane do bia<sup>3</sup>oœci ska<sup>3</sup>y i piasek, wydziela-j<sup>1</sup>ce zapach <sup>2</sup>elaza, popio<sup>3</sup>u i krzemionki.  
 Dylan wyobrazi<sup>3</sup> sobie, <sup>2</sup>e wszyscy troje bêd<sup>1</sup> siedziæ do-k<sup>3</sup>adnie w tym miejscu, œeni<sup>1</sup>c z  
 zadowoleniem o dobrych uczyn-kach, jakich nie zwa<sup>2</sup>aj<sup>1</sup>c na cenê, ju<sup>2</sup> dokonali, ale nigdy wiê-cej nie  
 podej<sup>1</sup>m ju<sup>2</sup> ryzyka, by stawiaæ czo<sup>3</sup>o nowym dramatom, i bêd<sup>1</sup> siedziæ i marzyæ, dopóki nie  
 skamieniej<sup>1</sup> na tej skalnej <sup>3</sup>aweczce jak drzewa w Parku Narodowym Skamienia<sup>3</sup>ego Lasu w s<sup>1</sup>siedniej  
 Arizonie, i spêdz<sup>1</sup> w cieniu ca<sup>3</sup>e wieki jako trzy spo-kojne kamienne figury, dopóki w nastêpnym  
 milenium nie od-kryj<sup>1</sup> ich archeolodzy.

Wreszcie Jilly zapyta<sup>3</sup>a: - Jak ja wygl<sup>1</sup>dam?

- Uroczy - zapewni<sup>3</sup> j<sup>1</sup> zupe<sup>3</sup>nie szczerze.

- Tak, jasne. Twarz mam sztywn<sup>1</sup> od zasch<sup>3</sup>ej krwi.

- Rana na czole już przyschła. Trochę paskudnych strup-ków i zaschłej krwi, ale poza tym uroczo. Jak ręka?

- Boli. Ale będzie ci wygodnie, co - jak się działo - należy uważać za po-myślną wiadomość. - Otworzyła torebkę, wyciągnęła puder-niczek i obejrzała twarz w małym okrągłym lusterku. - Znajdź mi czarną lagunę, muszę wracać do domu.

- Bzdura. Wystarczy, jeżeli się trochę umyjesz i możesz iść na bal wydany przez króla.

- Chyba cię polejesz mnie węzłem albo zaprowadzisz do myjni samochodowej.

Poszperała w torebce i wydobyła foliowe opakowanie z chu-steczką odwiejającą. Wyciągnęła pachnący cytryn wilgotny papierek i starannie oczyściła twarz, patrząc w lusterko.

Dylan wrócił do swojej fantazji o powolnym kamienieniu. Siedział po zastygniętej sylwetce, milczeniu i nieruchomym spojrzeniu, Shep zaczął się już całkiem skutecznie obracać w kamień. Chusteczki odwiejające były przeznaczone głównie do otarcia ręki po zjedzeniu hamburgera w samochodzie.

Okazało się, że jedna nie wystarczy, by usunąć taką ilość zaschłej krwi. - Powinno kupić chusteczki w rozmiarze XL dla seryjnych morderców - poradził Dylan.

Jilly zaczęła przetrząsać torebkę.

- Na pewno miałam jeszcze jedną. - Rozpięła wewnętrzny przegródek torebki, pogrzebała w niej, potem otworzyła drugi przegródek. - Och, zapomniałam o tym.

Wydobyła torebkę orzeszków ziemnych, które można kupić w automacie.

- Shep pewnie wolałby cheez-ity, jeżeli masz - powiedziała Dylan. - A ja jestem raczej entuzjastą czekoladowych pićczków. - To należy do Proctora.

Dylan skrzywił się.

- Pewnie zaprawione cyjankiem.

- Upuścił orzeszki na parkingu pod moim pokojem. Podniosłam je tuż przed naszym spotkaniem.

Przerywał swoje próby petryfikacji, ale wciąż wpatrując się w rozpalone do czerwoności skały i piasek, Shepherd spytał:

- Ciasto?

- Nie ciasto - odrzekł Dylan. - Fistaszki.

- Ciasto?

- Fistaszki, bracie.

- Ciasto?

- Niedługo dostaniesz ciasto.

- Ciasto?

- Fistaszki, Shep. Dobrze wiesz, jak wyglądają fistaszki - okrągłe, kształtowe i wstrętne. Zobacz. - Wziął od Jilly torebkę, chcąc pokazać ją Shepherdowi, ale celad psychiczny na celofanowym opakowaniu, mimo że towarzyszy mu miły odcisk pozo-stawiony przez Jilly, był wciąż na tyle ciewy, że Dylan natychmiast ujrzał w myślach senny i zły ucieszek Proctora. Zobaczył jednak nie tylko ucieszek, ale znacznie więcej: wirujący z elektrycznym trzaskiem chaotyczny pokaz cieni i obrazów.

Nie zorientował się, że wstaje z kamiennej lawki, dopóki nie zaczął się oddalać od Jilly i Shepa.

Przystanął, odwrócił się do nich i rzekł:

- Jezioro Tahoe.

- W Nevadzie? - spytała Jilly.

- Tak. Nie. To znaczy tak. Jezioro Tahoe, ale północny brzeg, po stronie Kalifornii.

- No i co z tym jeziorem?

Wydawało mu się, że drga każdy nerw w jego ciele. Ogarnął go nieodparty przymus, by gnać tam jak najprędzej.

- Musimy się tam dostać. - Po co?

- Natychmiast. - Po co?

- Nie wiem. Ale tak trzeba.

- Niech to szlag, zacznym się denerwować.

Wrócił do Jilly, zmusił, żeby wstała i położyła jej zdrową dłoń na swojej ręce, w której trzymała torebkę orzeszków.



- Czujesz to, co ja, czujesz, gdzie to jest? - Gdzie co jest?
  - Dom. Widzê dom. W stylu projektów Franka Lloyda Wrighta, wychodz<sup>1</sup>cy na jezioro. Wielki dach, mury z kamie-<sup>nia</sup>, duŹo ogromnych okien. Wtulony miêdzy stare wysokie so-<sup>sny</sup>. Czujesz, gdzie to jest?
  - Ja tego nie potrafiê, tylko ty - przypomniała mu. - Ale nauczyła<sup>æ</sup> siê składa<sup>æ</sup>.
  - Tak, zaczęłam siê uczyc<sup>æ</sup>, ale tego siê nie nauczyłam - od-rzekła, cofaj<sup>1</sup>c rêkê.
- Shepherd podniósł siê z kamienia. Po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ na torebce fistaszków, na rêce Dylana.
- Dom.
  - Tak, dom - powiedzia<sup>3</sup> niecierpliwie Dylan, czuj<sup>1</sup>c, jak z kaŹd<sup>1</sup> sekund<sup>1</sup> przymus dzia<sup>3</sup>ania narasta. Przeszêpowal z no-<sup>gi</sup> na nogê jak dziecko, które musi i<sup>æ</sup> do ubikacji. - Widzê dom.
  - Widzê dom - odezwał siê Shep.
  - Widzê duŹy dom wychodz<sup>1</sup>cy na jezioro.
  - Widzê duŹy dom wychodz<sup>1</sup>cy na jezioro - powiedzia<sup>3</sup> Shep.
  - Co robisz, bracie?
- Zamiast powtórzy<sup>æ</sup> „Co robisz, bracie”, jak siê spodziewal Dylan, ch<sup>3</sup>opak rzek<sup>3</sup>:
- Widzê duŹy dom wychodz<sup>1</sup>cy na jezioro.
  - Tak'? Widzisz dom? TeŹ go widzisz?
  - Ciasto?
  - Fistaszki, Shep, fistaszki.
  - Ciasto?
  - Trzymasz na tym rêkê, patrzysz na to, Shep. Widzisz, Źe to torebka fistaszków.
  - Ciasto Tahoe`?
  - Och, tak, by<sup>æ</sup> moŹe. Pewnie w tym domu w Tahoe maj<sup>1</sup> ciasto. Mnóstwo ciasta. Wszystkie rodzaje. Ciasto czekoladowe, cytrynowe, korzenne, marchewkowe...
  - Shep nie lubi marchewkowego ciasta.
  - Nie, nie chcialem tego powiedzie<sup>æ</sup>, pomylilem siê, nie ma-<sup>1</sup> ciasta marchewkowego, Shep, ale maj<sup>1</sup> kaŹdy cholerny ro-<sup>d</sup>zaj ciasta.
  - Ciasto - powiedzia<sup>3</sup> Shep i pustynia Nowego Meksyku z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a siê, a wokó<sup>3</sup> nich zaczę<sup>3</sup>a siê rozk<sup>3</sup>ada<sup>æ</sup> ch<sup>3</sup>odna zielona przestrzeñ.

**46** Na stokach wokó<sup>3</sup> jeziora wznosi<sup>3</sup>y siê wielkie sosny, stoŹkowate i roz<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>yste, tworzc<sup>1</sup>e rozlegle pa<sup>3</sup>ace o zielonych, przesyconych wysublimowanym aromatem komnatach, w których panowa<sup>3</sup>o wieczne BoŹe Narodzenie. Niektó-<sup>re</sup> drzewa mia<sup>3</sup>y ponad dwieœcie stóp wysokoœci i zdobi<sup>3</sup>y je przeróŹnej wielkoœci szyszki - od drobnych jak morele po ogromne jak ananasy. S<sup>3</sup>ynne jezioro, widziane przez wyj<sup>1</sup>tkowo szczêceliwie dobra-<sup>ne</sup> ramy z rzeŹbionych przez czas ga<sup>3</sup>êzi, potwierdza<sup>3</sup>o sw<sup>1</sup> repu-<sup>t</sup>acjê najbardziej kolorowego akwenu na œwiecie. Cala po wierzchnia, od œrodkowej g<sup>3</sup>êbi maj<sup>1</sup>cej ponad tysi<sup>1</sup>c piêæset stóp po przybrzeŹne mielizny, mieni<sup>3</sup>a siê, opalizuj<sup>1</sup>c niezliczo-<sup>nymi</sup> odcieniami zieleni, b<sup>3</sup>êkitu i fioletu. Z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ywwszy siê z ja<sup>3</sup>owej pustyni wprost nad wspaniale jezio-<sup>ro</sup> Tahoe, Jilly wypuœci<sup>3</sup>a z p<sup>3</sup>uc Źar, Źegnaj<sup>1</sup>c siê ze skorpionami i æmami, i wci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a o<sup>1</sup>ywoczy haust powietrza, w którym wirowa<sup>3</sup>y motyle i œmigala<sup>3</sup>y br<sup>1</sup>zowe ptaki. Shepherd przeniós<sup>3</sup> ich na wy<sup>3</sup>o<sup>1</sup>on<sup>1</sup> p<sup>3</sup>ytami kamiennymi œcieŹkê, która wi<sup>3</sup>a siê przez las miêdzy cieniem rzucanym przez gêste sosny i lecnymi paprociami. Na koñcu œcieŹki stal dom: w stylu Wrighta, z kamienia i srebrnego cedru, o wysokich oknach i szerokim dachu na wspornikach, ogromny, lecz pozo-<sup>staj</sup><sup>1</sup>cy w niezwyk<sup>3</sup>ej harmonii z naturalnym otoczeniem.

- Znam ten dom - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly. - By<sup>3</sup>acê tu?
- Nie. Nigdy. Ale widzia<sup>3</sup>am go gdzieœ na zdjêciach. Pewnie w jakimœ piœmie.
- Fakt, Źe jest jak Źywcem wyjêty z „Architectural Digest”. Szerokie kamienne schody prowadzi<sup>3</sup>y na taras przed wej-<sup>œciem</sup>, os<sup>3</sup>oniêty dachem na wspornikach z podsufitk<sup>1</sup> z drewna cedrowego. Id<sup>1</sup>c po schodach miêdzy Dylanem i Shepherdem, Jilly spyta<sup>3</sup>a:

- Ten dom ma związek z Lincolnem Proctorem?

- Tak. Nie wiem jaki, ale wyczuwam ze śladu, że byś tu przynajmniej raz, może więcej niż raz, i że to miejsce jest dla niego ważne.

- Czyli to może być jego dom?

Dylan pokręcił głową. - Nie sldź.

Drzwi - geometryczne dzieło art deco z brązu i szkła witrażowego - mogło wraz bocznymi oknami stanowić rzeźbę.

- A jeżeli to pułapka - zaniepokoi się.

- Nikt nie wie o naszym przybyciu. Niemożliwe, żeby to była pułapka. Poza tym... nie czuję tego.

- Może najpierw powinniśmy trochę poobserwować tę nożę, popatrzeć z lasu, a zobaczymy, kto wchodzi i wychodzi.

- Instynkt mi mówi, żeby wpaść od razu. Do diabła, nie mam wyboru. Muszę tam iść, to tak... jakby pchało mnie tysiąc ręk. Muszę zadzwonić.

Zadzwonił do drzwi.

Jilly została przy Dylanie, choć zastanawiała się, czy nie uciec biegiem między drzewa. Przy swojej obecnej zmienności nie miała już żadnego schronienia na tym świecie, które mogłaby nazwać bezpieczną oazą. Jedyne miejsce, jakie jej pozostało, było przy braciach O'Connerach, a ich jedyne miejsce było przy niej.

Drzwi otworzył im wysoki, przystojny mężczyzna o przedwczesnie posiwiałych włosach i wyjątkowo szarych oczach barwy zaoxidowanego srebra. Te przenikliwe oczy na pewno potrafiły stać się surowe i zimne jak stal, lecz teraz spoglądały na nich ciepło i przyjaźnie, wydając się zupełnie niegroźne jak szare krople wiosennego deszczu.

Jego głos, który Jilly zawsze podejrzewała o to, że podczas audycji jest elektronicznie poprawiany, miał ten sam głęboki tembr i lekko przydymioną barwę jak w radiu. Rozpoznała go natychmiast.

- Jillian, Dylan, Shepherd - powiedział Parish Lantern. - Czekałem na was. Wejdźcie, proszę. Mój dom jest waszym domem.

Dylan, którego mina świadczyła, że jest tak samo oszołomiony jak Jilly, wyłkał:

- Pan? To znaczy... naprawdę? Pan?

- Owszem, ja to na pewno ja, tak przynajmniej było, gdy: ostatni raz patrzyłem w lustro. Wejdźcie. Mamy sobie tyle do powiedzenia, tyle do zrobienia.

Obszerny hall był wyłożony podłogą z wapiennych płyt i boazerią z drewna koloru miodu. Pośrodku stały dwa chińskie krzesła z palisandru obite szmaragdowozieloną tapicerką; duży stół z dużymi czerwonymi i żółtymi dywanami, które wypełniały kilkadziesiąt kwadratowych tulipanów - żółtych, czerwonych i pomarańczowych.

Zaskoczona Jilly poczuła się tu mile widzianym gościem, jak gdyby odnalazła drogę do właściwego miejsca, niemal jak pies który zgubił się podczas przeprowadzki z jednego miasta do drugiego i potrafi instynktownie pokonać wielkie odległości do nowego, nieznanego mu domu.

Zamykając drzwi, Parish Lantern powiedział:

- Później będziecie się mogli przebrać i odwieźć. Kiedy się dowiedziacie, że przyjdziecie, bez bagażu i w takim stanie, poleciłbym mojemu służącemu, Lingowi, by kupił wam wszystkim nowe ubrania, odpowiadające - jak mniemam - waszym gustom. Nie lada sztuką było zdobycie w tak krótkim czasie T-shirtów z kotem. Ling musiał w drodze lecieć do Los Angeles gdzie w sklepie pamiątkowym Warner Brothers udało mu się kupić tuzin takich koszulek w rozmiarze Shepherd.

- W drodze? - powtórzył Dylan, którego minę można było określić jako zbaraniała.

- Poznałam Dylana i Shepherdę dopiero wczoraj - powiedział Jilly. - W piątek wieczorem. Niecałe osiemnaście godzin temu.

Kiwając z uśmiechem głową, Lantern rzekł:

- I pewnie było to bardzo ekscytujące osiemnaście godzin przed? Będziecie mi musieli opowiedzieć. Ale wszystko po kolei - Ciasto - powiedział Shep.

- Tak - zapewnił go Lantern - mam dla ciebie ciasto, Shepherd. Ale wszystko po kolei.

- Ciasto.

- Jesteś bardzo zdecydowanym młodym człowiekiem, prawda? - zauważył Lantern. - To dobrze, podoba mi się zdecydowanie.

- Ciasto.

- Wielkie nieba, chłopcze, można by podejrzewać, że twój mózg opanowała uwielbiająca ciasto pijawka mózgową z rzeczywistości alternatywnej. Gdyby oczywiście istniało coś takie-go jak pijawki mózgowie z rzeczywistości alternatywnej.

- Nigdy w to nie wierzyłam - zapewniła go Jilly.

- Ale miliony wierzą, moja droga - odrzekł Lantern.

- Ciasto.

- Dostaniesz wielki kwadratowy kawałek ciasta - obiecał Shepowi Lantern. - Za jakiś czas. Ale wszystko po kolei. Chodźcie ze mną, proszę.

Gdy wszyscy troje opuścili hall, podjął za autorem radio-wego talk-show przez bibliotekę, w której było więcej księzek niż w żadnej bibliotece tego miasta, Dylan zapytał Jilly: - Wiedziałaś o tym? Zdumiona pytaniem, odparła: - Skąd miałabym wiedzieć?

- No, jesteś przecież fanką Parisha Lanterna. Wielka Stopa, teorie o spisku istot pozaziemskich i tak dalej.

- Właśnie, żeby Wielka Stopa miała z tym cokolwiek wspólnego. Nie jestem też spiskowcem z kosmosu.

- Tak właśnie powiedziałaby spiskowiec z kosmosu.

- Na litość boską, nie jestem spiskowcem z kosmosu. Jestem komikiem występującym solo.

- Jedno nie wyklucza drugiego - odrzekł. - Ciasto - powtórzył z uporem Shep.

Na końcu biblioteki Lantern zatrzymał się i odwrócił do nich.

- U mnie nie macie czego brać.

- Nie, nie - wyjaśnił Dylan. - Wygłupiamy się tylko. To tak nasz prywatny żart z czegoś, co zdarzyło się dawno temu.

- Prawie osiemnaście godzin - dodała Jilly.

- Cały czas pamiętajcie - powiedziała Lantern tajemniczo, lecz z dobroliwością kochającego wujka - i bez względu na to, co się stanie, nie macie się czego brać.

- Ciasto.

- W swoim czasie, chłopczko.

Lantern zaprowadził ich z biblioteki do ogromnego salonu, który był umeblowany współczesnymi kanapami i fotelami obitymi bładożółtym jedwabiem oraz ozdobiony eklektyczną, lecz całkiem ładną mieszanką przedmiotów w stylu art deco i chińskich antyków.

Przez południowe okno, skądaj się niemal w całości z sześciu ogromnych okien, rozciągała się wspaniała panorama na kolorowe jezioro widoczne między gałkami dwóch gigantycznych sosn cukrowych.

Pejzaż był tak malowniczy, że Jilly wykrzyknęła spontanicznie: - Cudowne!

Dopiero po chwili zorientowała się, że w pokoju stoi Lincoln Proctor, czekający na nich z pistoletem w dłoni.

**47** Lincoln Proctor, jakiego ujrzeli, nie był zwęglonym kawałkiem mięsa i kości, choć Dylan z ochotą doprowadziłby go takiego stanu, gdyby miał okazję. Nie przypalił mu się ani jeden włos i nie pozostała na nim najmniejsza drobina popiołu, które mogłyby świadczyć o tym, że spalił się w cadilla-cu Jilly. Nie zmienił się nawet senny ucieszek na jego twarzy. - Usiedźcie - rzekł Proctor. - Porozmawiamy o tym.

Jilly odpowiedziała mu bardzo brzydko, a Dylan dorzucił do jej sugestii jeszcze brzydsze słowa.

- Tak, macie powody mnie nienawidzić - powiedziała ze skrucą Proctor. - Wyrzuciłem wam okropne, niewybaczalne krzywdy. Nie będę próbował się usprawiedliwiać. Ale ta sprawa dotyczy nas wszystkich.

- Nic nas z tobą nie dotyczy - wybuchł Dylan. - Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi ani współnikami, ani nawet królika-mi doświadczalnymi. Jesteśmy twoimi ofiarami i wrogami. Przy najbliższej okazji wyprujemy ci flaki.

- Napijcie się czegoś? - spyta<sup>3</sup> Parish Lantern.

- Jestem wam winien przynajmniej wyjaśnienie - rzek<sup>3</sup> Proctor. - I jestem pewien, że kiedy mnie wysłuchacie, zrozumiecie, że ze względu na wspólny interes musimy zostać sojusznikami, nawet jeżeli to miałyby być trudne.

- Koktajl, brandy, piwo, wino, może coś bez alkoholu?

- Kto spali<sup>3</sup> się w moim samochodzie? - spyta<sup>3</sup> ostro Jilly. - Pewien pechowy gość motelu, który wszedł mi w drogę - powiedzia<sup>3</sup> Proctor. - Był mniej więcej mojego wzrostu. Zabiłem go, podrzuciłem moje dokumenty, zegarek, parę innych rzeczy. Od tygodnia, kiedy zacząłem uciekać, nosiłem ze sobą bombę walizkową - mały ładunek wybuchowy i napalm - wzięcie w tym celu. Zdetonowałem ją pilotem.

- Skoro nikt nie ma ochoty na drinka - odezwa<sup>3</sup> się Lantern - usiadę i dokończę swój.

Podszedł do fotela, z którego widział ich wszystkich, usiadł i z niskiego stolika podniósł kieliszek białego wina.

Reszta wciąż stała.

- Sekcja wykazuje, że ten biedny sukinsyn to nie ty - powiedzia<sup>3</sup> do Proctora Jilly.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ale gdy otoczyli mnie dżentelmeni w czarnych chevroletach, wielki wybuch odwrócił ich uwagę, prawda? Dzięki temu zyskałem kilka godzin, mogłem się wymknąć. Och, wiem, to podle, poświęcić życie niewinnego człowieka, żeby kupić sobie kilka godzin czy dni, ale robiłem już w życiu gorsze rzeczy. Zdarzało się...

Przerywając mu tę nużącą litanię samooskarżenia, Jilly zapytał:

- A kim w ogóle są ci faceci w chevroletach?

- To najemnicy. Człowiek z rosyjskiego Specnazu, człowiek to członkowie amerykańskiej Delta Force, którzy zeszli na drogę, wszyscy byli kiedyś w oddziałach specjalnych w tym czy innym kraju. Wynajmuj się tam, gdzie lepiej płacą.

- Dla kogo teraz pracujesz?

- Dla moich wspólników - odparł Proctor. Parish Lantern odezwał się ze swojego fotela:

- Kiedy im tak zależy na człowieku, że tworzą całą armię, by go zabić, to spore osiągnięcie.

- Moi wspólnicy to wyjątkowo majątkowo osoby, miliarderzy, którzy kontrolują kilka największych banków i korporacji. Kiedy zacząłem odnosić pewne sukcesy w eksperymentach, moi wspólnicy nagle zorientowali się, że ich fortuny i majątki ich firm mogły być zagrożone w obliczu niekończących się pozwów o odszkodowanie, że będą musieli przeznaczyć miliardy na ugody, gdyby... coś poszło nie tak. Przy takich odszkodowaniach miliardy wy-ciskane z przemysłu tytoniowego będą cenniejsze niż suma. Chcieli wszystko pozamykać, zniszczyć owoce moich badań.

- Gdyby coś poszło nie tak? - spytał Dylan.

- Daruj sobie listę tych okropności, którą mi wyliczasz. Powiedz im tylko o Manuelu-pradzi Lantern.

- To byłoby gruby wóciek socjopata - powiedzia<sup>3</sup> Proctor. - W ogóle nie powinienem go przyjmować jako kandydata do eksperymentu. W ciągu kilku godzin od zastrzyku rozwinął w sobie umiejętność wzniesienia ognia siłą woli. Niestety za bar-dzo mu się spodobało palenie różnych rzeczy. Rzeczy i ludzi. Zanim go unieszkodliwiono, zdążył narobić mnóstwo szkód.

Dylanowi zrobiło się słabo. Zrobił krok w kierunku fotela, ale przypomniał sobie matkę i nie usiadł.

- Skąd na litowie boski brał kandydatów do takich eksperymentów? - spytał Jilly.

Kciuk jego ust uniósł się w sennym ucieszeniu. - Ochotnicy.

- Co za idiota zgłosiłby się na ochotnika, żeby mu naszprycować mózg nanomaszynami?

- Widzę, że udało wam się zebrać nieco informacji. Nie wiecie jednak, że rozpoczęliśmy badania na ludziach w pewnym ośrodku w Meksyku. Nadal bardzo łatwo przekupić tam urzędników.

- Wychodzi taniej niż naszych najlepszych senatorów - do-rzucił cierpko Lantern.

Proctor usiadł na brzegu fotela, ale wciąż trzymał wycelowany w nich pistolet. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Musiał przyjechać tu wczoraj prosto z Arizony i miał niewiele czasu na odpoczynek lub wcale go nie miał. Jego zwykle różowa twarz była szara i zmięta.

- Zg³aszali siê skazañcy z do¿ywociem. Najgorsi z najgor-szych. Gdybyœcie mieli spêdziaæ resztê ¿ycia w œmierdz¹cym mek-sykańskim wiêzieniu, ale dostalibyœcie szansê zarobienia na luk-susy albo nawet skrócenia wyroku, zg³osilibyœcie siê do wszystkiego. To byli zatwardziali przestêpcy, ale to, co im zro-bi³em, by³o nieludzkie...

- Bardzo, bardzo podle - powiedzia³ Lantern tonem matki strofuj¹cej niegrzeczne dziecko.

- Owszem. Przyznajê. To by³o podle. By³em...

- Czyli -przerwa³ mu zniecierpliwiony Dylan-kiedy iloraz inteligencji niektórych wiêŹniów spad³ o szeœædziesi¹t punktów, twoich wspólników zaczê³y drêczyæ koszmary o hordach adwo-katów jak stada karaluchów.

- Nie. Nie przejmowalibyœcie siê tymi, którzy stracili spraw-noœæ intelektualn¹ albo w jakœ inny sposób dokonali autode-strukcji. Urzêdnicy wiêzienni wpisywali im nieprawdziwe infor-macje do aktów zgonu i nikt nie móg³ ich skojarzyæ z nami.

- Jeszcze jedna bardzo pod³a rzecz - rzek³ Lantern, cmoka-j¹c z dezaprobat¹. - Pod³ym rzeczom nie ma koñca.

- Gdyby jednak ktoœ taki jak Manuel, nasz podpalacz, zna-laz³ siê na wolnoœci, ogniem utorowa³ sobie drogê przez kon-trolê graniczn¹, dosta³ siê do San Diego i zacz¹³ tam szaleæ, pa-l¹c w mieœcie dom za domem, zabijaj¹c setki ludzi... wtedy byæ mo¿e nie moglibyœcie siê od niego zdystansowaæ. Mo¿e powie-dzia³by komuœ o nas. Wtedy... czeka³yby nas pozwy o odszko-dowania do koñca wieku.

- Wyœmienite chardonnay - oœwiadczy³ Lantern - jeœli ktoœ chcia³by zmieniaæ zdanie. Nie? Wobec tego zostanie wiêcej dla mnie. A teraz zbli¿amy siê do smutnej czêœci tej opowieœci. Smutnej i frustruj¹cej. Rewelacji niemal tragicznej. Powiedz im o tym, Lincoln.

Irytuj¹cy ucemieszek Proctora pojawia³ siê i blad³. Teraz znikn¹³.

- Zanim zamknêli moje laboratoria i zaczêli próbowaæ siê mnie pozbyæ, opracowa³em now¹ generacjê nanobotów.

- Now¹ i udoskonalon¹ - doda³ Lantern. -- Jak nowy ro-dzaj coca-coli albo nowy kolor w palecie czekoladek M&M. - Owszem, znacznie udoskonalon¹ - przytakn¹³ Proctor, albo nie wyczuwaj¹c sarkazmu gospodarza, albo postanawia-j¹c go zignorowaæ. - Usun¹³em defekty. Dowodem na to jesteœcie ty, Dylan i panna Jackson. Ty tak¿e, Shepherd, prawda? Shep sta³ ze spuszczon¹ g³ow¹ i milcza³.

- Musicie mi opowiedzieæ wszystko o skutkach, jakie wy-wo³a³ u was mój wynalazek - rzek³ Lincoln Proctor, znów przy-wo³uj¹c na twarz swój ucemieszek. - Tym razem jakoœæ osób poddanych eksperymentowi jest taka, jaka powinna byæ zawsze. Jesteœcie z o wiele lepszej gliny. Praca z osobowoœci¹ krymina-listów by³a skazana na katastrofê. Powinienem o tym wiedzieæ od pocz¹tku. Moja wina. I moja g³upota. Ale jak to by³o z wa-mi, jakiego rodzaju udoskonalenia nast¹pi³y? Nie mogê siê do-czekaæ, aby o tym pos³uchaæ. Jaki by³ efekt?

Zamiast odpowiedzieæ Proctorowi, Jilly zwróci³a siê do Pari-sha Lanterna:

- A jaka jest twoja rola? By³eœ jednym z inwestorów?

- Nie jestem ani miliardere, ani idiot¹-zapewni³ j¹ Lan-tern. - Kilka razy wyst¹pi³ w moim programie, bo uwa¿a³em go za zabawnego stukniêtego egocentryka.

Uciemiech Proctora stê¿a³. Gdyby spojrzenia mog³y ciskaæ p³omienie, Proctor zmieni³by Parisha Lanterna w garœæ popio-³u, tak jak Manuel czyni³ podobno z innymi.

- Nigdy nie by³em dla niego nieuprzejmy - ci¹gn¹³ Lantern. - Nie dawa³em mu do zrozumienia, co naprawdê myœlê o szalo-nym pomyœle wymuszonej ewolucji ludzkiego mózgu. To nie w moim stylu. Jeœli goœæ jest geniuszem, pozwalam, aby sam zdo-bywa³ przyjació³ i wywiera³ wp³yw na ludzi, a je¿eli jest szaleñ-cem, ciesze siê, ¿e mo¿e robiæ z siebie durnia bez mojego udzia³u.

S³ysz¹c tê zniewagê, Proctor zarumieni³ siê, jednak mimo to nie wygl¹da³ wcale zdrowiej. Podniós³ siê z fotela i zamiast w Dylana, wymierzy³ pistolet w Lanterna.

- Zawsze uwa¿a³em ciê za cz³owieka, który ma wizjê. Dlate-go z moj¹ now¹ generacj¹ przyszed³em najpierw do ciebie. I tak mi odp³acasz?

Parish Lantern wychyli³ z kieliszka resztkê wina, posmako-wa³ i prze³kn¹³. Nie zwracaj¹c uwagi na Proctora, zwróci³ siê do Dylana i Jilly:

- Nigdy przedtem nie spotkałem naszego pocziwego dok-tora osobiście. Zawsze rozmawiałem z nim na żywo przez tele-fon. Pięć dni temu stan<sup>13</sup> na moim progu, a ja byłem zbyt uprzejmy, żeby kopniakiem wyrzucić go na ulicę. Powiedział<sup>3</sup>, że chce ze mn<sup>1</sup> porozmawiać o czymś bardzo ważnym, co będę mógł wykorzystać w programie. Uprzejmie zaprosiłem go do gabinetu, a on odpacił mi za grzeczność chloroformem i po-tworn<sup>1</sup>... końsk<sup>1</sup> strzykaw<sup>1</sup>.

- Też to znamy - powiedział<sup>3</sup> Dylan.

Odstawiając pusty kieliszek, Lantern wstał z fotela.

- Potem wyszedł, zostawiając mi na pożegnanie ostrzeżenie, że jego współpracownicy, przerwani perspektywami procesów, są zdecydowani go zabić, a także każdego, komu zrobi zastrzyk, więc lepiej będzie, jeżeli nie zgłoszę tego na policji. W ciągu paru godzin przeszedłem przez zmiany. Pierwszym przekleństwem była prekognicja.

- My też nazywamy to przekleństwem -- rzekła Jilly.

- Już w erodzie zacząłem przewidywać niektóre z dzisiejszych wydarzeń. Dowiedziałem się, że nasz Frankenstein wróci, żeby zobaczyć, jak się czuję, i będzie oczekiwał pochwały i podziękowań. Ten skończony dureń spodziewał się, że będę mu wdzięczny, przyjmę go jak bohatera i udzielę schronienia. Bładoniebieskie oczy Proctora spoglądały twardo i zimno jak tamtego wieczoru w 1992 roku, gdy zabił matkę Dylana.

- Mam mnóstwo wad, bardzo poważnych wad. Ale nigdy bez potrzeby nie obrażam ludzi, którzy mają wobec mnie dobre zamiary. Nie rozumiem twojej postawy.

- Kiedy mu powiedziałem, że przewiduję waszą wizytę jeszcze tego samego dnia - cięgnąc Lantern - strasznie się podniecił. Spodziewał się, że wszyscy będziemy przed nim klęczeć i całować go w pierścienie.

- Wiedziacie, że tu przyjdziemy, zanim dopadnie nas w Ari-zonie i zrobi nam zastrzyk - zdumiała się Jilly.

- Tak, mimo że z początku nie wiedziałem, kim jesteście. Nie potrafię wam za dobrze wyjaśnić, jak to możliwe - przyznał Lantern. - Ale we wszystkim istnieje pewna harmonia...

- Cała przepowiednia wszystkiego - powiedziałła Jilly. Parish Lantern uniósł brwi.

- Tak. Można to tak nazwać. Są rzeczy, które mogą się wydarzyć, rzeczy, które muszą się wydarzyć, i czując całą przepowiednia wszystkiego, można poznać przynajmniej małą część tego, co się stanie. Oczywiście, jeżeli jest się dotkniętym przekleństwem takiej wizji.

- Ciasto - powiedział Shepherd.

- Już niedługo, choć może. Po pierwsze, musimy postanowić, co zrobimy z tym cuchnącym workiem gówna.

- Kupka, kaka, ajno.

- Tak, choć może - potwierdził ekspert od zmian położenia biegunów planetarnych i spisków kosmitów. - Tego również. - Ruszył w kierunku Lincolna Proctora.

Naukowiec nagle dźgnął powietrze, podnosząc broń. - Nie zbliżaj się do mnie.

- Powiedziałem ci, że moje nowe umiejętności to tylko zdolność prekognicji - rzekł Lantern, idąc przez salon w stronę Proctora. - Ale skłamałem.

Był może przypominał sobie Manuela podpalacza, Proctor strzelił z bliska do swego przeciwnika, ale Lantern nawet się nie skrzywił na dźwięk wystrzału ani nie drgnął, gdy trafiła w niego kula. Pocisk jak gdyby odbił się od piersi gospodarza i utkwił w górnym trzaskiem w suficie salonu.

Proctor desperacko strzelił jeszcze dwa razy do podchodzącego coraz bliżej Lantern, lecz obydwa pociski równieź odbiły się, trafiając w sufit i z pierwszą kulą tworząc idealny trójkąt.

Dylan przyzwyczał się do widoku cudów, więc obserwował z fascynującą przedstawienie w stanie, któremu bardziej odpowiada określenie „zdumienie” niż „osupienie”.

Parish Lantern nie musiał używać siły, by wyjąć broń z ręki oszalonego naukowca. Oczy Proctora wpełzły się z nimi, jak gdyby dostał obuchem w głowę, ale szalony doktor nie upadł.

Dylan, Jilly i powołani nogami Shep podszli do Lantern-a i przystanęli jak sędziowie zbierający się na naradę przed wydaniem wyroku.

- Ma jeszcze jedną strzykawkę - powiedział Lantern. - Jeżeli podoba mu się to, co nowa generacja nanopaskudztwa z nami zrobiła, na pewno zdobędzie się na odwagę i zrobi sobie zastrzyk.

Dylan, s<sup>1</sup>dzisz, czy to dobry pomys<sup>3</sup>?

- Nie.

- A ty, Jilly? S<sup>1</sup>dzisz, czy to dobry pomys<sup>3</sup>?

- Do diab<sup>3</sup>a, nie - odrzek<sup>3</sup>a. - Na pewno nie jest z lepszej gliny. Będzie tak samo jak z Manuelem.

- Niewdzięczna dziwka - powiedzia<sup>3</sup> Proctor.

Dylan zrobi<sup>3</sup> krok w jego stronê, szykuj<sup>1</sup>c siê do zadania mu ciosu, lecz Jilly chwyci<sup>3</sup>a go za koszulê na piersi.

- Mnie nazwa<sup>3</sup> gorzej.

- Macie jakie<sup>3</sup> pomys<sup>3</sup>, co z nim zrobiæ? - zapyta<sup>3</sup> Lantern. - Lepiej nie oddawaæ go w rêce policji - rzek<sup>3</sup>a Jilly.

- Ani wspólników - doda<sup>3</sup> Dylan. - Ciasto.

- Twój upór jest godny podziwu, ch<sup>3</sup>opcze. Ale najpierw musimy siê zaj<sup>1</sup>æ nim, a potem zjemy ciasto.

- Lód - powiedzia<sup>3</sup> Shep i z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>czy<sup>3</sup> tu w tam.

## 48

Byæ mo<sup>1</sup>ze wtedy w kuchni domu na sa-motnym wybrze<sup>1</sup>u, na p<sup>3</sup>noc od Santa

Barbara, zagl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c do lodówki, Shep wcale nie wyra<sup>1</sup>ca<sup>3</sup> ochoty na zimny napój, ale przewidzia<sup>3</sup> okolicznoœci ich ostatniego spotkania z Lincolnem Proctorem. Istotnie, Jilly przypomni<sup>3</sup>a sobie, czy Shep nie lubi lodu w napojach.

„Gdzie jest lód?” - pyta<sup>3</sup>, próbuj<sup>1</sup>c zidentyfikowaæ krajo-braz, który ujrza<sup>3</sup> w swej proroczej wizji.

„Na biegunie p<sup>3</sup>nocnym jest du<sup>1</sup>o lodu” - odpowiedzia<sup>3</sup>a mu Jilly.

I rzeczywiœcie.

Pod niskim niebem przypominaj<sup>1</sup>cym pokrywkê czelaznego czajnika, od horyzontu po horyzont rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>y siê posêpne bia<sup>3</sup>e równiny, niki<sup>1</sup>c w p<sup>3</sup>znierzchu i szarej mgle. Jedyne wzniesienia stanowi<sup>3</sup>y poszarpane grzbiety zwa<sup>3</sup>ów lodu oraz lodowe p<sup>3</sup>yty - niektóre wielkoœci trumien, inne wiêksze od ca<sup>3</sup>ych do-mów pogrzebowych - które od<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>y siê od czapy lodowej i sta<sup>3</sup>y pionowo niczym cementarne nagrobki na innej planecie. „Zimno” - mówi<sup>3</sup> Shepherd. i mia<sup>3</sup> racjê.

Nie byli odpowiednio ubrani na wycieczkê na czubek œwiata i mimo czy s<sup>3</sup>ynne polarne wiatry posz<sup>3</sup>y spaæ, przenikliwie powie-trze k<sup>1</sup>sa<sup>3</sup>o ich, jakby dosta<sup>3</sup>o wilczych zêbów. Szok spowodowa-ny nagl<sup>1</sup> zmian<sup>1</sup> temperatury wprawi<sup>3</sup> serce Jilly w bolesne, nie-rytmiczne ko<sup>3</sup>atanie, a ona omal nie osunê<sup>3</sup>a siê na kolana.

Parish Lantern wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na oszo<sup>3</sup>omionego magiczn<sup>1</sup> po-dró<sup>1</sup>znad jeziora Tahoe wprost do nieprzyjaznej krainy nie-szczêliwych przygód i bo<sup>1</sup>onarodzeniowych legend, ale przy-stosowa<sup>3</sup> siê do sytuacji z wyj<sup>1</sup>tkow<sup>1</sup> pewnoœci<sup>1</sup> siebie.

- Robi wra<sup>1</sup>enie.

Tylko Proctor rzuca<sup>3</sup> siê w panice, krêc<sup>1</sup>c siê w k<sup>3</sup>oko i wyma-chuj<sup>1</sup>c ramionami, jakby lodowa panorama by<sup>3</sup>a iluzj<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> mo<sup>1</sup>na zerwaæ i ods<sup>3</sup>oniaæ ukryty pod spodem zielony krajobraz jeziora Tahoe. Mo<sup>1</sup>ze próbowa<sup>3</sup> nawet krzyczeæ, lecz przera<sup>1</sup>liwe zimno odebra<sup>3</sup>o mu glos, zmieniaj<sup>1</sup>c go w piskliwe rzê<sup>1</sup>enie.

- Shepherd - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly, stwierdzaj<sup>1</sup>c, czy od zimnego powietrza pali j<sup>1</sup> w gardle i boli w p<sup>3</sup>uchach.

- Dlaczego tu?

- Ciasto - odpar<sup>3</sup> Shepherd.

Parali<sup>1</sup>uj<sup>1</sup>cy z<sup>1</sup>b wolno zmienia<sup>3</sup> panikê Proctora w stan odrêtwia<sup>3</sup>ej dezorientacji, a Parish Lantern przyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> do siebie Dylana, Jilly i Shepa i wszyscy przytulili siê do siebie, ogrzewa-j<sup>1</sup>c siê nawzajem ciep<sup>3</sup>em ci<sup>13</sup> i paruj<sup>1</sup>cych oddechów.

- Zabójczy mróz. D<sup>3</sup>ugo tu nie wytrzymamy. - Dlaczego tutaj? - spyta<sup>3</sup> Shepa Dylan.

- Ciasto.

- Chyba ch<sup>3</sup>opiec chce zostawiæ tu tego <sup>3</sup>ajdaka, a potem wróciæ na ciasto.

- Nie mo<sup>1</sup>zemy - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Mo<sup>1</sup>zemy - powiedzia<sup>3</sup> Shep. - Nie - odezwa<sup>3</sup>a siê Jilly. - Tego nie nale<sup>1</sup>zy robiæ.

Lantern nie wyrazi<sup>3</sup> zdziwienia, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c jej s<sup>3</sup>owa i Jilly domyœli<sup>3</sup>a siê, czy on te<sup>1</sup> zna ten wywo<sup>3</sup>any przez

nanomaszyny przymus, aby zawsze robiæ tylko to, co nale¿y. Jego autorytatywny zwykle glos dr¿a³ teraz z zimna.

- Ale gdybycemy to zrobili, rozwi³alibyemy wiele spraw. Policja nie znalaz³aby cia³a.
- Nie by³oby ryzyka, ¿e przyprowadzi do nas swoich wspólników - powiedzia³a Jilly.
- Nie mia³by okazji zaaplikowaæ sobie zastrzyku - doda³ Dylan.
- I nie cierpia³by d³ugo - argumentowa³ Lantern. - W ci¹gu dziesiêciu minut zdrêtwia³by z zimna i przesta³ odczuwaæ ból. To niemal akt mi³osierdzia.

Zaniepokojona Jilly wyczula jêzykiem, ¿e jej zêby pokry³y siê warstewk¹ lodu.

- Ale gdybycemy to zrobili - powiedzia³a - drêczylibyemy siê tym przez d³ugi czas, bo to nie jest rzecz, któr¹ nale¿y robiæ. - Jest - odezwa³ siê Shep.
- Nie. - Jest.

- Bracie - rzek³ Dylan. - Naprawdê nie. - Zimno.

- Zabierz nas z powrotem nad Tahoe. - Ciasto.

Proctor chwyci³ Jilly za w³osy, szarpn¹³, odci¹gn¹³ od towarzyszki i zacisn¹³ ramiê wokó³ jej szyi.

Wczepi³a siê palcami w jego rêkê, drapi¹c j¹, i zda³a sobie sprawê, ¿e drañ bêdzie zaciska³ morderczy uchwyt, dopóki ona nie straci tchu i nie zemdleje. Musia³a siê uwolniæ od Proctora i to jak najprêdziej, co oznacza³o koniecznoœæ z³o¿enia.

Mia³a œwie¿o w pamieci swoje niedawne wpadki w kociele. Gdyby rz¹d wydawa³ tymczasowe zezwolenia dla adeptów sk³adania, Jilly musia³aby siê o takie wystaraæ. Nie chcia³a sk³adaæ siê z chwytu Proctora, by potem stwierdzaæ, ¿e zapomni³a g³o-wy, ale gdy zamgli³ siê jej wzrok i w oczy zaczê³y zasnuwaæ siê ciemnoœci¹, przenios³a siê „st¹dtam”, a „tam” oznacza³o miej-sce kilka stóp za plecami Proctora.

Staj¹c za nim z g³ow¹ na swoim miejscu, Jilly znalaz³a siê w idealnej pozycji, by kopn¹æ Proctora w ty³ek, na co mia³a ochotê od chwili, gdy poprzedniego wieczoru w motelu zamro-czy³ j¹ chloroformem. Zanim jednak Jilly zd¹¿y³a wymierzyæ mu s¹cznistego kop-niaka, Dylan zaatakowa³ naukowca ci¹³em. Proctor poœlizn¹³ siê i upad³, wal¹c g³ow¹ w lód. Zwijaj¹c siê w k³êbek i dygocz¹c z zimna, rzê¹cym g³osem b³aga³ ich o litoœæ, jak zwykle be³kocz¹c, ¿e jest s³abym, z³ym i pod³ym cz³owiekiem. Choæ odzyska³a ju¿ ostroœæ wzroku, arktyczny zi¹b szczy-pa³ j¹ w oczy, wyciskaj¹c z nich ³zy, które zamarza³y na rzêsach.

- Skarbie - powiedzia³a do Shepherd. - Musimy siê st¹d wydostaæ. Zabierz nas z powrotem nad Tahoe.

Pow³ócz¹c nogami, Shep podszed³ do Proctora, przycupn¹³ przy nim - i obaj siê z³o¿yli.

- Bracie! - krzykn¹³ Dylan, jak gdyby w ten sposób móg³ sprowadzaæ go z powrotem.

Okrzyk nie odbi³ siê echem od lodowego krajobrazu, ale uton¹³ w bieli jak w miêkkiej poduszce.

- Teraz zaczynam siê naprawdê niepokoiaæ - powiedzia³ Pa-rish Lantern, tupi¹c energicznie, aby pobudziæ kr¹¿enie, zabija-j¹c rêce i rozgl¹daj¹c siê po czapie lodowej, jak gdyby kry³o siê tu wiêcej niebezpieczeñstw ni¿ w rzeczywistoœci alternatywnej zamieszkiwanej przez pijawki mózgowo.

Niska temperatura podra¿ni³a zatoki Dylana i u wylotu lewego nozdrza uformowa³ mu siê miniaturowy sopel.

W ci¹gu paru sekund po znikniêciu Shepherd z³o¿y³ siê z powrotem, ju¿ bez naukowca.

- Ciasto.

- Gdzie go zostawi³eœ, skarbie? - Ciasto.

- Gdzieœ tu na lodzie? - Ciasto.

- Zamarznie na œmieræ, bracie - odezwa³ siê Dylan. - Ciasto.

- Musimy robiæ to, co nale¿y, skarbie - powiedzia³a Jilly.

- Shep, nie - odrzek³ Shepherd.

- Ty te¿, skarbie. To, co nale¿y. Shepherd pokrêci³ g³ow¹ i powiedzia³:

- Shep mo¿e byæ trochê z³y.

- Nie s¹dzê, bracie. PóŹniej prze¿ywa³byœ prawdziwe mê-czarnie.

- Nie bêdzie ciasta?

- Tu nie chodzi o ciasto, skarbie.



- Shep może być tylko trochę zły. Jilly wymieniła spojrzenia z Dylanem i powiedziała do Shepa:
- Możesz być zły, skarbie?
- Tylko trochę.
- Tylko trochę?
- Tylko trochę.

Na rzeczach Lanterna srebrzyła się skorupa zamrożonych. Oczu zawiązy mu nieprzerwanie, mimo to jednak Jilly wy-czytała w nich ogromne poczucie winy, kiedy powiedziała:

- Jeżeli ktoś potrafi być trochę zły, to się może przydać. Cza-sem, kiedy mamy do czynienia z bardzo dużym złem, należy zdecydowanie poświęcić mu kres.
- W porządku - powiedziała Shep. Zapadło milczenie.
- W porządku? - spytała Shep.
- Myślenie - odrzekł Dylan.

Z bezwietrznego nieba sypnął śnieg. Śnieg, jakiego Jilly nigdy w życiu nie widziała. Nie były to puszyste białe płatki, ale ostre jak igły drobiny, granulki lodu.

- Za dużo - powiedziała Shep.
- Czego za dużo, skarbie?
- Za dużo.
- Czego za dużo?
- Myślenia - odparł Shep, po czym odwiadczył:
- Zimno - i złożył ich z powrotem nad jezioro Tahoe, już bez Proctora.

## 49 Stojąc wokół wyspy pośrodku kuchni w domu Parisha Lanterna, jedli ciasto

czekoladowo-waniliowe z ciemną czekoladą polewą, w nagrodę i na pocieszenie, ale Jilly odniosła wrażenie, jakby to był chleb dzielony w dziwnej komunii. Jedli w milczeniu, patrząc w talerze, dostosowując się do etykiety Shepherda O'Connora.

Odniosła wrażenie, że wszystko jest tak, jak ma być.

Dom okazał się jeszcze większy, niż wydawał się z zewnątrz. Kiedy Parish zaprowadził ich do rozległego skrzydła gościnne-go, do dwóch przygotowanych na ich przyjęcie sypialni, pomyślała, że mogłoby się tu zmieścić co najmniej dwudziestu niezapowiedzianych gości.

Mimo że po powrocie z bieguny północnej Jilly była wykończona i spodziewała się, że przecepi resztę popołudnia i wczesny wieczór, po porcji ciasta czuła się rześka i wypoczęta. Zastanawiała się, czy jednym ze skutków zmian, jakie w niej nastąpiły, będzie mniejsza potrzeba snu.

Obydwie sypialnie miały oddzielne, wielkie i urządzone z przepychem łóżka z marmurowymi podłogami i blatami oraz złoconą armaturą, wyposażone w prysznic i wannę przeznaczoną do bogatego wylegiwania się w kąpielni, a także ogrzewane wieszaki, dzięki którym można się było otulić w ciepłych ręcznikach. Jilly wzięła prysznic, długo rozkoszowała się ciepłą

wodą, a potem, z lubością i leniwym, kocim narcyzmem, zajęła się własną urodą.

Parish starał się przewidzieć jej gust w najdrobniejszych szczegółach, od szamponu po kosmetyki do makijażu i kredki do oczu. Czasem jego wybór okazywał się udany, czasem nie, ale na ogół był trafny. Jilly oczarowała jego troskliwością.

Odwołując się, umalowana i przebrana, odnalazła drogę do salonu. Podczas wędrówki ze skrzydła gościnne-go przekonywała się coraz bardziej, że ciepło i przytulność domu odwracały uwagę gościa od jego prawdziwego ogromu. Pod miękkością i romantyzmem stylu Wrighta, mimo wielu okien i podwórzy wywołujących wrażenie bezpośredniego kontaktu z naturą, budowla wydawała się niezwykle tajemnicza i odizolowana od reszty świata, skrywała swoje sekrety tam, gdzie na pozór całkowicie się odsłaniała.

Tu także wszystko było tak, jak miało być.

Z salonu Jilly wyszła na taras ustawiony na wspornikach, który architekt w magiczny sposób zawiesił nad pachnącymi roślinami, skąd rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na bajkowe jezioro.

Po chwili przy balustradzie obok niej zjawił się Dylan. Stali w milczeniu, zauroczeni panoramą<sup>1</sup>, która w blasku późnego popołudnia zdawała się mieniać żywymi barwami jak na obrazie Maxfielda Parisha. Pora na rozmowę minęła i jeszcze nie nadeszła.

Parish przeprasza ich z góry, że nie może zapewnić takiej opieki, jak zwykle mieli jego goście. Od razu, gdy się zorientował, że nanomaszyny dokonały w nim bardzo głębokich zmian, dał całej sześcioletniej wakacji, aby przeżyła metamorfozę samotnie.

Pozostał tylko Ling, majordomus. Zjawił się dwie minuty po tym, jak Dylan i Jilly wyszli na taras.

Przyniósł drinki na małej, czarno lakierowanej tacy ozdobionej inkrustacją z macy perłowej, która przedstawiała lilię wodną. W kieliszkach było idealnie przyrządzone wytrawne martini-zamieszane, nie wstrząsnięte. Ling był szczupły, lecz w dobrej kondycji, porusza się z gracją baletmistrza i spokojnie pewności, jaka musi mieć posiadaczka czarnego pasa w taekwondo. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, ale z jego hebanowych oczu wycierała się kwintesencja młodości starożytnych. Gdy Jilly, a potem Dylan brali martini z ozdobionej lilią wodną tacy, Ling lekko skłania głowę i z miłym uśmiechem wypowiada do każdego z nich to samo chińskie słowo, które, jak Jilly się domyśla, oznacza „proszę” i równocześnie jest życzeniem pomyślności. Następnie Ling wyszedł prawie tak dyskretnie jak ulatniający się duch; gdyby była zima, a taras pokrywałaby warstewka śniegu, byłby może w ogóle nie pozostawiłby po sobie śladów.

Znow wszystko było tak, jak miało być.

Podczas gdy Jilly i Dylan delektowali się martini i cudownym widokiem, Shepherd został w salonie. Znalazł sobie kąt, w którym mógł stać godzinę lub dwie, ograniczając wrażenia zmysłowe do kontemplacji linii ścian.

Francuzi powiadają: Plus ça change, plus c'est le même chose, - Im bardziej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo. Stojąc w kącie, Shepherd był ucieleśnieniem komizmu i tragizmu tej prawdy. Uosabiał rozczarowanie i taktowną akceptację, które kryły się w tych słowach, ale także ich melancholijne piękno.

Program radiowy Parisha kupowali nadawcy w całym kraju i sześć razy w tygodniu, od poniedziałku do soboty, nadawało go ponad pięćset stacji, dlatego zwykle Lantern zaczyna pracę, gdy tylko zmierzch zarzuca fioletową zasłonę w poprzek jeziora. Siedząc w ultranowoczesnym studiu w piwnicy, odbierał telefony od słuchaczy, których miało dziesięć milionów, i również przez telefon przeprowadza wywiady ze swoimi gośćmi. W prowadzeniu programu pomaga mu Ling i inżynier. Właściwe centrum produkcyjne znajdowało się w San Francisco, gdzie wybierano telefony od słuchaczy i łączyło z domem Lanterny, a także filtrowano i wzmacniano sygnał, który niemal natychmiast retransmitowano.

W ten sobotni wieczór, podobnie jak w dniu, gdy Proctor zaaplikował mu swoją szprycę, Parish zrezygnował z programu na żywo i nadawał najlepsze fragmenty audycji archiwalnych.

Krótko przed kolacją, na którą zaprosił ich gospodarz, Jilly powiedział do Dylana:

- Zadzwoń do mamy. Zaraz wracam.

Odstawiła pusty kieliszek po martini na balustradę tarasu i złożyła się do cienistego zakątka ogrodu z tyłu Hotelu Peninsula w Beverly Hills. Nikt nie zauważył jej przybycia.

Mogła się złożyć dokądkolwiek, aby zadzwonić, ale podobało jej się w Peninsula. Był to pięciogwiazdkowy hotel i miała nadzieję, że pewnego dnia będzie ją na niego stać, gdy zrobi zawrotną karierę komika.

W hallu znalazła automat, wrzuciła kilka monet i wystukała dobrze znany numer.

Matka odebrała po trzecim dzwonku. Poznając Jilly po głosie, wybuchnęła:

- Dziecko, dobrze się czujesz, nic ci się nie stało, co się z tobą dzieje, skarbie - niech cię Bóg strzeże - gdzie jesteś?

- Uspokój się, mamo. U mnie wszystko w porządku. Chciałabym ci powiedzieć, że przez tydzień czy dwa nie będę się mogła z tobą zobaczyć, ale coś wykombinuję, żebyśmy się spotkały.

- Jilly, dziecko, od tych wydarzeń w kościele byli tu ludzie z telewizji, z gazet, wszyscy niegrzeczni jak ci biurokraci z opieki społecznej na suchej diecie. Są teraz na ulicy z tymi wozami satelitarnymi, hałasują, oświecają tymi paskudnymi papierosami i opakowaniami po batonach. Niegrzeczni, bardzo niegrzeczni.

- Nie rozmawiaj z żadnym z nich, mamó. Gdyby któś cię pyta<sup>3</sup>, nie łyjê.
- Nie mów takich okropnych rzeczy!
- Po prostu nikomu nie mów, że dzwoni<sup>3</sup>am. PóŹniej ci wszystko wyjaeniê. Pos<sup>3</sup>uchaj, mamó, nied<sup>3</sup>ugo zjawi<sup>1</sup> siê u cie-bie ponure draby o wygl<sup>1</sup>dzie twardzieli. Bêd<sup>1</sup> mówili, że s<sup>1</sup> z FBI czy coe w tym rodzaju, ale to k<sup>3</sup>amstwo. Udawaj przed ni-mi g<sup>3</sup>upi<sup>1</sup>. B<sup>1</sup>d<sup>Ź</sup> s<sup>3</sup>odka jak miód, udawaj, że umierasz ze stra-chu o mnie, ale nie puszczaj pary z ust.
- PrzecieŹ jestem tylko jednook<sup>1</sup>, kulaw<sup>1</sup>, biedn<sup>1</sup> i niedo-uczon<sup>1</sup> prostaczk<sup>1</sup> o wielkim ty<sup>3</sup>ku. Kto by w ogóle pomyœla<sup>3</sup>, że mogê coe wiedzia<sup>3</sup>?
- Strasznie ciê kocham, mamó. Jeszcze jedno. Jestem pew-na, że nie za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yli ci jeszcze pods<sup>3</sup>uchu w telefonie, ale w koñcu znajd<sup>1</sup> na to sposób. Tak wiêc kiedy wpadnê zobaczyæ siê z to-b<sup>1</sup>, nie bêdê wczœniej dzwoni<sup>3</sup>a.
- Dziecko, bojê siê jak jeszcze nigdy od dnia, w którym twój przeokropny ojciec by<sup>3</sup> tak dobry, że da<sup>3</sup> siê zastrzeliæ.
- Nie bój siê, mamó. Nic mi siê nie stanie. Szykujê ci parê niespodzianek.
- Jest u mnie ojciec Francorelli. Chce z tob<sup>1</sup> rozmawiaæ. Ci<sup>1</sup>gle jest bardzo przeŹyty tym, co siê zdarzy<sup>3</sup>o na celubie. Jilly, dziecko, co tam siê w<sup>3</sup>aœciwie zdarzy<sup>3</sup>o? To znaczy, wiem, opo-wiadali mi, ale nic z tego nie rozumiem.
- Nie chcê rozmawiaæ z ojcem Francorellim, mamó. Po-wiedz mu tylko, że bardzo mi przykro, że zepsu<sup>3</sup>am uroczystoœæ. - Zepsu<sup>3</sup>æ? Uratowa<sup>3</sup>æ ich. Uratowa<sup>3</sup>æ ich wszystkich.
- Mog<sup>3</sup>am to zrobia<sup>3</sup> o wiele dyskretniej. S<sup>3</sup>uchaj, mamó, kie-dy za parê tygodni siê spotkamy, mo<sup>3</sup>e mia<sup>3</sup>abyœ ohotê na ko-lacjê w Pary<sup>3</sup>u?
- W Pary<sup>3</sup>u, we Francji? A co u licha mia<sup>3</sup>abym jecæ w Pa-ry<sup>3</sup>u?
- To mo<sup>3</sup>e w Rzymie? Albo w Wenecji? Albo w Hongkongu?
- Dziecko, wiem, że przenigdy nie zaczê<sup>3</sup>abyœ braæ narko-tyków, ale zaczynasz mnie martwiaæ. Jilly zacemia<sup>3</sup>a siê.
- Wiêc mo<sup>3</sup>e Wenecja? W jakiejœ piêciogwiazdkowej restau-racji. Wiem, że lubisz w<sup>3</sup>osk<sup>1</sup> kuchniê.
- Uwielbiam lasagne. Jakim cudem bêdzie ciê staa na piê-ciogwiazdkowy lokal, i to jeszcze w Wenecji?
- Zobaczysz. Mamó...
- Co takiego, dziecko?
- Nigdy nie potrafi<sup>3</sup>abym uratowaæ w<sup>3</sup>asnego ty<sup>3</sup>ka, że nie wspomnê o tych wszystkich ludziach, gdybyœ mnie nie wychowa<sup>3</sup>a i nie pokaza<sup>3</sup>a mi, jak nie daæ siê zjeææ ływcem strachowi. - Niech ciê Bóg b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi, dziecko. Bardzo ciê kocham.
- Jilly od<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>uchawkê, d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>sz<sup>1</sup> chwilê dochodzi<sup>3</sup>a do siebie. Potem, wrzuciwszy do aparatu garœæ æwierædolarówek, zadzwoni<sup>3</sup>a pod zamiejscowy numer, który dosta<sup>3</sup>a od Dylana. Gdy po pierwszym dzwonku odezwa<sup>3</sup>a siê kobieta, Jilly powiedzia<sup>3</sup>a:
- Chcia<sup>3</sup>abym rozmawiaæ z Vonett<sup>1</sup> Beesley.
- W<sup>3</sup>acenie z ni<sup>1</sup> pani rozmawia. Czym mogê s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>yæ?
- Dylan O'Conner prosi<sup>3</sup>, żebym zadzwoni<sup>3</sup>a i spyta<sup>3</sup>a, czy u pani wszystko w porz<sup>1</sup>dku.
- Kto móg<sup>3</sup>by mi zrobia<sup>3</sup> coe z<sup>3</sup>ego, czego natura w koñcu i tak w koñcu nie pogorszy? Proszê powiedziaæ Dylanowi, że nic mi nie jest. Milo s<sup>3</sup>yszeæ, że łyje. Zdrow i ca<sup>3</sup>y?
- W<sup>3</sup>os mu nie spad<sup>3</sup> z g<sup>3</sup>owy.
- A ma<sup>3</sup>y Shep?
- Stoi teraz w k<sup>1</sup>cie, ale wczœniej dosta<sup>3</sup> wielki kawa<sup>3</sup> ciasta i do kolacji wszystko bêdzie w porz<sup>1</sup>dku.
- Jest kochany.
- To prawda - odpar<sup>3</sup>a Jilly. - Dylan prosi<sup>3</sup> mnie, żebym pani powiedzia<sup>3</sup>a, że nie bêd<sup>1</sup> ju<sup>3</sup> potrzebowali gosposi.
- S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am, co siê sta<sup>3</sup>o, w ich domu, i przypuszczam, że i tak nie da siê tam pospr<sup>1</sup>taæ bez buldoŹera. Powiedz mi coe, z<sup>3</sup>otko. S<sup>1</sup>dzisz, że potrafisz siê nimi zaopiekowaæ?
- Chyba tak - odrzek<sup>3</sup>a Jilly.
- Zas<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup> na dobr<sup>1</sup> opiekê.
- Zas<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup> - zgodzi<sup>3</sup>a siê.

Zakończywszy drug<sup>1</sup> rozmowę, mia<sup>3</sup>a ochotę wypaść z kabi-ny telefonicznej w pelerynie i trykocie i efektownie wzbić się w powietrze. Oczywiście, nie mia<sup>3</sup>a ani peleryny, ani trykotu, poza tym nie umia<sup>3</sup>a latać. Rozejrza<sup>3</sup>a się więc, sprawdzaj<sup>1</sup>c, czy

korytarz jest pusty i bez akompaniamentu tr<sup>1</sup>bek, bez teatral-nych gestów, z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a się na taras, który wychodzi<sup>3</sup> na jezioro, gdzie w ostatnich promieniach zmierzchu czeka<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup> Dylan.

Na d<sup>3</sup>ugo przed pó<sup>3</sup>nym o tej porze roku zachodem s<sup>3</sup>ońca wzeszed<sup>3</sup> księ<sup>3</sup>yc. Na zachodzie noc sca<sup>3</sup>owywa<sup>3</sup>a resztki ró<sup>3</sup>u z policzka dnia, a na wschodzie wisia<sup>3</sup> już wysoko księ<sup>3</sup>yc w pe<sup>3</sup>-ni, jak romantyczna latarnia.

Dok<sup>3</sup>adnie o zmierzchu zjawi<sup>3</sup> się Ling, aby poprowadzić ich dwoje i Shepa przez korytarze i komnaty, których jeszcze nie widzieli, a potem wszyscy wyszli z domu i ruszyli na przystań. Zwykle oświetla<sup>3</sup>a oświetlaj<sup>1</sup>ce przystań by<sup>3</sup>y zgaszone. Drogę roz-jaenia<sup>3</sup>y im urocze rzędy cieniutkich oświec unosz<sup>1</sup>cych się w po-wietrzu osiem stóp nad deskami.

Widocznie Parishowi spodoba<sup>3</sup>o się wynajdywanie innych za-stosowań mocy, dzięki której odbija<sup>3</sup> wystrzelone w siebie pociski. Wielki dom stał wśród dziesięciu akrów lasu, odgradzony od nieproszonych gości, a drzewa zapewnia<sup>3</sup>y ciszę i spokój. Na-wet z oddalonego przeciwnego brzegu jeziora, obserwuj<sup>1</sup>c oświec przez lornetkę, i<sup>3</sup>aden ciekawski nie wiedzia<sup>3</sup>by, co w<sup>3</sup>a<sup>3</sup>eci-wie widzi.

Zabawa wydawa<sup>3</sup>a się warta ryzyka.

Ling, jak gdyby sam unosi<sup>3</sup> się u<sup>3</sup>amek cała nad deskami przystani, prowadzi<sup>3</sup> ich między pe<sup>3</sup>gaj<sup>1</sup>cymi p<sup>3</sup>omykami, pod lewituj<sup>1</sup>cymi oświecami, aż do trapu. D<sup>3</sup>więk, z jakim woda omy-wa<sup>3</sup>a pale, brzmia<sup>3</sup> niemal jak muzyka.

Ling nie da<sup>3</sup> po sobie poznać, czy zdumia<sup>3</sup> go widok lewituj<sup>1</sup>-cych oświec. Wszystko wskazywa<sup>3</sup>o na to, że nic nie mog<sup>3</sup>o naru-szyć jego spokoju umys<sup>3</sup>u ani opanowania tancerza. Nie ulęga<sup>3</sup>o w<sup>1</sup>tpliwości, że jest wyj<sup>1</sup>tkowo dyskretny i lojalny wobec praco-dawcy w stopniu, jaki wydawa<sup>3</sup> się niemal nadprzyrodzony.

By<sup>3</sup>o tak, jak mia<sup>3</sup>o być.

Na końcu trapu przy nabrze<sup>3</sup>u sta<sup>3</sup>a czterdziestopięciosto-powa <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d<sup>3</sup> motorowa z kabin<sup>1</sup> z czasów, gdy statków wyciecz-kowych nie robi<sup>3</sup>o się z plastiku, aluminium i w<sup>3</sup>ókna szklanego. Malowane na bia<sup>3</sup>o drewno, wykończenie pok<sup>3</sup>adu i listwa wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> burt z polerowanego mahoni oraz b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ce jak klej-noty mosię<sup>3</sup>ne elementy sprawia<sup>3</sup>y, że nie by<sup>3</sup>a to zwyk<sup>3</sup>a <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d<sup>3</sup> motorowa, ale okręt, który przyp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> tu prosto ze snu.

Gdy wszyscy znale<sup>3</sup>li się na pok<sup>3</sup>adzie, oświec na przystani jedna po drugiej poga<sup>3</sup>y i spad<sup>3</sup>y na deski. Parish wyprowadzi<sup>3</sup> <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d<sup>3</sup> z przystani i wyp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> na jezioro. Woda wszędzie by<sup>3</sup>aby czarna jak farba anilinowa, gdyby szczo-dry księ<sup>3</sup>yc nie sypa<sup>3</sup> na fale srebrnych monet. Parish rzuci<sup>3</sup> kotwicę daleko od brzegu, zapalone bursztynowe latarnie mia-<sup>3</sup>y ostrzec innych nocnych i<sup>3</sup>eglarzy o ich obecności.

Na przestronnym pok<sup>3</sup>adzie rufowym by<sup>3</sup>o doceć miejsca na stolik dla czterech osób oraz dla Linga, który urz<sup>1</sup>dza<sup>3</sup> im kola-cję przy oświecach.

Ravioli z grzybami podane na przystawkę mia<sup>3</sup>y <sup>3</sup>adny kwa-dratowy kształt. Potem zjawi<sup>3</sup>o się danie g<sup>3</sup>ówne: cukinia, która przed usma<sup>3</sup>eniem pokrojono w kostkę; porcja ziemniaków du-szonych z cebul<sup>1</sup> również mia<sup>3</sup>a kanciasty kształt; z medalio-nów cielących również; troskliwie uformowano kwadraty, nie tylko dla Shepherd'a, ale dla wszystkich, aby m<sup>3</sup>ody pan O'Con-ner nie odczuł, że różni się od reszty towarzystwa.

Mimo to Ling czuwa<sup>3</sup> w kambuzie, gotów w ka<sup>3</sup>dej chwili przyrz<sup>1</sup>dzić grzankę z serem.

Wszystko okaza<sup>3</sup>o się przepyszne. Podany do potraw caber-net sauvignon również okaza<sup>3</sup> się pod ka<sup>3</sup>dym względem wyj<sup>1</sup>t-kowy. Szklanka zimnej coli bez kostek lodu by<sup>3</sup>a jedn<sup>1</sup> z najlepszych na oświecie szklanek zimnej coli. Kolacji towarzyszy<sup>3</sup>2 oczywiście fascynuj<sup>1</sup>ca rozmowa, mimo że Shepherd ogranicza w niej swój udział do jednego lub dwóch s<sup>3</sup>ów, nadu<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>c przymiotnika „smaczne”.

- Będziecie mieli skrzyd<sup>3</sup>o domu do dyspozycji - mówi<sup>3</sup> Parish. - A pó<sup>3</sup>niej, jeżeli zechcecie, zbudujemy obok drugi dom.

- Jestece niezwykle szczodry - powiedzia<sup>3</sup>a Jilly.

- Nonsens. Mój program w radiu to kura znośca z<sup>3</sup>ote jajka. Nie jestem żonaty, nie mam dzieci. Naturalnie zamieszkacie tu w tajemnicy. Nikt nie może poznać waszego miejsca pobytu Media, w<sup>3</sup>adze i ca<sup>3</sup>a ludzkość będzie was bez przerwy prześladować, z up<sup>3</sup>ywem lat coraz bezwzględniej. Być może będzie musiał zmienić kilka osób ze s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by, żeby mieć pewność, że wszyscy dochowają tajemnicy, ale Ling ma braci i siostry.

- Zabawne - powiedzia<sup>3</sup> Dylan - że siedzimy tu i zgodnie snujemy plany, wiedz<sup>3</sup>c od początku, co i jak należy zrobić. - Jesteśmy z różnych pokoleń - rzek<sup>3</sup>a Jilly - ale wszyscy jesteśmy dziećmi tej samej kultury. Przesi<sup>3</sup>klicemy t<sup>3</sup> sam<sup>3</sup> mitologi<sup>3</sup>.

- Otóż to - przytakn<sup>3</sup> Parish. - W przyszłym tygodniu zmienię testament, czyni<sup>3</sup>c was moimi spadkobiercami, chociaż; będzie musiał do tego celu wykorzystywać szwajcarskich adwokatów i sieć zagranicznych kont. Trzeba też będzie zamiast nazwisk używać numerów identyfikacyjnych. Wasze nazwiska stały się już zbyt dobrze znane w całym kraju, a w przyszłości będziecie jeszcze sławniejsi. Gdyby coś mi się przytrafiło albo któremuś z was, pozostali nie powinni mieć z tego powodu żadnych kłopotów finansowych ani podatkowych.

Odk<sup>3</sup>adaj<sup>3</sup>c nóż i widelec, wyraźnie wzruszony hojnością i gestem gospodarza, Dylan powiedział<sup>3</sup>:

- Nie ma takich słów, którymi mógłbym ci za wszystko podziękować. Jesteś... wyjątkowym człowiekiem.

- Dość tych wyrazów wdzięczności - odrzek<sup>3</sup> stanowczo Parish. - Nie chcę tego więcej s<sup>3</sup>uchać. Ty też jesteś wyjątkowym człowiekiem, Dylan. Ty także, Jilly. I ty, Shepherd.

- Smaczne.

- Wszyscy staliśmy się inni niż reszta mężczyzn i kobiet i ni-gdy już nie będziemy tacy jak oni. Nie jesteśmy od nich lepsi, ale żadne z nas nie ma już swojego miejsca na świecie poza tym, gdzie jesteśmy wszyscy razem. Od dzieci mamy zadanie, którego nie wolno nam nie wypełniać, musimy zrobić absolutnie wszystko, by wykorzystywać naszą odmienną do dokonywania zmian.

- Musimy iść wszędzie tam, gdzie nas potrzebują - zgodzi<sup>3</sup> się Dylan. - Bez rękawiczek, bez wahania, bez strachu.

- Z potwornym strachem - zaprotestowa<sup>3</sup>a Jilly. - Któremu nie możemy się nigdy poddać.

- Rzeczywiście, to śladniej powiedziane-pochwali<sup>3</sup> j<sup>3</sup> Dylan. Gdy Ling dolewa<sup>3</sup> cabneta, nad Tahoe przelecia<sup>3</sup> na dużej wysokości samolot pasażerski, zmierzający prawdopodobnie na lotnisko w Reno. Gdyby jezioro nie było takie ciche, jeżeli nie liczyć stukotu księżycowych srebrnych monet o kadłub<sup>3</sup> odzi, być może nie usłyszeliby słabego odgłosu silników odrzutowych. Spogl<sup>3</sup>daj<sup>3</sup>c w górę, Jilly dostrzeg<sup>3</sup>a małą skrzydlatą sylwetkę, która przecięła tarczę księżyca.

- Cieszę się tylko z jednej rzeczy - rzek<sup>3</sup> Parish. - Nie będziemy sobie musieli zawracać głowy projektowaniem, konstruowaniem i utrzymaniem żadnego cholernego Batmobilu. Ćmiech dobrze im zrobi<sup>3</sup>.

- Może wcale nie będzie tak źle w roli tragicznych postaci d<sup>3</sup>wigających na barkach całego świata - uzna<sup>3</sup> Dylan. - Jeżeli po-trafimy się przy tym bawić.

- Będziemy się świetnie bawić - podchwyci<sup>3</sup> Parish. - Och, tak, bardzo mi na tym zależy. Wola<sup>3</sup>bym jednak, żebyśmy nie nadawali sobie żadnych g<sup>3</sup>upich, d<sup>3</sup>więdnie bohaterkich imion, bo sam wyrz<sup>3</sup>dzi<sup>3</sup>em już sobie tę krzywdę, ale chętnie przystanę na inne pomysły.

Jilly zawaha<sup>3</sup>a się z kieliszkiem przy ustach.

- Parish Lantern to nie jest twoje prawdziwe imię i nazwisko? - A kto mógłby się tak nazywać? Teraz to moje oficjalne imię i nazwisko, ale urodzi<sup>3</sup>em się jako Horace Bloogernud.

- Dobry Boże - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Wiem od dziecka by<sup>3</sup>ć w pewnym sensie postaci<sup>3</sup> tragiczn<sup>3</sup>.

- Już jako nastolatek pragn<sup>3</sup>em pracować w radiu i do-<sup>3</sup>adnie wiedziałem, jaki program chciał stworzyć. Wie-czorn<sup>3</sup> audycję o dziwnych i niesamowitych zjawiskach. Uzna<sup>3</sup>em, że pseudonim „Parish Lantern” będzie świetnie pasował, ponieważ to stare angielskie określenie księżyca, bla-sku księżyca.

- Robisz swoje przy blasku księżyca - rzek<sup>3</sup> Shepherd, lecz tym razem g<sup>3</sup>os nie drę<sup>3</sup>a mu z udręki jak poprzednio, gdy wy-powiada<sup>3</sup> te słowa, jakby zyska<sup>3</sup>y dla niego nowe znaczenie.

- Owszem, masz rację - odrzek<sup>3</sup> Parish. - W pewnym sensie wszyscy będziemy robić swoje przy blasku księżyca, to znaczy, że będziemy się starali działać w jak największej dyskrekcji i tajemnicy. Co

wi<sup>1</sup>ę si<sup>e</sup> ze spraw<sup>1</sup> kamufla<sup>1</sup>u.

- Kamufla<sup>1</sup>u? - spyta<sup>3</sup>a Jilly.

- Na szczęście nikt poza nami nie wie, że ja też zosta<sup>3</sup>em do-tknięty tym przekleństwem - powiedzia<sup>3</sup> Parish. - Dopóki mo-g<sup>e</sup> robi<sup>e</sup>, co trzeba, i bra<sup>e</sup> udział<sup>3</sup> w bohaterskich akcjach, utrzy-muj<sup>1</sup>c to w sekrecie, mog<sup>e</sup> by<sup>e</sup> <sup>3</sup>icznikiem mi<sup>e</sup>ędzy nasz<sup>1</sup> ma<sup>3</sup> grup<sup>1</sup> a <sup>e</sup>wiatem. Ale wy troje... wasze twarze s<sup>1</sup> znane i bez wzgl<sup>e</sup>du na to, jak dyskretnie b<sup>e</sup>dziemy dzia<sup>3</sup>a<sup>e</sup>, z biegiem cza-su coraz wi<sup>e</sup>cej ludzi b<sup>e</sup>dzi<sup>e</sup> was rozpoznawa<sup>3</sup>o. Dlatego musicie zosta<sup>e</sup>...

- Mistrzami kamufla<sup>1</sup>u! - rzek<sup>3</sup> z zachwytem Dylan. Jilly uzna<sup>3</sup>a, że to też jest tak, jak ma by<sup>e</sup>.

- Koniec końców - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Parish - b<sup>e</sup>dzie nam brakowa<sup>e</sup> tylko g<sup>3</sup>upich imion, niepraktycznych pojazdów naszpikowa-nych bezsensownymi gad<sup>1</sup>etami, kostiumów ze spandeksu i su-perprzeciwnika, którym musieliby<sup>e</sup>my si<sup>e</sup> przejmowa<sup>e</sup> pomi<sup>e</sup>-dzy zwyk<sup>3</sup>ymi akcjami ratunkowymi i dobrymi uczynkami.

- Lód - powiedzia<sup>3</sup> Shepherd.

Ling natychmiast zbli<sup>1</sup>y<sup>3</sup> si<sup>e</sup> do sto<sup>3</sup>u, ale Parish kilka chińskimi s<sup>3</sup>owami zapewni<sup>3</sup> go, że nie trzeba podawa<sup>e</sup> lodu. - Shepherd ma racj<sup>e</sup>. Mielic<sup>e</sup>my przez krótk<sup>1</sup> chwil<sup>e</sup> superprzeciwnika, ale ju<sup>1</sup> jest blokiem lodu.

- Lód.

Pó<sup>1</sup>niej, przy kawie i cie<sup>e</sup>cicie cytrynowym Jilly powiedzia<sup>3</sup>a:

- Je<sup>1</sup>eli jako<sup>e</sup> si<sup>e</sup> nie nazwiemy, media zrobi<sup>1</sup> to za nas i na pewno wymy<sup>e</sup>l<sup>1</sup> jakie<sup>e</sup> g<sup>3</sup>upie okre<sup>e</sup>lenie.

- S<sup>3</sup>usznie - rzek<sup>3</sup> Dylan. - Dziennikarzom brak wyobra<sup>1</sup>ni. A potem b<sup>e</sup>dziemy musieli znosi<sup>e</sup> jak<sup>1</sup>ce denerwuj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> etykietk<sup>e</sup>. Mo<sup>1</sup>ę wybierzemy zbiorow<sup>1</sup> nazw<sup>e</sup> dla wszystkich jako grupy?

- Aha - przytakn<sup>e</sup> Jilly. - B<sup>1</sup>d<sup>1</sup>my przebiegli jak kiedy<sup>e</sup> Horace Bloogernud. Wykorzystajmy w nazwie ksi<sup>e</sup>życ.

- Ksi<sup>e</sup>życowy Gang - podsun<sup>13</sup> Dylan.

- B<sup>e</sup>dzie dobrze wy-gl<sup>1</sup>da<sup>e</sup> w brukowcach, nie?

- Nie podoba mi si<sup>e</sup> s<sup>3</sup>owo „gang” - powiedzia<sup>3</sup> Parish. - Ma za du<sup>1</sup>o negatywnych konotacji.

- Ksi<sup>e</sup>życowy... co<sup>e</sup> tam. - Jilly si<sup>e</sup> zamycli<sup>3</sup>a.

Mimo że Shepherd mia<sup>3</sup> na talerzu jeszcze p<sup>3</sup> porcji ciasta, od<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> widelec. Wpatruj<sup>1</sup>c si<sup>e</sup> w swój niedojedzony deser, po-wiedzia<sup>3</sup>:

- Oddzia<sup>3</sup>, za<sup>3</sup>oga, zesp<sup>3</sup>, ko<sup>3</sup>o, towarzystwo...

- Prosz<sup>e</sup> bardzo - rzek<sup>3</sup> Dylan.

-... stowarzyszenie, sojusz, zwi<sup>1</sup>zek, dru<sup>1</sup>żyna, koalicja, klan, ekipa, liga, klub...

- Ksi<sup>e</sup>życowy Klub - wymówi<sup>3</sup>a na prób<sup>e</sup> Jilly, ws<sup>3</sup>uchuj<sup>1</sup>c si<sup>e</sup> we wsp<sup>3</sup>brzmienie s<sup>3</sup>ów. - Klub

Ksi<sup>e</sup>życowy. Niez<sup>3</sup>e.

- ...bractwo, gromada, paczka, kompania, rodzina...

- To chyba chwil<sup>e</sup> potrwa - powiedzia<sup>3</sup> Parish, daj<sup>1</sup>c znak Lingowi, aby zabra<sup>3</sup> trzy z czterech talerzy deserowych i otwo-rzy<sup>3</sup> nast<sup>e</sup>pn<sup>1</sup> butelk<sup>e</sup> wina.

- ...podr<sup>1</sup>żnicy, odkrywcy, poszukiwacze...

S<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup>c jednym uchem kaskady s<sup>3</sup>ów pocziwego Shepher-da, Jilly zacz<sup>e</sup>ła my<sup>e</sup>le<sup>e</sup> o czekaj<sup>1</sup>cej ich przysz<sup>3</sup>o<sup>e</sup>ci, o przezna-czeniu i wolnej woli, o mitologii i prawdzie, o zale<sup>1</sup>no<sup>e</sup>ci i odpo-wiedzialno<sup>e</sup>ci, o nieuchronno<sup>e</sup>ci <sup>e</sup>mierci i rozpaczliwej potrzebie celu <sup>1</sup>ycia, o mi<sup>3</sup>o<sup>e</sup>ci, obowi<sup>1</sup>zku i nadziei.

Niebo jest g<sup>3</sup>ębokie. Gwiazdy le<sup>1</sup> daleko. Ksi<sup>e</sup>życ, cho<sup>e</sup> bli-żej ni<sup>1</sup> Mars, i tak jest odleg<sup>3</sup>y. Jezioro po<sup>3</sup>yskuje czerni<sup>1</sup> o<sup>1</sup>y-wian<sup>1</sup> rt<sup>e</sup>ciowym blaskiem - latarni parafialnej. Statek lekko ko<sup>3</sup>ysze si<sup>e</sup> na kotwicy. Klub Ksi<sup>e</sup>życowy, czy jak<sup>1</sup> w ko<sup>1</sup>ncu przybierze nazw<sup>e</sup>, odbywa swoje pierwsze powa<sup>1</sup>ne spotkanie przy cie<sup>e</sup>cicie, w<sup>e</sup>r<sup>1</sup>ód wybuchów <sup>e</sup>miechu rozpoczynaj<sup>1</sup>c podr<sup>1</sup>ż, która, jak mieli nadziej<sup>e</sup>, b<sup>e</sup>dzie d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> wypraw<sup>1</sup> w poszukiwaniu ca<sup>3</sup>ej zupe<sup>3</sup>no<sup>e</sup>ci wszystkiego.